

• II/1912

© ARCHIWUM WSCHODNIE

EDWARD ZAPOLSKI-KUSY

RAPORT Z JEDNEGO ŻYCIA:

WYPIŁEM BRUDERSZAFT Z HISTORIĄ

TOM I

ac. 1703 z dn. 18.10.84

⑥ Barbara Klümmich

Tej, która odeszła z mojego życia,  
lecz pozostanie na zawsze  
w sercu i pamięci,  
żonie Alicji, poświęcam

Basi Klümich, współautorce i mej części  
mojego życia, mi opisywane, wżeram  
plan mojej wielomiesięcznej pracy, z życzenia-  
mi zdrowia i spokoju w dalszym jej  
życiu.

Edward Lapacki-Kury -  
- mam nadzieję, że przyjaciel -  
(autor wspomnień)

Warszawa, 21 listopada 1992 r.

MOTTO I - Poląły się łązy me czyste, rześiste,  
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie.  
Na mą młodość górną i durną,  
Na mój wiek męski, wiek klęski,  
Poląły się łązy me czyste, rześiste...

/Adam Mickiewicz/

MOTTO II - Dzieckiem w kolebce kto łąb urwał Hydrze,  
Ten młody zdusi Centaury,  
Piekłu ofiarę wydrze,  
Do nieba pójdzie po laury.  
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;  
Łam, czego rozum nie złamie:  
Młodości ! Orla twych lotów potęga,  
Jako piorun twoje ramię.

/Adam Mickiewicz z "Ody do Młodości"/

## 1. Obyś żył w ciekawych czasach

Kiedyś, w dzieciństwie i młodości, w czasach spokojnych i uporządkowanych, słyszałem życzenie: "Obyś żył w ciekawych czasach". Wtedy, ani ten co je składał, ani odbiorca, nie zdawaliśmy sobie sprawy, ile złośliwości oraz ironii ono zawiera.

Dziś, po przeżyciu prawie 70 lat /ukończę je 3 lipca 1992 roku, o godzinie dziesiątej rano, jeżeli Sprawca Wszechrzeczy nie zdecyduje inaczej/, wydaje mi się, że zrozumiałem prawdziwy sens powyższych słów. Po ich konfrontacji z wydarzeniami, w szczególności okresu wojny oraz "błędów i wypaczeń", mogę powiedzieć, że wiem, co miał na myśli ten, który je przed laty wygłaszał.

Zapytasz, drogi Czytelniku, jak wobec tego oceniam przeżyte "ciekawe lata" i czy, mając ewentualną możliwość dokonania ponownego wyboru drogi życia, wybrałbym czasy mniej ciekawe, ale za to bardziej spokojne, odpowiem, że za żadną cenę nie chciałbym takiej zamiany. Bez przeżyć "ciekawych czasów" życie byłoby zapewne monotonne i po prostu nudne. Dlatego też, bez żadnej ironii i złośliwości, życzę i Tobie, drogi Czytelniku: "Obyś żył w ciekawych czasach".

Gdy się ma 70 lat, nasuwa się mimo woli pytanie, czy to jest dużo, czy mało? Odpowiedź zależy od tego, kto jej udziela.

Zawodowy filozof stwierdzi, że życie jest chwilką tylko, i będzie miał z pewnością rację, bo życie ludzkie, w zestawieniu z otaczającą człowieka wiecznością Wszechświata, jest jednym krótkim mgnieniem oka. Inaczej jednak na to zagadnienie spojrzę ja, potomek prababki Marianny Filozof /popatrz w drzewo genealogiczne mojej rodziny/. Dla mnie, a myślę, że i dla Ciebie, drogi Czytelniku, ta chwilka z wieczności filozofa, jest naszym całym życiem, całą własną wiecznością, całym mikrowszechświatem, pełnym myśli, idei oraz czynów. Poza tą wiecznością widzimy jedną wielką niewiadomą...

Życie stanowi sumę chwil smutnych i radosnych, dobrze lub źle przeżytych. Składa się ono z lat, dzieli na miesiące, tygodnie, godziny, minuty i sekundy wreszcie. Tych ostatnich w moim 70-letnim życiu mogę przeżyć 2.209.075.200 /dwa miliardy dwieście dziewięć milionów siedemdziesiąt pięć tysięcy dwieście/.

Czy to nie wieczność prawdziwa?

Czy to nie astronomiczna liczba?

Czy, dzięki tej liczbie, człowiek nie staje się miliarderm?

Przed chwilą napisałem, że ten potężny kapitał życiowych sekund można spożytkować w dwojaki sposób: dobrze lub źle. Wielu ludzi, nie tylko młodych, nie przywiązuje do mijających sekund zbyt wielkiej wagi, marnując je beztrąsko, a często bezmyślnie, marnotrawiąc cały swój życiowy kapitał, zamiast rozliczać się z niego dokładnie i sumiennie.

Oczy Twoje, drogi Czytelniku, śledzą w tej chwili próbę, podjętą u schyłku życia, rozliczenia się z darowanych mi do przeżycia sekund. Do Ciebie należeć będzie ocena sposobu ich wykorzystania podczas dosyć długiego i często burzliwego życia. Do napisania wspomnień skłonili mnie ci, którzy wcześniej poznali z mojej opowieści ich obszerne fragmenty. Z początku nie bardzo miałem ochotę powracać do wielu ciężkich, smutnych, a nawet i tragicznych momentów w życiu, lecz w końcu zacząłem obmyślać sposoby realizacji takiego przedsięwzięcia. Przejrzałem moc różnych dokumentów, które nagromadziły się w ciągu wielu lat. Chciałem dokonać ich gruntownej selekcji, ale tu zrodziła się obawa, że mogę wybrać niewłaściwie, pomijając coś ważnego oraz istotnego. Postanowiłem zatem pisać wszystko "ab ovo" /jak mawiali starożytni Rzymianie/, czyli od początku, co uda się wygrzebać z dokumentów oraz z pod zwałów zapomnienia, z pamięci.

W tytule świadomie użyłem słowa "raport", wywodzącego się ze słownika wojskowego, ponieważ duża i znacząca część wspomnień dotyczy lat

wojny. Zanurzyłem się wtedy w nurt wydarzeń historii na tyle głęboko na ile pozwoliły mi okoliczności oraz ukończone, krótko przed wybuchem wojny, 17 lat. Gdy podejmowałem decyzję pisania historii życia, wiedziałem, że nie będzie to dzieło literackie, gdyż zdałem sobie sprawę ze szczupłości pisarskich środków, będących do mojej dyspozycji. Wiedziałem również, że ma to być uczciwa i rzetelna relacja po prostu - raport.

Dedykuję go żonie Alicji, zmarłej 24 stycznia 1991 roku. Przeżyła ona w sposób bardzo pożyteczny prawie 62 lata - z czego przez 42 lata albo inaczej przez 1.328.337.000 sekund, stała wiernie i nieugięcie na straży naszej rodziny.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że rozliczając życie w miliardach sekund, uległem mimo woli realiom obecnego życia. Przeżywamy prawdziwą inflację ekonomiczną, obliczając codziennie, zarówno przychody jak i rozchody, w milionach. Przeżywamy również wielką inflację idei społecznych i politycznych. O ile z tej pierwszej inflacji mamy szansę wcześniej, czy później, wygrzebać się, to ta druga może okazać się w skutkach groźniejsza dla kraju i dla nas wszystkich. Oby tak się nie stało...

Ostrze moich rozważań o życiu oraz inflacji pragnę stąpić, cytując fragment satyrycznego dzieła Krzysztofa Daukszewicza "Przeżyłem, panie Hrabio". W liście do pana hrabiego, swego literackiego korespondenta, przypomina mu takie oto wydarzenie: "Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!. Mamy nareszcie orła z koroną, ale ten orzeł, który jest na złotówkach, jeszcze o tym nie wie. I ż propos tej złotówki. Jak Pan Hrabia zapewne pamięta, kiedyś, przed wojną, po pijanemu, zapytał mnie pan Hrabia: - Kim chciałbym w przyszłości zostać? I ja odpowiedziałem: Chciałbym zostać milionerem. I pan Hrabia strasznie się z tego śmiał. I donoszę w tym liście, że ja jednak zostałem milionerem. Tylko teraz, to ja się z tego śmieję. Teraz to wolałbym Pańskie przedwojenne dwieście złotych".

I tym filozoficzno-satyrycznym akcentem powinienem zakończyć te rozważania o życiu, gdybym nie miał jeszcze do odnotowania słów dwóch wielkich ludzi, które winny mi przyświecać przy realizacji niniejszego zamierzenia.

Pierwszy z nich, Pliniusz Starszy, tak rzekł o greckim malarzu Apellesie: "Nulla dies sine linea", co dosłownie znaczy: "Ani jeden dzień bez kreski", a tłumaczy się: "Ani jeden dzień bez owocnej pracy".

Drugi wielki człowiek, nasz wieszcz, Adam Mickiewicz, napisał kiedyś tak: "W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę. Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę".

Idąc za tokiem myśli wieszca, dokonałem rzeczy trudniejszej, bo przeżyłem 70 lat. Teraz zostało mi ponoć łatwiejsze zadanie: napisać księgę, Czy mi się to uda oraz jak? - zobaczymy...

Autor

2. Rodzinne drzewo genealogiczne

I. Pradziadkowie /niestety tylko ze strony ojca/

P. - Florian NIEZGODA  
ur. ok. 1840 - ślub ok. 1862 - zgon ok. 1905

P. - Marianna FILOZOF  
ur. ok. 1845 - ślub ok. 1862 - zgon ok. 1910

---

II. Dziadkowie

P. - Ludwika NIEZGODA - córka Floriana i Marianny  
ur. ok. 1.3.1863 - ślub ok. 1896 - zgon 12.1.1943

P. - Maciej KUSY,  
ur. ok. 1860 - ślub ok. 1896 - zgon ok. 15.7.1915

P. - Wojciech MARCINKOWSKI  
ur. 1867 - ślub ok. 1900 - zgon 20.5.1946

P. - Ludwika KOMAJDA  
ur. 1879 - ślub ok. 1900 - zgon 27.1.1942

---

III. Rodzice - dzieci Wojciecha i Ludwiki Marcinkowskich z małżonkami

1 - Marianna MARCINKOWSKA  
ur. 3.9.1901 - ślub 22.1.1918 - zgon 8.4.1976

1 - Andrzej KUSY - syn Macieja i Ludwiki KUSYCH  
ur. 19.10.1897 - ślub 22.1.1918 - zgon 4.9.1972

2 - Stanisław MARCINKOWSKI  
ur. 1905 - ślub ok. 1925 - zgon 24.12.1960

2 - Karolina KASPEREK  
ur. 28.11.1908 - ślub ok. 1925 - zgon 3.4.1987

3 - Karolina MARCINKOWSKA  
ur. 9.12.1914 - ślub ok. 1943 - zgon 24.2.1989

3 - Stanisław JARUGA  
ur. 1920 - ślub ok. 1943 - zgon 3.12.1990

4 - Stanisława MARCINKOWSKA  
ur. 23.11.1916 - ślub ok. 1939

4 - Ignacy PAZDZIOR  
ur. 31.12.1908 - ślub ok. 1939 - zgon 7.6.1985

5 - Piotr MARCINKOWSKI  
ur. 21.3.1920 - ślub 1.2.1949 - zgon 7.3.1973

5 - Małgorzata KORNAS - ur. 7.11.1925 - ślub 1.2.1949



1 - Linia Andrzeja i Marianny KUSYCH

IV. Dzieci - Andrzeja i Marianny KUSYCH z małżonkami

- 11 - Adolf Edward ZAPOLSKI-KUSY /obecnie bez imienia Adolf/  
ur.3.7.1922 - ślub 22.12.1948
- 11 - Alicja MAST  
ur.4.6.1929 - ślub 22.12.1948 - zgon 24.1.1991
- 12 - Marian KUSY  
ur.5.2.1925 - zgon 20.3.1925
- 13 - Zdzisław Stanisław ZAPOLSKI  
ur.7.6.1926 - ślub 28.8.1949 -
- 13 - Eligia KASNER  
ur.23.9.1930 - ślub 28.8.1949 -
- 14 - Tadeusz ZAPOLSKI  
ur.26.6.1928 - ślub 26.12.1953 -
- 14 - Felicja BARAN  
ur.10.10.1935 - ślub 26.12.1953 -
- 

V. Wnuki - Andrzeja i Marianny KUSYCH z małżonkami

- 111 - Emilia Wiesława ZAPOLSKA-KUSA - córka Edwarda i Alicji  
ur.18.8.1949 - ślub 27.9.1969 -
- 111 - Jerzy Maria BRZEZIŃSKI  
ur.31.10.1947 - ślub 27.9.1969 -
- 112 - Andrzej ZAPOLSKI-KUSY - syn Edwarda i Alicji  
ur.22.1.1952 - ślub 14.6.1973 -
- 112 - Halina KORNATOWSKA  
ur.15.3.1952 - ślub 14.6.1973 -
- 
- 131 - Mirosława Maria ZAPOLSKA - córka Zdzisława i Eligii  
ur.30.5.1950 - I ślub 13.5.1972 - II ślub 13.2.1982 -
- 131 a - Maciej GARSTECKI  
ur.15.12.1947 - ślub 13.5.1972 -
- 131 b - Sławomir DĄBSKI  
ur.9.4.1954 - ślub 13.2.1982 -
- 132 - Sławomir Zdzisław ZAPOLSKI - syn Zdzisława i Eligii  
ur.30.5.1953 - ślub 26.08.1978
- 132 - Ewa PACEK  
ur.3.5.1951 - ślub 26.8.1978 -

141 - Barbara ZAPOLSKA - córka Tadeusza i Felicji  
ur.7.2.1955 - ślub 4.6.1981 -

141 - Tomasz KWIECINSKI  
ur.27.10.1957 - ślub 4.6.1981 -

---

142 - Andrzej Władysław ZAPOLSKI - syn Tadeusza i Felicji  
ur.5.4.1956 - ślub 19.4.1981 -

142 - Anna SOKOŁOWSKA  
ur.26.2.1957 - ślub 19.4.1981 -

---

VI. Prawnuki - Andrzeja i Marianny KUSYCH

1.111 - Monika Alicja BRZEZINSKA  
ur.25.1.1972

1.112 - Ewa Olga BRZEZINSKA - córki  
ur.23.02.1984 Emilii i  
Jerzego

---

wnuczki Edwarda  
i Alicji  
ZAPOLSKICH-  
KUSYCH

1.121 - Marta Emilia ZAPOLSKA-KUSA  
ur.19.4.1987 - córka Andrzeja i  
Haliny

---

1.311a - Dawid GARSTECKI - syn Mirosławy  
ur.13.4.1980- i Macieja  
zgon 13.4.1980

1.311b - Jakub DABSKI - syn Mirosławy  
ur.5.7.1981 i Sławomira

---

wnuki Zdzisława  
i Eligii  
ZAPOLSKICH

1.3.21 - Anna Olga ZAPOLSKA - córka Sławomira  
ur.1.12.1981 i Ewy

---

1.411 - Ewa KWIECINSKA - córka Barbary  
ur.10.2.1984 i Tomasza

---

1.421 - Magdalena Anna ZAPOLSKA  
ur.1.2.1982 - córki Andrze-  
ja i Anny

wnuczki Tadeusza  
i Felicji  
ZAPOLSKICH

1.422 - Barbara Monika ZAPOLSKA  
ur.8.3.1983

---

2 - Linia Stanisława i Karoliny MARCINKOWSKICH

IV. Dzieci - Stanisława i Karoliny MARCINKOWSKICH z małżonkami

- 21 - Janina MARCINKOWSKA  
ur.25.7.1926 - ślub 11.10.1946 -
- 21 - Franciszek CIURAJ  
ur.1.1.1924 - ślub 11.10.1946 -
- 22 - Genowefa MARCINKOWSKA  
ur.28.12.1928 - ślub 1950 -
- 22 - Stefan MITUŁA  
ur.23.8.1924 - ślub 1950 -
- 23 - Kazimiera MARCINKOWSKA  
ur.1937 - ślub 1962 -
- 23 - Henryk KURLEJ  
ur.1931 - ślub 1962 -
- 

V. Wnuki - Stanisława i Karoliny MARCINKOWSKICH z małżonkami

- 211 - Stanisław CIURAJ - syn Janiny i Franciszka  
ur.1.1.1948 - ślub 11.10.1969 -
- 211 - Regina WACH  
ur.11.6.1952 - ślub 11.10.1969 -
- 
- 221 - Jan MITUŁA - syn Genowefy i Stefana  
ur.25.3.1951 - ślub 1973 - zgon 1986
- 221 - Grażyna BUDA  
ur. - ślub 1973 -
- 
- 222 - Teresa MITUŁA - córka Genowefy i Stefana  
ur.28.3.1953 - ślub 1975 -
- 222 - Stanisław FRĄCZEK  
ur. - ślub 1975 -
- 
- 223 - Kazimiera MITUŁA - córka Genowefy i Stefana  
ur.22.2.1959 - ślub 2.6.1984 -
- 223 - Jan ZAWRATAŃSKI  
ur.11.6.1952 - ślub 2.6.1984 -
- 
- 231 - Krzysztof Henryk KURLEJ - syn Kazimiery i Henryka  
ur.15.5.1963 -
- 232 - Anna Barbara KURLEJ - córka Kazimiery i Henryka  
ur.25.11.1964 -
-



3. Linia Karoliny i Stanisława JARUGÓW

IV. Dzieci - Karoliny i Stanisława z małżonkami

31 - Irena Alfreda JARUGA

ur.1.11.1943 - ślub 10.5.1962

31 - Janusz KLIMEK - ur.22.4.1939 - ślub 10.5.1962 - zgon 10.12.1983

V. Wnuki Karoliny i Stanisława JARUGÓW z małżonkami

311 - Małgorzata Emilia KLIMEK

ur.9.2.1963 - ślub 1985

córki Ireny

311 - Andrzej KOWALIK

ur. - ślub 1985

i Janusza

312 - Anna KLIMEK

ur.21.6.1965

VI. Prawnuki Karoliny i Stanisława JARUGÓW

3.111 - Paulina KOWALIK - córka Małgorzaty  
ur.23.3.1986 i Andrzeja

wnuczka Ireny  
i Janusza KLIMKÓW

4 - Linia Stanisławy i Ignacego PAZDZIORA

IV. Dzieci Stanisławy i Ignacego PAZDZIORA z małżonkami

41 - Edward PAZDZIOR

ur.25.3.1940 - I ślub ok.1963 - II ślub ok.1973 - zgon.3.5.1980

41 a - Teodozja SKOREK

ur.1943 - ślub ok.1963 - zgon ok.1968

41 b - Grażyna MAKUŁA

ur. - ślub ok.1973

42 - Halina PAZDZIOR

ur.24.6.1944 - ślub ok.1962

42 - Aleksander SKOREK

ur.25.11.1938 - ślub ok.1962

V. Wnuki - Stanisławy i Ignacego PAZDZIORA z małżonkami

411 a - Violetta PAZDZIOR

ur.1964

córki Edwarda i Teodozji

411a - Barbara PAZDZIOR

ur.1965

411 b - Monika PAZDZIOR - córka Edwarda i Grażyny

ur.1975

421 - Marta SKOREK  
ur.30.5.1963 - ślub 1986 - córka Haliny i Aleksandra

421 - Zbigniew DUDZIAK  
ur.6.1.1964 - ślub 1986  
-----

422 - Jolanta SKOREK - córka Haliny i Aleksandra  
ur.24.6.1965 - ślub 1985

422 - Włodzimierz KOŁODZIEJ  
ur.28.1.1961 - ślub 1985  
-----

VI. Prawniki - Stanisławy i Ignacego PAZDZIORÓW

4.111 - Ewelina DUDZIAK - córka Marty  
ur.8.6.1987 i Zbigniewa  
-----

wnuki

4.221 - Sebastian KOŁODZIEJ  
ur.10.8.1986

dzieci

Haliny i  
Aleksandra  
SKORKÓW

4.222 - Magdalena Arletta KOŁODZIEJ Jolanty  
ur.13.6.1988 i Włodzimierza  
-----

5. Linia Piotra i Małgorzaty MARCINKOWSKICH

IV. Dzieci Piotra i Małgorzaty MARCINKOWSKICH z małżonkami

51 - Irena Maria MARCINKOWSKA  
ur.15.6.1953 - ślub 6.11.1978

51 - Leopold WALCZAK  
ur. - ślub 6.11.1978

I. DZIECINSTWO SIELSKIE, ANIELSKIE

## 1. Trochę prehistorii i legendy rodzinnej

"Mości książe, wiem, że początków rodu naszego w Rzymie starożytnym szukać należy".

W słowach tych, które Sienkiewicz włożył w usta miecznika rosińskiego, pana Tomasza Billewicza, w czasie jego rozmowy z Bogusławem Radziwiłłem, autor "Trylogii" w sposób niezwykle trafny oddał jedną z najpowszechniejszych cech, a właściwie słabostek szlachty w dawnej Rzeczypospolitej - chlubienie się starożytnością swych rodów, sięgających początkami rzekomo nie tylko głębokiego średniowiecza, ale częstokroć, i zamierzchłej starożytności. Im ród był potężniejszy, tym odleglejszych wyszukiwano dlań antenatów".

Zacytowany fragment pochodzi z biografii pióra Zbigniewa Wójcika p.t. "Jan Sobieski", wydanej w 1983 roku, w trzechsetną rocznicę wiedeńskiej wiktorii, przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

Początki legendarne naszej rodziny nie wywodzą się jednak od czasów Rzymu starożytnego, są trochę późniejsze, związane z historią rodziny Sobieskich. A jak to było, opowiem krótko.

Na południe od Lublina, w kierunku Wysokiego jest szosa, którą na 32 kilometry przecina droga biegnąca w kierunku zachodnim na Kosarzew i Bychawę. Do Kosarzewa jest stąd 3 km, do Bychawy zaś - 12 km.

Właśnie stąd, z okolic Kosarzewa i Bychawy, wywodzi się większa część naszej rodziny.

Podążając wspomnianą szosą dalej na Wysokie, po dalszych 5 kilometrach trafimy na wieś Giełczew, od której najpierw na wschód, później na północ skręca droga wzdłuż rzeki Giełczwi, przez wioski: Radomirka, Sobieska Wola, Dąbie, Pilaszkowice, w kierunku na Piaski.

Wieś Sobieska Wola leży w odległości około 3 kilometrów od Pilaszkowic. Sobieska Wola była z dawna siedzibą drugiej gałęzi naszej rodziny, gdyż stąd wywodzi się nasza babka, Ludwika z Komajdów Marcinkowska. Wieś ta też łączy naszą rodzinę z rodziną Sobieskich,



o czym informuje nas legenda rodzinna, o której będzie trochę później.

Wróćmy na razie do Sobieskich. Wspomniany biograf Jana Sobieskiego pisze w sposób następujący:

"Historyk może wspomnieć o dziejach bajecznych, legendach, ale uznać za fakt udowodniony wolno mu tylko to, co znajduje potwierdzenie w nie budzącym wątpliwości dokumencie lub, jeszcze lepiej, w kilku dokumentach pisanych. Przyjąwszy tedy takie kryterium i oparłszy się na krytycznych badaniach Tadeusza Korzona oraz przede wszystkim współczesnego genealoga polskiego, profesora Uniwersytetu Poznańskiego Włodzimierza Dworzaczka, za pierwszego niewątpliwie znanego przodka króla Jana przyjdzie nam uznać Sebastiana Sobieskiego, urodzonego około 1486 roku, a zmarłego w 1557, ożenionego w roku 1516 z Barbarą Giełczewską, która wniosła mu w posagu wieś Wolę Giełczewską i sporo gotowizny. W dokumentach współczesnych ów Sebastian tytułowany jest wyłącznie jako "nobilis" czyli po prostu szlachcic. Wola Giełczewska ostatecznie związała Sobieskich z Lubelszczyzną. Gniazdem ich rodu był Sobieszyn, wieś położona również w północnej części tej ziemi, nad Wieprzem".

Podążając dalej za tekstem omawianej biografii, spotykamy taki zapis:

"Majątki rodowe znajdowały się głównie w Lubelskiem i na Rusi Czerwonej. Należały do nich: wspomniana już Wola Giełczewska, przemianowana później na Wolę Sobieską, urocze, jak je nazwał Korzon, a tak spostonowane później przez Boya w jego znanej książce o Marysieńce, Pielaszkowice /które po dość długich perypetiach trafiły w końcu poprzez małżeństwo dziadka Jana, Marka, z Tęczyńską na stałe do Sobieskich/, dobra złoczowskie od 1595 roku i wiele innych".

W kilku wybranych fragmentach biografii mówi autor o leżących blisko Sobieskiej Woli, Pielaszkowicach /obecnie, a w owych czasach

- Pielaszkowicach/, i o roli jaką odgrywały w życiu rodu Sobieskich a w szczególności króla Jana III.

Cytuję:

"Wśród ludzi, na których mogła liczyć, na czoło wysuwał się oczywiście Sobieski. Królowa /Ludwika Maria, żona króla Jana Kazimierza/ orientowała się dobrze, jak wielki wpływ wywierała na młodego, wybitnego przywódcę, jej ulubienica Maria Kazimiera Zamoyska, wojewodzina sandomierska. Mimo ślubu ze starostą kałuskim piękna Francuzka nie zerwała kontaktów z chorążym koronnym, prawdopodobnie oboje nawet widywali się korzystając z bliskości jego Pielaszkowic i Zamościa".

Na innej stronie otrzymujemy informację:

"A to jedna tylko próbka z pierwszego znanego jego listu do żony: gdy wkrótce po ślubie musiał wyjechać z Warszawy na Ruś Czerwoną, skąd wrócił dopiero około 1 lipca: "Żoneczko moja najśliczniejsza, największa duszy i serca mego pociecho" - pisał do Marii Kazimiery z Pielaszkowic, we wtorek 9 czerwca 1665 roku".

Dwanaście stron dalej autor biografii pisze:

"Słowa te nie oznaczały jeszcze kapitulacji, gdyż Sobieski proponował Marysienice jedynie spotkanie w Karczewiu, w dalszym ciągu odmawiając przyjazdu do stolicy. Prosi ją również, żeby swój wyjazd z Warszawy umotywowała chęcią udania się na odpust do Czerwińska. Z Karczewia szczęśliwi małżonkowie mieli pojechać do rodzinnych Pielaszkowic, gdzie Sobieski zamierzał spędzić z ukochaną święta wielkanocne, przypadające w tym roku na 25 i 26 kwietnia.

I znów:

"Trudno zaiste nie wzruszyć się, gdy czyta się list tego wielkiego dygnitarza Rzeczypospolitej, trzydziestosiedmioletniego mężczyzny, pisany do żony z Pielaszkowic 19 maja tegoż roku...".

zaś nieszczęsnej ludności Wiednia, głodującej już od dłuższego czasu. Ze swych osobistych łupów król polski ofiarował wiele cennych przedmiotów sprzymierzonym dowódcom, mimo to trudno byłoby twierdzić, że łup wojenny, który mu przypadł, był mały. W słynnym liście do Marii Kazimiery, pisanym zaraz po zwycięstwie, wylicza dość dokładnie wszystkie te bogactwa, które wpadły w jego ręce, a były tam namioty, wozy pełne wszelakiego dostatku, sajdaki wysadzone rubinami i szafirami warte kilka tysięcy czerwonych złotych, wspaniały koń wielkiego wezyra itp. Relacjonując to żonie dodał żartobliwie: "Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako więc tatarskie żony mawiały zwykły mężom bez zdobyczy wracającym, "żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił".

Czytamy również świadcstwo przedstawiciela strony przeciwnej, jako kontynuację rozważań na temat zdobyczy:

"Inny współczesny Turek, chociaż piszący nieco później, Dżebedzi Hassan Esiri, stwierdził jeszcze dobitniej: "Król polski zaś nadciągnął sam we własnej osobie, mając prócz innego wojska jeszcze 16.000 żelaznej jazdy... pod Wiedniem on pierwszy popędził konia na muzułmanów i dobył szabli, zaś następnego roku /tj. tego samego 1683, według ery chrześcijańskiej/ podczas oblężenia Ujwaru i wydarzeń pod Parkanami narobił złego tyle, że najwięcej ze wszystkich ordał pomocy i wsparcia /Niemcom/, tudzież zagarnął wielu muzułmańskich jeńców,.." Współcześni kronikarze i historiografowie tureccy nie mieli też wątpliwości, kto był wodzem "giaurów" - był nim król polski".

Dla historii mojej rodziny informacja o "zagarnięciu wielu muzułmańskich jeńców" jest wiadomością bezsprzecznie największej wagi.

W książce innego autora, Romana Kalety, pt. "Sensacje dawnych lat", wydanej przez "Ossolineum", w części zatytułowanej "Pochód armii polskiej przez Śląsk w roku 1683" dowiadujemy się, że nie tylko pod Wiedniem Sobieski brał muzułmańskich jeńców, ale i wcześniej, oraz uzyskujemy częściową odpowiedź, co się z tymi jeńcami działo

później:

"Opis pochodu potężnej armii polskiej pod wodzą Jana III Sobieskiego, spieszącego przez Śląsk na odsiecz oblężonemu przez Turków Wiedniowi, zachował się w liście naocznego świadka, datowanym w Raciborzu 27 sierpnia 1683 r. Interesujący ten dokument rozpowszechniono przed laty za pomocą druku w periodyku wrocławskim "Monatschrift von und für Schlesien" i zaraz w przekładzie na język polski w "Gońcu Krakowskim" /nr 137 z 14.XI.1829/ /fragment/:

"Ale armia pod Raciborzem pozostała, dopiero nazajutrz z całą artylerią przez most raciborski przechodziła, gdzie dopiero ze wszystkim dobrze przypatrzyć się onej można było, bo jedna kompania za drugą maszerowała i marsz nie ustawał trwać, począwszy od 2 godziny z rana aż do 8 wieczór. Także następnego dnia przeszło znowu pięć regimentów infanterii, a za ośm dni przyjdzie jeszcze 8.000 Litwaków. Przyłączam tu specyfikację regimentów i jak wiele prowiantu na dzień potrzebowały. Ale za to Król Imć bardzo ostrą subordynacją zachowuje między nimi i w Tarnowicach czterech kazał obwiesić ponieważ rabowali. Po drodze żadnemu nie wolno się zatrzymać.

Husarze wszystkie mają skrzydła; ich zwierzchnica na obiej stronie ma wilcze futro, koń i lanca, para pistoletów i szabla. Arkwibuzery mają pancerze. Jest także 5.000 Ormianów, którzy nie są wyspecyfikowani. Ci mają długie czerwone czapki, krótkie czerwone katanki bez rękawów i długie spodnie jak u Wołochów; broń ich jest muszkiet i siekiera, a wszystkie kompanie mają sztandary i chorągwie z krzyżem świętym.

Z tej samej specyfikacji jeszcze to następuje: Ludu spiżarniowego, piwnicznego i stajennego bardzo liczno. Paziów 6, hajduków 5, trębaczów i doboszów 6, laufrów 20, którzy obok króla biegną, kiedy jedzie konno; mają czerwone szkarłatne czapki srebrem bramowane, na których białe pióra, niebieskie z sukna holenderskiego w kroju

polskim kapoty, pasy ze srebrnymi galonami, przy tym tróki ze srebrnych galonów, przy których długie noże w srebro okowane, a w ręku prezentują pozłacanego orła na paliku 6 ćwierci długim. Odźwiernych 3, kamerdynerów 3, dwadzieścia cugów koni, po 6 w każdym. Wierzcho- wych koni królewskich 30. Każdy senator dwa cugi po 6 koni, nie licząc w to podręcznych. Pазie mają po 5 i po 6 koni - razem około 2.000.

Nb. każdy huzar i akwebuzer ma swojego pachołka. Był także jeden regiment janczarów i jeden regiment Turków przy Królu Imci".

Tyle mówią relacje historyków. A oto jakie wnioski istotne dla historii mojego życia, można z nich wysnuć:

1. Sobieska Wola i Pilaszkowice należały do rodziny Sobieskich i były ulubionymi miejscami pobytu Jana i jego najbliższych.
2. Król Jan III Sobieski zdobył pokaźne łupy wojenne, zarówno podczas wyprawy wiedeńskiej, jak i we wcześniejszych bojach przeciw Turkom i Tatarom. Oprócz łupów było wielu muzułmańskich jeńców, pochodzących z obu wyżej wymienionych nacji.
3. Zdobycze materialne Sobieski przeznaczał na wyposażenie swoich dóbr, jeńców zaś wcielał do szeregów nadwornych regimentów lub osadzał w swych włościach. Pokażna część z tych zdobyczy została umieszczona w Sobieskiej Woli i w Pilaszkowicach, jako miejscach specjalnie przez ród Sobieskich ulubionych.

Takie wnioski można wyciągnąć z przesłanek historycznych. Ale nie tylko one wpływają na to, że nasza legenda rodzinna ma dosyć mocne oparcie w faktach.

Nazwiska wielu ludzi w okolicach Sobieskiej Woli, Pilaszkowic, Krzczonowa, Bychawy, Kosarzewa świadczą o tym, że część jeńców pozostała na stałe w dobrach rodzinnych Sobieskich, bądź z powodu braku środków finansowych na wykup z niewoli, bądź z przyzwyczajenia, bo im było w Polsce dobrze. Ci co pozostali, dali początek

wielu dzisiejszym rodzinom, w tym i naszej, wywodzącej się od babki Komajdowej.

O pochodzeniu tych ludzi mogą świadczyć niektóre nazwiska w okolicy, chociaż występujące dziś w formie spolszczonej. Są to takie rodziny, jak: Ciuraj, Furgoł, Howejda, Komajda, Kurlej, Mituła, Warda, Wursoł oraz wiele innych, które brzmią dziś dla polskiego ucha trochę obco.

Bardziej jeszcze, niż brzmienie nazwisk, o pochodzeniu licznych mieszkańców może świadczyć wygląd zewnętrzny. Moja babka, jak już wspomniałem przed chwilą, była z rodziny Komajdów, urodę po niej odziedziczyła moja matka, jej bracia Stanisław i Piotr, mój brat Zdzisław Stanisław oraz ja. Znając legendę o tureckim lub tatarskim rodowodzie części rodziny, nie zdziwiłem się zbyt, gdy w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych, jadąc pociągiem z Warszawy do Lublina, zostałem zagadnięty przez współpasażera w przedziale, czy mam w rodzinie ludzi pochodzenia tureckiego lub tatarskiego. Gdy zapoznałem go z legendą rodzinną, usłyszałem z jego ust, że to nie legenda, lecz chyba prawda. Jego zdaniem, jest coś we mnie, co przypomina mu znanego osobiście profesora Achmatowicza z polskimi Tatarów. "Nawet ruchy ma pan do niego podobne" - orzekł i zaprosił do złożenia mu wizyty w Kazimierzu: "Pan jest dla mnie ciekawym antropologicznie typem, jestem malarzem i chciałbym malować pański portret". Dziś już nie pamiętam jego nazwiska. Wtedy zaś ludzie z branży malarskiej poinformowali mnie, że jego nazwisko jest wśród nich wysoko notowane. Tak się złożyło, że z zaproszenia jego wtedy nie skorzystałem, zaś dużo później dowiedziałem się, że mój rozmówca już nie żyje.

Po latach moja córka Emilia spotkała się z podobnym stwierdzeniem będąc na wczasach, zaś gdy urodziła swą drugą córkę, Ewę Olgę, nikt nie miał wątpliwości, jaka krew płynie m.in. w jej żyłach. Jej stry

szym wiewem powietrza, krążyły tysiące kolorowych motyli, błękitno-skrzydłych ważek, złocistych pszczoł i najróżnorodniejszego owadziego bractwa.

Jakieś nieuchwytnie, nienazwane, lecz wszechogarniające zmysły, piękno i urok tej krainy potęgowała cisza. Nie zaszumiał bór odwieczny, stojący zwartą, zieloną ścianą na niewysokich wzgórzach okalających z obu stron dolinę rzeczki, nie odezwał się głos ludzki, ni zwierz ze swej kryjówki. Słychać było tylko śpiewy ptactwa nad-rzeczne, ale i ono, znużone upałem, ucichało. I tylko rzeczuka szemrała jednostajnie, a usypiająco, gdzie nurt jej toczył nie kończący się spór z omszałymi głazami.

Skrajem łąk, a u stóp wzgórza pokrytego borem, biegła ledwo widoczna drożyna zarastająca wciąż trawą, tak że tylko gdzieniegdzie widać było wyraźniej koleiny pozostawione ongiś przez wędrujące tędy tabory. Ślad ich biegł ku południo-wschodowi, razem z łąką, doliną i rzeczką. Na drodze tej spotykało się liczne i gęste bory i tylko z rzadka osady ludzkie lub pojedyncze sadyby. Pieszy wędrowiec idący śladami tej drożyny w stronę, gdzie słońce wstaje, po dwóch godzinach niespiesznego marszu dotarłby do osady zwanej Kasin ot wszystkiego może dwieście dusz ludzkich w kilkunastu chałupach. Odprowadzany ciekawymi spojrzeniami ludzi i ujadaniem psów, zagłębiłby się znowu w nieprzeniknione bory, by po dalszych trzech godzinach ujrzeć włości i gniazdo, założone przez Bolkowego jeszcze rycerza Wojsława. Idąc dalej doszedłby do osady Puchoniami zwanej, a za nią znalazły się wkrótce na szerokim trakcie biegnącym z północy na południe ku Rubieżowowi.

Panował tu niezwykajny ruch. Od strony Rubieżowa, niemal bez przerwy, jechały niewielkie oddziały konne, najrozmaitszego atryamentu, zbrojne byle jak, w podarte i wyszarzałe barwy odziane, pędzące większe i mniejsze gromady jeńców. Na wozach, ciągnionych

jeczny dziadek, mój wspomniany brat Zdzisław Stanisław, z miejsca obdarzył ją mianem "Tatarczuk" i do dziś nim się posługuje. Mam wrażenie, że gdyby go zniecka zapytać o jej imię, wymieniłby odruchowo to przerwisko. Na dodatek na badaniach pediatrycznych w niemowlęcym okresie, lekarz stwierdziła u niej tak zwaną "plamę mongolską" i wyjaśniła, że to może oznaczać, iż ktoś z przodków miał coś wspólnego z rasą mongolską.

W najbliższej rodzinie cioteczna siostra, Kazia Marcinkowska, też wnuczka babki Komajdowej i córka wspomnianego wuja Stanisława, ma również bardzo oryginalny wygląd. A że jej mąż nazywa się Kurlej i ma wygląd wskazujący wyraźnie na tatarskich przodków, dzieci też odziedziczyły ich cechy. To samo dotyczy nieżyjącej już ciotki Karoliny i jej córki, Ireny Alfredy. Uważam, że wymienione przeze mnie przykłady wystarczą dla podparcia rodzinnej legendy, tym razem przesłankami antropologicznymi, chociaż przykłady opisane przed chwilą przeze mnie, można mnożyć w najbliższej lub najdalszej rodzinie.

Tyle mówi legenda rodzinna. Można w nią wierzyć, można nie wierzyć, ale coś w niej z prawdy jest. Na własny użytek wolę wierzyć, że tak było naprawdę. Mój brat, Zdzisław Stanisław, człowiek parający się zręcznie piórem, w swych zbeletryzowanych wspomnieniach zatytułowanych "Przemijanie", zamieścił tę legendę w formie bardzo literacko sugestywnej, zaś w jej głównych elementach nie odbiegającej zbyt od wersji przedstawionej przeze mnie na poprzednich kartach wspomnień.

Pozwolę sobie wersję brata przytoczyć w całości:

"Krajiną owładnął żar słonecznych promieni. Powietrze stało się ciężkie, upalne, przesycone wonią kwiecia łąkowego, które barwnymi plamami poprzetykało zielen łąki, rozłożonej nieszeroko po obu stronach maleńkiej rzeczulki. Nad trawami, nie poruszonymi najlżej-



przez konie lub woły, wieziono łuby, a w nich zdobycz wojenną, a także nierzadko i rannych rycerzy.

Słońce stało już w zenicie, gdy od potoku pieszych, konnych i wozów, oddzieliło się kilkunastu zbrojnych pachołków na koniach. Otaczali oni gromadę jeńców i kilka wozów zaprzężonych w konie i woły. Cały ten oddział zjechał z szerokiego traktu i skręcił w znaną nam już drożynę. Przodem jechał mąż w średnim wieku, przy szabli, w lekkiej zbroi, z gołą głową przewiazaną białą niegdyś szmatą. Za nim para wołów ciągnęła wóz z wysokimi pomostami, szczerze wymoszczony słomą, na którym spoczywał, spowity w bandażę, młody człowiek. Z tyłu - pozostałe wozy, na których wieziono wszelaki sprzęt obozowy, zbędną broń, zapasy żywności i wiele dobra zdobycznego. Za wozami i obok, trzymając się kłonic i pomostów, szli jeńcy. Widać było, że ich dobrano. Młodość i zdrowie przebijało ze spocynych i ogorzałych twarzy. Okrywały ich nędzne, pokryte kurzem łachmany, szli bosy, ale trudy długiej wędrówki nie zostawiły na nich zbyt wielu śladów. Była to mieszanina ras i ubiorów, a raczej ich strzępów. Obok kilkunastu Tatarów, byli tam Wołosi i Turcy, Kozacy i Niżowcy, a więźni zostali w niewolę po zwycięskiej dla Polaków bitwie chocimskiej.

Był lipiec 1673 roku. Wojna z nawałą turecką trwała dalej. Miał ją zakończyć dopiero pokój w Żurawnie. Tymczasem wracali do domów ciężiej ranni, odstawiano jeńców i zdobycz. A było tego wiele. Świetne zwycięstwo hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego, odbiło się szerokim echem w całej ówczesnej Europie. Mówiono znów o Polsce i Polakach jako o "przedmurzu chrześcijaństwa", czym wielu wbijano w dumę. Mało kto jednak liczył jak wielkie straty w żywej sile ludzkiej i gospodarce kraju ponosili Polacy, na których w tych czasach spoczywał główny ciężar walki. Kraj był spustoszony, zwłaszcza jego południowo-wschodnie województwa. Zgliszcza wsi i zarasta-

jące stepem lub borem pola uprawne, były na tych ziemiach widokiem powszednim i dominującym. Dlatego po zwycięstwie chocimskim rozpoczęto masowo wykorzystywać jeńców, osadzając ich na roli. Często przy niedużym udziale polskich chłopów zakładano całe wsie. Jeńcy zazwyczaj dość szybko godzili się na swą nową dolę, zwłaszcza iż u polskich panów poddaństwo wydawało się im być lżejszym.

Było już wczesne popołudnie, gdy opisany tu oddział, po przejechaniu przez Puchonie, dotarł do Bolkowic. Tu zajęchano na dwór potomków Wojsława, by pozostawić sędziwemu ojcu rannego syna. Maciej Zaręba, zaufany sługa hetmana Sobieskiego, zboczył nieco z drogi do Pomościa, ale dzięki temu młody dziedzic miał przez całą podróż troskliwą i pewną opiekę i ochronę. Nie popasano długo. Do nocy był jeszcze szmat czasu, a i Maciej chciał następnego dnia przed nocą dojechać na miejsce. Oddział, pomniejszony o wozy i zbrojnych młodego dziedzica, żegnany podziękowaniami, ruszył w drogę. Pozostawiono również kilkunastu jeńców, których wraz z częścią łupów przejął dziedzic z Bolkowic.

Słońce stało już nad zachodem, upał zelżał, a od lasów wyszedł lekki wietrzyk, szumiąc z cicha i chłodząc rozpalone twarze. Czerwona tarcza dotykała już ziemi, a jezdni podążali ku niej. Był już czas na rozłożenie obozowiska, ale Zaręba nie dawał znaku. Dawno już zostawili za sobą Kasin, gdy wyjechali wreszcie z boru w długą, wąską, otoczoną wzgórzami dolinę. Porastały ją trawy wysokie i różnobarwne kwiaty łąkowe. Wieczorne powietrze niesło ich zapach zmieszany z wonią ziół, zachodzące słońce pobarwiało wierzchołki traw, a na wzgórzach zaszumiały drzewa niepokojone wiatrem, zwiastującym nadchodzenie nocy. Maciej podniósł rękę i oddział zatrzymał się. Droga w tym miejscu skręcała raptownie, by ominąć niewielkie wzgórze z prawej, porośnięte gęsto sośniną, płytkim, piaszczystym brodem przechodziła rzeczulkę Bolkówką zwaną przez

miejscowych, i biegła dalej lewym jej brzegiem. U stóp wzgórza rozłożono obozowisko. Zapłonęły ogniska strzelające iskrami w ciemniejące niebo, wyprzęgano woły, spętano i rozsiodłano konie. Zwierzęta puszczono na łąkę, gdzie soczysta trawa stała się wkrótce ich pokarmem i posłaniem. Rozpoczęła się zwykła, obozowa krzątania. Uwarzono w mig kocioł polewki na jagłach, omaszczony słoniną i wnet słychać było powszechne smakowite siorbanie. Jeńcy jedli pospołu z pachółkami, ale z osobnych kociołków. Maciej jeno, dla którego rozpięto namiot nieduży zdobyczny, siedząc u jego wejścia na stołku jadł z cynowego talerza, często zagryzając chlebem. Jeńców nie wiązano. Wiedzieli, że z woli hetmana Sobieskiego, jako jego poddani, otrzymają gospodarstwa, pobudują domostwa, założą rodziny. Taka dola lepsza była od niepewnego losu jaki mogła zgotować ucieczka. Nie bez znaczenia była też kilkutygodniowa wspólna podróż, podczas której ludzki stosunek surowego, lecz sprawiedliwego Zaręby, odegrał swą rolę. Z obyczaju wojennego wyznaczono na noc warty, ale nie po to by pilnować wziętych w niewolę, lecz dla porządku i ochrony przed grasantami.

Wkrótce w obozowisku zapadła cisza. Noc objęła dolinę i śpiących. Pod koniec podróży, jeńcy kładli się już spać gdzie popadło. Poznali się wzajem, zadzierzgnęli nieliczne jeszcze przyjaźnie, a wspólny los zacierał z wolna różnice etniczne. Tatar kładł się do snu obok Turka czy Kozaka i stało się to naturalne i zwyczajne. Początkowe właśnie Maciej uśmierzał surowo. Podczas całej wędrówki zdarzyło się ich niewiele, a że jednocześnie dbał jak ojciec o rannych, którym często dozwalał przysiąść na wozie, żywił dobrze i nie męczył bez potrzeby, jeńcy odczuwali doń szczerą szacunek, ale i respekt. A było to bractwo, które mimo młodego wieku, zażyło już i wojny, i głodu, i tułaczki, i poniewierki. Zwłaszcza Niżowcy i Siczowi od wielu już lat żyli w ciągłych walkach, których okres poprzedzają

cy wiktoryę chocimską ziemiom naddnieprzańskim - nie szczędził. Cała kraina między Dniestrem a Dnieprem stała przez lata całe w ogniu. Wielu z nich nie uświadamiało sobie nawet jak w głębi duszy pragną spokoju, pracy, uprawy roli, widoku rosnącego zboża, zapachu sianokosów.

Obozowisko spało prócz czuwających na warcie pachołków. Noc była widna, choć bezksiężycowa, gdyż niebo bez chmur rozjaśniały gwiazdy. Od wzgórz podgrzanych podczas dnia, szły fale ciepłego powietrza przesycone zapachem ziół i kwiatów. Pośrodku obozowiska czyjeś ręce podrzuciły parę suchych gałązek na dogasające ognisko. Strzelił w górę płomień i oświetlił siedzącą na piętach postać. Był to Selim najmłodszy z jeńców. Miał niespełna siedemnaście lat i na wojnie znalazł się przez przypadek a właściwie to przez ciekawość. Było to tak: gdy do cziftliku, w którym rodzina Selima pracowała na roli zaima Sulejmana, przybył aga Orhan, by odebrać i odprowadzić tych z rajów, których zaim przeznaczył do armii, Selim pobiegł popatrzeć na to ciekawe wydarzenie z bliska. Pech chciał, że aga szukał dla siebie sługi i zobaczywszy bystrego, młodego chłopaka, tak sobie go upodobał, że zaim nie śmiał mu odmówić. Aga poległ pod Chocimem, a Selim - nie biorąc nawet udziału w bitwie - dostał się do niewoli. Siedział teraz przy ognisku i rozpamiętywał. Przed jego oczyma przesuwwały się twarze matki, ojca i rodzeństwa. Jak na jawie, pod przymkniętymi powiekami widział swój rodzinny zijamet i krajobraz wokół niego. Dolinka, w której rozbili obóz, przypominała mu jego rodzinne strony i sen nie przychodził, a myśli obróciły się ku przyszłości. Pomyślał, że będzie dobra, bo kraj ten jest tak podobny do wspomnień. Oddychał głęboko świeżym, czystym powietrzem, myślał i marzył, aż znużenie ogarnęło w końcu i jego i usnął, ułożywszy się w trawie koło ogniska. Opodal spali inni. Tatarzy

Ordyk, Warda, Sagadyn i Kurlej. Niżowcy Anańko, Perehubka, Haładyj, Jaruga i Czekerda i Turek Pirymoglu najbliższej, dalej pozostali, a wśród nich Kozak Palij, Tatarzy Betlej i Ciuraj oraz Niżowiec Żołynia, ranni, trzymali się razem zgodnie z poleceniem Macieja. Jeńców podzielił on na dziesiątki, wyznaczając spośród nich starszych: Turków Gargasza i Asłasa, Tatara Komajdę, Kozaka Satko i Niżowca Oworuszko. Ułatwiło to obozowanie, posiłki i porządek podczas marszu.

Noc miała się ku końcowi. Gwiazdy poblewały, na wschodzie pojaśniało. Nim weszły poranne zorze, obóz był już na nogach. W mig go zwinięto i pogasiwszy ogniska ruszono w drogę. Gdy wschodziło słońce mijali Kasistan. Za miastem skręcili na południo-zachód i podążali nie za wiele przetartym traktem biegnącym obok rzeczki Żagiewki. W drodze żuli twarde, wędzone mięso z chlebem, a pragnienie gasiła rzeczułka. Było już prawie południe, gdy wyjechawszy wreszcie z lasów, ujrzeli osadę znaczną. Była to Żagiewka. Tam, nie popasawszy, skręcili na północ - zachód. Jeszcze przez ponad trzy godziny przedzierali się po bezdrożu przez bory nieprzebyte, często wycinając sobie przejazd toporami, chociaż do celu było nie więcej niż osiem stajañ. Na koniec ukazały się im brzegi niewielkiej rzeczułki i nad nią rozbili, na rozkaz Macieja, obozowisko.

Oznajmił on wszystkim, iż oto przybyli na miejsce, gdzie będą żyć i pracować. Rzeczka była rybna i nazywała się Kiełczew, a rosnące wokół jej nurtu bory pełne były zwierza, jagód i grzybów.

Pod jesień, w miejscach wyznaczonych przez Zarębę, stanęły chaty. Jednocześnie karczowano lasy, a na porębach zasiano pierwsze oziminy. Sprzęt, a to sochy i brony, zrobili sami z dębiny. Z innych włości hetmana przybyło kilkanaście rodzin chłopskich, których gospodarze lub synowie zginęli w wojnach...

Tak powoli, z niczego, powstawała wieś, którą hetman Sobieski erygował i nazwał Wolą swoją. Znajomy nam Selim, po kilku latach, wziął sobie za żonę młodziutką Mariannę, córkę wdowy Niezgodziny, a że były trudności z wymową jego dziwnie brzmiącego nazwiska, przezwano go Kłos. Jego syn Jaśko odziedziczył po ojcu wiele cech, a wśród nich i ciekawość nie tylko do świata. Przyłapany kiedyś jako podrostek na podglądaniu kąpiących się dziewczek, otrzymał sporo kijów w to miejsce, który wypinały, zasłaniając inne, bardziej wstydliwe miejsca, podziwiane przez Jaśka dziewczyny.

Mijały lata, mijały pokolenia. Mieszkała się krew tatarska, ukraińska i turecka z polską. Spolonizowali się potomkowie Selima, Komajdy, Kurleja. Ciekawość, jako cecha dziedziczna, przetrwała w rodzie Selima długo. Jego praprotomek, Maciej, zapłacił przez nią cenę nieporównanie wyższą niż Jaśko. Ale to było dużo później...

Od autora :

Legendę tę mojej stryjecznej wnusi Ewie-Oldze - poświęcam"

Uważny czytelnik rozpozna bez trudu, chociaż lekko zaszyfrowane, nazwy miejscowości oraz nazwiska, wymienione na początku mojej rodzinnej opowieści. Stryjeczna wnusia Ewa-Olga z dedykacji, to oczywiście moja rodzona wnuczka Ewa, zwana przez autora "Tatarczukie".

Ten sam brat, Zdzisław Stanisław, jest również autorem drzewa genealogicznego naszej rodziny, które to dzieło stale pieczołowicie aktualizuje.

Z pomroki dziejów udało się wydobyć na światło dnia dane wielu osób, składających się na nasz ród, a ~~gdzie~~ <sup>gdzie</sup> ja pojawiłem się na scenie życia i również znalazłem się na gałęziach tego drzewa, zastałem tu już kilkanaście osób, które się wcześniej na nim usadowiły.

Na samym początku drzewa widać, po ojcowskiej stronie postacie: pradziadka Floriana Niezgody i prababki Marianny z Filozofów. Można rzec żartem, że u progu znanej historii naszego rodu legła

filozoficzna niezgoda, co w późniejszym okresie zaowocowało zamknięciem moim i moich braci do bardzo ostrych nieraz dyskusji na wszelkie tematy.

Jako owoc tego związku małżeńskiego pojawiła się babka Ludwika, która poślubiwszy Macieja Kusego, wydała na świat ich jedyną laturośl, syna Andrzeja, późniejszego naszego ojca.

Babka żyła do 12 stycznia 1943 roku, dziadek zaś został rozstrzelany przez Austriaków w lipcu 1915 roku za zbytnią ciekawość, o czym wspomniał brat Zdzisław pod koniec przytoczonej legendy. Podczas walk w 1915 roku, w Kosarzewie przebiegała linia frontu austriacko-rosyjskiego. Dziadek, chcąc przyjrzeć się dokładniej walkom wszedł na drzewo w sadzie. Gdy Austriacy "popędzili kota" Rosjanom, w dziadku rozpoznali obserwatora z drzewa i na miejscu wymierzili sprawiedliwość.

Po stronie macierzyńskiej <sup>1</sup>jej nasza znajomość przodków rozpoczyna się niestety dopiero od dziadka Wojciecha Marcinkowskiego, który poślubił Ludwikę z Komajdów, urodzoną w Sobieskiej Woli. W 1905 roku car potrzebując wojaków przypomniał sobie o istnieniu dziadka i, mimo jego zaawansowanego wieku, 38 lat, powołał go do pełnienia szczytnej służby. A że dziadek nie był w ciemę bity, poradził sobie w ten sposób, że na wojnie, gdzieś w okolicach Władystoku, był, ale w walce udziału nie brał. Gdy zebrano poborowych na pierwszą zbiórkę, zapytano kto z nich jest "portnoj", czyli krawiec. Dziadek pojęcia o tej pracy nie miał, ale pomyślał, że nie święci garnki lepia. Zgłosił, że jest krawcem, w nadziei, że nie będą zaraz sprawdzać kwalifikacji, a później coś wymyśli. Wiedział jedno, że krawcy są potrzebni wojsku i nie biorą udziału w bezpośredniej walce. Rachuby dziadka okazały się słuszne i całą wojnę przeżył dzięki tej "cieplej" posadzie - bezpieczny. Zresztą nauczył się zawo-

du krawieckiego i, jak sobie przypominam, do końca życia sam wykonywał dla swojej rodziny wszelkie potrzebne w gospodarstwie usługi krawieckie. Dziadek Wojciech był zresztą człowiekiem inteligentnym i przedsiębiorczym, o czym może świadczyć fakt, że niedługo po powrocie z wojaczki, wyjechał z kilku kolegami do Ameryki, gdzie w Chicago przez kilka lat pracował w rzeźniach. Do kraju wrócił krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej po to, by zabrać ze sobą do Ameryki żonę, córkę Mariannę /lat 12/ i syna Stanisława /lat 8/. Niestety, wkrótce wybuchła wojna i nic z tych planów nie wyszło.

Zarówno dziadek, jak i babka mieli dość liczne rodzeństwo, lecz nic bliższego o nim nie udało się ustalić.

Dziadkowie Marcinkowscy dorobili się pięciorga dzieci. Byli to: Marianna, nasza matka, Stanisław, Karolina, Stanisława oraz Piotr. W chwili gdy to piszę, żyje z nich, we wsi Głuszczyzna pod Lublinem jedynie ciotka Stanisława.

Dnia 22 stycznia 1918 r. Andrzej Kusy, syn Macieja i Ludwiki i Marianna z Marcinkowskich, córka Wojciecha i Ludwiki, stworzyli własną rodzinę. Pan młody ukończył 20 lat, zaś jego małżonka - 16.

W chwili zawarcia związku małżeńskiego ojciec gospodarzył wraz ze swoją matką Ludwiką w małym gospodarstwie rolnym w Kosarzewie, zaś matka żyła przy rodzicach w ich dosyć dużym gospodarstwie w tymże Kosarzewie.

Stan taki trwał do 1 sierpnia 1918 r., kiedy to ojciec wstąpił do Milicji Ludowej, zmienionej wkrótce na policję państwową. Dnia 1 lutego 1920 r. otrzymał nominację na posterunkowego policji państwowej w Piotrowicach, sąsiadujących z rodzinną gminą w Bychawie. Pierwszym owocem tego małżeństwa zostałem ja, w dniu 3 lipca 1922 r.

Na tym fakcie kończy się, to, co nazwałem umownie prehistorią. To co zdarzyło się po tej dacie, to najprawdziwsza już dla mnie historia, czasem spokojna, często dramatyczna. O tym wszystkim złożę relację na następnych kartach opowieści.



## 2. Beztrroskie lata

U progu moich narodzin legły dwie rzeczy: legenda, z którą mniej lub więcej udolnie uporałem się w poprzednim rozdziale wspomnień, oraz mistyfikacja, z którą muszę zapoznać czytelników obecnie.

Akt mojego urodzenia w pełnym zapisie brzmi:

"Działo się w mieście Bychawa dnia szesnastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku o godzinie pierwszej po południu. Stawił się Andrzej Kusy, rolnik z Kozarzowa, lat dwadzieścia pięć liczący, w obecności Pawła Muchy, rolnika z Kozarzowa, lat dwadzieścia cztery i Kazimierza Krzyżanka, rolnika ze Strzyżewic, lat dwadzieścia trzy liczący<sup>ych</sup> i okazał nam dziecię płci męskiej urodzone w Kozarzowie dnia trzeciego lipca roku bieżącego o godzinie dziesiątej rano /dla dokładności dodam od siebie, że był to poniedziałek/ z jego małżonki Marii z Marcinkowskich, lat dwadzieścia dwa liczącej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym odbytym w dniu dzisiejszym nadane zostały imiona Adolf Edward, a rodzicami chrzestnymi byli: Paweł Mucha i Maria Wątrobkówna. Akt ten stawającemu i świadkom przeczytany podpisaliśmy. /./ Ks.A.Kwiatkowski".

W akcie powyższym tak naprawdę prawdziwe są: data, godzina urodzenia i płeć dziecka. Pozostałe dane są w pewnym stopniu mistyfikacją. Pierwsza nieścisłość dotyczy zawodu i miejsca zamieszkania ojca w dniu moich urodzin. Otóż nie był on już wtedy rolnikiem i nie mieszkał w Kozarzowie /obecna nazwa Kosarzew/. Był policjantem w posterunku w Piotrowicach, zaś mieszkał we wsi Strzyżewice. Pragnieniem rodziców było, aby ich pierworodna latorośl też miała jako miejsce urodzenia rodzinny Kosarzew. Dokonali tego, podając u proboszcza w Bychawie swój poprzedni zawód i adres. Gdyby tego nie zrobili, nie byłbym nigdy bychawskim parafianinem. Faktycznie urodziłem się we wsi Strzyżewice nad rzeką Bystrzycą. Przy okazji matce, urodzonej w 1901 roku, dopisano w mojej metryce równo jeden rok. To nie fakt urodzenia dziecka dodał jej ten rok, ale uczynili

to uczestnicy chrztu, którzy odrobinę wcześniej wypili "trochę" za zdrowie noworodka. W wykazie chrzestnych rodziców zabrakło w tejże metryce nazwiska i imienia drugiej chrzestnej matki Krzyżankówny ze Strzyżewic, która wyjechała w późniejszych latach na stałe do Urugwaju i tam po latach dokonała żywota, nie upomniawszy się nigdy o naprawienie uczynionej jej krzywdy - pominięcia w tak ważnym akcie.

O mistyfikacji, dotyczącej mojego miejsca urodzenia, nie zostałem poinformowany i przez wiele lat na wszystkich szkolnych świadectwach figurowały Strzyżewice jako miejsce urodzin. Dopiero w późniejszych latach, a konkretnie przy maturze w 1947 roku, dokonałem sprostowania.

Jedyną przezorną rzeczą, którą wówczas przy chrzcie uczyniono, było nadanie mi dwojga imion : Adolf Edward. Po latach bowiem, gdy dużo starszy imiennik z ościennego kraju zaczął budować nowy ład w Europie, mogłem zrezygnować z jego imienia, nie chcąc, by się bliżnim brzydko kojarzyło.

Od niemowlęctwa też mam szczególny stosunek do alkoholu i osób go nadużywających, od czasu, gdy się dowiedziałem, że uczestnicy chrztu, wracając z kościoła w Bychawie i przechodząc kładką przez Bystrycę, omal nie utopili mnie w jej nurtach, pod wpływem wcześniejszej libacji na cześć nowonarodzonego.

Chociaż miejscem urodzenia Bychawa /a właściwie Kosarzew/ była tylko na papierze, miasta tego właściwie wstydzić się nie musiałem. Bychawa była starą osadą handlową; w pierwszej połowie XVI wieku był tu poważny ośrodek kalwiński. Do 1866 roku miasto stanowiło własność prywatną, następnie otrzymało prawa osady. Chrzczono mnie w kościele z 1639 roku, odnowionym w 1897 roku /roku urodzenia mego ojca/. Wyposażenie kościoła było późnorenesansowe. Obrazy pochodziły z XVII wieku, dzwonnica z XVIII wieku. Na plebanii zachowały się dwa flamandzkie gobeliny z XVII wieku.

W odległości 3 km od Bychawy leży wieś Gałązów. W starym parku znajduje się dwór z XVII wieku, miejsce urodzenia poety K.Koźmiana /1771 r./.

Moje urodziny nastąpiły po niezmiernie ważnych wydarzeniach w skali kraju i narodu. Zaledwie niespełna cztery lata minęły od 11 listopada 1918 r., gdy kraj odzyskał niepodległość po 123 latach rządów trzech zaborców, którzy w 1795 roku podzielili się po raz trzeci terytorium Polski.

W 1919 roku rozpoczęły się krwawe walki z Ukraińcami o Lwów. W lutym 1919 roku bolszewicy rozpoczęli prawie dwuletnią wojnę z nową Polską. Losy tej wojny były zmienne, ale ostatecznie Polska wyszła z niej zwycięsko. Została zakończona pokojem w Rydze dnia 12 października 1920 roku, czyli trwała jeden rok i dziewięć miesięcy. W tym czasie na czele Państwa stał jako Naczelnik oraz Naczelny Wódz twórca niepodległej Polski, Józef Piłsudski. Na tydzień przed moimi urodzinami Naczelnik Państwa mianował prezydentem ministrów, czyli premierem, Artura Śliwińskiego. W gabinecie Śliwińskiego sprawy zagraniczne objął Gabriel Narutowicz, sprawy wojskowe - generał Sosnkowski. Rząd Śliwińskiego stanął przed Sejmem 5 lipca, czyli gdy ja liczyłem sobie 2 dni życia, lecz rząd ten został obalony przez prawicę 7 lipca. Dnia 14 lipca marszałek Sejmu zawiadomił Naczelnika Państwa, że na premiera został desygnowany poseł Wojciech Korfanty. Ponieważ Naczelnik Państwa sprzeciwił się tej kandydaturze, została ona wycofana 29 lipca. Ostatecznie przeszła kandydatura prof.dr Juliana Nowaka, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, wysunięta przez Piłsudskiego i zaakceptowana przez Sejm 31 lipca. Zgromadzenie narodowe wysunęło w dniu 9 grudnia 1922 roku kandydaturę Józefa Piłsudskiego na Prezydenta, lecz Piłsudski odmówił i złożył rezygnację z funkcji Naczelnika Państwa. Tego samego dnia 9 grudnia w piątym głosowaniu został pierwszym prezydentem Rzeczypospolitej

Gabriel Narutowicz. W kilka dni później, 16 grudnia, prezydent Narutowicz został zabity, strzałem endeka Eligiusza Niewiadomskiego, artysty malarza i historyka sztuki, w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych przy pl. Małachowskiego. Dnia 20 grudnia został wybrany kolejnym prezydentem Stanisław Wojciechowski.

Takie to historyczne wydarzenia miały miejsce na krótko przed i po moich urodzinach.

Zapewne w końcu 1924 roku ojciec otrzymał przeniesienie do, leżącego u ujścia rzeki Sierotki do Giełczwi, miasta Piaski. Dawniej miejscowość nosiła nazwę Piaski Luterskie. Ongiś był tu stary ośrodek targowy u rozwidlenia dróg, prowadzących z Lublina do Chełma i do Krasnegostawu. W XV wieku Piaski stały się miastem, w XVI i XVII wieku był tu ośrodek różnowierczy. W 1571 roku powstał tu zbór ariański, w 1627 roku przenieśli swe nabożeństwa arianie lubelscy. W 1643 roku zamieniono zbór ariański na kalwiński. Kościół barokowy został zbudowany w XVIII wieku. Za miastem na wzgórzu, przy drodze do Chełma, znajdują się ruiny kościoła kalwińskiego z lat 1783-85.

Dokładnej daty przeniesienia do Piask nie znam, ale określa ją w przybliżeniu fakt narodzin następnego po mnie syna, Mariana, w dniu 5 lutego 1925 roku, już w Piaskach, gdzie też wkrótce, bo 20 marca 1925 roku, zmarł.

W tym czasie zamieszkała z nami babka Ludwika, matka ojca, która zresztą aż do swej śmierci dzieliła z nami wszystkie radości i kłopoty życia rodziny.

Trochę ponad rok od śmierci brata Mariana, jego miejsce w naszej rodzinie zajął 7 czerwca 1926 roku brat Zdzisław Stanisław. Zajął nie tylko miejsce w naszej rodzinie, ale również i w kołysce córki swego chrzestnego ojca Sawickiego, Sabiny, którą zresztą kiedyś w przystępie złego humoru z niej wykopał. Dom, w którym mieszkaliśmy

należał do pani Jopowej, teściowej Sawickiego, i leżał w bezpośrednim sąsiedztwie cmentarza, należącego do parafii rzymsko-katolickiej.

W Piaskach miałem pierwszy w życiu kontakt z instytucją oświatową. Przez okres do lutego 1927 roku uczęszczałem do miejscowego przedszkola, zwanego w tamtych czasach ochronką.

Brat Zdzisław Stanisław jak pisałem, pojawił się w naszej rodzinie 7 czerwca 1926 roku. Roku bardzo burzliwym w dziejach całego kraju.

Piłsudski od 28 maja 1923 roku, to znaczy od dnia powołania rządu Witosa, opuścił Warszawę i wyjechał do Sulejówka, gdzie przebywał do kwietnia 1926 roku włącznie.

W dniu 12 maja 1926 roku, a więc niespełna na miesiąc przed urodzeniem brata Zdzisława, dokonał w Warszawie zamachu stanu przy pomocy wiernych sobie oddziałów wojskowych. Dnia 14 maja wieczorem prezydent Wojciechowski zrzekł się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, a rząd premiera Witosa podał się do dymisji. Premierem został 15 maja Kazimierz Bartel. W wyniku zamachu majowego straty w walkach wyniosły : wojsko - 194 zabitych, 582 rannych; ludność cywilna - 136 zabitych. Piłsudski w nowym rządzie objął tekę ministra spraw wojskowych. Dnia 31 maja Piłsudski został obrany Prezydentem, lecz odmówił przyjęcia tej funkcji. W ponowych wyborach w dniu 1 czerwca 1926 roku Prezydentem Rzeczypospolitej został prof. Ignacy Mościcki.

Za sześć dni po tej dacie, mój przezorny brat Zdzisław, doszedł do wniosku w łonie matki, że już jest dostatecznie spokojnie, by mógł on bezpiecznie wyjść na świat.

Kalwińska przeszłość Piask zostawiła widocznie jakieś zarazki sporów religijnych, bo podczas naszego zamieszkiwania tam nastąpiły ostre starcia między ludnością rzymsko-katolicką, a tak zwanymi wtedy narodowcami. Chodziło o to, że ta pierwsza nie pozwoliła

drugie<sup>my</sup> grzebać zmarłych na cmentarzu stanowiącym oficjalnie własność gminy rzymsko-katolickiej. Ponieważ nie było innego cmentarza w Piaskach, władze poleciły, by cmentarz udostępnić wszystkim zmarłym. Cóż z tego, kiedy "tolerancyjni" rzymsko-katolicy zaczęli wyrzucać trumny ze zwłokami innowierców poza mur cmentarny. Zatargi religijne odczuła na sobie najbardziej policja, która wykonując polecenia władz zwierzchnich, usiłowała zapobiec profanacji zwłok narodowców. Nie odpowiadało to naszemu ojcu, któremu nie uśmiechało się życie w ciągłym zagrożeniu /mieszkaliśmy przecież obok cmentarza z dwójką małoletnich dzieci, więc rozpoczął starania o zmianę miejsca przydziału służbowego, uwieńczone przeniesieniem w dniu 10 lutego 1927 roku do Jastkowa.

Jastków był znany z tego, że był miejscem krwawej bitwy 4 pułku piechoty legionów polskich w 1915 roku z wojskami carskimi, w której poległo około 200 czwartaków. Jastków leży w dolinie rzeki Ciemięgi

W pierwszym okresie pobytu w Jastkowie wynajęliśmy mieszkanie u p. Słodkiewicza, tuż nad rzeką Ciemięgą. Później mieszkaliśmy w budynku posterunku, wreszcie w środku wsi u p. Michalaka. W tym samym domu mieszkała dość liczna rodzina żydowska. Z dziećmi tej rodziny bawiłem się ja i w późniejszym okresie młodszy brat Zdzisław. Mieliśmy okazję poznać z bliska obyczaje i życie Żydów, ponieważ byliśmy mimowolnymi świadkami uroczystości ślubnych, pogrzebowych i religijnych naszych sąsiadów.

Komendantem posterunku policji był przodownik Sobieszczęński, który miał dwóch synów : Jerzego, urodzonego 29 marca 1920 roku oraz Józefa, urodzonego 17 marca 1922 roku. Byli to niemal moi rówieśnicy, często spędzaliśmy więc czas na wspólnych zabawach, właściwych naszemu wiekowi.

W tymże Jastkowie dnia 26 czerwca 1928 roku pojawił się w rodzinie najmłodszy brat, Tadeusz, zamykając sobą poczet synów Marii i Andrzeja Kusych.

Mniej więcej w tym czasie, czyli w wieku 6 lat, udało mi się przeżyć pierwszą miłość. W trakcie zabaw z dziećmi z sąsiedztwa, jedna z rówieśnic zaproponowała mi ciekawą zabawę, którą nazwała "w tatę i mamę". Ponieważ była w tych sprawach bardziej niż ja oblatana, inicjatywa do końca należała do niej. Trwałoby to może długo, lecz ktoś z dorosłych podpatrzył nas i doniósł rodzicom. To, co nas później spotkało z ich strony, odebrało nam na pewien czas ochotę do "niebezpiecznych związków". Nauczka była bardzo bolesna i mocno zapadła w pamięć.

I tak dobiegły do końca beztroskie lata i z rozmachem wkroczyłem na ścieżki wiedzy.

### 3. Na ścieżkach wiedzy

Uroczysty moment wkroczenia na drogę obowiązków nastąpił 2 września 1929 roku, w poniedziałek. Mówiąc mniej górnolotnie w dniu tym rozpocząłem naukę w szkole powszechnej im. Grzegorza Piramowicza w Jastkowie. Nauka odbywała się w małej i ciasnej izbie wiejskiej, ponieważ nie skończono jeszcze budowy nowej szkoły, obok cmentarza legionistów. Z nauką nie miałem zbytnich trudności, przychodząc do pierwszego oddziału już ze znajomością dość dobrą sztuki czytania i trochę mniejszą pisania i rachowania. Pamiętam, że jeszcze w okresie poprzedzającym szkołę czytałem sporo książeczek zakupionych przez rodziców. Pierwszą samodzielnie przeczytaną przeze mnie była książka Janiny Porazińskiej "Kichuś majstra Lepigliny", którą dziś mogę określić jako polską odmianę Pinokia. Wspominam ją z wielkim sentymentem dlatego, że otworzyła mi drogę w zaczarowany świat literatury, z której do dnia dzisiejszego nie zszedłem ani na chwilę.

Dnia 30 stycznia 1930 roku otrzymałem pierwszą w życiu ocenę moich osiągnięć na polu zdobywania wiedzy. Jak na debiut wyniki były dość dobre, chociaż nie rewelacyjne. Na prawdziwe sukcesy trzeba

było jeszcze trochę poczekać. Ponieważ było to pierwsze świadectwo, pozwolę sobie zatem podać je do publicznej wiadomości. Ze sprawowania otrzymałem "bardzo dobry", z pozostałych przedmiotów, a więc z nauki religii, z języka polskiego, rachunków z geometrią, rysunków, robót ręcznych, śpiewu, ćwiczeń cielesnych - "dobry". Podpisał się pod nim: opiekunka oddziału - W. Paśniczka, i kierowniczka szkoły - Stefania Farbiszówna.

W maju 1930 roku, ojciec został skierowany do szkoły dla szeregowych policji państwowej i wyjechał tam dnia 20 tegoż miesiąca. Ja natomiast zacząłem przygotowania do mającej wkrótce nastąpić uroczystości przyjęcia pierwszej komunii. Ponieważ Jastków nie miał wtedy własnego kościoła, na nauki katechizmu musiałem wraz z innymi kolegami udawać się do oddalonego o 7 km Garbowa. Odbywały się one w neogotyckim kościele. Stary drewniany kościół został spalony w czasie działań wojennych 1915 roku. Już nie pamiętam dokładnie, ale zdaje mi się, że uroczystość pierwszej komunii miała miejsce jeszcze pod koniec pierwszego oddziału szkoły powszechnej. Wiem, że gdy rozpoczęły się wakacje, 28 czerwca, ja byłem już po tej uroczystości. Świadectwo, które uwieńczyło ostatecznie pierwszy rok zmagania z wiedzą, było identyczne z tym z pierwszego półrocza.

W okresie wakacji wyjechałem wraz z mamą do wsi Korhynie, w pobliżu Tomaszowa Lubelskiego, gdzie dziadek Marcinkowski, skuszony możliwością poprawienia sytuacji materialnej, sprzedawszy uprzednio ziemię w Kosarzewie, nabył z reformy duże gospodarstwo rolne na ziemiach urodzajnych, lepszych od kosarzewskich. Tak zwana borowina okazała się jednak ziemią zbyt trudną do uprawiania i przekraczała możliwości siły roboczej całej rodziny, a spłata zaciągniętych pożyczek bankowych - możliwości płatnicze gospodarstwa. Podczas pobytu u dziadka miałem okazję bezpośredniego zetknięcia się w czasie świąt prawosławnych, w cerkwi w Łaszczowie, z wyznawcami



drugiej ilościowo, po rzymsko-katolickiej, religii ówczesnej Rzeczypospolitej. Byłem z mamą w cerkwi, paliłem wraz z innymi wierzącymi świeczki, zaś prawosławne nabożeństwo, odbywające się z całym bizantyjskim przepychem, zrobiło na mnie wielkie wrażenie.

Wkrótce po naszej wizycie dziadek sprzedał ziemię w Korhyniach, spłacił zaciągnięty kredyt do końca, a <sup>za</sup> resztę pieniędzy nabył pięciohektarowe gospodarstwo w Głuszczyźnie, leżącej 9 km od Lublina, przy szosie prowadzącej do Wysokiego. Przy pomocy moich rodziców dziadek rozpoczął budowę domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych.

Ojciec wrócił 18 października ze szkoły policyjnej, jako, że tak powiem, policjant z "dyplomem". Przywiózł ze sobą kilkanaście zdjęć zrobionych w Żyrardowie i pokazując je nam opowiadał o swoich przeżyciach związanych z pobytem w tejże szkole.

Rok 1931 zastał mnie jako ucznia drugiego oddziału, już w nowo-zbudowanej szkole przy szosie Warszawa-Lublin, obok cmentarza legionistów. Rok ten miał stać się dla mnie rokiem pierwszego życiowego sukcesu na polu zdobywania wiedzy, ale o tym napiszę za chwilę.

Tymczasem 1 stycznia 1931 roku ojciec otrzymał nominację na starszego posterunkowego policji, co dawało mu prawo objęcia stanowiska komendanta posterunku, lecz nie w Jastkowie, bo ten miał komendanta na którego zmianę nie zanosilo się.

Jak przed chwilą wspomniałem, nowa szkoła stanęła tuż obok cmentarza legionistów. Cmentarz ten był w tym czasie miejscem spotkań uczestników bitwy z 1915 roku. Walczyli tu m.in.: W.Orkan, K.Bunsch, S.Jellenta, A.Gwiżdż, B.Pieracki, W.Broniewski, Z.Berling, J.Wasserberger, K.Polakiewicz, M.Sobolewska, L.Okulicki, E.Rydz-Smigły. Za ich staraniem oraz lubelskiego Koła Czwartaków postawiono na cmentarzu legionistów pomnik, którego odsłonięcia dokonał 4 czerwca 1931 roku prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki.

Ponieważ zbliżał się koniec roku szkolnego, Prezydent pozostawił w Jastkowie czternaście medali pamiątkowych. Medal był zawieszony

na biało-czerwonej wstążce, miał wizerunek orła białego i napis: "Na pamiątkę od Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego". Wymienione czternaście medali miały być wręczone na zakończenie roku szkolnego najlepszym uczennicom i uczniom z każdego oddziału. W gronie laureatów, kończąc 27 czerwca drugi oddział, znalazłem się i ja, jako najlepszy jego uczeń. Poza mną, w drugim oddziale medal otrzymała Gierobówna, najlepsza z jego uczennic. Świadectwo, które mi dało prawo do tego odznaczenia, wyglądało następująco: ze sprawowania, religii, języka polskiego, ćwiczeń cielesnych - "bardzo dobry", z rachunków z geometrią, rysunków, robót ręcznych, śpiewu - "dobry", wynik ogólny "bardzo dobry". W tym oddziale opiekunką była kierowniczką szkoły - Stefania Farbiszówna.

Na rozdanie świadectw przyjechał Wojewoda lubelski i dokonał dekoracji odznaczonych. Medal ten uchował się do dziś, mimo późniejszych życiowych losów, i stanowi najmilszą pamiątkę wśród wielu późniejszych odznaczeń. Te były rangą przeważnie wyższe od tego skromnego pamiątkowego medalu, który ma jednak do dziś największą zaletę, że był i jest pierwszy.

Ponieważ ojciec starał się o przeniesienie do policji w województwie pomorskim, gdzie miał szanse na zostanie komendantem posterunku, na nowy rok szkolny przeniosłem się do szkoły powszechnej w Mętowie i zamieszkałem w oddalonej o 2 km Głuszczyźnie, gdzie żył dziadek Marcinkowski, po nabyciu gospodarstwa i rozpoczęciu budowy domu. Dnia 23 stycznia 1932 roku ojciec otrzymał przeniesienie do województwa pomorskiego, ja zaś 31 stycznia zakończyłem pierwsze półrocze trzeciego oddziału. Świadectwo z tego półrocza, podpisane przez opiekunkę oddziału - M. Dańcównę i kierowniczkę szkoły - Z. Szyszkowiczównę, przyniosło mi potwierdzenie dobrych postępów: na 11 przedmiotów tylko trzy miały stopień "dobry", pozostałe - "bardzo dobry".

Przydział do posterunku w Radomnie ojciec otrzymał 3 lutego 1932 roku, tam przeprowadziliśmy się i tam kontynuowałem naukę w trzecim oddziale. Zamieszkaliśmy najpierw w domu p. Bartkowskiego, stolarza, później u p. Dąbrowskiej, właścicielki gospody, nad pięknym, choć niedużym, jeziorem Radomno. Radomno było miejscowością graniczną w pow. lubawskim. Tuż za jeziorem przebiegała granica polsko-niemiecka, zaś parę kilometrów dalej, po stronie niemieckiej, <sup>(było)</sup> miasto Iława, zwane wówczas Deutsch Eylau. Do zadań posterunku w Radomnie należała, poza obsługą rejonu posterunku, również odprawa wszystkich pociągów przekraczających granicę na dworcu kolejowym w Jamielniku, dokąd policjanci z Radomna dojeżdżali rowerami.

Zaprzyjaźniliśmy się wtedy z rodziną policjanta Jana Piotrowskiego. Przyjaźń zawarty między obu rodzinami przetrwała potem wszystkie dziejowe burze. Piotrowscy mieli też trzech synów, wiekiem zbliżonych do naszego: najstarszy, Tadeusz, był około 2 lat starszy ode mnie, Bolesław był moim rówieśnikiem, zaś najmłodszy Jaś był rówieśnikiem brata mojego Zdzisława.

Świadectwo ukończenia trzeciego oddziału otrzymałem 27 czerwca 1932 roku. Podpisała je opiekunka M. Goździwska i kierownik szkoły Michalski. Zmiana szkoły w trakcie trwania roku szkolnego znalazła swoje negatywne odbicie w postępach w nauce: na 12 przedmiotów stopień "bardzo dobry" uzyskałem jedynie ze sprawowania. Pojawiły się trzykrotnie stopnie "dostateczny": z przyrody, geografii i robót ręcznych, z pozostałych 8 przedmiotów otrzymałem ocenę "dobrą". Jeszcze pierwsze półrocze czwartego oddziału skończyłem w radomskiej szkole, tyle tylko, że już nie sam, ponieważ mimo ukończenia dopiero sześciu lat, mój brat Zdzisław, również wystartował po wiedzę w tej samej szkole. Drugie półrocze czwartego oddziału znów ukończyłem w innej szkole.

Po przeniesieniu w dniu 15 marca 1933 roku ojca na stanowisko p.o. komendanta posterunku w Rodzonym, zacząłem uczęszczać do czwartego oddziału szkoły powszechnej w Sampławie, leżącej o 2 km od Rodzonego, zresztą tym razem już do spółki z pierwszoklasistą, bratem Zdzisiem.

Na krótko przed objęciem przez Ojca nowej funkcji w Rodzonym, w dniu 30 stycznia 1933 roku, za rzeką Drwęcą, przez której nurt przebiegała granica polsko-niemiecka, władzę kanclerza III Rzeszy objął Adolf Hitler. Przez punkt graniczny w Rodzonym odbywała się nieustanna pielgrzymka różnych dostojników niemieckich, cywilnych i wojskowych, mających swe majątki w Prusach Wschodnich, a nie wyrażających zbyt wielkiej radości z osoby nowego kanclerza. Wraz z ojcem służbę pełniło wtedy sześciu młodych policjantów: Dulko, Kopczyński, Jasiński, Sakowicz, Trzebiatowski oraz Wojtalewicz, przewodnik psa policyjnego.

Mniej więcej w tym czasie do naszej rodziny, składającej się z babki Ludwiki, ojca, matki, mnie, braci Zdzisława i Tadeusza, dołączyła zaproszona przez mamę jej 18-letnia siostra Karolina, która przez wiele lat, do momentu jej wyjścia za mąż w 1943 roku, była pełnoprawnym członkiem naszej gromadki.

W tym miejscu pragnę poświęcić kilka zdań postaci, ukochanej przez całą naszą braterską trójkę, babki Ludwiki. Przebywająca razem z nami od 1925 roku, to jest od czasów zamieszkania w Piaskach, gdy ja miałem zaledwie trzy lata, odegrała bardzo poważną rolę w wychowaniu moim oraz braci. Niejeden cios karzącej ręki ojca i matki, gdy nasze wybryki przekraczały dopuszczalną normę, spadał na jej osłaniające nas ręce. Kochała nas z całego serca, oddając cały nadmiar niewykorzystanych macierzyńskich uczuć. Jak już pisałem nasz ojciec był jej jedynakiem, który opuścił dom rodzinny mając zaledwie 20 lat, babka zaś owdowiawszy w 1915 roku, po nieudanym drugim mał-

żeństwie, zamieszkała z nami na stałe, była świadkiem kolejnych urodzin swoich wnuków, oddała nam całe swoje kochające serce i poświęciła niemal wszystkie chwile swojego życia, aż po jej zgon w 1943 roku. Z jej to ust, na długo przed zdobyciem sztuki czytania, każdy z nas miał okazję poznać czarujący świat bajek, klechd, podań, opowieści, opowiadań i piosenek ludowych, których znała niezmiernie dużo i nigdy nie wzbraniała się przed powtarzaniem nam najbardziej ulubionych.

Wśród wielu dziwnych opowieści, zapamiętałem szczególnie jedną, opowiedzianą mi jako autentyczne wydarzenie z jej dzieciństwa. Miała wtedy osiem, czy dziewięć lat, gdy pewnego wieczoru wracała przez kładkę, położoną nad rzeczką Kosarzewką, do domu. W pobliżu kładki zobaczyła jakąś nieznaną panią, wysoką i szczupłą, która poprosiła małą Ludwisię, by ta przeniosła ją przez kładkę na drugą stronę. Gdy nasza późniejsza babka wyraziła obawę, że nie da rady przenieść na swych dziecięcych ramionach dorosłej osoby, usłyszała od nieznanym jedno słowo: "Spróbuj". Gdy babka zbliżyła się do niej i wzięła ją na plecy, ku swemu zdziwieniu, a i przerażeniu, przekonała się, że nieznaną postać jest dziwnie lekka, że po prostu prawie nic nie waży. Gdy znalazły się obie po drugiej stronie rzeczki, Ludwisia usłyszała w podzięcie: "Jestem śmierć. Za to, że byłaś taka uprzejma dla mnie, w nagrodę kiedyś, gdy będziesz musiała umrzeć, wcześniej dowiesz się ode mnie, kiedy to nastąpi". Opowieść tę zapamiętałem, lecz traktowałem ją zawsze jako jedną z niezliczonych dziwnych opowieści babki. Opinię taką miałem jednak tylko do dnia 12 stycznia 1943 roku, kiedy to wieczorem, przyszedłszy powiedzieć babci dobranoc, zobaczyłem, że ta ubiera się w swój ubiór, znany nam wszystkim w rodzinie, jako przeznaczony na chwilę jej śmierci. Zapytana przeze mnie, co to znaczy, babka, mająca wprawdzie 80 lat, ale do ostatniej chwili nie uskarżająca się na

żadną chorobę, odpowiedziała: "Ja dziś w nocy umrę, bo ta pani, którą w dzieciństwie przeniosłam przez rzekę, zawiadomiła mnie o tym, tak jak kiedyś mi obiecała". Zbagatelizowałem tę informację babki, opowiedziałem jedynie o tym ojcu, który też podszedł do tego bardzo sceptycznie. Gdy jednak następnego dnia rano stwierdziliśmy zgon babki, musieliśmy zrewidować nasze sądy o prawdziwości babcinej opowieści...

Ale wracam do dalszego biegu wspomnień. W owym czasie, nie tylko w Rzeszy, ale i u nas, w dniu 8 maja 1933 roku nastąpiło ważne wydarzenie polityczne: ponowny wybór prof. Mościckiego na prezydenta Polski.

Od 1 września 1933 roku byłem już uczniem piątego oddziału. Kierownikiem szkoły był p. Konrad Standara, zaś pozostali nauczyciele nosili nazwiska: Kwiatkowski, Ruciński, Klejnowski, Kubiak. Gdy 22 grudnia ukończyłem pierwsze półrocze, na 11 przedmiotów jedynie ze sprawowania miałem notę "bardzo dobrą", z rysunków "dostateczną", zaś pozostałe 9 dyscyplin oceniono na "dobry".

Nominację na komendanta posterunku w Rodzonym ojciec dostał 1 lutego 1934 roku. Z tą datą wiąże się również częściowa zmiana obsady posterunku. Przeniósł się tu z innego posterunku w pow. lubawskim Bładowski z rodziną, zaś młodzi policjanci dostali w większości przydziały do innych jednostek. W tym samym roku, 15 czerwca, ukończyłem piąty oddział z najlepszym w moim życiu szkolnym świadectwem: wszystkie oceny były "bardzo dobry". Opiekunem oddziału był p. Kubiak. W tym roku szkolnym wstąpiłem do Związku Harcerstwa Polskiego. Krótco byłem zastępowym szkolnej drużyny, później zaś przybocznym. Czas poza nauką spędzaliśmy na zbiórkach harcerskich, ćwiczeniach, podchodach, egzaminach na sprawności i na stopnie: młodzika i wywiadowcy, wreszcie braliśmy udział w organizowanych obozach i zlotach. Opiekunami drużyny byli dwaj nauczyciele - instruktorzy harcerscy: Klejnowski i Ruciński.

Wszystkim tym ćwiczeniom, grom i zabawom harcerskim sprzyjały lasy leżące w najbliższym otoczeniu Samplawy i Rodzonego, a stanowiące nasz codzienny poligon. Z Rodzonego do Szkoły w Samplawie było około 2 km pięknej szosy, która prowadziła z Nowego Miasta z jednej strony, z drugiej zaś z Lubawy, w Samplawie się łączyła i podążała przez Rodzone i granicę do Iławy. Z Rodzonego przez Lubawę było 31 km do pola bitwy grunwaldzkiej, które leżało jednak około 20 km za granicą polsko-niemiecką.

W Rodzonym była liczna gromadka dzieci w naszym wieku, a więc Bładowscy: Kaźia, Stasio i Janinka; Zosia Wojtecka, córka strażnika granicznego, Jurek Duszyński, syn celnika, Wiesia Nalichowska, córka strażnika granicznego, Stefan i Feliks Kwiatkowsy, synowie właściciela majątku oraz Klonowscy i Podlińscy, dzieci pracowników dworskich. Naszymi najbliższymi sąsiadami byli: Pokojscy, Malinowski Olszewski, Czachorowski oraz Gembowie - młynarze, mający czterech dorosłych synów: Wojciecha, Henryka, Feliksa i Franciszka. Z tą ostatnią rodziną byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

Tuż za posterunkiem policji, będącym jednopiętrowym murowanym budynkiem, bezpośrednio za naszą komórką i za płotem był nieduży, ale bardzo urokliwy las, należący do p. Kwiatkowskiego. My uważaliśmy go za własny, bo leżał tuż w zasięgu ręki, zaś od prawdziwego właściciela dzieliła go odległość kilkuset metrów. Mieliśmy w nim sobie tylko znane kąty i tajemnice. W nim spędzaliśmy każdą wolną chwilę, a staraliśmy się, by tych chwil było jak najwięcej, na harcach i zabawach w "królestwie tysiąca i jednej trzciny", na "bocianim gnieździe", na skoczni i bieżni w lesie lub po prostu gdzieś wysoko na drzewie. Za tym lasem płynęła graniczna rzeka Drwęca, w której wraz z młodzieżą "z tamtej strony" kąpaliśmy się często, tu zresztą doskonaliliśmy nasz kunszt pływacki, zapoczątkowany jeszcze na jeziorze w Radomnie. Tu wreszcie młodzież z tamtej strony Drwęcy

szlifowała swoją znajomość polskiej mowy, którą niejednokrotnie wносиła z rodzimych domów, wprowadzona przez rodziców w podstawowe jej arkana. My też korzystaliśmy wiele, zdobywając początkową znajomość języka niemieckiego. Trwało to do chwili, gdy w niemieckiej części Rodzonego, zwanej tam Rosen, pojawił się organizator Hitlerjugend z Iławy. Temu nie w smak były nasze dobrosąsiedzkie nadgraniczne stosunki, więc dotąd zaczął podburzać naszych niemieckich kolegów, aż doprowadził obie strony do stanu skłócenia, a później nawet wrogości.

Do Drwęcy wpadała tuż obok mostu granicznego rzeczka Elszka, płynąca z kierunku Sampławy. Do całości opisu Rodzonego można jeszcze dorzucić, że oprócz ładnego budynku posterunku policji, również ładnie prezentowały się budynki urzędu celnego, strażnicy granicznej oraz małego dworku należącego do właścicieli majątku p. Kwiatkowskich.

W Sampławie ukończyłem jeszcze szósty oddział w dniu 15 czerwca 1935 roku, otrzymując na 11 przedmiotów jedyny stopień "dobry" z rysunków, pozostałe przedmioty uzyskały ocenę "bardzo dobrą". Ukończenie szóstego oddziału poprzedziła w dniu 12 maja, wiadomość o śmierci Naczelnika Państwa, marszałka Józefa Piłsudskiego. Bez zbędnej przesady napiszę, że informacja ta wstrząsnęła wtedy silnie zarówno nami młodymi, jak i dorosłymi. W całym kraju wielu ludzi szczerze opłakiwało tego, który po latach niewoli doprowadził do czynu zbrojnego legionów, do wyzwolenia kraju z niewoli, do odbudowy Polski ze zniszczeń, wreszcie do pokazania narodowi perspektyw na przyszłość. Ja, mając wtedy niespełna 13 lat, nie tylko płakałem po ukochanym "Dziadku", lecz pod wpływem wzruszenia napisałem elegię na śmierć Marszałka, którą zresztą w kilka dni potem musiałem wygłosić przed całą szkołą podczas żałobnej akademii szkolnej. Tekstu tej elegii nie pamiętam, przypominam sobie jedynie, że



~~...~~ zaginął <sup>on</sup> podczas zawieruchy wojennej, która nawiedziła nasz kraj w cztery lata po śmierci Piłsudskiego. Opłakiwano Go w wielu polskich domach szczerze, mimo, że dużo ludzi i wtedy i obecnie, wysuwało i wysuwa liczne zarzuty w stosunku do Jego postaci. Nikt jednak z Jego przeciwników nie mógł Mu odmówić wielkości oraz daru zjednywania serc ludzkich.

Ponieważ w Sampławie najwyższym oddziałem w szkole był szósty, a na pójście do pierwszej klasy gimnazjum wtedy jeszcze nie było środków /czesne, internat, mundurek, podręczniki itp./, postanowiłem ukończyć jeszcze siódmy oddział szkoły powszechnej, by do gimnazjum startować dopiero za rok. Wyjechałem do dziadków na Głuszczyznę, by w Mętowie ucześnieć wprowadzić nie do siódmego oddziału, bo takiego tu też nie było, ale do szóstego, który przerabiał program siódmego. Wyjechałem, pozostawiając reprezentowanie dobrego imienia braci Kusych w szkole sampławskiej Zdzisiowi, który zdał również do oddziału czwartego, oraz Tadziewi, który szykował się do postawienia pierwszych kroków na ścieżkach wiedzy. W Mętowie spotkałem się w jednym oddziale z moim wujem Piotrem, który wprowadzić starszy był ode mnie o dwa lata i trzy miesiące, lecz oblał dwa lata, i w ten sposób zrównaliśmy się na drodze zdobywania wiedzy. Rozkazał mi by do niego zwracać się per "Wujku", ale miałem gotową odpowiedź, że szacunek mam wyłącznie do osób, które na to zasługują, i mówiłem mu po imieniu.

W czerwcu 1936 roku powróciłem do Rodzonego, by starać się o przyjęcie do pierwszej klasy Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego im. Ks. Biskupa Władysława Bandurskiego w Nowym Mieście. Egzamin zdałem, a wraz ze mną zdała też Zosia Wojtecka, w której wtedy rozkochalem się pierwszą młodzieńczą miłością. O fakcie tym jednak

nie była uświadomiona Zosia, bo na zewnątrz miłość moja objawiała się jedynie niema adoracją i miała cechy szczególnej przyjaźni i sympatii. Dopiero po latach, bo przyjaźń przetrwała do dziś, Zosia dowiedziała się ode mnie, jaki był to naprawdę rodzaj uczuć. Zresztą każde z nas przeżyło swoje życie z innymi partnerami...

Wkrótce po rozpoczęciu roku szkolnego, w dniach od 24 do 26 września 1936 roku, odbyliśmy całą klasą piękną wycieczkę do Warszawy podczas której zwiedziliśmy ZOO, wesołe miasteczko oraz Wystawę Metalową, Elektrotechniczną i Radiotechniczną przy PLUnii Lubelskiej.

Pierwsze półrocze zakończyło się 22 grudnia 1936 roku pozytywnym dla mnie rezultatem, chociaż obniżyłem znacznie loty w stosunku do szkoły powszechnej. Z 10 przedmiotów na świadectwie, aż cztery z nich zaopatrzone notą "dostateczny", zaś "bardzo dobry" zamieniło się tylko w "dobry", nawet ze sprawowania. Świadectwo to podpisali: opiekun klasy - Józef Sadkiewicz i dyrektor Marian Gołąb.

W czerwcu 1937 przeniesiono ojca do województwa lubelskiego, z nominacją na komendanta posterunku w Wojsławicach k. Chełma, zaś w kilka dni później ja otrzymałem promocję do drugiej klasy gimnazjum.

Ponieważ w tym miejscu przyszło nam rozstać się z Rodzonym, gdzie spędziliśmy nasz wspaniały okres dzieciństwa, oddaję głos mojemu bratu, Zdzisławowi, który w swoim "Przemijaniu" tak ocenia ten czas:

"Im bliżej starości, tym częściej wraca się myślą do dzieciństwa i lat młodości, jako do okresu beztroski, przygód, zabaw, poznawania życia, pierwszych wzlotów i pierwszych upadków, pierwszych osiągnięć i klęsk.

Z biegiem czasu zacierają się w pamięci sprawy przykre i złe, pozostają zaś wspomnienia o zdarzeniach radosnych, na trwałe zakodowane w świeżych wtedy jeszcze, chłonnych, dziecięcych bądź młodościowych umysłach. Wspomnienia te budzą ukryte pod zwałami gorzkich i ciężkich doświadczeń dawne, naiwne lecz rozrzewniające uczucia,

wycisną nieraz i łzę z otoczonych zmarszczkami oczu, i żal, i tęsknotę tajemną.

Uboży jest człowiek, którego wzruszeń takich pozbawiono, gotując mu dzieciństwo bez dzieciństwa. Stokroć uboższym jest jednak ten, kto mając dzieciństwo normalne, wspomnień takich nie ma lub nie chce mieć. Wracanie do dzieciństwa jest chyba potrzebą człowieka, gdyż wzbogaca go i udoskonala.

Wspomnienia związane są zawsze z jakimś miejscem na ziemi: wsią, miastem, rzeką, jeziorem czy lasem. Pamięć notuje nieraz drobne fragmenty krajobrazu, które wryły się w świadomość i tkwią w niej razem ze zdarzeniami, które tam miały miejsce. Polny kamień, drzewo czy most są niemymi świadkami tych wszystkich wielkich wydarzeń, w których uczestniczyli ongiś maleńcy ludzie".

W innym fragmencie, dotyczącym Rodzonego, brat pisze tak:

"Z wiekiem, gdy zaczęły pojawiać się troski i zmartwienia, dorastający, a później dorośli już, poczęli uzmysławiać sobie całe piękno minionego bezpowrotnie dzieciństwa. Pojawiła się tęsknota. W snach widzieli siebie buszujących, jak kiedyś, nad Drwęcą, roześmianych i szczęśliwych. A gdy po latach mogli stanąć na tej wytęsknionej i wyśnionej ziemi, byli wzruszeni do granic płaczu. Przeżywali głęboko każde miejsce znane im dobrze z dzieciństwa, a wielokroć przywoływane w snach i marzeniach. Ponad czterdziestoletni mężczyźni byli znów, jak kiedyś, malcami idącymi ścieżką przez las ku Drwęcy, rozpoznającymi sosnę z bocianim gniazdem, zmalala, jakby od tamtych dni i Królestwo tysiąca i jednej trzciny, na którym już trzciny nie rosły oraz - ruiny ich domu. Plonem ich pierwszego, lecz nie jedyne go pobytu w Rodzonym, była sterta zdjęć i wiersz, który jak klamrą spiął odległy świat dziecięcych przeżyć z obrazem widziannym po latach:

Braciom...

Rzeki, jeziora, ruiny, ludzie,  
słońce i deszcz, noc i poranek.

Inne - w kraju rodzinnym.

Oto ścieżyna piaszczy się lasem,  
i sosny co nad nią zawisły,  
wsłuchane sękami,  
w zamarły szelest stóp dziecinnych.

I echem zwielokrotnione nawoływania,

zamknięte w szyszkach, których już nie ma.

x

Nie mijaj muru czerwonego cegłą, z głową odwróconą w las.

I tak wiem, że oczy Twe nie widzą nie patrząc, jak moje,

Że oczy Twe widzą wszystko, nie patrząc, jak moje.

x

Nie idziesz, trwasz idąc.

Nie patrzysz, chłoniesz patrząc.

Nie jesteś, wtapiasz się.

Jesteś jednym z drzew, jedną z szyszek, jednym z ziaren  
piasku ścieżki.

Chciałbyś tu pozostać, trwać, chłonąc, wtapiać się - w wieki.

Pamiętasz? na skraju lasu skakaliśmy przez ...

no wiesz przez co.

Na drugim, mieliśmy gniazdo....

wiesz jakie.

Pamiętasz? dalej była rzeka i tamta strona.

W prawo most i szosa i wieś.

x

Gdzie rosły trzciny, których szum słyszysz?

x

Igliwie, pachnie żywicą. Nad Tobą szumią wspomnienia.  
I zda się, że za chwilę ktoś Ciebie zawoła....

x

Zostań. Nie trzeba. Gdzie był dom - ruiny..."

xxx

Zacytowałem te fragmenty wspomnień i ten wiersz brata z dwóch przyczyn.

Pierwszą z nich jest to, że w sposób bardzo poetycki, filozoficzny, a zarazem serdeczny, oddaje te wszystkie odczucia, które były i kiedyś, i teraz wspólnymi odczuciami naszej braterskiej trójki i że dzielając je nie jestem w stanie nic wymyśleć, coby wierniej je oddawało, ponad to, co brat Zdzisław, w naszym imieniu, swoimi słowami, przelał na papier.

Drugą przyczyną jest to, że co pisze brat po prostu bardzo mi się podoba, bo budzi w sercu wspomnienia i przywołuje do pamięci te wszystkie szczęśliwe chwile wspólnie przeżytego dzieciństwa. Budzi również wszystkie szlachetne uczucia, które mogą być udziałem człowieka, gdy kogoś lub coś bardzo ukocha.

Ale "wróćmy znów do naszych baranów", jak mawiają Francuzi, czyli wróćmy do potoku wspomnień, który zatrzymałem na chwilę zadumy i refleksji, w momencie, gdy opuszczaliśmy Rodzone na zawsze....

Niewiele mogę napisać o podróży do Wojsławic i o samych Wojsławicach. Pamiętam tylko, że było to w lipcu 1937 roku, że po długiej podróży koleją z Pomorza, gdzie spędziliśmy swój najpiękniejszy okres życia, wylądowaliśmy w mieście Chełmie. Chełm zrobił na nas przykre wrażenie. Przyzwyczajeni do czystych, ładnie zabudowanych miasteczek pomorskich, na wstępie zostaliśmy zaskoczeni. Chełm, zamieszkały w dużej części przez ludność żydowską, wydał się nam brudny i niezmiernie hałaśliwy. Żydzi porozumiewali się między

sobą swoim językiem, zaś miejscowi również mówili inaczej. Przystawczajeni do twardej pomorskiej mowy, nie mogliśmy się przez pewien czas oswoić ze śpiewną mową mieszkańców Chełma i okolic.

Do Wojsławic, leżących 26 km na południe od Chełma, dowieziono nas po długiej jeździe, jakąś furmanką żydowską, zaprzęzoną w szkapę, której normalnie, gdzie indziej, przysługiwała by zasłużona emerytura. Gdy po pokonaniu trasy Chełm - Wojsławice rozejrzeliśmy się po okolicy stwierdziliśmy, że dość duża osada, leżąca nad rzeką Wojsławką, wśród lasów i deber posiada w swym inwentarzu trzy najważniejsze budowle: kościół, cerkiew oraz żydowską bóżnicę. Oczywiście najważniejsze poza posterunkiem policji, którego nasz ojciec stał się z tą chwilą najwyższym władcą, a mieszczącym się w murowanym budynku urzędu gminnego. Trzy świątynie były odbiciem składu personalnego całej osady: mniej więcej po jednej trzeciej żyli w niej przedstawiciele trzech nacji, które te świątynie użytkowały.

Czystością, tak jak i Chełm, Wojsławice zbyt nie grzeszyły, szczególnie w okolicach rynku, opanowanego niemal w całości przez mówiącą swoim żargonem ludność żydowską. Przy bliższym poznaniu Wojsławic zyskiwały, dzięki swemu bardzo pięknemu położeniu.

Jeżeli chodzi o mnie osobiście, to bardzo mało pozostało wspomnień w pamięci, związanych z tą osadą. Pamiętam jedynie, że jedną z pierwszych czynności po przyjeździe było nawiązanie kontaktu z miejscowym aktywnym harcerskim, a więc z opiekunem drużyny nauczycielem Mikołajem Taładą, przybocznym drużyny Kazikiem Stopą, wreszcie z Jankiem Sitarzem, Antkiem Wesołowskim, Kazikiem Olichwierem, z którymi połączyła nas po wybuchu wojny wspólna dola.

Na zaadaptowanie się w Wojsławicach miałem mało czasu, bo wkrótce wyjechałem, po feriach, do Chełma, aby kontynuować naukę w gimnazjum, tym razem już w klasie drugiej. Od chwili wyjazdu do Chełma mój kontakt z Wojsławicami był ograniczony do sporadycznych wizyt

rodziców w Chełmie lub moich w Wojsławicach. Nawet wakacje niewiele w tym względzie zmieniły, gdyż spędzałem je najczęściej moim zwyczajem na wędrownych krajoznawczych. Dopiero po wybuchu wojny miałem okazję do zacieśnienia więzów z osadą Wojsławice.

Chciałbym na wstępie dwuletniego pobytu w Chełmie napisać kilkanaście zdań na temat tego miasta, które, wbrew jego obecnemu wyglądowi, miało bogatą przeszłość.

Chełm jest położony malowniczo na zboczach pagóra otoczonego rozlewiskami rzeki Uherki. Stare grodzisko, ongi jeden z Grodów Czerwieńskich, założone w XIII wieku przez księcia włodzimiersko-halickiego Daniela, który przeniósł tu z Halicza stolicę swego państwa oraz biskupstwo. Po upadku książąt halickich Chełm został włączony do Litwy, a w drugiej połowie XIV wieku do Polski, i do rozbiorów był stolicą Ziemi Chełmskiej. Zniszczony w okresie wojen kozackich. Rozbudowany w połowie XVII wieku. Podczas Insurekcji Kościuszkowskiej stoczono tu krwawą bitwę w 1794 r.

Ze znaczących budowli miasta na pierwszym miejscu należy wymienić kościół Mariacki "na górcie", zbudowany w latach 1735-56 w stylu późnobarokowym. Obok dawny pałac biskupów chełmskich z XVIII wieku i zabudowania dawnego klasztoru bazylianów. Kościół parafialny popijarski został zbudowany w latach 1753-63 według projektu T.Rezlera. Wewnątrz bogata polichromia pędzla J.Majera, wysokiej wartości ołtarze i rzeźby. W zabudowaniach popijarskich Muzeum Państwowe. W pobliżu dawny kościół i klasztor Reformatów z 1734-40 roku. W barokowej cerkwi i dawnym seminarium z XVIII wieku mieści się liceum wychowawczyń przedszkoli. Przy ulicy Brzeskiej cerkiew parafialna z 1849 roku. Na rogu ul. Krzywej i Jatkowej dawne jatki z początku XIX wieku. Pod miastem stare podziemia w marglu kredowym. W czasie wojen prawdopodobnie schronienie mieszkańców.

W tym to mieście, w środę 1 września 1937 roku, wstąpiłem po raz pierwszy w mury szacownej uczelni chełmskiej, Państwowego Gimnazjum Koedukacyjnego im. Stefana Czarnieckiego, gdzie miałem kontynuować naukę. Zamieszkałem w internacie gimnazjalnym, którego kierownikiem był prof. Jerzy Kolasiński, specjalista od śpiewu i muzyki, a zarazem znany już kompozytor.

Dnia 22 grudnia 1937 roku otrzymałem świadectwo za pierwsze półroczne drugiej klasy, zaś 21 czerwca 1938 roku - za rok szkolny, wraz z promocją do klasy trzeciej. W tym okresie działałem w szkolnej drużynie harcerskiej, pełniąc równocześnie obowiązki zastępowego w drużynie harcerskiej w szkole ćwiczeń. Również wtedy zdałem próbę harcerską na stopień ćwika. Moim wychowawcą klasowym był profesor Franciszek Krakiewicz, zaś dyrektorem gimnazjum prof. Marian Lipski.

W roku szkolnym 1938/39 byłem już uczniem trzeciej klasy gimnazjum. Zachował się u mnie, odtworzony przy pomocy kolegów, wykaz profesorów oraz uczniów naszej klasy III b, do której uczęszczałem od września 1938 do 21 czerwca 1939 roku.

Z profesorów zapamiętałem: wychowawcę klasy, Franciszka Krakiewicza, prefekta ks. Stanisława Cieślaka, łacinniczkę, Stefanię Ginalską, Gomulińskiego, Kazimierza Jańczykowskiego, Jaworskiego, Jerzego Kolasińskiego, Tadeusza Kosibę, Sarbinowskiego, Krasieńskiego, Sosnowskiego.

Z kolegów mogę wymienić takie nazwiska: Baranowski, Chomiczewski, Fabiańczuk, Gelbard, Hajducki, Hołuj, Iwaniuk, Jarmoc, Jasiński, Kaczyński, Kawiński, Kińczyk, Koperski, Kraczkowski, Kulisz, Kusy, Kuśmierczyk, Lewczuk Henryk i Kazimierz, Malesza, Mazurkiewicz, Mucha, Muszka, Neyman, Nowosad, Odyniecki, Paterkowski, Pilecki, Polski, Rozenknopf, Staręgowski, Szponer, Sztejnbiś, Świechowski, Trochim, Truchan Czesław i Zdzisław, Wąsyczyk, Welcher, Węglarz, Wiewiórkowski, Wróblewski, Zalewski.



W tymże, ostatnim przed wojną, roku szkolnym nie mieszkałem już w internacie. Mieszkałem na stacji, którą prowadziła moja matka. Wraz ze mną stację tę dzieliło kilku kolegów, pochodzących z Wojsławic lub ich okolic. Byli to: Edek Jabłoński, Czesio Typczyński, Janek Sitarz, Janek Wasyluk i Janek Kozłowski. Jabłoński był o klasę wyżej ode mnie w naszym gimnazjum, Typczyński pracował w spółdzielczości, Sitarz rozpoczął naukę w naszym gimnazjum, Wasyluk uczył się w Szkole Mechanicznej, zaś Kozłowski - w szkole handlowej. Stanowiliśmy dobrą i zgraną paczkę koleżeńską.

Poza gronem kolegów z naszej szkoły mieliśmy sporo kolegów z innych szkół, z którymi utrzymywaliśmy stałe kontakty. Należeli do nich m.in.: Alina Czułczyńska, Danka i Tadzio Wędołowscy, Lidka Bondaruk i wielu innych, których nazwiska, wraz z upływem lat, uciekły z pamięci.

Po latach, gdy w dniach 27-28 września 1975 roku, odbył się IV Zjazd Absolwentów Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego w miejscowej gazecie ukazał się artykuł Stanisława Jadczaka, zatytułowany "Stara buda", którego autor przywołuje wspomnienia z dziejów naszej uczelni. Ich treść świadczy o tym, że szkoła nasza miała długą i bogatą historię, wielkie tradycje oraz wysoki poziom naukowy i ideowy swych wychowanków. Relacja jego wybiega miejscami sporo do przodu, w stosunku do okresu objętego dotychczasowymi moimi wspomnieniami, ale ponieważ ilustruje ona w sposób wyczerpujący zarówno historię, jak i wspaniałe tradycje szkoły, podaję ją bez żadnych skrótów.

"Moja stara szkoła, jedna z owych słynnych akademii /"Trzy są najslawniejsze na Lubelszczyźnie akademie: imienia Stanisława Staszica w Lublinie, imienia Stefana Czarnieckiego w Chełmie i imienia Jana Zamoyskiego w Zamościu" - pisze prof.dr W.Mazurkiewicz/, ma dziś swój jubileusz - 60 lat istnienia. Zwołany z tej okazji zjazd wychowanków i nauczycieli stanie się forum wspomnień kolegów

sprzed lat, których los życia rzucił w różne strony kraju. Stara buda znów ożyje przeszłością, swoją wspaniałą przeszłością. Niechże i mnie, absolwentowi nr 1243, będzie wolno powspominać...

16 lat temu po raz pierwszy przekraczałem bramę liceum. Za nią, w cieniu ogromnych kasztanów, stoi ponure gmazysko dawnego prawosławnego seminarium duchownego. Tuż przed budynkiem fontanna i w jej muszli - czapla, symbol szkoły. Pisał Waldemar Babinicz, absolwent naszej szkoły, w powieści "Obecny": "Czapla to tradycja naszej szkoły. Wszystkie uroczystości odbywają się pod osłoną jej uszczkniętego ogona. Podobno stał tu kiedyś car Mikołaj II i zachęcał prawosławnych kleryków z ostatniej klasy - by szli ginąć za cara batuszkę"...

Tradycje... Od pierwszych dni nauki w 8 klasie wkładano nam do głów, że mamy być w pełni świadomi następstw faktu, iż pobieramy nauki w szkole z taką historią. Patriotyzm, służba dla Ojczyzny, służba dla ludzi - takie były ideały naszych starszych kolegów, takie muszą być nasze ideały. A mówili to wszystko wspaniali pedagodzy tacy, którzy uczyli jeszcze przed wojną i po wojnie, byli niejako łącznikami między tradycjami szkoły i jej dniem dzisiejszym. Na przykład Michał Kińczyk - znakomity specjalista od łaciny, nauczyciel od 1923 roku. On wprowadzał nas w tajemniczy świat kultury łacińskiej.

Albo Kazimierz Jańczykowski - najpopularniejszy chyba mieszkaniec Chełma. Pamiętał początki szkoły, uczył w niej od 1919 roku. Lektury geografii i astronomii były w gruncie rzeczy lekcjami historii. Rozmówiony w Chełmie i ziemi chełmskiej, wielki miłośnik przyrody, znakomity turysta, uczył nas piękna ziemi ojczystej. Zawsze wypytywaliśmy go, jak to było z narodzinami naszej szkoły? Było to nieuczciwe, bo geografia czy astronomia szły wówczas na bok, ale przyznaję, że jego opowieści naprawdę nas frapowały. Cóż, historia jest

zawsze frapująca, a zwłaszcza takiej szkoły...

Historia chełmskiego gimnazjum sięga 1865 roku, kiedy to Komisja Rządowa Oświecenia Publicznego poleciła umieścić w zabudowaniach pijarskich gimnazjum męskie. Była to oczywiście szkoła rosyjska, uczęszczała do niej także młodzież polska, a lata 1905-7 stały się czasem walki o polską szkołę. Marzenia te zrealizowały się dopiero w 1915 roku, kiedy to po ofensywie wojsk austriackich Rosjanie opuścili Chełm. 22 września 1915 roku z inicjatywy Komitetu Obywatelskiego Miasta Chełma powstała Szkoła Filologiczna Chełmska. Jej kierownikiem został Kazimierz Miszewski, a na siedzibę szkoły władze austriackie wyznaczyły dzisiejszy budynek Sądu Rejonowego.

W 1917 roku dyrektorem szkoły został Wiktor Ambroziewicz, doskonały organizator, patrzący na szkołę bardzo nowocześnie /niech świadectwem jego zdolności będzie fakt, że w 1930 r. ministerstwo przeniosło go do Warszawy na dyrektora Gimnazjum im. Stefana Batorego/. W dniu 17 sierpnia 1918 roku szkołę upaństwowiono, otrzymała wówczas nazwę "Królewsko-Polskie Gimnazjum 8-klasowe Filologiczne w Chełmie". Na przełomie października i listopada 1918 r. uczniowie gimnazjum odegrali dużą rolę w rozbrojeniu Austriaków.

W 1919 r. szkoła przeprowadziła się już na stałe do budynku prawosławnego seminarium duchownego i otrzymała kolejną nazwę: "Państwowe Gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego". W tymże roku dyr. Ambroziewicz założył Muzeum Ziemi Chełmskiej, zbiory powiększali młodzi pedagodzy K. Jańczykowski i Z. Sowiński. Dyr. Ambroziewicz starał się zacieśniać emocjonalne związki uczniów ze szkołą - wprowadził święto szkoły /zawsze w ostatnią niedzielę maja/, dzień patrona szkoły i służby przy sztandarze szkolnym, dzień powołania nowego chorążego i 2 przybocznych na nowy rok szkolny. Z całego niemal świata ściągał do Chełma młodych, ale uzdolnionych pedagogów, m.in. Teofila Sosnowskiego z Łotwy, absolwenta Uniwersytetu Peters-

burskiego, Jana Wasilewskiego z Kijowa, absolwenta tamtejszego uniwersytetu, Franciszkę Wojciechowską - absolwentkę Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie...

W 1920 roku odbyła się pierwsza matura. Dyplomy otrzymało... 5 absolwentów. Do dziś uczelnię opuściło ponad 3 tys. abiturientów. Ale wróćmy do historii. W 1930 roku dyrektorem gimnazjum został Tadeusz Dąbrowski, postępowy pedagog, sprzyjający lewicowym uczniom. W grudniu 1934 r. lewicowa młodzież zawiązała w gimnazjum słynną Konstytucję Rzeczypospolitej Uczniowskiej. Była ona zbyt demokratyczna jak na ówczesne warunki i dlatego administracja oświatowa szybko ją rozwiązała.

Wrzesień 1939 r. .. 8 września podczas nalotu na miasto budynek szkolny został poważnie uszkodzony, 3 grudnia gimnazjum samorzutnie podjęło pracę, ale w kilka godzin później hitlerowcy pod groźbą kary śmierci nakazali przerwanie nauki. W budynku powstała średnia szkoła ukraińska. Zbiory z Muzeum Ziemi Chełmskiej okupanci wywieźli do Niemiec, pomoce naukowe oddali niemieckiej szkole średniej.

Nauczyciele gimnazjum i innych chełmskich szkół podjęli wówczas tajne nauczanie. Chełm stał się ośrodkiem walki o polską kulturę i oświatę. 15 marca 1941 r. powstał tu powiatowy oddział Tajnej Organizacji Nauczycielskiej /TON/. Skarbnikiem był nasz "psor" Jan Wasilewski. Ten nauczyciel historii /po wojnie także języka rosyjskiego/ wciągnął do konspiracyjnego szkolnictwa innych nauczycieli gimnazjum - Michała Kińczyka, Mariana Lipskiego, Kazimierza Jańczykowskiego, siostry Zofię i Marię Farbiszewskie. W 1942 r. powołano konspiracyjne liceum i gimnazjum w Chełmie - na jego czele stanął Marian Lipski, dyrektor Gimnazjum im. Czarnieckiego w latach 1935-39. Dzięki tym wspaniałym pedagogom w czasie okupacji na 43 kompletach tajnego nauczania uzyskało gimnazjalną maturę 283 uczniów.

Lipiec 1944 roku znów łączy się z nazwiskiem Jana Wasilewskiego, który zajął się w wolnym już Chełmie organizacją szkoły. 28 sierpnia 1944 r. rozpoczął się pierwszy w wyzwolonej Polsce rok szkolny. W gmachu Czarnieckiego mieściły się wówczas trzy szkoły: męska i żeńska ogólnokształcąca oraz szkoła handlowa. Do Gimnazjum im. Czarnieckiego powróciła stara kadra, stary sztandar szkolny, reaktywowano działalność założonej jeszcze w 1918 r. biblioteki i Muzeum Ziemi Chełmskiej. Kazimierz Jańczykowski - opiekun muzeum - uzupełnił jego zbiory o dokumenty lat okupacji. Na honorowym miejscu zawisły oryginalne egzemplarze Manifestu Lipcowego....

W 1954 r. szkoła otrzymała status gimnazjum koedukacyjnego. W 3 lata później odbył się II zjazd wychowanków i nauczycieli szkół podczas którego odsłonięto ufundowany ze składek absolwentów i pedagogów pomnik ku czci pomordowanych w latach II wojny światowej nauczycieli i wychowanków gimnazjum /zginęli wychowawcy: Adolf Schön, Roman Stępniewski, Jadwiga Czaplińska, Franciszek Krakiewicz/

Sztandar szkolny... Pokażcie mi drugą taką szkołę, która ma własny hymn. Hymn "Sztandar Czarniecczyków" napisał Kazimierz Jańczykowski /muzyka - A. Drygalewicz, absolwentka L.O./ w stylu polskiej poezji romantycznej. "Nasz sztandar szkolny pełen chwały, to czarniecczyków święty znak, purpurą lśniący, zestarzały, a płonie jak czerwony mak /.../. Która szkoła ma sztandar liczący sobie, bagatela 57 lat? I znów sięgnijmy do relacji K. Jańczykowskiego: .. Był rok 1918, ciężkie czasy po Pokoju Brzeskim. Na jego mocy Chełmszczyzna miała być przyłączona do Ukrainy. Na dzień 3 maja 1918 r. zapowiedziano w Chełmie wielką demonstrację delegatów z powiatów, które miały odpaść od Polski, aby zmanifestować polskość tej ziemi. Młodzież z Gimnazjum Czarnieckiego chciała pokazać się na tej manifestacji z własnym sztandarem. W nocy z 2 na 3 maja grupa dziewcząt z Gimnazjum /Maria Cynkówna, Bolesława Ptaszyńska,

Stefania Imanowska, Maria Łapicka, Maria Świerkowska i Maria Hojnacka/ uszyły sztandar. Z czasem stał się on symbolem wielkich tradycji szkoły. Nominacja na chorążego była wielkim wyróżnieniem najlepszego w szkole ucznia. Tę zaszczytną funkcję pełnił w latach 1922/23 Kiejstut Żemajtis, późniejszy rektor AGH w Krakowie.

W 1939 r. B. Kulkówna, H. Hilgierowa i T. Kosiba wykradli z narażeniem życia sztandar szkolny z budynku zajętego przez Niemców. Przez całą okupację przechowywała go w swoim mieszkaniu przy ul. Kopernika M. Hilgierowa. W 1944 r. sztandar uroczyście powrócił do szkoły i zajął honorowe miejsce w szkolnym muzeum. Jak za dawnych lat, otoczony jest dziś wielkim pietyzmem, odgrywa wielką rolę wychowawczą.

Wszyscy zazdrościli nam wspaniałych belfrów. Wspominałem już o Michale Kińczyku i Kazimierzu Jańczykowskim, ale było ich wiele więcej! W pamięci wszystkich absolwentów lat czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pozostanie zawsze "Ciocia" - Franciszka Wojciechowska, nauczycielka, która tak bardzo kochała młodzież, że nikt nigdy nie odważył się robić na jej lekcjach szczeniackich wygłupów.

Teofil Sosnowski, wysuszony staruszek, okazał się przy bliskim poznaniu człowiekiem o wielkim sercu, a swoją miłością do książek potrafił zarazić największego nieuka.

Surowa pani od polonistyki - prof. Zofia Książek, nie musiała nas długo przekonywać do nauki języka polskiego. Szkoła miała zawsze tradycje humanistyczne i to przechodziło z pokolenia na pokolenie. Zawsze bardziej interesowały nas "Dziady" od logarytmów i równań któregoś tam stopnia. Każdy starszy rocznik starał się robić jakiś teatr szkolny - natychmiast pomagała w tym Kazimiera Pieracka, sekretarka szkoły, reżyserka Teatru Ziemi Chełmskiej, 40 lat związana z teatrem.

Matematycy nie mieli z nami większych szans i szybko przyznawali się do porażek naukowych.

Pasjami lubiliśmy lekcje fizyki. Prof. Stanisławska nigdy nie dała nam się nudzić, wykładana z wielkim humorem lekcja była zawsze łatwym przedmiotem. Ceniliśmy i szanowaliśmy profesorów: Franciszka Duchą, Władysława Plutę, Alfreda Wróblewskiego, Zofię Farbiszewską, Marię Farbiszewską, Józefę Migielską, Marię Czarnocką. Ci starsi już wiekiem nauczyciele byli pedagogami z powołania, oddanymi absolutnie sprawom młodzieży. Szkołę z takimi "belframi" można było lubić.

Maturę, to była jeszcze "stara" matura, całkiem na serio, z oblewaniem kilkunastu procent, przeżyliśmy z sercem na ramieniu, podobnie zresztą jak nasi wychowawcy. Większość poszła na studia. Taka już tradycja, dobra tradycja, tej szkoły. Od lat na studia idzie ponad 90 procent abiturientów, otrzymuje indeks ponad 85 procent z nich. To jeden z najwyższych wskaźników w kraju. Procentuje w ten sposób ogromna wiedza nauczycieli, ich kwalifikacje pedagogiczne.

Dziś L.O. im Stefana Czarnieckiego ma 520 uczniów w 16 oddziałach, 15 kół zainteresowań w tym 10 przedmiotowych i 5 artystycznych /m.in. Teatr Poezji na wysokim poziomie prowadzony przez prof. B. Pośpiech i zespoły taneczne kierowane przez niestrudzoną prof. Niną Piątkowską/. Jak dawniej przywiązuje się wielką rolę do tradycji. Po zdaniu matury abiturient otrzymuje tzw. "Kartę Czarnieńczyka" - swoiste świadectwo ukończenia tego zasłużonego liceum z podpisami dyrektora, nauczycieli i kolegów. Wprowadzono tu zwyczaj zawiadamiania rodziców najlepszych uczniów w formie listów gratulacyjnych o wynikach nauczania. Liceum ma doskonałą organizację harcerską, rozwinęła się działalność OHP. Jest zresztą kuźnią wielu talentów sportowych.

Nowy dyrektor L.O. Zdzisław Jawor urzęduje w ogromnym gmachu od 1 września b.r. Od razu ma ostry egzamin bojowy - IV Zjazd wychowanków i nauczycieli L.O. Z całej Polski napłynęło 400 zgłoszeń. Uczestnicy zjazdu będą mogli obejrzeć pierwsze dzieło nowego dyrektora Izbę Tradycji Szkoły /znów ewenement w naszym szkolnictwie/.."

Po zacytowaniu powyższego artykułu mogę tylko dodać: ..I ja tam byłem, miód i wino piłem". Spotkanie po latach było wzruszające i do dziś wspominam je z wielkim sentymentem.

A teraz muszę wrócić do mojej opowieści. W dniu 21 czerwca 1939 r. otrzymałem promocję do klasy czwartej, następnie asystowałem przy zdawaniu przez mojego brata Zdzisława egzaminów wstępnych do naszego gimnazjum, uwieńczonych zresztą sukcesem. Mogliśmy z bratem rozpocząć zasłużone wakacje. Nie wiedzieliśmy wówczas, że są to ostatnie wakacje czasów pokoju. Dziś, wiedząc to, czego nie wiedzieliśmy w czerwcu 1939 roku, pozwolę sobie jako zamknięcie tego, co nazwałem "Dzieciństwo sielskie, anielskie", zacytować fragment wspomnień Zdzisława, dotyczący tej wakacyjnej wyprawy:

"Był już koniec czerwca, gdy Adolek /to ja/, po zakończeniu zajęć w gimnazjum i przejściu do klasy czwartej /z wysokimi ocenami/, sobie tylko znanym sposobem skłonił rodziców do wyrażenia zgody na wędrowkę pieszą do dziadków Marcinkowskich, zamieszkujących wtedy we wsi Głuszczyzna koło Lublina. Zgoda ta objęła również średniego, trzynastoletniego już młodziana. Bracia przygotowywali się krótko. Mama pomogła im spakować plecaki, w których znalazły się niezbędne rzeczy i żywność na drogę. Ustalili marszrutę przez Kukawkę, Bończę, Kraśniczyn, Fajskawice, Piaski, kol. Kozice, Wilczopole i Mętów, po czym obaj piechurzy w harcerskich mundurkach, pewnego lipcowego poranka, o wschodzie słońca, wyruszyli na zachód. Z rannym chłodem szło się im szparko.



Minęli Bończę, z cerkiewką przy drodze, doszli do Kraśniczyna. Robiło się coraz cieplej. Minęli Kraśniczyn i po kilku kilometrach znaleźli się w dolinie Wojsławki, płynącej nieco dalej od szosy, wśród łąk. Szosa niknęła w oddali za zakrętem.

Już nie ciepło, lecz żar słonecznych promieni owładnął okolicą. Powietrze stało ciężkie, upalne, przesycone wonią kwiecia łąkowego, które barwnymi plamami poprzetykało zielen łąki. Nad trawami, nie poruszonymi najłżejszym wiewem powietrza, krążyły tysiące kolorowych motyli, błękitno-skrzydłych ważek, złocistych pszczoł i najróżnorodniejszego owadziego bractwa. Na niewysokich wzgórzach, okalających z obu stron dolinę rzeczki, srebrzyły się i złociły łąny zbóż dojrzałych do żęcia. Wśród tego morza srebra i złota, niebieszczały kępy chabrów, czerwieniały maki i kąkole. Jakieś nieuchwytnie, nienazwane, lecz wszechogarniające zmysły, piękno i urok tej doliny potęgowała cisza. Z rzadka słychać było śpiewy ptactwa nadrzecznego, ale i ono, zmżone upałem, ucichało. I tylko rzeczulka szemrała jednostajnie, a usypiająco gdzie nurt jej toczył niekończący się spór z omszałymi głazami.

Nagle Zdzych przystanął, rozejrzał się uważnie po okolicy, zamyslił i usiadł na skraju przydrożnego rowu. Adolek, sądząc iż młodszy zmęczył się, usiadł obok niego. Zdjęli plecaki. Dłuższą chwilę milczeli, ocierając pot. Milczenie przerwał Zdzych. - Ja tu już kiedyś byłem - powiedział powoli z namysłem, do Adolka. Starszy uśmiechnął się na to, gdyż obaj byli tu po raz pierwszy. Lecz Zdzych kontynuował: - Tam, szosa skręca w lewo, omija wzgórze, a dalej przechodzi przez rzeczkę.

Z miejsca, na którym siedzieli bracia nie można było zobaczyć tego, o czym mówił młodszy. Gdy po kilkunastu minutach marszu doszli do wzgórza, na którym znajdował się cmentarz, Adolek przestał się uśmiechać. Szosa rzeczywiście skręcała w lewo i przez mostek przeszła na drugą stronę rzeczki. Z mostku obejrzeliby przebytą

drogę, i ten fragment okolicy widziany z innego miejsca znów wzbudził w Zdzichu uczucie wzruszenia tajemnego i drżenie serca. Teraz był już całkowicie pewny, że tu już kiedyś był.

Przez kilka następnych kilometrów marszu roztrząsali tę sprawę. W końcu doszli do wniosku, że być może ta, lub podobna okolica przyśniła się kiedyś średniemu. Ale dlaczego aż tak silnie reagował na jej widok?

Trasą tą przejeżdżał wielokrotnie Zdzisław Stanisław w dużo późniejszych latach swego życia. Za każdym razem widok "jego" dolinki powodował skurcz w gardle i przyspieszone bicie serca. Dlaczego?

Okolo południa dotarli w pobliże Krasnegostawu. W bajorze gdzie pojono bydło i pływały stada gęsi, zdjąwszy sandały, chłodzili nogi zmęczone marszem i upałem. Zetknięcie rozpalonych nóg z chłodną wodą stawało się niebiańską wprost rozkoszą, do fizycznego bólu sięgającym doznaniem. Z żalem rozstawali się z brudnym, mułistym bajorkiem, ale nie mogli sobie pozwalać na wypadnięcie z rytmu marszu. Bez pośpiechu, ale i bez ociągania się włożyli skarpety, na schłodzone i umyte nogi, następnie sandały, założyli na ramiona plecaki i ruszyli dalej. Wkrótce dotarli do klinkierowej szosy Lublin-Zamość, skąd już było widać Krasnystaw. Miasto wydało im się piękne. W centrum zielenił się park otoczony uliczkami i ogrodzony drewnianym, na zielono pomalowanym, płotem ze sztachet.

Słońce zawisło już nad szosą, gdy po minięciu Krasnegostawu, docierali do Łopiennika. Robił się chłodny<sup>awy</sup> wieczór. Adolek odnalazł sołtysa, wylegitymował się i poprosił o skierowanie na nocleg. Poszli do gospodarstwa Kajetana Ornała, położonego prawie tuż przy szosie. Gospodyni poczęstowała ich chlebem i mlekiem, oburzyła się gdy Adolek chciał zapłacić, po czym gospodarz zaprowadził ich do

stodoły, przestrzegł przed paleniem ognia i pozostawił - zamknawszy wrota. Ułożyli się na miękkim pachnącym sianie, chwilę jeszcze przeszkadzały im malutkie owady szeleszczące wokół, ale zmęczeni wnet zasnęli.

Rankiem, skoro świt, byli już na nogach. Obudziła ich krząta-  
nina gospodarza. Nie marudząc, umyli się około studni w zimnej  
wodzie. Gospodyni nie chciała ich wypuścić bez kubka mleka i pajdy  
chleba. Po półgodzinie byli już w drodze, ciesząc się, że słońce  
grzeje ich w plecy. Szło im się dobrze w rześkim, chłodnym poran-  
nym powietrzu. Nim słońce zaczęło przypiekać minęli Fajstawice  
i zbliżali się do Piask. Dotarli tam około dziewiątej. Adolek  
pokazał dom państwa Sawickich, w którym Zdzych przyszedł na świat  
i którego dotąd nie widział, nie licząc nie zarejestrowanych w pa-  
mięci niemowlęcych doznań. Sawiccy mieszkali tu nadal, jednak  
chłopcy do nich nie wstąpili. Zaraz za Piaskami minęli rzekę  
Sierotkę z mostem o łukowatej i wysokiej, połączonej w górze kra-  
townicy. Kilkaset metrów za mostem skręcili z szosy w lewo i przez  
Majdan Kozicki i Wilczopole dotarli leśnymi i polnymi drogami  
do Mętowa. Przeszli w bród rzeczki Czerniejówkę i znaleźli się  
we wsi Głuszczyzna. Dotarli tu około południa. Adolek wiedział  
gdzie znajduje się gospodarstwo dziadków, gdyż przyjeżdżał tu z  
mamą z Pomorza, a nawet chodził czas jakiś do miejscowej szkoły.  
Gdy już byli blisko Adolek umówił się z bratem, że nie powiedzą  
od razu kim są, lecz będą udawali obcych, wędrujących harcerzy.  
Tak zrobili. Na podwórzu spotkali babcię Ludwikę z Komajdów.  
Adolek pozdrowił ją, wiejskim obyczajem, słowami: "niech będzie  
pochwalony Jezus Chrystus" i poprosił o kubek wody. Babcia weszła  
do domu i wnet przyniosła dwa kubki schłodzonego mleka. Przy-  
patrywała się chłopcom jak piją /Adolka nie poznała, widziała go

przed pięciu laty/, użalała się nad nimi, że się tak pomęczyli wędrując w upał i pytała czy nie są głodni.. Głaskała Zdzicha po głowie i miała łzy w oczach, że taki mały jeszcze chłopiec przeszedł tyle kilometrów. Chłopcy wreszcie nie wytrzymali i tuląc się do babci powiedzieli, że są jej wnukami i przyszli do dziadków, aż z Wojśławic. No wtedy zaczęło się na dobre. Babcia rozplakała się, zaczęła ich besztać, ale jej to nie wychodziło i z tego wszystkiego nie wiedziała biedna co ma robić. Przeplatając płacz wyrzutami, że ją podeszli, wprowadziła ich do izby, kazała zdjąć sandały, naszykowała miednicę z wodą, by umyli nogi. Izdebka była mała, bielona wapnem, z glinianą podłogą - polepą, czyściutko pozamiatana robiła schludne, lecz biedne wrażenie. Zasłonki w małych okienkach, kwiaty w oknach i obrazy na ścianach dopełniały widoku. Dwa łóżka, proste ławy i stół były chyba całym wyposażeniem izby.

Po umyciu nóg zmęczenie gdzieś się podziało, chłopcy wyjęli z plecaków wiktuały nie zjedzone przez drogę, oddali je babci, by się nie popsuły. Przez nieduże okienko zobaczyli wracającego do domu dziadka. Szedł z łączki za drogą, gdzie kosił trawę i niósł kosę. Wszedł do izby. Był wysoki, szczupły, z dużymi siwymi wąsami, w lnianej koszuli wypuszczonej na lniane portki. Spokojny, pewny siebie, ale życzliwy robił wrażenie mądrego i dobrego człowieka. Jego siwe oczy przymrużyły się w uśmiechu, gdy babcia płacząc i śmiejąc się na przemian opowiadała, jak to ją niepoczciwcy oszukali, udając obcych. Dziadek całował wnuków, kłując ich wiechciami wąsów, które pechniały machorką. Przyszła też niedługo siostra ich mamy - Stasia, 23 letnia wówczas panna, a wkrótce i wuj Piotr raptem o dwa lata starszy od Adolka. I znów zaczęło się opowiadanie, śmiechy i powitania. Zrobiło się gwarno. Niedługo potem babcia postawiła na stole donicę z parującymi ziemniakami, obok kilka misek blaszanych z barszczem czy żurkiem. Wojciech przeżegnał

się i sięgnął łyżką do donicy z ziemniakami. Dopiero wtedy wszyscy zrobiwszy znak krzyża zaczęli jeść. Ziemniaki "omaszczone" solą smakowały jak delicje. Podczas obiadu nikt nie wypowiedział ani jednego słowa. Bracia wiedzieli o tym obyczaju, gdyż w domu za odezwanie się podczas jedzenia zawsze obrywali od babki Ludwika z Niezgodów: "pies jak jji to nie sceko". Gdy obiadowanie się już kończyło, zaczekano przy stole w milczeniu, aż dziadek odłożył łyżkę na stół i wstał. Przez cały okres pobytu u dziadków młodzieńcy poznali menu babci Marcinkowskiej. Oprócz potraw z pierwszego dnia ich pobytu pojawiły się na stole: lebioda na gęsto i w barszczu, barszcz zabieleny, no i krupnik, ale to było wydarzenie. Własnego chleba dziadkowie nie mieli już od wczesnej wiosny. Wojciech więc, w związku z odwiedzinami wnuków, pożyczył u Żyda ileś tam kilogramów mąki, za którą miał oddać po żniwach żyto, oczywiście z dobrą lichwą. Z mąki tej Ludwika wypiekła jeszcze tego samego dnia piękne duże bochny chleba. Kiedy następnego dnia rano dziadek napoczął przy śniadaniu pierwszy bochenek, poprzedził to znakiem krzyża, wodząc nożem po chlebie. Chociaż potomstwo Andrzeja nie żyło w przepychu, który jest bratem dobrobytu, to jednak nie widzieli jeszcze takiej biedy, i tak oszczędnego życia. Nieliczne okruszyny chleba pogubione na stole były dokładnie zgarniane na podstawioną dłoń i wkładane do ust.

Inny był ten dom dziadków Marcinkowskich. Doskwierała tu bieda, lecz lśnił czystością, dominowała w nim ciężka praca, lecz brakowało chleba, nędzę przyjmowano tu z pokorą, nie tracąc godności. Dom, w którym całowano każdy kęs chleba, gdy przez nieostrożność upadł na glinianą polepę. Dom, z którego cały nabiał sprzedawano za sól i zapałki w odległym Lublinie, niosąc piechotę "zajdę" z bańką, ale nie żałowano mleka dla wędrujących chłopców.

Bracia byli u dziadków przez kilka dni. Byli w lesie, z wujem Piotrem w Mętowie u jego dziewczyny, łazili wzdłuż brzegów Czerniejówki i kąpali się przy śluzie. Podczas jednej z kąpiei, Adolek omal nie doprowadził do tragedii. Złapał niespodziewanie za nogę pływającego sobie właśnie Zdzicha, ten zaskoczony zanurkował, napił się wody, osłabł i poszedł na dno. Tam odbił się przytomnie, ale traf chciał, że wypływając na powierzchnię, zanurzył się ponownie, już nie tak głęboko, po uderzeniu głową w brzuch Adolka. Kiedy wreszcie resztką sił i z rozsadzonymi brakiem tlenu płucami wypłynął, był tak słaby, że gdyby nie hol Adolka, nie dałby rady przepłynąć kilku metrów dzielących go od brzegu. Wyciągnięty, leżał na wznak, na piasku, z omdlałymi nogami i rękami przez kilka godzin.

Umówiony z rodzicami dzień nadszedł i młodzieńcy spakowali plecaki. Babcia włożyła im na drogę chleb, masło, ser i jaja. To co miała. Żegnani łzami babci i uściskami wszystkich wyruszyli o świcie. Przez Majdan Kozicki, Piaski i Dońhucę doszli około 15-tej do skrzyżowania szosy Lublin-Chełm z prowadzącą w kierunku Pawłowa i Rejowca. Okazało się, że w rowie, pod dużym drzewem czeka na nich mama, która nie wytrzymała i przyjechała autobusem. Usiedli w trójkę i jedząc oczekiwali na autobus do Chełma. Jeszcze tego wieczora byli w domu, gdyż w Chełmie zdążyli na autobus panów Kowalskiego i Nowakowskiego. Pełni wrażeń, pomęczeni, po dokładnym obmyciu podróżnego kurzu i brudu, młodociანი włóczykije, poszli spać we własnych łózkach. W miesiąc po tej wyprawie, ojciec ich otrzymał Srebrny Medal za Długoletnią Służbę. Było to ostatnie wydarzenie w rodzinie Kusych przed wybuchem wojny".

Wbrew temu, co napisał Zdzisław, dla mnie nie było to jeszcze ostatnie wydarzenie przed wojną. W Głuszczyźnie, o czym Zdzich zapomniał napisać, bawiła wtedy przelotnie ciotka Katarzyna Słaboszewska, mieszkająca w Równem wraz z mężem Alfredem, zawodowym

podoficerem 21 pułku ułanów. Zaprosiła mnie wtedy do Równego i na umówiony termin, przyjechała do Wojsławic, skąd przez Chełm wraz ze mną udała się pociągiem do domu. Było to gdzieś w połowie sierpnia.

Gdy pociąg z ciotką i ze mną przybył na stację w Równem, jadąc doróżką z dworca do domu ciotki przekonaliśmy się, że coś się zmienia w naszym dotychczasowym świecie. Doróżkarz zapytany o wysokość zapłaty, ku zdziwieniu ciotki podał kwotę o wiele wyższą, niż zazwyczaj. Spytany przez ciotkę odburknął, że się nie przesłuszała, bo "dziś w Polsce wolno, jak kto chce". Jeżeli wziąć pod uwagę czas i miejsce, w których te słowa padły, można z tego faktu wyciągnąć wniosek, że działo się wokół nas coś dziwnego.

W pułku wuja trafiliśmy na gorący okres. Kończyła się właśnie "cicha" mobilizacja", wuj jako doświadczony zawodowy podoficer odgrywał dość istotną rolę przy jej przeprowadzeniu. Od wczesnego rana do późnego wieczora zajęty był w koszarach. Uproszony, zabrał mnie któregoś dnia na teren koszar i tu na własne oczy przekonałem się, jak poważne zadanie wykonuje. Ponieważ wkrótce pułk miał dołączyć do wcześniej wysłanych jednostek na pozycje wyjściowe, zdecydowałem się na powrót do domu. W Chełmie znalazłem się 30 sierpnia, a powitały mnie tu porozlepiane ogłoszenia powszechnej mobilizacji.

Na tym fakcie, w dniu 31 sierpnia 1939 roku, skończyło się moje dzieciństwo i wkroczyłem w okres młodości, o czym opowiem w drugiej części wspomnień.

x x x

Może ktoś zapytać, po przeczytaniu pierwszej części raportu z mojego życia, czy jej tytuł jest zgodny z treścią, czy niemal telegraficzna relacja nie kłóci się z sielskością, anielskością dzieciństwa. Zarzut zbył suchej relacji pomniejszyć może to, że

starałem się dodać odrobinę barwy fragmentami wspomnień brata Zdzisława, w których znalazł się wielki ładunek uczuć miłości do ludzi i miejsc naszego pobytu. Uczucia te były udziałem nie tylko Zdzisława. Uważałem, że tak wiernie oddają one moje własne wrażenia, iż nie muszę się z nimi licytować. Proszę mi wierzyć na słowo. Dzieciństwo, które przedwcześnie zakończył wybuch wojny, było naprawdę w naszym wypadku takie, jak obiecywał tytuł części wspomnień przed chwilą zamkniętej.

Niejednokrotnie później, gdy życie stało się bardzo bogate w wydarzenia, ciekawe ale i trudne, wracałem do wspomnień dzieciństwa z prawdziwym wzruszeniem i tęsknotą za tym, co zostawiło w sercu niezatarte ślady, i położyło prawdziwe podwaliny pod dorosłe życie. Wspomnienia dzieciństwa dodawały mi też sił do walki i pracy, gdy nastął okres młodości górnej i durnej i, jakże często, chmurne



- ~~24~~ -

II. MŁODOŚĆ GÓRNA I DURNA

1. Jak to na wojence ładnie.

"Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroiła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Latem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem wystąpiły z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że dziw nad dziwy! - w województwie brackim i na Dzikich Polach zielona ruń okryła stepy i rozłogi w połowie grudnia. Roje po pasiekach zaczęły się burzyć i huczeć, bydło ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi oczekując niezwykłych zdarzeń zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim Polom, od których łatwiej niżli skądinąd mogło się ukazać niebezpieczeństwo".

Tak oto zaczyna mój ulubiony autor pierwszy rozdział "Ogniem i mieczem", kończy zaś całą Trylogię bitwą pod Chocimiem w dniu 9 listopada 1673 roku oraz słowami:

"Na tym kończy się ten szereg książek pisanych w ciągu kilku lat i w niemałym trudzie - dla pokrzepienia serc".

To nie przypadek, ani pomyłka, że rozdział poświęcony początkowi wojny światowej lat 1939-1945 rozpoczynam cytatem z Henryka Sienkiewicza.

Po pierwsze: zacytowany fragment mówi o znakach, które poprzedziły 26-letnie zmagania ówczesnej Polski z Turkami, Tatarami, Rosją, Szwecją, Wołoszczyzną, z których Polska wychodzi obronną ręką, a przytoczona na zakończenie zwycięska bitwa pod Chocimiem i wspomniana wyprawa wiedeńska, dziesięć lat po Chocimiu, są tego dowodami.

Po drugie: związek Trylogii z historią walk mojego pokolenia o wyzwolenie Polski z hitlerowskiej i sowieckiej przemocy jest bezpośredni i znaczący. Nie było po prostu żadnej organizacji konspiracyjnej, żadnego oddziału partyzanckiego bez względu na orientację polityczną, gdzie by bohaterowie Sienkiewicza nie odżyli w pseudonimach konspiratorów i partyzantów. "Sobieski", "Wołodjowski", "Zagłoba", "Podbipięta", "Skrzetuski", "Kmicic", "Babinicz", "Oleńka" stali się bliskimi sercu bohaterami moimi i moich kolegów w szeregach oddziałów Polski Podziemnej.

Księgi Trylogii pisane były, jak mówi autor w zakończeniu, "dla pocrzepienia serc". Tę rolę spełniały one również i podczas zmagañ drugiej wojny światowej.

Czy wojnę, rozpoczętą napaścią Niemiec hitlerowskich na Polskę, o świcie 1 września 1939 roku, poprzedziły jakieś widoczne znaki na niebie i ziemi trudno jednoznacznie rozstrzygnąć. Wprawdzie wielu ludzi wówczas uciekało się do rozmaitych przepowiedni, wśród których przepowiednie Wernyhory odegrały niepoślednią rolę, ale nas interesować winny raczej znaki na ziemi, świadczące o zbliżającej się nawałnicy.

Tak jak burzę, zanim wyładuje się w ulewie, piorunach oraz wicherze, poprzedzają oznaki jej zbliżania się, tak i drugą wojnę,

zanim stała się groźnym faktem, poprzedziły wydarzenia, z których można było wysnuć wnioski, że wkrótce wybuchnie. Gdy jednak wybuchła większość ludzi w Polsce, w Europie, a nawet na świecie, bo wkrótce wojna polsko-niemiecka stała się światową, była zaskoczona. Do ostatniej chwili wierzono w zdrowy rozsądek polityków, dyplomatów i wojskowych.

Co poprzedziło drugą wojnę światową? Pierwszym faktem było dojście, w dniu 30 stycznia 1933 roku, do władzy Adolfa Hitlera i stworzonej przez niego partii. Wprawdzie zawarł on w 1934 roku z Polską pakt o nieagresji, ale stało się to ze względów wyłącznie taktycznych. W roku dojścia Hitlera do władzy Niemcy występują z Ligi Narodów, a w 1935 roku wypowiadają Traktat Wersalski. W marcu 1936 roku wojska hitlerowskie zajmują zdemilitaryzowaną strefę w Nadrenii. W 1938 r. włączają do Rzeszy Austrię i zajmują czeskie Sudety. W październiku tegoż roku Niemcy wysuwają wobec Polski pierwsze żądania włączenia do Rzeszy Gdańska oraz sprawę komunikacji z Prusami Wschodnimi przez polskie Pomorze. W początku 1939 roku zajmują Czechy i Morawy, a w Słowacji ustanawiają kolaboranckie państwo. W marcu tegoż roku zagarnęli litewską Kłajpedę.

Staje się coraz bardziej jasne, że teraz kolej na Polskę. Zaczynają się przygotowania do obrony. W marcu zarządono częściową mobilizację oraz dokonano taktycznej dyslokacji niektórych jednostek wojskowych. Podjęto starania o zawarcie sojuszu z Anglią i potwierdzenie sojuszu z Francją, uwieńczone sukcesem dyplomatycznym. Z trybuny sejmowej minister spraw zagranicznych, Beck, uwzględniając powszechną opinię społeczną, rozprawia się z niemieckimi żądaniami wobec Polski. Dnia 24 sierpnia Hitler zagrał w otwarte karty: "Żądam panowania nad Europą Wschodnią" - oświadczył brytyjskiemu premierowi. Tego samego dnia Polska powołuje część rezerwistów do armii wezwaniami imiennymi.

25 sierpnia Polska i Anglia podpisują traktat sojuszniczy, zaś Hitler odwołuje ustalony już termin napaści na Polskę. W dniu 29 sierpnia dowództwo polskie zarządza mobilizację powszechną, którą jednak, na życzenie swych sojuszników, odwołuje. Następnego dnia jednak ogłasza mobilizację ostatecznie i nieodwołalnie.

Z czym Polska stawiała do walki o swój niepodległy byt. Nie będę nikogo nużył cyframi, podam jedynie, że proporcje sił świadczyły o przewadze agresora w liczbie żołnierzy i sprzęcie. W artylerii była ona trzykrotna, w artylerii przeciwpancernej pięciokrotna, a w lotnictwie i broni pancernej ponad pięciokrotna.

Późnym wieczorem, 31 sierpnia, radiostacje niemieckie podały komunikat o rzekomej napaści uzbrojonych oddziałów polskich na radiostację w Gliwicach. O godzinie 21 tego dnia przekazano przez radio niemieckie 16-punktowe ultimatum pod adresem Polski. O godzinie 22.30 do Gdańska wkroczyły oddziały Wehrmachtu, zaś na Pomorzu i Śląsku wzmożli działania niemieccy dywersanci.

1 września o godzinie 4.45 na granicy polsko-niemieckiej, bez wypowiedzenia wojny, przemówiły działa. Wydarzenia 36-dniowej kampanii wojennej w Polsce przedstawię w skrócie za książką Zygmunta Bieleckiego i Ryszarda Dębowskiego "36 dni - 1.IX-6.X.1939 roku". Dodaję do tego to, co sam zapamiętałem, najpierw nasłuchując pilnie wieści z polskiego radia, później, po zamknięciu radiostacji Warszawa, łapiąc radiostacje niemieckie. Wreszcie wojna przyszła szybko i na teren Lubelszczyzny. Końcowy etap walk armii polskiej rozegrał się pod Zamościem i Tomaszowem Lubelskim, dosłownie o kilkanaście kilometrów od Wojsławic. Chociaż przez osadę Wojsławice ciągnęły niezliczone szeregi żołnierzy polskich wszelkich formacji, nie stała się ona ani na chwilę terenem bezpośrednich walk, mimo że ich odgłosy docierały do nas z wszystkich stron.

Obraz pierwszych dni wojny kojarzy mi się z jasnym, słonecznym niebem, na którym bezkarnie szybują samoloty niemieckie, zdążające do wyznaczonych im celów. Przypominam sobie walkę polskiego samolotu z niemieckim, która rozegrała się nad Wojsławicami, zakończoną zwycięstwem polskiego myśliwca.

W pierwszych dniach wojny pojawili się w osadzie ewakuowani mieszkańcy Pomorza, którzy na trasie swojej ewakuacji zetknęli się bezpośrednio z wojną, o czym zresztą nam szczegółowo opowiedzieli.

A oto chronologiczny obraz wojny:

#### 1 września - piątek

Wojska hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy rozpoczęły działania wojenne przeciw Polsce na lądzie, morzu i w powietrzu. Wojsko Polskie stawiało najeźdźcy zacięty opór.

#### 2 września - sobota

Od świtu z wielkim natężeniem toczy się bitwa graniczna. Niemieckie dywizje nacierają ze wszystkich kierunków. Dyplomaci próbują jeszcze ratować pokój.

#### 3 września - niedziela

Dobiega końca bitwa graniczna. Front został przerwany na kilku odcinkach. Anglia i Francja wypowiedają Niemcom wojnę.

#### 4 września - poniedziałek

Na wszystkich odcinkach frontu trwają zacięte walki. Wobec wielkiej przewagi sił wroga armie polskie stają w obliczu nieuchronnego odwrotu.

#### 5 września - wtorek

Wojska hitlerowskie gwałtownie nacierają z południowego zachodu i północnego wschodu w kierunku Warszawy. Ciężkie walki trwają także na innych odcinkach frontu.

6 września - środa

Sytuacja na froncie staje się coraz bardziej krytyczna. Niemcy kontynuują natarcie zmierzające do oskrzydlenia wojsk polskich w łuku Wisły. Armie polskie wycofują się w walkach na wschód.

7 września - czwartek

Armie polskie w ciągłych walkach wycofują się na przeprawy przez Dunajec, Nidę, Wisłę. Na Westerplatte milknie ogień.

8 września - piątek

Niemcy uderzają od północy i południa na głębokie tyły polskich wojsk, w celu otoczenia oddziałów na prawym brzegu Wisły. Jednocześnie wróg kontynuuje pościg za dywizjami cofającymi się z zachodnich obszarów państwa ku Wiśle. Niemiecki zagon pancerny dochodzi do Warszawy i atakuje stolicę.

9 września - sobota

Wróg kontynuuje natarcie na południu i północy, zmierzające do oskrzydlenia wojsk na prawym brzegu Wisły. Na lewym brzegu rzeki wyścig do przepraw został w zasadzie rozstrzygnięty. Polskie dywizje armii "Prusy" i "Łódź" próbują otworzyć sobie drogę na wschód. Niemcy atakują Warszawę. Nad Bzurą polskie wojska rozpoczynają zwrot zaczepny.

10 września - niedziela

Rozwija się polska ofensywa nad Bzurą. W związku z tym słabnie napór Niemców na Warszawę. Naczelny Wódz ustala nową organizację frontu.

11 września - poniedziałek

Bitwa nad Bzurą przybiera na sile. Niemieckie dowództwo kieruje w ten rejon silne oddziały. W Warszawie panuje względny spokój. Na arenie międzynarodowej prowadzi się ożywioną działalność dyplomatyczną.

12 września - wtorek

Zakończyła się pierwsza faza bitwy nad Bzurą. Wojska niemieckie niespodziewanie uderzają na Lwów. Jest to posunięcie skoordynowane z działaniami korpusu Guderiana. Z południa i północy hitlerowcy atakują w kierunku Brześcia, by okrążyć wojska polskie na prawym brzegu Wisły.

13 września - środa

Dzień upłynął pod znakiem wytężonej pracy polskich sztabów. Dowódcy frontów i armii podejmują nowe próby powstrzymywania niemieckich wojsk. Na niektórych odcinkach frontu trwają nadal ciężkie walki.

14 września - czwartek

Wojska gen. Kutrzeby wykonały uderzenie na Łowicz, rozpoczynając drugą fazę bitwy nad Bzurą. Na pozostałych odcinkach frontu polskie wojska przegrupowują się. Trwają walki o Lwów. Działania wojenne na prawym brzegu Wisły przesuwają się coraz dalej na południowy wschód od Warszawy. Wojska Frontu Północnego maszerujące do rejonów Włodawy i Włodzimierza Wołyńskiego znajdowały się tego dnia w okolicach Lubartowa i Parczewa. Wojska Armii "Lublin", maszerujące do Małopolski Wschodniej, doszły do rejonu Kraśnika.

15 września - piątek

W centrum kraju toczy się wielka bitwa nad Bzurą. Warszawa odpiera niemieckie ataki. Pierwsze natarcie wroga przyjmuje załoga Modlina. Broni się okrążony Brześć. Większość polskich dywizji zepchnięta na południowo-wschodni obszar kraju toczy nierówny bój.

Wojska Frontu Północnego nadal maszerują w kierunku Chełma i Włodawy.

16 września - sobota

Obrońcy Warszawy udaremniają próbę opanowania mostów na Wiśle. Wojska gen. Kutrzeby przebijają się w kierunku stolicy. Na Lubelszczyźnie i pod Przemyślem trwają nadal ciężkie walki.



17 września - niedziela

Bronią się przed niemieckimi atakami: Warszawa, Modlin, Lwów, Kępa Oksywska i Hel. Znad Bzury polskie oddziały przebijają się w kierunku Warszawy. Pozostałe armie idą na Lwów.

O godzinie 4.00 wojska radzieckie wkroczyły na wschodnie terytorium Polski, nie natrafiając na opór. Wszystkie oddziały wojska polskiego z rejonów przygranicznych, a także bataliony Korpusu Ochrony Pogranicza, walczyły z Niemcami. Pozostały tylko nieliczne posterunki, które wycofywały się.

Wojska niemieckie zdobywają tego dnia cytadelę w Brześciu, zajmują Lublin oraz rejon Włodawy, Chełma i Zamościa. Dywizje Frontu Północnego maszerują nadal na południowy wschód, zbliżając się do Zamościa. Wojska gen. Piskora szykują się do zamierzonego natarcia w rejonie Tomaszowa Lubelskiego.

18 września - poniedziałek

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, rząd i naczelny wódz opuścili granice państwa. Działania wojenne weszły w ostatnią fazę.

Wojska gen. Piskora przez cały dzień walczą pod Tomaszowem Lubelskim, usiłując przełamać niemiecką zaporę. Gen. Dąb-Biernacki dowiedział się o bitwie, jaką pod Tomaszowem toczą wojska polskie, i podjął decyzję przyjscia im z pomocą. Front Północny rozporządzał sześcioma dywizjami piechoty i czterema brygadami kawalerii.

19 września - wtorek

Pada Kępa Oksywska. Pierwszy oddział wojsk gen. Kutrzeby wchodzi do stolicy. Trwa bitwa pod Tomaszowem Lubelskim i pod Lwowem. Głównym zadaniem wojsk gen. Piskora było nadal zdobycie Tomaszowa Lubelskiego i wywalczenie drogi na Lwów. Na pomoc polskim wojskom, walczącym pod Tomaszowem maszerowały spod Chełma dywizje Frontu Północnego. Chociaż odległość między obu zgrupowaniami nie była wielka, rozdzielały je silne oddziały niemieckie. 39 dywizja piechoty nacierała na pozycje niemieckie pod Krasnymstawem.

W Wojsławicach tego dnia staliśmy się świadkami wydarzenia, które pokazało, że wojna jest tuż za naszym progiem. Z walk pod Krasnymstawem, które rozciągnęły się aż pod Kukawkę i Witoldów, leżące o kilka kilometrów od Wojsławic, pojawił się polski motocykl wojskowy z wózkiem, na którym leżeli zgodnie: ciężko ranny polski oficer oraz lżej ranną Niemiec, zaś na tylnym siedzeniu - lekko ranny Niemiec. Miejscowy lekarz dr. Wojewódzki udzielił im pomocy, zaś na nas, milczących świadkach tego wydarzenia, powiało z bliska groźba wojny.

### 20 września - środa

Po walkach pod Tomaszowem wojska Frontu Środkowego, pod dowództwem gen. Piskora, składają broń. Armia "Małopolska" podejmuje ostatnie próby przebiccia się do Lwowa. We Lwowie rozważana jest decyzja poddania miasta. Idące na pomoc gen. Piskorowi Wojska Frontu Północnego oddalone były od Tomaszowa Lubelskiego około 40 km. Pamiętam, jak maszerujące przez Wojsławice oddziały, śmiertelnie znużone i pomęczone, przeciągały niekończącymi się szeregami w kierunku na południe. Poznałem wtedy bliżej małą grupę żołnierzy, pod dowództwem por. Tryłuka, a szczególnie żołnierza Mariana Lisa, pochodzącego gdzieś z okolic Chrzanowa, z którym później utrzymywałem długo korespondencję. Przypominam sobie, jak przez mgłę, krótkie spotkanie z moim wychowawcą klasowym z gimnazjum w Chełmie, prof. Franciszkiem Krakiewiczem, który na czele swej kompanii, jako oficer rezerwy, podążał przez Wojsławice w tym samym kierunku, w którym maszerowały inne oddziały.

Chyba też tego dnia Kazio Stopa, jako ochotnik - harcerz, dołączył do oddziałów, przechodzących przez Wojsławice, by wziąć udział w kilkudniowych walkach pod Tomaszowem Lubelskim, i by wrócić z wojny po kapitulacji, w dniu 26 września.

21 września - czwartek

Niemcy rozpoczynają działania wstępne poprzedzające szturm Warszawy. Przygotowują się do natarcia na Hel. Przestaje istnieć Armia "Małopolska". Wojska Frontu Północnego rozpoczynają walki pod Zamościem. Skoncentrowały się pod Grabowcem o 12 km od Wojsławic, aby następnego dnia rozpocząć natarcie całością sił.

22 września - piątek

Warszawa pod ciężkim ostrzałem. Rozwija się bitwa pod Zamościem. W czasie gdy trwał bój pod Cześnikami, na lewym skrzydle Frontu Północnego ruszyły do natarcia dywizje gen. Przedrzymirskiego. 1 dywizja piechoty do zmroku walczyła pod wsią Falków, którą zdobył 1 pułk piechoty Legionów. Do decydującego starcia przygotowywały się obydwie strony. Gen. Dąb-Biernacki wydał bowiem rozkazy do ogólnego natarcia, które miało rozpocząć się przed świtem 23 września. Na prawym skrzydle frontu miała nacierać grupa operacyjna gen. Kruszewskiego, znajdująca się najbliżej Zamościa. W centrum - grupa operacyjna kawalerii gen. Andersa, która 20 września przemaszerowała przez Wojsławice. Na lewym skrzydle armia gen. Przedrzymirskiego, której zadaniem było opanowanie Tomaszowa Lubelskiego.

23 września - sobota

Od Zamościa do Tomaszowa naciera Front Północny. W ciągu nocy i rano wojska Frontu Północnego ruszyły do planowanego natarcia na pozycje niemieckie od Zamościa po Tomaszów Lubelski.

Gen. Thommée próbuje odbić Palmiry. W Warszawie gaśnie światło, brakuje wody.

24 września - niedziela

Polskie oddziały toczą ciężkie walki pod Tomaszowem Lubelskim. Niemcy wzmagają nacisk na Warszawę i Modlin.

25 września - poniedziałek

Niemcy dokonali zmasowanego ataku lotnictwa i artylerii na Warszawę. Modlin odpiera wszystkie natarcia. Trwa bitwa pod Krasnobrodem. Do lasów pod Krasnymstawem od kilku dni nadciągały z różnych kierunków polskie oddziały. Były to doraźnie utworzone zgrupowania, złożone zarówno z oddziałów liniowych, walczących od pierwszego dnia wojny w składzie różnych armii, którym udało się uniknąć rozbicia, jak i oddziały sformowane w ośrodkach zapasowych, które do tej pory nie brały jeszcze udziału w walkach. Dowództwo nad całością objął dotychczasowy dowódca grupy "Kowel" - płk. dypl. Leon Koc, który miał pod swymi rozkazami oddziały stanowiące siłę czterech słabych pułków piechoty, pułku kawalerii, batalion podchorążych saperów z Modlina oraz prawie dwa dywizjony artylerii, niestety bez etatowej ilości dział<sup>(1)</sup> z małym zapasem amunicji. Grupa płk. Koca szykowała się do podjęcia marszu.

Tego dnia płk. Koc przejeżdżał przez Wojsławice. Na jego polecenie ojciec wraz z podwładnymi sobie policjantami: Włodarczykiem, Mielczarkiem i Śliskim, opuścili Wojsławice, udając się na północny zachód, gdzie jeszcze nie dotarli Niemcy. Przechodząc przez Siedliszcze, koledzy ojca pozostali tam, ojciec zaś udał się dalej, w kierunku Kocka, gdzie w okolicy Czeźmiernik był później świadkiem walk oddziałów gen. Kleeberga. Koledzy, którzy zostali w Siedliszczu wpadli za kilka dni do rąk wkraczających tam bolszewików i jedynym po nich śladem była kartka pocztowa nadesłana przez Włodarczyka do żony z Ostaszkowa.

26 września - wtorek

Decydujące natarcie na Warszawę nie przynosi spodziewanych rezultatów. Rada Wojenna wypowiada się za zaprzestaniem walki. Ostatnie działania pod Tomaszowem Lubelskim i Krasnobrodem.

27 września - środa

W Warszawie rano walki - od godziny 14.00 zawieszenie broni. Modlin i Hel trwają w obronie. Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" koncentruje się pod Włodawą.

Jedyny polski związek taktyczny, który przed kilku dniami przedarł się przez zapory niemieckie pod Tomaszowem Lubelskim- Nowogródzka Brygada Kawalerii - został rozbity pod Dobromilem.

28 września - czwartek

Obrońcy Modlina odparli niemiecki szturm. O godzinie 7.30 nastąpiło zawieszenie broni. Dywizja "ZAZA" walczy o przeprawę przez Wieprz. Przed dalszymi walkami następuje reorganizacja wojsk Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie" i załogi Helu.

29 września - piątek

Pierwsze patrole niemieckie na ulicach Warszawy. Kapituluje Modlin. Po reorganizacji oddziałów, przejrzeniu broni i uzupełnieniu amunicji Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" ruszyła w kierunku zachodnim. Maszerujące wojska ubezpieczała od północy brygada kawalerii gen. Kmicica-Skrzyńskiego.

Dywizja kawalerii gen. Zygmunta Podhorskiego, która od kilku dni maszerowała na południe, znajdowała się pod Ostrowem Lubelskim. Dywizja zniosła niemieckie placówki na przeprawach przez rzekę Wieprz pod Kijanami i miała otwartą drogę do węgierskiej granicy. Gen. Podhorski, który poprzedniego dnia nawiązał kontakt z gen. Kleebergiem, teraz podporządkował mu swoją dywizję, pragnąc również pójść na odsiecz stolicy. Dywizja zawróciła z obranej uprzednio drogi na Węgry i ruszyła na północ, by następnego dnia połączyć się z grupą "Polesie".

30 września - sobota

Obrońcy Helu wycofują się na linię oporu pod Kuźnicą. Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" zbliża się do Kocka.

1 października - niedziela

Konradmiral Józef Unrug podejmuje decyzję zaprzestania oporu. Straże przednie Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie" znoszą niemieckie patrole i zajmują Kock.

2 października - poniedziałek

Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" odpiera pierwsze niemieckie natarcie pod Kockiem. Składa broń grupa płk. Zieleniewskiego. obrońcy Helu kapitulują.

3 października - wtorek

Drugi dzień bitwy pod Kockiem. Nacierają polskie oddziały.

4 października - środa

Trzeci dzień bitwy pod Kockiem. Niemieckie uderzenie na Wolę Gułowską.

5 października - czwartek

Generalne natarcie Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Polesie". Mimo sukcesu gen. Kleeberg podejmuje decyzję kapitulacji.

6 października - piątek

Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie" składa broń. We Francji powstaje Wojsko Polskie. Działania przeciw Niemcom prowadzi bez przerwy Marynarka Wojenna.

Dla Polski wojna nie zakończyła się 6 października 1939 roku, kiedy kapitulowali żołnierze gen. Kleeberga. Trwała ona nieprzerwanie do 8 maja 1945 roku - do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

O wkroczeniu wojsk sowieckich na terytorium Polski dowiedzieliśmy się z radia 17 września 1939 roku. Po tej dacie wiedzieliśmy jedynie o ciągłym posuwaniu się Armii Czerwonej w głąb kraju. Dookoła nas toczyła się jeszcze walka z Niemcami i wszystko wskazywało, że po przegranej znajdziemy się pod ich okupacją. Nie przeszło nam przez głowę, że może być inaczej, że pierwszymi obcymi żołnierzami, których dane nam będzie ujrzeć, będą nie Niemcy, lecz Rosjanie, z nami oficjalnie nie walczący.

Gdzieś około 29 września, od strony osady Uchanie, wkroczyli triumfalnie "wyzwoliciele" spod polskiej władzy, jak podali w odezwie Timoszenki. Żałosny widok przedstawiała wtedy dla nas ta armia. Stanowiła ona zaprzeczenie tego, co my na temat prawdziwego wojska wiedzieliśmy. Nie będą wdawał się w szczegóły, ale wspomnę tylko, że nad wkraczającą armią sowiecką unosił się silny zapach naftaliny, czy dziegciu, który długo, po jej odejściu z Wojsławic, czuć było dookoła.

Witali ją entuzjastycznie nieliczni komuniści wojsławiccy, rekrutujący się przeważnie spośród mniejszości narodowych. Nas wykwaterowano częściowo z mieszkania, zaś ci, którzy założyli czerwone opaski i zaczęli wykonywać funkcje policyjne, zainteresowali się losem naszego ojca, polskiego komendanta posterunku policji. Twierdzili, że nic mu nie grozi z ich strony, więc powinien jak najszybciej wrócić do domu.

Nas, wojsławickich gimnazjalistów /chodziliśmy demonstracyjnie w mundurkach gimnazjalnych/, namawiali, byśmy pojechali do Związku Sowieckiego, bo tam będziemy mogli kontynuować naukę.

Po kilku dniach ktoś z wojsławickich komunistów zameldował Rosjanom, że robię spisy imienne tych, którzy stanęli do współpracy z nimi, by je przekazać później polskim władzom. Przybył funkcjonariusz NKWD i znalazł mnie w mieszkaniu u sąsiada, dr Wojewódzkiego. Ten znający doskonale język rosyjski, usłyszawszy o co mnie oskarżono, zaczął perswadować enkawudyście, że to oskarżenie jest wyssane z palca, a w rzeczywistości chodzi tu o rozprawienie się z nieobecnym komendantem policji, że jest to prostu zemsta miejscowych komunistów. Trafił widocznie dr Wojewódzki na rozsądnego człowieka, gdyż po chwili usłyszałem: "Ja ciebie nie widziałem. My wkrótce

wycofamy się za Bug, tu zaś przyjdą Niemcy. Nie pokazuj się do tej pory zbyt na oczy, bo ktoś inny może rozkaz aresztowania wykonać. W ten sposób ocalałem przed deportacją, a może i przed czymś gorszym.

Rzeczywiście, gdzieś około połowy października bolszewicy opuścili Wojsławice, zabierając ze sobą na wozy miejscowych komunistycznych władców, i wyjechali w kierunku, skąd przybyli.

W przerwie, trwającej około dwóch tygodni, wrócił z ewakuacji ojciec. Przez cały ten czas, do momentu wkroczenia Niemców, w pierwszych dniach listopada, nikt nie zakłócił spokojnego życia osady. Wkraczający Niemcy okazali się Austriakami, zachowującymi się bardzo grzecznie wobec ludności polskiej, zaś wyglądem swym stanowili zdecydowany kontrast z dotychczasowymi okupantami.

Zaraz po zakwaterowaniu Niemców, wywieszono w osadzie zarządzenie SS Obergruppenführera Krügera, datowane 30 października 1939 roku skierowane do byłych policjantów, a wzywające ich do zgłoszenia się do pracy w policji. Niewykonanie tego zarządzenia było zagrożone bardzo poważnymi sankcjami wobec rodzin policjantów, więc ojciec, rad nie rad, zgłosił się w komendanturze w Uchaniach, skąd wrócił do Wojsławic jako podwładny volksdeutscha nazwiskiem Herman, mianowanego komendantem posterunku policji w Wojsławicach.

Wkrótce zaczęły napływać do nas wieści, że rozbite oddziały polskie, które uniknęły niewoli niemieckiej lub sowieckiej, podążyły za rządem do Rumunii lub na Węgry, a później i dalej, by kontynuować na obczyźnie wojnę przeciw zaborcom. W wojnie tej zapragnąłem gorąco wziąć udział i ja. Porozumiałem się z opiekunem miejscowej drużyny harcerskiej, nauczycielem Mikołajem Taładą oraz z Kazikiem Stopą. Byli oni <sup>(też)</sup> zdania, że nie możemy siedzieć beczynnym w chwili, gdy Ojczyzna nas potrzebuje. Na początek postanowiliśmy reaktywować działalność harcerską w konspiracji, a dla łatwiejszego jej zacho-



wania mieliśmy zamiar kontynuować ją na niewielką skalę. I tak powstał zastęp harcerski, do którego weszli: Tałanda, Stopa, ja, Kazik Olichwier, Janek Sitarz, Antoś Wesołowski oraz Janek Wasyluk. W dalszej kolejności mieliśmy zamiar rozszerzyć grono członków o Janka Kwiatkowskiego, Alfreda Basaja, Janka Kozłowskiego.

Organizacja zastępu została wkrótce przerwana, bo doszliśmy do wniosku, że naszym obowiązkiem jest walka zbrojna w szeregach armii i, że w tym celu musimy wydostać się z kraju i udać na Węgry.

W czasie między 5 a 20 listopada, przynaglani nowymi wieściami z zagranicy oraz zbliżającą się zimą, odbyliśmy szereg potajemnych zbiórek w ścisłym gronie, podczas których podjęliśmy decyzję wywarszu jeszcze przed końcem listopada 1939 roku.

Z pierwotnie planowanej grupy, pozostało nas w ostateczności pięciu: Kazimierz Stopa, Kazimierz Olichwier, Antoni Wesołowski, Jan Sitarz i Adolf Kusy, czyli ja. W ostatniej chwili, już w dniu wywarszu, wycofał się z naszego grona Jan Wasyluk, który, jak się później okazało, poczuł w sobie ukraińską krew i walczył w szeregach ukraińskich jako Iwan Wasyluk.

Wywarsz nastąpił 23 listopada 1939 roku, wczesnym rankiem. Poprzedniego dnia wieczorem poprosiłem brata Zdzisława /oczywiście zobowiązawszy go harcerskim słowem do zachowania tajemnicy/, by powiadził Rodzicom, co się ze mną stało, dopiero po upływie 24 godzin.

Na pożegnanie zostawiłem list o takiej mniej więcej treści: "żyć w wolnej Ojczyźnie nie jest sztuką, lecz ją wywalczyć, gdy jest w niewoli". Przepraszałem rodziców, że czynię tak, ale inaczej nie mogę, ponieważ uważam za swój obowiązek wziąć udział w walce zbrojnej o wyzwolenie Kraju.

Zbiórka przed wywarszem odbyła się przy ulicy Grabowieckiej na kirkucie, czyli żydowskim cmentarzu. Zabrawszy podręczną mapę, na której wytyczyliśmy szlak naszej wędrówki oraz miejsca postoju /była to część południowa "Mapy stanu dróg bitych w Polsce 1939/40",

którą mam w swym posiadaniu do dziś/, ubrani nie za ciepło, chociaż zbliżała się szybko zima, skierowaliśmy się na Zamość, od którego dzielika nas odległość 33 km. Ponieważ dni w końcu listopada są już dosyć krótkie, a 33 km mogło zabrać około 7 do 8 godzin ruszyliśmy ostro naprzód, by jeszcze przed zapadnięciem zmroku dotrzeć do końca pierwszego etapu wędrówki. W Zamościu zanocewaliśmy u krewnych Kazia Stopy. Ponieważ następny nocleg wypadał nam gdzieś w okolicy Szczebrzeszyna, od krewnych Kazia otrzymaliśmy nazwisko i imię znanego im leśnika z Panasówki, leżącej o 38 km od Zamościa. Pod wskazanym adresem zostaliśmy przyjęci z całą serdecznością, powoławszy się na krewnych Kazia, oraz poinformowawszy leśnika o celu naszej wyprawy. Tak minął drugi dzień wyprawy, 24 listopada. Pokonaliśmy już 71 km, ale pierwsze dwa etapy, dosyć długie, dały nam się trochę we znaki, postanowiliśmy więc nieco zmniejszyć dzienną dawkę marszu. Następne 6 dni były trochę mniej wyczerpujące. Metoda zastosowana przez nas w dwóch pierwszych etapach, a więc nocleg u znajomych, podanie przez nich kontaktu na następny etap, informowanie kolejnych gospodarzy o celu wędrówki spowodowały to, że prawie do końca byliśmy przekazywani taką przyjacielską sztafetą, otoczeni przy tym troskliwością i serdeczną opieką ze strony osobiście nam nieznanym ludzi. Wiedzieli oni jedynie, że jesteśmy młodymi Polakami, pragnącymi zaciągnąć się pod polskie znaki.

Etap 25 listopada, w sobotę, skończył się na 23 kilometrze od Panasówki, w Zyniach, leżących nad rzeką TANWIA, na kwaterze u młodej miejscowej nauczycielki.

Dnia 26 listopada, mimo niedzieli, przeszliśmy 24 km i zanocewaliśmy w Brzyskiej Woli, u rodziny wskazanej przez proboszcza w Biszczu. Syn gospodarzy, Tadeusz Korosadowicz, wpisał się do pamiętnika, zabranego przeze mnie w tę daleką drogę. O atmosferze patriotycznej tamtych dni niech świadczy treść jego wpisu: „Na

pamiętkę wojennemu koledze wpisuje się kolega, który myśli iść tymi samymi śladami."

Mimo, że ksiądz w Biszczy ostrzegał nas przed nocowaniem w Kurykówce nad Sanem, zamieszkaną w większości przez Ukraińców, musieliśmy tam zanocować po przejściu 27 listopada zaledwie 11 km, ponieważ u p. Korosadowiczów, poprzedniego dnia, dowiedzieliśmy się że przez most na Sanie przejść możemy jedynie przy pomocy przepustek, które będą sprawdzane przy przechodzeniu. Nocowaliśmy u zaufanych ludzi, którzy następnego dnia rano załatwili przez miejscowych mieszkańców przepustki, wystawione w urzędzie gminy na ich nazwiska. Pierwszy z nas, rano 28 listopada, z drżeniem nóg zbliżał się do mostu pilnowanego przez Niemców. Okazało się, że ci nie interesowali się innymi dokumentami, poza okazaną przepustką, następni więc już odważnie i zdecydowanie przekroczyli most. Tego dnia zanocowaliśmy, podzieleni na dwie grupy, w domach leśnej kolonii Tryńcza w pobliżu szosy Sieniawa-Przeworsk, o 27 km od miejsca przekroczenia Sanu.

Następnego dnia, 29 listopada, udało się przejść 26 km i zanocować w Kańczudze. 30 listopada dotarliśmy, po przemaszerowaniu 25 km, do miejscowości Dylągówka, gdzie zanocowaliśmy, szybko usypiając, bo trudy ośmiodniowego marszu i pokonanie 207 kilometrów dały o sobie znać.

W dniu 1 grudnia zrobiliśmy zwiększoną porcję kilometrów, bo aż 32, docierając późno do wsi Gwoźnica Górna. Robiło się coraz chłodniej, dni coraz krótsze, stąd nasze przyspieszenie tempa marszu. Nocowaliśmy u p. Kornaszewiczów, których córka Zosia tak wpisała się do mojego pamiętnika: "Wpisać się do pamiętnika jest to bardzo miło, lecz pozostać w sercach waszych milej by mi było". Po dobrym noclegu wyszliśmy w drogę, 2 grudnia, dosyć wcześnie, bo zaplanowaliśmy przemarsz wynoszący 31 km, a metą jego miała być

miejscowość Grabownica Starzeńska. Z mapy wynikało, że do granicy jest już niedaleko, niepełne 50 km, a więc nie więcej, niż dwa dni marszu. Musieliśmy zasięgnąć języka u zaufanych osób o drogach prowadzących ku granicy, jak też o ewentualnych sposobach bezpiecznego pokonania pozostałych dwóch etapów. Zbliżał się już wieczór, przechodziliśmy właśnie obok posterunku polskiej policji w Grabowni Starzeńskiej, gdy wpadła mi do głowy dosyć ryzykancka myśl, by informacji poszukać właśnie na posterunku policji. Dla bezpieczeństwa, nie chcąc narażać pozostałych kolegów, postanowiłem udać się na posterunek sam, prosząc kolegów o zaczekanie na mój powrót. Wszedłem do środka budynku, gdzie zastałem tylko jednego policjanta w wieku przybliżonym do wieku mojego ojca, czyli w okolicach czterdziestki. Policjanta twarz budziła zaufanie, więc przedstawiłem się mówiąc, że jestem Adolf Kusy, mój ojciec jest byłym komendantem posterunku policji w Wojsławicach, pow. chełmskiego i że potrzebuję pomocy.

Policjant okazał się przedwojennym komendantem posterunku policji w Grabownicy Starzeńskiej i nosił nazwisko Grzybalski. W trakcie rozmowy weszła młoda dziewczyna, chyba trochę młodsza ode mnie, którą pan Grzybalski przedstawił jako swoją córkę Jankę. Gdy dowiedział się, że chcę przedostać się przez granicę do polskiego wojska zaproponował mi bym udał się z Janką do ich domu w Turzepolu /około 1 km od posterunku/, aby po jego powrocie z dyżuru, który kończył niedługo, porozmawiać spokojnie o tych sprawach. Widząc moje wahanie i nie domyślając się jego przyczyny zapytał, co jeszcze pragnę mu powiedzieć. Gdy dowiedział się, że jest nas pięciu, poprosił by zabrać kolegów do jego domu, ale tak aby to nie rzucało się w oczy. Po niedługim czasie prowadziliśmy już rozmowę w mieszkaniu p. Grzybalskich. Oprócz p. Grzybalskich wzięła w niej udział i Janka która dowiedziawszy się o naszych zamiarach potraktowała je jako

dowód wielkiego patriotyzmu, co upamiętniła wpisem do mojego pamiętnika: "Gdy Cię w życiu ktoś boleśnie zrani, a w sercu utworzy się blizna, pomnij, iż stokroć więcej cierpiała i cierpi Rozdarta Polska Ojczyzna".

W trakcie rozmowy dowiedzieliśmy się od p. Grzybalskiego, który mieszkając tak blisko granicy, był dobrze zorientowany w tym, co się dzieje w jej pobliżu, że granica, do niedawna dosyć łatwa do przekroczenia, jest obecnie dużo lepiej pilnowana, że przewodnicy, obsługujący przerzuty przez nią, obawiają się tego i że bardzo niechętnie podejmują się tak ryzykownych w tej chwili przedsięwzięć. Równocześnie dowiedzieliśmy się, że Węgrzy przyjmują u siebie obecnie prawie wyłącznie fachowców - oficerów i pomagają w ich przerzucie na zachód, zaś element wymagający przeszkolenia najczęściej zawracają do kraju. Postanowiliśmy mimo to, że spróbujemy zaryzykować. By ułatwić dalszą drogę, p. Grzybalski dał nam adres ewentualnej kwatery u znajomych w Bukowsku, o 26 km od Grabownicy, którzy mieli dopomóc w organizacji ostatniego etapu wyprawy. Do Bukowska przybyliśmy po południu, 3 grudnia, i zgłosiliśmy się pod wskazanym adresem. Jeszcze tego samego dnia odbyliśmy długą rozmowę z zaproszonym do nas przewodnikiem granicznym, który jednak powtórzył informacje, uzyskane od p. Grzybalskiego, usiłując nas zniechęcić do dalszej drogi, trochę nawet naszym zdaniem, przejawiając grożące nam niebezpieczeństwo. Przeprowadzenia przez granicę nie chciał się podjąć, udało się tylko uzyskać od niego dokładny szkic 15-kilometrowego odcinka do granicy wraz ze wskazówkami co do najbardziej bezpiecznej trasy.

Około południa, 4 grudnia, wyruszyliśmy na trasę ostatniego odcinka z Bukowska do góry Pasika, leżącej tuż przy granicy, a mającej wysokość 848 m. Wyszliśmy dosyć późno z takim wyliczeniem, by ostatni kawałek drogi, tuż przy granicy, pokonać już po zapadnięciu zmierzchu.

Uszliśmy już około połowy drogi do Pasiki, gdy niespodziewanie natknęliśmy się na bryczkę, w której jechał młody mężczyzna oraz powożący bryczką woźnica. Bryczka zatrzymała się obok, a jej pasażer wylegitymował nas i zapytał, co tu robimy. Zdziwił się usłyszawszy, że wracamy do domu, po ucieczce podczas działań wojennych. Mało to było prawdopodobne tłumaczenie dla niego, ale zobaczywszy nasze zdeterminowane miny oraz trzymane w kieszeniach ręce, zdecydował, że to prawda i życzył nam szczęśliwego powrotu do domów. Szczęśliwi, że przebrnęliśmy przez grożące niebezpieczeństwo, ruszyliśmy w dalszą drogę. Po mniej więcej godzinnym marszu, zorientowaliśmy się, że zbliżamy się do jakiejś wsi. Według danego nam szkicu mógł to być Wisłok Wielki, ale nie byliśmy tego całkowicie pewni. Marsz przez zalesiony teren, w świetle słońca, zbliżającego się ku zachodowi, trochę nas dezorientował. Gdy zatem przed nami pojawił się samotny wieśniak, którego ubiór świadczył, że może to być Łemek, nasz kolega Antoś Wesołowski, znający dobrze język ukraiński, postanowił spytać o nazwę wsi leżącej przed nami. Z wrażenia jednak pomylił mu się języki i zamiast ukraińskiego użył rosyjskiego. Łemek udał, że jest wszystko w porządku, tylko zdziwił się głośno, skąd tu wzięli się Rosjanie. Szybkim krokiem oddalił się do wsi, my zaś zorientowawszy się w pomyłce Antosia oddaliliśmy się w przeciwnym kierunku, ku widniejącej na uboczu górze. Gdy zaś usłyszeliśmy przed nami szum rzeki doszliśmy do wniosku, że rzeka to zapewne Wisłok, a góra to Pasika. Byliśmy zatem dosłownie o krok od wymarzonej granicy. Gdy jednak po niedługim czasie od strony wsi, w kierunku której poszedł napotkany Łemek, rozległy się strzały karabinowe, domyśliliśmy się, że to Łemek zaalarmował mieszkańców wsi, którzy teraz zorganizowali na nas obławę. Zaszyliśmy się szybko w jałowce, porastające zbocza góry, które nas zasłoniły przed pogonią, przesiadeliśmy zmarznięci przez kilka

nocnych godzin. Zaczął padać śnieg, wzmógł się wiatr, a nasze niezbyt ciepłe okrycia nie zabezpieczały zbyt przed złą zimową pogodą. Nie mogąc usnąć długo dyskutowaliśmy na tej górze nad tym, co mamy w tej sytuacji robić. Byliśmy przecież zdemaskowani przed Łemkami, którzy przez dużą część nocy nie zrezygnowali z poszukiwań o czym świadczyła głośna strzelanina. Po ewentualnym przekroczeniu granicy, zanim dotrzemy do terenów zajętych przez Węgry, musieliśmy maszerować niezły kawał drogi przez teren Słowacki, gdzie również nie brakowało chętnych do pomocy Niemcom. Gdy Kazio Stopa ofiarował się, że zrobi rekonesans terenu przed nami, pokwitowaliśmy to przyzwalającym milczeniem. Zaś kiedy wrócił do nas, po trwającej około godziny nieobecności, i zapytał, co postanowiliśmy, większość z nas wypowiedziała się za powrotną drogą. Czego nie mogli zrobić ludzie, straszący nas niebezpieczeństwami, dokonał śnieg, zimno oraz przeraźliwa noc spędzona niemal na granicy, przy wiejącym silnym i mroźnym wietrze. Postanowiliśmy wracać, ale każdy z nas miał to robić na własną rękę, udając powrót do Wojsławic z ewakuacji wojennej, zaś po powrocie mieliśmy informować wszystkich o swych pobytach u różnych krewnych, mieszkających poza Wojsławicami.

Rankiem 5 grudnia zrobiliśmy w tył zwrot i każdy z nas ruszył swoją własną drogą, tym razem w kierunku północnym. Ja osobiście tego dnia pokonałem odległość 29 km i na nocleg wylądowałem w Sanoku. Przez następne trzy dni wędrowałem tak: 6 grudnia zrobiłem trasę 25 km do Brzozowa, 7 grudnia przemaszerowałem zaledwie 11 km do Domaradza, zaś 8 grudnia dobiłem do Rzeszowa, pokonując tego dnia imponującą odległość 42 km. To był jednak wysiłek trochę ponad moje siły. W Rzeszowie, a więc w dość bezpiecznej odległości od granicy, postanowiłem odpocząć trochę i w tym celu skierowałem się do niemieckiego komendanta dworca kolejowego, by go prosić o zezwolenie na dalszy przejazd kursującym już pociągiem. Oczywiście

zełgałem w żywe oczy, że wracam do rodzinnych Wojsławic, po tułaczce wojennej. Zezwolenie takie, o dziwo, otrzymałem i dnia 9 grudnia pokonałem pociągiem odcinek drogi do Rudnika. Po noclegu w Rudniku ruszyłem 10 grudnia w dalszą drogę pieszo. Po odpoczynku w pociągu zrobiłem tego dnia 40 km marszu i dotarłem do Biłgoraja. Dnia 11 grudnia wyruszyłem z Biłgoraja w kierunku Frampola, ale zrobiłem tego dnia zaledwie 14 km, czując ogarniającą mnie gorączkę. Ponieważ do miejsca, gdzie mogłem zatrzymać się na wypoczynek i kurację, to jest do Krzczonowa, było z Frampola jeszcze 41 km, dalszą drogę odbyłem w ten sposób, że 12 grudnia przemaszerowałem 28 km do Wysokiego, zaś 13 grudnia - 13 km z Wysokiego do Krzczonowa, gdzie dobiłem z wielkim trudem późnym wieczorem i znalazłem się w gościnnym domu mego chrzestnego ojca, Pawła Muchy. Z gorączką wynoszącą gdzieś około 40 stopni przeleżałem od dnia 14 do 18 grudnia włącznie otoczony troskliwą opieką ciotki i sióstr ciotecznych. Gdy stwierdziłem, że czuję się już normalnie, dnia 19 grudnia przeniosłem się do leżącej o 6 km Lewandowszczyzny, gdzie spędziłem dwa dni u wuja Stanisława Marcinkowskiego na dalszej rekonwalescencji. W dniu 21 grudnia przebyłem 22 km drogą do Głuszczyzny, do dziadków Marcinkowskich, zaś 22 grudnia przemaszerowałem 9 km do Lublina, skąd tego samego dnia wyjechałem pociągiem do Chełma. Po noclegu w Chełmie, u rodziców mojej koleżanki Danki Wędołowskiej, dnia 23 grudnia odbyłem 27 km marsz do Wojsławic. Tak więc na dzień przed Wigilią "marnotrawny syn" powrócił, ku radości całej rodziny, może nie tyle zdrowy, ale cały, na jej łono. Święta spędziłem w domu. Dowiedziałem się, że moi koledzy też już powrócili do swych domów. Podsumowując muszę stwierdzić, że cała wędrówka w obie strony wyniosła 577 km, nie licząc oczywiście przejazdów pociągiem. W ten sposób rozpocząłem moją prywatną wojnę z Niemcami, która miała trwać, jak się okazało aż do 6 lutego 1947 roku, kiedy to zostałem zdemobilizowany z szeregów Ludowego Wojska Polskiego.



## 2. Noc i mgła

Po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku nadeszło święto Trzech Króli. Siedziałem w domu, odpoczywając jeszcze po trudach niedawnej wyprawy. Do naszego mieszkania zapukał gminny stróż Rodzik, by przekazać mi zaproszenie do stawienia się w urzędzie gminy. Dodał, że mam to zrobić niezwłocznie. Wychodząc z mieszkania, mieszczącego się w tym samym budynku, co i urząd gminy, zobaczyłem na ulicy stojący jakiś niemiecki samochód, nie skojarzyłem go jednak z moim wezwaniem.

Gdy wszedłem do biura gminy, stanąłem oko w oko z trzema umundurowanymi Niemcami. Ich wojskowe czapki leżały na biurku i były ozdobione trupimi główkami. Jeszcze wtedy nie miałem pojęcia, co one oznaczają. Wkrótce jednak doświadczyłem na własnej skórze, kim są moi rozmówcy. Byli to gestapowcy. Ten, który pełnił funkcję tłumacza, zapytał czy znam język niemiecki. Instynkt mi podszeptał, by się do znajomości niemieckiego nie przyznać. Jeden z nich rozpoczął przesłuchanie po niemiecku, za pośrednictwem tłumacza. Pytania dotyczyły niedawnej wyprawy mojej i kolegów na Węgry. Posługując się leżącą przed nim kartką, odczytał nazwiska wszystkich uczestników podróży oraz nauczyciela Mikołaja Tałandy i zapytał, czy ich znam. Gdy odpowiedziałem, że są to koledzy szkolni, bądź sąsiedzi z Wojsławic, otrzymałem polecenie wyjaśnienia, co robiłem w ciągu ostatniego miesiąca, gdy nie było mnie w osadzie. Równocześnie dodał, że chce wiedzieć, co robili koledzy, których przed chwilą wymienił. Ponieważ przed zadaniem każdego pytania gestapowiec uważnie studiował leżącą przed nim kartkę, domyśliłem się, że jego dosyć duża wiedza o wydarzeniach ostatniego miesiąca pochodzi właśnie z niej. Stojąc przed przesłuchującym miałem tę kartkę w pozycji "do góry nogami", lecz byłem dostatecznie blisko, by zorientować się, że jest napisana znajomym charakterem pisma pana

Feliksa Gr. byłego kierownika szkoły w Wojśławicach. Pan ten kiedyś, dla zostania kierownikiem szkoły, zmienił wyznanie, by stać się w ten sposób "najprawdziwszym" Polakiem. Zrozumiałem, co się stało, gdy przypomniałem sobie początek września 1939 roku, kiedy to odmówił on zakwaterowania w swoich dwóch domach uchodźców z Pomorza, mimo że mieszkał w nich jedynie z żoną Salomeą. Za czyn ten przesiedział całą dobę w areszcie gminnym, zaaresztowany przez mego ojca. Po tej odsiadce zapłacił jeszcze stosowną grzywnę, a w końcu i tak uciekinierów zakwaterować musiał. Donos, leżący przed gestapowcem, miał być chyba rewanżem na moim ojcu.

Idąc na wezwanie do gminy nie zwróciłem uwagi, że w klapie marynarki mam wpięty harcerski krzyż. Zainteresował on jednak natychmiast gestapowców i padło z ich strony pytanie: "Co to masz na piersi, tam?" Po moim wyjaśnieniu, zostałem zapytany, czy harcerstw jeszcze działa obecnie i gdzie byłem jego członkiem przed wojną. Odpowiedziałem, że wszystkie przedwojenne organizacje zawiesiły swą działalność z chwilą wybuchu wojny, że działałem w harcerstwie w Chełmie, a wcześniej przed dwoma laty, na Pomorzu. Po tych informacjach, jeden z gestapowców zaczął mocować się z krzyżem, chcąc go wyrwać z klapy, następnie wydał polecenie odkręcenia go, a po wyrwaniu mi krzyża z ręki, uderzył mocno w twarz, dodając, że to zapłata, że ośmieliłem się działać w patriotycznej organizacji polskiej na Pomorzu, które było i będzie znów niemieckie.

Badanie trwało około 2 godzin. Widocznie gestapowcy czekali na powrót stróża Rodzika, którego wysłali z taką misją, jak do mnie, również i do pozostałych kolegów. Gdy wrócił Rodzik, okazało się, że kolegów nie zastał w domu. Ode mnie udało się gestapowcom wydębić jedynie informację, że przez cały grudzień byłem u krewnych pod Lublinem, którzy zresztą mogą ten fakt na każde żądanie poświadczyć. Co zaś do kolegów, to nie mogę nic pewnego powiedzieć, bo

nie jestem przez nich poinformowany, co robili w tym czasie. Najlepiej wiedzą oni, gdzie byli, w każdym bądź razie nie byli nigdzie razem ze mną. Za tę informację odwdzięczyli mi się jeszcze kilkoma mocnymi uderzeniami w głowę oraz w część ciała, która do tego celu najczęściej służy.

Przed wyjazdem obarczyli mnie misją przekazania wymienionym przez nich osobom polecenia stawienia się wraz ze mną 9 stycznia rano w ich urzędzie w Chełmie. Przestrzegli, że w wypadku niestawienia się, odpowiedzialność za to poniosą nasze rodziny. Mnie nie zabrali ze sobą dlatego, że samochód miał tylko cztery miejsca, a ich razem z kierowcą było właśnie tylu.

To, że nie oberwałem gorszych batów, zawdzięczam zapewne przezorności, która kazała mi zataić przed Niemcami znajomość ich języka. W ten sposób, słysząc kolejne pytania, zadawane przez przesłuchującego po niemiecku, miałem za każdym razem chwilę czasu do namysłu nad odpowiedzią, zanim tłumacz powtórzy mi pytanie po polsku. W oczach Niemców wyglądało to, że odpowiadam "bez namysłu", więc mówię szczerze. Metodę tę, stosowałem konsekwentnie przy niezliczonych późniejszych przesłuchaniach, i chyba to sprawiło, że z całej paczki ja oberwałem stosunkowo najmniej. Jedynie gdy gestapowcom moja odpowiedź nie pasowała do posiadanych przez nich informacji, wówczas usiłowali doprowadzić do całkowitej ich zgodności swymi niezawodnymi metodami, czyli potężnym, a często i bestialskim laniem.

Ponieważ termin zgłoszenia się w gestapo mijał za trzy dni, mieliśmy dwa dni darowane, co umożliwiło nam ustalenie wspólnej wersji zeznań.

Z kolegami spotkałem się następnego dnia. Na spotkanie przyszedł i Mikołaj Tałanda, bo i jego dotyczyło gestapowskie wezwanie. Jedynie do Kazia Stopy, mieszkającego w oddalonym od Wojsławic o trzy kilometry Rozięcinie, udał się mój brat Zdzisław, mimo szalejącej wieczór śnieżycy i wzrastającego mrozu. Po morder-

czym marszu, z wielkim wysiłkiem i zmarznięty na kość Zdzisław dotarł do Kazia i poprosił o przybycie do Wojsławic, zapoznając go z grubsza, co się wydarzyło tego dnia w Wojsławicach

Nie będą opisywał tych dwóch dni dokładnie, w każdym razie udało się nam spotkać, uzgodnić co było do uzgodnienia, pożegnać z sympatiami i z rodzinami.

Korzystając z krótkiej chwili oddechu, dzielącej nas od dalszego ciągu wydarzeń, chciałbym zameldować cierpliwym czytelnikom, że z chwilą wstąpienia do tajnego zastępu harcerskiego i zorganizowania późniejszej wyprawy na Węgry, wkroczyliśmy wraz z kolegami na karty oficjalnej historii.

Leszek Siemion, autor książki "Z lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie", a prywatnie brat aktora Wojciecha, pisze w rozdziale "Początki konspiracji" na stronie 16, tak: "Inna podobna grupa harcerska powstała na terenie Wojsławic w powiecie chełmskim. Grupa ta między innymi podjęła próbę zbiorowego przedostania się na Węgry. Większość jej członków została jednak wkrótce zlikwidowana przez gestapo".

Trochę więcej o powyższych faktach napisano w książce "Szare Szeregi - Harcerze - 1939-1945". Na stronie 268, w tomie pierwszym trzypiętomowej książki, figuruje taka informacja: "W Wojsławicach /hufiec chełmski/ jesienią 1939 r., utworzono tajny zastęp pod opieką nauczyciela Mikołaja Tałandy. W skład zastępu weszli: Kazimierz Stopa, Jan Sitarz, Kazimierz Olichwier, Antoni Wesołowski. Adolf Kusy, 9 stycznia 1940 r. zostali oni aresztowani i wywiezieni na Zamek lubelski. W czasie transportu do Niemiec uciekł Stopa i kilku jego kolegów. Stopa po powrocie do Wojsławic zorganizował nową harcerską komórkę, nawiązując jednocześnie kontakt z hufcowym w Chełmie Marianem Pilarskim oraz organizacją wojskową. W grudniu 1943 r. został Stopa ponownie aresztowany i wywieziony do obozu pracy w Niemczech".

Zaś w monografii "Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939-1944", na stronie 89, tak skwitowano te same fakty: "Nie mniej bohaterską przeszłością może się poszczycić Męska Chorągiew Harcerska. W 1940 r. aresztowany został komendant Chorągwi Aleksander Wojna i odesłany do obozu w Sachsenhausen, a następnie Dachau. Wówczas komendantem "Szarych Szeregów" w Lublinie został nauczyciel z Tomaszowa Lub., harcerz Rzeczypospolitej - Władysław Smoleński. I on wpada w ręce gestapo w Chełmie, przetransportowany na Zamek zostaje tutaj zamordowany w nieznanych okolicznościach. Pozostawił po sobie pamięć wspaniałego harcerza i instruktora, ofiarnego działacza i bezkompromisowego bojownika o wolność kraju po klęsce wrześniowej. Wśród licznych nazwisk harcerzy, znanych z różnych relacji, odczytujemy nazwiska: Andrzeja Chrząska /nauczyciel z Izbicy, odbity w Celestynowie z transportu do Oświęcimia/, Henryka Dalmaczyńskiego /uczeń z Lublina, rozstrzelany w Oświęcimiu/, Stanisława Duńskiego /nauczyciel, komendant hufca w Białej Podl., odesłany na Majdanek/, Jana Dusia /student z Kraśnika, harcmistrz - zginął w Oświęcimiu/, Sławomira Jurgi /student z Tczewa, harcerz zaangażowany w konspiracji ZWZ-AK, odebrał sobie życie na Zamku/, Antoniego Kurowskiego /uczeń z Lublina, powieszony w masowej egzekucji w Kurowie w dniu 6 marca 1944 r./, Czesława Newelskiego /student z Chełma, rozstrzelany w czerwcu 1940 r./, Michała Oktaby /uczeń z Tomaszowa Lub., zginął w Oświęcimiu/, Mariana Paprockiego /uczeń z Lublina, zamordowany na Zamku w marcu 1944 r./, Zbigniewa Siuchty z Lublina /rozstrzelany 22 lipca 1944 r./, Kazimierza Stopy z Wojsławic w pow. chełmskim - aresztowanego z opiekunem miejscowej drużyny - nauczycielem Mikołajem Taładą i całą grupą młodych harcerzy m.in. z Antonim Wesołowskim, Adolfem Kusym, Janem Sitarzem, /uciekł z transportu do Sachsenhausen/, Stefana Strawińskiego, ucznia z Lublina /członka tajnego kręgu starszoharcerskiego w Żyrzynie w pow. Puławy

- przeszedł przez obóz na Majdanku/, Tadeusza Tomerskiego /uczeń z Krasnegostawu - przeszedł przez liczne obozy/, Bronisława Ważnego z Grabowca w pow. chełmskim /zginął w dniu 22 lipca 1944 r./ i wielu innych".

Wróćmy teraz do bohaterów naszych wydarzeń. Dali oni również świadectwo prawdzie. W książce "Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego 1939-1944" we wspomnieniu "Polnische Legionen", Kazio Stopa tak relacjonuje dzień 9 stycznia 1940 r., kiedy na wezwanie gestapo stawiliśmy się w Chełmie: "Dnia 9 stycznia 1940 roku był siarczysty mróz. Zaspy na szosie i ostry wiatr ze wschodu dały się nam porządnie we znaki. Licho odziani, przemarznięci do szpiku kości, niezbyt sprawnie gramoliliśmy się z sań, ponaglani do pośpiechu. Sanie zatrzymały się przed niedużą kamienicą z czerwonej cegły przy ul. Dreszera w Chełmie. Tutaj mieściło się gestapo. Popchnięty kopniakiem, znalazłem się wewnątrz budynku. Wąskimi schodami weszliśmy na pierwsze piętro. Ustawiono nas rzędem pod ścianą, nakazując milczenie. Obok mnie stał Janek Sitarz, następnie Kazik Olichwier, Antek Wesołowski, Adolf Kusy i Mikołaj Tałanda - nasz wychowawca, nauczyciel. Staliśmy dość długo. Byłem zaniepokojony i trochę ciekawym, co z nami zrobią. Domyślaliśmy się, że sprawa dotyczy naszej eskapady na Węgry oraz może mieć coś wspólnego z przynależnością do harcerstwa. Zaczęto wywoływać nas po nazwisku. Pierwszy za drzwiami pokoju znikł Tałanda. Długi czas nic nie było słyhać, później krzyk klątwy i monotonne postukiwanie maszyny. Po dwu godzinach, może później, wywołano Adolfa Kusego. I znów oczekiwanie. Trwało to cały dzień. Gdy przyszedł kolej na mnie, był już mrok".

W tym początkowym fragmencie więziennej epopei Kazio zapomniał o dwóch jeszcze osobach z poza naszego grona, które znalazły się wraz z nami w poczekalni gestapo.

Jedną z nich był mój ojciec, który chciał swoją obecnością dodać nam ducha, a którego jako policjanta gestapowcy nie wyprosilili i przez cały czas wielogodzinnych przesłuchań pozwolili mu na pobyt w pobliżu nas.

Drugą osobą był pan Feliks O. Ten robiąc dobrą minę do złej gry zaczął gorączkowo wyjaśniać mojemu ojcu, że został tu wezwany, ponieważ gestapo posądza go o to, że był inspiratorem naszych poczynań, i że przypisuje mu rolę naszego "generała" /jak się w ferworze wyraził/. Gdy jednak po długich badaniach, późnym wieczorem, przewożono nas do więzienia chełmskiego, pana "generała" nie było wśród nas i on, według niego, najbardziej chyba obciążony uczestnik rozmów z gestapo, dojeżdżał zapewne już do Wojsławic, ponieważ został prawie natychmiast przesłuchany i zwolniony do domu.

O stopniu pobicia nas tego dnia przez gestapowca, noszącego imię "Andreas", z zawodu chyba boksera ciężkiej wagi, sądząc po sile jego ciosów, niech świadczy fakt, że gdy wracałem z przesłuchania stawałem twarzą do ściany obok tych, którzy jeszcze oczekiwali na swoją porcję "gestapowskich pieśczot", ani koledzy, ani ojciec nie poznali mojej opuchniętej twarzy. Podobnie, po kolejnych operacjach, wyglądali również pozostali koledzy.

Czas do 19 stycznia, spędziliśmy w "komfortowym" więzieniu chełmskim, prawie o głodzie, pracując w wolnych chwilach przy wyładunku węgla dla więzienia, co przy bardzo silnym mrozie było wyjątkowo nieprzyjemne i ciężkie. Kazio Stopa, który przy pierwszym przesłuchaniu, coś poplątał, jak sam to określił, miał niewątpliwą przyjemność spędzenia dodatkowych "uroczych" chwil w towarzystwie gestapowców przy ulicy Dreszera. Ponieważ jednak w końcu jakoś udało mu się uwiarygodnić w ich oczach, dali mu spokój, i w nagrodę dołączyli i jego do wyładunku platform z węglem. Jedynym sympatycznym z zapamiętanych momentów z pobytu w tym więzieniu, były rozlegające się wieczorami dźwięki skrzypiec. Dziwiło to nas bardzo, tym bardziej, że skrzypek prawie bez przerwy grał jeden utwór:

marsza żałobnego. Grał zresztą bardzo dobrze, można było poznać, że smyczek prowadzi ręka prawdziwego mistrza. Jak się wkrótce dowiedzieliśmy od polskiego strażnika, zginął jeden z esesmanów, pogrzeb miał się odbyć w asyście kompanii honorowej SS, przy dźwiękach marsza żałobnego, więc nasz nieznany wirtuoz przygotowywał się do tej ceremonii. Gdy wreszcie nastąpiła "premiera" skrzypka-wirtuoza, niemymi świadkami tej uroczystości byliśmy my, bo odbywała się ona tuż za oknami naszej celi. Przyznać muszę, że skrzypek grał pięknie, a w naszych uszach marsz żałobny chyba nigdy w życiu nie brzmiał tak wesoło, jak wtedy. Pikanterii tej niesamowitej scenie mógł dodać fakt, że skrzypek był, tak jak i my, więźniem, aresztowanym w jakimś lokalu za granie patriotycznych utworów.

Wreszcie nadszedł dzień 19 stycznia. Gdzieś około godz. 14, po zjedzeniu skromnego więziennego posiłku, wyprowadzono nas z więzienia. Było wszystkich dziesięciu razem z nami, skuto nas kajdankami po dwóch i poprowadzono do położonego tuż naprzeciwko dworca kolejowego. Pilnowani troskliwie dotarliśmy już o zmierzchu do Lublina. Żeby nam nie było zbyt duszno, podczas oczekiwania na pojazd z więzienia na Zamku, zostawiono nas na peronie dworca, twarzami do ściany budynku.

Gdy wreszcie, po dosyć długim czasie nadjechała karetka, nie dowiozła nas aż do Zamku, ponieważ ostatni odcinek drogi był zasypany śniegiem. Drogę od ul. Lubartowskiej przez Kowalską przebyliśmy pieszo i gdy wreszcie znaleźliśmy się za kolejną bramą, przed kancelarią więzienną, doznaliśmy ze strony przyjmujących gestapowców bardzo gorącego przyjęcia. Repertuar tej ceremonii był urozmaicony, a poszturchiwanie oraz kopanie i bicie po twarzy należało jeszcze do najłagodniejszych z form powitania.

Po załatwieniu przyjęcia, ponieważ już dawno było po więziennej kolacji, wsadzono nas "na głodniaka" do małej celi na parterze starej baszty, zapewne pamiątki jeszcze z czasów królewskich. Noc



była pełna niepokoju o jutro, tym bardziej, że ktoś poinformował nas, że w baszcie mieszczą się cele śmierci, i że stąd można skróconą drogą powędrować w ostatnią podróż. Gdy więc następnego dnia zabrano nas dla dokończenia formalności przyjęcia, gdy ubrania zabrano do tak zwanej parówki, czekaliśmy już z niejaką ufnością w sercu, że to najgorsze jeszcze nie jest nam pisane, chociaż oczekiwaliśmy przeszło trzy godziny nago, w zimnej sali.

Na chwilę oddam głos Kaziowi Stopie, który w swej relacji "Polnische Legionen", na stronie 87 tak kontynuuje opowieść o naszym losach: "Kiedy byliśmy już ubrani, przyszedł oficer SS. Czarny, z dużym krogulczym nosem, znany był wśród więźniów pod przezwiskiem "Krzywonos". Wskazał palcem na mnie, Antka Wesołowskiego i Adolfa Kusego i kazał iść za sobą. Poprowadził nas w kierunku lewego skrzydła Zamku". Okazało się, że zostaliśmy posadzeni do celi złożonej z kryminalistów, o czym świadczył zarówno ich wygląd, jak i zachowanie. Prym w celi dzierżyli dwaj recydywiści, Siczek i Niedźwiedź, skazani podobno na dożywocie, ale którym w perspektywie groziła śmierć. W celi tej byliśmy przez kilka dni. Mieliśmy okazję przekonać się tu o pewnych niepisanych regułach gry, które w tym zbrodniczym środowisku były bardzo rygorystycznie przestrzegane. Gdy któryś z nas trzech stwierdził pewnego ranka, że znikł mu schowany pod poduszką kawałek chleba, Siczek zadał groźne pytanie: "Który to sk..syn zeżarł koledze więziennej niedoli chleb?", a jeden z więźniów swoim zachowaniem nasunął podejrzenie, że nie ma czystego sumienia, Siczek porwał ciężkiego buta i zaczął okładać z pasją winowajcę po głowie, krzyząc: "Pierwszym prawem w więzieniu, jest, że nie będziesz okradał swojego współtowarzysza, a tym bardziej z jedzenia. Złamałeś to prawo i powinieniem Cię za to zabić". I chyba uczyniłby to, co powiedział, bo w rejestrze własnych win miał zapisaną niejedną cudzą śmierć, ale na nasze wstawiennictwo, przerwał

egzekucję i kazał winowajcy nam podziękować za uratowanie mu życia.

Kazio w swej relacji stwierdza: "Na drugi dzień, po śniadaniu, wszedł do celi człowiek, spisujący wczoraj nasze personalia. Zapytał, którzy to są sztubacy z Chełma. Antek z Adolfem wystąpili, ja się nie ruszyłem, gdyż uważałem, że nie jestem żadnym sztubakiem - Chodźcie ze mną - powiedział - przejdziecie do innej celi. W tym momencie pociemniało mi w oczach, nie byłem zdolny wykrztusić słowa, zostałem znów odizolowany od przyjaciół. Całą noc płakałem. Gdy w następnym dniu ów mężczyzna znów przyszedł, wyprowadził mnie na korytarz i zapytał, dlaczego nie zgłosiłem się. Dodał, że załatwił nam celę, w której siedzą więźniowie polityczni. Drzwi celi 35 stanowiły zakończenie korytarza od strony wschodniej w lewym skrzydle Zamku. Podkreślam to specjalnie, gdyż takie usytuowanie wejścia miało duży wpływ na organizację życia wewnątrz celi. Gdy przekroczyłem jej próg, oszołomiła mnie nie tyle jej wielkość, ile liczba znajdujących się w niej mężczyzn. Na nasz widok obróciły się wszystkie twarze, a Antek z Adolfem podbiegli, ściskając mnie serdecznie, jakbyśmy nie widzieli się od lat".

Ówczesny komendant celi, prof. Stefan Wojciechowski, publikując swoje wspomnienia "Cela nr 35" w "Roczniku ogniska nauczycielskiego w Lublinie" nr 4 z 1972 r., tak odnotował fakt przeniesienia nas do swej celi: "Dnia 25 stycznia przybyli do naszej celi trzej młodzi ludzie: siedemnastoletni uczeń Adolf Kusy, pochodzący z Wojsławic, szesnastoletni uczeń Kazimierz Stopa, który podał, że jest rolnikiem, oraz Antoni Wesołowski, osiemnastoletni uczeń Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie".

Pomiędzy wspomnieniem Kazia Stopy, a zapisem prof. Stefana Wojciechowskiego, zachodzi mała niezgodność w datach naszego przeniesienia do celi nr 35. Rozstrzygam ją na korzyść zapisu prof. Wojciechowskiego, gdyż ze wspomnienia Kazia wynika, że w celi kry-

minalnej byliśmy tylko jeden dzień, co jest pomyłką. Z Chełma przyjechaliśmy 19 stycznia wieczór, 20 stycznia po noclegu w baszcie, dano nas do celi kryminalistów. Według Kazia ja z Wesołowskim przeszedłem do celi nr 35 dnia 21 stycznia, on zaś 22 stycznia. Występuje różnica trzech dni w stosunku do zapisu prof. Wojciechowskiego, ale przecież Kazik zapomniał o wydarzeniu opisanym przeze mnie z Siczkiem, które miało miejsce najwcześniej na drugi lub trzeci dzień pobytu w celi kryminalnej, czyli 21 lub 22 stycznia, a pamiętam, że po tej scenie w celi jeszcze byliśmy tam chyba dwa dni. Prof. Wojciechowski we wszystkich pozostałych momentach swoich wspomnień udowodnił niesłychaną wprost dokładność w podawaniu faktów czemu się nie należy dziwić, gdyż prowadził na bieżąco zapis wydarzeń związanych z pobytami na Zamku, więc trudno przypuszczać nawet, by mylił się właśnie on.

Poza Kazikiem Stopą i prof. Stefanem Wojciechowskim, o naszym pobycie na Zamku, mówi nauczyciel Władysław Ułanowski w książce "Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego 1939-1944", we wspomnieniu zatytułowanym "Trudno zapomnieć i przebaczyć", w czterech następujących fragmentach:

1. "Przebywałem w celu 32, a na koniec w celi dla więźniów politycznych - 36, z której 17 czerwca 1940 roku zostałem zwolniony. Wcześniej 28 maja, byłem przesłuchiwany. Miałem siedem miesięcy na to, by poznać lubelski Zamek, jego opiekunów i dolę współtowarzyszy".
2. "Niektórzy znów przechodzili parodię sądu. Musieli stać w zimnym korytarzu, byli tylko poszturchiwani, ale wracali z wyrokiem, który później był ogłaszany. Tak na przykład było z grupą młodzieży z Wojsławic oraz z ich nauczycielem Mikołajem Tałandą.

3. "Należałem do grupy, którą tworzyli przeważnie mieszkańcy powiatu chełmskiego, a między innymi kolega Tałanda z Wojsławic, były poseł na Sejm Hołysz ze Strupina Dużego i komendant posterunku Sierpiński z Pokrówki. Przyłączył się do nas Wnuk z Zamojskiego i ksiądz jezuita, wychowawca elewów Seminarium Duchownego".
4. "W czasie mego pobytu w Zamku więźniowie byli dwukrotnie wywiezieni do obozów. Pierwszą grupę stanowili księża z biskupem ~~Tuch~~ Fulmanem i Goralem na czele, drugą - młodzieńcy z Wojsławic z nauczycielem Tałandą, wywiezieni do Reichu na roboty. Jak mi wiadomo, nie wszyscy tam dojechali: Stopa i Wesołowski uciekli z transportu, a Tałanda przeżył Oświęcim". Tu dodam od siebie, że nie tylko Oświęcim, bo przez przeszło cztery lata poznał dobrze geografię kilku obozów koncentracyjnych w Rzeszy.

Przeżył wszystko najgorsze i wytrzymał, bo był człowiekiem o wielkiej wytrzymałości fizycznej i psychicznej, więc nie uległ załamaniu, które wielu więźniów obozów wykończyło nieraz lepiej, niż śmierć z ręki katów.

W zacytowanych powyżej fragmentach wspomnień Władka Ułanowskiego dwa z nich wybiegają trochę naprzód, bo jeden mówi o sądzie na Zamku, drugi zaś o wywozie do Rzeszy. Jak doszło do obu tych wydarzeń, napiszę, gdy przyjdzie na to właściwy moment.

Zakończyłem naszą opowieść w chwili wkroczenia na kwaterę w celi nr 35. Miała ona stanowić nasze mieszkanie do dnia 2 czerwca, kiedy to wywieziono nas na roboty do Saksonii. Zadomowiliśmy się szybko w nowej celi i zaczęliśmy żyć jej życiem. Nasi pozostali dwaj koledzy: Kazik Olichwier i Janek Sitarz, zostali dołączeni do nas dużo później zdaje się, że już po wizycie Hansa Franka, czyli po 6 marca.

Gdyby nie monografia "Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939-1944" miałbym po tylu latach dużo większe kłopoty z ustaleniem faktów i wydarzeń tamtego czasu. Szczególnie trudno byłoby oddać pewne rzeczy, decydujące o atmosferze panującej wśród więźniów, o ich życiu na co dzień, o ich kłopotach i zmartwieniach. Mając jednak gotowy materiał, opracowany przez zespół redakcyjny Klubu Byłych Więźniów Politycznych Zamku Lubelskiego i "Pod Zegarem", mogę pokusić się, pogrzebawszy trochę we własnej pamięci, o podjęcie próby pewnego rodzaju krótkiego podsumowania.

Stefan Wojciechowski, wówczas nauczyciel Państwowego Pedagogium, w swoim wspomnieniu "Cela nr 35", wymienia wśród 131 więźniów tej celi 57 nauczycieli i 6 profesorów uniwersyteckich. Pozostali więźniowie to: księża, adwokaci, sędziowie, wojskowi, działacze polityczni i gospodarczy, wreszcie tak jak my - uczniowie. Był to, jak wiemy, przełom lat 1939-1940, byliśmy więc wszyscy jednymi z pierwszych ofiar hitlerowskich represji w stosunku do narodu polskiego.

Cela nasza, jak widać z liczby więźniów, była dosyć duża, chociaż, jak nam mówili strażnicy polscy, przed 1939 rokiem była przeznaczona dla stanu osobowego znacznie mniejszego, co najmniej o połowę, jeżeli nie więcej. W lewym rogu celi znajdowały się drzwi. Na jednej ze ścian stał duży kaflowy piec. Druga ściana, naprzeciw okien, była zastawiona drewnianymi ramowymi wieszakami z hakami. Pod oknem stały długie ławy i kilkanaście taboretów. Na ścianie, na prawo od wejścia, wisiało kilka wąskich półeczek oraz stał długi stół i kilka drewnianych krzeseł. Cela miała drewnianą podłogę. Potrzeby fizjologiczne w nocy załatwialiśmy do dużych kibli, stojących przy drzwiach. W dzień byliśmy w tym celu gromadnie wypuszczani do ustępu. Ustęp znajdował się w połowie długiego korytarza. Kabiny nie miały drzwi. Nie pamiętam, czy umywalnia miała wejście

z ustępu, czy z korytarza. Tu dokonywaliśmy porannych zabiegów higienicznych, tu myliśmy swoje menażki i łyżki. W oczach Tadeusza Czajki szybki powrót z ubikacji miał elementy komiczne. "Po toalecie jeden punkt programu dziennego był załatwiony. Trochę były jeszcze w robocie klucze, trochę śmiesznych scen przy zganianiu z ustępów, trochę komicznych podskoków, z zapinaniem w biegu spodni i właściwie jest już spokój".

Niemal wszyscy więźniowie we wspomnieniach podają, że na Zamku panował głód. My więźniowie polityczni i zakładnicy mieliśmy sytuację i tak trochę lepszą, niż tak zwani więźniowie pospolici. Nas dokarmiał Polski Czerwony Krzyż, co niejednego ratowało przed chorobami wynikającymi z niedożywienia.

Nie od razu wystąpiły szykany ze strony władz więziennych. Można było wychodzić do ustępu, na spacer, raz w tygodniu do łaźni, wolno było otrzymywać przesyłki z domu. Z czasem zaczęły się rygory i szykany. Spacer przy polskich strażnikach mógł być przyjemnością, przy niemieckich był zawsze udręką. Jedną z udręk była konieczność współżycia z więźniami kryminalnymi. W celach, gdzie przebywała wyłącznie inteligencja, w większości zakładnicy polityczni, starszymi celi byli profesorowie, adwokaci itp. i sami ustalali, za aprobatą celi, porządek tu obowiązujący. Nasz "wódz" np. prof. Wojciechowski, wydał zarządzenie, by nie rozkładać zbyt szybko sienników, bo powoduje to duży kurz, opracował nową "naukową" metodę rozkładania, do której wszyscy się dostosowali.

W więzieniu znaleźli się ludzie o różnych osobowościach, ukształtowanych, jeśli chodzi o ludzi starszych, ale byli liczni młodzi ludzie, których osobowość kształtowała się dopiero w więzieniu. Wielu z nas, młodych, mogło nazwać pobyt w więzieniu "uniwersytetem życia". Współżycie było bardzo koleżeńskie, choć bywały i spory.

Pomogano sobie i unikano sytuacji zadrażniających. W celach inteligentnych kwitło bujne życie kulturalne. Początki jego miały częstokroć swe źródło w luźnych, swobodnych rozmowach dwóch, trzech osób, mających zbliżone zainteresowania. Do rozmówców przyłączało się coraz więcej przysłuchujących i zupełnie nieuchwytnie rozmowa przekształcała się w opowieść, anegdotę, w prelekcję i wykład tych, którzy mieli dobrą pamięć i umieli mówić interesująco. W ten sposób pogadanki spontaniczne zmieniały się w wykłady zorganizowane. Rozszerzał się krąg tematyczny zagadnień. Prowadzono nawet lekcje i wykłady akademickie, w zależności od potrzeb więźniów. Pogadanki wywoływały nieraz gorące dyskusje. Były one szczególnie pożyteczne dla młodzieży. Była to po prostu szkoła zastępcza, ze świetnymi profesorami.

Oprócz pogadanek i wykładów organizowano również wieczory artystyczne. Stefan Wojciechowski pisze, że od przypadkowych dyskusji doszło do świadomie organizowanych wykładów i występów artystycznych. Wiersze, zagadki, ogłoszenia, czytano najczęściej po przewidzianej na dany dzień prelekcji naukowej. Był też żartobliwy dziennik wieczorny. Na przykład pod datą 3 lutego 1940 r. podano taką informację: "Dziś ożywiło się. Naraz sześciu współtowarzyszom poszło o miednicę. Po dłuższej dyskusji postanowiliśmy ją przedziurawić". Albo taka informacja: "Na dziedzińcu ukazała się kobieta. Zdzisio, zobaczywszy ją przez okno, zemdlał".

Osobny rozdział w naszym więziennym życiu stanowili polscy strażnicy, którzy nawet z narażeniem własnego życia pomagali nam, jak umieli i mogli. Wielu z nich rzeczywiście za to zapłaciło swym życiem. "Na roboty" wolno było wychodzić tylko więźniom pospolitym i to po wyroku. Strażnicy często ten przepis omijali. Ułanowski przebywający w okresie 1939/40 jako więzień polityczny, pisze:

"Pilnował nas strażnik w mundurze polskin, który przymykał oczy na wiele sytuacji". Ułanowski, jak mi wiadomo, mimo zakazu, pracował na terenie więzienia, a nawet często i poza nim.

Ucieczki z więzienia były niemożliwe, ale podczas naszego pobytu niemożliwe stało się faktem. Gdzieś pod koniec maja 1940 r. zbiegli nocą Siczek i Niedźwiedź, w których celi siedzieliśmy krótko na początku więźniarskiej kariery.

Początkowo na Zamek zaczęli przychodzić żołnierze niemieccy i na ich rozkaz strażnicy otwierali cele, ustawiano się jak do apelu i meldowano celę odwiedzającym. Odwiedziny takie nazywaliśmy między sobą wycieczkami do ZOO.

Mieliśmy również, poza wizytami ciekawskich Niemców, podczas naszego pobytu, dwie wizyty na wysokim szczeblu. Do jednej z nich doszło 14 lutego 1940 r., kiedy to, po posiedzeniu w urzędzie szefa dystryktu lubelskiego, jego uczestnicy, a więc: Seyss-Inquart, minister Rzeszy i zastępca Generalnego Gubernatora, Zörner, Globočnik i inni wyżsi urzędnicy władz administracji i policji, chcąc sobie sprawić przyjemność, odwiedzili więzienie na Zamku i byli w naszej celi. Zobaczywszy naszą młodocianą grupę i usłyszawszy określenie nas przez gestapowców więziennych słowami "Polnische Legionen", bardzo się, z tak groźnie wyglądających "legionistów", serdecznie uśmiali.

Druga wizyta odbyła się niespełna miesiąc później, bo 6 marca 1940 roku, i była dla naszej grupy w skutkach bardziej brzemienna od pierwszej. Cała nasza szóstka, z Takandą na czele, była już po serii wielu ciężkich przesłuchań w lutym, gdy podczas więziennego spaceru, na dziedzińcu Zamku pojawiła się dość liczna grupa Niemców, wśród których kilku nosiło mundury generalskie. Jeden z nich, a był to, jak się później dowiedzieliśmy, sam gubernator generalny Hans Frank, zobaczywszy wśród spacerujących kilku "szczeniaków", zainteres-



sował się nami. Polegało to na tym, że zapytał naczelnika więzienia o rodzaj naszej sprawy i o wyniki śledztwa. Po odpowiedzi, że śledztwo właściwie jest na ukończeniu, lecz nie odbyła się jeszcze rozprawa sądowa., ku naszemu zdziwieniu i zdumieniu, wydał polecenie by śledztwo szybko zakończyć, sprawę oddać do sądu, a wyroki przesłać mu do Krakowa, do zatwierdzenia. Nie było chyba w dotychczasowej praktyce lubelskiego gestapo takich obyczajów, gdyż widać było zdziwienie również i na twarzach lubelskich notabli gestapowskich, ale pan każe, a służa musi. W ciągu reszty marca i w kwietniu poddano nas dodatkowej intensywnej obróbce śledczej i gdzieś na początku maja sprawę naszą skierowano do gestapowskiego sądu. Niedługo, bo już około połowy maja, do celi weszło trzech gestapowców, odczytując nasze nazwiska. Zaprowadzili nas na pierwsze piętro obok kaplicy. Tu w małym holu, twarzą do ściany, staliśmy bardzo długo. Pilnował nas na zmianę Schmidt i Neumann. Nie wolno było rozmawiać, ani poruszać się. Już późnym popołudniem wprowadzono nas do sali, gdzie za stołem, nakrytym zielonym suknem, siedzieli oficerowie. Staliśmy w szeregu przed niemieckim sądem doraźnym. Odczytano nam wyrok. Otrzymaliśmy najwyższy wymiar kary.

Od dnia sądu oczekiwaliśmy, co postanowi gubernator Frank, któremu, zgodnie z wyrażoną wolą, wysłano wyroki do Krakowa. Byliśmy przygotowani na najgorsze, gdy 31 maja polski strażnik zawiadomił nas poufnie, że za kilka dni zostaniemy zabrani z Zamku na transport

Rankiem 2 czerwca nazwiska nasze zostały wyczytane przez gestapowców, z poleceniem zabrania wszystkich swoich rzeczy. Wśród wyczytanych nazwisk niestety nie było Mikołaja Tałandy. Jeszcze nie wiedzieliśmy, jaka jest decyzja Franka, ale domyśliliśmy się, że skoro każą nam zabrać swoje rzeczy, nie czeka nas śmierć, lecz coś innego. Wydało się nam rzeczą pewną, że skoro nie wyczytano Mikołaja, los jego będzie odmienny od naszego, ale jaki, mieliśmy

się dopiero dowiedzieć. Gdy nas wyprowadzono do bramy i dołączono do bardzo licznej grupy więźniów, odczytano wyroki i decyzję Franka która brzmiała mniej więcej tak, że jesteśmy dostatecznie młodzi i głupi, więc możemy swe winy wobec Rzeszy odpokutować, pracując na roli w Niemczech. Co do Takandy Łaska wyglądała trochę inaczej: jako całkiem dorosłemu Frank zamienił karę śmierci na obóz koncentracyjny.

Tego samego dnia ze stacji Lublin odszedł transport z robotnikami do Zwickau w Saksonii, liczący 415 osób, w tym 117 kobiet.

Prawie równo w miesiąc później, 30 czerwca 1940 r. z więzienia odszedł transport do obozu w Sachsenhausen, liczący około 800 osób. Wśród wywiezionych znalazł się nasz kolega i przyjaciel, Mikołaj Takanda, który przeszedłszy przez wiele obozów, został w 1945 r. wyzwolony i wrócił do kraju. Po powrocie do jakiegoś takiego zdrowia pracował jeszcze kilka lat jako nauczyciel w Wojsławicach, zaś po przejściu na emeryturę, zamieszkał z rodziną w Warszawie i tu, po paru dalszych latach, zmarł.

Ale wybiegłem trochę do przodu, więc muszę się cofnąć do chwili opuszczenia Zamku. Po jego opuszczeniu, wyjechaliśmy samochodami na dworzec kolejowy, gdzie załadowano nas do pociągu z transportem robotników do Rzeszy. Pilnowany przez uzbrojonych Niemców pociąg ruszył ze stacji Lublin w kierunku Dęblińska.

Jeszcze przed wyruszeniem w drogę, czterej moi koledzy zdecydowali się na ucieczkę z transportu, zanim pociąg nie oddali się zbyt daleko od Lublina i nie nabierze zbyt wielkiej szybkości.

Moje plany były diametralnie inne. Liczyłem na to, że rodzice, po uzyskaniu mojego adresu w Niemczech, rozpoczną kroki w kierunku zwolnienia mnie z Rzeszy. Myślałem, że już nie będąc w gestii gestapo, lecz Arbeitsamtu, będę mógł być łatwiej od pobytu na robotach w Niemczech uwolniony. Nie uśmiechał mi się zresztą niepo-

trzebne w tej sytuacji narażanie na skręcenie karku przy nieudanym skoku z pędzącego pociągu lub przypadkową kulą od eskorty transportu, więc postanowiłem dojechać do miejsca przeznaczenia, a później wrócić stamtąd w mniej lub więcej legalny sposób.

Gdy tylko pociąg ruszył z dworca w kierunku Dębłina wszystko odbyło się, jak koledzy sobie zaplanowali. Pierwszy uczynił to Kazio Stopa, i zapłacił za to pierwszeństwo dużą cenę: przez dłuższy czas musiał leczyć swoje zwichnięte, czy złamane ramię. Następni trzej koledzy: Kazio Olichwier, Janek Sitarz i Antoś Wesołowski, widząc co stało się z Kaziem Stopą po nieudanym skoku, wyciągnęli z tego właściwe wnioski i ich skoki odbyły się w bardziej udany sposób. Ponieważ Niemcy zauważyli, że zaczyna im gwałtownie ubywać "siły roboczej", konwojenci wzmogli czujność i zaczęli ostrzeliwać wyskakujących.

Podróży do Rzeszy nie pamiętam dokładnie, ponieważ, gdy od Dębłina pociąg skierował się na południowy zachód, zasnąłem. Gdy się obudziłem rano byliśmy już w okolicy miasta "Hirschberg", czyli po prostu dzisiejszej Jeleniej Góry. To był dzień 3 czerwca 1940 roku. Następnego dnia pociąg nasz dotarł do miasta Chemnitz /w późniejszym okresie historycznym zwanego w NRD Karl Marx-Stadt/. Tu zetknąłem się ze zjawiskiem, które bez obawy popełnienia większej pomyłki mogę określić jako "targ niewolników", bo natychmiast skojarzyło mi się ze znanymi z literatury targami niewolników w Ameryce.

Wyładowano nas z pociągu i zawieziono do dużych zakładów przemysłowych. Tu oczekiwali na nas "kupcy", którzy podchodzili do dostarczonej siły roboczej, sprawdzali muskuły, zaglądali w zęby, interesowali się przydatnością zawodową, potrzebną do wykonywania ciężkiej pracy w zakładach przemysłowych Saksonii. Nie rwałem się do pracy w przemyśle, więc unikałem "kupców", by się któremu nie

spodobać. Udało mi się to tym łatwiej, że na Samsona to ja nigdy nie wyglądałem, a tym bardziej po pięciomiesięcznym pobycie w ciężkim więzieniu. Gdy po kilku godzinach większość transportu została rozparcelowana, pozostałych wpakowano do pociągu i zawieziono do miasta Zwickau, naszego docelowego miejsca przeznaczenia. Tu odbył się ponowny "targ niewolników", tylko z nieco innymi aktorami. Na dworcu oczekiwali nas przedstawiciele rolnictwa: ci z majątków dużych i okoliczni rolnicy indywidualni. Z przyczyn, opisanych przed chwilą, nikt z szukających robotników do dużych majątków, nie reflektował na mnie, bo tam potrzebowali ludzi silnych, znających dobrze pracę w gospodarstwach rolnych, ja zaś nie spełniałem żadnego z tych warunków. Gdy targ zbliżał się ku końcowi i nie było już w czym przebierać, wzrosły szanse rolników indywidualnych na otrzymanie pracowników i wzrosły moje szanse, że trafię do jednego z takich gospodarstw. Jeden z pozostałych na placu boju, starszy człowiek, będący tak na oko mniej więcej w wieku mojego dziadka, o dobrodusznej twarzy, idąc wzdłuż pozostałych do rozdziału robotników interesował się jedynie znajomością języka niemieckiego u potencjalnych kandydatów. Niedługo z nich tę sztukę posiadało, tak więc, gdy zbliżył się do mnie i zadał mi takie samo pytanie, otrzymałem ode mnie odpowiedź twierdzącą. Wziął mnie za rękę i poprowadził do przedstawicieli "Arbeitsamtu", czyli "Urzędu Pracy", by dopełnić oficjalnej ceremonii przejęcia mojej osoby w swoje posiadanie. Okazało się, że mój "nabywca" zwię się Bernhard Baumgärtel i że mieszka we wsi Grosszöbern pow. Plauen. Wtedy jeszcze nie zdałem sobie sprawy dokładnie kto kogo sobie wybrał: czy pan Baumgärtel mnie, czy ja jego spośród setek potencjalnych kandydatów na mego pana. Pewności, że to wybrałem ja jego, nabrałem już po krótkim pobycie w jego gospodarstwie.

Jadąc wtedy, 5 czerwca 1940 r., do Grosszöbern, wdał się ze mną w rozmowę, która chyba miała na celu zbadanie stopnia mojej znajomości języka niemieckiego. Chociaż, jak już pisałem, znałem ten język dość dobrze z Pomorza, w rozmowie z moim gospodarzem rozumiałem niezbyt wiele. Słyszałem, że słowa są niemieckie, ale trochę jakieś inne, których dotychczas nie miałem okazji poznać. Im byliśmy bliżej domu, tym więcej zacząłem rozumieć mowę swego gospodarza. Jak się okazało później, miejscowi mówili gwara zwaną dialektem vogtlandzkim, zwanym tak od nazwy tej części Niemiec, leżącej na pograniczu Saksonii i Bawarii, przy autostradzie z Plauen do Hof, w górzystej i lesistej krainie, zwanej Vogtland. Uprzedzając wypadek mogę stwierdzić, że po upływie mojego dwumiesięcznego pobytu w Reichu, dialektem posługiwałem się dosyć dobrze. Choć tu dodać jeszcze jedno wydarzenie, które miało miejsce w 25 lat później, to jest 11 sierpnia 1965 roku, kiedy to zwiedzając NRD, na zaproszenie mieszkającego od lat w Berlinie mieszkańca Saksonii, Horsta Müllera, zawitaliśmy do jego szwagra, który mieszkał nadal w Saksonii w Oberwiesenthal. Frieder, bo takie imię nosił szwagier Horsta, podziwiając moją znajomość języka niemieckiego w rozmowie ze mną i Horstem świadomie użył kilku słów w dialekcie vogtlandzkim, śmiejąc się ze szwagra, że chociaż Niemiec, nie zrozumiał zapewne o czym mowa. Horst rzeczywiście nie był w stanie rozszyfrować znaczenia zasłyszanego zdania, zrobiłem to jednak ja, ku ogólnemu zdumieniu i ku wielkiej radości Friedera. Gdy uchyliłem rąbka tajemnicy, dziwiono się, że przez tyle lat pamiętam poznany w 1940 roku dialekt.

Ale nie galopując w przyszłość, wróćmy do ówczesnie dziejącej się historii mojego pobytu w Grosszöbern. Gdy wreszcie dobiliśmy do miejsca przeznaczenia okazało się, że jest to dosyć duże gospodarstwo, w którym przed moim przybyciem zatrudnieni byli: gospodarz Bernhard Baumgürtel z żoną, której imienia dziś nie pamiętam, jego

syn Alfred z żoną Dorą, wnuczka Trautel, trochę młodsza ode mnie, i wnuk Hellmut, też prawie mój rówieśnik. Gdy obecni dowiedzieli się, że mówię po niemiecku, zostałem zasypany pytaniami, z treści których wynikało, że gospodarze zostali poinformowani przez "Arbeit samt", iż jestem "ochotnikiem" z Generalnej Guberni do pracy w Rzeszy. Pytano mnie również, czy pracowałem w rolnictwie. Żona gospodarza zainteresowała się moim dosyć mizernym wyglądem i zapytała o przyczynę tego. W tej chwili "strzelił we mnie piorun". Powiedziałem więc całą prawdę o rzekomym "ochotniczym" zaciągu do Rzeszy, zaś gdy dodałem do tego, że urwałem się niemal spod szubienicy i jadę wprost z więzienia na Zamku w Lublinie, gdzie byłem głodzony i maltretowany przez gestapo przez pięć miesięcy, cała rodzina Baumgärtela na wyścigi zaczęła się uzalać nad moim losem. W wyniku takiego stosunku do mnie, wkrótce zacząłem wracać do jakiejś takiej formy fizycznej i psychicznej. I tak: gospodyni z miejsca zaczęła stosować sobie tylko znaną metodę dożywiania mnie, zamieszkałem w osobnym pokoiku na piętrze, przez ścianę z pokoikiem wnuczki Trautel, Alfred i Dora oraz wnukowie dostali od babci pouczenie, że od tej chwili bierze mnie pod swoją opiekę i że muszą być oszczędzani przy wykonywaniu obowiązków w gospodarstwie. Takie postawienie sprawy sprawiło, że poczułem się u Baumgärtlów nie jak niewolnik, jakiego że mnie chciała zrobić Trzecia Rzesza, lecz jak pełnoprawny członek rodziny, otoczony sympatią i przyjaźnią wszystkich.

Natychmiast, za wiedzą i aprobatą gospodarzy, napisałem list do rodziców w Wojsławicach - podając zarówno adres obecnego zamieszkania, jak i informację o pierwszych, bardzo życzliwych kontaktach z gospodarzami. Mimo życzliwości gospodarzy, tęskniłem do niewidzianych od pięciu miesięcy rodziców, braci oraz pozostałych członków

rodziny. Gdy zorientowałem się, że praca na roli, mimo mechanizacji gospodarstwa, nie jest lekka ani łatwa, prosiłem rodziców by "zadziakali" i wyciągnęli mnie stąd możliwie jak najszybciej. Znajac treść tego listu, gospodarz osobiście go zaadresował alfabetem gotyckim i własnoręcznie zaniósł na pocztę, nadając jako list polecony.

Chyba nie później, niż na trzeci dzień pobytu w Grosszöbern przyjechali goście z Plauen. Był to przedstawiciel Arbeitsamtu, który przybył wraz z wachmistrem żandarmerii oraz fotografem. Zrobiono mi ładne zdjęcie, ozdobiwszy mnie przedtem plaketką z literą "P". Pytano ile odbitek fotografii mają zrobić dla mnie i rodziny. Przedstawili wachmistrza, jako mojego urzędowego opiekuna, kazali mi stale nosić na ubraniu otrzymaną plaketkę z literą "P". Za nie-noszenie jej mogę zostać ukarany. Zapoznano mnie z odpowiednim paragrafem prawa rasowego, zakazującym kontaktów seksualnych z Niemkami pod karą śmierci.

Gdy nieproszeni goście opuścili gospodarstwo Baumgärtli, miałem okazję przekonać się, jak patrzą moi gospodarze na polecenia, zakazy i nakazy, które otrzymałem. Najpierw dali mi wyraźnie do zrozumienia, że plaketkę z literą "P" mam nosić stale w kieszeni, bo nie chcą, by mnie miejscowi nacjonaliści szykanowali za to, że jestem Polakiem. Tak więc do końca pobytu w Rzeszy plaketkę przypinałem jedynie wtedy, gdy na horyzoncie pojawiał się mój opiekun z żandarmerii.

Również w początkach pobytu byłem świadkiem, jak dziadek Baumgärtel manipulował wieczorami przy radioodbiorniku, szukając radiostacji francuskich, a gdy już którą nastawił usiłował coś zrozumieć z komunikatów wojennych przez te radiostacje nadawanych. Zapytał mnie, jakiego obcego języka uczyłem się w gimnazjum. Gdy dowiedział się, że był to język francuski, zostałem od tej chwili jego nadwornym tłumaczem. Informacje o pogromach armii francuskiej

przez hitlerowską przyjmował przekleństwami. Okazało się, że zacny mój gospodarz, podczas pierwszej wojny światowej, jeszcze jako żołnierz cesarski, zawędrował do Francji, języka wprawdzie nie zdażył się dobrze nauczyć, ale pobyt jego tam zaowocował wielkim sentymentem do wszystkiego, co jest francuskie. Jak wielki był to sentyment pojąłem najlepiej, gdy 14 czerwca, na wiadomość o wkroczeniu Niemców do Paryża, gospodarz mój nawet nie usiłował ukryć przede mną <sup>(czym?)</sup> żalu, i bezsilnego gniewu na Hitlera, nazywając go bezczelnym "freitrem", który pcha się wszędzie nieproszony, prorokując, że kiedyś za to zapłacą ci wraz ze swymi pomocnikami.

Wnuczka pana Baumgärtla, Trautel, też nie chciała być zbyt lojalną obywatelką. Szczególnie nie podobało się jej obowiązujące prawo rasowe. Mając sypialnię obok mojej, wpadała często do mnie, robiąc aluzje, że nie miałyby mi za złe, gdybyśmy razem spróbowali to prawo złamać. Gdy przypomniałem jej, jakimi konsekwencjami za to grozili oficjalni przedstawiciele władz, odrzekła że przecież nikt nie musi o tym wiedzieć. Rasowego prawa nie złamaliśmy, bo nie zdażyliśmy, gdyż mój pobyt u nich trwał tylko do początku sierpnia, a poza tym nie chcieliśmy jednak narazić się na konsekwencje, gdyby ktoś zorientował się, jakie stosunki nas łączą. Dodać mogę jeszcze, że wiele razy, podczas jej wizyt u mnie, granica hitlerowskiej przyzwoitości była nieraz o krok od przekroczenia. Dzielił nas od tego zaledwie przysłowiowy włos.

Stopniowo stałem się siódmym członkiem rodziny Baumgärtlów i to do tego stopnia, że Hellmut stał się zazdrosny. Mówił często, że od chwili, gdy ja jestem u nich, on przestał się prawie liczyć jako wnuk, że jestem po prostu lepiej traktowany od niego, szczególnie przez babkę. Była to lekka przesada, ale zazdrość zaistniała naprawdę i mogła spowodować między nami niepotrzebne komplikacje. Poza tą sprawą Hellmut był dla mnie dobrym kumplem, starając się ze swej strony umilić mi pobyt u nich. Kiedyś powiedział mi, że w sąsiedniej



wsi pracują jakieś dwie polskie robotnice, i że mogę tam wybrać się z nim, by zawrzeć z tymi dziewczętami znajomość. Wybraliśmy się tam na rowerach, a że znaczka "P" nie używałem, a na sobie miałem stary mundurek Hellmuta z Hitlerjugend /organizacja młodzieży, do której przynależność była obowiązkowa/, podarowany mi przez babkę po odpruciu różnych dystynkcji, co pozbawiało go jego urzędowego charakteru, mogłem od biedy uchodzić za miejscowego chłopaka. Babka sprezentowała mi ten mundurek stwierdziwszy, że moje ubranie, po przebytych więzieniu, nie nadaje się do dalszego użytku. Tak ubrany umówiłem się z Hellmutem, że nie ujawni mojej tożsamości, dopóki ja na to nie wyrażę zgody. Gdy wreszcie weszliśmy do znajomych Hellmuta, u których te polskie dziewczyny pracowały, popatrzyły na nas obu i wymieniły głośno między sobą uwagi o nas, pewne że ich i tak nikt nie zrozumie. Stwierdziły, patrząc na Hellmuta, że tego jednego to już znają, bo czasem tu bywa, ale tego drugiego Niemca /mowa o mnie/ widzą pierwszy raz. Uwagi zostały wygłoszone w najczystszy ukraińskim języku. Można sobie wyobrazić zdumienie zaskoczonych dziewcząt, gdy usłyszały ode mnie po polsku, że trudno by znały "tego drugiego Niemca", skoro jest on Polakiem z pow. chełmskiego, który przyjechał tu przymusowo, do pracy. Ochłonawszy z zaskoczenia, już po polsku, powiedziały mi że pochodzą z Chełmszczyzny, są Ukrainkami i przyjechały tu dobrowolnie. Widziałem się z nimi jeszcze chyba dwa razy. Witały mnie radośnie, bo wreszcie, nie znając zbyt dobrze niemieckiego, mogły do kogoś otworzyć buzię.

Przyzwyczałem się do rodziny Baumgärtlów, oni do mnie zresztą też, coraz łatwiej pracowało mi się przy sianokosach i żniwach. W połowie lipca otrzymałem list z domu informujący mnie o krokach poczynionych dla mojego powrotu do kraju. Niedługo zresztą, na parę dni przed końcem lipca, pojawił się mój opiekun - żandarm,

wręczył mi zamówione na początku pobytu odbitki zdjęć, oraz powiedział, że za kilka dni muszę zgłosić się w Arbeitsamcie w Plauen, ponieważ mają do mnie ważną sprawę urzędową. Gdy po pierwszym sierpniu stawilem się w Plauen, w towarzystwie dziadka Baumgärtla, dowiedzieliśmy się, że na wezwanie telegraficzne z Arbeitsamtu lubelskiego mam tam pojechać na jakiś czas, celem wyjaśnienia bliżej nie określonych spraw, związanych z moim pobytom w Rzeszy. Na czas mojej nieobecności przydzielono Baumgärtlowi francuskiego robotnika.

Po naszym powrocie z Francuzem do Grosszöbern, nikt z rodziny nie miał wątpliwości, że już nigdy tu nie wrócę, więc żegnali się ze mną serdecznie, mówiąc, że gdyby w okupowanej Polsce było ciężko żyć mam natychmiast do nich wrócić, by przebyć z nimi najgorszy okres. Po oficjalnych, lecz miłych, pożegnaniach, Trautel wpadła na moje pięterko, by "osłodzić" sobie nasz moment rozstania. Zapewnieniom o sympatii dla mnie nie było końca, no i serdecznym, ale z konieczności bardzo braterskim pocałunkom.

Po powrocie do Polski, w dniu 5 sierpnia 1940 r., dowiedziałem się szczegółów mojej afery zwolnieniowej. Wyglądała ona mianowicie w ten sposób, że nasza mama "podkupiła" kochankę szefa Arbeitsamtu w Lublinie, ten zaś zobowiązał się do urzędowego wezwania mnie do kraju pod warunkiem, że po powrocie nie zgłoszę się do niego, gdyż musiałby odesłać mnie do Rzeszy. Niby przez "roztargnienie", jak później wyjaśniał, w telegramie zapomniał podać, że mam przyjechać pod eskortą. Urząd w Plauen tym bardziej o tym nie pomyślał, skoro Lublin o to nie prosił. Tak więc wróciłem do Wojsławic sam, pociągiem pospiesznym. Po pewnym czasie nastąpiła krótka wymiana korespondencji między obu Arbeitsantami, która wyjaśniła jedynie, że wskutek nieporozumienia skorzystałem z błazji i zwolniłem się z robót rolnych "na własną rękę". W niecały miesiąc później ojciec przeniósł się służbowo do posterunku w Siedliszczu, by zniknąć z oczu pana Feliksowi C.

- ~~124~~ -

### 3. Żołnierz "Wehrmacht" "Prusy"

W ostatnim zdaniu poprzedniego rozdziału stwierdziłem, że opuściliśmy Wojsławice, przemaszając się do Siedliszcza, między innymi dlatego, by panu Feliksowi C... nie przyszło do głowy podzielić się swoimi wątpliwościami na temat mojego szybkiego powrotu z robót w Rzeszy, z władzami niemieckimi. Obawialiśmy się jego donosicielskiej recydywy.

Zanim opuściliśmy na dobre Wojsławice, co miało miejsce parę dni po 10 września 1940 roku, przebywając w gronie przyjaciół i kolegów, poznałem pewnego młodego żołnierza Wehrmachtu. Nie byłoby zapewne o czym pisać, gdyby ten człowiek nie pochodził z Wrocławia, nie nosił polskiego nazwiska Alfred Statnik i nie mówił ani słowa po polsku. Alfred opowiedział mi, że jego rodzina jest pochodzenia polskiego, zaś swoją nieznaną języczna polskiego zawdzięcza wczesnemu sieroctwu i wychowaniu przez macochę - Niemkę. Na pożegnanie, w dniu 9 września 1940 roku, wpisał się do mojego pamiętnika, oraz zwierzył się, że marzy o tym, byśmy kiedyś po wojnie spotkali się we Wrocławiu, w celu nauczenia go języka jego rodziców. Za kilka miesięcy jednak, w czerwcu 1941 roku, bezlitosne rozkazy posłały go na rozległe przestrzenie Rosji; skąd chyba nie powrócił, bo nie miałem później od niego żadnego znaku życia...

Już dzień po naszym wyjeździe z Wojsławic, osada była widownią wielkiego pożaru, w którym spłonęła spora jej część i to ta zamieszkała przez ludność żydowską.

Po przyjeździe do Siedliszcza dowiedzieliśmy się, że dzień przed naszym przybyciem również i tu był pożar, który zniszczył <sup>(część)</sup> osady tuż obok domu, w którym zamieszkaliśmy.

Można powiedzieć, że mieliśmy szczęście w nieszczęściu.

Csada Siedliszcze leży o 2 kilometry od szosy Lublin-Chełm, przy czym do Chełma jest 24 km, zaś do Lublina 49 km. Jedąc przez Chełm pokonaliśmy odległość około 50 km. Od Siedliszcza do Doruchuczy, przez którą przepływa rzeka Wieprz, było 12 km.

Ludność tutejsza składała się wówczas z przedstawicieli tych samych nacji, co i w Wojsławicach, jedynie o nieco zmienionych proporcjach: Polaków było około połowy, pozostałą połowę stanowili mniej więcej w równych ilościach Ukraińcy i Żydzi. Był tu kościół katolicki, brakowało jednak cerkwi. Brakowi temu zaradzili szybko miejscowi Ukraińcy, zamieniając kościół na cerkiew, oczywiście przy pomocy niemieckich protektorów. Od tej chwili budynek plebanii zaczął spełniać funkcję katolickiej kaplicy.

Zamieszkawszy w nowym miejscu, pragnąc pozbyć się imienia, noszonego również przez wodza najeźdźców, postanowiłem sięgnąć po swoją metrykalną rezerwę. Najłatwiej poszło z nowymi kolegami i znajomymi: przedstawiałem się jako Edward i wszystko było w porządku. Gorzej było z krewnymi, a najgorzej z najbliższą rodziną. Czego nie mogłem osiągnąć u nich perswazją, dokonałem swoistym strajkiem: gdy ktoś zwracał się dotychczasowym imieniem udawałem, że to nie do mnie. Najbardziej "zatwardziała" pod tym względem okazała się babcia Ludwika, która najdłużej żyła przeszłością i ani rusz nie mogła zrozumieć, że ma obecnie nowego wnuka Edwarda. Ale w końcu padła i ta ostatnia twierdza. Mogłem stwierdzić z dumą za poetą: umarł Adolf, narodził się Edward.

Już od pierwszego momentu nawiązałem koleżeńskie kontakty z miejscową młodzieżą, które w kilku przypadkach przerodziły się później w przyjaźń trwającą do dziś. Z licznego grona mogę wymienić w pierwszym rzędzie dzieci komendanta posterunku policji Krefta, pochodzącego z Pomorza. Pan Kreft był Kaszubem z dziada pradziada, przed

wojną był policjantem w Toczewie, a po wypędzeniu pełnił funkcję komendanta w Siedliszczu. Kreft w pewnej chwili poczuł się Niemcem, lecz nie szczycił się tym zbyt przed obywatelami Siedliszcza. Właściwie sprawa wyszła na jaw, gdy Trzecia Rzesza postanowiła skorzystać ze swych praw i sięgnęła po najstarszego syna Edmunda, by go ubrać w niemiecki mundur i kazać mu walczyć za Vaterland. Póki te sprawy nie ujawniły się, dzieci Krefta, a więc wspomniany Edmund, Albin, Pelagia, stały się członkami młodzieżowej paczki, do której należeli jeszcze, oprócz nas: Henryk i Marian Mazurkowie, synowie podoficera zawodowego z pułku w Lublinie, których mama, pani Helena, właścicielka sklepu z artykułami kolonialnymi, stała się w tym czasie najlepszą przyjaciółką naszej mamy; bracia Ludwik i Marian Juścińscy, Janek Młynarczyk, Irek Josz, Staszek Szajewski, Irka Kuśmierowicz z siostrą i bratem, Krysia Kicińska z bratem, Celina Słepicka, siostry Żukowskie, Lonka i Regina, Marian Nazaruk, Danka - sympatia brata Irki Kuśmierowicz, Helena Toczek, córka policjanta z Pomorza. Było jeszcze sporo innych osób, które włączyły się w zgrane, koleżeńskie grono. Korzystając z licznych imienin, spotykaliśmy się bardzo często na wspólnie organizowanych zabawach i wieczorkach tanecznych, na których przygrywali różni znajomi muzycy, a wśród nich pięknie grający na akordeonie Edmund Kreft. W zimie chodziliśmy wspólnie na ślizgawkę lub na inne zimowe zabawy. Z tego okresu mam sporo fotografii, wykonanych przez Henia Mazurka, stanowiących swego rodzaju dokumentację tamtych dni.

W owym czasie nie zapomnieli o mnie również koledzy z dawnych lat. Pracując jako pomocnik dróżnika na szosie Lublin-Chełm, we wspomnianej przed chwilą Dorohuczynie nad Wieprzem, spotkałem Władka Ulanowskiego, kolegę z Zamku, zatrudnionego przy obsłudze maszyn wydobywających torf na sąsiednich łąkach. Odwiedził mnie w Siedliszczu i spędziliśmy miły wieczór na wspominkach z niedawnego wspólnego pobytu w więzieniu. Kolejnym gościem, 11 listopada 1940 roku, był

Janek Kozłowski z Wojsławic. Dnia 6 grudnia odwiedził nasz dom stary znajomy rodziców z Piask, młynarz, pan Pędrak, wraz z synem Lucjanem, zaś 18 stycznia 1941 roku gościem moim stał się kolega z internatu w Chełmie, z którym się bardzo przyjaźniłem, Wittek Pielek, uzdolniony malarz i rysownik. Z fotografii, przywiezionej z pobytu w Rzeszy, zrobił mi udany portret ołówkiem oraz zostawił kilka widoczków z pojezierza włodawskiego, gdzie mieszkał, również własnej produkcji.

Przed chwilą wspominałem o pracy w charakterze pomocnika dróżnika w Dorohuczycy. Doszło do niej wkrótce po przyjeździe do Siedliszcza, ponieważ miała stanowić dla mnie alibi przed żowcami siły roboczej z Arbeitsamtu. Do moich zadań należało pilnowanie i rejestrowanie prac wykonywanych, przy naprawie wspomnianej szosy, przez miejscowych rolników, w ramach tzw. szarwanku.

Podejmując tę pracę nie miałem pojęcia, że człowiek, który mnie do niej skierował, działa jako członek organizacji K.C.P., która miała w tym terenie, jak się później okazało, dość licznych zwolenników. W momencie, gdy na tej szosie, stanowiącej jedną z głównych dróg, prowadzących z Rzeszy na Wschód, rozpoczął się wzmożony ruch jednostek Wehrmachtu, mój protektor zjawił się i poprosił o przysługę. Miałem, korzystając z tego, że jestem przez cały dzień na szosie, dokonywać rejestracji niezliczonych kolumn niemieckich samochodów, artylerii i czołgów. Zostałem pouczony przez mego rozmówcę, że w tym celu muszę jedynie zwracać uwagę na symbole, wymalowane na pojazdach niemieckich, i rejestrować ich ilość, w poszczególnych grupach, według tych symboli. Dane te odbierał codziennie ode mnie, przekazując je dalej, w sobie tylko wiadome miejsce. W ten sposób, znając tylko jedną osobę, stałem się współpracownikiem siatki wywiadowczej K.C.P., składającej się z wielu podobnych do mnie informatorów. Nie zdawałem sobie sprawy,

że wykonywałem pierwsze zadania w podziemnym wywiadzie, nie będąc oficjalnie do tej organizacji wprowadzony. Myślałem, że było to zapewne wynikiem ostrożności, bo owemu protektorowi znane były przeżycia mojej niedawnej jeszcze przeszłości. Pracę tę wykonywałem w czasie poprzedzającym napaść hitlerowską na Związek Radziecki, mającą miejsce 22 czerwca 1941 roku o godzinie 3.15, aż do momentu, gdy z początkiem września 1941 roku wyjechałem do Lublina, by tam rozpocząć naukę w szkole handlowej. Jak dowiedziałem się po wojnie, dane zbierane przez wywiad stanowiły podstawę do sporządzania meldunków zbiorczych o ruchach wojsk niemieckich, które poprzez organizacyjne centrale trafiały do Londynu, a za jego pośrednictwem również i do Moskwy. Stalin te ostrzeżenia zlekceważył i wybuch wojny z niedawnym sojusznikiem był dla niego wielkim zaskoczeniem.

Z licznej grupy młodzieży Siedliszcza, wkrótce zaczęło się tworzyć bliższe grono przyjaciół. Z początku przyjaźń połączyła mnie z Edmundem Kreftem i Heniem Mazurkiem, więc w trójkę spotykaliśmy się częściej i prowadziliśmy wiele rozmów na różne tematy. Kiedyś, na przedwiośniu, Henio Mazurek powiedział mi, że przyjaźni się z dziewczyną z Warszawy, Krystyną Żurek, która w lecie 1940 roku bawiła w Siedliszczu z ojcem oraz siostrą Haliną. Od tej pory prowadził z nią dosyć ożywioną korespondencję, na dowód czego pokazał mi jeden z jej ostatnich listów. Chwalił ją za mądrość, koleżeństwo, podziwiał jej poglądy na życie, które zresztą, też podzielał. Ponieważ z Heniem łączyły mnie również wspólne poglądy, zainteresowałem się listami Krystyny i po przeczytaniu kilku z nich, za wiedzą Henia, napisałem do Warszawy długi list o przyjaźni łączącej mnie z nim, o tym, że nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, stąd więc znam jej listy oraz historię ich znajomości, że chciałbym i ją zaliczyć do bliskiego mi grona przyjaciół, tym bardziej, że wiem iż mamy takie same poglądy na wiele spraw. W odpowiedzi otrzymałem serdeczny list od Krysi, witający w mojej osobie potencjalnego druha

oraz zapowiadający jej przyjazd do Siedliszcza na początku zbliżającego się lata. Rozpoczęła się wzajemna korespondencja, dość bogata w treść i dostatecznie częsta, bo nieraz w tygodniu wymienialiśmy po dwa lub trzy wielostronnicowe listy. Wreszcie, któregoś dnia, chyba na początku czerwca 1941 roku, jeszcze przed wybuchem wojny hitlerowsko-sowieckiej, Henio oznajmił mi, że dziś przyjechała Krysia z Warszawy i chce wieczorem spotkać się z nami na łąkach za targowiskiem. Od pierwszej chwili, gdy ujrzałem Krystynę, będąc w towarzystwie Henia i Edmunda, wiedziałem, że spotkałem w swym życiu nareszcie dziewczynę, z którą warto będzie zawrzeć bliższą znajomość. Na całe prawie lato, do naszej trójki, dołączyła Krysia, i stała się jej ozdobą oraz gorącą rzeczniczką jeszcze większego zacieśnienia naszych przyjacielskich kontaktów. Bywaliśmy wszędzie razem, spotykaliśmy się w przeróżnych miejscach, gdzie poza nami nie bywał nikt z pozostałych kolegów. Naszym znakiem rozpoznawczym stała się ulubiona przez Krysię melodia Stanisława Moniuszki "Prząśniczki". Wystarczyło tę melodię zanucić lub zagwizdać, a już pojawiała się Krysia i pozostali członkowie naszej paczki. Przyznam się szczerze, że wówczas nikomu z nas trzech nie przyszło do głowy, że to co nas łączy jest czymś innym, niż przyjeźdź, ale dziś zdaję sobie sprawę, że przynajmniej w moim przypadku oraz Krysi było to coś więcej: jeszcze nie uprzytomnione w pełni, ale w każdym momencie wyczuwalne, rodzące się uczucie miłości. Gdy Krysia, wraz z siostrą Haliną, opuściła Siedliszcze, chyba w końcu lipca lub w połowie sierpnia /szczęśliwi godzin nie liczą, więc proszę mi wybaczyć, że nie pamiętam dokładnej daty/, niezwłocznie wznowiliśmy swoją wymianę listów, chociaż tym razem i z listów Krysi przebijał jakiś inny ton, odmienny od tego, który miały przed naszym zapoznaniem.

Przyszedł wrzesień 1941 roku. Ja z Heniem wyjechaliśmy do Lubliki gdzie zamieszkałem wraz z nim w lubelskim mieszkaniu jego rodziców, zaś Edmund wyjechał z Siedliszcza do Lwowa, po zajęciu go przez Niemców i wcieleniu ~~go~~ do Generalnej Gubernii, gdzie ubrano go



natychmiast w mundur i wcielono do formacji nazwanej "Sonderdienst". Rozpoczęła się wkrótce częsta korespondencja z nim, trwająca do lutego lub marca 1943 roku, kiedy to poniósł śmierć, walcząc za nie swoją sprawę. Mundek do końca był Polakiem, mimo noszonego munduru, myślał po polsku i pisał serdeczne a zarazem patriotyczne listy. Śmierć jego była dla naszej paczki niepowetowaną stratą, a dla ojca pana Krefta, stała się wielkim wyrzutem sumienia z powodu popełnionego przez niego zdrady narodowej, który towarzyszył mu aż po śmierć, w kilka lat po zakończeniu wojny.

Dnia 10 września rozpoczęliśmy obaj z Heniem naukę w Prywatnej Szkole Handlowej w Lublinie, której właścicielem i dyrektorem był Władimir Borodajko, ukraiński działacz, lecz podejrzewam, że ta jego ukraińskość miała podłoże bardziej koniunkturalne niż ideologiczne. Świadczyć o tym mógł choćby tylko skład osobowy ciała pedagogicznego tej szkoły. Byli to bez żadnego wyjątku Polacy i jak się później, w trakcie nauki, okazało, patrioci prowadzący pod przykrywką szkoły handlowej normalny program przedwojennego gimnazjum. Z nieczytelnych podpisów na pierwszym świadectwie, otrzymanym 13 stycznia 1942 roku, odcyfrowałem takie nazwiska, jak: ks. mgr Jan Fiuta, Franciszek Kwak, Mszczonowski, Jarosławska, Kosmowska, Korczak, Rzepczanka. Wybiegając trochę naprzód, dodam, że do tej samej szkoły uczęszczali później moi bracia: od 1 września 1942 roku - Zdzisław, zaś od 1 września 1943 roku - Tadeusz. Szkołę tę ukończyłem 12 czerwca 1942 roku, zaś Zdzisław w czerwcu 1943 roku.

Równocześnie z początkiem nauki w Szkole Handlowej rozpoczęliśmy z Heniem pracę w Urzędzie Pocztowym Lublin 1, przy ul. Krakowskie Przedmieście, ja w dziele kasowym, on zaś w telegrafii.

Któregoś z pierwszych dni pobytu w Lublinie, idąc ulicą Krakowskie Przedmieście, spotkałem się niespodziewanie z kolegą więzonym z Zamku, nauczycielem Stefanem Świątkiem, z którym jeszcze podczas wspólnego pobytu w tej samej celi nr 35 prowadziliśmy nieraz

gorące dyskusje. On zazwyczaj, jako bardziej doświadczony ode mnie, bo starszy o 15 lat /urodzony 3 marca 1907 roku/, brał przeważnie górę. Teraz, wspomniawszy przez chwilę wspólne przeżycia zaledwie sprzed roku i poinformowawszy się wzajemnie o obecnych losach /Stefan był nauczycielem w szkole specjalnej/ oraz adresach, rozstaliśmy się. Na pożegnanie Stefan zaprosił mnie do siebie na ul. Wyszyńskiego, w celu kontynuowania pogawędki. Powiedział, że będziemy mieli więcej swobody i czasu, aby porozmawiać. Następnego dnia zawitałem do jego mieszkania. Był sam. Chwilę jeszcze rozmawialiśmy o mojej szkole u Borodajki, o pracy w urzędzie pocztowym, o kolegach szkolnych i w pracy, gdy niespodziewanie Stefan zapytał: "Czy orientujesz się, że są ludzie, którzy prowadzą nadal walkę z Niemcami w szeregach organizacji podziemnych? Czy masz może z nimi jakiś kontakt?" Na tak postawione pytania przypomniałem Stefanowi o mojej przynależności do tajnego harcerstwa w Wojsławicach, o wyprawie na Węgry i dodałem, że po pobycie na Zamku i w Rzeszy, do tej pory nic nie robię w tej dziedzinie, nie licząc owej drobnej przysługi, zrobionej mojemu protektorowi w przededniu wybuchu wojny radziecko-niemieckiej, ale tego nie mogę przecież traktować jako kontakt z organizacją podziemną. Chętnie włączę się do takiej działalności, bo mam niewyrównane rachunki z Niemcami, ale przecież konspiratorzy nie noszą na czole informacji o swej działalności i do tej pory nie udało mi się z nikim skontaktować, pomimo dobrych chęci.

"To się dobrze składa, że masz do tych spraw taki stosunek. Znam twoje poglądy, poznałem cię dobrze podczas wspólnej odsiadki, wiem że nie jesteś tchórzem i że chciałbyś dalej walczyć, więc mam dla Ciebie propozycję. Należę do organizacji "Miecz i Pług", w której mam coś do powiedzenia, więc jeżeli chcesz, porozumiem się z osobą, która może podjąć decyzję o twej przynależności do tej organizacji" - powiedział

- ~~13~~ -

Stefan i umówił się ze mną na spotkanie następnego dnia po pracy w jego mieszkaniu.

O oznaczonej godzinie wchodziłem z bijącym mocno sercem do mieszkania Stefana. Czekał na mnie decyzyjnie kierownictwo organizacji. Była w moim odczuciu, wyrokiem przesądzającym dalsze losy. Gdy wszedłem do mieszkania, stwierdziłem, że nie jesteśmy sami. Przy stole siedział ciemnowłosy mężczyzna, w wieku przybliżonym do wieku Stefana. Zostałem przedstawiony przez Stefana, jako ten właśnie, na którego oczekiwali. Nieznajomy powiedział krótko: "Jestem "Władek" znam pana, kolego, z relacji "Wujka", /to jest Stefana/ i podzielałem jego zdanie, że zasługuje pan w pełni na to, by zostać naszym członkiem. Proszę obrać sobie pseudonim i złożyć na moje ręce przysięgę. Zadania pańskie będzie określał "Wujek" i z nim będzie pan utrzymywał ścisły kontakt. Wiem, że ma pan spore możliwości werbunkowe, więc niech pan rozejrzy się za godnymi zaufania ludźmi, jako kandydatami do naszej organizacji.

W odpowiedzi podałem, jako swój pseudonim, prawdziwe imię "Wujka", to jest "Stefan". Po złożeniu przysięgi, usłyszałem z ust "Władka": "Przyjmuję cię w szeregi organizacji "Miecz i Pług". Zostałem serdecznie ucałowany przez obu obecnych, umówiłem się z "Wujkiem" na następny kontakt i jak na skrzydłach wyfrunąłem z mieszkania na ulicę, na której panowała smutna okupacyjna rzeczywistość.

To nie był jedyny mój kontakt z "Władkiem". W 1942 roku, gdy "Władkowi" groziło aresztowanie, ostrzegłem go, uprzedzony o tym przez kpt. Wilhelma B. z gestapo, ewakuowałem wraz z kilkoma kolegami jego mieszkanie przy ul. Grodzkiej, usuwając <sup>(z niego)</sup> wiele niebezpiecznych dla organizacji dokumentów, wreszcie udałem się w okolice Jastkowa, gdzie "Władek" ukrył się przed grożącym mu aresztowaniem, składając mi meldunek o przebiegu akcji ewakuacyjnej.

W książce "Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944", po latach, wyczytałem na str. 53-54 taką informację dotyczącą organizacji, do której wstąpiłem w pierwszych dniach

września 1941 roku: "O istnieniu bliższych kontaktów między "Komendą Obrońców Polski", a "Mieczem i Pługiem" pisze również były Komendant Główny KOP, Henryk Borucki ps. "Czarny" /Wspomnienia wojenne 1939-1944 Wojskowy Instytut Historyczny/. Podaje on, że od lutego 1940 roku w skład tzw. Komitetu Porozumiewawczego, zorganizowanego z inicjatywą KOP, wchodził z ramienia "Miecza i Pługa" ks. Wolanin. Organizacja "Miecz i Pług" /nazwy pełne: Ruch "Miecz i Pług" lub Zjednoczone Organizacje "Miecz i Pług"/ powstała na przełomie 1939 i 1940 roku. Na czele jej stała Rada Naczelna, która powołała komendanta armii podziemnej "Miecza i Pługa". Pierwsze ślady działalności tej organizacji na Lubelszczyźnie spotykamy w powiecie zamojskim w 1940 roku. Początkowo woj. lubelskie w strukturze "Miecza i Pługa" zostało podzielone na dwa okręgi: północny /powiaty: Puławy, Radzyń, Lubartów, Włodawa/ i południowy /pozostałe powiaty z miastem Lublinem/. Połączenie obu okręgów nastąpiło prawdopodobnie pod koniec 1943 roku na skutek rozbitcia organizacji przez Gestapo oraz śmierci komendanta okręgu północnego "Janowskiego". W 1943 roku okręg północny miał liczyć około 2.000 członków, skupionych głównie na terenie powiatów Puławy, Radzyń i Lubartów. Istniał tam również oddział samoobrony pod dowództwem "Przemysława". W okręgu południowym organizacją kierował Władysław Dąbrowski ps. "Władek", a po nim Krupiński ps. "Wujek" i "Dębicz". Istniał tam również oddział partyzancki /w gminie Nielisz, powiat Zamość/, którym dowodził Witold Derewicki. W styczniu 1944 roku zadanie odbudowania organizacji otrzymał Jan Malinowski, który został skierowany na Lubelszczyznę przez władze naczelne "Miecza i Pługa". Mianował on wówczas komendantem okręgu Kwiecińskiego ps. "Romuald", a w skład Komendy Okręgu weszli m.in. Zdzisław Brzozowski ps. "Zygmunt Borel", Pająk /szef organizacyjny samoobrony/, Roman Sykuła ps. "Farmazon" /szef wywiadu/, Olga Małecka ps. "Olga" /szef propagandy/, Wiesława Bardecka ps. "Wiesława" /kierowniczka Związku Kobiet Czynu - organizacji kobiecej "Miecza i Pługa", Paweł Prus ps. "Paweł".

W 1944 roku siedzibę Komendy Okręgu stanowił majątek Borek w powiecie zamojskim /tutej też działała konspiracyjna drukarnia Okręgu".

Czytając dziś tę notatkę o organizacji, w szeregach której odbył się mój konspiracyjny debiut, nie mogę się powstrzymać od kilku uwag związanych z niektórymi osobami w niej wymienionymi.

Wspomniany w niej komendant okręgu południowego Władysław Dąbrowski ps. "Władek", to ten sam "Władek", który przyjmował mnie do organizacji we wrześniu 1941 r. zaś Krupiński ps. "Wujek", "Dębicz", późniejszy komendant tego okręgu, to nikt inny, jak Stefan Świątek, który używał obu wymienionych pseudonimów, a w pewnym okresie posługiwał się lewymi dokumentami na nazwisko Krupiński. W momencie, gdy wstępowałem do organizacji pełnił on funkcję komendanta Lublina i zastępcy "Władka". Ze znanych mi wtedy osobie osób, występuje jeszcze w tej notatce Zdzisław Brzozowski, który w czasie mojej pracy na poczcie pracował w telegrafii pod lewym nazwiskiem Zygmunt Borek /nie był to więc pseudonim/. Olga Małecka pełniła wówczas chyba funkcję kierowniczkę "Związku Kobiet Czynu" /w każdym razie do niej były kierowane zwerbowane przeze mnie w szkole koleżanki". Co zaś do człowieka, nazwanego Paweł Prus ps. "Paweł" podejrzewam, że może on mieć coś wspólnego z działającym krótko w omawianym przeze mnie okresie 1941-1942 osobnikiem posługującym się nazwiskiem Paweł Kraft ps. "Paweł". W każdym razie ten ostatni "Paweł" zanotował się w pamięci naszej komórki wywiadu "Miecza i Pług" tym, że chyba około połowy 1942 roku wpadliśmy na trop jego korespondencji prowadzonej z urzędem gestapo, dotyczącej jego pertraktacji w sprawie utworzenia antykomunistycznego oddziału partyzanckiego "Miecza i Pług" uzbrojonego przy pomocy niemieckiej. Gdy "Paweł" zwąchał pismo nosem, to znaczy zorientował się, że wiemy o jego zakulisowej działalności, zniknął nam z horyzontu, bo groził mu organizacyjny sąd o zdradę, z dalszymi konsekwencjami. Jeśli to nie był wspomniany w powyższej notatce Paweł Prus ps. "Paweł" to nastąpił bardzo rzadki zbieg imienia oraz pseudonimu.

Pamiętam, że jednym z pierwszych poleceń organizacyjnych "Wujka" było, bym zapisał się na kurs języka niemieckiego dla zaawansowanych, zorganizowany przez niemiecką dyrekcję poczty, w celu poszerzenia kwalifikacji polskich pracowników poczty. Znałem niemiecki z Pomorza, później z pobytu na Zamku i w Rzeszy, wreszcie miałem go w programie szkoły handlowej, więc normalnie taka znajomość mogła mi wystarczyć, lecz "Wujek" miał inne plany i w tym celu starał się, bym był bardzo wszechstronnie przygotowany również i z innych dziedzin, a moją dotychczasową znajomość języka niemieckiego uznał za niewystarczającą do celów, dla których zamierzał mnie wykorzystać. Równoległe do tej nauki języka na poczcie, zostałem skierowany na dwa kursy: sanitarny oraz wiedzy ogólnowojskowej w oparciu o program szkół podchorążych.

Nie wiem, jak wtedy umiałem pogodzić tyle spraw na raz. Bo przecież była to: praca na poczcie, nauka w szkole handlowej, kurs języka niemieckiego dla zaawansowanych, kurs sanitarny, kurs wojskowy, bieżąca praca organizacyjna oraz korespondencja z Krysią w Warszawie i Edmundem w Lwowie. Z tym ostatnim zresztą przeprowadzałem od czasu do czasu rozmowy telefoniczne, oczywiście na koszt Trzeciej Rzeszy. Czas na to wszystko nie tylko znajdowałem, ale okazało się, że czuję się w tym, jak ryba w wodzie.

O ile dobrze pamiętam, w początku listopada ojciec otrzymał przeniesienie do posterunku w Helenowie i zamieszkaliśmy całą rodziną na Czechowie. Również mniej więcej w tym czasie nieopodal nas zamieszkał wuj Alfred Słaboszowski z żoną Katarzyną i liczącym około 1 roku synem Jurkiem, zwanym przez rodziców Dodkiem. Wuj z żoną w ciąży, na początku 1940 r., zimą, przedarł się z okupowanego przez bolszewików Równego na naszą stronę i zamieszkał w Lublinie wśród rodziny żony.

21 listopada 1941 roku Niemiecka Poczta "Wschód" w Lublinie umundurowała pierwszych 40 pracowników poczty - Polaków w nowe, sporządzone na wzór niemiecki uniformy, które zostały zatwierdzone przez

gubernatore Franke. Na prawym ramieniu rękawa marynarki znajdował się napis: "General Gouvernement". Na odznace, przedstawiającej liść dębu, noszonej na lewym ramieniu widniał napis: "Deutsche Post Osten". Należałem do tych, którzy otrzymali te mundury w pierwszej kolejności. Mundur ten nosiłem chętnie, nie przez sympatię do Niemców, ale dlatego że stanowił on dla mnie, jako człowieka konspiracji, wielkie ułatwienie w poruszaniu się po mieście, a szczególnie w porze nocnej, bo wydano nam również stałe przepustki nocne.

Po pewnym czasie, gdy wszystkie kursy i szkolenia zbliżyły się do końca, powstały również zręby piątek organizacyjnych "Miecza i Pług" jako efekt mojej pracy. Przede wszystkim powstały piątki złożone z młodzieży młodszej. Do jednej z nich wciągnąłem brata Zdzisława. Do piątki tej weszli oprócz niego koledzy: Olejnicki, Nieoczym, Holat. Brat przyjął pseudonim "Meta-Hari", a do zadań tej piątki należało: kolportaż ulotek i gazetek, gromadzenie broni i amunicji oraz sprzętu wojskowego, umundurowania, map, nauka musztry. Nieoczym, pracujący w drukarni dostarczał z niej sporo różnych materiałów drukarskich, które miały służyć drukarni podziemnej. Brat pomagał mi również przy przenoszeniu amunicji i granatów, wykradzonych od żołnierzy przez nasze członkinie zatrudnione w łaźni wojskowej, mieszczącej się obok KUL, do bunkra-schowka na Sławinku.

Drugą grupą, która powstała z mojej inicjatywy, była piątka złożona z kolegów mieszkających w naszej dzielnicy. Grupa ta przeszła najpierw przeszkolenie sanitarne i podoficerskie, a w późniejszym czasie pomagała w realizacji doraźnych zadań, zleconych przez naszą komendę, jak np. ewakuacja mieszkania "Władka", po jego ucieczce z Lublina, gdy groziło mu aresztowanie. Oprócz tego członkowie tej piątki pełnili służbę łącznikową między komórką wywiadu na poczcie, a komendą miasta.

Jednym z najbardziej zasłużonych członków tej piątki był Tadeo B., pracujący jako goniec w redakcji niemieckiego szmatkowca na Krakowskim Przedmieściu. On to naprowadził naszą komórkę, w połowie 1942 roku, na trop współpracy z gestapo Pawła Krafa ps. "Paweł".

Wśród kolegów i koleżanek u Borodajki znaleźli się kandydaci do organizacji, których po zwerbowaniu przeze mnie, przydzielono do różnych pionów naszej organizacji.

Wreszcie wśród pracowników poczty udało mi się zwerbować kilka osób które stały się załączkiem komórki wywiadu z chwilą jej powołania.

Równocześnie "Wujek", pełniący wtedy jeszcze funkcję komendanta <sup>(miasta)</sup> mając mnóstwo rozlicznych obowiązków, zaczął niektóre z nich powierzać mnie. Zapytany, dlaczego to robi, odpowiedział, że wróg nie śpi i może nadejść taki moment, w którym moja znajomość pewnych szczegółów pracy w organizacji może okazać się bardzo potrzebna, więc chce mnie przygotować na taką ewentualność. Nie wiem dokładnie, w którym momencie, ale było to chyba w początku 1942 roku, na naszych spotkaniach "Wujek" zaczął w wyraźny sposób ukierunkowywać nasze rozmowy na zorganizowanie komórki wywiadu w moim miejscu pracy. Poza wskazówkami "Wujka" odbyłem w tym czasie szereg, że tak powiem, kurso-konferencji na tematy wywiadowcze z człowiekiem, będącym pracownikiem naszego wywiadu, z nieco wyższego szczebla. Po zakończeniu tego cyklu szkoleniowego "Wujek" nakreślił mi obraz możliwości wywiadowczych na poczcie: od przechwytywania korespondencji z donosami, adresowanej do gestapo i żandarmerii, ewentualnie listów między władzami niemieckimi, które często zawierały informacje o planowanych akcjach antypolskich, do podsłuchu w centrali telefonicznej i telegrafii na tak zwanych połączeniach służbowych. Na wiosnę 1942 roku powstała komórka wywiadu "Miecze i Pług" w Urzędzi Poczty w Lublin 1, której kierownikiem zostałem mianowany ja. Przy przechwytywaniu korespondencji zwykłej pomagał mi najczęściej pracownik ekspedycji Marian F. Listy zwykłe nie stanowiły takiego problemu jak



polecane, ponieważ za pierwszą nośną było bez większych podejrzeń wycofać w ogóle z ekspedycji. Listy polecane natomiast musiały być odsyłane do odbiorców. Niezwłocznie i dlatego tak mogliśmy tylko cenzuroać, wynotowując potrzebne informacje na miejscu w urzędzie. Tu dzielnie sprawowała się nasza koleżanka Halszka M., której uwadze nie umknął żaden interesujący nas list. W telegrafie działał mój przyjaciel, Henio H., zaś w centrali tel. fonicznej naszą wtyczką była rodowita gdańszczanka kol. S., ciesząca się pełnym zaufaniem niemieckich zwierzchników. Do przekazywania zdobytych tyśmi drogami informacji miśkiem łącznika, o którym już pisałem. Był to Tadeusz B., zatrudniony w niemieckiej redakcji. Jako goniec tej redakcji wykorzystywał wszystkie możliwe okazje, by być do mojej dyspozycji na poczcie niemal bez przerwy. Plon naszej pracy był obfity, a konfidenci podający często w listach swoje adresy, pewnie po to, by otrzymać za donosy nagrodę z ręki Niemców, w ostatniej chwili swego życia uświadomiali sobie, że "nagrodę" wymierza im inna ręka, niż sobie planowali.

Taka praca trwała przez cały 1942 rok. Równolegle spotykałem się z "Wujkiem", prowadziłem kontakty z kierownikami zorganizowanych piątek, oraz zaopatrywałem organizację w materiały propagandowo-informacyjne i szkoleniowe, otrzymywane poprzez Krysję z Warszawy. Zaopatrzenie to odbywało się w sposób dla nas obojga bardzo bezpieczny. Gdy w korespondencji z nią przemyciłem lekko zaszyfrowaną informację, że działam w "Mieczu i Pługu", otrzymałem odpowiedź, że i ona współpracuje z tą organizacją w Warszawie, jako łączniczka, a jej pseudonim brzmi "Atena". Zaproponowała mi pomoc w pracy. Co tydzień otrzymywałem od niej paczki z niezbędnymi materiałami. Każda paczka była adresowana na "poste-restante", ciągle na inne nazwisko o brzmieniu niemieckim, według wcześniej uzgodnionego przez nas wykezu. Moje zadanie polegało na sprawdzeniu w dziale "poste-restante" na ekspedycji, czy w odpowiedniej przegródce leży przekaz na aktualne nazwisko, wyciągnięciu go stamtąd i udaniu się do magazynu paczkowego po

odbiór. Ponieważ w trakcie swej pracy na poczcie zorientowany byłem nieźle w geografii podziemia w naszym urzędzie, wiedziałem, że kierownikiem paczkowni jest kol. Zygmunt J., porucznik z Armii Krajowej. Jedynie przy pierwszej przesyłce miałem z nim małą przeprawę. Z podebranych w przegródce na ekspedycji przekazem na nazwisko, chyba Hans Berger, zgłosiłem się do paczkowni i zapytałem Zygmunta o paczkę na to nazwisko. Dowiedziałem się, że paczka nadeszła i oczekuje na odbiorcę. Gdy poprosiłem o jej wydanie, Zygmunt był zdziwiony /nie wiedział o mnie tego, co ja wiedziałem o nim/ i powiedział, że może ją wydać wyłącznie odbiorcy, którego nazwisko figuruje na paczce. Gdy jednak usłyszał ode mnie, że Berger to właśnie ja /byliśmy w paczkowni sami/, bez słowa sprzeciwu paczkę wydał. Gdy ją przekładałem do swojej torby, ze zdziwieniem oglądał egzemplarze niedawno wydrukowanej w podziemiu książki Fiedlera "Dywizjon 303". Następne paczki Zygmunt wydawał mi od tej pory, co tydzień, już bez żadnego pytania. Tak pomyślany system zdał egzamin, Niemcy nie wpadli na to, że za coraz innymi niemieckimi nazwiskami ukrywałem się ja.

O ile sobie dobrze przypominam, w połowie 1942 roku, siedząc przy okienku kasowym i nie mając tego dnia zbyt wiele pracy, pograżyłem się w lekturze książki Gustawa Morcinka "Wyrąbany chodnik". W pewnej chwili za okienkiem zatrzymał się znany mi z widzenia kapitan gestapo Wilhelm B., stale załatwiający wszelkie sprawy pocztowe dla urzędu gestapo. Zdziwiłem się bardzo, gdy przemówił do mnie najczystszą polszczyzną, bo do tej pory zwracał się stale do polskich urzędników pocztowych wyłącznie po niemiecku. Zapytał: "Czy mogę wiedzieć, co pan ciekawego czyta w tej chwili?" Morcinek wprawdzie nie był lekturą oficjalnie zakazaną, ale wiedziałem z prasy konspiracyjnej, że ten autor znalazł się niedawno w obozie koncentracyjnym, więc na mgnienie oka wstrzymałem się z odpowiedzią, poczem szybko pokazałem B. czytaną książkę. "O! Morcinek! A czy nie wie pan, co się z nim obecnie

dzieje?"- zapytał. Zbaraniałem. Nie mogłem przecież powiedzieć prawdę, bo to zdekonspirowało by mnie przed gestapowcem, że jestem czytelnikiem prasy konspiracyjnej, którą to przecież czytawali i gestapowcy z racji swych służbowych obowiązków. Szybko jednak odpowiedziałem, że nie wiem nic o losach Morcinka i że prędyj mógłby on coś na ten temat powiedzieć, pracując w gestapo. Usłyszałem w odpowiedzi: "On siedzi w obozie koncentracyjnym. Ja byłem przed wojną jego uczniem w Skoczowie na Śląsku. Chciałbym z panem porozmawiać o tym szerzej, ale mogę to uczynić jutro, po pańskiej pracy." Zaskoczony tą propozycją, zdążyłem tylko zaznaczyć, że nie chciałbym narażać swej opinii w oczach pozostałych kolegów, dlatego lepiej będzie, jeśli na spotkanie przyjdzie po cywilnemu.

Jeszcze tego samego dnia, po pracy, zameldowałem "Wujkowi" o tym wydarzeniu. Obaj nie wiedzieliśmy, co kryje się za niewinną z pozoru propozycją gestapowca. Poleciał mi jednak "Wujek", bym na to spotkanie poszedł i dowiedział się, co chce mi powiedzieć, nie ujawniając oczywiście prawdy o sobie.

Następnego dnia B. czekał na mnie po cywilnemu, w pobliżu wyjścia z urzędu pocztowego. Gdy przywitał się ze mną, powiedział: "Niech pana nie zdziwi moja prośba. Czy nie zna pan kogoś z polskiego podziemia?". "Po co panu taka wiadomość? Pewnie dostał pan zadanie służbowe, by tego kogoś aresztować? Jestem lojalnym urzędnikiem Generalnej Gubernii i nie chcę się zajmować żadnymi podejrzanymi sprawami" - oświadczyłem mu i dodałem: "Jeśli kiedyś spotkam kogoś takiego może powiem panu, ale muszę teraz wiedzieć, czy nie grozi mu nic złego". Przyrzekł, że ma konkretną propozycję, o której chce z tym człowiekiem porozmawiać, że nic mu z jego strony nie grozi.

Z zachowania B. wywnioskowałem, że moją odpowiedź przyjął jako prawdziwą. Jeszcze tego samego dnia, po złożeniu relacji z tej rozmowy "Wujkowi", usłyszałem: "Postaraj się pociągnąć go za język, a potem postąp, jak będziesz uważał".

Jeszcze parę razy byłem zagadywany przez B., zgodnie więc z instrukcją "Wujka" nie tylko nie unikałem z nim rozmowy, ale wprost do niej prowokowałem. Po kilkunastu dniach takiego wzajemnego "obwężowania się", doszedłem do wniosku, że mogę zaryzykować z nim bardziej szczerą rozmowę, więc powiedziałem do niego: "Pamięta pan naszą rozmowę sprzed dwóch tygodni. Pan chciał coś wiedzieć, a ja teraz chyba coś panu na ten temat mogę powiedzieć. Proszę przyjść pod pocztę dziś po pracy". Gdy B. ujrzał mnie wychodzącego z poczty, wyraźnie się ucieszył. Podszedłem do niego i powiedziałem: "Pytał mnie pan wtedy o kogoś z podziemia. Zdaje się, że znam już kogoś, z kim pan mógłby porozmawiać, ale chciałbym wiedzieć, jaką sprawę ma pan do niego?".

B. wyraźnie był speszony: "Tego nie mogę powiedzieć panu, to musi być przedstawiciel podziemia, bo sprawa ma charakter bardzo poufny. Powiedziałem już panu, że tej osobie nic złego się nie stanie". Usłyszawszy po chwili ode mnie krótkie: "Słucham", B., zdziwiony moim uporem, zaczął rozglądać się za ewentualnym innym rozmówcą, więc powtórzyłem: "Słucham. Jestem upoważniony przez podziemie do zapytania pana, jaką pan ma do nas sprawę". Po tym oświadczeniu dostrzegłem przez moment na jego twarzy wielkie zdziwienie, a za chwilę błysk zadowolenia: "Ale pan mnie wprowadził w błąd. Byłem przekonany, że pan mówi prawdę, a teraz okazuje się, że można nawet funkcjonariusza gestapo czasem wykiwać. To co chcę powiedzieć, nie może dojść do niepowołanych uszu. Jestem, jak mówiłem ze Skoczowa i byłem uczniem pana Morcinka. Pochodzę z rodziny mieszanej. Matkę mam Niemkę, ale sam czułem się zawsze i czuję Polakiem". "Ładny Polak - powiedziałem - co służy w takiej formacji". W odpowiedzi usłyszałem: "Gdy wkroczyli Niemcy do Skoczowa na początku wojny, zaczęli poszukiwać ludzi z wykształceniem prawniczym, znających doskonale oba języki, do służby w gestapo na ziemiach okupowanych. Ponieważ spełniałem oba te warunki,

a w dodatku moją matką była Niemka, wybór padł na mnie. Powiedziano mi że to mój patriotyczny obowiązek, więc mam się zgłosić do tej służby ochotniczo, jeżeli zaś tego nie uczynię, zostanę odpowiednio potraktowany jako zdrajca narodu niemieckiego i taką samą odpowiedzialność poniosą moi rodzice. Nie mogłem ich narażać na konsekwencje odmowy, więc wstąpiłem do gestapo, jestem tłumaczem i oficerem i myślę, że mogę teraz odplacić Niemcom za zmuszenie mnie do tej służby. Mam na swoim stanowisku dostęp do wielu spraw, znajomość których może pomóc polskiemu podziemiu w jego działalności" - zakończył długi i szczery, jak się wydawało, wywód B. W dalszej, trwającej jeszcze chwilę rozmowie poinformował, że chce być zaprzysiężony, pracować będzie bezinteresownie, jedynie pragnie mieć zapewnioną daleko idącą dyskrecję i bezpieczeństwo. "Im mniej ludzi będzie o mojej roli wiedziało, tym lepiej będzie dla dobra sprawy" - zakończył B. i szybko się oddalił, po umówieniu się na następne spotkanie ze mną. Odchodząc, obejrzał się dookoła, czy przypadkiem nie mieliśmy niepowołanych świadków rozmowy. Ja udałem się na spotkanie z "Wujkiem", który oczekiwał niecierpliwie na wynik rozpoznania. Po złożeniu relacji usłyszałem, że porozumie się w tej sprawie z naszym wywiadem, ale zdaje mu się, że najbardziej celowe będzie pozostawienie kontaktu z B. w moim ręku, bo sprawa jest rzeczywiście bardzo delikatna i nie należy rozszerzać kręgu wtajemniczonych w nią osób.

W ten sposób kapitan gestapo, Wilhelm B., został żołnierzem podziemia i w późniejszej pracy oddał nam nieocenione usługi. Jeszcze w 1942 roku udzielił wielu cennych informacji, dotyczących treści zeznań przesłuchiwanym w jego obecności więźniów, które uratowały życie niejednemu przebywającemu jeszcze na wolności, ostrzegł o grożącym aresztowaniu "Władka", zaś po aresztowaniu "Wujka", w grudniu 1943 roku, czuwał nad moim i kolegów bezpieczeństwem.

Po wojnie, pracując w Państwowym Wydawnictwie "Iskry" w Warszawie, miałem okazję rozmawiać na jednym z kiermaszów z Gustawem Norcinkiem,

podpisującym wydane u nas książki. Poinformowany przeze mnie, że podczas jego uwięzienia w obozie koncentracyjnym spotkałem się z jego byłym uczniem ze Skoczowa, B. Morcinek zareagował pytaniem:

"Wilhelmem?" Gdy to potwierdziłem i zapoznałem go z historią B. usłyszaną od niego, Morcinek powiedział, że <sup>ten</sup> nie zezgał informując mnie o okolicznościach wstąpienia do gestapo.

"Wujek", w okresie licznych aresztowań w lubelskim dowództwie "Miecza i Pługa", które rozpoczęły się w połowie 1943 roku, a mających ścisły związek ze zdradą w kierownictwie organizacji w Warszawie, miał się na baczności, obawiając się, że go może spotkać ten sam los. Zdradę w Warszawie ujawniono i dnia 18 września 1943 roku w ciągu dnia zastrzeleni zostali w różnych punktach miasta, przez egzekutywę Ruchu "Miecz i Pług": Andrzej Słowikowski /"Andrzej Nieznany"/, Zbigniew Grad /"Doktor"/ - kierownicy "Miecza i Pługa" oraz szef wywiadu na miasto Warszawę Czesław Janicz - Kłobut /"Sławek"/, pod zarzutem zdrady i współpracy z gestapo. Motywy wyroku przedłożono Delegaturze Rządu. Jak doszło do zdrady i do jej ujawnienia mówią szczególnie dwaj ludzie, którzy odegrali w tym wybitną rolę: Tadeusz Fedorowicz "Ran" i Antoni Roczmirowski "Stanek", we wspomnieniach wydanych w 1975 roku przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie pt. "Cena Wolności" i "Krzyżackie Widmo".

Mnie i związanym ze mną grupom "Wujek" polecił nawiązanie kontaktów z A.K. i przejście do tej organizacji. W niedługim czasie, po rozmowach z kolegami z A.K., znaleźliśmy się w jej szeregach, zaś nasza komórka wywiadowcza z poczty przeszła tam wraz ze swym członkiem B. pełniąc nadal tę samą rolę, pod zmienioną firmą. Do A.K. przeszły również piątki "Miecza i Pługa" mające ze mną ścisły kontakt, w tym i piątka w której pracował mój brat Zdzisław. We wrześniu 1943 roku Zdzisław ukończył kurs sanitarny A.K. i, ratując się przed służbą w Baudienst, rozpoczął pracę w niemieckim szpitalu wojskowym przy ulicy Raclawickiej.

W tym miejscu zmuszony jestem na chwilę do dygresji na temat losów niektórych członków mojej rodziny oraz kolegów. Ojciec pełnił służbę na posterunku policji w Helenowie, leżącym wtedy na obrzeżu Lublina. Cały skład osobowy tego posterunku, z małymi wyjątkami, włączony był do pracy konspiracyjnej /brat Zdzisław podaje w swoich wspomnieniach, że to byli B.Ch., mnie zaś zdaje się, że była to organizacja, grupująca wyłącznie pracowników policji/. Dnia 27 stycznia 1942 roku zmarła babka Ludwika Marcinkowska z Głuszczyzny, zaś 12 stycznia 1943 roku rozstała się z życiem babka Ludwika Kusa w Lublinie. Ciotka Karolina, w wieku 29 lat, odnalazła wreszcie swą życiową przystań, wychodząc za mąż za młodszego od siebie Stanisława Jarugę. Jak się później okazało, nie była to przystań <sup>(ani)</sup>spokojna, ani bezpieczna.

W 1942 roku, nie pamiętam już dokładnie miesiąca, mój przyjaciel, Witka Pielak, pojawił się w Lublinie, prosząc o opiekę nad jego koleżanką z organizacji NSZ, leżącą w lubelskim szpitalu, po odniesieniu ciężkich ran w walce z Niemcami. Witka widziałem wtedy ostatni raz. Wróciwszy do swego oddziału NSZ, w okolicach Urszulina pod Włodawą, został w okrutny sposób zaordnowany wraz z innymi kolegami przez Niemców, w wyniku zdrady ze strony jednej z członkiń ich organizacji. O faktach tych dowiedziałem się dopiero po wojnie od najbliższej rodziny Witka.

Wracam teraz do dalszego ciągu historii życia mojego oraz "Wujka", którą przerwałem w momencie, kiedy to "Wujek", w obawie o mnie i kolegów polecił nam zerwanie kontaktów z "Mieczem i Pługiem" i przejście do A.K. Gdy to nastąpiło, "Wujek", nie zrywając osobistego kontaktu ze mną, prowadził nadal pracę w "Mieczu i Pługu", ukrywając się przez kilkanaście tygodni w różnych zaprzyjaźnionych mieszkaniach, omijając zaś zagrożone mieszkanie własne przy ulicy Wyszyńskiego, gdzie był zameldowany pod prawdziwym nazwiskiem.

W sobotę i niedzielę, 4 i 5 grudnia 1943 roku, nocowałem w bezpiecznym /bo u granatowego policjanta/ mieszkaniu moich rodziców. W poniedziałek 6 grudnia rano udałem się do własnego mieszkania przy ul. Wyszyńskiego, gdzie miał wcześniej umówione ważne spotkanie konspiracyjne, po którym miał powrócić na nocleg u nas. Po spotkaniu, które przeciągało się do zmroku, nieopatrznie zanocewałem u siebie. W nocy z poniedziałku na wtorek, z 6 na 7 grudnia 1943 roku, pojawiło się tam gestapo i aresztowało go, o czym zostałem natychmiast zawiadomiony przez Jurka Zajdlewicza, sąsiada Świątka, a równocześnie mojego kolegę z A.K.

W chwili aresztowania Stefan Świątek miał 37 lat, żonę i córkę Ewę w Krakowie, do których wysłał z więzienia niezwłocznie gryps, powiadamiający je o nieszczęściu, które go spotkało.

W książce "Grypsy z Zamku Lubelskiego 1939-1944", wydanej w Lublinie przez K.A.W. w 1991 roku, zamieszczono kilka grypsów napisanych przez niego z Zamku do p. Marty Kwiatkowskiej z Lublina, do żony Władysławy z Krakowa oraz do mnie. Poniżej przytaczam je w całości, pozwolę sobie jednak poprzedzić je kilkoma objaśnieniami. Wszystkie teksty grypsów, podkreślone przeze mnie, są albo bezpośrednio skierowane do mnie, bądź też dotyczą mnie osobiście. W grypsie do żony jest mowa, że byłem uczniem Stefana, co nie było prawdą, bo nigdy nie byłem jego uczniem. Podejrzewam, że Stefan, obawiając się wpadnięcia grypsu w ręce gestapo, znalazł dla mnie to neutralne określenie "uczeń", co miało zabezpieczyć mnie przed ewentualnymi podejrzewaniem gestapo.

Żona Stefana, otrzymawszy w Krakowie list Stefana za pośrednictwem p. Marty Kwiatkowskiej, przyjechała do Lublina i tu otrzymała gryps, w którym Stefan wyraża życzenie, by się poznała ze mną. Zgłosiła się do mnie i późniejsze kontakty z mężem kontynuowała za moim pośrednictwem oraz Szczepana Ufnala, którego Stefan i ja znaliśmy doskonale z jego działalności na rzecz więźniów podczas naszego uwięzienia w 1940 roku.



Grypsy, zamieszczone w wyżej wymienionej książce, nie były jedy-  
nymi od Stefana Świątko. Było ich więcej, ponieważ po nawiąza-  
niu przeze mnie kontaktu poprzez przewodnika straży więziennej  
Szczepana Ufnale ps. "Sulhan", członka A.K., zarówno paczki, jak  
i korespondencja kursowały dość regularnie.

W grypsie adresowanym do mnie, Stefan napisał: "Kartkę słać".  
Zastosowałem się do tego polecenia. Ponieważ gryps otrzymałem za  
pośrednictwem żony Stefana, podejrzewam, że p. Władysława zrobiła  
sobie odpis tego listu i stąd jego tekst w wyżej wspomnianej książce.

A teraz teksty grypsów:

/Do p. Marty Kwiatkowskiej/

"Pani Marto! Ponieważ moja ręka jest nadal chora pisze w moim  
imieniu mój przyjaciel /Ręka złamana w czasie badania w siedzibie  
gestapo "Pod Zegarem"/. Wszystkie Panie w dalszym ciągu proszę o  
opiekę i pamięć. Paczki otrzymuję nieregularnie. Dzisiaj nie otrzy-  
małem. Tutaj pomoc z miasta jest konieczna. Można przysłać chleb  
biały, masło, mięso, kluski, naleśniki, pierogi, kaszę, kapustę,  
mleko i cukier. Może zechce Pani porozumieć się z p. Dziunią i p.  
Rokicką, ażeby przysłały mi przez dr. Kosteckiego /Kostecki Jan -  
lekarz więzienny na Zamku, pracownik wolnościowy/ zastrzyki przeciw  
tyfusowi plamistemu. Józef Czerep /na Głowackiego/ i Wacka mieli  
moje pieniądze. Czy ktoś z moich kolegów przychodził do Pani?  
W biurze miałem jabłka i mąkę. Inne rzeczy z biura też należałoby  
wziąć. Koleżanka Wacki R. ma też mój cukier 10 kg. Bardzo proszę  
o opiekę i dziękuję.

"Stefan" /bez daty/

x      x      x

/Do żony Władysławy/

"Kochana! Wiem, że jesteś. Cieszę się i przykro mi. P. Marta wprowadziła Cię już na moje gospodarstwo. Na Rurach u Hetmana zapłaciłem za 6 kg cukru, trzeba odebrać. Tam też u Bogdańskiej należą mi się pieniądze za towar. Wskaże ci kierownik. Zabrać papier kancelaryjny i sprzedać. Zastrzyki już otrzymałem. Poproś dra Kosteckiego, by mnie dłużej trzymał w szpitalu. W wózku, który stoi na szafie w przedpokoju, jest pudełko konserw. Zużytkować je. Chciałbym żebyś się poznała z moim uczniem, który obecnie pracuje na poczcie głównej na Krakowskim, nazywa się Kusy Edward. On Ci pomoże przesyłać mi paczki.

"Stefan" /daty brak/

x            x            x

"Droga! Dotąd nie wiedziałem Was. Będę nadal czekał o 10 w poniedziałek i wtorek. /31 stycznia i 1 lutego/. Wszystkie rzeczy, które były w moim mieszkaniu były moją własnością /prócz łóżka, stolika i foteli. Spodnie nowe są u krawca Wijakowskiego na Rynku obok Trybunału. Cukru od p. Rad. nie wzięłem. Proszę jej to oświadczyć. Wszelki boczek i słoninę, które wysyłacie, proszę zawsze gotować /.../.

Powiedz, żeby wszystko zlikwidował, ratował swe życie i ma bardzo uważać na siebie. U E. uzgodnić datę i może być tylko raz meldowana. O Ciebie samą nie chodzi. U p. Ziel. na Kapucyńskiej 5 m 38 zostawiono słoiki z maścią na wszy. Wziąć i przysłać 2. Niech siostrzeniec przyśle mi trochę lekarstwa 45%. Czy on może porozumieć się ze mną, chciałbym bardzo tego. Całuję Was mocno.

Stefan /30 styczeń 1944 r./  
niedziela

x            x            x

- ~~X~~ -  
A-B  
x      x      x

"Moje rzeczy można wszystkie sprzedać. Paczkę muszą otrzymać w każdym tygodniu. Jeśli będzie boczek - dobrze ugotować. Świadcetwo odebrać od Bernardy. 12.I.1942 r. W Kr.wypiseć. Zajść do p.Murzyńskiego, Jul., Olejna 7/18".

x      x      x

/Do mnie/

"Edek ! Wraz ze swoją sympatią pamiętaj o mnie, postaraj się nawiązać kontakt ze mną. Mojej żonie wskaż matkę Tadzia, u której należą mi się pieniądze za materiał. Ja czuję się dobrze. Ręka na wy-  
loczeniu. Na siebie bardzo uważajcie. Kartkę spalić.      "Wuj"

x      x      x

Korespondencja nasza trwała prawie do końca lutego 1944 roku, kiedy to nastąpiły w moim życiu wydarzenia, o których za chwilę.

W piątek, 28 stycznia 1944 roku, na łąkach nadbystrzyckich, odbyła się publiczna egzekucja 30 osób, na której byłem obecny, jako naoczny świadek ostatnich chwil skazańców. Świadców było dużo, ponieważ Niemcy wozkazali pracownikom wielu zakładów pracy wziąć w tej egzekucji obowiązkowy udział, chcąc w ten sposób zastraszyć społeczeństwo Lublina. Gdy trzykrotnie ustawiano po 10 osób przed skarpą tzw. Nowej Drogi, przeżywałem te chwile w straszny sposób. Gniew i oburzenie przeplatały się u mnie z wielkim przygnębieniem. Ze zdenerwowania zacząłem drżeć, a twarz moja na zmianę bledła i czerwieniała. Zapomniałem, gdzie jestem, gdyż całego mnie przepełniło uczucie nienawiści do niemieckich oprawców i chęć zemsty za ich potworne zbrodnie. W momencie największego zdenerwowania usłyszałem nagle, tuż za moimi plecami, szept: "Panie Stefanie! Proszę się opanować, widzę co się

z panem dzieje, niech pan pomyśli, że może niedługo przyjdzie dla nich godzina rozrachunku i zapłaty za te potworne zbrodnie". Obejrzałem się do tyłu. Był to B. w cywilnym ubraniu. Okazało się, że dowiedziawszy się, iż wśród innych pracowników poczty mam być obecny i ja, przyszedł, odszukał mnie w tłumie i cały czas obserwował moje zachowanie, a w krytycznej chwili uznał za stosowne ujawnienie swej obecności, w celu uspokojenia mnie.

W kilka dni później B. zameldował mi, że został aresztowany na ulicy Krakowskie Przedmieście członek "Miecza i Pługa", Jan Myrcha ps. "Colt". Wskazała go Niemcom jakaś Volksdeutschka jako człowieka pochodzenia żydowskiego i członka nielegalnej organizacji. Wiadomość ta okazała się dla mnie wielkiej wagi, czego nie przypuszczał B., ponieważ w pierwszym okresie mojej działalności w "Mieczu i Pługu" "Colt" znalazł się w tej samej niewielkiej grupie szkoleniowej wraz ze mną, a później działał w jednej z piątek, z którymi miałem bezpośredni kontakt. Wprawdzie nie znał ani adresu ani nazwiska mojego ale kiedyś przypadkiem zobaczył mnie na poczcie i napewno o tym nie zapomniał. Powiedziałem o tym B., prosząc go, by specjalnie zwracał uwagę na zeznania "Colta", będąc przy jego przesłuchaniach.

Badania "Colta" trwały już około dwóch tygodni i B. informował mnie, że "Colt" jest przesłuchiwany wyjątkowo ostro i jest brutalnie traktowany. Na dodatek "Colt" rozchorował się i mimo wysokiej gorączki metody jego przesłuchiwania nie stały się bardziej ludzkie. Według relacji B., "Colta" maglowano najczęściej na jeden temat: "Kim jest ten mały, czarny, którego można było często widzieć w towarzystwie aresztowanego Świątka? Wiemy, że jesteś jego kolegą, bo i ciebie czasem z nim widywano?". "Colt" dłuższy czas udawał, że nie wie o kogo pytają, ale na przesłuchaniu które miało miejsce około 20 lutego lub krótko po tej dacie, "Colt" nie wytrzymał i załamawszy się powiedział, że widział mnie kiedyś przelotnie

w urzędzie pocztowym oraz obiecał gestapowcom pomoc w identyfikacji mnie, jeżeli zostanie tam zawieszony.

B., który zorientował się już wcześniej, że gestapowcy dopytują o mnie, zanim ci wsiedli z poturbowanym "Coltem" do samochodu, wskoczył na motocykl i skłonił mnie do natychmiastowego wyjścia z urzędu. Gdy za chwilę przechodziłem spokojnie obok niemieckiego wartownika bez płaszcza, w samym tylko mundurze, ten zadał mi pytanie: "Wohin? /Dokąd?/". Odpowiedź, że idę po papierosy do stojącego naprzeciw poczty kiosku, zadowolili go w pełni.

Z późniejszych opowieści pchor. "Kozaka" - Zygmunta Domagalskiego, który dowodząc małą grupą partyzancką "Miecza i Pług" przez pewien czas był dołączony do oddziału por. "Nerwy", wiem, że wkrótce po moim wyjściu z poczty, przybyli gestapowcy z "Coltem", zrobili przegląd urzędników obecnych w pracy, a ustalwszy kogo akurat brak, bez trudu uzyskali od strażnika informację, że wyszedłem właśnie po zakup papierosów. Po mnie nie było już śladu. Najbardziej chyba zdumiony tym faktem był naczelnik poczty, Oberinspektor Wahl, którego zaufaniem cieszyłem się przez cały okres pracy na poczcie.

Wyprzedzając o kilka miesięcy wydarzenie muszę dodać, że w sierpniu 1944 roku, jako żołnierz 3 zapasowego pułku piechoty, kwaterującego obok byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku, dowiedziałem się, że na terenie wydzielonym za drutami przebywają ci Niemcy, którym nie udało się zwać przed Armią Czerwoną z Lublina. Można ich sobie obejrzeć, bowiem wielu z nich nie można zidentyfikować, więc władze obozowe zezwalają na wizyty, które mogą przyczynić się do rozpoznania. Jedną z pierwszych osób, którą poznałem wśród przesuwającego się za drutami tłumu, był mój szef, Oberinspektor Wahl, który zobaczywszy mnie, zdobył się jedynie na jedno krótkie zdanie, wypowiedziane z wyrzutem: "Nigdy nie przypuszczałem, że pan jest zdolny do tego, co pan wtedy zrobił". Rozglądałem się jeszcze przez

kilka minut po kręcących się Niemcach, szukając B., ale na szczęście nie było go tam, co świadczyło, że przezornie zwinął nogi za pas zanim wkroczyli do Lublina Rosjanie.

Co do "Wujka", którego sprawy, uciekając do partyzantki, musiałem przekazać innym ludziom, mogę dodać, że po wojnie wyczytałem na str. 479 monografii Zamku Lubelskiego informację o jego śmierci w dniu 15 maja 1944 roku, w egzekucji na terenie obozu koncentracyjnego na Majdanku.

Po tych wyjaśnieniach o wydarzeniach późniejszych, mogę ten rozdział zakończyć informacją, że jedynym ratunkiem dla mnie, po opuszczeniu poczty, było znalezienie azylu w szeregach partyzanckich. Już następnego dnia meldowałem się u ppor. "Spartanina" - Tadeusza Sowy, we wsi Lewandowszczyzna, gdzie miał swoje gospodarstwo mój wuj Stanisław Marcinkowski. Znalazłem się znów w pobliżu rodzinnych stron, a Bychawa, miejsce mojego chrztu przed przeszło 21 laty, teraz stała się stolicą partyzanckiego kraju.

#### 4. Dziś do Ciebie przyjść nie mogę

Pierwsze słowa piosenki partyzanckiej dają jako tytuł rozdziału o służbie w szeregach dwóch oddziałów A.K.: oddziału ppor.

"Spartanina" - od lutego do 4 maja 1944 roku oraz oddziału ppor.

"Nerwy" - od 5 maja do 25 lipca 1944 roku.

Traktując tę piosenkę jako swego rodzaju motto do partyzanckiej historii, pozwalam sobie przytoczyć ją w całości:

"Dziś do Ciebie przyjść nie mogę,  
Zaraz idę w nocy mrok.  
Nie wyglądaj za mną oknem,  
W mgle utonie próżno wzrok.  
Po cóż ci kochanie wiedzieć,  
że do lasu idę spać,  
Dłużej tu nie mogę siedzieć,  
Na mnie czeka leśna brać.

Księżyc zaszedł, hen, za lasem,  
We wsi gdzieś szczekają psy,  
A nie pomyśl sobie czasem,  
Że do innej tęskno mi.  
Kiedy wrócę znów do Ciebie,  
Może w dzień, a może w noc,  
Dobrze będzie nam jak w niebie,  
Pocałunków dasz mi moc.

Gdy nie wrócę, niechaj wiosną  
Rolę moją sieje brat,  
Kości moje mchem porosną  
I użyźnią ziemi szmat.  
W pole wyjdź któregoś ranka,  
Na snop żyta dłonie złóż  
I ucałuj, jak kochanka.  
Ja żyć będę w kłosach zbóż".

Autorem tej piosenki, zarówno słów, jak i muzyki, był mgr Stanisław Magierski, w cywilu farmaceuta, właściciel hurtowni aptecznej, detalicznej placówki drogeryjnej i wytwórni perfumeryj-

nej w Lublinie.

Z zamiłowania był zdolnym muzykiem i każdą wolną chwilę poświęcał komponowaniu i grze na fortepianie.

Urodzony w 1904 roku, był podczas okupacji, w czasie od stycznia 1943 roku do lipca 1944 roku, zastępcą szefa Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu Lubelskiego A.K. i nosił pseudonim "Jacek II". W 1957 roku zmarł w Lublinie. Na cmentarzu przy ulicy Lipowej widnieje mała tablica z napisem: "Magister farmacji Stanisław Magierski - żołnierz Armii Krajowej".

Dla naświetlenia okoliczności powstania powyższej piosenki, oddam głos kolegom, którzy opracowując monografię oddziału ppor. "Nerwy", w rozdziale "Życie partyzanckie" tak wspominają mgr Stanisława Magierskiego: "Dużym wydarzeniem dla nas były odwiedziny mgr Stanisława Magierskiego /"Jacek II"/, znanego nam przede wszystkim z tego, że skomponował specjalnie dla naszego oddziału "Kołysankę leśną", zaczynającą się od słów "Dziś do ciebie przyjść nie mogę". Przyjechał z aparatem filmowym i fotograficznym. Sfilmował oddział na ćwiczeniach oraz wykonał szereg zdjęć fotograficznych. Nie znane są nam dzieje filmu, natomiast zdjęcia fotograficzne zachowały się do dzisiaj i stanowią dla nas cenną pamiątkę.

Piosenka partyzancka zajmowała w życiu oddziału poczesne miejsce pomagała przetrzymać zimno i nieraz głód, rozpraszała nasze smutki i tęsknoty, pozwalała przetrwać ten bądź, co bądź trudny okres w naszym życiu. Wszyscy byliśmy młodzi, wielu z nas jeszcze niedawno było uczniami lubelskich szkół średnich, stąd stosunkowa łatwość nawiązywania więzi koleżeńskich, wyrażających się między innymi i we wspólnym śpiewie. Śpiewaliśmy dużo i chętnie, wszędzie tam, gdzie względy bezpieczeństwa i dyscyplina wojskowa na to pozwalały. Śpiewaliśmy i na kwaterach i w marszu i w czasie jazdy na wozach, przede wszystkim "Kołysankę leśną", bo była nasza własna, liryczna i piękna, a ponadto bardzo dużo innych popularnych wówczas



piosenek partyzanckich. W chwilach "wisielczego" humoru śpiewaliśmy chętnie trochę niecenzuralną, dowcipną piosenkę żołnierską, zaczynającą się od słów "Nasz porucznik chłop morowy". Na kwaterach śpiewaliśmy też solo, wygłupiając się przy tym co niemiara, a popisowymi numerami był rosyjski "Ciubczyk" i "czastuszki". W lecie pchor. "Dym" ułożył dla konnego zwiadu piosenkę, zaczynającą się od słów "Słuchaj dziewczę, kto to jedzie, wszak to konny zwiad".

x x x

Oddziały lotne Armii Krajowej zapisały niejedną piękną kartę w historii partyzantki. Do : najaktywniejszych należały oddziały działające na Lubelszczyźnie, zaś tacy dowódcy, jak por. Zenon Jachymek - "Wiktor", por. Tadeusz Kuńcewicz - "Podkowa", por. Jan Turowski - "Norbert", por. Konrad Bartoszewski - "Wir", ppor. Edward Błaszczak - "Grom", mjr Stefan Wyrzykowski - "Zenon", por. Wojciech Rokicki - "Nerwa", Tadeusz Sowa - "Spartanin", por. Stefan Kwaśniewski - "Wiktor", kpt. Bolesław Flisiuk - "Jarema", kpt. Wacław Rejmak - "Ostoja" i por. Aleksander Sarkisow - "Szaruga", mają w tej walce swój znaczący dorobek.

Gdzie drwa rąbią tam wióry lecą, gdzie się dużo strzela tam i straty ludzkie są spore. Największe straty w okręgu lubelskim A.K. poniósł inspektorat zamojski, bowiem wyniosły one ponad 400 osób. Większe straty poniosła jednak Armia Krajowa w wyniku stosowania zasady odpowiedzialności zbiorowej, akcji przesiedleńczej i masowych aresztowań, niż działalności kontrwywiadu okupanta i walki partyzanckiej.

W toku akcji zbrojnych tylko w nielicznych wypadkach straty były znaczne jak na przykład w wyniku walk w Puszczy Solskiej, gdzie poległo 850 partyzantów, bitwy oddziału "Nerwy" w Pawlinie - 32 partyzantów, oddziału "Podlaskiego" w dniu 2 lutego 1943 roku - 33

partyzantów, czy też straty oddziałów tomaszowskich i hrubieszowskich podczas akcji przeciwukraińskiej w dniu 2 czerwca 1944 roku - 72 żołnierzy A.K. Dziennik działań bojowych zgrupowania OP 9 zawiera dane o 52 żołnierzach, zabitych podczas walk.

Ogólne straty Armii Krajowej w całym kraju do akcji "Burza" i powstania warszawskiego oszacowano na przeszło 62 tysiące, co stanowiło około 18% całego stanu organizacji. W stosunku do okręgu lubelskiego procent ten był nieco wyższy, zaś straty osobowe wyniosły nie mniej niż 11 tysięcy członków.

Oddziały lotne występowały przede wszystkim na terenach o małym zalesieniu. Nie posiadając stałych i bezpiecznych baz leśnych, stacjonowały one zazwyczaj we wsiach, zmieniając często miejsce swojego postoju. Oddziały te były najczęściej mało liczebne i niekiedy działały małymi sekcjami. Taki charakter miały oddziały obwodu puławskiego "Orlika", "Hektora" i "Argila", lubelskiego - "Nerwy" i "Rysia", lubartowskiego - "Brzechwy", "Uskoka" i "Lekarza".

Większość oddziałów partyzanckich okręgu lubelskiego, powstałych w 1943 roku, zawiązała się w sposób żywiołowy, na skutek akcji wysiedleńczej, aresztowań, zagrożenia organizacji lub terenu. W ten sposób powstały na przykład oddziały "Wara", "Orlika" i "Spartanina".

Jeszcze w 1942 roku, w Bychawie, hitlerowcy aresztowali członka ZWZ Ryszarda Buczka, osadzając go w miejscowym areszcie. Grupa tamtejszej młodzieży, pod dowództwem Seweryna Kryski - "Konny" oraz grupa ZWZ ze wsi Dębszczyzna, nocą włamały się do aresztu i uwolniły więźnia. Po wycofaniu się z Bychawy, część bojowców dołączyła do stałej grupy partyzanckiej, organizowanej przez ppor. Tadeusza Sowę "Spartanina".

Oddział ten, późniejszy IV pluton OP 8, rozpoczął swoją działalność w maju 1943 roku, w rejonie Bychawy. Zastępcą "Spartanina" został ppor. Stefan Jankowski - "Janota". Początkowo liczył około

20 osób spalonych lub zagrożonych aresztowaniem, z okolicznych placówek A.K. W tym czasie oddział działał w północno-wschodniej części powiatu lubelskiego i w lasach kozłowieckich w powiecie lubartowskim.

Zanim ja pojawiłem się w jego szeregach, oddział miał za sobą już kilka akcji bojowych: 11 sierpnia 1943 roku stoczył potyczkę z żandarmerią w Jabłonnie w powiecie lubelskim, 17 sierpnia rozbił obóz junaków w Minkowicach, 19 sierpnia rozbroił posterunek policji granatowej w Nasutowie, a 24 sierpnia stoczył potyczkę z 30-osobową grupą żandarmów w lasach kozłowieckich. W sierpniu 1943 roku, po potyczce w okolicy Krzczonowa, oddział rozproszył się /liczył wówczas około 30 osób/, by ponownie uformować się w październiku. Przez okres zimowy oddział przebywał na kwaterach m.in. w miejscowościach: Zdrapy, Bychawka, Wierciszów.

Gdy w końcu lutego 1944 roku zostałem skierowany do tego oddziału, udałem się na przedmieście Lublina, "Dziesiąta", gdzie zazwyczaj gromadziło się sporo furmanek ze wsi położonych na południe od miasta. Pierwszy wieśniak, zapytany o podwodę do okolic Bychawy, nie wdając się w długą rozmowę ze mną, zaoferował swoją. Po przejechaniu kilku kilometrów, gdzieś w okolicach Mętowa/tu przed wojną ukończyłem trzeci i siódmy oddział szkoły powszechnej/ mój woźnica niespodziewanie odezwał się: "Chyba panu nie zależy na spotkaniu z Niemcami?" To mówiąc, skręcił z szosy Lublin-Wysokie w prawo i inną drogą, mniej uczęszczaną, dotarliśmy późnym popołudniem w pobliże Bychawy. Tutaj stwierdził, że przyszła pora na rozstanie. Za przewóz nie wziął ani grosza. Za chwilę zostałem sam w miejscu, skąd do Lewandowszczyzny było 2 lub 3 km.

Maszerując wzdłuż lasu, ciągnącego się od Bożego Daru po wieś Zielona, znalazłem się po pewnym czasie pod Lewandowszczyzną. Nagle zza jednego drzewa wysunął się młody człowiek z karabinem, wołając:

"Stój! Kto idzie?" Gdy poinformowałem go o celu mojej wędrówki, poprowadził mnie do wsi. Po drodze przedstawił się, mówiąc, że nazywa się "Maratończyk".

Zaprowadzony do dowódcy, zameldowałem się, informując go o skierowaniu do jego oddziału. Przy wpisywaniu do ewidencji wylegitymowałem się ostatnio używaną kenkartą na nazwisko Zapolski, ujawniając jednak dowódcy swoje prawdziwe nazwisko Kusy. Powiedziałem, że moją tożsamość może potwierdzić mieszkający tu brat mojej matki, Stanisław Marcinkowski. Dowódca, przystojny 30-letni brunet, wysłał jednego z obecnych partyzantów do wuja. "Proszę wezwać "Jarząba", bo jest tu ktoś powołujący się na niego!" Za chwilę pojawił się "Jarząb", zameldował się "Spartaninowi" i oświadczywszy, że jestem jego siostrzeńcem z Lublina, serdecznie ucałował się ze mną. W ten sposób dowiedziałem się, że wuj to obecnie "Jarząb" i że jest członkiem miejscowej placówki.

Za radą dowódcy, pseudonim "Stefan" zmieniłem na "Mściwój", aby zatrzeć za sobą ślady, ponieważ dotychczasowy mógł być już przez gestapo rozszyfrowany. Zostałem wcielony do jednej z drużyn /zdaje się, że do drugiej/ dowodzonych: pierwsza przez Albina Kostrzewskiego - "Kędziorka", druga przez Kazimierza Kostrzewskiego - "Korzenia" i trzecia przez Ryszarda Buczka - "Brzaska". Podoficerem broni oddziału był Seweryn Kryska - "Konny", a kwatermistrem Stanisław Kopeć.

Zima ubezpieczała nas przed niespodziewaną wizytą Niemców, ponieważ śnieg umożliwiał poruszanie się ich w terenie wyłącznie wozami lub saniami, a nie samochodami. Czas spędzaliśmy na wsiach, dokonując niezbędnych zmian miejsca pobytu co kilka dni. Podczas kwaterowania we wsiach odbywaliśmy intensywne szkolenie wojskowe: musztrę, naukę o broni własnej i niemieckiej, zasady taktyki walki partyzanckiej. Pamiętam, że wtedy wsiadłem pierwszy raz w życiu

na konia. Nasz dowódca chciał, aby każdy partyzant umiał jeździć konno. Koledzy, chcąc zażartować z nowicjusza, spłoszyli konia i ten galopując zrzucił ze swego grzbietu kłopotliwy bagaż. Całe szczęście że śnieg był dość głęboki i upadek zakończył się szczęśliwie w najbliższej zaspie.

W wolnych chwilach uczyliśmy się śpiewać partyzanckie piosenki, a była ich niezliczona ilość. Wraz z nami piosenki te śpiewała okoliczna ludność i do dziś jeszcze po wsiach tamtejszych niemal powszechna jest ich znajomość.

Święta Wielkanocy, w dniach 9 i 10 kwietnia 1944 roku, spędziliśmy na kwaterach gdzieś w okolicy Kosarzewa, a więc i blisko Bychawy, skąd było dobrze widać komin cegielni, stanowiącej własność naszego wodza. W tym miejscu muszę przytoczyć żartobliwą opinię, panującą w okolicy, że "Spartanin" kwateruje zawsze we wsiach, z których jest widoczny tenże komin. Zresztą żart ten był o tyle bliski prawdy, że Bychawa, stanowiąc centrum naszego rejonu partyzanckiego, zmuszała nas do poruszania się wokół niej, raz bliżej a raz dalej, ale przeważnie tak, że komin cegielni nie znikał z pola widzenia.

Oddział istniał do początku maja 1944 roku, kiedy to na rozkaz Inspektoratu Rejonowego "Lublin" rozpoczęto jeszcze w kwietniu dochodzenie w sprawie "Spartanina". Oddziałowi zarzucano bezprawne pobranie koni, sprzętu i broni z folwarków i placówek. Z chwilą likwidacji oddziału 16 osób skierowano do oddziału "Szarugi", 16 do "Nerwy", 15 na placówki, a 12 ze "Spartaninem" na czele do dyspozycji komendanta Obwodu Lublin-Powiat. Z grupy tej utworzono następnie kilkusobowy oddział łącznikowy obwodu.

O okolicznościach rozwiązania oddziału informuje szczegółowo dokument zatytułowany "Meldunek komendanta Obwodu Lublin-Powiat do Inspektoratu Rejonowego "Lublin" w sprawie rozwiązania oddziału "Spartanina". Poniżej przytaczam w skrócie najważniejsze jego punkty.

Dokument stwierdzał, że inspekcja została przeprowadzona w nia  
2 i 3 maja 1944 roku w wykonaniu rozkazu z 29 kwietnia 1944 roku.

Stwierdzono stan:

a - ludzi - 2 oficerów, 2 podchorążych, 4 podoficerów, 46 szeregowych, 2 sanitariuszki, 1 oficer sowiecki zbiegły z obozu jeńców, 3 szeregowych na urlopie.

b - broni - 1 lekki karabin maszynowy, 1 ręczny karabin maszynowy, 1 pistolet maszynowy /zdobyty w akcji pod Nasutowem/, 35 karabinów i karabinków, 16 pistoletów różnych /własność posiadaczy/, 5 granatów z zapalnikami, 1 rakieta z 1 rakieta białą, trotyl oraz amunicja do karabinów po 50 sztuk na każdy.

c - koni i wozów - 24 konie, 8 wozów.

d - innego sprzętu - 13 płacht namiotowych, 10 płaszczy gumowych.

Ludzi i broń podzielono:

1. Na placówki - 2 podchorążych, 2 podoficerów, 11 szeregowych, 12 karabinów z amunicją, 5 granatów, 2 konie, 1 wóz.
2. Do oddziału dyspozycyjnego Komendy Obwodu Lublin-Powiat - 1 oficera, 1 podoficera, 10 szeregowych, 1 pistolet maszynowy, 10 karabinów, 11 granatów, 1 rakieta, 100 ładunków wiertniczych, 1 torba sanitarna, 7 koni, 1 wóz, 5 siodeł.
3. Do plutonu "Szarugi" - 1 oficera, 1 podoficera, 14 szeregowych, 5 karabinów, 10 płaszczy gumowych.
4. Do plutonu "Nerwy" - 14 szeregowych, 2 sanitariuszki, 8 karabinów, 10 płacht namiotowych.
5. Do partyzantki radzieckiej - 1 oficera sowieckiego.

Według meldunku ppor. "Sarmata" otrzymał w styczniu i lutym na utrzymanie oddziału 17.000 zł, w tym 7.000 zł ze składek społecznych i 10.000 zł od kuzyna "Sarmaty", który przez pewien czas był żołnierzem oddziału. W okresie od stycznia do kwietnia 1944 roku włącznie, wydano na potrzeby oddziału 50.000 zł. Inspektor ustalił, że "Spartanin", będąc dość zamożnym z domu, większość wydatków na potrzeby oddziału pokrywał własną gotówką.

Meldunek mjr Stanisława Piotrowskiego - "Jara" został zakończony dwoma wnioskami. Cytuję je w pełnym brzmieniu:

1. Wskazaniem byłoby przeprowadzenie ścisłego dochodzenia odnośnie przewinień Ob. "Sarmaty" i jego działalności w terenie. Na mnie Ob. "Sarmata" zrobił wrażenie bardzo dobre i pracującego z poświęceniem żołnierza.
2. O ile jest możliwym, proszę o przydzielenie do obwodu 623 /Lublin-Powiat/ ppor. "Janotę".

W załączniku do powyższego meldunku "Jar" podaje pełny stan osobowy oddziału, stwierdzony w dniach 2 i 3 maja 1944 roku, z krótką charakterystyką przyczyn pobytu w oddziale poszczególnych partyzantów.:

1. ppor. "Sarmata", "Spartanin" - Tadeusz Sowa - spalony od 1940 roku, aresztowani członkowie rodziny, bez dowodu.
2. ppor. "Janota" - Stefan Jankowski - spalony od 1941 roku, poszukiwany na terenie Lublina i Warszawy.
3. kpr. pchor. "Dziryt" - Konstanty Rostworowski - urlop bezterminowy".
4. kpr. pchor. "Szakal" - zwolniony z oddziału.
5. kpr. "Organ" - urlop bezterminowy.
6. plut. "Pelikan" - spalony od 1943 roku na terenie Lubelszczyzny.
7. kpr. "Rab" - spalony.
8. plut. "Sułtan" - nie poszukiwany, lecz spalony na terenie Lubelszczyzny.
9. sanit. "Kropka" - Zofia Mioduszevska" - poszukiwana na terenie Lublina, śledzona jako kurierka Sił Zbrojnych od wiosny.
10. sanit. "Lidia" - Anna Miszczuk - ścigana od 1944 roku, aresztowani członkowie rodziny.
11. ppor. "Michał" - Rosjanin przekazany partyzantce sowieckiej.
12. szer. "Cezar" - Roman Cenzartowicz - poszukiwany.
13. szer. "Cwaniak" - urlop bezterminowy.
14. szer. "Fryc" - poszukiwany, odbity z więzienia.

15. szer. "Gołąb" - poszukiwany za broń /NSZ/.
16. szer. "Grom" - poszukiwany na terenie Bychawy /junak/.
17. szer. "Huragan" - urlop bezterminowy.
18. szer. "Jurand" - nie spalony, ma możliwość zameldowania się.
19. szer. "Kędziorek" - Albin Kostrzewski - poszukiwany od października 1943 roku /NSZ/ za przenoszenie broni.
20. szer. "Klarnet" - poszukiwany.
21. szer. "Kłon" - ?
22. szer. "Kokoszka" - spalony, członek organizacji.
23. szer. "Kometa" - poszukiwany.
24. szer. "Konar" - poszukiwany.
25. szer. "Konny" - Seweryn Kryska - spalony od 1943 roku /wiosna/.
26. szer. "Korzeń" - Kazimierz Kostrzewski - spalony w Lublinie za uchylanie się od robót, urlop bezterminowy.
27. Szer. "Kruk" - spalony.
28. szer. "Kruszyna" - poszukiwany.
29. szer. "Longin" - Longin Wawruszak - poszukiwany za ucieczkę z Baudienst.
30. szer. "Lont" - poszukiwany jako junak.
31. szer. "Majcher" - ?
32. szer. "Malarz" - urlop bezterminowy.
33. szer. "Mściwój" - Edward Zapolski-Kusy - poszukiwany na terenie Lubelszczyzny.
34. szer. "Nagan" - urlop bezterminowy.
35. szer. "Neron" - Zbigniew Nagalski - uciekł z Niemiec, poszukiwany przez żandarmerię.
36. szer. "Olza" - poszedł z oddziałem lotnym "Znicza", uciekł z pracy z firmy niemieckiej.
37. szer. "Osa" - poszukiwany jako junak.
38. szer. "Płomień" - poszukiwany
39. szer. "Puchacz" - poszukiwany, zbiegł z robót z Niemiec.
40. szer. "Roma" - wrócił do domu.
41. szer. "Róg" - poszukiwany.
42. szer. "Ryś" - Ryszard Wnuk - poszukiwany za udział w konspiracji
43. szer. "Sak" - poszukiwany za udział w konspiracji od 1942 roku.
44. szer. "Samson" - Piotr Kwapisiewicz - spalony i poszukiwany, w związku z wpadką zapalników, od lutego 1944 roku, na terenie Lublina.
45. szer. "Sarna" - poszukiwany w drodze karnej.
46. szer. "Skała" - Józef Miazek - poszukiwany jako junak i za ucieczkę z Niemiec.



47. szer. "Sten" - wysiedlony i poszukiwany.
48. szer. "Sygnet" - poszukiwany za przenoszenie broni od 1940 roku
49. szer. "Tom" - Czesław Linkowski - spalony i poszukiwany.
50. szer. "Tygrys" - Zbysław Gospodarek - poszukiwany jako junak.
51. szer. "Werbel" - spalony.
52. szer. "Zawilec" - poszukiwany.
53. szer. "Zef" - uciekł przed służbą w S.D. /syn mieszanego małżeństwa/.
54. szer. "Zenon" - spalony, wiedzą, że był w bandzie.
55. szer. "Zet" - spalony w Mińsku Maz. i Lublinie, poszukiwany za działalność dywersyjną.
56. szer. "Żak" - poszukiwany jako junak.
57. szer. "Żyła" - uciekł z Baudienstu.
58. szer. "?" - przydzielony do oddziału ppor. "Nerwy" .

Z przekazanych do oddziału "Nerwy" 14 szeregowych i 2 sanitariuszek udało mi się ustalić skład personalny prawie wszystkich partyzantów, z wyjątkiem 2 osób. Oto wykaz tych osób, z podaniem pseudonimów oraz nazwisk niektórych z nich:

1. sanit. "Kropka" - Zofia Mioduszevska
2. sanit. "Lidia" - Anna Mischczuk.
3. szer. "Cezar" - Roman Cenzartowicz.
4. szer. "Klarnet" - NN
5. szer. "Longin" - Longin Wawruszak
6. szer. "Majcher" - NN
7. szer. "Mściwój" - Edward Zapolski-Kusy
8. szer. "Neron" - Zbigniew Nogalski.
9. szer. "Osa" - NN
10. szer. "Ryś" - Ryszard Wnuk
11. szer. "Samson" - Piotr Kwapisiewicz
12. szer. "Skała" - Józef Miazek
13. szer. "Tom" - Czesław Linkowski
14. szer. "Tygrys" - Zbysław Gospodarek.

W książce S.Cabana i Z.Mańkowskiego "Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944" odnalazłem jeszcze trzy wzmianki, dotyczące oddziału "Spartanina", z okresu po jego rozwiązaniu.

Oto one:

1. Aresztowany w Lublinie /w czerwcu 1944 roku/, na działkach, w domu swej narzeczonej Maksymilian Łukasik z Osowy, pseudonim

"Maratończyk", podoficer oddziału por. "Spartanina", ostatnio pracujący w żandarmerii rejonowej, jest młodym, 22-letnim chłopakiem, chorym na serce, trochę tchórzliwym, zachodzi więc obawa wsypy.

/Uważny czytelnik niniejszych wspomnień zauważył zapewne, że jest to ten sam partyzant, który pełnił wartę w Lewandowszczyźnie w dniu mojego wstąpienia do oddziału "Spartanina". "Maratończyk" przeżył więzienie, nie wsypując nikogo, mimo obaw wyrażonych przez wywiadowcę w meldunku. Wiem o tym, bo w kwietniu 1945 roku spotkałem go w Lublinie./

2. Na terenie rejonu V są duże narzekania wśród członków organizacji z rozwiązania niektórych oddziałów /chodzi o rozwiązanie oddziału "Spartanina"/. Ludzie z rozwiązanych oddziałów tułają się bez zajęcia, a ponieważ większość to niezrównoważona jeszcze młodzież, może się ona zdemoralizować, co nie byłoby pożądanym w obecnej chwili.
3. Obwód Lublin-Powiat przystąpił do realizacji planu "Burzy" 22 lipca, podczas gdy rozkaz komendanta obwodu został formalnie wydany dopiero 23 lipca. 24 lipca 1944 roku oddziały BCH, AK i AL przeprowadziły akcję zaczepną przeciwko oddziałowi niemieckiemu z 17 dywizji SS w sile około 250 żołnierzy. Akcja rozegrała się na południowy zachód, od miejscowości Żuków. Trwała ona ponad 4 godziny. Oddziały partyzanckie zmuszone zostały do wycofania się dopiero z chwilą wejścia do akcji większych sił niemieckich. Ze strony AK w bitwie brały udział oddziały pod dowództwem por. "Naszego", "Spartanina" oraz oddział łączności pod dowództwem "Dołęgi". Całością akcji dowodził komendant obwodu lubelskiego mjr "Jar".

Doprowadziwszy do końca historię oddziału ppor. "Spartanina", mogę obecnie wrócić do dalszych moich losów. W dniu 4 maja 1944 roku grupa 16 partyzantów, przeznaczonych do oddziału ppor. "Szarugi", oraz 16 do oddziału ppor. "Nerwy", pod wspólnym dowództwem ppor. "Janoty", zamel-

dowała się w miejscu postoju oddziału ppor. "Nerwy". Przechodząc do oddziału ppor. "Nerwy" zmieniłem pseudonim "Mściwój" na "Dewajtis".

x            x            x

Korzystając z dostępnych publikacji, dotyczących dziejów lotnego oddziału partyzanckiego AK ppor. "Nerwy", muszę w tym miejscu, możliwie szeroko i dokładnie, opisać historię wydarzeń, które były udziałem partyzantów tego oddziału, do czasu pojawienia się w nim grupy z oddziału "Spartanina", to jest do dnia 4 maja 1944 roku.

Wojciech Rokicki-"Nerwa", "Ganasz" - urodził się 30 listopada 1914 roku w Piaskach koło Lublina. W 1935 roku ukończył Gimnazjum im. St.Staszica w Lublinie, w tym samym roku został powołany do 9 p.p.leg. w Zamościu. Ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy w Tomaszowie Lubelskim. Po odbyciu służby wojskowej, w 1936 roku podejmuje pracę w Zarządzie Miejskim w Lublinie. Równocześnie studiuje prawo na KUL w Lublinie.

W sierpniu 1939 roku zostaje zmobilizowany i walczy w obronie Warszawy. W październiku 1939 roku wraca do Lublina i tu w grupie młodzieży akademickiej zakłada organizację Żołnierze Armii Polskiej, która po pewnym czasie przechodzi do ZWZ. W tej organizacji początkowo jest oficerem broni Rejonu Motycz, następnie zaś adiutantem komendanta Obwodu Lublin, Jana Rolińskiego - "Jan".

Początki oddziału partyzanckiego "Nerwy" sięgają jesieni 1943 roku kiedy to, jako adiutant Komendanta Obwodu AK Lublin, utworzył grupę specjalną, której podstawowym zadaniem była ochrona organizacji przed zdrajcami i kolaborantami. Miała ona charakter garnizonowy, ale już wówczas wykonywała również zadania w terenie. Grupa ta liczyła wtedy od 5 do 7 członków i składała się, obok dowódcy, z następujących osób: kpr. Jan Czapla - "Czarny", kpr. pchor. Jan Czerny - "Szwarc", pchor. Jan Flisiak - "Chłopiński", kpr.pchor. Witold Głuchowski - "Las", kpr.pchor. Józef Sobieszkański - "Sęk" oraz ppor. Tadeusz

Stępień - "Poker". Późną jesienią, grupa licząca już około 20 ludzi coraz bardziej przybierała charakter oddziału lotnego, zaś w styczniu 1944 roku oddział stał się prawdziwym oddziałem lotnym.

Kroniki oddziału odnotowują, jako jedną z pierwszych akcji zbrojnych organizującego się oddziału, rozbrojenie w dniu 14 listopada 1943 roku w Lublinie, przy Al. Piłsudskiego, dwóch żołnierzy Wehrmachtu i zdobycie dwóch pistoletów.

Po zakończeniu okresu organizacyjnego, co miało miejsce około 10 stycznia 1944 roku, gdy powstała trzecia drużyna, oddział stał się II plutonem 8 p.p.AK. Skład jego kadry dowodzącej przedstawiał się następująco:

Dowódca - ppor. "Nerwa" - Wojciech Rokicki;

Zastępca - kpr. pchor. "Sęk" - Józef Sobieszczański

Dowódca I drużyny - kpr.pchor."Szwarc" - Jan Czerny

Zastępca - kpr. "Czarny" - Jan Czapla

Dowódca II drużyny - kpr.pchor."Las" - Witold Głuchowski

Zastępca - kpr.pchor. "Zawichost" - Tadeusz Cenzartowicz

Dowódca III drużyny - kpr.pchor."Nemrod" - Stefan Latomski

Zastępca - kpr.pchor."Tur" - Władysław Nowacki.

Z taką obsadą dowódczą oddział przetrwał do dnia 7 kwietnia 1944 roku, do bitwy pod Pawlinem, powiększając stopniowo swój stan osobowy do około 60 partyzantów.

Zanim doszło do bitwy pod Pawlinem, oddział przeprowadził szereg akcji, zarówno w Lublinie, jak i w terenie. Z odnotowanych w tym czasie, poniżej wymieniam te, które utrwaliły się najlepiej w pamięci ich uczestników.

11 stycznia 1944 r.

Patrol partyzancki rozbroił kilku Niemców na ul. Bychawskiej.

Jeden z Niemców, sanitariusz, stawiał opór i został zabity. Zdobyto 3 pistolety.

16 stycznia

W Bychawie rozbrojono 2 żołnierzy Wehrmachtu, przy czym jeden z Niemców został ranny. Partyzanci zdobyli jeden pistolet.

23 stycznia

Patrol pod dowództwem "Nemroda" rozbroił w Lublinie na ul. Szkolnej plutonowego i starszego szeregowca Wehrmachtu. Zdobyto pistolet i oporządzenie.

Uczestnik tej akcji "Zawichost" - Tadeusz Cenzartowicz, tak relacjonuje, po latach, przebieg tego wydarzenia, w artykule zatytułowanym "Saperki":

"W pierwszych dniach stycznia 1944 r. brałem udział w rozbrojeniu dwóch żołnierzy niemieckich na ulicach Lublina. Celem akcji było zdobycie broni palnej, w wielu okolicznościach bardziej operatywnej i przydatnej, niż nawet karabin lub pistolet maszynowy.

Dowódcą 4-osobowej grupy bojowej był Stefan Latomski, ps. "Nemrod". Nie pamiętam niestety nazwisk i pseudonimów dwóch pozostałych kolegów, wyznaczonych do wykonania zadania. Akcja rozbrojenia Niemców wykonana została na ul. Szkolnej w Lublinie. Miejsce jej nie było z góry zaplanowane. Decyzja o podjęciu operacji właśnie w tym rejonie zapadła podczas penetracji terenu tylko dlatego, iż wszystkie okoliczności wydawały się najbardziej sprzyjające i gwarantujące jej pełne powodzenie. Całością akcji kierował oczywiście dowódca, a naszym obowiązkiem było natychmiastowe i sprawne wykonanie każdego rozkazu. Posiadaliśmy skromne uzbrojenie. Stanowiły je pistolety z niewielkim zapasem amunicji. Tak więc decyzja o ewentualnym użyciu broni palnej mogła być podjęta tylko w całkowicie uzasadnionych okolicznościach. Mogliśmy natomiast działać z zaskoczenia, co w pierwszej fazie akcji dawało wątpliwą przewagę nad wrogiem.

Pragnęliśmy skrycie, by akcja zakończyła się powodzeniem. Tak się złożyło, że zarówno dowódca, jak i ja, posiadaliśmy stopnie

wojskowe kaprała podchorążego. Szereg okoliczności pozwala przypuszczać, że identyczne stopnie posiadali pozostali uczestnicy akcji. Byliśmy wewnątrznie przekonani, że wykonanie zadania będzie jakby moralnym usankcjonowaniem nadanych nam stopni wojskowych, otrzymanych po ukończeniu konspiracyjnej szkoły podchorążych. Stanowiliśmy więc zalążek przyszłej kadry dowódców. Dawało nam to z jednej strony pewne przywileje i poczucie satysfakcji, a jednocześnie zobowiązywało do reprezentowania postawy stanowiącej wzór dla przyszłych podwładnych.

Idąc ulicą Szkolną parami, w niewielkich odstępach, ujrzelśmy w pewnym momencie zbliżających się od ulicy Czwartek dwóch żołnierzy niemieckich. Prawdopodobnie cieszyli się posiadaniem przepustkami, nie przypuszczając, że za chwilę los spłata im figla brzemiennego w przykre konsekwencje. Wszak nie mogła ujść bezkarnie utrata broni osobistej, szczególnie w kraju, jak sądził chwilowy zwycięzca, całkowicie pokonanym i startym na proch. Żołnierskie buty raźnie i miarowo uderzały o kamienny bruk ulicy. Takim krokiem maszerują tylko butni zwycięzcy.

W pewnej chwili padł rozkaz dowódcy: "Robimy ich". Wykonany został manewr pozwalający na osaczenie Niemców z dwóch stron. Pułapka zacieśniała się coraz skuteczniej, umożliwiając zaatakowanie Niemców jednocześnie przez obie nasze pary. Ostre wezwanie wroga do podniesienia rąk do góry, poparte lufami pistoletów, odniosło pożądaną skuteczną. Przeciwnik zorientował się niewątpliwie szybko, że nie ma szans na obronę i nie podjął próby oporu. Można wyobrazić sobie zaskoczenie i zdumienie Niemców. Byli z pewnością przekonani, że podbity naród nie może zdobyć się na podejmowanie zbrojnych akcji wymierzonych przeciw okupantowi. Może w ogóle nie wiedzieli, że polski ruch oporu istnieje, rozwija się i stanowi siłę, której nie można lekceważyć.

Łupem naszym padł tylko jeden pistolet, jak się później okazało, w doskonałym stanie. Niemiec, który nie posiadał pistoletu, miał na nogach wspaniale prezentujące się buty z cholewami, zwane saperkami. Oczywiście pożegnał się z nimi. Saperki te służyły mi doskonale na partyzanckich ścieżkach.

Pozostawienie, unieszkodliwionych wprawdzie, Niemców wprost na ulicy, wydawało się niebezpieczne. Któryś z nas spostrzegł przy położonym w pobliżu budynku studzienki podokienne. Niemcy otrzymali polecenie zsunięcia się do jednej ze studzienek i pozostawanie w niej przez minimum pół godziny. W istocie rzeczy takie posunięcie stanowiło problematyczne zabezpieczenie przed podjęciem przez przeciwnika ewentualnej kontrakcji natychmiast po naszym oddaleniu się z terenu akcji. Z braku wprawy i doświadczenia nie zastanawialiśmy się wówczas nad skutecznością podjętej decyzji.

Następnym zadaniem było jak najszybsze, a zarazem skuteczne oderwanie się od przeciwnika. Wydaje się że takie zadanie można wykonać niezwykle łatwo. Trzeba jednak pamiętać, że można było jedynie iść szybkim krokiem. Bieg ulicami kilku mężczyzn mógł natychmiast zwrócić uwagę patroli niemieckich. Po kilkunastu minutach osiągnęliśmy melinę, szczęśliwi i pełni dumy z dobrze wykonanego zadania bojowego. Pistolet prezentował się wspaniale. Podawaliśmy go sobie z rąk do rąk, jakby dla podkreślenia, że udział każdego z nas w jego zdobyciu nie podlega dyskusji. Nasza radość została w pewnym momencie zmacona. Nie powiodła się bowiem próba zarepetowania pistoletu. Czyżby broń była uszkodzona? Podczas dalszych zabiegów, zmierzających do rozszyfrowania zagadki, któryś z kolegów odciągnął przypadkowo kurek spustowy. Dalej poszło już wszystko gładko. Pistolet działał i był w pełni sprawny. Jak się okazało, był on zabezpieczony w chwili próby wprowadzenia naboju do lufy, co osiągało się przez odciągnięcie kurka spustowego do pewnego oporu. W takim ustawieniu mechanizmu spustowego następo-

wała blokada karety, o czym na skutek braku doświadczenia nie wiedzieliśmy.

Wkrótce czekało nas nowe zadanie bojowe, a mianowicie opanowanie i rozbrojenie obozu "Junaków", położonego przy ulicy Wesołej w Lublinie. Ta akcja również zakończyła się powodzeniem, chociaż początkowy jej przebieg nie wróżył osiągnięcia zamierzonego celu. Wykonanie zadania powierzone zostało grupie żołnierzy, odkomenderowanych z oddziału partyzanckiego "Nerwy", uzupełnionej uczestnikami rozbrojenia Niemców na ul. Szkolnej w Lublinie. W akcji tej brał ponadto udział Lesław Eustachiewicz, ps. "Jerzy", który od tego momentu dzielił aż do wyzwolenia losy oddziału partyzanckiego "Nerwy".

W oznaczonym dniu nie doszło do spotkania i wzajemnego rozpoznania wyznaczonych do wykonania zadania grup operacyjnych. Dopiero później okazało się, że grupy te bezskutecznie nuciły melodię określonej piosenki, będącej hasłem rozpoznawczym, w niezbyt precyzyjnie oznaczonym rejonie zamierzonego spotkania. Szukaliśmy się wzajemnie na dwóch równoległych uliczkach, niezbyt odległych, łączących ulicę wówczas Zamojską i Wesołą. Dopiero następnego dnia, kierowani jakąś emanującą intuicją, rozszerzyliśmy krąg penetracji, co doprowadziło do nawiązania kontaktu. Mogliśmy przystąpić do wykonania zadania.

Zaskoczenie wywołane wtargnięciem na teren obozu z ujawnioną bronią było na tyle skuteczne, że nie podjęta została jakakolwiek akcja alarmowa i obronna. Zdobyć naszą stanowiło około 10 karabinów, niestety przestarzałej produkcji francuskiej, z pewną ilością amunicji. Wówczas jednak każda broń palna posiadała, w całym tego słowa znaczeniu, wagę złota. Zdobyte karabiny musieliśmy przez transportować do meliny, w pobliżu drewnianego kościółka przy ul. Kunickiego. Wieźliśmy broń ukrytą w zwykłym worku, wynajętą dorożką, której właściciel nie został oczywiście poinformowany



o niecodziennej zawartości worka, nie wyrażając zgody na przewiezenie niebezpiecznego bagażu. Próba oporu dorożkarza była oczywiście skazana na niepowodzenie. Nie mieliśmy wyboru, stosując przymus wobec człowieka, który nic nie zawinił, a ryzykował niezmiernie dużo.

Dotychczas dopisywało nam szczęście. Nie opuściło nas także w chwili zbliżania się dorożki do kina, noszącego dzisiaj nazwę "Robotnik". Pech chciał, że nadjechaliśmy tuż po zakończeniu seansu filmowego, granego dla żołnierzy niemieckich. Z kina wysypało się mrowie Niemców. Było ich pełno, tak na chodniku, jak i na jezdni. Miarowy kłus konia, zaprzężonego do naszej dorożki, przeszedł w ostrożnego stępa, by któryś z Niemców nie odniósł najmniejszego szwanku w zamieszaniu. Mrowie żołnierzy niemieckich tworzyło jakby pulsującą przeszkodę, którą musieliśmy pokonać, gdyż odwrotu nie było. Sytuacja nasza była trudna, ponieważ w przypadku konfliktu zostalibyśmy po prostu unicestwieni. Trzeba przyznać, że nie mieliśmy jakiegokolwiek planu działania, gdyby któryś z Niemców zechciał zatrzymać dorożkę, z zamiarem usunięcia jej dotychczasowych pasażerów. Każde uderzenie kopyta końskiego o bruk odsuwało groźbę zbrojnej utarczki z wrogiem, w której bylibyśmy na straconej pozycji. Po chwili żywa przeszkoda zaczęła się przerzedzać i koń zaczął znowu biec kłusem, pozostawiając Niemców w coraz większej odległości. W niespełna pół godziny później cenna zdobycz dostarczona została do wyznaczonej meliny. Na tym jednak nie kończyła się przedstawiona w ogólnym zarysie akcja bojowa. Jeszcze tego samego dnia, właściwie już nocą, opuszczaliśmy w małych grupach Lublin, by zdobytą broń dostarczyć do operującego, gdzieś w okolicach Bychawy, lotnego oddziału partyzanckiego Armii Krajowej, dowodzonego przez Wojciecha Rokickiego, ps. "Nerwa". Jedna z grup natknęła się na patrol niemiecki. Obie strony otworzyły ogień. Podczas strzelaniny ciężką ranę odniósł Kazimierz Szwed, ps. "Noir". Ten dzielny żołnierz

zdołał o własnych siłach ujść Niemcom. Wykorzystując znajomość terenu, dobrnął do znanej mu meliny. Po trwającym kilka ~~tygodni~~ ~~tygodni~~ leczeniu, wyzdrowiał i powrócił do macierzystego oddziału partyzanckiego. Wchłaniała nas przytulna noc, dając odprężenie napiętym nerwom. Pragnęliśmy jak najszybciej odnaleźć oddział, by złożyć dowódcy meldunek o wykonaniu wyznaczonych zadań bojowych".

#### 24 stycznia

Wydzielona grupa z oddziału, pod dowództwem "Zawichosta", dokonała akcji na obóz Służby Budowlanej przy ulicy Wesołej w Lublinie. Obóz opanowano z zaskoczenia, zabierając z magazynów 11 karabinów francuskich typu "Lebel" z amunicją, uszkodzono linię telefoniczną i wycofano się bez strat własnych. Niemcy aresztowali dwóch członków Baudienstu, jako podejrzanych o współpracę we wspomnianej akcji

#### 25 stycznia

Jedna z grup, uczestniczących w akcji na obóz Służby Budowlanej, w czasie wycofywania się z Lublina starła się przy ulicy Bychawskiej późnym wieczorem z 6-osobowym patrolem Wehrmachtu i policji polskiej. Podczas wymiany ognia 2 Niemców zostało rannych, w tym jeden ciężko. Po stronie partyzantów ranny został Kazimierz Szwed - "Noir"

#### 31 stycznia - 1 lutego

W trakcie wykonywania zadania, polegającego na ochronie narady dowódców AK, oddział zostaje poderwany do alarmu z powodu bandyckiego napadu na majątek Józwów koło Gałęzowa. Po przybyciu na miejsca stwierdzono, że właściciel domu /akowiec/ został zabity. Z relacji żony zabitego dowiedziano się, że mordu dokonał, przy pomocy nogi od krzesła, "Cień" z AL, żądając wydania mu broni. W mieszkaniu widać było ślady rabunku i zniszczeń /rozbity fortepian/ oraz libacji. Pomoc była spóźniona, próbowano zrobić zasadzkę na "Cienia" ale nie pokazał się w okolicy. Oddział był świadkiem mordu bratobójczego; mordów takich dopuścił się "Cień" kilka. Po wielu latach,

jeden z dowódców AL pisał na łamach gazety wrocławskiej, że władze AL rozważały możliwość rozwiązania oddziału "Cienia" jako bandyckiego, ale do tego nie doszło.

### 3 lutego

W gorzelni w Osmolicach zabrano beczki ze spirytusem przygotowane do transportu na zaopatrzenie Wehrmachtu. Spirytus został odtransportowany do Lublina.

### 9 lutego

Na drodze Głusk - Jabłonna, w pobliżu Abramowic, dwaj żołnierze z oddziału, Bohdan Wójcicki - "Wójt" i Stanisław Bałuk - "Hak", przewożąc broń do komendy obwodu, natknęli się na niemiecki posterunek kontrolny. Razem z nimi, jechali podwodą dwaj członkowie "Szarych Szeregów", Tadeusz Łukawski i Mirosław Płażyński. W toku strzelaniny, jaka się wywiązała, poległ Bohdan Wójcicki i obaj harcerze, natomiast Stanisław Bałuk, ostrzeliwując się, zdołał się wycofać z zagrożonego terenu. Utracono 2 pistolety maszynowe z 6 magazynkami, 4 granaty oraz pistolet.

### 14 lutego

Wydzielona grupa, około 15 ludzi, pod dowództwem ppor. "Nerwy", dokonała akcji na stację kolejową Dominów, na linii Lublin-Chełm. Partyzanci w oczekiwaniu na pociąg z Trawnik, którym mieli być przewożeni więźniowie, opanowali budynek stacyjny oraz posterunek blokowy. Podczas oczekiwania, na stacji pojawił się 10-osobowy patrol ochrony kolei z batalionu ochrony z Chełma. Patrol ten został ostrzelany i zlikwidowany. Zabitych Niemców pochowano w lesie. Oddział zdobył karabin maszynowy, 7 karabinów, pistolet, amunicję, oprządzenie oraz mundury. Podczas strzelaniny ranny został Wacław Luterek "Wis".

28 lutego

Według otrzymanych informacji, w jednym z gospodarstw w okolicach Jakubowic, oddział znajduje, pod obornikiem, pistolet maszynowy polskiej produkcji, prawdopodobnie typu "Mors". Po renowacji u rusznikarza, był używany w oddziale. Dalsze jego losy są nieznane. Obecnie nie zachował się ani jeden egzemplarz tego typu polskiej broni w muzeach.

7-8 marca

W okolicy wsi Zdziłowice oddział spotyka się z partyzantką radziecką pod dowództwem "Werszyhory". Przekazuje jej około 10 Rosjan, którzy po ucieczkach z niewoli schronili się w Oddziałach AK. Ppor.

"Nerwa" otrzymuje na pamiątkę pepeszę, żołnierze wymieniają amunicję

16 marca

Wydzielona grupa, około 10 ludzi, pod dowództwem ppor. "Nerwy", zaatakowała niemiecki punkt oporu w Kozicach Górnych. Atak został zorganizowany w biały dzień, ale zaskoczenie udało się w pełni, dzięki dwóm partyzantom, przebranych za kobiety, którzy dostali się do wnętrza budynku. Byli to: pchor. "Rapp" - Stanisław Hopkała i pchor. "Barnała" - Tadeusz Turżański. Cała obsada punktu oporu została rozbrojona, a jeden spośród jeńców wyraził chęć pozostania w oddziale, na co dowódca wyraził zgodę. Był to Ślązak, Franciszek Nowak, kapral Wojska Polskiego, wcielony do Wehrmachtu i później ranny pod Stalingradem. Kpr. Nowak, pod pseudonimem "Franek", został w oddziale "Nerwy" i z czasem otrzymał funkcję podoficera prowiantowego.

31 marca

Oddział przemieszcza się z powiatu bychawskiego w okolice Bełżyc, z zadaniem ochrony lądowiska "Most I". W trakcie zajmowania kwater, alarm: "Niemcy jadą na wieś". Okazuje się, że nie są to Niemcy, lecz granatowi policjanci z Bełżyc. Zostają rozbrojeni i zamknięci,

po odebraniu im listy mieszkańców wsi, uchylających się od świadczeń na rzecz okupanta, którą mają ze sobą. W trakcie przesłuchania, kilku z nich chce zostać w oddziale. Ppor. "Nerwa" odmawia, ponieważ nie ma o nich opinii miejscowych władz AK. Wieczorem, przed zmianą kwater, policjanci zostają zwolnieni. Na gorące prośby, zostawiono im broń /represji wobec ludności nie było/.

#### 1 kwietnia

Ppor. "Nerwa" wysłała do Lublina 5 podchorążych, którzy mają przywieźć sprzęt wojskowy oraz "święcone" przygotowane przez panie z "Pomocy Żołnierzowi", w związku ze zbliżającymi się świętami Wielkanocy. Grupa ta, składająca się z pchor. "Zawichosta" - Tadeusza Cenzartowicza, pchor. "Szwarcza" - Jana Czernego, pchor. "Jacyny" - Jana Onoszko, pchor. "Natara" - Alfreda Nagalskiego oraz pchor. "Rappa" - Stanisława Hopkały, dokonała tegoż dnia, w magazynach Spółdzielni Rolniczej w Lublinie, rekwizycji żywności oraz 60 tysięcy złotych.

#### 5 kwietnia

Ta sama grupa, na ulicy Grodzkiej w Lublinie, rozbroiła dwóch żandarmerów, zdobywając dwa pistolety oraz na ulicy Zamójskiej - podoficera Wehrmachtu, zabierając mu pistolet.

#### 7 kwietnia

Oddział kwateruje we wsi Pawlin, Niemcy, mając rozeznanie, otaczają wieś. Wiosenne roztopy powodują, że pierścień obławy nie zdążył się niepostrzeżenie zamknąć. W czasie rozpoczętej walki, drużyna pierwsza zdołała się jeszcze wycofać, mając 2 rannych. Drużyna trzecia, chce się wycofać poza stodołami, lecz tam natrafia na zmasowany ogień karabinów maszynowych. Ci, którzy ocaleli, dołączają do drużyny drugiej, gdzie ppor. "Nerwa" usiłuje przerwać pierścień wroga, w walce wręcz na granaty i bagnety. Partyzancki karabin

maszynowy blokuje się, więc zostanie pozostawiony. Niemcy używają granatników, a nad polem walki unosi się samolot wywiadowczy. Mimo tak nierównej walki, ppor. "Nerwa", z częścią ludzi, przebija się. W tej sytuacji na szczególną uwagę zasługuje bohaterski czyn "Swidra". Spostrzega furmankę z leżącym na niej ciężko rannym jego dowódcą, pchor. "Lasem". Jeden koń leży zabity, woźnica leży z głową rozniesioną przez pocisk. "Swider" postanawia ratować swego dowódcę. Pod silnym ogniem wroga odcina bagnetem padłego konia i wywozi rannego, nie zważając na bardzo silny ostrzał. Po bitwie okazuje się, że "Swider" ma płaszcz, a nawet czapkę, podziurawione kulami. Po wydostaniu się z okrążenia, ppor. "Nerwa", wobec pozostałych przy życiu żołnierzy awansował "Swidra" do stopnia st. szeregowca i oświadczył, że wystąpi o odznaczenie go wysokim odznaczeniem bojowym. Minęły lata i "Swider" nigdy nie doczekał się należnego mu odznaczenia....

W walce poległo 32 partyzantów, a 5 odniosło rany. Stracono również tabory. W zbieraniu poległych pomógł miejscowy pluton AK ppor. "Heliodora" /Henryk Jaroszyński/. Poległych pochowano we wspólnej mogile, z honorami wojskowymi, na cmentarzu w Babinie. Należy odnotować, że po walce w Pawlinie, na zbiórce plutonu, gdy ppor. "Nerwa" zaproponował, że kto chce, może odejść z oddziału, nikt chętny nie wystąpił z szeregu. Przeciwnie, przyrzeczono pomścić poległych kolegów, a dla zaakcentowania tego postanowienia, miały być noszone odtąd na rękawach mundurów czarne tarcze z trupią główką oraz z piszczelami. W lipcu emblematy te zostały zastąpione tarczą biało-czerwoną, zaopatrzoną na białym tle w napis: "8 p.p.leg.II", zaś na czerwonym - w wizerunek białego orła.

W bitwie zostali ranni: kpr.pchor. "Las" - Witold Głuchowski, szer. "Dąb" - Marian Charłęza, szer. "Zeń" - Józef Ciesielski, szer. "Figaro" - Jerzy Kołodziej, szer. /pseudonom nieznany/ - Jerzy Jędrusiak.

Polegli: kpr.pchor. "Sęk" - Józef Sobieszczanski - zastępca dowódcy oddziału, kpr.pchor. "Nemrod" - Stefan Latoński, kpr.pchor. "Tur" - Władysław Nowacki, kpr.pchor. "Barnaba" - Tadeusz Turzański, szer. "Burza" - Aleksander Bartoszek, "Góral" - Jan Boguta, "Smutny" - Zdzisław Czerwiński, "Zyga" - Zygmunt Górniak, "Rak" - Czesław Grysz, "Cygan" - Mieczysław Kasperek, "Giewont" - Eugeniusz Kluza, "Krawiec" - Krzysztof Kula, "Klops" - Henryk Mroczek, "Szumny" - Bolesław Paluch, "Wesoły" - Mieczysław Paluch, "Zrąb" - Tadeusz Paryzek, "Cichy" - Henryk Rułka, "Kmita" - Stanisław Rysak, "Groźny" - Józef Susz, "Maur" - Marian Sztejman, "Smyk" - Marian Wolski, "Iwan" - Iwan Wasilewicz /Białorusin/, "Biały" - NN, "Krak" - NN, "Lwowiak" - NN, "Orzeł" - NN, "Sowa" - NN, "Sten" - NN, "Śnieg" - Tadeusz Łuniewicz, "Pokorny" - NN, "Wiatr" - NN, "Wróbel" - Władysław Banaszak.

Wspomniawszy o bohaterskim czynie "Świdra" - Stanisława Milaszkiwicza, dla oddania atmosfery wydarzeń dnia 7 kwietnia 1944 roku, oddaję głos głównemu bohaterowi:

"Wstawał dzień 7 kwietnia - Wielki Piątek; Słońce tego dnia wyszło z nad wiosennych mgieł na czyste niebo. Nocny przymrozek ustępował przed jego promieniami. Topniejące resztki śniegu tworzyły kałuże w koleinach wiejskich dróg i w bruzdach polnych. Wysunięte czujki tkwiły na swoich stanowiskach.

O godzinie 10 zmieniłem właśnie kolegę na posterunku obserwacyjno-alarmowym, ulokowanym na północno-zachodnim skraju wioski. Wkrótce zobaczyłem biegnącego w moim kierunku człowieka. W jego ruchach było coś niepokojącego. Zdała dawał rękami jakieś znaki. Gdy zdyszany dopadł do mnie, zdołał z siebie w biegu wykrztusić tylko jedno słowo: "Niemcy"!

Niemcy! Niemcy! Błyskawiczna myśl - co robić? Czy opuścić posterunek dla zawiadomienia oddziału, czy oddać strzał alarmowy? To znów uprzedzi także Niemców. A ci byli już blisko. Wśród pobliskich drzew i krzewów, wykorzystując osłony terenowe, zbliżała się tyraliera

przygarbionych postaci w płaszczach "feldgrau", w połyskujących w słońcu baniastych, złowrogich hełmach. Nie było chwili do stracenia. Zawróciłem biegiem do wsi, do kwatery dowództwa. Oddział był już zaalarmowany przez inny posterunek. Ze wszystkich stron nadchodziły meldunki o zbliżającej się obławie. Najgorsze przypuszczenia stały się faktem. Byliśmy w matni.

Po zameldowaniu dowódcy o sytuacji na kierunku obserwacji, pobiegłem co tchu do swojej drużyny. Żołnierze wybiegali z kwatery z bronią w rękę, grupując się w oczekiwaniu na rozkazy. Woźnice w pośpiechu zaprzęgali niespokojne konie, po czym wyjeżdżali na drogę. Wpadłem do kwatery, porywając swoją skrzynkę z amunicją do "suki", przy której byłem amunicyjnym. Drugą skrzynkę zabrał już "Almanzor". Dołączyłem szybko do zebranej już drużyny, trzymając się blisko celowniczego kaemu - "Junaka". Od strony dowództwa biegł już ku nam nasz drużynowy, pchor. "Las" z "Bergmannem" w dłoni. Tu i ówdzie rozległy się pierwsze strzały. To zbliżający się Niemcy dawali znać o sobie. Palba karabinowa narastała z każdą chwilą. Decyzja dowództwa była szybka: wyjścia nie było - musieliśmy podjąć walkę, przebić zacieśniający się pierścień. Była to jedyna możliwa decyzja, bowiem zajęcie pozycji obronnej skazałoby wieś, jej mieszkańców i nas na zagładę. Przystosowani do walki z zaskoczenia, niedostatecznie uzbrojeni, nie mogliśmy długo stawić czoła uzbrojonemu po zęby przeciwnikowi, nie mówiąc już o druzgocącej przewadze liczebnej, jak i w środkach ogniowych.

Zdyszany pchor. "Las" rzucił rozkaz: "W tyralierę !" Drużyna sprawnie, jak na ćwiczeniach, rozpierzchła się na boki. Żołnierze przypadli do ziemi, wyszukując w nierównościach gruntu jakiej takiej osłony. Pośrodku w jakimś wykrocie zajęła stanowisko obsługa "suki". Wprowadzona do kaemu rozwinięta taśma z nabojami połyskiwała złowrogo w słońcu. W pełnym napięcia oczekiwaniu, nie mogąc opanować przedmiotowego, nerwowego drżenia, żołnierze przyczajeni na stanowiskach



strzeleckich wyszukiwali nienawistnych celów.

Niemcy nacierali z trzech stron, z kierunków trójkątnego układu szos. Od północy - z rejonu odcinka szosy Matczyn - Radawiec, od wschodu - z odcinka Niedrzwica-Stasin i od południowego zachodu - z linii Bełżyce - Niedrzwica w kierunku na Babin. Ta ostatnia grupa, mając do przebycia nieco dłuższe odległości, przegrodzone rzeczką, weszła do walki opóźniona w stosunku do poprzednich. Przypuszczając, że od tej strony pierścień niemiecki nie został zamknięty, a uderzenie nieprzyjaciela, sądząc po meldunkach i kierunkach narastającej strzelaniny, obejmuje łuk od strony północno-wschodniej, dowództwo zdecydowało, że: I drużyna będzie się wycofywać w kierunku południowo-zachodnim na odległy o około 2 km las, niewielki, lecz dający możliwość ewentualnego przetrwania na pozycjach obronnych do wieczora; III drużyna wycofa się poprzez wzgórze, w kierunku Babina; II drużyna osłaniać będzie wycofujące się drużyny I i III, powstrzymując atak niemiecki z kierunku północno-zachodniego, wycofując się następnie w ślad za I drużyną.

Obie wycofujące się drużyny z miejsca rozwinęły się w szyk bojowy, pośpiesznie udając się w wyznaczonych kierunkach. I drużyna, pod nieobecność drużynowego pchor. "Szwarc", dowodzona była przez kpr. "Czarnego" - bojowego podoficera armii wrześnieowej. Już wkrótce narastająca gwałtownie strzelanina i huk granatów, dobiegający od strony zachodniej, wskazywały na to, że starła się ona z nieprzyjacielem. Jeszcze przez jakiś czas słychać było wśród gęstwy wystrzałów i długich serii niemieckich, krótkie oszczędne szczekanie naszego "Brena", potem wszystko zlało się w jeden oddalający się zgiełk bitewny. Szli naprzód.

Kątem oka, w tył na prawo, widać było na stoku wzgórza poruszającą się skokami w kierunku Babina rozrzuconą tyralierę III drużyny. Dowodził nią zastępca "Nerwy", lubiany przez wszystkich, szaleńczo odważny, pchor. "Sęk". Pierwsi strzelcy osiągnęli już, wydawało się, zbawczy szczyt.

Na naszym odcinku Niemcy ruszyli do natarcia. Nadbiegali gęstą tyralierą, skokami, sprawni, wyćwiczeni, siejąc spod pachy z peemów, zapadając za upatrzonymi osłonami terenu. Nasza strona milczała, z palcami na cynglach oczekując na rozkaz otwarcia ognia. Głośno łopotwały serca w piersiach, tych przeważnie, młodych, nieostrzelanych jeszcze w bojach żołnierzy.

Nerwy napięte do ostatnich granic. Groźna, błyskająca gęstym ogniem wystrzałów linia nieprzyjaciela zbliżała się zastraszająco szybko.

Wreszcie: "Ognia!"

Pojedyncze strzały naszych karabinów posypały się niczym groch. Teraz już napięcie minęło. Chłopcy strzelali z furją, wyszukując tych unoszących się do skoku. Kilku wywinęło kozła, rozległy się wycia rannych, lecz wroga tyraliera poszła naprzód. Nasz kaem milczał. Celowniczy szamotał się z zamkiem - bez rezultatu.

Dlaczego nie strzela? Cóż warta drużyna i jej 18 karabinów, gdy jej kaem milczy? Ogień własnego karabinu maszynowego to potęga, podtrzymująca na duchu całą drużynę, to oparcie dla tych, których serca sparaliżował strach i zwątpienie, to potęga trzymająca w szachu przeciwnika, umożliwiająca własnym żołnierzom zmianę stanowisk.

Wreszcie "suka" przemówiła. Z lejkowatego pyska buchnął snop ognia. Trzepoczącą się taśmę z nabojami pochłaniał otwór podajnika. W górę wytryskiwała fontanna wystrzelonych łusek. "Junak", wielkie barczyste chłopisko, przywarł twarzą do trzęsącej się kolby. Niemiecka linia załamała się nagle, zaskoczona niespodziewaną serią. Zalegli na chwilę... Na chwilę, bo nasz kaem ucichł. Zrozpaczona obsługa nieprze-  
strzelanego, z powodu notorycznego braku amunicji, karabinu, nie mogła podołać zjawisku stawania sztorcem naboju, wprowadzanego do komory naboju. Niemcy już ochłonęli, znów ruszyli z wrzaskiem naprzód. Do kaemu przypadł ppor. "Nerwa", szybko uporał się z zacięciem i wygarnął nową serię w kierunku nadbiegających. Kilku zwinęło się

w śmiertelnym skręcie, inni walili się do tyłu, chwytając powietrze trzepocącymi rękoma. Strzelcy nasi nie próżnowali, skracając celowniki, brali na cel tych najbliższych. Wtem "suka" znowu zamilkła. Tym razem nie pomogło nic - kaem odmówił posłuszeństwa. Byliśmy zdani tylko na ogień naszych pojedynczych karabinów i dwóch peemów. To przyspieszyło rozkaz wycofywania się.

Cofanie się było zawsze naszą słabą stroną. Na ćwiczeniach, jak to na ćwiczeniach, nie przywiązywano do tego wielkiej wagi. Toteż wycofywanie przebiegało teraz bardzo niesprawnie. Już było widać, że nie wytrzymamy naporu Niemców. W uciążliwym, morderczym tempie odskoków do tyłu, ostrzeliwaniu się, obciążeni sprzętem, kluczyliśmy wśród drzew i opłotków, chcąc oddalić się nieco od walczących linii, by zyskać trochę czasu na przywrócenie sprawności kaemu. Padaliśmy w rozmiętkę od słonecznych promieni błoto. Pot zalewał czoła. W skroniach łomotało, przed oczyma wirowały czerwone płaty, w ustach - zapiekły język. Wpadliśmy do jednej z opustoszałych chałup.

- Pić! Pić! - Porwałem stojący garnek z mlekiem, które przy łapczywym gaszeniu pragnienia chlusnęło mi na koszulę i oblało unurzany w rzadkim błocie mundur.

Drżącymi rękoma błyskawicznie rozebraliśmy kaem na drobne części, przetarli szmatami z błota i nasmarowali naftą z lampy z chałupy, zajmując stanowiska. Pociski cięży ze świstem gałęzie drzew, tłukły po ścianach i szybach.

Znów krótka seria i koniec... "Suka", nasza "suka", zdobyta na "szkopach" z narażeniem życia, nasza duma, wychuchana, wypielęgnowana zawiodła nas w największej potrzebie, najbardziej krytycznym momencie odmówiła posłuszeństwa, stała się kawałem bezużytecznego żelastwa. Celowniczy został prawie bezbronny. My, amunicyjni, przyłączyliśmy się z powrotem do walki. Kawałki taśm amunicyjnych rozdzieliliśmy między chłopców. Drużyna, ostrzeliwując się gęsto, wycofywała się pospiesznie.

W ferworze walki, wśród huków, wstrząsów i wybuchów granatów, nie słyszeliśmy odgłosów tragicznego zmagania się III drużyny, która osiągnęła przód wzgórze na otwartym terenie południowego sto-

osiągnąwszy grzbież wzgórza, na otwartym terenie południowego stoku, dostała się pod silny ogień niemieckich oddziałów, nadciągających od strony Babina.. W tym śmiertelnym pojedynku pozostawało tylko jedno - przec naprzód. "Sęk" poderwał swych chłopców do szturm. Nacierali z impetem, zbliżając się do nieprzyjaciela na rzut granatu, usiłując torować sobie drogę. Lecz niemiecka obrona przygotowała im straszliwe przyjęcie. Rozpaczliwy atak nie przyniósł rezultatu. Padł, trafiony celnym strzałem, nieustraszony "Sęk". Cóż, że za wybuchami swoich granatów wpadli na pierwsze linie niemieckie, dostali wprost w twarze silny, zmasowany ogień drugiego rzutu. Padali gęsto zabici i ranni, niezdolni już do dalszej walki. Szczęśliwy był ten, któremu został dla siebie ostatni nabój. Ostatnich, usiłujących wycofać się z tego piekła, dosięgły wrogie pociski.

Około godziny 14, na kierunku natarcia I drużyny, nie było już słychać strzałów. Drużyna ta otarła się o lewe skrzydło Niemców, nacierających od strony Babina, i odrzuciwszy ich śmiałym, zdecydowanym atakiem, osiągnęła zbawczą ścianę lasu. Drużyna, zabrawszy swoich rannych, wy dostała się z okrążenia bez strat w ludziach.

W tym czasie, dochodzący zza wzgórza babińskiego, łomot granatów stawał się coraz rzadszy, cichł, słabło napięcie strzelaniny. To ginęli w zażartym boju ostatni żołnierze III drużyny. Prócz pchor. "Sęka", padli w tej nierównej walce: pchor. "Tur", zastępca dowódcy drużyny, pchor. "Barnaba", sanitariusz oddziału, pchor. "Kmita", szeregowcy: "Smyk", "Szumny", "Wesoły", "Rak", "Cygan", "Zrąb", "Maur", "Klops", "Nieznany", "Krawiec", "Orzeł", "Burza", "Lwowiak", "Pokorny" i "Biały".

Trzecia drużyna przestała istnieć.

W tym czasie II drużyna, odpierając zaciekle ataki połączonych zgrupowań niemieckich, nacierających od wschodu i północnego wschodu, osiągnęła zachodni skraj wioski. Pozostała do przebycia najgorsza przestrzeń gołych, rozmiękłych pól, przedzielona dwoma kępami małych zagajników. Za polami ciemniała ściana, nie wiedzieć co kryjącego,

Chłopców z II drużyny, w pierwszej fazie bitwy, gdy trzymali się jeszcze na pozycjach obronnych, szczęśliwie omijały pociski. Fatalny brak broni maszynowej był tragiczny w skutkach, gdy zaczęto wycofywać się przez opłotki, ogrodzenia, krzaki. Padali pierwsi zabici, ranni.

Ranni. W regularnych armiach żołnierze mają za sobą oddziały sanitarne, ściągające rannych z pola bitwy, respektowane zwykle przez przeciwnika, mają środki transportu, lekarzy, opatrunki i leki.

Żołnierz-partyzant pozbawiony był tego wszystkiego. Drobne zranienie mógł zabezpieczyć opatrunkiem osobistym - to było wszystko czym rozporządzał. Być rannym na polu walki w odwrocie, gdy poruszanie się o własnych siłach nie było możliwe - oznaczało śmierć. Śmierć, którą ci o silnych charakterach woleli ostatnim nabojem, czy granatem, zadać sobie sami, niż wpaść żywym w ręce niemieckie.

Pierwszym rannym został "Snieg". Pociski przestrzeliły mu obie stopy. Wiedząc, jak hitlerowcy postępują z rannymi, wołał do przebiegających obok niego kolegów: "Chłopcy, nie zostawiajcie mnie, zastrzelcie!" Przypadliśmy do niego: "Snieg", usiedzisz na koniu!". Z opuszczonego wozu wyprzęgliśmy konia, na którego posadziliśmy rannego, wskazując mu kierunek ucieczki. Spłoszone zwierzę ruszyło wyciągniętym kłusem z przylgniętym do grzbietu jeźdźcem. Chwilę popatrzyliśmy za nim. Koń zatoczył szeroki łuk, skręcając w stronę pozycji niemieckich, poczym zawrócił ku nam. Gdy był już blisko - stanął. Z jeźdźca i konia lały się na ziemię strugi krwi. Po chwili martwy "Snieg" zwałił się na ziemię...

Zabudowania, w miarę zbliżania się do końca wsi, stawały się coraz rzadsze. Wreszcie kończyły się, pozbawiając nas osłon, spoza których można było bezpieczniej ostrzeliwać nacierających. W pewnej chwili ppor. "Nerwa" polecił stwierdzić, czy w oddalonym już od wsi samotnym zabudowaniu, leżącym, na kierunku wycofywania się oddziału, nie ma

Niemców. Przygarbieni, przypadając co chwila do błotnistej mazi, posuwaliśmy się naprzód: pchor. "Nemrod", "Figaro", "Sowa" i ja. Pociski z różnych, trudnych do określenia stron, kotłowały się po polu. Gdy byliśmy już kilkanaście metrów od zabudowania, nie było wątpliwości: zza węgłów stodoły, zza pagórków rozwieszonego nawozu, błyskały ognie wystrzałów. Odwrotu nie było, należało za wszelką cenę dopaść do ściany stodoły, mimo, że za jej ścianami kryli się Niemcy. Przyłgnęliśmy do ziemi. Zauważyłem, jak w pewnym momencie, skryty za kupką nawozu, Niemiec wypruł z peemu długą serię w naszym kierunku, zdawało się - w samą twarz. Strach sparaliżował ruchy, jednak w tej <sup>(samej)</sup> chwili odpowiedziałem mu puknięciem ze swego kbk. "Nemrod", leżący obok mnie, opuścił nagle głowę. Dostał wprost w czoło... Niewiele i mnie brakowało. Dopiero później, po bitwie, stwierdziłem, że przestrzelona jest kolba mego karabinu i przedziurawiona manierka z chlebakiem. Dziwne są drogi pocisków... Jeszcze skok jeden, drugi, gdy śmiertelnie zdyszani, nie mogąc złapać tchu, dopadliśmy ściany. Niemców zza ściany postanowiliśmy unieszkodliwić granatami. Mieliśmy po jednym ciężkim, angielskim granacie obronnym. Wyrwawszy zawlecзки, przerzuciliśmy je przez dach stodoły, stoczyły się po przeciwległym jego spadzie na łby niemieckie. Gdy przebrzmiały wybuchy, "Figaro" wychylił się, by zorientować się w skutkach. W tej chwili pocisk ekrazytowy trafił go w dłoń. Roztrzaskane kości sterczały na wszystkie strony. Chłopiec był nieprzytomny z bólu, trzymając za przegub okropnie zmasakrowanej ręki. Jediną pomocą, jakiej mogliśmy mu udzielić, było silne związanie bandażem, dla powstrzymania upływu krwi.

W II wojnie światowej żadne z walczących armii nie używały pocisków ekrazytowych, znanych pod nazwą "dum-dum", zabronionych przez konwencję genewską. Niemcy w stosunku do nas nie mieli skrupułów: "Zwycięzców nikt nie będzie sądził".

Tymczasem, wobec silnego naporu Niemców, nie czekając na rezultat naszego rozpoznania, wycofująca się drużyna, ostrzeliwując się reszt-

kami amunicji, wyszła na otwartą przestrzeń. Prócz nierówności gruntu nie było tu już żadnych osłon. Pociski niemieckie czyniły straszne spustoszenie. Padł ranny pchor. "Las", zginął "Sten", "Zyga", "Smutny na polu walki zostali: "Groźny", "Giewont", "Góral", "Wiatr", "Kruk". Rosjanin "Iwan", który przypadł do naszej stodoły, zasiadł za węglem. Mając jeszcze dość dużo amunicji do swego "Musina", ostrzeliwał powoli, systematycznie, wybrane cele. Tam też został. Zginął dalej "Sowa", gdy opuściliśmy zaciszną chwilowo ścianę stodoły.

"Junak", dźwigający bezużyteczną "sukę", po otrzymaniu postrzału, pozostawił ją na polu. "Wróbel", usiłujący wyprowadzić wóz taborowy, został trafiony pociskiem ekrazytowym w tył głowy. Pocisk rozniósł mu całą twarz.

Pozostali przy życiu żołnierze II drużyny osiągnęli już zagajniki, położone pośrodku pola.

Przebiegając obok rannego "Lasa", spostrzegłem, że żyje, porusza się. Z wysiłkiem podźwignąłem go z ziemi i przerzuciwszy przez plecy, zginając się pod ciężarem, powlokłem się w stronę zagajników. Nie trafił do nas szczęśliwie żaden z pocisków, buszujących po polu. W zagajniku, dysząc ciężko ze zmęczenia, ułożyłem rannego na trawie. Naszych już nie było. Widziałem, jak skokami przebywali ostatnią przeszkodę, dzielącą ich od kilkaset metrów dalej rozciągającego się lasu. Zdawałem sobie sprawę, że z rannym na plecach nie przebędę tak wielkiej przestrzeni. Nie było chwili do stracenia. Biegiem zawróciłem na pole, gdzie stał wóz z martwym "Wróblem". Pobojuwisko, na które w pośpiechu rzuciłem okiem, zasłane było ciałami naszych chłopców, trupami koni, porozbijanymi wozami i porozrzucanym sprzętem. W oddali stała na rozkraczonych nogach nasza porzucona "Suka". Niemiecka tyraliera zbliżała się szybko. Za nią, od strony południowo-wschodniej, nadciągała druga. Początkowo błysnęła mi myśl że to może wracają nasi, z III drużyny. Ale nie, gardłowe wrzaski nie pozostawiały wątpliwości.

Grupa ta, po zniszczeniu III drużyny, szła od strony Babina. Posłałem im na pożegnanie kilka pocisków, po czym kryjąc się za końmi, biegiem zajechałem do zagajnika. Z ulgą zobaczyłem, że nie jestem sam. Na polu, przyczajony, ze "Schmeiserem" czekał ppor. "Nerwa". Położywszy rannego "Lasa" na wozie, chwyciłem konie za uprząż przy pysku i wyjechałem na pole. Ppor. "Nerwa" wycofywał się przede mną. Byłem ostatnim celem dla nadbiegających Niemców. Biegłem zdyszany obok koni, trzymając ręką za uzdę. Obydwa szły posłusznie. Wokół z trzaskiem rwały się pociski ekrazytowe. Wtem jeden z koni, trafiony, zwałił się na ziemię. Drżącymi z podniecenia rękami usiłowałem odpiąć naprężoną uprząż od wozu. W końcu bagnietem udało mi się przeciąć postronki i zostawiwszy, leżącego w śmiertelnych konwulsjach konia, ukryty za szyją drugiego, pogałem co sił w stronę lasu. Niemcy przebiegali już zagajnik, i mieli mnie, jak na dłoni. Szczęście mi jednak dopisywało, nie dosięgnął mnie bowiem żaden z roju goniących pocisków. Na brzegu lasu spotkałem oczekującego dowódcę. Było nas dwóch. Resztę pochłonał las - nasz sprzymierzeniec. Słońce stało już nad zachodem, toteż Niemcy zrezygnowali widocznie z dalszego pościgu. Na nasze szczęście, był może przez przypadek, nie zdążyli nam odciąć drogi do lasu.

Odпочąwszy chwilę, wlekliśmy obolałe nogi, posuwając się leśną drogą w kierunku północnym. Z przerażeniem stwierdziłem pustki w ładownicach. W karabinie pozostawał wprowadzony w lufę jeden nabój. Martwy "Wróbel" miał wypełnione ładownice, lecz nabojami do "Lebela". Byłem praktycznie bezbronny. Nałożywszy bagniet na karabin, myślałem naiwnie, że jeszcze tym będę się mógł bronić.

Cisza leśna, która ogarnęła nas po całodziennym huku wystrzałów, dzwoniła w uszach. W głowie - kłębowisko myśli wokół tragicznych wypadków dnia. Z daleka, od strony pobojuwiska, dobiegały jeszcze odgłosy pojedynczych strzałów. To hitlerowcy mordowali pozostałych przy życiu rannych partyzantów. Wkrótce las zaczął się przersedzać -



doszliśmy do szosy. Przy szosie wioska, a za nią niezbyt daleko - znów las! Rozejrzawszy się w obydwu kierunkach, pośpiesznie przebyliśmy jezdnię, poczym wjechaliśmy w podwórze wiejskiej zagrody.

W tym momencie zdrętwiałem: szosą od strony Matczyna nadjeżdżała zmo-  
zowana kolumna niemiecka. Przodem jechał "łazik", w nim kilku oficerów, za nimi kilka wozów ciężarowych, wypełnionych wojskiem. Ppor. "Nerwa", ukryty za węglem chaty, odciągnął powoli zamek "Schmeisera". Ja, trzymając konia przy pysku, stałem nieruchomo za jego szyją. "Łazik", zwalniając, zatrzymał się naprzeciw bramy naszego podwórka, a za nim pozostałe wozy. Na czole wystąpiły mi krople potu. Teraz - już koniec. Co robić? Stałem nieruchomo, zamarły z przerażenia. Odpowiedź przyszła sama: Niemcy poszwargotali chwilę, po czym ruszyli dalej. Nie zauważyli nas.

Zaspokoiwszy pragnienie wodą ze studni, skierowaliśmy się w stronę lasu. Po przebyciu około kilometra, zajechaliśmy do samotnego zabudowania w lesie, gdzie opatrzyliśmy skomplikowane rany pchor. "Lasa". Pocisk przebił mu policzek, przeszedł przez obojczyk i przedramię. Szczęście, że był to zwykły pocisk.

Obawiając się nadejścia Niemców, ukryłem się w zaroślach, obserwując drogę, którą przybyliśmy. Zmierzch już zapadał, gdy pojawiła się na niej grupa zbrojnych ludzi. Znów na moment załomotało serce: Niemcy! Wkrótce jednak rozróżniłem polskie słowa, a gdy podeszli bliżej - angielskie "battle-dressy", jakie nosił oddział "Szarugi". Był to rzeczywiście ten oddział, wraz z nim przybyli pozbierani po drodze rozbitkowie z naszej I i II drużyny.

Nocą odwieziono rannego pchor. "Lasa" do lekarza w Bełżycach. Oddział wrócił na pobojuwisko, by pochować poległych towarzyszy. Niemców już nie było. Zabrawszy swoich zabitych i rannych, odjechali. W księżycowej, upiornej poświacie, chłopcy znosili i składali na wozy

martwe ciała kolegów. Widok był okropny, zmasakrowane, skrwawione ciała, świadczyły o pastwieniu się nad rannymi, przed zadaniem śmierci. Zamordowani obdarci byli ze wszystkiego, co mieli na sobie niemieckiego pochodzenia. Szarzało, gdy na cmentarzu w Babinie złożono do wspólnej mogiły ciała 32 poległych żołnierzy partyzantów! /Mogiła ta otoczona została przez kolegów-członków oddziału, staranną opieką. Co roku, aż do obecnej chwili, w rocznicę bitwy i przy innych okazjach zjeżdżają się z całego kraju, pozostali jeszcze przy życiu, towarzysze broni, aby oddać cześć poległym/.

Tak wyglądał przebieg bitwy pod Pawlinem, odnotowany przez kronikarza oddziału oraz przez Stanisława Milaszkiewicza - "Świdra" - jej jednego z głównych bohaterów, a teraz kolej na ostatni akt, odegrany przez Wojskowy Sąd, a opublikowany w rozkazie personalnym nr 5 Inspektoratu Rejonowego Lublin z 27.6.1944 r., gdzie w punkcie 3 /"Kary"/ czytamy: "Prokurator WSS, w wyniku przeprowadzenia dochodzenia w sprawie zaskoczenia II plutonu OP 8 leg., wprawdzie uznał, że ppor. "Nerwa" -/Wojciech Rokicki/, dowódca II plutonu OP 8 p.p.leg. nie jest winien przestępstwa kwalifikującego się pod WSS, ale stwierdził, że wyżej wymieniony ppor. "Nerwa", nie wyczerpał wszystkich możliwości, jako dowódca, pod względem taktycznym, celem uchronienia swego oddziału od zaskoczenia. W związku z powyższym stanem ukarałem ppor. "Nerwę", przy raporcie 25.6.b.r., surową naganą. Niski wymiar kary zastosowałem jedynie ze względu na dotychczasową, owocną i rzetelną pracę wyżej wymienionego. "Nurt" - Stefan Jasiński".

Wypadki, według Inspektoratu Rejonowego Lublin, miały następujący przebieg:"W dniu 7 kwietnia 1944 r. oddział "Nerwy" wypoczywał, po wykonaniu zadań związanych z zabezpieczeniem przygotowania akcji "Most" /lądowanie we wsi Pawlin koło Bełżyc, w dniu 15/16 kwietnia samolotu angielskiego, przylatującego z Włoch, między innymi w celu zabrania do Londynu zastępcy szefa sztabu Komendy Głównej AK, gen.

Stanisława Tatara, ps. "Tabor"/. Miejsce wypoczynku miało mieć charakter tymczasowy, gdyż wieś ta znajdowała się w terenie niezalesionym i dostępnym dla nieprzyjaciela. Prawdopodobnie na skutek denuncjacji Niemcy, wykorzystując tak teren, jak i czas oraz dzień /Wielki Piątek/, zdołali zaskoczyć oddział "Nerwy". Ponadto, w związku ze świętami, blisko połowa żołnierzy otrzymała urlopy. W takiej sytuacji "Nerwa", wobec niespodziewanego ataku, został zmuszony przyjąć walkę, która trwała od godziny 11 do 16. Według szacunku dowódcy oddziału, jak i jego żołnierzy, Niemcy użyli około 500 ludzi. W walce poległo 32 partyzantów, w większości uczniów gimnazjów lubelskich. Oddział stracił również tabory i archiwum".

10.4.44.

Przemęczony niedawną walką oddział odpoczywa we wsi Wierzchowiska, gm. Bełżyce, pod opieką oddziału AK. "Szarugi" - ppor. Aleksandra Sarkisowa. Rano do wsi wjeżdża 2 "Kałmuków" i 1 Polak. Okazuje się, że w ten sposób okupant penetruje okolicę. Zdobyto 2 karabiny, a trzech szpicle, po przeprowadzeniu dochodzenia, zostają rozstrzelani. Już nikt nie zakłóca świątecznego nastroju, ksiądz kapelan Jan Fiuta święci przygotowane pokarmy i partyzanci zasiadają do stołów. Lecz niedawna śmierć kolegów nie nastraja nikogo do jedzenia. Żołnierze, po podzieleniu się jajkiem i złożeniu życzeń, wymykają się pojedynczo, by jeszcze raz w samotności wspominać tych, co od nich odeszli na zawsze.

W ciągu następnych kilku dni do obozu oddziału "Szarugi" ściągają rozbitkowie z pod Pawlina, ci którzy w dniu walki byli poza oddziałem oraz zgłaszają się pierwsi ochotnicy.

15/16.4.44r.

Na polach wsi Wojcieszyn, po raz pierwszy w okupowanym kraju, ląduje aliancki samolot. Oddział "Nerwy" stanowi część ochrony operacji "Most I". Po starcie samolotu, którym odleciał m.in. generał Stanisła

Tatar, oddział zabrał na wozy kurierów i odwiózł na wskazane miejsce. Dalej droga ich prowadziła do Warszawy.

O operacji "Most I" pisze Michał Wojewódzki w książce "Akcja V-1, V-2":

"Most I" odbył się w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 r. na lądowisku "Bąk", w rejonie Matczyna, koło miejscowości Bełżyce, na południowy zachód od Lublina. Ubezpieczał ppłk. Janusz Mościcki - "Jacek", szef lotnictwa Okręgu Lubelskiego AK, oficer startowy - por. pil. W. Wojcieszek - "Sum", radiooperator "Oko", którego nazwiska nie znam".

Jędrzej Tucholski, w książce "Cichociemni", wspomina o operacji "Most I" w ten sposób:

"Operacja lotnicza z lądowaniem samolotu "Wildhorn I - Most I".  
Ekipa 43: por. Tomasz Kostuch, ps. "Bryła", mjr. Narcyz Łopianowski ps. "Sarna". Samolot lądował na lądowisku "Bąk", położonym 16.5 km na południowy zachód od stacji kolejowej Lublin-Miasto i 4 km na północny wschód od Bełżyc, koło wsi Matczyn. Lądowanie zakończyło się pomyślnie, pomimo, że było wykonane z wiatrem. Dakota przebywała na lądowisku przez 35 minut. Start udał się przy drugiej próbie, przy czym samolot nadużył mocy silników. Odlecieli z Kraju do Włoch: ppłk dypl. Ryszard Dorotycz-Malewicz ps. "Strzemię", "Roch", "Hańcza"; por. Andrzej Pomian ps. "Downunt"; gen. bryg. Stanisław Tatar, ps. "Turski", "Tabor"; oraz red. Zygmunt Berezowski, ps. "Zyzio", "Oleśniki", emisariusz Stronnictwa Narodowego; Stanisław Ołtarzewski, ps. "Stefan Stanisławski"; z Delegatury Rządu. Samolot wylądował w Brindisi o godz. 5.45. Baza nadesłała specjalne wyrazy uznania dla dowódcy radiostacji nr 28, obsługującego lądowisko "Bąk". Był nim cichociemny sierż. "Oko" - Piotr Nowak. Nieprzyjaciel meldował: w nocy z 15 na 16.IV. kilka nieprzyjacielskich samolotów wtargnęło ze Słowacji do rejonu Lublin, Warszawa, Radom. Prawdopodobnie w celu wysadzenia agentów lub zrzutu materiałów sabotażowych".

W 1988 roku cichociemny Tomasz Kostuch wydał swoje wspomnienia, zatytułowane "Podwójna-pętla - Wspomnienia cichociemnego". Na str. 246-247 tak przypomina sobie noc z 15 na 16 kwietnia 1944 roku:

"Trafiam wreszcie na furmanki. Wkrótce nadciąga również "Sarna". Ładujemy się na wymoszczone słomą siedzenia. Pozostałe furmanki zajmuje obstawa. Ruszamy na melinę. Milczący woźnica z karabinem przewieszonym przez plecy, twarzą zaś do nas siedzi młodziutki dziewiętnastoletni partyzant /tu moja uwaga: ten partyzant, kpr.pchor. Stefan Różycki - "Nałęcz", ur.6.IV.1923 r. we Wlewsku, pow. Działdowo, - miał w chwili opisywanej przez autora dokładnie 21 lat i 10 dni/. Na piersi pistolet maszynowy. Początkowo jest wyraźnie onieśmielony, ale niebawem rozkręca się i wyczerpująco odpowiada na nasze pytania. Od niego wiemy, że ubezpiecza nas oddział Armii Krajowej pod dowództwem porucznika "Nerwy". Niedaleko od lądowiska, bo tuż pod wsią Radawiec, znajduje się umocniony i silnie obsadzony niemiecki punkt obserwacji lotniczej. Możemy jednak być spokojni, albowiem już na dwie godziny przed północą jedna z grup osłonowych otoczyła Niemców i zablokowała w bunkrach, przecinając jednocześnie kable telefoniczne, łączące punkt z Lublinem. W tej sytuacji nieprzyjaciel wolał nie angażować się w nocne starcie i nie wychylał nosa ze swych umocnień, udając, że niczego nie widzi i niczego się nie domyśla. Wiemy już więc, iż w tym rejonie noc należy do partyzantów. Przed nami słabo oświetlony przejazd kolejowy, opodal mała stacyjka. Pojawia się na koniu por. "Nerwa". Krótki rozkaz i kilku partyzantów biegnie na zwiady. Po paru minutach sygnał latarką - droga wolna".

Powyższa książka stanowi moją własność i jest zaopatrzona w bardzo cenną dla mnie dedykację: "Panu Edwardowi Zapolskiemu-Kusemu, "Dewajtisowi", Żołnierzowi Armii Krajowej z oddziału por. "Nerwy" - cichociemny autor - Tomasz Kostuch."Bryła", W-wa dn.5.XI.88 r. Autor jej żyje jeszcze, gdy to piszę, i mieszka na warszawskim Urzędowie.

By szczęśliwie zakończyć sprawę wspomnień z owej pamiętnej nocy, przytaczam fragment wspomnienia inż. Stefana Różyckiego z Wrocławia - pchor. "Nałęcz", który był owym nie wymienionym z nazwiska, czy pseudonimu, rozmówcą cichociemnego Tomasza Kostucha:

"Dobrze pamiętasz /pisze do pchor. Jana Onoszko - "Jacyny"/, że miałem przyjemność odwozić na lotnisko pod Bełżycami pasażerów do Anglii i zabierałem z samolotu dwóch dżentelmenów z większą ilością walizek. Oddelegował mnie do tego zadania sam "Nerwa". Wziąłem najlepszą parę koni z woźnicą z naszej drużyny i pojechałem do Bełżyc.. Jak już wyjechaliśmy z Bełżyc, było zupełnie jasno i słońce dopiero zachodziło, ale już do lotniska, tj. pod polną stodołę zajechaliśmy o zmroku. Pasażerowie byli ożywieni, a cały ich bagaż stanowiły niezbyt grube teczki. Zamieniłem z nimi tylko kilka zdań podczas całej drogi, a po dojechaniu, jak staliśmy pod stodołą i starałem się ich zabawić rozmową /kilka godzin/, niewiele o nich się dowiedziałem

Do samego samolotu podjechałem wozem /pasażerowie chyba drałowali biegiem z innymi/ na odległość 30 m. Konie bały się pracujących silników. Pamiętam, jak Polak z załogi zbierał ziemię rękami, jak wchodzono do samolotu, wszystko przy świetle latarek. Osób przy samolocie było chyba kilkanaście /ci co przyjechali, co wyjeżdżali, obsługa lotniska, załoga/. Rozmowy raczej bezładne, ktoś chciał komenderować, i chyba nikt nie wiedział, o czym ma mówić.

Najdramatyczniejszym momentem było, gdy już załadowano na mój wóz wcale niemały bagaż /bo chyba ze sześć ciężkich skórzanych waliz/, a pasażerowie, którzy wysiedli z samolotu, stali obok wozu, samolot nie mógł, po włączeniu całej mocy silników ruszyć z miejsca. Podbiegliśmy wszyscy do niego i każdy, jak mógł, starał się pomóc maszynie /odgarniałem rękami ziemię spod kół, które chyba siedziały w niej na 30 cm/. Chciałem już rozebrać wóz i boki podłożyć pod koła, ale jakoś przy drugim dodaniu gazu /wszyscy pehali, gdzie kto mógł/ ruszył i nawet sprawnie wystartował.

Nowi pasażerowie, w przyzwyczajonych jesionkach i kapeluszach zajęli przykładowo miejsce na tyle wozu i ruszyliśmy z lotniska już całym oddziałem. Rozmawiałem z nimi przez prawie całą drogę. Wypytywali się prawie o wszystko, częstowali angielskimi papierosami. Gdy dojechaliśmy do przejazdu kolejowego /chyba linia Lublin - Kraśnik/, z położoną o kilkadziesiąt metrów od przejazdu kolejowego oświetloną budką dróżnika, raczej z przyzwyczajenia podniosłem Steña, odciągnąłem zamek, a woźnica wyciągnął colta z kabury i zatknął za pas. Pasażerowie, widząc nasze przygotowania, zaczęli gorączkowo przewracać w pękach teczek, z którymi od wyjścia z samolotu nie rozstawali się i za chwilę słyszę takie zdanie: "Panie kolego, jak się z tym obchodzić, bo mnie nie zdążono objaśnić".

20.4.44.

Oddział zatrzymuje się w Starym Lesie koło Lublina. Wydzielona grupa 15 ludzi, dowodzona przez ppor. "Nerwę", po odcięciu telefonu, opanowuje teren wyścigów konnych w Lublinie. Rozbraja policjantów granatowych, zabiera dwa karabiny, rekwiruje siodła i 3 konie, które odtąd służą formującemu się zwiadowi konnemu. Akcja kończy się bez strat własnych.

Wracając w okolice Bychawy, po drodze, oddział powiększa swoje szeregi o grupę st.sierż. "Okrzei" z placówki Piąski, składającą się z 27 osób. Grupa ta, zanim trafiła do "Nerwy", miała już swoją bojową historię. Po ostatniej akcji "Okrzei" w dniu 5.4.44 r. w lesie Krępiec, Niemcy rozpoczęli silną penetrację terenu. Wówczas to, na polecenie komendanta Cbwołu, mjr. "Jara", st.sierż. "Okrzeja" dołączył do oddziału "Nerwy".

4.5.44.

W pobliżu Bychawy odbywa się przekazanie uzupełnienia dla "Nerwy" z rozwiązanego oddziału ppor. "Spartanina" w postaci 16 partyzantów. Taką samą grupę partyzantów, tego samego dnia, otrzymuje ppor. "Szaruga" - Aleksander Sarkisow.

5.5.44.

Grupa żołnierzy, pod dowództwem kpr.pchor. "Dyma" - Zbigniewa Janiślawskiego, zabrała z Liegenschaftu Wola Żółkiewska, gm. Żółkiewka, 10 koni wierzchowych dla zwiadu.

7.5.44.

Dołącza do nas 6-osobowa grupa członków rozbitej w wyniku aresztowań, lubelskiej organizacji "Miecz i Pług", którą dowodzi mój kolega z poczty, Zygmunt Domagalski - "Zygmunt Kozak". Zygmunt relacjonuje mi wydarzenia, które miały miejsce na poczcie w lutym, po mojej ucieczce do partyzantki. Grupa ta bierze udział w akcjach oddziału przez okres trzech tygodni, po upływie których rozstaje się z naszym oddziałem, na polecenie dowódcy OP 8.

Świadkiem rozmowy z "Kozakiem" jest wysoki, szczupły partyzant, który przedstawił mi się jako "Swider". Ponieważ uczestnicy bitwy pod Pawlinem ciągle dyskutowali jeszcze o niej, z ich opowieści wiedziałem, z kim mam przyjemność rozmawiać, i byłem z tego bardzo dumny, że taki bohaterki chłopak zaszczyca mnie swoim zainteresowaniem. Gdy zatem "Kozak" odszedł od nas, w drugą stronę, ze zdumieniem usłyszałem słowa "Swidra": "Ty byłeś uczniem trzeciej klasy Gimnazjum Czarnieckiego w Chełmie. Ja też chodziłem do tego samego Gimnazjum, tyle tylko, że ty byłeś w 1939 roku uczniem trzeciej klasy, ja zaś dopiero pierwszej, więc idę o zakład, że nie zapamiętałeś takiego wówczas jeszcze smarkacza. Zawsze Cię podziwiałem jako dobrego ucznia, harcerza i kolegę i pamiętam Twoje nazwisko". Tu wymienił moje prawdziwe nazwisko, chociaż ja, tak jak przypuszczałem, nie przypominałem sobie jego osoby. Od tamtej pory staliśmy się ze "Swidrem" serdecznymi przyjaciółmi i tak pozostało między nami do dziś.



15.5.44.

Kwaterujemy właśnie w kol. Zaraszów, gdy koledzy dają mi znać, że mam gości z Lublina. Odwiedzili mnie moja Matka oraz brat Zdzisław, zaniepokojeni o mój los. Aby dotrzeć do Zaraszowa, tuż obok Lewandowszczyzny, zrobili oni trzydniową podróż w pogoni za ciągle świeżymi tropami naszego oddziału, zwiedzając przy okazji sporą część pow. kraśnickiego. Opowiedzieli mi o nalocie sowieckim na Lublin z dnia 11.5.44. U "Nerwy" otrzymałem kilkugodzinną przepustkę na Lewandowszczyznę, gdzie udałem się wraz z Mamą i Zdzisiem.

20.5.44.

Oddział nasz powiększa się o dalszych 14 żołnierzy ppor. "Henryka" - Henryka Grochowskiego z Zamojszczyzny. W ten sposób liczba partyzantów przekroczyła tę, którą oddział miał przed bitwą pod Pawlinem. Po stratach poniesionych pod Pawlinem i chorobach wynikłych z ciężkich warunków zimowych /odeszli na leczenie "Szwarc" i "Nałęcz"/ oraz po dołączeniu grup partyzanckich st.sierż. "Okrzei" /27 osób/, ppor. "Henryka" /14 osób/, ppor. "Spartanina" /16 osób/, formuje się na nowo skład dowództwa oddziału:

Dowódca plutonu - ppor. "Nerwa" - Wojciech Rokicki

Zastępcy: ppor. "Henryk" - Henryk Grochowski /odchodzi w końcu czerwca do innego oddziału/

ppor. "Mucha" - Jan Wiśniewski /poległ 19.7.44 r./

Oficer gospodarczy - st.sierż. "Okrzeja" - Zygmunt Kowalczyk

Kronika, nasłuch radiowy - kpr.pchor. "Jerzy" - Lesław Eustachiewicz

Podoficer furażowy - kpr. "Łyżka" - Michał Dudziak

Podoficer prowiantowy - kpr. "Franek" - Franciszek Nowak

Dowódca I drużyny - kpr.pchor. "Natar" - Alfred Nagalski

Zastępca - kpr.pchor. "Gryf" - Marian Białas

Dowódca II drużyny - kpr.pchor. "Zawichost" - Tadeusz Cenzartowicz

Zastępca - kpr.pchor. "Rapp" - Stanisław Hopkała

Dowódca III drużyny - /przez 1 miesiąc/ - kpr. "Stach" Stanisław Slepowroński; kpr. pchor. "Jacyna" - Jan Onoszko.

Zastępca - kpr.pchor. "Kot" - NN /prawdopodobnie/

Dowódca IV drużyny - pchor. "Bohun" - Jan Winiarczyk

Zastępca - st.szer. "Tom" - Czesław Linkowski

Konny zwiad - dowódca - kpr.pchor. "Bemol" - Eugeniusz Chorzelski  
zastępca - kpr.pchor. "Baśka" - Bohdan Osiall, zaś po  
jego śmierci - kpr.pchor. "Dym" - Zbigniew  
Janisławski.

24.5.44.

Kpr.pchor. Bohdan Osiall - "Baśka", będąc we wsi Podole koło Bełżyc, zostaje zaskoczony przez obławę okupanta. Broni się w prowizorycznym bunkrze i ginie w nierównej walce.

26.5.44

Oddział otrzymuje alarmującą wiadomość od placówki AK o planowanym odbiciu więźniów, których Niemcy mają przewozić z Wysokiego do Lublina. Jesteśmy wezwani do pomocy w tej akcji. Ppor. "Nerwa" z konnym zwiadem jest poza oddziałem. Całością dowodzi ppor. "Mucha". Natychmiast wyruszamy w szyku bojowym do lasu pod wsią Piotrkówek. Dla rozeznania terenu wychodzi naprzód patrol pod dowództwem st.sierż. "Okrzei", pchor. "Jacyna" i do patrolu zabiera zgłaszających się na ochotnika: "Almanzora", "Bwę" i "Tarzana". W lesie patrol napotyka dużą grupę miejscowych ludzi, różnie uzbrojonych. Nawiązujemy kontakt z ich dowódcami. Okazuje się, że transport więźniów już przejechał, zanim placówki zdołały się zebrać. Gdy stoimy na brzegu lasu widzimy, że w zasięgu naszego wzroku Niemcy spokojnie ładują drzewo na samochody. Postanawiamy ich zaatakować. Na propozycję "Okrzei", kilku miejscowych z pistoletami maszynowymi i karabinami miało niepostrzeżenie zejść od skrzydła i otworzyć ogień, pozorując atak. Do ataku wtedy mieli ruszyć pozostali rozmieszczeni na skraju lasu. Po utworzeniu ognia, "Jacyna" ze swoim patrolem ruszył do ataku, lecz miejscowi,

którzy mieli atakować razem z nimi, zalegli i strzelali. Ppor. "Mucha" stojąc z oddziałem kilkadziesiąt metrów dalej, słysząc tę kanonadę, zdaje dowództwo pchor. "Zawichostowi" /w jego drużynie właśnie pełniłem służbę/, a sam z drużyną pchor. "Natara" rusza do ataku. Pchor. "Jacyna" ze swoim patrolem jest teraz na prawym skrzydle natarcia. Pchor. "Gryf" seriami z rkm bije po samochodach. Niemcy, po krótkim oporze, poddają się, ginie ich dowódca-oficer. W trakcie natarcia wołamy do miejscowych, aby przestali strzelać. W momencie poddawania się Niemców, podbiegają i miejscowi. Bierzemy do niewoli około 20 żołnierzy niemieckich /część z nich to tzw. "Kałmucy", z jakiejś jednostki azjatyckiej/. Jeńcy zostali zabrani przez nasz oddział, część broni przekazujemy miejscowym. Jeńców wieziemy okrężnymi drogami do Krzczonowa, tam dowódca batalionu kpt. "Młot" Konrad Schmeiling poleca jeńców zwolnić. Rozebranych do bielizny, wypuszczamy nad ranem na szosie prowadzącej do Lublina. Do zwalnianych jeńców przemawia po niemiecku pchor. "Jerzy". Oddział nie poniósł żadnych strat, zaś podobno miejscowi mieli jakieś straty.

Dokument zatytułowany "Raport KW za m-c maj 1944 r." z dnia 12.6.44 w części "H.Różne" pkt.2 dotyczył stoczonej przez nas walki i brzmiał:

"Dnia 26.V. oddział w m. Wysokie oraz część oddziału "Nerwy" /Wojciech Rokicki/, wykonały zasadzkę między Krzczonowem a Piotrkówkiem, celem odbicia 16 osób aresztowanych w Wysokiem. Zasadzkę zrobiono za późno. W międzyczasie pojawiło się 8 samochodów niemieckich z deskami z Olszanki. Niemcy zostali zaatakowani: 7 Niemców zabitych, 20 poddało się. Był to oddział obsługi sanitarnej, w połowie uzbrojonej w kb - starsi ludzie. Komendant rejonu IV zarządził wypuszczenie ich na wolność. Zwolnieni i zabici zostali zabrani w nocy przez oddział niemiecki z Lublina. Ze względu na zagrożenie, zostało zarządzone wyprowadzenie plutonów XI b, b<sub>1</sub>, b<sub>2</sub> do m. Żuków - od godz. 2-17; koncentracja oddziału "Powoja" /Jan Podhajski i "Nerwy" w pobliżu miejscowości Żuków".

Komendant rejonu IV, por. Władysław Hoffman, ps. "Ordynat", w dokumencie z 27.V.44 r. p.t. "Raport komendanta rejonu do komendanta Obwodu Lublin - powiat "Jara" /Stanisława Piotrowskiego/ w sprawie starcia z Niemcami pod Piotrkówkiem", tak pisze:

"Dnia 26.V. ekspedycja niemiecka udała się do m. Wysokie, gdzie nastąpiło aresztowanie 15-18 osób. W związku z powyższym oddział tamtejszy udał się do lasu między Krzczonowem, a Piotrkówkiem, robiąc zasadzkę, w celu odbicia aresztowanych. Do pomocy wezwał oddział "Nerwy" /Wojciech Rokicki/. Zajęcie stanowiska nastąpiło już po odwiezieniu aresztowanych, ale w tym czasie wracały samochody z deskami z Olszanki przez Piotrkówek, które zaatakowali, wzywając równocześnie pomocy placówki 10. Na wezwanie ruszył natychmiast oddział "Powoja" /Jan Podhajski/ oraz miejscowe plutony, przybyły jednak po akcji, która miała przebieg następujący: Niemcy stracili 7 zabitych, 20 poddało się. Jeńców poleciłem odesłać na miejsce wypadku i puścić wolno. W związku z tym zajściem, ponieważ drogi oddziałów prowadziły do Krzczonowa, gdzie też dowieziono Niemców, w obawie ewentualnej wyprawy, zarządziłem:

1. Wyprowadzenie plut. XI b, XI b<sub>1</sub>, XI b<sub>2</sub> do miejsca koncentracji w m. Żuków.
2. Oddział "Powoja" i "Nerwy" zakwaterowałem w miejscu koncentracji lub w pobliżu.
3. Plutony XIa i XI b<sub>3</sub> są w stałym pogotowiu na swoich m.p.

Po zorientowaniu się, po zachowaniu się Niemców, w dniu dzisiejszym wydam dalsze rozkazy.

Moje m.p. Żuków wieś, majdanek".

1.6.44.

Oddział w pełnym składzie opanował osadę Wysokie i rozbił miejscowe magazyny zbożowe. Zarekwirowano m.in. 400q owsa, 31q jęczmienia, 10 q wyki i 5 q łubinu. Było to zbbże, zabrane przez okupantów na kontyngent. Do akcji użyto ok.120 chłopskich podwódek. Ogromny sznur

wozów ciągnął się na przestrzeni kilku kilometrów w biały dzień. Akcja została przeprowadzona sprawnie, bez interwencji ze strony Niemców.

5.6.44.

Wydzielona grupka kilku partyzantów zabiera z magazynów "Społem" przy ul. Spółdzielczej w Lublinie żywność. Grupa wraca bez strat do oddziału.

Otrzymawszy od "Nerwy" kilkudniową przepustkę do rodziny w Lublinie, drogę do Lublina odbyłem wraz z "Noirem" i kolegami, którzy wybrali się na w/w akcję. Ponieważ do Lublina weszliśmy wieczór, tuż przed godziną policyjną, więc zanocowałem u "Noira" przy ulicy Bychawskiej, zaś do domu Rodziców udałem się dopiero rano.

6-19.6.44.

Kilka dni spędzam u Rodziców. Następnego dnia po zjawieniu się w domu wybrałem się z Mamą dorożką do Jej przyjaciółki. Po drodze do niej, miałem niewąski ubaw. Na ulicy Krakowskie Przedmieście, Mama zauważyła idącego chodnikiem intendenta z niemieckiego szpitala wojskowego - Polaka, z którym miała jakieś interesy handlowe, więc poprosiła go, by wsiadł z nami do dorożki. Intendent, który brał udział w pechowej dla Niemców wyprawie pod Piotrkówkiem, i w którym natychmiast rozpoznałem mężczyznę, <sup>(ego)</sup> wożonego wraz z jeńcami niemieckimi, i wreszcie razem z nimi wypuszczony na wolność, widział mnie na furmance w nocy, więc obecnie nie rozpoznał. W "zaufaniu" zaczął opowiadać Mamie, że niedawno, bo przed tygodniem, kolumna ich została rozbita pod Piotrkówkiem, oni zaś byli najpierw wożeni przez jakichś partyzantów, przez większą część nocy, na wozach, później zaś wypuszczeni, na "świętego tureckiego", na lubelskiej szosie. Dla Mamy to była wielka nowina, podczas gdy ja mało nie pękałem ze śmiechu. Chcąc coś dorzucić od siebie, zapytałem go, kim byli ci, co ich

rozbili. Intendent poważnie odpowiedział, że to byli jacyś dezernerzy austriaccy, ponieważ byli ubrani w mundury niemieckie, uzbrojeni niemiecką bronią i mówili między sobą po niemiecku. Gdy ofiarą "austriackich dezernerów" wysiadła z dorożki, a ja powiedziałem Mamie prawdę, śmiała się bardzo mówiąc, że gdybym chciał coś takiego zaaranżować, nie udałooby mi się tak, jak to sprawił czysty przypadek. W powrotnej drodze do oddziału otrzymałem polecenie zabrania z ulicy Zemborzyckiej radzieckiej felczerki, "Tani", która ma mnie rozpoznać z opisu i razem ze mną, przyjechać do naszego oddziału. Po ucieczce z jakiegoś transportu była przez pewien czas przechowywana wśród naszych członków w Lublinie, ale nie chciano dalej ryzykować niepotrzebnie, stąd więc pomysł przekazania jej do oddziału "Nerwy". Przyjechała po nas podwoda, którą kierował "Rekrut" i przez dużą część nocy wróciliśmy do oddziału. Tania przybrała pseudonim - "Katia".

21.6.44

Grupa partyzantów, pod dowództwem "Natara", zaatakowała z zasadki, w pobliżu stacji kolejowej Dominów /linia Lublin-Chełm/, patrol ochrony z batalionu ochrony transportu. Doszło do wymiany ognia, podczas której 2 ostlegionistów zostało zastrzelonych, a 2 rannych. Po naszej stronie został lekko ranny Lesław Bezdek - "Nil". Wobec nadejścia pociągu z urlopowanymi żołnierzami niemieckimi, partyzanci wycofali się.

26.6.-2.7.44.

Po mordzie, dokonanym przez "Cienia" na oddziale AK w Inspektoracie Puławy, następuje koncentracja oddziałów AK wchodzących w skład 8 p.p. Demonstracyjny przemarsz z okolic Lublina do Józefowa nad Wisłą, trwa kilka dni. W czasie marszu spotykamy oddział AL "Przepiórki". Na własną prośbę przechodzą do tego oddziału: niemiecki komunista, lekarz Georg Arend, jak i Rosjanka "Katia", przywieziona do oddziału niedawno przeze mnie z Lublina. O "Katii" - Tani już

pisalem, więc teraz dodam tylko, że Georg Arend, będąc w filii obozu koncentracyjnego Majdanek, która znajdowała się przy ulicy Lipowej 7 w Lublinie, jako nadzorca grupy więźniów, uciekł wraz z 11 więźniami z tego obozu, w nocy z 22 na 23 marca 1944 r. Po wielu perypetiach znalazł się pod opieką naszego oddziału i był jego członkiem pod pseudonimem "Żorż".

Przemarsz nasz kończy się odprawą oddziałów i defiladą na rynku w Józefowie, w niedzielę 2 lipca. W "rodzinne" strony wracamy przez Urzędów. Na całej trasie jesteśmy serdecznie witani przez mieszkańców okolicznych wsi. Ludzie wiedzą, że dzięki nam został ukrócony bandytyzizm, a i okupant nie kwapi się do penetrowania polskiej wsi, jak dawniej. W skład oddziałów, biorących udział w tej koncentracji, weszły cztery oddziały partyzanckie w sile od 60 do 100 ludzi każdy. Całością tej grupy dowodził kpt. "Młot" - Konrad Schmeding - zaś poszczególnymi oddziałami: "Zapora" - Hieronim Dekutowski, "Nerwa" - Wojciech Rokicki, "Kozioł", "Jemioła" - Czesław Rossiński, "Ryś" - Stanisław Łukasik.

Spotkanie nasze z oddziałem AL "Przepiórki" - Edwarda Gronczewskiego, zostało tak zapamiętane w jego wspomnieniach po latach, jak cytuję w obszernym fragmencie pochodzącym z tej książki. Daję tak obszerny fragment tych wspomnień, ponieważ zawiera on dużo szczegółów z tego dnia oraz naświetlenie faktów świadczących o tym jak odmiennie spojrzenie mieli na sprawy walki okupacyjnej przedstawiciele partyzantki komunistycznej. Nie mówiąc o tym, że w kilku różnych miejscach tych wspomnień "Przepiórka" rozmija się po prostu z prawdą, jak np. pisząc o sprawie "Katii" i "Żorża".

"Nie upłynęło więcej, niż dwie godziny - pisze "Przepiórka" - gdy maszerujący w lasy janowskie Rosjanie, powrócili do Zychówek. Jak opowiadali, we wsi Sucha Wólka zostali zatrzymani przez jakichś uzbrojonych ludzi, mówiących po polsku, w polskich mundurach, którzy odebrali im broń i na dodatek obrzucili "soczystymi" słowami. Rosjanie w tej sytuacji zrezygnowali z marszu w lasy janowskie i powrócili

do naszego oddziału, licząc na pomoc i opiekę. Oczywiście, zostali wcieleni do oddziału i odpowiednio uzbrojeni.

Incydent, jaki miał miejsce w Suchej Wólce, zaniepokoił mnie. Poleciłem "Mietasowi" wzmocnienie ubezpieczeń bojowych oraz wysłanie rozpoznania w kierunku Suchej Wólki i Anielina. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że Rosjanie natknęli się na akowców. Nasi partyzanci bowiem nie potraktowaliby ich w taki sposób, a eneszetowcy z pewnością nie poprzestaliby na rozbrojeniu i mocnych słowach.

We wsi Zychówki mieszkał gajowy Woźniak, który był aktywnym członkiem AK. Udałem się do niego z uprzednio napisaną kartką do partyzantów w Suchej Wólce. Treść kartki domagała się zwrotu broni na ręce jej doręczyciela. W rozmowie z Woźniakiem nadmieniłem mu, że wysyłam jego z tą kartką, gdyż ludzie, którzy dokonali rozbrojenia Rosjan, pochodzili z organizacji, której on jest członkiem. Gajowy wypierał się swojej przynależności do AK, jakkolwiek ta sprawa była dla mnie nieistotna, chciałem tylko, by jak najszybciej doręczył pismo i przyniósł zrabowaną broń.

Gajowy Woźniak odszedł. Rozmyślałem nad tym, jak ustosunkują się do mojego żądania akowcy. Przypuszczałem nawet, że jeśli stanowią poważną siłę, mogą dokonać napaści na nasz oddział. Z tego względu zarządziłem alarm bojowy dla całego oddziału.

Powrót jednej z naszych grup rozpoznawczych, wysłanej w rejon Anielina, częściowo wyjaśnił nam sytuację. Z informacji, uzyskanych od miejscowej ludności wynikało, iż cała wieś Anielin zajęta jest na kwatery dla dużego oddziału partyzanckiego. Biorąc pod uwagę ilość zagród i przeciętną ilość partyzantów w każdej, należało szacować stan liczebny zgrupowania na około 600 ludzi.

Intuicyjnie wyczuwałem, że reakcją na moje żądanie, wyrażone w kartce, będzie chęć uderzenia na nasz oddział. Z tego względu wyprowadziłem oddział do lasu i zająłem stanowisko ogniowe na podłużnym wzniesieniu od strony Anielina. Nim zdążyłem zakończyć rozmiesz-



do naszego oddziału, licząc na pomoc i opiekę. Oczywiście, zostali wcieleni do oddziału i odpowiednio uzbrojeni.

Incydent, jaki miał miejsce w Suchej Wólce, zaniepokoił mnie. Poleciłem "Mietasowi" wzmocnienie ubezpieczeń bojowych oraz wysłanie rozpoznania w kierunku Suchej Wólki i Anielina. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że Rosjanie natknęli się na akowców. Nasi partyzanci bowiem nie potraktowaliby ich w taki sposób, a eneszetowcy z pewnością nie poprzestaliby na rozbrojeniu i mocnych słowach.

We wsi Zychówki mieszkał gajowy Woźniak, który był aktywnym członkiem AK. Udałem się do niego z uprzednio napisaną kartką do partyzantów w Suchej Wólce. Treść kartki domagała się zwrotu broni na ręce jej doręczyciela. W rozmowie z Woźniakiem nadmieniłem mu, że wysyłam jego z tą kartką, gdyż ludzie, którzy dokonali rozbrojenia Rosjan, pochodzili z organizacji, której on jest członkiem. Gajowy wypierał się swojej przynależności do AK, jakkolwiek ta sprawa była dla mnie nieistotna, chciałem tylko, by jak najszybciej doręczył pismo i przyniósł zrabowaną broń.

Gajowy Woźniak odszedł. Rozmyślałem nad tym, jak ustosunkują się do mojego żądania akowcy. Przypuszczałem nawet, że jeśli stanowią poważną siłę, mogą dokonać napaści na nasz oddział. Z tego względu zarządziłem alarm bojowy dla całego oddziału.

Powrót jednej z naszych grup rozpoznawczych, wysłanej w rejon Anielina, częściowo wyjaśnił nam sytuację. Z informacji, uzyskanych od miejscowej ludności wynikało, iż cała wieś Anielin zajęta jest na kwatery dla dużego oddziału partyzanckiego. Biorąc pod uwagę ilość zagród i przeciętną ilość partyzantów w każdej, należało szacować stan liczebny zgrupowania na około 600 ludzi.

Intuicyjnie wyczuwałem, że reakcją na moje żądanie, wyrażone w kartce, będzie chęć uderzenia na nasz oddział. Z tego względu wyprowadziłem oddział do lasu i zająłem stanowisko ogniowe na podłużnym wzniesieniu od strony Anielina. Nim zdążyłem zakończyć rozmiesz-

czenie oddziału, ze szpicy doniesiono mi o wyruszeniu w naszym kierunku zgrupowania akowskiego z Anielina.

Posuwając się w odległości 100 m przed zgrupowaniem, szpica akowska niemal nie weszła na nasze pozycje. Kiedy żołnierze szpicy akowskiej zauważyli naszych partyzantów, leżących na stanowiskach ogniowych, usiłowali rozbiec się i także zająć stanowiska ogniowe. Ostrzegliśmy, że w przypadku ruchu z ich strony otworzymy ogień. Szpica i kolumna marszowa zamarły w bezruchu.

Zażądałem, by zbliżył się do nas dowódca zgrupowania. Ktoś ze szpicy odpowiedział, że dowódca znajduje się w tyle. Wysłano do niego gońca.

Za chwilę ukazał się, jadący konno, dobrze zbudowany mężczyzna, w oficerskim, kapitańskim mundurze.

Wraz z kilkoma partyzantami naszego oddziału wyszedłem na przedpole. Gdy zbliżył się do nas, oświadczyłem, iż nasz dowódca życzy sobie z nim porozmawiać. Zapytał mnie wtedy: "A gdzie znajduje się Wasz dowódca?" Odpowiedziałem: "Za wzniesieniem". Kapitan wziął ze sobą dwóch, czy trzech, swoich żołnierzy i udał się wraz z nami poza naszą linię obrony. Zapytał mnie jeszcze, jakim jesteśmy oddziałem. Poinformowałem go, że oddziałem Armii Ludowej.

Znaleźliśmy się już poza naszą linią obrony. Kapitan, nieco zniecierpliwiony, zwraca się do mnie i pyta: "Gdzież jest ten wasz dowódca?" Przedstawiłem mu się. Wiadomość ta zdziwiła go bardzo. Zmierzył mnie oczyma, od góry do dołu, raz i drugi, po czym z wymuszonym uśmiechem rzekł: "Jest mi bardzo przyjemnie poznać pana" i zsiadł z konia. Podaliśmy sobie ręce i wymienili pseudonimy. Okazało się, że faktycznie jest to zgrupowanie AK, dowodzone przez kpt. "Młota".

Rozpoczęliśmy rozmowę. Kapitan był mocno zażenowany, że został poniekąd zmuszony do pertraktacji z młodym chłopakiem,

mianowanym dowódcą ludowej partyzantki, tym bardziej, że otaczający mnie partyzanci byli również młodzi, a po ich twarzach nietrudno było zorientować się, iż są synami chłopskimi. Gdyby nie konieczność, z pewnością kpt. "Młot" nie zmusiłby się do takiego upokorzenia. Niewątpliwie, żałował tego spotkania, ale cóż, życie na swoje prawa i niejednokrotnie zmusza do ulegania. W tym wypadku kpt. "Młot", jakkolwiek niechętnie, musiał się z nami poważnie liczyć, gdyż w przeciwnym razie, mógłby narazić się na nieprzewidziane w skutkach niebezpieczeństwo. Oba nasze zgrupowania były licznymi jednostkami bojowymi. Stan liczebny oddziału kpt. "Młota" wynosił około 600 ludzi. Mego natomiast tylko 350 partyzantów, ale bez porównania lepiej uzbrojonych i zahartowanych w bojach. Ponadto, nasz oddział stanowił sobą jedną całość, natomiast zgrupowanie akowskie składało się z 4 samodzielnych oddziałów.

Na początku rozmowy zapytałem kpt. "Młota", dlaczego jego ludzie zabrali broń maszerującym w lasy janowskie Rosjanom. Twierdził, że gdyby wiedział, iż ludzie ci są związani z moim oddziałem, napewno nie uczyniono by tego. Przyrzekł natychmiastowy zwrot zrabowanej broni, a za ubliżanie Rosjanom zobowiązał się zwrócić uwagę winnym.

W toku dalszej rozmowy kpt. "Młot" zaproponował, abyśmy wymienili po jednym automacie na pamiątkę zawartej znajomości. Zgodziłem się. Zwróciłem się więc do tuż przy mnie stojącego Witolda Dzikowskiego ps. "Witek" i poleciłem mu, by swój automat PPSza "przekazał" "Młotowi". "Witek" spojrział niedowierzając, lecz bez żadnego słowa wręczył swój automat dowódcy AK, kpt. "Młotowi". Ten z kolei swój automat Sten wręczył mnie.

W miarę upływu czasu atmosfera stawała się przyjaźniejsza. Doszło nawet do tego, że po uzgodnieniu, wysłałem kilku swoich partyzantów na rozmowy zapoznawcze do kpt. "Młota", a on przysłał kilku do naszego oddziału.

Kpt. "Młot", widząc u nas wielu Rosjan, oznajmił, że w jego zgrupowaniu znajduje się radziecka felczerka. Poprosiłem go o poznanie z nią. W trakcie rozmowy wyraziła ona chęć przejścia do naszego oddziału, lecz kpt. "Młot" nie chciał się na to zgodzić.

Jakiś podporucznik z zawiniętymi rękawami /prawdopodobnie "Nerwa"/ podszedł do "Młota" i podszeptał mu, by zaproponował nam wymianę ręcznych karabinów maszynowych radzieckich na niemieckie typu LMG. "Młot" przedłożył mi tę propozycję. Wymiana nie zrobiła mi żadnej różnicy, więc wyraziłem zgodę na przeprowadzenie transakcji. Wymieniliśmy dwa LMG na dwa typu Diegtiarow. Mówiąc nawiasem, z pewnych względów były one dla nas wygodniejsze, natomiast akowcom sprawiały kłopot, gdyż nie mieli do nich odpowiednich zapasów amunicji. Ponadto wychodziłem z założenia, iż byłoby nierozsądnie nie pójść akowcom na rękę. Im zrobiliśmy pewną przysługę, sami nie tracąc na tym.

W trakcie wymiany broni, podszedł do mnie mężczyzna w niemieckim mundurze i oświadczył, że jest Niemcem, lekarzem wojskowym, komunistą, który zbiegł z armii hitlerowskiej. Życzeniem jego było przejść do naszego oddziału. Zwróciłem się do kpt. "Młota" z prośbą o zgodę. Niestety i tym razem odmówił.

Wreszcie pożegnaliśmy się i rozeszliśmy się. Zgrupowanie kpt. "Młota" pomaszerowało w kierunku Świeciechowa, gdzie następnie nocą przepравиło się przez Wisłę na tereny Kielecczyzny. Nasz oddział udał się natomiast w powiat puławski".

4.7.44.

Mamy zaatakować Niemców zgrupowanych przy stacji Leśniczówka. W tym celu na polach około wsi Wilkołaz, wraz z oddziałem "Jemioły", zajmujemy stanowiska wzdłuż torów kolejowych, by zatrzymać pociąg jadący do Lublina. Pociągiem tym mamy podjechać do Stacji Leśniczówka i zaatakować niemiecką załogę stacji. Jednak kontrolny parowóz z załogą niemiecką, sprawdzający tory, musiał nas rozpoznać mimo nocy,

gdyż zostaliśmy z niego ostrzelani. Parowóz, po oddaniu strzałów w naszą stronę i po wystrzeleniu rakiety ostrzegawczej, czym prędzej wrócił do stacji Leśniczówka, nie jadąc już w dalszą trasę. W tej sytuacji zaskoczenie Niemców było już niemożliwe, więc wycofaliśmy się do lasu.

5.7.44.

Bierzemy udział w akademii z okazji święta narodowego Stanów Zjednoczonych. W akademii oprócz nas biorą udział również partyzanci jeszcze jednego, czy dwóch oddziałów, dużo różnych gości z konspiracji lubelskiej, w tym sporo młodych kobiet, co stało się pretekstem do zorganizowania, po oficjalnej części akademii, zabawy tanecznej. W tańcach biorę udział i ja i tańczę kilka razy z młodą i sympatyczną konspiratorką. /Spotykam ją około roku 1950, ku obopólnemu zaskoczeniu i zdziwieniu, pracując w Zarządzie Głównym PCK, gdy rozpoczyna ona tam pracę w charakterze kierowniczkii działu szkolenia pielęgniarek PCK. Pamiętam jedynie jej imię, Marysia, oraz to, że mimo upływu kilku lat od tamtej okupacyjnej zabawy w szkole w Woli Gałęzowskiej, zostałem przez nią rozpoznany, jako jej ówczesny tancerz. Musiałem chyba wtedy nadebrać jej mocno na odciski /nigdy nie byłem zbyt dobrym tancerzem/, skoro mnie przez tyle lat zachowała w pamięci./.

Doszło na tej akademii jeszcze do jednego interesującego spotkania. Jak już pisałem, we wrześniu 1941 roku, rozpocząłem naukę w Prywatnej Szkole Handlowej w Lublinie, gdzie wśród innych moich profesorów odnotowałem nazwisko prefekta ks.mgr Jana Fiuty. Od tamtej pory nie miałem okazji spotkać ks. Fiuty i dopiero tu, po trzech latach, w kapelanie partyzanckim rozpoznaję mojego byłego prefekta szkolnego. Ksiądz mnie też rozpoznaje, wymieniamy pseudonimy i po krótkiej rozmowie rozstajemy się, ale nie na zawsze. /Gdy w 1947 roku, po przeprowadzce z Gdańska, gdzie ukończyłem czwartą klasę

gimnazjum, zaczynam naukę w Lublinie w Liceum Towarzystwa Szkoły Średniej okazuje się, że dyrektorem mojej szkoły jest prof. Zygmunt Tołwiński, mój kolega z więzienia na Zamku, wśród profesorów zaś spotykam byłych więźniów, jak prof. Kazimierz Chmielewski i prefekt ks. Czesław Nowicki. Gdy ks. Nowicki kiedyś zachorował, na lekcję religii przyszedł inny ksiądz na zastępstwo. Koledzy klasowi, którzy już pogodzili się z tym, że dużą część ciała pedagogicznego szkoły stanowią moi więzienni koledzy, byli przekonani, że zastępcy ks. Nowickiego to już napewno nie znam. Chcąc się pochwalić nowym kolegą z Gdańska, powiedzieli o tym księdzu, ten zaś zapytał tylko krótko: "Który to jest, niech się pokaże !" Gdy ujrzał mnie podnoszącego się w ławce szkolnej szybko podszedł i na całą klasę zawołał: "Cześć Dewajtis! A Ciębie jakie bogi tu przyniosły?" i serdecznie się ze mną przywitał, zaś zdziwionym kolegom z klasy wyjaśnił, że jesteśmy przecież kolegami z partyzantki/.

7.7.44

Otrzymuję zezwolenie od "Nerwy" na udanie się <sup>do</sup> Lublina i Warszawy na kilkudniowy urlop do rodziny. Gdy po południu tego dnia zjawiam się w Lublinie, mam problem z dotarciem do domu rodzinnego. Już podczas mojego partyzanckiego żywota Rodzice zamieszkali na Sławinku, gdzie został ulokowany posterunek policji, tuż obok szosy Lublin-Warszawa, w willi zbudowanej w dużym ogrodzie. W sąsiedniej willi mieszkał szef lubelskiego "Baudienstu" ze swoją kochanką, jakąś volksdeutschką, oraz z pięknym psem owczarkiem. Chcąc dostać się niepostrzeżenie do domu rodziców, postanowiłem uczynić to od strony przeciwnej niż szosa, to znaczy od ogrodów leżących od Czechowa. Ponieważ ogrody od tej strony wyglądały bardzo podobnie, a ja tu byłem pierwszy raz, więc wszedłszy na teren jednego z nich, byłem przekonany, że jestem we właściwym

i śmiało zmierzałem ku niedalekiemu budynkowi willi, gdy za rosnącym szpalerem porzeczek dostrzegłem nagle niebrzydką blondynkę, leżącą na trawie i opalającą się, a obok niej pięknego psa. Gdy błyskawicznie zorientowałem się, że trafiłem nie do właściwego ogrodu, i chciałem się szybko i niepostrzeżenie wycofać, realizację tego uniemożliwił mi pies, który zaczął nagle warczeć coraz głośniejszym głosem, spoglądając niedwuznacznie w kierunku porzeczek, poza którymi zaciałem się. Właścicielka psa, nie podejrzewając niczego, zaczęła go uspokajać, a gdy ten, nie dając za wygraną, po chwili rozpoczął na nowo warczeć, blondynka wstała z koca i zbliżyła się ku porzeczkom, mówiąc do niego po polsku: "Niemądry piesek, popatrz że tu nikogo nie ma!" To mówiąc rozgarnęła krzaki porzeczek i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu ujrzała podnoszącego się do góry nieznanego, bardzo opalonego osobnika, wprawdzie w cywilnym ubraniu, lecz nie budzącego wątpliwości, że nie reprezentuje żadnego z członków Herrenvolku, lecz wprost przeciwnie. Trzymane przy tym przeze mnie ręce w kieszeniach mogły budzić podejrzenie, że mam w nich coś bardzo "konkretnego" i że nie przybyłem tu w przyjacielskich zamiarach. Zaskoczona Niemka tak była przerażona, że nie wydała z siebie, jak dotąd, żadnego głosu. Chcąc temu zapobiec, zacząłem ją uspokajać, że trafiłem tu przez pomyłkę, myśląc że w ten sposób skrócę sobie przez ogród drogę do szosy. Zapytany przez nią po chwili, czy wiem, w czyj ogród wdepnąłem niechcący, odpowiedziałem, że nie mieszkam w tej okolicy, nie znam jej mieszkańców, więc najlepiej będzie, gdy wycofam się tą samą drogą, jaką się tu dostałem, i że lepiej będzie, jeśli mi w tym nie będzie czyniła przeszkód. "To jest dom szefa Baudienstu. Całe szczęście dla pana, że nie ma go w tej chwili w domu, bo on nie rozstaje się z bronią i robi z niej chętnie użytek w koniecznych przypadkach. Niech pan ucieka

bo lada chwila może wrócić do domu?" Przeskoczyłem natychmiast przez płot /okazuje się, że skok przez płot jest najlepszym wyjściem w bardzo licznych sytuacjach, co udowodniła nam nawet najnowsza historia 1980 roku/. Podczas gdy ja okrążając ogrody, tym razem zmierzałem szybko w kierunku szosy, by dostać się do domu rodziców od frontu, blondynka jeszcze szybciej leciała w kierunku domu szefa Baudienstu, najprawdopodobniej, by wszczać spóźniony alarm. Gdy ja, zawiadomiwszy rodzinę, byłem już we wnętrzu domu, w którym obecnie mieszkali rodzice, w sąsiedniej willi wszczął się gorączkowy ruch. Pojawił się szef Baudienstu i najpierw on sam, a później przy pomocy podległych sobie junaków, zaczął przeszukiwać swój ogród i najbliższe jego otoczenie, nie podejrzewając, że bezczelny intruz znajduje się w budynku tuż obok, w posterunku policji polskiej. Zaprzyjaźnieni z braćmi junacy Baudienstu natychmiast donieśli, że jestem poszukiwany, a blondynka określiła mnie swemu panu i władcy, jako bandytę, który był uzbrojony w pistolet i miał niebezpieczne zamiary. Do późnej nocy trwały bezowocne poszukiwania, włącznie z oświetleniem ogrodu przy pomocy reflektorów, lecz poszukiwany "bandyta" znikł bez śladu.

W domu u rodziców byłem do 10 lipca. Po zawiadomieniu przez brata Zdzisława, Henia Mazurka, o moim zamiarze wyjazdu do Warszawy, ten wyraził chęć towarzyszenia mi w tej podróży. Mając w kieszeni lewą kenkartę, w której figurowałem jako Edward Zapolski, urodzony w 1922 r. w Gdyni, a zamieszkały w Warszawie, przy ulicy Żelaznej 32/49 /to adres Krysi Żurek/, zaopatrzony również w odpowiednie zaświadczenie o pracy w niemieckiej instytucji w Warszawie, ubrany w granatowy kombinezon roboczy, zjawiłem się na umówioną godzinę na dworcu kolejowym w Lublinie, gdzie oczekiwał na mnie z zakupionymi biletami kolejowymi, Henio. Bez większych przeszkód, nie licząc kontroli dokumentów oraz rewizji w wagonach, które miały miejsce w Dęblinie, a nas specjalnie nie dotyczyły, bo mieliśmy dobre



(jeszcze dodatkowo)

dokumenty oraz ja delegację z miejsca pracy do załatwienia spraw w Lublinie dla mojej instytucji. Mniej więcej w porze obiadowej, 11 lipca 1944 roku, zjawiliśmy się z Heniem na Żelaznej, witani serdecznie przez Krysię i Jej siostrę Halinę. Krysia, która była przeze mnie zawiadomiona o zamiarze opuszczenia Lublina w lutym, ale nie znała dalszego ciągu, zasypała mnie pytaniami. Gdy zaspokoilem Jej zrozumiałe zainteresowanie i gdy dowiedziała się, że jeszcze przed trzema dniami buszowałem w partyzantce z bronią w ręku, odwiedzającym Ją koleżankom i kolegom z konspiracji zaczęła mnie przedstawiać, jako chłopaka z lubelskich lasów, więc musiałem od nowa opowiadać o swoich losach i o partyzanckim życiu. Henio był w Warszawie tylko przez dzień 11 i 12 lipca i załatwiwszy swoje sprawy powrócił do Lublina, ja zaś na zaproszenie Krysi i Haliny, zostałem jeszcze do dnia 15 lipca. Czas spędzałem w różny sposób. Najpierw pomagałem Krysi w dźwiganiu ciężkich toreb po całej Warszawie, zawartość których mogła interesować szczególnie naszych wrogów, gdyby Ci mieli bardziej spokojne głowy do tego. Tymczasem przez Warszawę ciągnęły kolumny furmanek, na których jechali umundurowani i cywilni Niemcy w kierunku ze wschodu na zachód, co jak żywo przypominało sceny na naszych drogach z września 1939 roku, z tą różnicą tylko, że kierunek ucieczki był odwrotny.

Front, jak wiadomo, znajdował się w tym czasie na wschodnich terenach przedwojennej Polski, więc widoczne udenerwowanie Niemców miało swoje głębokie uzasadnienie. Na ulicach, chodząc z Krysią, co chwila mijaliśmy wzmocnione patrole żandarmerii wojskowej niemieckiej, chodzące z bronią gotową do natychmiastowego użytku i bacznie obserwujące zarówno kolumny spanikowanych rodaków, jak również reakcje mieszkańców Warszawy na aktualne wydarzenia. Dla własnego bezpieczeństwa rozmawialiśmy z Krysią, szczególnie

gdy zbliżały się patrole wojskowe, głośno po niemiecku, ponieważ i Kryśia znała dość dobrze ten język. Odwiedziłem w dniu 13 lipca swojego kolegę z konspiracji, poprzednio w Lublinie, obecnie zakwaterowanego w Warszawie przy ul. Wspólnej, Tadzia Rekowskiego, o którym wiedziałem, że tkwi po uszy w konspiracji, zbliżonej do szczebla Komendy Głównej AK. Chciałem od niego usłyszeć parę słów na temat najnowszych wydarzeń. Od Tadeusza dowiedziałem się w wielkiej tajemnicy, po opowiedzeniu mu moich aktualnych losów, że w Warszawie szykuje się całą parą powstańcza akcja zbrojna, w której i on wraz ze swoją grupą ma wyznaczoną ważną rolę. Terminu tej akcji nie był w stanie określić dokładnie, lecz uważał, że nastąpi to w niezbyt odległej przyszłości. Namawiał mnie, abym zostałem razem z nim w Warszawie, ponieważ "ostrzelani" ludzie będą wkrótce tu w dużej cenie. Ja wprawdzie nie odmówiłem mu wprost, bo pociągała mnie taka perspektywa, ale powiedziałem, że muszę to zrobić formalnie w oddziale partyzanckim, by mnie nie poczytano za dezertera. Postanowiłem skrócić swój pobyt w Warszawie i wrócić do Lublina. Jeszcze następnego dnia, 14 lipca, roznosząc z Krysią cenne pakunki, rozmawiałem z Nią o tej propozycji mówiąc, że cieszy mnie perspektywa wspólnej walki w tym samym mieście. Kryśia, przytaczając mi opinię środowiska, w którym działała, również była przekonana, że do walki dojdzie niedługo. Po południu, gdy byliśmy sami z Krysią w domu, powiedziałem o uczuciach, jakie żywię do Niej, od chwili naszego poznania, i prosiłem, by dzieliła wraz ze mną dalsze życie, po zakończonej wojnie. Ze strony Krysi znalazłem potwierdzenie moich uczuć. Powiedziała mi, że już od dłuższego czasu widzi mnie jako kandydata na męża, bo łączy nas wszystko, że kocha mnie i śmiało powierzy swój los w moje ręce. Przenocowałem jeszcze tego dnia w Jej domu; zresztą większość czasu spędziliśmy na

miłych, intymnych, rozmowach narzeczeńskich i na snuciu planów na najbliższą przyszłość. (Rankiem) 15 lipca Krysia odprowadziła mnie na dworzec Główny PKP, skąd miałem odjechać do Lublina, by za kilka dni powrócić. Po drodze na dworzec tak zagadaliśmy się, że dosłownie w ostatniej chwili cofnęliśmy się przed zdążającą wprost na nas żandarmską sztrajfą. Gdy spostrzegłem, że zamiast iść na cywilną poczekalnię, zmierzamy do przeznaczonej tylko dla niemieckiego wojska, tuż przed patrolem żandarmerii wojskowej, zawołałem głośno po niemiecku, że pomyliłem się i że musimy zawrócić w drugą stronę. Niemcy, na dźwięk niemieckiego języka, zaniechali próby sprawdzania naszych dokumentów i po chwili znaleźliśmy się na właściwym peronie, w podziemiach dworca głównego. Gdy pociąg ruszał powoli w kierunku na wschód, zaś drobna postać Krysi, stojącej na peronie i machającej do mnie ręką, zaczęła się coraz bardziej zmniejszać w oddali, jakieś dziwne uczucie opanowało moje serce, jakby przeczucie, że widzimy się ostatni raz...

Z oddziałem "Nerwy" spotkałem się w umówionej miejscowości 17 lipca. Przedstawiłem "Nerwie" swoje wrażenia na temat sytuacji na froncie i w Warszawie, moją chęć brania udziału w zbliżającym się powstaniu, lecz "Nerwa" nie zgodził się na zwolnienie mnie z oddziału, mówiąc, że lada dzień front będzie i tu, więc będę potrzebny również jemu. Zresztą obawiał się, że mogę mieć zbyt wielkie trudności w ponownym dotarciu do Warszawy. Wydarzenia następných dni pokazały, że się nie mylił i musiałem mu przyznać rację.

19.7.44.

Dowódcy oddziałów "Nerwa" i "Jemioła" decydują się wspólnie zaatakować niemiecką załogę maj. Kłodnica, gm. Wilkołaz. Na tę akcję dawno już mieliśmy ochotę. Jeszcze w marszu na Józefów, konny zwiad naszego oddziału wjechał na teren tego majątku,

a spotkawszy Niemców wycofał się, ale wówczas kpt. "Młot" nie dał zezwolenia na zdobywanie majątku. Opracowano koncepcję podzielenia oddziału na trzy grupy. Grupę szturmową mają stanowić, pod dowództwem "Nerwy", wszyscy dowódcy drużyn, ich zastępcy oraz pozostali podchorążowie. Resztę partyzantów podzielono na dwie grupy, dowodzone przez ppor. "Muchę" i sierż. "Okrzeję".

Jak się okazało, była to decyzja niefortunna, dowódcy poszczególnych grup zajęli się zadaniami wycinkowymi oraz swoimi własnymi działaniami i zabrakło dowódcy, który by odpowiadał za całość akcji. Podobno taka koncepcja tej akcji wyszła od kpt. "Młota". Przed wymarszem ustalono, że front budynku atakuje oddział "Jemioły", lewy szczyt budynku - grupa "Okrzei", prawy szczyt, od strony zabudowań gospodarczych, grupa szturmowa "Nerwy", tylną część budynku grupa "Muchy". Tymczasem pierwszy kontakt z nieprzyjacielem nawiązała grupa "Okrzei", zanim jeszcze grupa szturmowa "Nerwy" dobiegła na swoje stanowisko wyjściowe pod budynkiem. Stało się to dlatego, że nieopodal budynku, od strony lewego jego szczytu, znajdowała się sadzawka, w której kąpało się kilku Niemców. Niemcy ci, widząc wychodzących z parku partyzantów /grupę "Okrzei"/, zaczęli uciekać do budynku dworu. Posypały się strzały, część kąpiących się od razu poległa, ale część dobiegła do dworu. W tej sytuacji grupy "Nerwy" dobiegała już do swoich stanowisk wyjściowych pod silnym ogniem nieprzyjaciela, dochodzącym z budynku, do tego jeszcze okazało się, że ta strona budynku, którą miała atakować grupa "Nerwy", stanowi ślepią ścianę bez otworów, przesunięto się więc na stanowiska zajęte przez grupę "Muchy". Od tej strony okna są wysoko zabezpieczone siatkami i workami z piaskiem. Ppor. "Nerwa" rzuca gamon na werandę oszkloną, weranda rozlatuje się, ale wewnątrz są dobrze zabezpieczone drzwi wejściowe. Ppor. "Mucha" wychyla

się z za drzewa, aby cisnąć granatem w okno, ale seria z pistoletu zabija go. Z dachu zaczynają lecieć niemieckie granaty, ale celowniczy lkm "Longin" z IV drużyny długimi seriami spędza Niemców z dachu. Co chwila z budynku idą w górę czerwone rakiety; to Niemcy wzywają pomocy z sąsiednich garnizonów. Przez okienka piwniczne słychać płacz kobiet i dzieci i krzyki: "Nie strzelajcie, tu Polacy", w tej sytuacji byłoby ryzykowne użycie granatnika "Piat". Okazuje się, że grupa "Okrzei" ma najlepsze dojście do okna od swojej strony, siatka zostaje zerwana, rzut granatem w okno i "Okrzeja" już wskakuje do środka, za nim kilku chłopców, już rzucają granaty do następnego pokoju. W tym czasie pchor. "Gryf", w trakcie przechodzenia przez okno, dostaje śmiertelny postrzał w brzuch, koledzy znajdujący się w budynku wynoszą go na zewnątrz". "Okrzeja" daje przez okno znaki grupom "Nerwy" i "Muchy", aby nie strzelać w jego stronę, jednak pod naporem Niemców z wewnątrz budynku "Okrzeja", osamotniony po wypadku "Gryfa", wycofuje się również na zewnątrz. Akcja niebezpiecznie przeciąga się, więc ppor. "Nerwa", z obawy, że lada chwila może nadejść wrogom pomoc, daje rozkaz do odwrotu. Przez cały ten czas grupa "Jemioły" była pod bardzo silnym ostrzałem z km wroga, który raził z małego okienka nad drzwiami frontowymi i całkowicie ryglował dostęp do nich. Zabieramy poległego ppor. "Muchę" i wtedy zostaje ranny pchor. "Jerzy". Wcześniej pocisk rozrywający prawie odrywa rękę "Kuli", od ułamków granatów są też ranni "Puma" i "Chan". Złożony na wozie "Gryf" kona na naszych oczach z okrzykiem: "Panie poruczniku, jeszcze Polska nie zginęła". Brak dowódców w drużynach też daje się we znaki, nikt przy odwrocie nie sprawdza stanów i tak zostaje na polu walki poległy wcześniej "Smiały" i jeszcze 2 partyzantów od "Jemioły". Potwornie zmęczeni, głodni, wycofujemy się przez wieś, nieprzyja-

ciel nas nie ściga, ludzie miejscowi częstują nas na drodze chlebem i mlekiem. Pod lasem sanitariuszka udziela rannym pierwszej pomocy. Następnie zostają umieszczeni w szpitalu w Bychawie u doktora Tadeusza Zajączkowskiego. Nad bezpieczeństwem rannych czuwa dyskretnie kilku partyzantów, dowodzonych przez "Toma". Z majątku zabraliśmy stado krów, które następnie rozdaliśmy rolnikom. Ci koledzy, którzy byli w budynku, zdobyli pistolet maszynowy. Ppor. "Mucha" i pchor. "Gryf" zostali pochowani z honorami wojskowymi w Bychawie.

24.7.44.

Koncentracja oddziałów, wchodzących w skład 8 pp AK, w Lewandowscyżynie. Tworzymy duży czworobok, nad naszymi zwiadowcami konnymi powiewa na lancy ułańskiej proporczyk naszego oddziału. Całością dowodzi dowódca zgrupowania 8 pp.kpt. "Młot". Odbiera meldunki z poszczególnych oddziałów, następnie przemawia: "Żołnierze, nadeszła chwila oczekiwana powszechnego powstania, zwanego akcją "Burza". Oddziały wasze zostają przemianowane na kompanie kadrowe 8 pp.AK, wszystkich funkcyjnych awansuję o jeden stopień. Ruszamy teraz do walki o wyzwolenie Lublina". Wielu ma łzy w oczach. Śpiewamy "Jeszcze Polska nie zginęła" i "Rotę" W wojskowym szyku kompanie rozchodzą się, by rozpocząć wykonywanie powierzonych im zadań.

W związku z ogłoszonym rozkazem zmienia się nazwa naszego oddziału. Z plutonu staje się II kompanią kadrową 8 pp.AK. Ulega również zmianie skład sztabu dowódcy kompanii:  
Dowódca kompanii - ppor. "Nerwa" - Wojciech Rokicki  
Zastępca - st.sierż. "Okrzeja" - Zygmunt Kowalczyk.  
Kronika, nasłuch radiowy - kpr.pchor."Jerzy" - Lesław Eustachiewicz  
Fotograf - kpr.pchor. "Jan" - Saturnin Zawadzki.

Podoficer furażowy - kpr. "Łyżka" - Michał Dudziak  
Podoficer gospodarczy - kpr. "Franek" - Franciszek Nowak  
Dowódca I plutonu - kpr. pchor. "Natar" - Alfred Nagalski  
Dowódca II plutonu - kpr. pchor. "Zawichost" - Tadeusz Cenzartowicz  
Zastępca - kpr.pchor. "Rapp" - Stanisław Hopkała  
Dowódca III plutonu - kpr.pchor."Jacyna" - Jan Onoszko  
Zastępca - kpr.pchor."Kot" - NN - /prawdopodobnie/  
Dowódca IV plutonu - pchor. "Bohun" - Jan Winiarczyk  
Zastępca - kpr.pchor. "Tom" - Czesław Linkowski  
Dowódca konnego zwiadu - kpr.pchor."Bemol" - Eugeniusz Chorzelski  
Zastępca - kpr.pchor. "Dym" - Zbigniew Janisławski.

"Nerwa" ze zwiadem konnym jedzie na rozeznanie terenu. We wsi Duża Wola niespodziewanie napotykają na dużą grupę frontowych żołnierzy niemieckich, odpoczywających. "Nerwa" wzywa ich do podania się, w czasie rozmowy jeden z Niemców otwiera ogień z km, "Marynarz" celnym strzałem wyłącza go z walki. Ginie jednak "Blask", a "Kmicic" jest ranny. Rozpoczyna się strzelanina, zwiadowcy zabierają zdobytą broń i swoich kolegów i wycofują się.

Tragicznym zbiegiem okoliczności, listę poległych naszego oddziału otwiera "Wójt" - Bohdan Wójcicki, a zamyka jego brat "Blask" - Mirosław Wójcicki /pochowany w Bychawie/, a najmłodszy z nich "Kula" - Zbigniew Wójcicki, stracił rękę pod Kłodnicą. Pochodzili z łącznej, gdzie ich rodzice byli nauczycielami.

W czasie, gdy konny zwiad toczył walkę w Dużej Woli, inna grupa z kpr. "Frankiem", przebywająca w Bychawie, gdzie przygotowywano prowiant dla oddziału, bierze udział w walce, jaką stoczył tam oddział ppor. "Szarugi" z wycofującym się wrogiem. Grupa, dowodzona pod nieobecność "Nerwy" przez "Okrzeję", rozpoczyna marsz na Lublin. Kompanię ubezpiecza od frontu i z boków III pluton służbowy pchor. "Jacyny". Na trasie marszu napotykamy na pierwszych konnych żołnierzy radzieckich. Spotkanie jest serdeczne, rozchodzimy

się w zgodzie do swoich zadań. Dochodzimy do wsi Polanówka, przy drodze okopane działa, dużo wojska radzieckiego. Marsz nasz zostaje zatrzymany. Stoimy tak kilka godzin, nie wiedząc, dlaczego zostaliśmy przez Sowietów zatrzymani. Wraca "Nerwa" z konnym zwiadem. Dostajemy polecenie zajęcia kwater we wsi. Partyzantów zbiera się coraz więcej, są różne kompanie, wieś jest nieduża, śpimy pod gołym niebem, bo noc jest ciepła.

5.7.44

Po śniadaniu wzywają nas wszystkich na pastwiskowy ugór, siadamy tworząc duży krąg, do którego wchodzi oficer radziecki w randze pułkownika. Przemawia do nas po rosyjsku, tłumaczem jest ppor. "Jemioła". Z przemówienia dowiadujemy się, że Niemcy się cofają, Czerwona Armia wyzwala nasze tereny, wspólnie z Ludowym Wojskiem Polskim, które powstało w ZSRR. Mamy złożyć broń i pod eskortą żołnierzy radzieckich pomaszerować do tego wojska, prawdopodobnie do Chełma. Jak ma wyglądać ten marsz nie wiemy, ale z komunikatów radia zagranicznego wiemy, jaki los spotkał dywizję AK, która brała udział w walkach o wyzwolenie Wilna. Po walkach zostali załadowani do pociągów i wywiezieni, oczywiście bez broni, w nieznane. Dowódca kompanii "Nerwa" zbiera nas i mówi, że w tych warunkach kompania zostaje rozwiązana i każdy z nas ma wolną rękę w działaniu. Nadeszła chwila wymarszu w nieznane, pod zbrojną straż żołnierzy radzieckich.

Nie chcąc maszerować bezwolnie pod "opieką" bolszewicką, jeszcze w Polanówce skombinowałem sobie ubranie cywilne i zanim otoczono nas strażą, wspólnie z "Babiniczem" - Tadeuszem Borzęckim, "Rappem" - Stanisławem Hopką, "Janem" - Saturninem Zawadzkiem, oraz "Swidrem" - Stanisławem Milaszkiwiczem, oderwaliśmy się po angielsku od całego, zatrzymanego przez czerwonoarmistów, zgrupowania



partyzanckiego. To samo zresztą zaczęli robić, idąc w nasze ślady, wkrótce inni koledzy, ulatniając się grupkami z konwoju. Jak się orientuję, do Chełma nie doszło zbyt wielu...

Uciekając z Polanówki, zostawiliśmy tam, pod opieką jednego z gospodarzy, broń krótką, której nie oddaliśmy Rosjanom w chwili rozbrojenia. Dalszy kierunek naszego marszu obraliśmy na Lublin, bo każdy z nas chciał jak najszybciej dotrzeć do swoich rodzin, by zorientować się, co się z nimi działo podczas krótkotrwałych, lecz gwałtownych walk o miasto.

Po drodze mieliśmy leśniczówkę w Zembozycach, od dawna zaprzyjaźnioną z naszym oddziałem partyzanckim. Tu postanowiliśmy zasięgnąć języka, zanim udamy się do miasta. Gdy znaleźliśmy się w domu leśniczego, którym był inż. Jan Kowalczewski, /obecnie, żyjący jeszcze, w Radomiu/, zaraz na wstępie zostaliśmy uprzedzeni, że tu już parę razy zaglądało NKWD, polując na partyzantów AK. Ledwie zdążyliśmy się umówić z panem leśniczym i jego żoną, kim dla nich jesteśmy, na podwórze leśniczówki zajechał wojskowy łazik, z czterema pasażerami w mundurach. Nie było już czasu na ucieczkę. Byli to żołnierze NKWD. Za chwilę już byli w mieszkaniu i pierwsze ich pytanie było, kim jesteśmy. Na zgodne oświadczenie pana leśniczego z żoną, oraz nasze, że jesteśmy krewnymi gospodarzy, którzy tu szukali schronienia podczas walk o Lublin, Rosjanie zażądali okazania przez nas dokumentów. Z tym nie było żadnego kłopotu, ponieważ cała nasza piątka miała, bądź prawdziwe, bądź "lewe" kenkarty. Później rozpoczęło się bliższe zapoznanie z naszymi dokumentami i zapytania o nasze zawody. Te były w kenkartach podane po niemiecku i po polsku. O ile dobrze pamiętam, dwóch z nas miało wpisane "Kaufmann - kupiec", jeden "Buchhalter - księgowy", jeden "Forstpraktikant - leśnik", zaś ostatni chyba "Beamter - urzędnik". Na nasze objaśnienia, dotyczące znaczenia wpisanych zawodów, otrzy-

maliśmy jednobrzmiące we wszystkich przypadkach odpowiedzi, że zarówno kupcy, jak księgowi, leśnicy oraz urzędnicy będą potrzebni po wojnie, ale teraz pojedziemy z nimi do Lublina, bo polska armia potrzebuje żołnierzy i my zostaniemy do niej wcieleni. Pragnąc odwlec o tyle, ile się da, "upragniony" moment wcielenia do armii wpadliśmy na pomysł, że przecież wypada wychylić toasty za wspólną walkę oraz "za pobiędu". Pani leśniczyna, jakby na to czekała, wyczarowała litrową butelkę wódki oraz jakąś zakąskę i rozpoczęło się uroczyste oblewanie przyszłych zwycięstw. Ponieważ współników do tego litra wódki było sporo, bo nas pięciu, dwoje gospodarzy oraz czterech nieproszonych gości, razem więc jedenaście osób, mimo iż każdy z nas pił w miarę oszczędnie, nie żałując poczęstunku gościom, trzeba było zabieg powtórzyć i w ten sposób na stole pojawiły się chyba jeszcze dwie litrówki. Gdy kończyliśmy pierwszą, dowódca enkawudystów wydał rozkaz kierowcy łazika i jednemu z boj- ców, by pojechali do najbliższej wsi, celem kontynuowania misji, dla której ich tu przysłano, z nami zaś został po chwili on sam i jeden z boj- ców, któremu najszybciej alkohol pomieszał zdrowy rozsądek. Gdy po kilku jeszcze toastach, ostatni żołnierz to- warzyszący .. komandirowi, pogrążył się w głębokim śnie, zostawiając nawet swój automat oparty o ścianę, wówczas nagle stał się swego rodzaju cud. Komandir zwrócił się do nas, dosyć dobrą polszczyzną, że on orientuje się doskonale, jaką rodziną jesteśmy dla leśnicze- go, więc radzi nam, abyśmy wiali z leśniczówki co sił w nogach, zanim jego wojsko wysłane do wsi nie wróci, a pijany współtowa- rzysz nie wyzwoli się spod działania alkoholu. Tej propozycji nie musiał nam powtarzać, wialiśmy w kierunku Lublina, podzieli- liwszy się na dwie grupy. W jednej z nich znalazłem się ja i Tadzio Borzęcki "Babinicz", w drugiej pozostała trójka.

Tadzio Borzęcki był to kolega jeszcze z konspiracji "Miecza i Pługa", który wkrótce po mojej ucieczce do partyzantki wylądował w oddziale "Rysia", wchodzącym w skład naszego zgrupowania party-

zanckiego kpt. "Młota". Po pewnym czasie otrzymał od dowódcy urlop, dla odwiedzenia swej żony Renaty.

"Wieczorem 23 maja 1944 roku SS-man z dywizji Wiking zatrzymał w Saskim ogrodzie 17-letniego Ryszarda Burzaka, przy którym znaleziono pistolet kal.7.65 mm. W śledztwie Burzak przyznał się, że z polecenia swego szwagra Borzęckiego, członka AK, miał zastrzelić niemiecką sanitariuszkę. Borzęcki zdołał uciec aresztowaniu, ale w jego mieszkaniu znaleziono polski mundur wojskowy. Aresztowano żonę Borzęckiego - Renatę i Bolesława Drozda, którego hitlerowcy ujęli w mieszkaniu Borzęckich".

Tyle doniosła kronika okupacyjna Lublina: Burzak został rozstrzelany wraz z grupą innych więźniów 3 czerwca, teraz zaś my z Tadzim, dowiedziawszy się o masakrze więźniów Zamku Lubelskiego, dokonanej zaledwie przed trzema dniami, 22 lipca, postanowiliśmy najpierw udać się na Zamek, by tam szukać Reni żywej czy zamordowanej. Widok na Zamku przechodził ludzkie wyobrażenie. Zwały trupów wypełniały, zarówno cele więzienne, jak dziedziniec zamkowy. Duża część pomordowanych więźniów była spalona przez sprawców mordy, zaś wśród zwęglonych zwłok kręciły się dziesiątki ludzi, poszukujących, tak jak i my, swoich najbliższych. Reni, mimo usilnych poszukiwań, nie odnaleźliśmy i pełni najgorszych przeczuć z bólem w sercach udaliśmy się na ulicę Głęboką, gdzie było mieszkanie Borzęckich. Tu spotkała nas tak wielka niespodzianka, że omal nie zwała z nóg Tadzia. obok domu w ogródku zastaliśmy Renię całą i zdrową, ~~co~~ cudem ocalałą z pogromu. Łzom i opowiadaniom Reni nie było wprost końca, ale rozstałem się ze szczęśliwym małżeństwem, aby udać się na poszukiwanie własnej Rodziny. W pamiętnej willi, gdzie mieszkała przed walkami o Lublin, nie zastałem nikogo. By zasięgnąć języka, postanowiłem się udać do naszego byłego sąsiada, Stasia Krygier-Wojnowskiego, z którym moja Rodzina i ja utrzymywaliśmy bliskie

kontakty przyjacielskie. Staszek był technikiem budowlanym, który podczas okupacji działał w tajnej wytwórni granatów. Idąc do jego domu, na pustym polu znalazłem porzucony karabin maszynowy z taśmami amunicji. Ponieważ karabin był sprawny, tylko trochę zanieczyszczony błotem, moje partyzanckie serce nakazało mi zabrać go ze sobą do Staszka, by tam go oczyścić i doprowadzić do pełnej sprawności. Staszka dom był pusty, drzwi były otwarte i gościnnie zapraszały do wnętrza. Gdy skorzystałem z tej oferty i wszedłem do środka, w jednym z pomieszczeń odnalazłem Staszka. Był ciężko ranny podczas walk o Lublin i obecnie, otrzymawszy jakieś leki antyseptyczne moczył swoje skrwawione nogi w leczniczym roztworze. Zaopiekowałem się nim i pozostałem u niego, gdy się dowiedziałem, że moja Rodzina udała się prawdopodobnie do wuja na Lewandowszczyznę, by tam przeczekać najgorszy czas.

U Staszka byłem przez kilka dni. Jednego z tych dni, gdy ja w pokoju składałem oczyszczony i naprawiony karabin maszynowy, zaś Staszek siedział z nogami w miednicy, wypełnionej lekarstwem, przed wejściem do domu, usłyszałem nagle, jakieś głosy wzywające Staszka do podniesienia rąk do góry. Były to głosy polskie. Wszedłem natychmiast na zewnątrz i tu, ku swojemu zdziwieniu, zostałem również wezwany do podniesienia rąk. Ponieważ w dwóch napastnikach rozpoznałem znajomych żołnierzy od "Szarugi" nie zastosowałem się do wezwania, tylko zapytałem o cel ich wizyty. Dowiedziałem się, że przyszli tu by rozprawić się z Niemcem Krygierem, który niedawno przepłoszył ich, gdy byli u niego rowerami. Uciekając, porzucili rowery, teraz przyszli po nie, chcąc równocześnie rozprawić się, jak powiedzieli, z tym Niemcem. Na moje zapytanie, skąd taki wniosek, że Staszek jest Niemcem, odparli, że wtedy kiedy byli u niego, przepłoszył ich przy pomocy posiadanej broni, więc tylko ten, kto nazywa się Krygier i w dodatku ma broń, napewno jest Niemcem. Przypomniałem napastnikom, że jestem

z oddziału "Nerwy", że znam pana Krygiera-Wojnowskiego od kilku lat i wiem o tym, co robił podczas okupacji, więc nie mogę przyjąć do wiadomości bzdur, które mi na jego temat opowiadają. Staszek powiedział, gdzie są porzucone przez nich rowery i że mogą je sobie zabrać, ja zaś pragnąc im dać nauczkę, pokazałem gotowy do strzału karabin maszynowy, z którego mogłem zrobić właściwy użytek w chwili, gdy usłyszałem ich głosy na zewnątrz budynku. Zawstydzwszy ich, kazałem się wynosić i więcej nie niepokoić porządnego, a w dodatku rannego człowieka.

W dniu 3 sierpnia doszły do Lublina informacje, że w Warszawie wybuchło powstanie. Ponieważ moim marzeniem był udział w walce w Warszawie, udałem się szybko na Lewandowszyczną, gdzie spotkawszy swoją Rodzinę, spędziłem kilka dni w jej towarzystwie.

Po upływie tych paru dni wróciłem wraz z bratem Zdzisławem do Lublina, by wstąpić ochotniczo do formowanego tu wojska po to, aby jak najszybciej znaleźć się na froncie i w efekcie tego w Warszawie. Brat Zdzisław, który ukończył niedawno 18 lat, chciał uczynić to samo, lecz ulegając prośbom przestraszonej Matki, zgodził się na pozostanie na łonie Rodziny.

Dzień, w którym stanąłem przed komisją poborową, był trzynastym dniem Powstania Warszawskiego i zarazem miesiąca sierpnia. Na Komisji nie pytano mnie nawet o znajomość wojska i spraw z nim związanych. Mój wygląd zewnętrzny, a więc wojskowe spodnie i saperki na nogach, mocno opalona twarz, postawa wojskowa, którą przybrałem przed komisją, sprawiły to, że jej członkowie ograniczyli się po prostu do stwierdzenia, że służyłem w wojsku, jedynie musiałem uzupełnić informacją, że była to partyzantka Armii Krajowej. Wstępując do wojska wylegitymowałem się moją "lewą" kennkartę, bo tylko taką w tej chwili miałem do dyspozycji. Tak skończyła się moja partyzantka epopeja i rozpocząłem nowy rozdział w życiu i w moich wspomnieniach.

Kończąc partyzanckie dzieje "Mściwoja", a później "Dewajtisa", winienem spełnić jeszcze jeden obowiązek wobec historii, a mianowicie zapoznać czytelnika z ustaloną po wojnie listą osób, które przewinęły się <sup>przez</sup> szeregi oddziału "Nerwy". Zdaję sobie sprawę, że jest ona napewno niepełna, lecz ustalenie pełnego stanu osobowego oddziału przekracza zarówno moje możliwości, jak też przekraczało możliwości kolegów, którzy zadali sobie trud zebrania w miarę pełnych danych.

Oto ten wykaz: 1. Arend Georg - "Żorż", 2. Bałuk Stanisław - "Hak", 3. Banaszek Władysław - "Wróbel", 4. Baran Jerzy - "Zew", 5. Bartoszek Aleksander - "Burza", 6. Bezdek Lech - "Nil", 7. Białas Marian - "Gryf", 8. "Biały" - NN, 9. Bielak Piotr - "Jantar", 10. Bogut Jan - "Góral", Boguta Stanisław - "Śmiały", 12. Boruch Wojciech - "Czortek", 13. Bosak Józef - "Wicher", 14. Bryda Stanisław - "Douglas", 15. Bryda Zygmunt - "NN", 16. Brzeziński Andrzej - "Adam", 17. Brzeziński Ryszard - "Ewa", 18. Burdanowski Eugeniusz - "NN", 19. Busiewicz Jan - "Basza", 20. Bychawski Henryk - "Ben", 21. Cenzartowicz Janusz - "Warszawski", 22. Cenzartowicz Roman - "Cezar", 23. Cenzartowicz Tadeusz - "Zawichost", 24. Charłęza Marian - "Dąb", 25. Chorzelski Eugeniusz - "Bemol", 26. Chowicki Stanisław - "Groźny II", 27. Ciesielski Józef - "Zeń", 28. "Czajka" - NN, 29. Czapla Jan - "Czarny", 30. Czerny Jan - "Szwarc", 31. Czerwiński Zdzisław - "Smutny", 32. Dąbrowski Zbigniew - "Roman", 33. Denisow Jerzy - "Ryszard", 34. Dolecki Jan - "Lis II", 35. Dolecki Tadeusz - "NN", 36. Domagalski Zygmunt - "Zygmunt Kozak", 37. Dudek Lucjan - "Rekrut", 38. Dudziak Michał - "Łyżka", 39. Dziadosz Józef - "NN". 40. Eustachiewicz Lesław - "Jerzy", "Ksawery". 41. Flisiak Jan - "Chłopicki", 42. Garbacki Czesław - "Młody", 43. Garbacki Władysław - "Jeleń", 44. Gawliński Czesław - "NN", 45. Gawliński Krzysztof - "NN", 46. Głuchowski Witold - "Las", 47. Godziszewski Ryszard - "Borowicz", 48. Gołacki Lubomir - "Lucy", 49. Gołąb Jan - "NN", 50. Gołębiowski Mieczysław - "Głaz", 51. Gospodarek Zbysław - "Tygrys", 52. Górniak Zygmunt - "Zyga", 53. Grabowski Jerzy - "NN", 54. Grabowski Stefan - "Witold", 55. Gralewski Marian - "Pokorny",

56. "Granat" - NN, 57. Grochowski Henryk - "Henryk", 58. Grochowski Zygmunt "Żbik", 59. Gruszecki Ryszard - "Ursus", 60. Grysz Czesław - "Rak", 61. Grzegorzycy Stanisław - "NN", 62. Grzesiak Stanisław - "NN". 63. Gustaw Józef - "Pokorek", 64. Gustaw Stanisław - "Zderzak", 65. "Harpun" - NN, 66. "Hoczki" - NN, 67. Hopkała Stanisław - "Rapp", 68. Ignatowski Marian - "Almanzor", 69. Janisławski Zbigniew - "Dym", 70. Januszek Stanisław - "NN", 71. Jarosz Maksymilian - "Mirski", 72. Jeżewski Wacław - "Budda", 73. Jędrusiak Jerzy - "NN", 74. "Józek" - NN, 75. Kantorowski - "Wicher", 76. Kasiak Stanisław - "NN", 77. Kasperek Mieczysław - "Cygan", 78. "Katia" - NN, 79. "Klarnet" - NN, 80. Kluza Eugeniusz - "Giewont", 81. Kochaniec Jan s. Karola - "NN", 82. Kochaniec Jan s. Wojciecha - "Potęga", 83. Kochaniec Józef - NN, 84. Kołodziej Jerzy - "Figaro", 85. Konopczyński Wiesław - "NN", 86. Kosecki Józef - "Sipi", 87. "Kosynier" - NN, 88. Kośko Józef - "NN", 89. Kowalczyk Zygmunt - "Okrzeja", 90. Kowalski Władysław - "Tarzan", 91. Kozak Zygmunt - "Brochwicz", 92. Kozłowski - "Róża", 93. "Krak" - NN, 94. Król Bolesław - "NN", 95. Krzykowski Józef - "Lis I", 96. Książkowski Antoni - "Profesor", 97. "Kula" - NN, 98. Kula Krzysztof - "Krawiec", 99. "Kura" - NN, 100. Kwapisiewicz Piotr - "Samson", 101. Kwieciński Zygmunt - "Żuk", 102. Latała - "Orzeł II", 103. Latomski Stefan - "Nemrod", 104. Leśniewski Jerzy - "Chan", 105. Linkowski Czesław - "Tom", 106. "Longin" - NN, 107. Luterek Wacław - "Vis", 108. "Lwowiak" - NN, 109. Ładkowski Czesław - "NN", 110. Łuniewicz Tadeusz - "Śnieg", 111. "Majcher" - NN, 112. Małocha Jan - "Baran", 113. "Mały" - NN, 114. "Mat" - NN, 115. Mazurek Tadeusz - "Murzyn", 116. Miazek Józef - "Skała", 117. Milanowski Tadeusz - "Miłosz", 118. Milaszkiewicz Stanisław - "Świder", 119. Mioduszevska Zofia - "Kropka", 120. Mirosław Zbigniew - "Leonidas", 121. Miszczuk Anna - "Lidia", 122. Młynarski Roman - "Łuk", 123. Mroczek Henryk - "Klops", 124. Mróz Władysław - "Polak", 125. Nagalski Alfred - "Natar", 126. Nagalski Zbigniew - "Neron", 127. Noga Władysław - "Boruta", 128. Nowacki Władysław - "Tur", 129. Nowak Franciszek - "Franek", 130. "Nowy" - NN, 131. Ochnik Zenon - "Warszawiak", 132. Onoszko Jan - "Jacyna", 133. Opaliński Franciszek - "Zawisza", 134. "Orzeł" - NN, 135. "Osa" - NN, 136. Osial Bohdan - "Baśka", 137. Ostański Tadeusz - "NN", 138. Paluch Bolesław - "Szumny", 139. Paluch Mieczysław - "Wesoły", 140. Paprota Zenon - "Cygan", 141. Paryzek Tadeusz - "Zrąb", 142. Pawlak Marian - "NN", 143. Pawlak Stefan - "NN", 144. Pawlak Szczepan - "NN", 145. Piotrowicz Marian - "NN", 146. Piszczeki Ryszard - "Maks", 147. Pogódź Edward - "Topór",

148. Polakowski Stanisław - "Rycerz", 149. Pomarański Ziemowit - "Wrzos", 150. Pośnik Wacław - "Świerk", 151. Próchniak Leszek - "Łowca", 152. Pulikowski Mieczysław - "Polarny", 153. Puszka Czesław - "Jowisz", 154. Puszka Jan - "Korsarz", 155. Rokicki Wojciech - "Nerwa", "Ganasz", 156. Rozwadowski Leon - "Dan", 157. Różycki Stefan - "Nałęcz", 158. Rułka Henryk - "Cichy", 159. Rycaj Mieczysław - "Kalina", 160. Rysak Stanisław - "Kmita", 161. Sawicki Edmund - "Tarzan II", 162. Sawicki Zdzisław - "Babiniacz", 163. Siarkowski Leopold - "Lopek", 164. Skałecki Jan - "Korbiel", 165. "Skowronek" - NN, 166. Skrzypczyński Władysław - "Wiatr", 167. Sobieszczański Jerzy - "Wiór", 168. Sobieszczański Józef - "Sęk", 169. Soroko Henryk - "Rafał", 170. "Sowa" - NN, 171. "Sten" - NN, 172. Stępień Tadeusz - "Poker", 173. Susz Józef - "Groźny", 174. Szafranek Franciszek - "NN", 175. Szewczyk Zygmunt - "Pajac", 176. Sztejman Marian - "Maur", 177. Szwed Kazimierz - "Noir", 178. Szyszko Ryszard - "Orlicz", 179. Ślepowroński Zbigniew - "Stach", 180. "Śmiały" - NN, 181. Tkaczyk Jan - "NN", 182. Todorowski Stanisław - "NN", 183. Tomaszewski Eugeniusz - "Tom II", 184. Tracz Marian Tadeusz - "NN", 185. Trzeciński Edward - "Śmigły", 186. Turżański Tadeusz - "Barnaba", 187. Twaróg Zygmunt - "Junak", 188. "Unikat" - NN, 189. Wasilewicz Iwan - "Iwan", 190. Wawruszak Longin - "Longin", 191. "Wędrowiec" - NN, 192. Wierzbicki Tadeusz - "NN", 193. Winiarczyk Jan - "Bohun", 194. Winiarczyk Tadeusz - "Kmicic", 195. Wiśniewski Jan - "Mucha", 196. Wnuk Ryszard - "Ryś", 197. Wolski Edward - "Puma", 198. Wolski Marian - "Smyk", 199. Wasiak - "Sobieski", 200. Wójcicki Bohdan - "Wójt", 201. Wójcicki Mirosław - "Blask", 202. Wójcicki Zbigniew - "Kula", 203. Wójcik Jan - "Pocisk", 204. Wroński Zbigniew - "Marynarz", 205. Zapolski-Kusy Edward - "Dewajtis", 206. Zaręba Stanisław - "Chrabąszcz", 207. Zawadzki Saturnin - "Jan".



## 5. Wielki skok Wisła - Odra

### A. Marsz na front z przeszkodami

13 sierpnia 1944 r., idąc z bratem Zdzisławem ulicą Królewską, by stawić się przed Komisją Wojskową, mieszczącą się przy ul. Krakowskie Przedmieście, spotkałem po drodze sanitariuszkę z partyzantki "Kropkę" - Zofię Mioduszewską. Zapytany przez nią o plany na najbliższą przyszłość, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że idę do wojska, by kontynuować walkę przeciw Niemcom. Mój zamiar nie znalazł uznania w jej oczach. Oskarżony zostałem o zdradę akowskich ideałów i o przejście na stronę drugiego wroga.

Tymczasem plany moje były zupełnie pozbawione motywów ideologicznych. Kierowałem się jedynie chęcią odebrania broni, którą zabrano mi w Polanówce, po to, by w szeregach regularnej armii iść na pomoc powstańczej Warszawie, gdzie walczyła moja narzeczona, Krysia Żurek. Urządzenie zaś na nowo Polski, to było, według mnie, zadanie na później, gdy zostanie odzyskane, co mamy odbudowywać. Podobnie myśleli wtedy liczni inni koledzy z AK, o czym świadczyły później ich wojenne czyny na szlakach ostatniego etapu wojny.

Plan ten był prosty, ale z jego realizacją były spore kłopoty. Nie na próżno mówi się: "człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi". Chęć niezwłocznego marszu na warszawski front skończyła się, tym, że na froncie znalazłem się dopiero w nocy z 30 na 31 października, a więc już po upadku Powstania Warszawskiego.

Ponieważ moja droga na front przypomina dziś bardzo perypetie dzielnego wojaka Józefa Szwejka, który idąc na front, podążał w całkiem odwrotną stronę, mam zamiar opisać w niniejszym rozdziale nieco szerzej, jak to wyglądało w moim przypadku.

Jeszcze tego samego dnia wcielono mnie, wraz z innymi ochotnikami do 3 zapasowego pułku piechoty, stacjonującego w części byłego obozu koncentracyjnego na Majdanku. Gdy się tam znalazłem, zostałem zas-

trzema rzeczami. Jedną z nich był niesłychany bałagan organizacyjny, drugą prymitywne warunki zakwaterowania przyszłych żołnierzy, najgorszą jednak, która zraziła wielu byłych partyzantów AK i BCh, były rozmowy, w których jedną ze stron stanowili przedstawiciele potęgi, niedawno nas rozbijającej. Rosjanie opanowali, zdaje się, niemal stuprocentowo, instytucję kontrwywiadu wojskowego, zwaną Informacją Wojskową, i to właśnie oni dokonywali wstępnej weryfikacji ochotników.

Wezwany, stawiłem się przed obliczem komisji, złożonej z trzech oficerów, z majorem na czele. Żaden z nich nie znał języka polskiego, choć reprezentowali, formalnie rzecz biorąc, polską instytucję wojskową. Rozmowa miała raczej charakter przesłuchania osoby podejrzanej o jakieś przestępstwo. Inni koledzy, z którymi tego dnia rozmawiano, również odnieśli z tych rozmów bardzo nieprzyjemne wrażenia. Moje dane personalne spisano z "lewej" karkarty, bo innej w danej chwili nie posiadałem. Zapytany o stosunek do służby wojskowej, udzieliłem wyjaśnienia, że pełniłem ją w szeregach partyzanckich Armii Krajowej.

Następnego dnia miało miejsce spotkanie, relacjonowane już przeze mnie w rozdziale "Żołnierze cichego frontu", z byłym szefem urzędu pocztowego Lublin 1, Oberinspektorem Wahlem.

W drugiej rozmowie z przedstawicielami Informacji Wojskowej, w dniu 15 sierpnia, otrzymałem propozycję skierowania mnie do szkoły oficerów polityczno-wychowawczych. Zdaje się, że kierowano się w tym przypadku tym, że przed wojną ukończyłem trzy klasy gimnazjum, co wśród zgłaszających się do wojska wtedy, nie miało zbyt często miejsca. Propozycja ta jednak kolidowała z moimi planami, ponieważ uniemożliwiała realizację szybkiego pójścia do walki o Warszawę, a po drugie miałem niechęć do służby w formacji obcej mi ideowo. Przecież po ukończeniu takiej szkoły musiałbym być głosicielem prawd, których nie uznawałem.

Ponieważ dyskusja z przedstawicielami Informacji nie wchodziła w ogóle w grę, nabrałem wody w usta, decydując się na zmianę dotychczasowych planów. Jeszcze tego samego dnia znalazłem drugiego podobnego delikwenta, tyle że partyzanta AK ze Lwowa, z którym szybko znaleźliśmy wspólny język. Juno, bo takie imię lub pseudonim napamiętałem, chciał przedostać się do rodzinnego Lwowa przez teren Rzeszowszczyzny. Dołączyłem do niego i korzystając z tego, że nie byliśmy jeszcze umundurowani i że nie pozbawiono nas cywilnych dokumentów, 16 sierpnia pożegnaliśmy się "po cichu" z 3 zapasowym pułkiem i wzięliśmy kurs na południe. Drogę odbywaliśmy trochę marszem, trochę okazjnymi samochodami i tak dotarliśmy po kilku dniach do wuja Juno, pracującego jako organista, we wsi położonej w widłach Wisły i Sanu. Po jednodniowym wypoczynku, Juno powędrował na Lwów, ja zaś dotarłem do Leżajska.

Przechodząc przez to miasto, w dniu 1 września, trafiłem na biuro Komisji Wojskowej, gdzie zaraz zgłosiłem się jako ochotnik, nie informując jej członków, że czynię to już drugi raz. Myślałem, że tym razem dostanę się do jednostki frontowej, niestety i tu prześladował mnie pech. Już następnego dnia zostałem przekazany, wraz z innymi ochotnikami, do jednostki wojskowej w Jarosławiu. Okazała się ona, ku mojemu zdumieniu, szkołą saperską /nie pamiętam dokładnie czy to była szkoła podoficerska, czy oficerska/. Zostałem przez wojsko, już drugi raz poczęstowany strawą, trudną do przełknięcia dla mnie, biorąc pod uwagę <sup>którym razem</sup> mój techniczny antytalent.

Postanowiłem kontynuować zamiar marszu do Warszawy. Mając w pamięci łatwość ucieczki z 3 zapasowego pułku w Lublinie, 3 września, pod pozorem silnego bólu zębów, wydostałem się poza obręb koszar. Wiedziałem, że szkoła nie ma jeszcze własnej służby medycznej, więc korzysta z usług lekarzy w mieście. Prosto po opuszczeniu koszar, zamiast do dentysty, udałem się na północ i trasę Leżajsk, Nisko,

Kraśnik, Lublin, Kurów zdążyłem do wymarzonej Warszawy. Drogę przemierzałem podobnym sposobem, jak podczas poprzedniej ucieczki z Lublina. Dowiedziałem się, że w tym samym kierunku naciera I Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki, że Powstanie Warszawskie jeszcze trwa, chociaż Warszawa leży w gruzach oraz cała płonie. Gdzieś w okolicy Ryk doszła wiadomość, że trwają już walki na ulicach Pragi, wreszcie, że 15 września została całkowicie wyzwolona. Chyba w tym momencie wędrowni spotkałem moich kolegów od "Nerwy", pchor. "Jana" - Saturnina Zawadzkiego oraz "Bemola" - Eugeniusza Chorzelskiego, którzy podążali tą samą trasą ku Warszawie.

Na Pradze znalazłem się około 20 września. Pierwsze kroki skierowałem ku punktowi werbunkowemu do armii, mieszczącemu się przy ul. Brzeskiej 9, by wstąpić do wojska po raz trzeci. Nauczony wcześniejszymi doświadczeniami, postawiłem warunek, że wstąpię do wojska, gdy uzyskam gwarancję niezwłocznego przydziału do jednostki frontowej. Komendant punktu werbunkowego wyraził na to zgodę. Może główną przyczyną był fakt, że podczas wyzwolenia Pragi wojsko polskie poniosło znaczne straty i potrzebowało uzupełnień, ja zaś, jako były partyzant AK, do czego się przyznałem, mogłem być wcielony bez specjalnego dodatkowego szkolenia.

Na ulicy Brzeskiej 9 spędziłem niestety około 2 tygodni, bo przekazano nas do pułku dopiero 6 października, po uzbieraniu większej liczby ochotników. Gdy przybyliśmy do wsi Jatne, leżącej przy szosie Warszawa-Lublin, okazało się, że ponownie trafiłem do 3 zapasowego pułku piechoty, który opuściłem 16 sierpnia, uciekając z Majdanka. Całe szczęście, że przez okres mojej nieobecności w nim nastąpiła całkowita wymiana kadry dowódczej, w tym również Informacji Wojskowej, a że panował w dalszym ciągu bałagan w dokumentacji, nikt nie dopatrzył się we mnie ochotnika - recydywisty.

W Jatnem spotkałem byłych powstańców warszawskich, którzy przedostali się przez Wisłę z Czerniakowa, podczas ostatnich walk, toczonych wspólnie z żołnierzami Berlinga. Wielu z nich nosiło na swym ciele ślady ciężkich walk, częściowo już zaleczonych w wojskowych szpitalach po praskiej stronie. Z poznanych wtedy kolegów powstańców wymienić mogę kilku tych, z którymi później połączyły mnie więzy przyjacielskie, jak na przykład: Jerzy Styczek, Wojciech Gozdawa-Czekański, Edmund Żytkiewicz, Jerzy Gilski, Henryk Chamski, Sławomir Potempa. Od nich pierwszych dowiedziałem się o przebiegu walk powstańczych i o ciężkich stratach ludzkich oraz zniszczeniu całych dzielnic.

Na początku pobytu w Jatnem spotkałem oficera, nieznanego mi z nazwiska, a jedynie z parokrotnych spotkań w oddziale "Nerwy", gdzie on bywał służbowo, jako przedstawiciel komendy AK z Lublina. Przedstawił się nazwiskiem Stanisław Ciechan, rozpoznając we mnie jednego z partyzantów "Nerwy". Uprzedzając wypadki, pragnę dodać w tym miejscu, że z por. Ciechanem przez wiele lat po wojnie, aż do jego śmierci, utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty.

Tym razem również nie obyło się bez "miłych" rozmów z Informacją Wojskową. Nazwisko jej szefa utrwaliło się ~~u mnie~~ w mojej pamięci do dziś, dzięki oryginalnemu podejściu do sprawy mojego prawdziwego nazwiska. Gdy w trakcie rozmowy odnotowano już fakt mojej przynależności do AK, i spisywano znów personalne dane, zgłosiłem mjr Gonczarukowi, że wstąpiłem do wojska z fałszywymi dokumentami, prosząc go o pomoc w poprawieniu w ewidencji nazwiska na prawdziwe, ten uznał, że to może zbyt skomplikować sprawę i zakończył pytaniem: "Czy wam nie jest wszystko jedno, pod jakim nazwiskiem polegacie na froncie?" Przyznałem wtedy mjr. Gonczarukowi nieopatrznie rację, bo pytanie to nie było pozbawione sensu, i zostałem na resztę wojny Zapolskim. Gdybym w owej chwili

wiedział, jakich kłopotów przysporzy mi ta decyzja już w niedalekiej przyszłości, zapewne walczyłbym o powrót do właściwego nazwiska.

Wkrótce przyjechali do 3 zapasowego pułku tak zwani "kupy", czyli oficerowie dobierający uzupełnienie do poszczególnych rodzajów broni i do różnych jednostek. Ja, razem z powstańcami warszawskimi i poborowymi z okolic Warszawy, otrzymałem przydział do 2 pułku piechoty I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Pułk walczył akurat w okolicy Jabłonny.

W nocy z 30 na 31 października wyprawiono się z pułku 10 zwiadowców i 4 saperów, z zamiarem zdobycia "języka" po drugiej stronie Wisły. Grupa ta napotkała schron bojowy i obrzuciła go granatami, lecz okazało się, że jest on pusty. Gdy Niemcy usłyszeli wybuchy granatów, otworzyli ogień karabinów maszynowych i moździerzy, co zmusiło zwiadowców do wycofania się.

Tej właśnie nocy, tak niefortunnej dla zwiadowców, nasze uzupełnienie, liczące 43 żołnierzy, zostało zakwaterowane w domach we wsi Dąbrówka Szlachecka. Około godz. 0.30, w domu gdzie kwaterowaliśmy, wybuchła mina o dużej sile wybuchu, zainstalowana przez wycofujących się Niemców. W domu, zniszczonym doszczętnie, zginęło 5 żołnierzy, 11 odniosło groźne kontuzje, 2 nie udało się w ogóle odnaleźć, a 25 wyszło z wypadku bez szwanku. Do tej ostatniej grupy należałem i ja. Nie mogąc zasnąć, bo w piecu napaliliśmy sobie mocno, a rozbierać się nie było wolno, z powodu bliskości frontu, w momencie wybuchu zerwałem się natychmiast na równe nogi i zacząłem odruchowo osłaniać oburącz głowę przed sypiącymi się zwałami gruzu. To uchroniło mnie przed poważniejszymi obrażeniami i jedynie ręce zostały poobtłukiwane i zakrwawione. Wybuch, mimo jego wielkiej siły, był tak cichy, że gdy przestało się sypać na głowę, a ja, nie znajdując drzwi wyjściowych, bo zostały zasypane, wydosłem się na zewnątrz po ścianach olbrzymiego leja, powstałego pod

naszym pokojem, zostałem przez wartownika przed budynkiem wezwany do podania hasła. Nie mogłem pojąć, że ten wybuchu nie usłyszał. Zdenerwowałem się nawet tak bardzo, że aż krzyknąłem w jego stronę: "Co za głupek ! Dom się zawalił tuż obok niego, a jemu zachciewa się hasła"! Wspólnie zaalarmowaliśmy nasze dowództwo i przystąpiono do szybkiej akcji ratunkowej.

Wypadek ten stał się sygnałem ostrzegawczym, zmuszającym dowództwo do zaostrożonej ostrożności. Ze wszystkich budynków wykwaterowano żołnierzy. Stanowisko dowodzenia pułku przeniesiono do rejonu Choszczówki i ulokowano w ziemiance. Wszystkie pododdziały zaczęły kopać ziemianki na pomieszczenia dla żołnierzy i na stanowiska dowodzenia. Saperzy przeszukując teren i budynki, w rejonie rozlokowania pułku, odnaleźli inne miny opóźnionego działania, w tym dwie w pałacu Potockich, gdzie były pomieszczenia 2 batalionu. Wydobyli kilkadziesiąt kilogramów trotylu. Podczas poszukiwań, w dniu 2 listopada, doszło do wybuchu, który spowodował śmierć 4 żołnierzy z batalionu saperów.

Zgodnie z programem rozpoczęto szkolenie nowego uzupełnienia. Uczono nas podstaw posługiwania się bronią oraz zasad walki w natarciu i obronie. W nocy z 5 na 6 listopada pułk przegrupowano. Z pierwszej linii odszedł 2 batalion i został ulokowany koło Choszczówki. W 2 i 3 batalionie przerabiano przez kilka dni walkę w osiedlu. W nocy z 13 na 14 listopada 2 pułk przeszedł do drugiego rzutu dywizji i został zakwaterowany w Zielonce.

Następnego dnia, 15 listopada, 35 podoficerów z 2 pułku odeszło do I Samodzielnego Baonu Szkolnego I Dywizji Piechoty w Wesołej. Dowódcą tego batalionu był kpt. Kapuściński, który będąc Polakiem "z nominacji", słabo znał język polski, za to znał <sup>(się)</sup> świetnie na wojsku. W tej grupie szkoleniowej znalazłem się, wśród innych, ja.

Z kursu tego mam w dokumentach świadectwo głoszące, że dnia 1 grudnia 1944 r. ukończyłem 15-dniowy kurs przeszkoleniowy podoficerów liniowych przy I Samodzielnym Baonie Szkolnym 1 D.P. i zdałem egzaminy z następującymi wynikami: taktyka - b.dobrze, wyszkolenie ogniowe - dobrze, terenoznawstwo - b.dobrze, musztra - b.dobrze, chemia - dobrze, regulaminy - dobrze, praca polityczno-wychowawcza - b.dobrze.

Z takim świadectwem wróciłem do 2 pułku i tu, jako kapral podchorąży, zostałem mianowany dowódcą drużyny w 4 kompanii, 2 batalionu, 2 pułku, I Dywizji Piechoty, z dodatkowym pełnieniem funkcji pisarza kompanii, do którego obowiązków należało prowadzenie kancelarii i całej dokumentacji kompanii. Tytuł podchorążego otrzymałem chyba dla uczczenia mego cenzusu naukowego, a także posiadania przeszkolenia podchorążego z organizacji konspiracyjnej.

Wszystkie te fakty znalazły potwierdzenie jeszcze w książeczce wojskowej, wystawionej 7 grudnia 1944 r. przez st. pisarza batalionu, plut. Mariana Opatowskiego, oraz podpisanej przez dowódcę 4 kompanii ppor. Zygmunta Steina. Książeczka ma pieczętkę z pias-towskim orłem oraz napisem po polsku i rosyjsku z nazwą pułku.

W kalendarzyku z tamtych czasów został utrwalony numer poczty polowej 2 p.p. - 64014 MS. Literki obok numeru oznaczają: M - 2 batalion, S - 4 kompania. W momencie, gdy wróciłem z Wesołej, pułkiem dowodził płk dypl. Wiktor Sienicki, 2 batalionem - kpt. Władysław Łaskowski, 4 kompanią - ppor. Zygmunt Stein, moim plutonem - chor. Lesław Obmiński.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia pojawili się w Zielonce moi Rodzice z Lublina, którzy nie mogąc być oficjalnie Rodzicami Zapolskiego, byli dla otoczenia moim wujostwem. Byli przez kilka dni, zaś gościnniej kwatery użyczył im Zygmunt Stein. Podczas Wigilii otrzymaliśmy paczki z podarkami od ludności cywilnej.



Cieszyliśmy się jednak najwięcej z serdecznych listów otrzymanych od uczennic szkół podstawowych z Siedlec.

Podczas postoju w Zielonce, trwającego do 12 stycznia 1945 r., nawiązaliśmy bardzo sympatyczne kontakty z miejscową ludnością. Widomymi znakami tego były: ufundowany dla pułku sztandar, zaś dla ppor. Steina żona, którą wśród sympatyczek pułku wypatrył sobie nasz dowódca kompanii i wkrótce ją poślubił.

31 grudnia 1944 r. wręczono uroczystie dywizji Order Czerwonego Sztandaru, jako nagrodę za udział w wyzwoleniu Pragi.

W dniu 5 stycznia 1945 r. pułk otrzymał uzupełnienie, liczące 393 żołnierzy, w tym 3 oficerów i 7 podoficerów, przeważnie partyzantów AK z Wileńszczyzny. Część tego uzupełnienia zasilila szeregi 4 kompanii.

Pierwszą Dywizję odwiedzili 11 stycznia 1945 r. Prezydent KRN - Bolesław Bierut i Naczelny Dowódca gen. broni Michał Rola-Żymierski. Po lustracji pododdziałów, goście dywizji odebrali defiladę.

Były to, jak się wkrótce okazało, ostatnie chwile odpoczynku dywizji przez oczekującą ją daleką i trudną wyprawą, ale o tym to już w następnej części niniejszego rozdziału.

B. Na szlaku zwycięstwa.

W maju 1949 roku, będąc pracownikiem redakcji "Czyn Młodzieży PCK" zachęcony przez szefową, napisałem do tego pisma, krótką relację z ofensywy zimowej 1945 r. Ponieważ wówczas minęło zaledwie cztery lata od wydarzeń 1945 roku, wspomnienie to dosyć wiernie oddaje atmosferę tamtych dni. Artykuł nosił tytuł "Na szlaku zwycięstwa", ~~stąd~~ też jest tytuł obecnego rozdziału.

"Stajmy na kwaterach w Zielonce pod Warszawą. Słoneczne dni letniej ofensywy są już dawno poza nami. Ziemie Polski do Wisły, wyzwolone w owym czasie, zaczynają powoli podnosić się ze zniszczeń, spowodowanych przez okupanta. Już trzy miesiące minęło od chwili, gdy wyzwoliwszy Pragę stanęliśmy twarzą w twarz z płonącą i ginącą w bohaterskiej walce Warszawą. Codzień oczekujemy rozkazu. Chcemy iść naprzód, aby nie mogąc już pomóc walczącym, pomścić ich śmierć. Wiemy, że rozkaz do nowej ofensywy nie padnie tak prędko, jakbyśmy tego pragnęli, gdyż ofensywa wymaga tysiącznych przygotowań, podciągnięcia rezerw i magazynów, tak, że nie prędko można to wszystko wykonać. I nie tak łatwo...

Zdawało się, że stan beczynności i przymusowego odpoczynku dla nas, żołnierzy - Kościuszkowców, potrwa jeszcze długo. Tymczasem .....

Około 10 stycznia 1945 roku /faktycznie - 5 stycznia - dopisek dzisiejszy/ przysłano do wszystkich jednostek Pierwszej Dywizji uzupełnienie. Wzmocniono akcję szkolenia bojowego. Dało to wszystkim wiarusom wiele do myślenia. Szczególnie stare wygi jeszcze spod Lenino, wróżyli rychłe nadejście rozkazu wymarszu, spodziewając się narodzin ~~x~~ potężnej ofensywy, do której każdy z nas przywiązywał wielką wagę.

Pesymiści wątpili.....

Wątpliwości zostały ostatecznie rozstrzygnięte, ku naszej wielkiej radości, 12 stycznia rano. Między sztabem pułku i batalionem kursują bez przerwy gońcy. Dowódcy kompanii siedzą na odprawie w sztabie batalionu. Nasz por. Stein, wróciwszy z niej, uśmiecha się tajemniczo i wzywa szefa, plut. Kaliciaka:

- Szefie! Przejrzyjcie natychmiast broń całej kompanii, po czym uzupełnijcie amunicję i granaty do stanu bojowego!

- Tak jest, Obywatelu Poruczniku! - woła z radością szef a do nas, po wyjściu z kancelarii dowódcy, zwraca się po cichu:

- Skończy się już chyba ten pieruński odpoczynek.

- Zdaje mi się, że pójdziemy wykończyć zapowietrzonych szkopów.  
- dodał szybko i galopem pobiegł robić przegląd broni.

Obiad jemy pośpiesznie, gorączkowo. Po chwili ładujemy wozy taborowe. Rozkaz wymarszu przychodzi o godzinie 17. W godzinę później długa kolumna piechoty, artylerii, samochodów i wozów, wyciąga się jak wąż wzdłuż drogi, wiodącej do Rembertowa.

Maszerujemy nocą, w dzień biwakujemy w lasach obok trasy przemarszu. Po dwu nocach dochodzimy do Natolina, leżącego o 15 km od Wisły. Zamieszkujemy w szałasach, które budujemy prędko z gałęzi świerkowych.

Nie lada niespodziankę mamy 16 stycznia, na zbiórce: przysięga nowozmobilizowanych żołnierzy. Polana leśna wypełnia się hełmami bojowymi.

Słowa przysięgi przerywają odgłosy kanonady artyleryjskiej, dobiegające od strony Wisły. To oddziały Armii Czerwonej ruszyły do ofensywy na tym odcinku i forsują właśnie rzekę. Po południu ruszamy i my także w tę stronę. W nocy jesteśmy na przeciwnym brzegu. Słyszę cichą rozmowę kilku żołnierzy:

- Popatrz Franek, jak przeklęty fryc mści się za to, że dostaje w skórę - mówi jeden, wskazując na szeroko rozlaną łunę płonącego gdzieś przed nami osiedla.

- Chciałbym dostać w swe ręce tych wszawych podpalaczy. Znasz mnie, jako spokojnego człowieka, który by muchy nie skrzywdził, ale tych drani mordowałbym z dziką rozkoszą - odpowiada zagadnięty.

Zacięte szczęki żołnierzy nie wróżą nic dobrego Niemcom, którzy wpadliby w ich ręce.

O świcie, 18 stycznia, wkraczamy do płonącej Warszawy. Nocujemy w ruinach spalonych przez wroga domów.

Prezydent i Naczelny Wódz przyjmują defiladę 20 stycznia, w Alejach Jerozolimskich. Po defiladzie opuszczamy Warszawę...

Sochaczew, Gostynin, Włocławek, Brześć Kujawski, Inowrocław wreszcie Bydgoszcz - to słupy milowe zwycięskiej ofensywy. Wszędzie wita nas serdecznie wyzwolona ludność. Przed oczyma maszerujących oddziałów przesuwają się sterzące ku górze kikuty kominów, ślady spalonych osiedli, świadczące o niszczycielskim szale uciekających hitlerowców.

Mijamy Sępólno i w nocy przechodzimy dawną granicę polsko-niemiecką. Zegarki wskazują parę minut po północy, dnia 31 stycznia. Świt zastaje nas w miasteczku Linde, już na ziemi wroga. Depczemy Niemcom po piętach, o czym świadczy płonące miasto. Spodziewamy się walki...

Dochodzi do niej pod Jastrowiem, którego broni Łotewska dywizja SS. Walki toczą się prawie całą dobę. W nocy zajmujemy miasto, wcho-  
dzące zaś słońce wita nas w majątku koło wsi Zippnow. Mamy nieznaczne straty, ale Niemcy są dezorientowani i wieją przed nami, aż się za nimi śnieg kurzy....

Za Zippnowem posuwamy się przez wielki las, wąskimi drożynami. Z dala dochodzą do nas odgłosy boju. To walczy przed nami czwarta dywizja. Na północ od nas toczy bój pod Rederitz trzecia dywizja. Dnia 8 lutego docieramy do skraju lasów. Jesteśmy naprzeciw linii obronnych Wału Pomorskiego. Nacieramy bezskutecznie na miasteczko Hoffstädt. Czołgi przechylają szalę zwycięstwa na naszą stronę.

Szczałki spalonych czołgów oraz zwłoki poległych żołnierzy świadczą o zaciętym boju....

Wieś Ludwighorst staje się świadkiem pechowego szczęścia naszego pułku. Wpadamy pod ogień szwabskich czołgów i leżymy przez kilka godzin w błocie. Wieczorem jednak wkraczamy do wsi jako zwycięzcy. Domy, zapalone ogniem artyleryjskim, płoną jak pochodnie.

Od 10 lutego do 1 marca, stoimy w miejscu za miastem Märkisch Friedland, na skraju dużych lasów, w których znajdują się silne umocnienia Wału Pomorskiego.

Dzień 1 marca przynosi zmianę. Pułk zostaje przerzucony na północ od miasta, pod stację kolejową Schönfeld. Sztab pułku i batalionu lokuje się w hangarach byłego lotniska niemieckiego. Za lotniskiem, w głębokim wąwozie, leży wieś Schönfeld.

Około godziny 9 następnego dnia zagrała artyleria. Daleko, na prawym skrzydle, słychać muzykę sowieckich Katusz. Na skraju lasu zbroją się czołgi do boju, w lesie stoi w pogotowiu pułk kawalerii. Artyleria bije przez dwie godziny. Przerywa na chwilę jedynie po to, by za kwadrans ze zdwojoną siłą otworzyć ponownie huragan ognia. Ryk dział brzmi jak przeciągły grzmot. Próbujemy głośno rozmawiać, lecz nie słychać wcale słów. Około południa artyleria nagle milknie, tak, jak nagle swą muzykę rozpoczęła. Nadlatują samoloty, jedne znaczone gwiazdą, drugie zaś biało-czerwoną szachownicą. Ruszają czołgi, a za nimi dwa pułki piechoty: nasz i piąty z drugiej dywizji.

Rozciągnięta szeroko tyraliera strzelców posuwa się nieubłaganie ku milczącej linii nieprzyjaciela. Warkot czołgów rozchodzi się echem po lesie. Czołgi dojeżdżają pod wieś. Niemcy otwierają huraganowy ogień. Kilka czołgów staje w płomieniach. Wybuchająca amunicja rozrywa je na kawałki. Natarcie jednak trwa nadal. Nic nie powstrzyma zwycięskiego ataku. Po godzinie pierwsze grupy żołnierzy wpadają do wąwozu i do wsi, z okrzykiem "Hurra" ! Oczom ich przedstawia się straszny widok. Las, porastający zbocza wąwozu, nie istnieje. Drzewa

połamane jak zapalki, w schronach leżą przysypane ziemią zwłoki Niemców. Wieś tonie w morzu płomieni.

Zwyciężyliśmy! Przełamaliśmy najważniejszy na tym odcinku frontu punkt oporu niemieckiego, strata którego oznaczała dla wroga konieczność opuszczenia umocnionych pozycji Wału Pomorskiego. Wiemy, że wszystko pójdzie łatwiej i szybciej. Niemcy, którzy ocaleli z pogromu, uciekają w popłochu, a na ich karkach jedzie pułk naszej kawalerii. Klęska ich nie budzi w nikim żadnych wątpliwości...

Odcinek od Schönhofeld do Zatoki Szczecińskiej przechodzimy bardzo szybko, prawie bez oporu. Po drodze bierzemy całe oddziały rozbitych szwabów do niewoli. Poddają się masowo, przekonani o bezskuteczności dalszej walki. Dnia 12 marca ujrzeliśmy brzeg morski. Mimo, że to był tylko Zalew Szczeciński, a my znaleźliśmy się naprzeciw wyspy i miasta Wolin, widok wody morskiej wywołuje w nas uczucie wielkiej radości. Czujemy wszyscy doskonale, że klęska naszych wrogów jest już bliska i bliski jest koniec okropnej zawieruchy wojennej.

Na tym odcinku trzymamy obronę do dnia 8 kwietnia, kiedy to naszą Pierwszą Dywizję przerzucono na południe, do miejsca skąd wyruszyła po kilku dniach do wielkiego szturmu Berlina.

Po nieustannych krwawych bojach Pierwsza Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, miała zaszczyt oglądać na własne oczy pokonanego ostatecznie we własnym gnieździe wroga. Zwycięstwo okupiliśmy wielkimi ofiarami, ślubowaliśmy więc na gruzach stolicy wroga, że nie dopuścimy nigdy do tego, aby teutońska hydra znów podniosła łeb.

Pragniemy pokoju, ale nie pokoju za wszelką cenę. Gdy ktoś będzie zagrażał nam, potrafimy godnie na zaczepkę odpowiedzieć. Taką naukę winniśmy wszyscy wyciągnąć dziś, gdy wspominamy owe piękne dni zwycięskiej ofensywy".

Przytoczywszy tę literacką impresję na temat ofensywy zimowej, zdaję sobie doskonale sprawę, że nie daje ona pełnego obrazu zmagania żołnierza polskiego na zwycięskim szlaku. Z konieczności skrótowo potraktowana została strona faktograficzna ofensywy, więc postaram się w dalszym ciągu mojej ścieżki wspomnień błąd ten, naprawić. W tym celu zacznę od początku, ale już dokładniej.

Pomogą w tym krótkie zapiski, czynione na gorąco, w trakcie działań bojowych, w kalendarzu kieszonkowym, towarzyszącym mi w boju. Jeżeli zaś do tego podeprę swoją ułomną pamięć takimi opracowaniami książkowymi, jak: Kazimierza Golczewskiego "Wyzwolenie Pomorza Zachodniego w roku 1945", Jakuba Wachtela "Azymut Warszawa", Andrzeja Krajewskiego "Drugi Berliński - Z dziejów 2 Berlińskiego Pułku Piechoty", Przemysława Przewłockiego "Rozszumiały się cedry i sosny" oraz Jerzego Lewandowskiego "Z torby frontowego listonosza" łaskawy Czytelnik niniejszych wspomnień otrzyma mniej więcej wierny obraz tego fragmentu wojny.

"Nad Wisłą i Narwią walczyły jednostki 1 i 2 Frontu Białoruskiego. Do pierwszego z nich należała 1 Armia Wojska Polskiego. Wojsko było zmęczone i poważnie przerzedzone długotrwałymi walkami. Miało za sobą kilka operacji strategicznych przeprowadzonych w czerwcu i lipcu 1944 roku, a mianowicie operację białoruską i lwowsko-sandomierską, a potem ciężkie walki od lipca do października, w czasie dalszego wyzwolania obszarów Polski i walk nad Wisłą i Narwią. Wszystko wskazywało na to, że dywizjom trzeba dać odpoczynek, uzupełnić straty, przegrupować siły, podciągnąć tyły i zgromadzić zapasy niezbędne do przełamania ustabilizowanego na razie frontu oraz przygotować nowy wielki skok na zachód.

Pierwszy Front Białoruski składał się z ośmiu armii ogólnowojskowych, dwu armii pancernych i jednej armii lotniczej oraz dwu korpusów kawalerii. Frontem tym dowodził początkowo, do 16 listopada 1944r

marszałek K. Rokossowski, a potem pierwszy zastępca naczelnego dowódcy, marszałek G. Żukow. Frontowi temu podporządkowana była pod względem operacyjnym 1 Armia Wojska Polskiego, dowodzona przez gen.dyw. S.Popławskiego.

Na początku stycznia 1945 roku liczyła ona 91.574 żołnierzy, 1120 dział i moździerzy oraz 193 czołgi i działa pancerne. W armii tej sformowanych było pięć dywizji piechoty, jedna brygada pancerna i jedna brygada kawalerii oraz pięć brygad artylerii i jedna dywizja artylerii przeciwlotniczej. Ponadto armia posiadała własną mieszaną dywizję lotniczą. Warto w tym miejscu nadmienić, że była to tylko część sił zbrojnych odradzającej się Polski, że gotowa była do walki też i 2 Armia Wojska Polskiego, dowodzona przez gen.dyw. K.Świerczewskiego.

W przededniu ofensywy zimowej Wojsko Polskie liczyło około 300 tys. żołnierzy, przy czym około 200 tys. znajdowało się w wojskach bojowych i zabezpieczenia bojowego. Ponadto 30 różnych dywizji i brygad, 15 samodzielnych pułków, 15 samodzielnych batalionów oraz wiele mniejszych pododdziałów osiągnęło już pełną sprawność i gotowość bojową. Według stanu na dzień 1 stycznia 1945 roku Wojsko Polskie dysponowało prawie 150 tys. karabinów, ponad 53 tys. pistoletów maszynowych, 8,5 tys. karabinów maszynowych, 3,5 tys. rusznic przeciwpancernych, prawie 2 tys. dział i tyloma moździerzami, prawie 400 działami przeciwlotniczymi oraz taką samą ilością czołgów i dział pancernych.

W dniu 14 stycznia wojska Frontu Białoruskiego, przechodząc do ofensywy z dwóch przyczółków na zachodnim brzegu Wisły, na południe od Warszawy, przy masowym wsparciu artylerii, pomimo złych warunków atmosferycznych, uniemożliwiających użycie lotnictwa, przełamały silnie umocnione linie obrony niemieckiej. W ciągu trzech dni działań zaczepnych wojska tego Frontu, nacierające z dwóch przyczółków, połączyły się i przesunęły naprzód o 60 km, rozszerzając



wyłam w obronie niemieckiej o 120 km.

Na prawym skrzydle Frontu działała 1 Armia Wojska Polskiego, która miała uczestniczyć w tzw. operacji warszawskiej i wyzwolić stolicę swego kraju".

Powyższe fragmenty, obrazujące sytuację w przededniu ofensywy zimowej, są z książki K. Golczewskiego "Wyzwolenie Pomorza Zachodniego w roku 1945", i stanowią doskonały wstęp do dalszego ciągu historii, która stała się również i moim udziałem.

Wieczorem, 12 stycznia 1945 roku, o godzinie 18 nasz batalion opuszczał, w ślad za 1 batalionem, gościnną Zielonkę i włączył się do kolumny całego pułku, kierującego się na Rembertów. Już od początku marszu dała się we znaki niska temperatura, przy dość silnym wietrze. Dnia tego, a właściwie w nocy, pokonaliśmy trasę 34 km, co zajęło nam czas do godziny 5.00 następnego dnia, kiedy to zatrzymaliśmy się w lesie obok wsi Glinianka, w pobliżu Woli Karczewskiej. Przebyliśmy przez tę noc trasę: Zielonka, Rembertów, Weśola, Wiązowna, Glinianka.

Gdy tylko zapadł zmierzch, o godz. 15.00 dnia 13 stycznia, wyruszyliśmy w dalszą drogę trasą: Wola Ducka, Kołbiel, Osieck i o godzinie 9.00 rano następnego dnia dotarliśmy do lasu na północ od Natolina, pokonując drogę liczącą 46 km. Z uwagi na silny mróz, który uniemożliwił budowę ziemianek, zbudowaliśmy prowizoryczne szałaszy z drzewa i gałęzi świerkowych. Tu spędziliśmy czas przez dzień 15 i 16 stycznia. W nocy z 15 na 16 stycznia batalion otrzymał uzupełnienie w postaci 4 podoficerów oraz 4 rkm. Następnego dnia, 16 stycznia, był bogatszy w wydarzenia. O godzinie 10.00 odbyła się uroczystość złożenia przysięgi wojskowej przez tych, którzy tego do tej chwili nie uczynili. Do grona przysięgających należałem i ja. Polana, na której odbywała się przysięga, zapełniła się postaciami w bojowych hełmach z bronią w ręku, a jeżeli dodać do tego nieustanny grzmot artylerii radzieckiej, walczącej na przyczółku,

leżącym niedaleko od nas, wrażenia z tej przysięgi przetrwały u jej uczestników do dziś. Prawie bezpośrednio po przysiędze, bo o godzinie 15.00, rozpoczęliśmy 36-godzinny marsz, zakończony 18 stycznia, o godzinie 3.00, w Warszawie na Ochocie, po przejściu 85 km. Pierwszy odcinek tej długiej drogi zakończyliśmy o godzinie 18.00, dojściem do przeprawy przez Wisłę w rejonie Kępy Celejowskiej. Przeprawa trwała do godziny 22.00, kiedy to cały pułk, przeszedłszy po lodzie, znalazł się po drugiej stronie Wisły w Mniszewie. Stąd, maszerując w kierunku Piaseczna, pokonał jeszcze przeprawę na rzece Pilicy, przeszedł przez miejscowości Przyłot, Magierowa Wola, Barcice, Chynów, Zadębie. W tej okolicy zatrzymał się na krótką 1-godzinną przerwę. Był to dzień 17 stycznia godz. 4.30. Po tak krótkim oddechu, pułk ruszył zmęczony śmiertelnie w kierunku Zalesia Górnego i Piaseczna. Z Piaseczna do Warszawy było już około 20 km i tu znaleźliśmy się o godz. 3.00 rano 18 stycznia. Znaleźliśmy się w rejonie kościoła Św. Jakuba przy placu Narutowicza. Ponieważ wszystkie okoliczne domy były zrujnowane niemal doszczętnie, a jedynym jako tako wyglądającym budynkiem był akademik przy pl. Narutowicza, udałem się tam z kilku kolegami z kompanii, by poszukać kwatery, chroniącej przed mrozem i śniegiem. W budynku zostaliśmy jednak pułkowych saperów, którzy sprawdzali, czy nie ma w nim jakichś niespodzianek. Nie pozwolili nam zakwaterować się i, jak się za chwilę okazało, mieli rację, ponieważ usłyszeliśmy wybuchy, a po nich ujrzeliśmy wewnątrz budynku pożar. Rad nie rad, zmęczony śmiertelnie, położyłem się w pobliżu akademika wprost na chodniku i natychmiast twardo zasnąłem. Już widniało, gdy ktoś z naszej kompanii odszukał mnie wśród śpiących na chodniku i zaprosił do ruin pobliskiej kamienicy przy ul. Sękocińskiej 3, gdzie przy rozpalonym ognisku dokończyłem przerwane spanie.

Następnego dnia, 19 stycznia, miała się odbyć w Alejach Jerozolimskich defilada przed Prezydentem Bierutem i Naczelnym Dowódcą

gen. Rola-Żymierskim. Przez cały dzień 18 stycznia przygotowywa-  
liśmy się do tej uroczystości. Mimo, że dziś wszystkie znane mi  
książki podają zgodnie, jako datę defilady, 19 stycznia, pozwolę  
sobie podać w tym miejscu, że ja w moim kalendarzyku pod datą  
18 stycznia zanotowałem: "Przygotowanie się do defilady przed Na-  
czelnym Wodzem i odwołanie jej. Dalszy pobyt w tych samych ruinach",  
zaś pod datą 19 stycznia, kiedy to miała odbyć się defilada, mam  
krótki zapis: "Jeszcze w ruinach". Dopiero 20 stycznia zapisałem:  
"W południe odbyła się defilada oddziałów, które zajęły Warszawę,  
przed Prezydentem Bierutem i Naczelnym Wodzem Rola-Żymierskim  
w Alejach Jerozolimskich. Po południu byłem na Żelaznej 32. Wszystkie  
zniszczone!" Ponieważ zapisy w kalendarzyku prowadziłem systematycz-  
nie, po każdym przeżyтым dniu, mam wrażenie, że moje notatki są  
zgodne z prawdą, zaś odwołanie defilady w zaplanowanym terminie na-  
stąpiło z przyczyn technicznych, to znaczy, że pewnie saperzy nie  
zdążyli w porę dostatecznie sprawdzić rejonu defilady i oczyścić  
go z gruzów oraz min.

Wśród maszerujących w defiladzie żołnierzy 2 pułku było kilku-  
dziesięciu żołnierzy - warszawskich powstańców, którym w chwili  
upadku powstania udało się szczęśliwie przedostać na wschodni brzeg  
Wisły. Ich wzruszenie na defiladzie łączyło się z koszmarnymi wręcz  
doznaniem podczas tragedii niezłomnego miasta.

Tego dnia, po defiladzie, byłem na Żelaznej 32, by odszukać  
jakikolwiek ślad po mojej narzeczonej, Krysi Żurek. Dom był całkowi-  
cie zrujnowany. Ocalała częściowo brama, przez którą opuszczałem  
ten dom razem z Krysią 15 lipca 1944 r. Na niej znalazłem dużo kartek  
przyklejonych przez ludzi poszukujących swoich najbliższych. Od  
Krysi, ani od Jej rodziny na bramie nic nie znalazłem, mimo że  
wszystkie wiszące kartki uważnie przestudiowałem. Po powrocie do  
kompanii natychmiast napisałem o tym list do Rodziców w Lublinie,  
prosząc ich o wszczęcie poszukiwań w Warszawie i powiadomienie mnie,

o ich wyniku. Tego samego dnia nadałem ten list w naszej poczcie polowej.

Z Warszawy wymaszerowaliśmy, o godz. 8.00 dnia 21 stycznia, ulicami zniszczonej Woli, w kierunku na Zachód. Pogoda "poprawiła się", ze złej na gorszą, bowiem do mrozu i wiatru doszła jeszcze silna śnieżycą, co doprowadziło do gołoledzi, na dużej części trasy marszu pościgowego. Bywało, że miejscami musieliśmy iść pod rękę, by w ogóle móc się posuwać do przodu. Do tego dochodziła nieprze-  
parta chęć snu za wszelką cenę. W ten sposób mściły się niedospiane noce na trasie Zielonka - Warszawa. Aby nie zasnąć i nie zostać na zawsze w przydrożnych rowach, wielu żołnierzy, w tym i ja, trzymało się klonic wozów taborowych lub dział artyleryjskich i w ten sposób maszerując, spało. Jeden z maszerujących, Kazimierz Kwolik, tak napisał: "Przedtem słyszałem, że można spać i maszerować. Nie wierzyłem, sądziłem, że to tylko takie gadki starych frontowców. Ale na tej trasie sam przekonałem się, że to prawda". Taka pogoda utrzymała się przez kilka następnych dni. Marsz, rozpoczęty tego dnia o godz. 8.00 rano, zakończył się o godz. 3.00 dnia 22 stycznia.

Przez 19 godzin pokonaliśmy odległość 76 km. Zatrzymaliśmy się dopiero w Kocierzewie pod Łowiczem.

Odpoczynek nasz trwał "aż" trzy godziny i już o godzinie 6.00 rano rozpoczęliśmy żmudne pokonywanie dalszych kilometrów. Przez Kiernozię i Pacynę dotarliśmy, po 12 godzinach marszu, do Szczawina Kościelnego w którym nareszcie, jak się okazało, mieliśmy przespać noc. Przez wspomniane 12 godzin, od Kocierzewa do Szczawina, przebyliśmy zaledwie 36 km, co dało przeciętną 3 km/godz. Ten fakt sam przez się świadczył o trudnościach marszu. Jak widać z przytoczonych liczb, od Warszawy do Szczawina to znaczy od 21.I. godz. 8.00 do 22.I. godz. 18., a więc odliczając trzygodzinny odpoczynek w Kocierzewie, przez 31 godzin pokonaliśmy 112 km. /Przeciętna szybkość marszu około 3,6 km na 1 godzinę/.

Wymarsz, po przespanej nocy, nastąpił o godzinie 6.00 rano 23 stycznia. Tego dnia nasz "spacerek" prowadził przez Gostynin i Lubień Kujawski, do wsi Kaliska, wyniósł równo 40 km i zakończył się noclegiem około godziny 22.00. Tego dnia nasz dowódca kompanii przeszedł na stanowisko dowódcy 6 kompanii, zaś u nas objął tę funkcję chor. Fabian Ejszycki.

Następnego dnia, 24 stycznia, opuściwszy Kaliska o godzinie 9.00 rano udaliśmy się poprzez Chodecz, Chocień, Kruszyn, Brześć Kujawski do rejonu Osięcin, gdzie dotarliśmy około godz. 22.00 i zatrzymaliśmy się na nocleg we wsi Wola Skarbkowa, po przejściu marszem 45 km. W tej wsi przebywaliśmy do rana 27 stycznia, na zasłużonym odpoczynku, po tak wyczerpującym marszu. W dniu 25 stycznia, z tego miejsca wysłano z pułku do tyłu wybranych kandydatów do szkoły oficerskiej. Z naszej kompanii wytypowano mnie, lecz na moją prośbę wysłano Wojtka Gozdawę-Czekańskiego, który będąc uprzednio ranny podczas Powstania Warszawskiego na Czerniakowie, obecnie bardzo odczuwał skutki swego ranienia i miał wielkie trudności w dotrzymywaniu nam kroku na trasach pogoni za uciekającym wrogiem. Zresztą, jak już pisałem, trudności takie miał nie tylko on: na odcinku 362 km, dzielących nas obecnie od Warszawy, na trasie pościgowej pozostało z 2 pułku w tyle aż 55 żołnierzy. W późniejszym czasie, gdy walki zwolniły tempo marszowe, przeważająca większość z nich dołączyła do pułku i brała udział w dalszych bojach.

O godzinie 5.00 rano 27 stycznia, po dwudniowym odpoczynku, z Woli Skarbkowej przez Radziejów przeszliśmy około południa Inowrocław, pokonując około 45 km. Nie zatrzymując się na odpoczynek z Inowrocławia maszerowaliśmy jeszcze 34 km, by o godzinie 2.00 w nocy, już 28 stycznia, znaleźć się w koszarach przy ul. Gdańskiej w Bydgoszczy. Całą trasę, liczącą tego dnia 79 km, pokonaliśmy w ciągu 21 godzin, przy niesamowitej zamieci śnieżnej. O świcie

zrobiono nam pobudkę, zaś o godzinie 10.00 wznowiliśmy marsz. Tym razem, zawiązując wczorajszemu bardzo długiemu etapowi i potwornej pogodzie, nie przemaszerowaliśmy zbyt daleko. Pogoda była niezmiennie taka jak wczoraj, więc po przebyciu 17 km, co trwało około 7 godzin, zanoceowaliśmy około godz. 17.00, we wsi Wojnowo.

Dnia 29 stycznia historia się powtórzyła. Wyszliśmy z Wojnowa o godz. 9.00 rano i do godz. 18.00 zrobiliśmy zaledwie 23 km. "Żołnierze nieludzko zmordowani - pisze Jerzy Lewandowski - wręcz padali ze zmęczenia. Konie nie były w stanie ciągnąć dział czy naładowanych ekwipunkiem wojskowym wozów. Trzeba było rozkopywać zaspy śnieżne, popychać wozy i działa". Tego dnia pułk nie wykonał zadania. Dowódca pułku płk Wiktor Sienicki, surowy i niezwykle sumienny w wykonywaniu rozkazów, zdecydował przerwać marsz w miejscowości Toninek. Z powodu zamieci śnieżnych, na trasie pozostał prawie cały transport samochodowy, co ujemnie wpłynęło na zaopatrzenie, zarówno w żywność, jak i w materiały techniczne. Pułk był odcięty od świata.

Mimo takich warunków atmosferycznych, 30 stycznia o godz. 9.00, pułk wymaszerował w kierunku północno-zachodnim. Z Toninka przez Sępólno Krajeńskie, do przedwojennej granicy polsko-niemieckiej w miasteczku Lipka, było 40 km i tę odległość pokonaliśmy w 16 godzin. Granicę przeszliśmy zaraz po północy, więc już 31 stycznia. O fakcie jej przekroczenia poinformowali nas wcześniej oficerowie. Gdy maszerowaliśmy przez Lipkę, mimo że wlekliśmy się, niczym bałwany, biali od prószącego śniegu, z oszronionymi wąsami, brwiami i rzęsami, ostatkiem sił, nogi nasze mimo woli przeszły w defiladowy krok. Do godz. 8.00 rano, do przebytej 40 km trasy z tej nocy, dołożyliśmy jeszcze 25 km, zanim dotarliśmy do Radawnicy, a po dalszych czterech kilometrach do Kamienia. We wsi tej znajdowała się niewielka grupa żołnierzy niemieckich. To było

wreszcie pierwsze nasze spotkanie z nimi, po pościgu na trasie 383 km, przebytej od Warszawy do Kamienia. Zakwaterowaliśmy we wsi, po wycofaniu się Niemców, i do godz. 18.00 tego dnia nie działo się już nic ciekawego.

W tym miejscu uznałem za stosowne zapoznać Czytelnika z krótkim historycznym podsumowaniem przebytej przez nas drogi, dokonany przez cytowanego już wcześniej, Kazimierza Golczewskiego; robię to przede wszystkim dlatego, że od tej chwili rozpoczął się nowy etap w życiu naszego pułku. Zakończył się bezkrwawy, choć znoyny, pościg za nieprzyjacielem, rozpoczął się czas ciężkich i krwawych zmagania zbrojnych, zakończonych zwycięskim finałem w Berlinie.

Kazimierz Golczewski pisze tak:

"Niemiecka wzmianka o pojawieniu się wojsk nieprzyjacielskich na wschodniej granicy prowincji pomorskiej, pod Jastrowiem i Łędczkiem wskazuje, że rozwija się nowa ofensywa. Nacierają tutaj wojska prawego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego, a wśród nich 47 armia ogólnowojskowa dowodzona przez gen. mjr Perchorowicza, 3 armia uderzeniowa pod dowództwem gen. lejtn. Simoniaka oraz 1 armia Wojska Polskiego, dowodzona przez gen. dyw. S. Popławskiego. Te dwie ostatnie stanowiły początkowo drugi rzut 1 Frontu Białoruskiego i wzmocniły potem działania 47 armii. Pierwsza armia WP wykonała w drugiej połowie stycznia tzw. marsz - manewr od Warszawy do Bydgoszczy, który zakończyła dnia 28 stycznia zgrupowaniem całości swych sił w rejonie na północ od miasta. Przebyła ona marszem 250-270 km w ciężkich warunkach atmosferycznych i przy braku dostatecznego zaopatrzenia, zwłaszcza w paliwo. Nie było mowy o dowozie kolejowym, ponieważ dopiero odbudowywano zrujnowane przez Niemców linie. Składy paliwa 1 armii WP pozostały w rejonie Rembertowa, na prawym brzegu Wisły. Jeden tylko most na Wiśle nie ułatwiał transportu. Frontowy skład paliwa w Kutnie dostarczał przede wszyst-

kim paliwa dla szybkich wojsk frontu. Armia zdana była na własny transport. Pogorszenie się pogody skomplikowało jeszcze bardziej dowóz. Zaspy śnieżne i mróz 5-10 stopniowy utrudniały przejazd i unieruchamiały sprzęt. Żołnierz dzielnie znosił trudy marszu, mimo że umundurowanie wymagało napraw i uzupełnienia, by mogło dać odpowiednie zabezpieczenie przed odmrożeniem i przeziębieniami. Marsz nie przebiegał zresztą bez niespodzianek. Pod koniec 22 stycznia, 7 pułk 3 dywizji piechoty, maszerujący w drugim rzucie, wkroczył do Włocławka i niespodziewanie napotkał tam opór wojsk niemieckich, mimo, że wojska radzieckie dawno przeszły przez to miasto. Okazało się, że niektóre jednostki niemieckie uciekły do okolicznych lasów na widok czołgów radzieckich, a potem wróciły do miasta. Zaczęły się egzekucje cywilnej ludności oraz podpalanie domów. Gen.dyw. Popławski, wspominając o tym wypadku pisze, że dowódca pułku mjr Stanisław Russjan, młody i energiczny oficer, nie zmartwił się tą nieoczekiwaną walką, uważał bowiem, że marsz bez przeszkód demobilizuje żołnierzy. Hitlerowcy jednak nie stawiali oporu zbyt długo.

Jednostki 1 armii toczyły też bój w samej Bydgoszczy. Po krótkim odpoczynku w nocy z 27 na 28 stycznia armia otrzymała zadanie bojowe, które polegało na uderzeniu w ogólnym kierunku na Wielowicz, Zakrzewo, Jastrowie i dalej - w kierunku Odry. Armia miała więc posuwać się od Bydgoszczy wąskim pasem i współdziałać po lewej stronie z radziecką 76 dywizją 47 armii. Pas ten biegł najpierw między Sępólnem a Więcborkiem, dalej między Lipką, a Złotowem, a potem - między Podgajami, a Tarnówką. Na prawym skrzydle miał samodzielny korpus kawalerii gwardii pod dowództwem gen.lejtn. W. Krjukowa. Pierwsza armia WP do dnia 31 stycznia powinna była osiągnąć już za Złotowem odcinek pomiędzy Sypniewem a Szwecją. Radziecki 2 korpus kawalerii gwardii pod koniec dnia 29 stycznia,



miał dojść do miasta Lipka, a radziecka 47 armia - wyprzedzając 1 armię WP, miała się przesunąć na Łobżenicę, Wałcz i wydzielić część jednostek do likwidacji okrążonego garnizonu niemieckiego w Pile.

W dniu 31 stycznia patrol zwiadowczy 1 dywizji piechoty natknął się nagle w rejonie Radawnicy na nieprzyjaciela. Wywiązała się walka, schwytano jeńców. Można się było dowiedzieć czegoś o dyslokacji wojsk nieprzyjaciela".

Zadanie kontynuowania marszu 1 dywizja otrzymała 31 stycznia o godzinie 18.45. Dowódca gen. Wojciech Bewziuk zdecydował prowadzić natarcie nocą i wprowadził do akcji 3 pułk. Z powodu silnego ognia wroga dowódca zmuszony został do przełożenia natarcia na godzinę 7.00 dnia 1 lutego.

Rano 1 lutego 3 pułk rozpoczął natarcie za Gwdą na Podgaje, lecz został zatrzymany silnym ogniem. O godz. 9.45. pułk wznowił natarcie, zaś 2 pułk otrzymał zadanie podjęcia działań w kierunku zachodnim. Gdy jednak na kierunku Jastrowie pojawiło się duże rozlewisko wodne rzeki Gwdy, dowódca 2 pułku poprosił dowódcę dywizji o zezwolenie na dokonanie przeprawy w rejonie Grudnej, gdzie już przeprawiły się 1 i 3 pułk. Około godz. 14 pododdziały pułku ześrodkowały się w lesie obok Grudnej. Około godz. 17.30 pułk nasz rozpoczął przeprawę przez Gwdę i wyszedł na swój planowany kierunek oraz rozpoczął działania zaczepne o godzinie 18. Do natarcia ruszył ~~3~~ 3 batalion, lecz został odrzucony, około godz. 20, przez niemiecki kontratak. 3 batalion około godz. 22 zdobył poprzednie stanowiska i umocnił się, zaś bataliony 2 i 1 ześrodkowały się na zachód od Grudnej, organizując obronę.

Natarcie 1 dywizji utknęło na linii szosy Podgaje-Jastrowie. Obie te miejscowości były silnie bronione przez oddziały 15 dywizji piechoty SS "Lettland", czyli przez Łotyszy. Dowódca dywizji roz-

kazał wznowić natarcie 2 lutego, o godz. 6.00. Zadanie zdobycia Podgajów otrzymał 3 pułk, zaś 2 pułk miał kontynuować poprzednie zadanie i wyjść na szosę Sypniewo-Szwecja, na południe od Sypniewa. W tym celu nasz 2 batalion miał zniszczyć nieprzyjaciela na zachód i wschód od szosy Podgaje - Jastrowie i omijając Jastrowie od północy nacierać w kierunku rozwidlenia dróg na zachód od Jastrowia. O wyznaczonym czasie natarcie nie wyszło, z powodu komplikacji w rejonie Podgajów. Punktualnie o godz. 10 jednak 1 i 2 pułk rozpoczęły natarcie. Nasz 2 pułk dość szybko przesunął się do przodu, a 2 batalion obiema kompaniami osiągnął linię północno-zachodniego skraju Jastrowia. Około południa Niemcy przeszli do kontrataku. 2 batalion przetrzymał dwie fale ataków nieprzyjaciela. Około godz. 13.00, dwie wzmocnione kompanie piechoty niemieckiej, przy wsparciu artylerią, zaatakowały 2 batalion. Niemcy wyszli na tyły batalionu. W okrążeniu znalazł się sztab. Zginął szef sztabu chor. Włodzimierz Rapowiec, lecz pozostali wyrwali się z okrążenia i wycofali na skraj lasu. Zostaliśmy zmuszeni do prowadzenia walki na dwa fronty, w dodatku bez kontaktu ze sztabem batalionu, więc ponieśliśmy duże straty. Batalion wycofał się na wschodnią stronę szosy Podgaje - Jastrowie. Początkowo pomyślne natarcie dywizji, zakończyło się około godz. 16.00 tym, że wszystkie pułki wróciły prawie na pozycje wyjściowe. Około godz. 17.00 sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, po kontrataku Niemców na lewe skrzydło 3 pułku oraz na prawe 1 pułku, zmuszając je do wycofania się około pół kilometra na wschód.

Przełom nastąpił o godz. 18.00, gdy przybyły na pomoc baterie moździerzy 120 mm 1 i 2 pułku. Dołączyły wkrótce: 2 dywizjon 1 pułku moździerzy oraz 3 dywizjon 1 brygady artylerii ciężkiej, otwierając ogień na Podgaje. Przed północą, szosą na Podgaje i Lędyczek, rozpoczęło się wycofywanie Niemców z Jastrowia, wypartych z miasta przez

oddziały 4 i 6 dywizji piechoty.

O godz. 2.00, dnia 3 lutego, rozpoczęły natarcie 1 i 2 batalion naszego pułku. Przed świtem osiągnęły linię około 500 m na zachód od toru kolejowego Okonek-Jastrowie, zaś o godz. 10.30 dotarły do drogi Sypniewo-Jastrowie. Około godz. 21.00 pułk zatrzymał się na odpoczynek w rejonie wsi Samborsko.

W ciągu trzech dni walk o Podgaje i Jastrowie pułk stracił 32 żołnierzy oraz miał 87 rannych. Niemcy w tym samym czasie stracili około 200 żołnierzy oraz sporo sprzętu, w tym 4 samochody opancerzone, 2 samochody ciężarowe, 1 samochód osobowy.

Złamawszy opór 15 dywizji piechoty SS "Lettland", zbliżyliśmy się do głównej pozycji Wału Pomorskiego. Słyszeliśmy o nim wcześniej, lecz nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wielką przeszkodą będzie on na naszym szlaku bojowym.

Pas działania 1 armii WP wynosił 15 km. Na tym odcinku pozycje Wału Pomorskiego przebiegały przez Nadarzyce i zachodni brzeg jezior Zdbiczno i Smolne. Były to silne i trudne do pokonania pozycje obronne. Prawie połowa tych umocnień przebiegała przez jeziora, a cztery kilometry - przez gęste sosnowe lasy. Na przesmykach między jeziorami i w dogodnych dla Niemców punktach znajdowało się 45 schronów bojowych. Rozbudowano również system okopów, stanowisk ogniowych broni maszynowej oraz zapór przeciwczołgowych i przeciwpiechotnych.

Rano 4 lutego wszystkie jednostki taktyczne 1 armii przystąpiły do realizacji zadania przełamania obrony nieprzyjaciela. 1 dywizja otrzymała rozkaz zabezpieczenia prawego skrzydła 6 dywizji piechoty. W wykonaniu tego, 2 pułk skoncentrował się około godz. 13.00, w lesie na południe od Sypniewka i pozostał w tym rejonie do rana 6 lutego, "liżąc się" ze skutków trzydniowego boju o Podgaje i Jastrowie. W nocy z 4 na 5 lutego usłyszeliśmy odgłosy boju,

toczonego przez 6 dywizję pod Nadarzycami.

W dalszą drogę wyruszyliśmy 6 lutego rano, kierując się na południowy zachód. Marsz odbywał się w bardzo trudnych warunkach. Trasa jego prowadziła leśnymi przesiekami, po rozmiękłym wskutek odwilży terenie. Drogę przegradzały rwące strumyki. Około godz. 18.00 wyszliśmy w rejonie szosy na południe od Rudnej. Tu dołączyliśmy do 11 pułku 4 dywizji piechoty i przeszliśmy do działanń zaczepnych. Około godz. 24.00 nasz batalion dotarł do szosy Czaplinek-Wałcz, wraz z 3 batalionem, 1 batalion zaś wyszedł około pół kilometra na zachód od tej szosy.

Pułk nasz ruszył do natarcia 7 lutego, o godz. 11.30. Około godz. 17.00, 1 batalion znalazł się na zachodnim skraju lasu od szosy Czaplinek-Wałcz, 2 batalion walczył na zachodnim skraju domków na zachodzie od Dobrzycy, zaś 3 batalion dotarł na południe od Rudek. W tym samym czasie Niemcy przeszli do kontrataku, szczególnie na odcinku 1 batalionu. Atak ten trwał przeszło półtorej godziny i zakończył się wycofaniem Niemców na pozycje wyjściowe, odparcie jego jednak okupiliśmy dużymi stratami.

Dnia 8 lutego, o godz. 9.30., wznowiliśmy natarcie na Rudki. Poza zaciekłą obroną wroga, natarcie utrudniała dodatkowo odwilż. Szliśmy, nacierając, po zaoranym polu, grzęznąc po kolana w błocie. Rozwijający natarcie, na lewym skrzydle ugrupowania, 2 batalion opanował kilka oddzielnych budynków w południowo-wschodniej części wsi.

Było około godz. 15.30, gdy ktoś z naszej kompanii dał mi znać, że na wozie sanitarnym, zbierającym rannych, leży mój przyjaciel, jeszcze z partyzantki AK na Lubelszczyźnie, Ryszard Konopka, i pragnie się ze mną zobaczyć. Chor. Obmiński, dowódca plutonu, zezwolił na udanie się do wozów sanitarnych. Na jednym z nich leżał Ryszard, podtrzymujący oburącz, z trudem, wypływające z brzucha wnętrzności. Żył jeszcze, ale rana na pierwszy rzut oka nie rokowała nadziei

na przeżycie. Przytomności Ryszard nie utracił i w krótkiej rozmowie prosił mnie o przekazanie rodzinie informacji o Jego śmierci. Gdy odchodziłem na linię natarcia, Ryszard jeszcze żył. Zmarł, jak się później dowiedziałem, następnego dnia w szpitalu frontowym i został pochowany na cmentarzu wojskowym 1 armii w Wałczu. O śmierci Ryszarda zawiadomiłem jego rodziców, zaś po wojnie spotkałem się z nimi w Lublinie, gdzie przyjechali, by ode mnie dowiedzieć się bliższych szczegółów o śmierci Ryszarda.

Niemcy rozpoczęli, około godz.17.00, silny kontratak, wspierany artylerią. Naszego kontrnatarcia jednak Niemcy nie wytrzymywali i wycofali się ze wsi, my zaś zajęliśmy północno-zachodni skraj Rudek. Była to już godz.19. Walka o Rudki kosztowała pułk 40 zabitych i 112 rannych żołnierzy.

W dniu 9 lutego, do godz.14.00, pułk został przemieszczony do rejonu Dobrogoszczy, skąd miał nacierać w kierunku na Boguszyn i Świętosław. Tego dnia dowództwo 2 batalionu objął kpt. Teodor Smietanin, dotychczasowy zastępca dowódcy 3 batalionu. Do natarcia przeszliśmy o godz. 15.00 i wkrótce opanowaliśmy Boguszyn. Około godz.16.30 wpadliśmy pod silny ogień 3 czołgów niemieckich. Pod ich ogniem wytrwaliśmy prawie do wieczora. Z ciężkiej opresji wyratowała nas 3 kompania 4 pułku czołgów ciężkich. Około godz.19.00, wznowiliśmy natarcie. Pole było rozmokłe, brnęliśmy więc po kolana w błocie. Gdy zajęliśmy Świętosław była godz.19.30. Do godz.22.00 kontynuowaliśmy natarcie w kierunku Górnicy, lecz byliśmy zmuszeni je przerwać, z powodu zbyt silnego ognia artylerii i broni maszynowej.

Natarcie zostało wznowione 10 lutego o godz.11.00. Nacierając na prawym skrzydle pułku, w niecałe pół godziny zbliżyliśmy się do Górnicy. Niemcy usiłowali stawiać opór, lecz wspierająca nas 3 kompania czołgów ciężkich przechyliła szalę zwycięstwa na naszą stronę. Po opanowaniu Górnicy, dalej atakowaliśmy, zdobywając majątek Jeziorka. Po jego zajęciu, skierowaliśmy się na Piecnik i około godz.15.00

rozpoczęliśmy bój o tę wieś. Natrafiliśmy na bardzo silny opór. Pod ogniem z broni maszynowej oraz artylerii i moździerzy zalegliśmy w błocie i leżeliśmy do zmroku. Gdy wznowiliśmy natarcie, Piecnik był wreszcie nasz. Natychmiast ruszyliśmy w pościg za wycofującymi się Niemcami i do godz. 24.00 wkroczyliśmy do odległego o 10 km miasta Mirosławca. Tu do godz. 2.00, a więc już 11 lutego, zajęliśmy placówkę obronną na południowo-wschodnim skraju miasta, w lesie, oddaloną od sztabu batalionu około 2 km. Gdy rozlokowaliśmy się i chor. Tomasz Bocuła, chciał złożyć meldunek dowódcy batalionu o zajęciu placówki, stwierdziliśmy, że kabel telefonu polowego jest gdzieś po drodze uszkodzony. Do złożenia meldunku o wykonaniu rozkazu oraz o przerwaniu linii telefonicznej, chor. Bocuła wyznaczył mnie, dodając do towarzystwa dwóch żołnierzy, którzy zgłosili się do tego zadania na ochotnika. Mimo potwornego zmęczenia dotarliśmy, po prawie godzinnym marszu, bezpiecznie do sztabu batalionu na przedmieściu Mirosławca. Wysłano w stronę 4 kompanii telefonistów dla odszukania i naprawienia uszkodzenia, nam zaś dowódca batalionu, wiedząc że słaniamy się na nogach ze zmęczenia, rozkazał pozostać w sztabie do rana. Gdy się obudziłem, słońce było już dosyć wysoko, więc wybrałem się w drogę powrotną do kompanii. Ponieważ w nocy przeszliśmy przez las bezpiecznie, więc teraz, nie czekając na moich dwóch współtowarzyszy, ruszyłem przez las sam, z pepeszą przerzuconą przez plecy. Idąc, pogrążyłem się w myślach o rodzinnym domu, o nieznanym mi losach narzeczonej Krysi, wreszcie o czekającym posiłku po powrocie do kompanii. W pewnej chwili, wychodząc zza zakrętu leśnej drogi, spojrzałem przed siebie i... zdrętwiałem. W odległości niespełna 100 m szła w moim kierunku grupa Niemców, licząca około 10 żołnierzy, uzbrojonych w broń maszynową gotową do strzału. Instynkt samozachowawczy nakazał mi rzucenie okrzyku "Hände hoch!" i równoczesny odskok w gęsty las

z prawej strony drogi. Sądzę, że Niemcy, nie widząc co się dzieje za zakrętem, spoza którego się pojawiłem, obawiając się, że nie jestem w lesie sam, wpadli do lasu po przeciwnej stronie i po chwili jedynie trzask łamanych gałęzi świadczył, że wieją gdzie pieprz rośnie. Oczekałem, nasłuchując, ale panowała głucha cisza. Za niedługą chwilę od strony Mirosławca usłyszałem pogwizdywanie znanej piosenki wojskowej i ujrzałem szefa innej kompanii, który też beztrudno maszerował z pepeszą zarzuconą na plecy. Gdy dowiedział się o mojej przygodzie, stracił ochotę na pogwizdywanie. Ruszyliśmy obaj w kierunku zajętej przez nas placówki, tym razem jednak bardzo czujnie, z bronią przygotowaną do natychmiastowego użytku.

O godz. 12.00 przed obroną 2 batalionu w rejonie Hanek pojawiła się grupa Niemców, w sile około 100 żołnierzy z jednym lekkim działem, i usiłowała przedostać się przez nasze ugrupowanie. Została jednak ostrzelana ogniem karabinów maszynowych i artylerii. Niemcy porzucili działko i wycofali się na południowy wschód. Na tych stanowiskach pułk nasz przebywał do późnych godzin wieczornych 12 lutego. Czaty naszego pułku osłaniały lewe skrzydło armii od południa, bo tu znajdował się koniec lewego skrzydła 1 armii.

Ostatnie cztery dni walki przyniosły znaczne straty: poległo 38 żołnierzy, rannych zostało 92. Na domiar złego z 2 pułku pozostało na trasie marszu z Warszawy 107 żołnierzy i dotąd nie dołączyło. Na dzień 12 lutego kompanie pułku liczyły niewiele ponad 50 żołnierzy, a zdarzały się niektóre ~~braki~~, gdzie stan osobowy był jeszcze mniejszy.

W godzinach wieczornych, 12 lutego, przekazaliśmy zajmowane stanowiska jednostce radzieckiej 47 armii, sami zaś przeszliśmy do Mirosławca. Liczyliśmy na odpoczynek na kwaterach, ale życie nas nie rozpieszczało. 3 batalion jeszcze tej samej nocy został skierowany na linię obrony w okolicy Łowicza Wałęckiego, zaś 1 i nasz 2 rozmieszczono ~~na~~ południowo-wschodniej części Mirosławca

jako drugi rzut pułku. Cały dzień 13 lutego spędziliśmy na porządkowaniu broni i amunicji. Przewidywano ponowienie natarcia 14 lutego o godz. 14.00. W natarciu tym wyznaczono ważną rolę naszemu pułkowi. Przeszliśmy na lewe skrzydło 1 batalionu i zajęliśmy obronę 700-800 m na zachód od Mirosławca. Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim, o godz. 14.45, bataliony 1 i 2 wspierane ogniem 2 dywizjonu 1 pułku artylerii lekkiej i 2 dywizjonem 1 pułku moździerzy, przeszły do natarcia. Teren był lesisty, więc w natarciu wyjątkowo trudny i niebezpieczny. Nasz batalion, po przesunięciu się 200-300 metrów naprzód, został zastopowany silnym ogniem broni maszynowej. Gdy przemówiła nasza artyleria wsparcia ogniem bezpośrednim, przeszliśmy ponownie do natarcia. Do późnych godzin wieczornych 2 pułk przesunął się do przodu około pół kilometra i umocnił na zajętych pozycjach. W czasie walk, stoczonych tego dnia pułk stracił 16 żołnierzy oraz 37 zostało rannych. Nieprzyjaciel stracił około 70 żołnierzy. Dnia 15 lutego natarcia nie było. Korzystając z tego udoskonaliliśmy obronę, uzupełnili amunicję i przeprowadzili rozpoznanie przedniego skraju obrony wroga.

16 lutego o godz. 12.00, 1 dywizja podjęła działania zaczepne. Nasz 2 pułk natarcię rozpoczął dopiero o godz. 16.00. Po niepowodzeniach 1 i 3 batalionu, spowodowanych licznymi kontratakami Niemców, niepowodzeniem skończyło się również natarcie 2 batalionu. Przydzielone dwa działa pancerne zepsuły się i nie mogły nas wspierać w natarciu. 5 i 6 kompania pozostały na zajmowanych stanowiskach, tylko nasza 4 kompania nieznacznie posunęła się do przodu. Zapłaciliśmy za to ciężkimi ranami dowódcy kompanii, chor. Fabiana Ejszyckiego. Za uzyskanie 300-700 metrów terenu w lesie zapłaciliśmy śmiercią 30 kolegów. Przyczyną niepowodzenia był bardzo silny opór wroga, trudny lesisty teren, niedostateczne wsparcie bronią pancerną oraz niedoświadczenie większości oficerów w walkach leśnych. Tego samego dnia pułk otrzymał uzupełnienie w postaci 23



podoficerów ze szkolnego batalionu dywizji oraz 6 szeregowych, którzy poprzednio pozostali na trasie marszu.

17 lutego nie nacieraliśmy. Po dokonaniu przegrupowania, w pierwszym rzucie pozostały 1 i 2 batalion, zaś 3 batalion zajął obronę 300-400 m na północny zachód od Mirosławca.

18 lutego o godz. 12.20, przeszedł do natarcia 2 batalion, lecz nie przyniosło ono oczekiwanych rezultatów. Napotkawszy silny ogień broni maszynowej i artylerii, 4 kompania musiała wrócić na podstawy wyjściowe, 5 i 6 kompanii udało się przesunąć do przodu około 300 m. W czasie tego natarcia 2 batalion stracił 2 żołnierzy zabitych i 15 rannych. Tego dnia odeszło z pułku 32 podoficerów i szeregowych do szkoły oficerskiej, wśród nich znalazł się pisarz naszego batalionu plut. Marian Opatowski. Jego miejsce w batalionie zajął Henryk Chamski, były powstaniec warszawski.

W dniu 19 lutego powierzono 2 batalionowi obronę całego odcinka zajmowanego dotychczas przez pułk, to znaczy osłonę prawego skrzydła pułku od strony lasu na północny-zachód od Mirosławca. Pozostałe bataliony wzięły udział w natarciu, które rozpoczęło się z opóźnieniem około 2 i pół godzinny, ponieważ artyleria nie była gotowa do wsparcia ogniowego na planowaną godz. 8.00. Wyniki natarcia były niewspółmierne do włożonego w nie wysiłku. 1 batalion, który zdobył około 350 m lasu, stracił w zabitych i rannych 30 żołnierzy. Był to maksymalny wysiłek, na jaki mógł się zdobyć 2 pułk, na większy nie miał już sił. Żołnierze byli zmęczeni długotrwałą walką, a poza tym było nas zbyt mało. Po odejściu 18 lutego 32 żołnierzy do szkoły oficerskiej oraz po odliczeniu strat w ostatnich natarciach, nie było już kim atakować. Według danych na 21 lutego stany osobowe kompanii piechoty, wyniosły przeciętnie około 30 żołnierzy, a nasza 4 i 6 kompania faktycznie miały, zaledwie 27 i 29 żołnierzy.

Ogólny stan osobowy 2 pułku wynosił 1252 żołnierzy, co stanowiło mniej niż jedną trzecią stanu etatowego i niewiele ponad połowę stanu z 12 stycznia, gdyśmy ruszali z Zielonki.

Na odcinku 1 dywizji 20 lutego zaniechano prowadzenia działań zaczepnych. Przez dwa kolejne dni batalion nasz zajmował obronę na stanowiskach z 19 lutego, to jest na lewym skrzydle na południo-wschodnim skraju lasu na północny zachód od Mirosławca.

22 lutego dowódca dywizji wydał rozkaz do organizacji obrony. Zadanie to powierzył 1 i 3 pułkowi. Do drugiego rzutu przeszedł 2 pułk, otrzymując zadanie zorganizowania siłami jednego batalionu obrony okrężnej Mirosławca, a dwoma batalionami drugiej pozycji obrony na linii: wzgórze 1420, leśniczówka Kosiakowo, Polne, Hanki. W nocy z 22 na 23 lutego 2 pułk został zluźniony i przemaszerował do miasta.

23 lutego około godz. 14 przystąpiliśmy do wyznaczonych zadań przy organizacji obrony. Tego dnia batalion otrzymał 93 żołnierzy uzupełnienia, co pozwoliło na podniesienie stanu osobowego kompanii do około 50 ludzi.

27 lutego pułk zakończył budowę obrony. Wykonaliśmy stanowiska ogniowe dla 6 dział 45 mm, 3 dział 76 mm, 6 moździerzy 120 mm, 15 moździerzy 82 mm, 28 cekaemów, 38 erkaemów, 20 rusznic przeciwpancernych, 551 stanowisk strzeleckich, ponad 12 km ciągłych okopów i ponad 1 km rowów łączących.

Korzystając z nielicznych chwil odpoczynku w trakcie tej pracy, przyjęliśmy miłych gości aż z Zielonki. Była to delegacja Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza, która dobiwszy, po ciężkiej podróży tropami 2 pułku, do Mirosławca dowiedziała się, że ich przyjaciele są na przedniej linii i czekała przez kilka dni na nasze zluźnienie, by przekazać pozdrowienia od mieszkańców Zielonki.

W tym samym czasie zawitał do nas teatr 1 armii, z programem zatytułowanym "Melpomena w mundurze".

Ostatni dzień lutego jest końcem przebywania naszego pułku w obronie.

Wojna widziana z perspektywy żołnierza frontowego nie daje pełnego obrazu jej przebiegu. Dopiero zobaczenie jej z punktu widzenia wyższego dowództwa daje brakujące elementy do pełnej panoramy. Stojąc zatem w przededniu nowej fazy wojny, wróćmy na chwilę do dzieła Kazimierza Golczewskiego, w którym aktualna sytuacja 1 armii WP została nakreślona następująco: "Wspomnieć należy w toczonych w tym samym czasie bojach 1 armii WP. Przed nią były jeszcze nie zdobyte Borujsko, Żabin, Wierzchowo, Będłino, Sośnica, Swierzyna i pospieszenie przez Niemców umocniony rejon koło Machlin. W dalszej perspektywie polskie jednostki miały zdobywać Mielenko Drawskie, Drawsko, Złocieniec i Czaplinek, a potem przeć dalej ku morzu. Musiano więc skończyć z tą ostatnią linią obronną, pozostałą po przełamaniu Wału Pomorskiego i otworzyć sobie drogę na północ.

W nocy z 26 na 27 lutego wojska 1 armii WP zaczęły się przygotowywać do ofensywy. Najpierw przegrupowała się artyleria, następną nocą 1, 2 i 6 dywizje piechoty oraz 1 brygada kawalerii. W trzecią noc odbyły się przesunięcia stanowisk 4 dywizji piechoty, a wojska pancerne zajęły rejony wyczekiwania na południowy wschód od Nowych Lasków. Po południu 28 lutego przed głównym spektaklem odbyła się mała próba generalna, którą wojskowi zwykli nazywać "rozpoznanie walką". Niemieckie pozycje zaatakowała część 5 pułku piechoty z 2 dywizji, która próbowała pójść w kierunku Borujaska.

Wstępne "rozpoznanie walką" zahamował od razu bardzo silny ogień jednostek niemieckich; o godzinie 18.40 wieczorem jeszcze raz - także bezskutecznie - spróbowano atakować pozycje niemieckie. Efektem tych prób było utwierdzenie się w pewności, że nie zmienił się układ głównych punktów oporu nieprzyjaciela i że nie nastąpiły zmiany w jego ugrupowaniu.

Teraz tylko noc dzieliła wojska polskie i ich radzieckich sąsiadów od rozpoczęcia generalnego szturmku ku morzu".

28 lutego 2 pułk otrzymał zadanie: nacierać z podstawy wyjściowej na rozwidlenie drogi 1,2 km na południowy wschód od Borujaska, opanować południowo-zachodni stok wzgórza, 156,1, następnie nacierać na Witowo.

Drugorzutowy 2 batalion otrzymał zadanie posuwania się pośrodku ugrupowania za pierwszorzutowymi batalionami i bycia w gotowości do odparcia kontrataków w kierunku Borujaska, następnie po osiągnięciu sukcesu przez 1 i 3 batalion - umocnienia się na drodze Żabinek - Orla.

Podstawy wyjściowe zajęliśmy w nocy z 28 lutego na 1 marca. 1 marca o godz. 9.00, po półgodzinnym artyleryjskim i lotniczym przygotowaniu ataku, w którym wzięły udział polskie samoloty 3 pułku lotnictwa szturmowego i 1 pułku lotnictwa myśliwskiego, 1,2 i część 6 dywizji piechoty przeszły do natarcia.

Natarcie 2 pułku, podobnie jak i pozostałych oddziałów dywizji, rozwijało się bardzo powoli.

Do godzin południowych bataliony zdołały przesunąć się do przodu o 300-400 m. Następnie, po pięciominutowej kanonadzie artyleryjskiej, przesunięto się o dalsze 300 m. O godz. 13.00, wykorzystując wsparte czołgami natarcie 5 pułku, 2 pułk przesunął się znowu o 200 m i wyszedł na polną drogę. Wprowadzono do walki z drugiego rzutu 2 batalion i podjęto kolejną próbę natarcia.

"W czasie natarcia na lotnisko-wspomina Jan Turczyński - 1 batalion był na prawym skrzydle ugrupowania pułku. Przesuwał się pomiędzy szosą i skrajem lasu. Przed naszymi pododdziałami była otwarta przestrzeń lotniska, a po obu stronach las. Kiedy nasza tyraliera wyszła przed lotnisko, nieprzyjaciel otworzył silny ogień z broni maszynowej z lasu i z osiedla. Szczególnie

dokuczał nieprzyjacielski karabin maszynowy, znajdujący się na przedpolach wsi. Piechota zmuszona była zalec".

Dopiero pod wieczór na prawym skrzydle zaatakowano Borujsko przy pomocy czołgów i kawalerii. Atak udał się. Wieś została zdobyta, a nasz pułk przesunął się na wysokość południowego skraju Borujaska.

Bataliony 2 pułku rozwijały natarcie na południe od Borujaska. O godz. 19.00 pierwszy batalion wyszedł 300-400 m na zachód od drogi, prowadzącej do Borujaska w kierunku jeziora Orłowo, drugi batalion osiągnął rubież 200-300 m na zachód od tej drogi, a trzeci wyszedł na stok wzgórza, położonego 300 m na południowy wschód od skraju lasu. Na tej rubieży wszystkie pododdziały pułku zajęły chwilowo obronę. Stanowisko dowodzenia pułku umieszczono w północno-zachodniej części lotniska. Następnego dnia nad ranem 2 marca, 3 batalion został przesunięty na prawe skrzydło, 1 batalion przeszedł do drugiego rzutu, przekazując swe stanowiska 2 batalionowi. Ogólne natarcie rozpoczęło się o godz. 11.00. 2 pułk piechoty miał do pokonania otwartą przestrzeń, graniczącą z lotniskiem Borujsko. Mimo dość silnego wsparcia artylerii, natarcie rozwijało się powoli. Po ciężkiej walce, około godz. 15.00, 3 batalion przesunął się pół kilometra i wszedł do wschodniego skraju lasu. W tym czasie 2 batalion także dotarł do lasu i przesunął się 200 m na zachód od wzgórza 156,9. Tam natarcie zostało zahamowane wskutek silnego oporu wroga. Pododdziały umocniły się na zajętych terenach. Stan taki przetrwał do późnych godzin nocnych.

W nocy z 2 na 3 marca, 1 dywizja wznowiła natarcie. W 2 pułku przed północą ponownie wprowadzono do pierwszego rzutu 1 batalion. Pułk podjął działania zaczepne o godz. 0,30, dnia 3 marca. Do godz. 4.00, trzeci batalion przesunął się o 400 m, a drugi przeszedł około 800 m. Natarcie drugiego batalionu zostało zatrzymane ogniem trzech karabinów maszynowych. Natarcie trwało do wczesnych godzin

ranych. O godz. 9.00 rozpoczęto walkę z grupą osłonową zagradzającą drogę. 2 pułk z trudem łamał opór wroga i systematycznie przesunął się do przodu. O godz. 16.00 nacierający znaleźli się 700 m przed szosą Zabinek-Sienica, a w godzinę później wyszli w rejonie leśniczówki Żeńsko.

W ciągu trzech dni walk w drugim pułku poległo 51 żołnierzy, zaś 151 zostało rannych. Wśród rannych znalazł się dowódca 2 batalionu, kpt. Teodor Smietanin. Po jego ranieniu dowódcą mianowano por. Tadeusza Cynkina. Ranny został również dowódca plutonu 4 kompanii, ~~chor.~~ Tomasz Boczula, który od 16 lutego zastępował rannego dowódcę kompanii, chor. Fabiana Ejszyckiego.

Jeszcze 3 marca, o godz. 20.15, 2 pułk ruszył w kierunku Linowa. Około godz. 23.00 dotarliśmy do leśniczówki Lisówko. Tu musieliśmy się zatrzymać by przepuścić, maszerujący tą samą drogą, 11 pułk. Zresztą okazało się, że odcinek drogi od Lisówka do Zatonia jest zaminowany, więc w dalszą drogę ruszyliśmy o godz. 1.00, po rozmówieniu. Był to zatem już dzień 4 marca. Nad ranem zatrzymaliśmy się na krótko w rejonie majątku Zatonia, skąd o godz. 9.00 wyruszyliśmy do Linowa, gdzie dotarliśmy około godz. 13.00.

Zgodnie z zadaniem, o godz. 15.00, wyruszyliśmy trasą Suliszewo, Dalewo, marszem ubezpieczonym. W odległości około 2 km przed wsią Suliszewo, dowódca pułku płk. Wiktor Sienicki wysunął się do przodu samochodem, wraz ze zwiadem. Ponieważ na drodze od Linowa do Suliszewa był teren zabagniony, samochód pułkownika ugrzązł w pobliżu strumyka, przecinającego drogę w połowie odległości między tymi miejscowościami. Gdy usiłowano wyciągnąć samochód z błota, pokazali się Niemcy. Była to dość duża grupa, która zbliżając się szybko, otworzyła ogień. Dowódca oraz zwiadowcy podjęli walkę, zaś jeden ze zwiadowców zaalarmował znajdującą się w pobliżu kompanię fizylierów oraz kompanię rusznic przeciwpancernych. Pod osłoną ich ognia, dowódca pułku wycofał się do czoła

kolumny marszowej, zaś do odparcia napastników wydzielono naszą kompanię. Niemcy zmuszeni zostali do wycofania się, zaś my goniąc ich, wkroczyliśmy do wsi Suliszewo. We wsi nie było żywej duszy. Penetrując domy, leżące obok drogi, w jednym z nich trafiliśmy na bogato zaopatrzoną w przetwory owocowe, spiżarnię. Któryś z kolegów "wywęszył" alkohole i my, aby uczcić bezkrwawe zdobycie wsi, dokonaliśmy ich degustacji. Gdy pułk wraz z płk. Sienickim, dotarł niedługo do wsi, trafił akurat na budującą serca scenę. Na drodze, przed domem, gdzie była nasza spiżarnia, cała kompania zawzięcie tańczyła przy dźwiękach znalezionego w domu gramofonu. Płk Sienickiego, mimo że to co ujrzał, było jawnym pogwałceniem dyscypliny, scenę ta tak rozbawiła, że nie wyciągnął żadnych konsekwencji, a przeciwnie - wygłosił pod naszym adresem pochlebną uwagę: "Oto chłopcy - do bitki i do wypitki". Zresztą, ponieważ trunków było dosyć, poczęstowaliśmy nimi wszystkich obecnych na czołe kolumny marszowej. Gdy zwiad stwierdził, że mosty na Drawie w rejonie Dalewa są zniszczone, a za rzeką znajdują się Niemcy, musieliśmy znowu przerwać marsz. Artyleria, strzelając ogniem na wprost, zniszczyła stanowiska ogniowe Niemców, zaś nasi saperzy przystąpili do budowy przeprawy. Już o godz. 23.00 pierwszy przeprowił się 3 batalion i umocnił się na południowo-zachodnim skraju wsi.

4 kompania przeszła przez Drawę o godz. 2.00 w dniu 5 marca. W tym momencie ogólna sytuacja wojsk 1 armii WP była pomyślna. Dzięki zwycięskim walkom 1 dywizji i oddziałów radzieckich złamano opór wroga, sforsowano Drawę i przesunięto się do przodu o 6 do 20 km. 10 korpus piechoty SS znalazł się w okrążeniu. Od zachodu odcięły go wojska 3 armii uderzeniowej, od wschodu 2 korpus kawalerii a na tyły wyszły oddziały 1 armii pancernej. Pierścień stworzony przez jednostki radzieckie, od południa zamykaliśmy my, żołnierze 1 armii WP.

Rano kontynuowaliśmy marsz na Dołżyce. Około południa 3 batalion napotkał opór dwóch kompanii niemieckich we wsi Dołgie, zaś 2 batalion musiał stoczyć walkę w rejonie cegielni, leżącej w lewo od wsi. Po zaciętej walce, około godz. 16.00, Dołgie zostało opasowane, zaś 2 batalion po zdobyciu cegielni, rozpoczął pościg. Po przełamaniu wroga w rejonie wsi Dołgie 2 pułk kontynuował marsz wieczorem i nocą.

6 marca, o godz. 4.00, dotarliśmy do Rydzewa, przeszliśmy przez Tęczyn, dotarliśmy do wsi Łabędzie. Po drodze stoczyliśmy kilkunastogodziną walkę w rejonie Karsiboru. Do Łabędzia weszliśmy wieczorem. 7 marca od rana, kontynuowaliśmy marsz po trasie: Łabędzie, Więclaw, Świdwin. Na kierunku marszu spotykamy drobne grupy nieprzyjaciela. Zdezorientowani żołnierze przeciwnika przeważnie oddawali się do niewoli. Tego dnia zanotowałem w swoich zapiskach niezwykle przypadek: "Szliśmy po szosie biegnącej do Świdwina. Zameldowano naszemu dowódcy batalionu, że od wsi leżącej gdzieś z boku szosy /była to chyba wieś Rzepczyno/ zbliża się duża grupa Niemców z białymi szmatami na lufach karabinów. Wraz z kilkoma żołnierzami naszej kompanii udałem się w ich kierunku. Gdy zbliżyliśmy się, zapytałem po niemiecku: "Kto z was mówi po polsku?" Na to zgłosił się jeden z żołnierzy niemieckich, mówiąc że to on był inicjatorem poddania się do niewoli, gdy zorientował się, że przed nimi są Polacy. W dalszej rozmowie, ~~rozpoznałem~~ <sup>zidentyfikowałem</sup> się, skąd zna język polski. Po odpowiedzi, że jest Polakiem z Nowego Miasta /gdzie ja uczęszczałem przed wojną do 1 klasy gimnazjum/, zapytałem, czy zna to gimnazjum. Uzyskawszy odpowiedź, że był uczniem tego gimnazjum i nazywa się Janicki, przypomniałem mu, że byliśmy kolegami z tej samej klasy. Gdy Janicki przypomniał mnie sobie i zaczęliśmy się ściskać, najwięcej byli zdziwieni żołnierze



niemieccy, ponieważ rozmowa ta toczyła się po polsku i oni jej nie rozumiejąc, widzieli jedynie dziwne zachowanie swego kolegi. Wytłumaczywszy im po niemiecku, co to znaczy, w odpowiedzi usłyszeliśmy gromki śmiech współtowarzyszy Janickiego, a i moi koledzy mieli niezły ubaw".

Kolumnę jeńców powierzono "po znajomości" mnie, polecając odprawienie do obozu jeńców w Świdwinie. Do miasta pułk oraz ja z jeńcami dotarliśmy już późnym wieczorem. Tą samą trasą podążały inne oddziały, a to nie sprzyjało szybkiemu marszowi. Gdy ~~W~~uszałem jeszcze za dnia z jeńcami, było ich w prowadzonej grupie około 100.

Gdy się ściemniło, widzieliśmy że po drodze pojawiły się jakieś postacie w mundurach i dołączały do naszej kolumny, niektóre nawet z karabinami. Gdy dotarliśmy nocą do obozu jeńców i zameldowałem rosyjskiemu komendantowi, że przyprowadziłem 100 Niemców, ten zapytał zdziwiony, rzuciwszy okiem na przyprowadzoną grupę: "Ilu?" Gdy powtórzyłem, że stu, polecił Niemcom zrobić zbiórkę w dwusze-regu i odliczyć. Okazało się, że faktycznie przybyło z nami przeszło czterystu Niemców, w tym kilku oficerów. Komendant obozu, zdziwiony takim przyrostem liczbowym kolumny jeńczej, zaprosił mnie i kolegów do swojej kancelarii. A że na wojnie każda rzecz może być pretekstem do spełnienia toastów, tak więc większą część nocy spełnialiśmy je w bardzo różowych humorach. Nad ranem zjawił się w obozie nasz pisarz batalionowy, Henryk Chamski, i z radością opowiedział mi, że pocztą polową otrzymał list, że w dalekiej Warszawie urodził mu się niedawno syn. To był pretekst, by i Henio został włączony do grona spełniającego poraz te inne toasty, tym razem za zdrowie noworodka. Gdy zaczęło świtać dowiedziałem się, że nasz pułk ze Świdwina udał się w dalszy pościg na Stargard,

więc postanowiliśmy czym prędzej pułk dogonić. Przed opuszczeniem obozu poleciłem opiece komendanta obozu Janickiego, z prośbą o przekazanie go do polskich jednostek, gdyż taką chęć wyraził. Sprawdziliśmy z Chamskim na ~~przebiegu~~ <sup>przebiegu</sup>, przez niego sztabówce, gdzie jest droga na Stargard, i zaraz za Świdwinem weszliśmy na szosę wiodącą przez Łobez, Węgorzyno, Chociwel do Stargardu Szczecińskiego.

Aby przyspieszyć pościg za naszym pułkiem zaczęliśmy rozglądać się za rowerami, których leżało pełno w przydrożnych rowach. Pierwszy zaopatrzył się w rower Henio i myśląc, że ja też szybko znajdę coś godnego uwagi, powiedział, że będzie powoli jechał, a ja go zapewne szybko dogodnię. Gdy po chwili znalazłem odpowiedni <sup>rower</sup> i miałem już wsiadać, nagle w odległości około 300 m przede mną usłyszałem dwie krótkie serie z broni maszynowej i zobaczyłem, jak Henio Chamski spada z roweru na szosę i nieruchomieje. Dla bezpieczeństwa nie wsiadłem już na rower, lecz zacząłem podążać rowem w kierunku leżącego na szosie Henryka. Gdy byłem już przy nim, nagle zostałem ostrzelany. Ujrzałem z lewej strony szosy, od strony wsi Półchleb, grupę kilku Niemców, uzbrojonych po zęby, zmierzających do szosy, na której leżał Henryk, i oddających od czasu do czasu serie z karabinów maszynowych. Widząc, że znalazłem się w nielada opałach, bo na szosie poza mną i Henrykiem nikogo więcej nie było, a Niemcy zmierzają w moją stronę, zrobiłem to, co mogłem w tej sytuacji zrobić najlepszego. Zobaczyłem, że od maszerujących w moją stronę Niemców odgradza mnie wysoki i długi kopiec, pełen buraków czy ziemniaków, więc ostrożnie, lecz szybko, przeskoczyłem na drugą stronę szosy i, jak mogłem najszybciej, podbiegłem do tego kopca, i schroniłem się za nim, niknąc w ten sposób Niemcom z oczu. Sam bacznie obserwowałem, co robią dalej zbliżający się ku szosie Niemcy. Widziałem, sam będąc niewidoczny dla nich, że podeszli do szosy, rozejrzeli się dookoła i nie widząc

nikogo poza nieruchomym Heniem, oddali jeden strzał w kierunku stojącego przy szosie wraku samochodu niemieckiego, wreszcie ruszyli na prawą stronę szosy, gdzie widniał na horyzoncie drugi las, w którym za chwilę zniknęli. Wszedłem z mojej kryjówki i najpierw zbliżyłem się do leżącego na szosie obok roweru Henia. Ten jednak już nie żył. Okazuje się, że pierwsze strzały, które usłyszałem przed sobą w przodzie, dosłownie zniosły szczyt czaszki Henryka i spowodowały natychmiastową śmierć. Zabrałem od Henryka torbę z dokumentami batalionowymi i zacząłem rozglądać się dookoła, by stwierdzić do jakiego celu Niemcy strzelali, przechodząc przez szosę. Gdy zbliżyłem się do wraku samochodu, z jego wnętrza usłyszałem nagle jęk. W samochodzie zobaczyłem rannego w nogi jednego z telefonistów naszego pułku. Rozciąłem jego saperki nożem i ściągnąłem je ostrożnie ze spuchniętych i skrwawionych nóg, wreszcie zatamowałem mu prowizorycznie krwawienie bandażem osobistym. Gdy zakończyłem te czynności spostrzegłem, że szosa ze Świdwina nagle się ożywiła. Pojawiły się na niej jednostki wojskowe polskie, a po zbliżeniu się ich poznałem, że to jest nasz pułk. Zameldowałem o odprawieniu jeńców do Świdwina i o tym, co się wydarzyło przed chwilą. W odpowiedzi usłyszałem, że pułk pomaszerował przez pomyłkę szosą, wiodącą przez miejscowość Starogard do Reska. Po stwierdzeniu, że to niewłaściwy Starogard, po kilku kilometrach marszu, pułk zawrócił i wszedł na szosę, prowadzącą do Stargardu Szczecińskiego. Tak więc śmiertelna dla Henia przygoda spotkała nas na szosie, gdzie jeszcze nie było żadnych jednostek wojskowych, ani polskich, ani radzieckich. Sęk w tym, że obie wymienione miejscowości różniły się w języku niemieckim niewiele. Ta, którą pomaszerował pułk pierwotnie, nazywała się Stargardt, zaś ta, którą udaliśmy się z Chamskim - Stargard. W języku polskim obie nazywano: jedną Starogard, drugą - Stargard.

Gdy już pułk miał ruszać w dalszą drogę na Łobez i Stargard Szczec., ktoś ze sztabowców spojrział jeszcze raz na mapę, by się upewnić w jaki sposób powstała pomyłka i stwierdził ze zdziwieniem, że pułk szedł jednak poprzednio właściwą drogą, która nie dochodząc do tego innego Stargardu, w miejscowości Rusinowo miała skrócić do punktu docelowego zwanego po polsku Powalice. Zawrócono ponownie i około południa, 3 marca, dotarliśmy do Powalic. W tym rejonie zanośliśmy się na dłuższy postój, w związku z tym zorganizowano obronę okrężną, którą obsadzono 2 batalionem. Do tej wsi przybyła dwudziestoosobowa grupa oficerów, jako uzupełnienie. Do naszej kompanii przysłano, jako <sup>(płatnika)</sup> dowódcę chor. Jerzego Maleszę. Tu również została zorganizowana specjalna grupa, którą dowodził zastępca dowódcy 2 pułku mjr Piotr Samborski, mająca na celu oczyszczenie okolicznych lasów z rozbitków niemieckich. Grupa ta wzięła do niewoli cały batalion niemiecki z oficerami i taborami, w dniu 9 marca.

Dnia 9 marca 2 pułk znów wyszedł na trasę, na której spotykano liczne grupy Niemców. Przed wieczorem nadleciało pięć niemieckich samolotów i ostrzelało pułk z broni pokładowej. W czasie nalotu poniósł śmierć jeden żołnierz. Ja tego dnia byłem również o krok od śmierci. Otrzymałszy od Rodziców z Lublina list, w którym przekazali mi informację o śmierci mojej narzeczonej, Krysi Żurek, która nastąpiła w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego na Woli, dla spokojnego przeczytania, usiadłem na jednym z wozów taborowych, gdy nastąpił niemiecki nalot. Żołnierz, który stał się jedyną ofiarą nalotu, jechał na sąsiednim wozie taborowym, tak więc i tym razem mogę mówić o swoim wielkim szczęściu, bo przecież mogłem być drugą ofiarą nalotu. O godz. 7.30, 10 marca, pułk osiągnął wieś Sikorki, skąd po krótkiej przerwie na odpoczynek, podjęliśmy dalszy marsz w kierunku Wolina i zanocewaliśmy,

około godz. 24.00, we wsi Brzozowo. Tu przebywaliśmy do godzin popołudniowych następnego dnia, 11 marca. Tego dnia przystąpiliśmy do luzowania oddziałów radzieckich nad Zalewem Szczecińskim. Skończyła się pełna niebezpieczeństw i walk frontowych droga 2 pułku przez wsie i miasta Pomorza Zachodniego i rozpoczynał się nowy etap walk, o innym charakterze, bez porównania bezpieczniejszych od tych, które były naszym udziałem w ostatnich kilku tygodniach.

Na trasie tych walk, od 1 lutego do 3 marca, poległo 250 żołnierzy, zaginęło bez wieści 66, a 704 zostało rannych. Po zakończeniu walk o Wał Pomorski pułk liczył 1.193 żołnierzy, w tym 152 oficerów, 307 podoficerów i 734 szeregowych. Szczególnie duże straty poniosły kompanie piechoty, ich faktyczne stany tylko w 2 batalionie przekraczały nieznacznie liczbę 30 żołnierzy. W pozostałych batalionach nie osiągały tej liczby, a w 8 kompanii piechoty było zaledwie 19 żołnierzy. Ogółem kompanie piechoty liczyły 272 żołnierzy.

Wykonując rozkaz przejęcia obrony nad Zalewem Szczecińskim od jednostek radzieckich, dnia 12 marca po południu przemaszerowaliśmy z Brzozowa do Reclawia, leżącego dokładnie naprzeciw miasta i wyspy Wolin, od których oddzielały nas jedynie mosty na rzece Dziwna, w tej chwili ~~przez~~ <sup>wschodni</sup> przez wycofujących się Niemców. Jeden z nich był drogowy, drugi kolejowy.

Zgodnie z decyzją dowódcy 1 dywizji, 2 pułk zajął obronę wzdłuż wschodniego brzegu południowej części Dziwny oraz wschodniego brzegu północnej części Zalewu Szczecińskiego, na prawym skrzydle ugrupowania dywizji. Był to stosunkowo trudny odcinek. W północnej części przebiegał naprzeciwko położonego po drugiej stronie Dziwny miasta Wolin. W tym miejscu przeszkoda wodna jest najwęższa.

Na środku Dziwny, na południe od mostów, znajdowała się dość duża wyspa. Rejon ten był potencjalnie najbardziej dogodny do ewentualnej akcji wroga z wyspy, jak też przedostawania się uzbrojonych grup niemieckich na wyspę. Prawym sąsiadem 2 pułku był 6 pułk 2 dywizji, a lewym - 1 pułk piechoty.

Zadaniem naszym było niedopuszczenie do przeprawy nieprzyjaciela na wschodni brzeg Dziwny, udaremnienie ruchu jednostkom pływającym oraz niedopuszczenie do przedostawania się ukrywających się w lesie rozbitków niemieckich na zachodni brzeg Dziwny.

Płk Sienicki ugrupował pułk w dwa rzuty. Do pierwszego zostały wydzielone 2 i 1 batalion. Najtrudniejszy odcinek przypadł w udziale naszemu batalionowi. Oba pierwszorzutowe bataliony zostały wzmocnione plutonem 45 mm dział przeciwpancernych i plutonem artylerii 76 mm.

Ze względu na stosunkowo małe stany osobowe oraz szeroki pas obrony w pierwszorzutowych batalionach oprócz wysuniętych placówek nad brzegiem przeszkody wodnej zorganizowano siłami kompanii piechoty punkty oporu. Naszej 4 kompanii przypadł w udziale zaszczyt zorganizowania takiego punktu oporu we wsi Gogolice, leżącej od sztabu batalionu w Reclawiu, w odległości około 2 km.

Na przeciwległym brzegu Dziwny nieprzyjaciel budował umocnienia, permanentnie ostrzeliwał ugrupowania pułku z artylerii, moździerzy, "koczujących" dział pancernych i czołgów, broni maszynowej i snajperów. Mając dogodne i trudne do wykrycia punkty obserwacyjne, rozmieszczone w budynkach Wolina, penetrował dość znaczny obszar obrony pułku. Na Zalewie Szczecińskim i Dziwnie często pojawiały się niemieckie łodzie patrolowe, na lądzie zaś w rejonie obrony pułku systematycznie pokazywały się grupy niemieckich żołnierzy, usiłujących przedostać się na wyspę Wolin.

W Gogolicach zagospodarowaliśmy się szybko. Ponieważ wieś ta, tak jak wszystkie pozostałe, była całkowicie wyludniona, kompania nasza, licząca zresztą bardzo małą liczbę żołnierzy, zakwaterowała ~~się~~ w ocalałych domach, zaś na linię, którą stanowiły wykopane jeszcze przez poprzedników płytkie okopy, wysyłaliśmy w kierunku lewych i prawych sąsiadów, a więc do Zagórza, gdzie był punkt oporu 1 kompanii, i Reclawia, obsadzonego przez 6 kompanię, uzbrojone patrole krążące na zmianę i obserwujące przeciwników. Z uwagi na bardzo silny ostrzał naszych odcinków przez snajperów, czyli strzelców wyborowych, kuchnia polowa, znajdująca się przy sztabie batalionu w Reclawiu, nie była w stanie dostarczać nam posiłków, więc poradziliśmy sobie w ten sposób, że pobieraliśmy suchy prawiant, zamieniając go na potrawy, gotowane w miejscu zakwaterowania. Uzupełnienie naszego menu zaś biegło po opuszczonej wsi, niemalże prosząc o to, by skorzystać z tej oferty.

Tak więc świnie, owce, kury stanowiły urozmaicenie naszej własnej kuchni, zaś blakające się krowy, niedojone od dłuższego czasu, same przychodziły o oznaczonych porach pod okna naszych kwater prosząc o wydojenie, ponieważ nadmiar mleka był przyczyną wielkiego bólu ich wymion.

Ja, wykonując obowiązki również pisarza 4 kompanii, codziennie bywałem w Reclawiu. Początkowo udawałem się tam wspomnianymi płytkimi okopami, ale gdy przedwiośnie sprawiło, że rowy te wypełniły się niemal do połowy wodą, wolałem przemykać się poza nimi. Robiłem to jednak tylko parę razy, do momentu, gdy mnie kiedyś snajper zmusił do przytulenia się do matki-ziemi i czołgania na przestrzeni kilkudziesięciu metrów w bezpieczne miejsce. Zacząłem rozglądać się za lepszą drogą do sztabu batalionu i znalazłem wyjście. Wprawdzie droga w ten sposób była dwukrotnie dłuższa, ale

idąc z Gogolic w kierunku Wiejkowa, gdzie mieścił się sztab 2 pułku, oddalałem się od Gogolic około 1 km na wschód, później przybierałem kierunek na północ, równoległy do rzeki Dziwny, i na wysokości Reclawia, pod osłoną wysokich domów, dochodziłem do sztabu batalionu. W ten sposób nie groziły mi żadne niespodzianki ze strony snajperów.

Dowódca 2 batalionu, wiedząc o tym, że codziennie maszeruję bezpiecznie z Gogolic do Reclawia, postanowił osobiście przekonać się, jak nasza kompania radzi sobie z wyżywieniem, bo słyszał bajki o naszym jadłospisie, więc któregoś dnia zapowiedziawszy wizytę, zaraz po moim wyjściu w powrotną drogę do Gogolic, wyszedł w ślad za mną. Ponieważ nie był zorientowany, jaką trasą można iść bezpiecznie poszedł najprostszą drogą. Ta jednak nie okazała się jednak najkrótszą: zamiast iść do nas około pół godziny, pojawił się dopiero po dwóch godzinach. Przez ten czas oczekiwaliśmy, przygotowani wspaniale pod względem kulinarnym, bo chcieliśmy pochwalić się przed dowódcą naszą zaradnością w dziedzinie zaopatrzeniowej oraz talentami kucharskimi.

Zaraz po dotarciu do nas zapytał, w jaki sposób robię, że codziennie dochodzę do Reclawia bezpiecznie. Nie musiał zresztą tłumaczyć, dlaczego postawił mi to pytanie, gdyż jego wygląd wyjaśnił wszystko bez słów. Ślady wycieczki do 4 kompanii były widoczne na jego mundurze: ~~port~~ guzikami pełno było błota, co świadczyło, że większość drogi por. Tadeusz Cynkin, syn Napoleona /co zawsze z dumą podkreślał/, odbył w pozycji bezpiecznej, ale bardzo niewygodnej.

Już od pierwszej chwili pobytu nad Zalewem Szczecińskim byliśmy w ogniu. Biły w nas z przeciwległego brzegu moździerze i szybkostrzelne działka przeciwlotnicze. Zaczął się okres walk nad Dziwną, a także walk na tyłach, wyławianie ukrywających się żołnierzy nieprzyjacielskich, "czesanie" lasów. Był to okres mniejszego wysiłku,



mniej napiętej walki, ale walki, która pociągała za sobą niemało ofiar. Każdy dzień to nowe zdarzenie, sukcesy i straty, trudy i zwycięstwa. Przypominają o tym okresie kartki kroniki pułkowej, stare meldunki. Oto niektóre z nich:

13 marca - Nieprzyjaciel z za Dziwny prowadzi bezustanny ogień z rejonu miasta Wolina. Widać tam ruch, prowadzone są prace obronne. Tego dnia, w rejonie 2 batalionu, Niemcy usiłowali napaść z tyłu na naszą pozycje obronne. Wycofali się jednak i zniknęli w lesie. Wzięto siedemnastu jeńców.

14 marca - Pięciu żołnierzy nieprzyjaciela przeszło w godzinach nocnych na naszą stronę z własnej woli, Trwają poszukiwania przez cały dzień w lasach. Szczególnej uwagi wymaga miejsce między jeziorami. Kompanię, która tam patroluje drogę, wzmocniono /była to 8 kompania/. Wzięto tego dnia trzydziestu jeden jeńców. Kopiemy linie obronne.

15 marca - Silny ogień artyleryjski i karabinowy. Pod wieczór ogień z czołgów i dział przeciwlotniczych. Zapalony dom płonie. Na przedpolu batalionów 1 i 2 - potyczki. Grupa oczyszczająca z niedobitków rejon pobliskiej leśniczówki stoczyła walkę z większą grupą nieprzyjaciela. W rezultacie wzięta poważną ilość broni, takiej jak działka przeciwlotnicze, cekaemy i erkaemy oraz jeńców. - Pododdziały które zajęte są przeczesywaniem lasów, prowadzą swoją pracę bojową w warunkach trudnych, pełnych niebezpieczeństwa, wymagających wiele czujności, ostrożności i wysiłku. Oto siedmiu ludzi 7 kompanii, z dowódcą plutonu chor. Michalskim, udaje się w głąb lasu. Wszyscy uważnie rozglądają się, idą grupką, niezbyt daleko od siebie, tak aby się wzajemnie widzieć. Przeszedłszy 5 km żołnierze napotykają na drodze samotną leśniczówkę, spaloną i stojącą obok niej stodołę, nie tkniętą przez pożar. Żołnierze otaczają ją, ręczny karabin maszynowy ustawiają na stanowisku. Ktoś musi wejść, aby stodołę zbadać.

Na ochotnika idzie strz. Lebejko. Zdawało się, że stodoła jest pusta, a tu nagle padł strzał, który ugodził śmiertelnie żołnierza. Wówczas żołnierze otwierają ogień ze automatów, krzyczą "Hände hoch", trzymając przygotowane do rzucenia granaty. Ze stodoły zaczynają teraz wyskakiwać z podniesionymi rękami hitlerowcy. Jest ich szesnastu.

16 marca - odbył się uroczysty pogrzeb bohatera pułku strz. Lebejki. Cała kompania wzięła w nim udział. Salwę honorową oddano w stronę wroga.

17 marca - Tego dnia kompania łączności mogła zameldować i poszczycić się tym, że zamieniła linie kablowe na linie stałe. Po dwóch dniach energicznej pracy posiadała dwadzieścia kilometrów linii stałej

18 marca - Aktywność nieprzyjaciela duża. W dalszym ciągu niedobitki usiłują przedrzeć się. Wzięto w walce w różnych miejscach 20 jeńców. Jeńców rannych odesłano do batalionu sanitarnego. Do pułku przybyło uzupełnienie.

19 marca - Ogień metodyczny nieprzyjaciela. Dalsze potyczki. Tego dnia oczyszczono z drobnych grup pobliskie wsie. Wzięto do niewoli 17 żołnierzy i 5 oficerów.

20 marca - Nieprzyjaciel, na przeciwległym brzegu, zachowuje się nadal dość czynnie. Zauważono statek na Zalewie Szczecińskim, w odległości 4 km. Rozbić go nie udało się. W dalszym ciągu trwają prace nad ulepszeniem obrony. Wzięto 24 jeńców. Tego dnia, o godz. 21.00, grupa zwiadowców opanowała dwie wysypki na rzece Dziwnie, leżące w odległości nie więcej, niż 100 m, od Wolina.

21 marca - Usiłowano przeprawić się na przeciwległy brzeg, lecz bez skutku. Wzmocniono grupę zwiadowczą na zajętych w nocy wysepkach, wzięto 11 jeńców. W 4 kompanii snajper spalił kwaterę dowódcy kompanii i 2 inne gospodarstwa, pociskami zapalającymi.

22 marca - Szczególnie silna aktywność ogniowa nieprzyjaciela. Kilka domów zapalonych, a cała wieś stoi w ogniu. Są ranni, wśród nich

oficer rozpoznawczy oraz zastępca dowódcy baterii moździerzy 120 mm. Spłonął również nasz pułkowy pluton zaopatrzenia w Wiejkowie. Na wozie taborowym 4 kompanii, który spalił się również, miałem bezcenny egzemplarz biblii, pochodzący z okresu Marcina Lutera, znaleziony w jednym z opuszczonych domów.

23 marca - Statek z Zalewu Szczecińskiego ostrzeliwał brzeg z dużej odległości, niecelnie. W nocy nieprzyjaciel usiłował prowadzić przez megafony agitację. Zamilkł, gdy na jego niedorzeczne propozycje odezwały się mądrzejsze od niego moździerze. Ponowił je w innym miejscu i nagle megafon przestał działać, widocznie trafiony. Nasze podsłuchowe aparaty radiowe przechwyciły w eterze rozmowę wroga. Nasza grupa megafonowa przemawiała do Niemców rozproszonych w lasach, wzywając ich do zaprzestania oporu i oddania się do niewoli.

24 marca - Znowu w miejscowości <sup>Sinię</sup> Sinięnowo jakaś grupa usiłowała przedrzeć się na zachodni brzeg zatoki, ale natknęła się na ogień ciężkiego karabinu maszynowego i szybko zawróciła z powrotem do lasu.

Wzięto 3 jeńców.

25 marca - Nic szczególnego.

26 marca - Znowu odparto próby przedarcia się. Dowódca pułku prowadzi z dowódcami kompanii pokazowe ćwiczenia. Wzięto 3 jeńców.

27 marca - Nasza grupa rozpoznawcza wypłynęła w celu wzięcia "języka". Ostrzelana z przeciwległego brzegu, musiała wrócić, mając dwóch rannych. Trwają poszukiwania w lasach.

28 marca - Po przeciwległej stronie wybuchły pożary. Prowadzi się w dalszym ciągu ćwiczenia. Wzięto 5 jeńców.

29 marca - Na początku nocy aktywność nieprzyjaciela szczególnie wzrosła. Jak się okazało, chciał on osłonić podpływające do naszego brzegu trzy łodzie motorowe. Ogniem naszych cekaemów i erkaemów jedna łódź została zatopiona.

31 marca - Działają grupy rozpoznawcze pułkowe i dywizyjne. ~~Grupy~~  
~~Grupy~~ Grupy przeprowadziły się na cypel wyspy. Nie napotkały tam nieprzyjaciela. Poprzedniej nocy na cyplu słyszano jakieś głosy. Do dnia dzisiejszego pułk wykonał przeszło jedenaście kilometrów ciągłych rowów strzeleckich.

1 kwietnia - Jako w dzień Święta Wielkiejnocy, pododdziały były wolne od zajęć. Odbyły się wspólne obiady żołnierskie. Dowódca dywizji dokonał na terenie pułku dekoracji odznaczeniami zasłużonych w boju żołnierzy. Ale nieprzyjaciel widocznie nie świętował. W nocy jego aktywność ogniowa wzmożła się, Rozległ się gwałtowny wstrząs, jeden i kolejno jeszcze kilka. Okazało się, że mosty łączące Reclaw z Wolinem wysadzone zostały w powietrze, zarówno drogowy, jak i kolejowy.

5 kwietnia - Przystąpiono do siewu. Tego dnia pracowało około 70 żołnierzy, zasiano prawie 100 hektarów. Do 7 kwietnia wykonano 14 km okopów i przeszło 600 stanowisk dla wszelkiego rodzaju broni piechoty, a oprócz tego zaorano i zasiano 270 hektarów ziemi.

7 kwietnia - O godzinie 22.30 pułk został zluźwany przez szwadron 2 pułku ułanów.

Te lakoniczne zapiski kronikarskie lub meldunki wymagają w niektórych punktach bliższego naświetlenia oraz rozwinięcia. W tym celu muszę cofnąć się, by to możliwie rzetelnie uczynić.

W zakresie szkolenia bojowego na pierwszy plan wysunięto tematykę, stosownie do aktualnie wykonywanych przez pułk zadań, tj. organizację obrony. Z tego przedmiotu dowódca pułku przeprowadził osobiście pokazowe ćwiczenia dla dowódców kompanii na temat: "Kompanijny punkt oporu".

Następnie ćwiczenia takie przeprowadzono z dowódcami plutonów.

W początkach trzeciej dekady marca jeszcze raz powrócono do organizacji obrony. Postanowiono ją - nie naruszając dotychczasowych założeń - usystematyzować, ujednoczyć i udoskonalić. Dowódca

1 dywizji piechoty nakazał przygotować plan odparcia ewentualnej próby ataku nieprzyjaciela i zorganizować obronę system<sup>em</sup> kompanijnych i plutonowych punktów oporu. Kierując się tymi przesłankami, dowódca pułku wraz z dowódcami batalionów 23 marca przeprowadził rekonesans stanowisk wszystkich pododdziałów pułku. Wynikiem tego generalnego przeglądu były zalecenia mające na celu udoskonalenie stanowisk i systemu ognia.

Znowu poszły w ruch łopaty. Przystąpiono do kopania nowych schronów, punktów obserwacyjnych, stanowisk, rowów strzeleckich.

W 4 kompanii sytuacja, w dziedzinie wykonania prac saper<sup>skich</sup>, nie była zbyt różowa. Po odejściu do szpitala rannego dowódcy kompanii, chor. Fabiana Ejszyckiego, praktycznie od 16 lutego, kompania pozostała aż do 30 marca bez oficjalnego dowódcy. Funkcje dowódcy w zastępstwie spełniali: do 3 marca st.sier. Tomasz Boczuła, po jego zranieniu - chor. Jerzy Kosko - do dnia 23 marca, kiedy to wrócił ze szpitala, awansowany do stopnia chorążego Tomek Boczuła. Wszyscy oni byli dowódcami plutonów. Nowym dowódcą kompanii został po powrocie ze szpitala polowego ppor. Teodor Hołowski - od dnia 30 marca. Gdy zatem chor. Jerzy Kosko otrzymał rozkaz budowania stanowisk obronnych kompanii zapytał, co ja wiem na ten temat, bo postanowił obarczyć mnie tym zadaniem.

Przez parę minut, po otrzymaniu propozycji, obliczałem w myśli swoje aktywa w tej dziedzinie. Doszedłem do następujących wniosków:

- po pierwsze - "Nie święci garnki lepią",
- po drugie - modne było wtedy powiedzonko "Nie matura, lecz chęć szczera, zrobią z ciebie oficera".
- po trzecie - przypominałem sobie, że podczas konspiracyjnego przeszkolenia podchorążackiego mieliśmy trochę teoretycznych wykładów z saperki, a przy okazji dużo, na ten temat, wtedy czytałem,
- po czwarte - w Samodzielnym Batalionie Szkolnym I Dywizji z saperki otrzymałem stopień "dobrze",

- po piąte - pod Mirosławcem brałem już czynny udział w takich pracach i jeszcze nie wszystko uciekło mi z głowy.
- po szóste - przez dwa dni, 2 i 3 września 1944 r. byłem w szkole saperskiej w Jarosławiu !??
- po siódme - przypomniałem sobie, że przecież jestem żołnierzem I Dyw. Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, a patron dywizji jak wiadomo, był znakomitym inżynierem wojskowym, podczas swych walk w Ameryce.

Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, nie mogłem odrzucić "propozycji nie do odrzucenia", więc zabrałem się /mierząc siły na zamiary/ wraz z żołnierzami kompanii za łopatę, w duchu prosząc patrona dywizji, by czuwał z zaświatów nad naszym dziełem.

W tym czasie, gdy pułk pracował nad doskonaleniem obrony, 24 marca przybyła - w celu sprawdzenia organizacji obrony - komisja składająca się z oficerów sztabu dywizji i sztabu 1 armii WP. Komisja pracowała przez cztery dni i dopatrzyła się wielu usterek, zarówno natury technicznej, jak i merytorycznej. Szczególnie jaskrawe zaniedbania stwierdzono w 1 kompanii cekaemów.

Realizacja zadań pokontrolnych trwała kilka dni. O wykonaniu ich dowódca pułku zameldował dopiero po świętach, 4 kwietnia. Dowódca 1 dywizji gen. Wojciech Bewziuk zaraz osobiście dokonał kontroli wykonanych prac. Był również w 4 kompanii. Pamiętam, że po obejrzeniu naszego dzieła, pomyślał przez chwilę i zaopiniował: "Arcydzieło sztuki saperskiej to nie jest, ale ma ręce i nogi i bronić się w tym można."Dziękuję wam za poprawne wykonanie zadania" - zwrócił się do aktualnie panującego, od 30 marca dowódcy kompanii, ppor. Teodora Hołowskiego. Ten oświadczył, że maczali w tym palce chor. Jerzy Kosko i chor. Tomasz Boczuła, którzy na początku realizacji zadania pełnili obowiązki dowódcy, a nadzorował z ich rozkazu tę

pracę kapral podchorąży Edward Zapolski, saperski "spec". Dowódcę dywizji zainteresowało, skąd znam tę sztukę, a dowiedziawszy się, że z konspiracyjnej podchorążówki, zapisał moje nazwisko i udał się w drogę do sztabu dywizji w Przybiernowie. Nikt nie wiedział, co oznacza zapisanie mojego nazwiska, zresztą ja też nie domyślałem się celu.

Rozwiązanie zagadki nastąpiło rano 7 kwietnia, kiedy otrzymałem rozkaz zameldowania się w sztabie 2 pułku w Wiejkowie. Tu zakomunikowano mi, że z rozkazu gen. W. Bewziuka mam jechać do oficerskiej szkoły piechoty. Gdy dowiedziałem się, że szkoła ta mieści się w Lublinie, znikły moje opory przeciwko szkołom oficerskim. Zresztą gołymi oczami widać było, że wojna jest blisko swego finału, zaś Niemcom nie brakuje już wiele do dnia ich "sądu ostatecznego". Wracam do kompanii, by pożegnać się z przyjaciółmi, ponownie udaję się do pułku, dla otrzymania odpowiednich dokumentów, i tu zostaję na noc, a ze mną jeszcze sześciu innych kandydatów do tej szkoły z 2 pułku.

Pragnąc doprowadzić sprawę mojej saperskiej "kariery" do końca, opuściłem z pośpiechu ważny fragment dziejów 2 pułku, który muszę obecnie uzupełnić, zanim zniknę w siną dal...

W nocy z 1 na 2 kwietnia, kiedy świętowaliśmy, po ciężkiej pracy nad doskonaleniem obrony, wróg wysadził w powietrze oba mosty na Dziwnie. Mosty te już wcześniej, mocno uszkodzone, teraz przestały istnieć całkowicie.

Po świętach pułk otrzymał dodatkowo polecenie zorganizowania akcji siewnej. Zadanie to początkowo potraktowano z przymrużeniem oka, ale surowy i jak zwykle obowiązkowy dowódca pułku, płk Wiktor Sienicki, szybko przywołał wszystkich do porządku. Kampanię siewną rozpoczął 1 i 3 batalion. Zaczęto od zebrania i naprawy sprzętu rolniczego oraz przygotowania ziarna siewnego. Do pracy w polu

zgłosiło się wielu żołnierzy - rolników. Ogółem, do 7 kwietnia, zasiano zgodnie z planem 270 hektarów owsa i jęczmienia.

7 kwietnia pułk zakończył również budowę obrony. Żołnierze wykonali swoje powinności. Wyłapali ukrywających się rozbitków niemieckich, obsiali pola, zbudowali obronę, doprowadzili do porządku broń i sprzęt.

Wieczorem tego dnia, kiedy wszyscy z ulgą odetchnęli i odpoczywali, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, przybył 2 pułk ułanów 1 Warszawskiej Brygady Kawalerii i wszystko, co się tu zrobiło, przejął. Nastąpiło to około północy, jeszcze tego samego dnia. Przekazano następcom stanowiska dla 46 cekaemów, 81 erkaemów, 24 rusznic przeciwpancernych, 13 moździerzy 82 mm, 8 dział 45 mm; 5 punktów obserwacyjnych oraz 441 stanowisk strzeleckich, 12.648 m bieżących rowów strzeleckich i 1.855 m bieżących rowów łączących.

Przed wymarszem 1 dywizji z Przybiernowa na południe, ku przeprawie na Berlin, 2 pułk otrzymał uzupełnienie, które podniosło jego stan osobowy do około 1.700 żołnierzy. Wymarsz nastąpił następnego dnia, 8 kwietnia, o godzinie 18.30.

Gdy 1 dywizja szykowała się do wymarszu, tego samego dnia, rano, nasza grupa do Oficerskiej Szkoły w Lublinie, powiększona do liczby 21 żołnierzy, pochodzących z wszystkich trzech pułków dywizji, ruszała na wschód w niezupełnie bezpieczną, jak się okazało, daleką drogę powrotną, oddalającą nas z każdą chwilą od szlaku zwycięstwa, po którym kroczyliśmy od dnia 12 stycznia 1945 roku.

Ale to już inna historia i ją przekażę moim Czytelnikom w ostatniej części niniejszego rozdziału.



C. Pożegnanie z bronią

Rankiem 8 kwietnia, drogą prowadzącą z Przybiernowa do Golczewa, ruszyła mała kolumna 21 uzbrojonych żołnierzy i za chwilę przecięła wąski skrawek lasu, stanowiącego połączenie dwóch części dużego kompleksu, leśnego, biegnącego od Szczecina przez Goleń<sup>(mi)</sup>ów, Nowogard, Płoty do Wolina. Gdy znaleźliśmy się już poza przesmykiem leśnym na drodze, otoczonej z obu stron polami, na których wybuchła bujna zieleń wiosenna, usłyszeliśmy po raz pierwszy od jesieni 1944 roku, śpiew ptaków. Śpiew ten był dla nas jednak czymś w rodzaju głuchej ciszy. Po wielu tygodniach ciężkich walk, uszy nasze przyzwyczajone do nieustannego huku dział, granatów i karabinów, z trudem chwyciły subtelne dźwięki ptasiej muzyki.. W miarę oddalania się od miejsca wymarszu w kierunku północno-wschodnim, zamilkły odgłosy wojny i zaczęliśmy coraz bardziej rozkoszować się dawno nie słyszonym ptasim gwarem.

Przed wymarszem jeszcze poinformowano nas, że drogę pociągiem możemy odbywać dopiero od Reska, bo do tej miejscowości jest już zorganizowany jaki taki, transport kolejowy. Do Reska było według mapy, ponad 40 km, więc już od początku zaczęliśmy rozmyślać, jak sobie marsz przyspieszyć, bo termin zgłoszenia się w Oficerskiej Szkole Piechoty nr 2 w Lublinie był wyznaczony na dzień 16 kwietnia, a więc za osiem dni. Już we wsi Moracz, po 8 km, uśmiechnęło się do nas szczęście. W zabudowaniach opuszczonego majątku, znaleźliśmy środek lokomocji oraz siłę pociągową, czyli nazywając rzecz po imieniu, dwie bryczki oraz potrzebne konie do zaprzęgu. Czym prędzej skorzystaliśmy z daru losu i wsiedliśmy na bryczki czując się trochę jak śledzie w beczce, bo na 2 bryczki było nas 21 ludzi, i ruszyliśmy z kopyta trasą wiodącą przez Golczewo, Zagórze /dzisiejsze Gryfice/, Płoty i tu zatrzymaliśmy się na nocleg. Jechaliśmy przez opustoszałe wsie, osiedla i miasteczka, tak że będąc

zdani na własne siły, musieliśmy bardzo uważać, by nie natknąć się na jakichś rozbitków niemieckich, którzy mogli się tu na zapleczu frontu jeszcze pojawić mimo naszych akcji oczyszczających.

Po noclegu, wyjechawszy rano 9 kwietnia, dobiliśmy do oddalonego o 10 km Reska i tu zameldowaliśmy się w kolejowej komendanturze, obsadzonej przez Rosjan. Komendant powiedział, że wprawdzie pociągi już kursują, ale nie mają stałego rozkładu jazdy, więc będziemy musieli czekać na okazyjny transport. Ktoś z naszego grona wpadł na szczęśliwy pomysł. Widząc stojący na torach parowóz i dobrze prezentujący się wagon osobowy, pomyślał, że komendantowi stacji można przemówić do serca korzystnym prezentem, jaki mogły stanowić nasze bryczki oraz konie. Nam już w dalszej drodze nie były potrzebne, a towarzysz komendant mógł się na nie połakomić. I rzeczywiście, prezent nasz przypadł mu, po obejrzeniu, tak do serca, że za niewiele czasu na torach stał już "nasz" wagon, zaprzęgnięty do uruchomionej lokomotywy. Dostaliśmy od komendanta zaświadczenie, że wagon stanowi naszą wyłączną własność i nie może być, jako należący do przedstawicieli polskiej armii, przedmiotem rekwizycji. Wkrótce ruszyliśmy i torami na Łobez dojechaliśmy do Runowa, zanim jeszcze zapadł zmrok. Tu jednak dogodziła nas wojna. Gdy pociąg był prawie gotowy do dalszej drogi, wyskoczył pojedynczy niemiecki samolot myśliwski i ostrzelał stację kolejową oraz nasz pociąg, na szczęście niecelnie. Runowo było stacją węzłową, z której można było jechać w kierunku przez Drawsko-Złocieniec, Wałcz, Piłę do Bydgoszczy, i dalej, lub w kierunku Stargardu Szczecińskiego, skąd przez Choszczno, Dobiegniew, Krzyż, Wronki, Poznań i dalej. Los zdecydował w wyborze za nas. Najpierw, po nalocie, staliśmy w Runowie do godz. - 4.00 rano, 10 kwietnia, nie wiadomo dlaczego, potem jednak okazało się, że linia na Drawsko jest zablokowana, ponieważ doszło tam do katastrofy kolejowej. Skierowano nas zatem do Star-

gardu Szczecińskiego, gdzie przybyliśmy wczesnym rankiem. W Stargardzie mieliśmy "krótki", całodobowy, postój do rana 11 kwietnia, też z przyczyn okrytych dla nas tajemnicą.

Gdy następnego dnia rano pozwolono dalej jechać, mieliśmy w naszym wagonie dwie pasażerki. Były to Maryla Pawlikowska ze swoją szwagierką Stasią, dwie dziewczyny z obozu jeńców - powstańców warszawskich, które poprosiły nas o zabranie do Warszawy, gdyż pod naszą opieką miały szansę znaleźć się tam szybciej i bezpieczniej. Do p(wozu) i wagonu, w Stargardzie Szczec., doczepiono skład wiozący sporo żołnierzy radzieckich, tak że już od teraz nabraliśmy charakteru prawdziwego, sojuszniczego, transportu wojskowego. Droga nasza tego dnia, 11 kwietnia, skończyła się niespodziewanie w Krzyżu, dokąd przyjechaliśmy wieczorem, a wyjechaliśmy dopiero nad ranem, 12 kwietnia, do Poznania. Stojąc w nocy w Krzyżu byliśmy uczestnikami awantury na skalę międzynarodową. Niektórzy żołnierze radzieccy, zobaczywszy nasz słabo załadowany wagon, chcieli dokwaterować. Nie wyraziliśmy na to zgody, zasłaniając się tym, że wagon stanowi naszą własność, na co mamy odpowiedni dokument, a ponad to nie wolno nam przyjmować żołnierzy innej armii, choćby to była armia najbardziej nawet sojusznicza. Jeden z bojców, zobaczywszy w wagonie dwie młode i niebrzydkie kobiety, urażony naszą odmową powiedział, że jeżeli mogą z nami jechać osoby cywilne, to tymbardziej oni, sojusznicy. Gdy jednak napotkali na dalszą odmowę, pobiegli do radzieckiego komendanta dworca i zameldowali o incydencie, żądając by go zlikwidował. Komendant pojawił się przy wagonie i zdecydowanym głosem zażądał, by Maryla i Stacha wysiadły i udały się z nim do budynku stacyjnego. Tego nie chciały dziewczyny, przeczuwając, co je może spotkać, gdy opuszczą wagon, tego też nie chcieliśmy my. Dopiero gdy komendant powiedział, że chce je tylko wylegitymować, by się przekonać, czy rzeczywiście wracają z obozu jeńców, zgodziliśmy się na to, jeżeli czynność tę przeprowadzi w naszej obecności. Kilku

z nas zostało, by pilnować wagonu przed inwazją nieproszonych sojuszników, pozostali udali się na dworzec, jako ochrona osobista współtowarzyszek podróży. Widząc, że stanowczo nie pozwolimy na realizację ich dwuznacznych zamiarów, po wylegitymowaniu, komendant stacji orzekł, że wszystko jest w porządku i zakazał swoim rodakom wstępu do naszego wagonu.

Wyjechawszy wreszcie, nad ranem 12 kwietnia, z Krzyża, we wczesnych godzinach rannych dotarliśmy do Poznania, skąd po niedługim postoju wyjechaliśmy do Łodzi, gdzie znaleźliśmy się 13 kwietnia rano. Do Warszawy był tylko jeden krok, tak więc wyjechawszy 13 kwietnia o godz. 8.00, do południa znaleźliśmy się w Warszawie. Tu rozstaliśmy się z naszymi podopiecznymi, po serdecznym pożegnaniu i podziękowaniach za troskliwą opiekę.

Ponieważ przez Wisłę nie kursowały pociągi, bo mosty były jeszcze zburzone, "nasz" wagon zmuszeni byliśmy przekazać PKP, a sami dowiedzieliśmy się, że z drugiej strony Wisły kursują pociągi na Lublin i, że najbliższy będzie miał odjazd około godz. 23.

Korzystając z kilkugodzinnej przerwy w podróży udałem się z jednym z kolegów na ulicę Żelazną, z myślą, że tam znajdę jakąś wskazówkę, dotyczącą aktualnego adresu Haliny Żurek, siostry poległej Krysi, by od Niej usłyszeć coś bliższego na temat śmierci Krysi. Niestety i tym razem nie znalazłem żadnej wskazówki.

Do Lublina przybyliśmy 14 kwietnia o godz. 10. Mimo przeszkód i nieplanowanych postojów po drodze, mieliśmy do daty stawienia się w szkole prawie dwie doby, więc zaproponowałem kolegom, że niedaleko dworca, przy ul. Bychawskiej 33, mieszkają moi wujostwo, u których możemy na te dwa dni zakwaterować i ja w ich imieniu zapraszam wszystkich. Krewni ci, jak już pisałem, byli to moi Rodzice, którzy nosząc inne nazwisko, zmuszeni byli uchodzić za wujostwo.

Można sobie wyobrazić, z jednej strony radość "Cioci", gdy mnie ujrzała, z drugiej zaś strony przerażenie, że towarzyszy mi, skrom-

nie licząc niemal cały pluton wojska. Przyznać należy jednak, że ani chwili nie zastanawiała się, czy wyrazić zgodę na zakwaterowanie. Tak więc, przez dzień 14 i 15 kwietnia, mieszkanie "wujostwa" było kwaterą główną przyszłych pułkowników, czy wręcz generałów LWP. "Ciocia" zainteresowała się moją b<sup>ł</sup>elizną i skończyło się na jej kompletnej wymianie na nową. Zobaczywszy zaś frontowy mundur, który służył mi przez całą ofensywę, postanowiła go uprać i mimo protestów, że nie mogę biegać po mieście, w cywilnych ciuchach, doprowadziła do częściowej demobilizacji "siostrzeńca", kpr.pchor. Zapolskiego.

W drugim dniu pobytu przyszło mi do głowy, że przecież na tej samej ulicy Bychawskiej mieszka kolega z partyzantki od "Nerwy", Kazik Szwed - "Noir", i że powinienem go odwiedzić. Na cywilne ubranie włożyłem wojskowy płaszcz, do kieszeni dokumenty wojskowe, czapkę wcisnąłem na głowę i szybkim krokiem udałem się do Kazika, który mieszkał dosłownie o dziesięć minut drogi od mieszkania moich Rodziców. Zadzwoiłem do znanych mi drzwi. Otworzyła je matka Kazika, za którą z tyłu pojawiła się postać w mundurze wojskowym. Matka Kazika zapytana o niego, powiedziała mi krótko: "Jest aresztowany i pan jest też aresztowany w tej chwili". Zrozumiałem, że wpadłem, w tak znany mi, jeszcze z czasów okupacji hitlerowskiej, "kocioł", zostawiony po aresztowaniu Kazika, przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, dla wyłapania wszystkich podejrzanych gości, chcących go odwiedzić. Aresztowanie nastąpiło 15 kwietnia, a że 16 kwietnia miałem wraz z innymi kolegami stawić się w koszarach Oficerskiej Szkoły Piechoty, więc zacząłem gorączkowo myśleć, co stanie się ze mną i czy uda mi się w porę z tych opałów wygrzebać, by w określonym terminie stawić się w Szkole.

W pokoju, do którego mnie wprowadzono, było poza matką i siostrą Kazika, trzech umundurowanych funkcjonariuszy U.B. Żaden z nich nie nosił na mundurze odznak stopni i dopiero wtedy zorientowałem

się, gdy jeden zwrócił się o okazanie dokumentów, że to pewnie jest dowódca. Poleciał mi, bym zdjął płaszcz wojskowy i, zobaczywszy pod nim cywilne ubranie, zaczął węszyć jakąś grubą aferę konspiracyjną. Gdy dałem mu do ręki książeczkę wojskową z 2 pułku oraz skierowanie do oficerskiej szkoły, najpierw pogrążył się w uważnym studiowaniu tych dokumentów, później zapytał, co tu robię i dlaczego jestem półcywilem, gdy dokumenty świadczą, że jestem żołnierzem. Szczerze i zgodnie z prawdą wyjaśniłem, że mundur jest w praniu, a wizyta moja ma jak najbardziej charakter prywatnych odwiedzin, od kilku miesięcy nie widzianego przyjaciela z partyzantki. Nie widzę zatem powodu, by dłużej tu przebywać, bo przecież jutro mija termin stawienia się w szkole. Rozpoczęła się rozmowa, w trakcie której rozmówca przyznał się, że też służył w I Dywizji Piechoty, zanim trafił do U.B.; zaczęliśmy wyszukiwać wspólnych znajomych z 2 pułku i po chwili odruchowo zaczął zwracać się do mnie po koleżeńsku "ty", zaś ja mu się niezwłocznie zrewanżowałem.

W pewnej chwili poprosił, byśmy przeszli do drugiego pokoju i tu, zastrzegając sobie moje milczenie, zapytał czy znam Mariana Opatowskiego z 2 batalionu. Jak już pisałem, w trakcie walk o Mirosławiec Opatowski wraz, z innymi, wyjechał do szkoły oficerskiej i od tej pory go nie widziałem.. "Wypuścić cię nie mogę, bo wlałeś tu do człowieka aresztowanego i podejrzanego o dalszą działalność konspiracyjną, więc musisz się w Urzędzie oficjalnie wytłumaczyć z tej wizyty. Jedno mogę dla Ciebie zrobić, jako dla byłego kolegi z I Dywizji, że nie będę czekał, aż do likwidacji "kotła", ale zaraz Cię zaprowadzę do Urzędu. Tam postaraj się, by rozmowę z tobą przeprowadził szef naszego urzędu, a jest nim, o czym ty nie wiesz ode mnie, Marian Opatowski. Wysłano go nie do szkoły oficerskiej, lecz by objął obecną placówkę" - zakomunikował mi dowódca ubowców i dodał: "Lepiej będzie, jak włożysz na siebie mundur woj-

skowy, który już do tej pory pewnie jest suchy, bo twoje cywilne ubranie może obudzić, w niektórych naszych funkcjonariuszach, dalsze podejrzenia. Udamy się do mieszkania twojej ciotki, przebierzesz się, ale ani jej, ani swoim współkolegom, nie mów, gdzie cię prowadzę".

Po chwili rozmówca mój założył płaszcz wojskowy i dopiero teraz, ze zdumieniem, przekonałem się, że na pagonach ma gwiazdki oficerskie. Przeprosiłem go za dotychczasowe familiarne zwracanie się do niego "ty", co skwitował krótko, że nic się nie stało, bo przecież służyliśmy w tej samej dywizji, więc nie musimy być w stosunku do siebie zbyt oficjalni.

Po kilkunastu minutach, byliśmy w mieszkaniu moich Rodziców. Zastaliśmy w nim tylko Mamę, bo reszta frontowej gwardii zatrudniała się poznawaniem Lublina. Mamie powiedziałem, że idę z kolegą, by załatwić swoje sprawy wojskowe i prosiłem, by pozostałym kolegom wyjaśniła, że do Szkoły, w związku z tym, mogę się trochę spóźnić.

Idąc ze mną do Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa, znajdującego się przy ówczesnej ulicy Spokojnej, a obecnie chyba zwanej 22 lipca, ostrzegł jeszcze raz, bym niczym nie dał do zrozumienia, że znam nazwisko szefa urzędu, a tym bardziej, że znam je od niego. "Znajdź jakiś sposób, aby cię zaprowadzono do ~~szefa~~" - zakończył mój rozmówca. Po przyjeździe na miejsce przekazał mnie w ręce profosa aresztu; zostałem wsadzony do celi, gdzie było już kilkanaście innych osób.

Już przy pierwszym przyniesionym do celi posiłku, a był to obiad, odmówiłem jego przyjęcia, zanim nie zobaczę się z szefem ~~profos~~, dla wyjaśnienia pomyłki, której ofiarą padłem. Profos bardzo "grzecznie" odpowiedział, że każdy tu siedzi "przez pomyłkę", i że szef ~~szef~~ akurat tylko czeka na to, bo ma za dużo czasu, aby z takimi ofiarami pomyłek prowadzić towarzyskie rozmowy. Mimo wy-

jaśnienia, ja pozostałem przy swoim i obiadu nie zjadłem. To samo było z kolacją, z tą różnicą, że by spotęgować wrażenie i spowodować wizytę u szefa, kawę wylałem na podłogę w obecności profosa. Gdy następnego jednak dnia rano, 16 kwietnia, również śniadania nie przyjąłem, musiano szefowi zameldować, że więzień odmawia posiłków, bo chce odbyć z nim rozmowę. Szef poprosił o przekazanie moich dokumentów. Ku swojemu osłupieniu otrzymał książeczkę wojskową, kiedyś wystawioną jego własną ręką. Natychmiast rozkazał profosowi, by obywatela kpr. podch. Edwarda Zapolskiego poprosił na spotkanie, o które tak energicznie się upomina.

Gdy profos pojawił się w drzwiach celi, wiedziałem, że sprawę wygrałem. Świadczyło o tym grzeczne zwrócenie się do mnie: "Panie podchorąży, szef prosi pana o udanie się do jego gabinetu". W chwili mojego ukazania się w drzwiach pokoju, zajmowanego przez szefa Urzędu, ten siedział w głębi za biurkiem. Na mój widok zerwał się z krzesła, podbiegł do drzwi, i ująwszy mnie w ramiona, serdecznie uściskał, mówiąc: "To ty, stary już nie mogłeś wymyśleć innej drogi na odwiedzenie mnie w Lublinie, jak poprzez "kocioł". Równocześnie polecił zdumionemu profosowi, by przyniósł ze stołówki ~~obiad~~ obiad dla dwóch osób, kawę i papierosy. Jedząc dobry obiad, krótko opowiedziałem Marianowi, w jaki sposób trafiłem do "kotła" oraz wytłumaczyłem cel mojej wizyty u "Noira". Teraz Opatowski uświadomił mi niebezpieczeństwo na jakie naraziłem się, odwiedzając przyjaciela. "Ja ci wierzę, bo cię znam dobrze z pułku, ale gdyby na moim miejscu siedział w tej chwili inny szef, <sup>o</sup>obwiam się, że miałbyś duże trudności w wytłumaczeniem się, o ile by Ci w ogóle uwierzono" - powiedział Marian i polecił jednemu z oficerów spisać protokół przesłuchania, następnie zaś podpisał zwolnienie z aresztu i rozkazał wystawić mi zaświadczenie dla Oficerskiej Szkoły, które miało usprawiedliwić jednodniowe opóźnienie. Oczywiście w usprawiedliwieniu tym dodano, że zatrzymanie nastąpiło



omyłkowo.

Wracając do domu, po wyjściu z Urzędu Bezpieczeństwa, spotkałem na ulicy Krakowskie Przedmieście kolejno aż dwóch kolegów z partyzantki: "Chana" i "Maratończyka".

Zatrzymanie w ubeckim kotle spowodowało, że dopiero po zwolnieniu z aresztu mogłem usłyszeć historię dalszych losów rodziny. Otóż, wkrótce po moim odejściu do wojska, Ojciec wstąpił do Milicji Obywatelskiej i otrzymał nominację na szefa komórki śledczej w IV Komisariacie M.O. przy ul. Krakowskie Przedmieście 57. Stało się tak, pomimo służby Ojca w przedwojennej policji oraz w policji "granatowej". Szczegółowe prześwietlenie" działalności Ojca w obu tych okresach służby, nie dało podstaw do zakwestionowania Jego postawy obywatelskiej. Wśród ludzi weryfikujących Ojca, znaleźli się również tacy, których On przed wojną aresztował za ich działalność komunistyczną, ale i ci także nie wnosili zastrzeżeń do Jego osoby.

Brat Zdzisław zrealizował swoje ciche marzenie. Ulegając prośbie Matki zrezygnował z ochotniczej służby wojskowej na froncie, ale za to postanowił wstąpić w ślad za Ojcem, do M.O. Pod koniec sierpnia 1944 r. zapisał się na kurs kierowców samochodowych u Zambellego przy ul. Żmigród i ukończył go w połowie listopada, otrzymując prawo jazdy. W grudniu złożył podanie o przyjęcie do M.O, zaś w styczniu 1945 roku został przyjęty i zaczął pracę w III Komisariacie przy. Pl. Bychawskim.

Najmłodszy brat Tadeusz poświęcił się zdobywaniu wiedzy w szkole średniej.

Mama, jak zwykle, była głową, która rządziła rodziną i poświęcała się zdobywaniu dodatkowych środków na jej utrzymanie.

Do Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2 zgłosiłem się 17 kwietnia, a więc następnego dnia po zwolnieniu z aresztu U.B. Moi frontowi koledzy byli tu już od poprzedniego dnia.

Opis kilkumiesięcznego pobytu w szkole pragnę rozpocząć od przytoczenia krótkiej historii uczelni, zaczerpnąwszy dane z dwóch publikacji: "Album pamiątkowy I-go Zjazdu Wykładowców i Absolwentów OSP nr 1 w Lublinie - wrzesień 1973" oraz "II Zjazd Koleżeński Wychowawców i Wychowanków 2 Frontowej Oficerskiej Szkoły Piechoty - wrzesień 1983".

"Naczelnny Dowódca WP, generał broni Michał Rola-Żymierski, rozkazem nr 31 z dnia 20 września 1944 r. powołał 2 Frontową Oficerską Szkołę Piechoty w Lublinie. Pierwszym komendantem szkoły został mianowany płk dypl. Michał Nosewicz, który pełnił tę funkcję do 20 listopada 1944 r. Następnie rozkazem Naczelnego Dowódcy WP z dnia 20 listopada

1944 r. na stanowisko komendanta szkoły został powołany Konstanty Kontrym. Na przełomie sierpnia-września 1945 r. szkoła uległa reorganizacji i została przeniesiona do Gryfic /Zagóń/. W dniu 18 września 1945 r., zgodnie z rozkazem Naczelnego Dowództwa WP, płk Konstanty Kontrym przekazał dowództwo szkoły nowemu komendantowi, płk dypl. Stefanowi Żytkowi.

Szkoła składała się z dwóch batalionów strzeleckich, batalionu moździerzy oraz batalionu CKM i od grudnia 1944 r. nosiła nazwę Oficerska Szkoła Piechoty nr 2.

Podchorążowie, poza nauką w szkole, wykazywali wiele inicjatywy w tworzeniu sobie podstawowych warunków bytowania w zdewastowanych budynkach koszarowych. W obiektach tych z wyjątkiem ścian nie było nic. Okna z braku szyb musiano zabijać deskami. Spano po dwóch, trzech na drewnianych pryczach, nakrywając się trzema kocami i trzema płaszczami, bo każdy podchorąży posiadał jeden ekwipunek. Zajęcia trwały od godz. 6 do 22 każdego dnia, nie wyłączając większości niedziel.

Pomimo napiętego programu nauczania w szkole, podchorążowie jeszcze całymi kompaniami pracowali w mieście przy odgruzowaniu zniszczonych budynków. W uznaniu ich trudu i za ofiarną pracę na rzecz środowiska miejskiego społeczeństwo Lublina ufundowało sztandar, który został wręczony szkole w dniu 30 kwietnia 1945 r. Sztandar ten znajduje się obecnie w Muzeum WP w Warszawie".

W chwili, gdy przekroczyłem progi O.S.P. nr 2, jej komendantem był płk. Konstanty Kontrym, jego zastępcą płk Gabriel Walikowski, dyrektorem nauk płk Wacław Kossowski, zastępcą dyrektora nauk, kpt. Jan Janowski. Zostałem przydzielony do 2 batalionu, na którego czele stał mjr Mikołaj Aliazarczyk, zaś dowódcą mojej 7 kompanii był Jan Herzog, który w późniejszym czasie zmienił nazwisko na Jan Horecki. Poczta polowa naszego batalionu nosiła numer 83825 "B".

Pierwsza promocja oficerska odbyła się jeszcze podczas działań wojennych, w dniu 15 grudnia 1944 r. Podczas naszego pobytu w szkole odbyły się trzy promocje: 15 maja 1945 roku, 22 czerwca 1945 r., wreszcie promocja naszej grupy odbyła się już w Gryficach, w dniu 9 listopada 1945 r.

Oto kilka zdarzeń, które utrwaliły się w mej pamięci, z okresu pobytu szkoły w Lublinie.

W dniu 9 maja 1945 roku stałem na posterunku wartowniczym przy magazynku amunicji na terenie szkoły, gdy nagle i niespodziewanie rozległy się w mieście, wokół szkoły i na jej terenie, serie z broni maszynowej, a nawet strzały artyleryjskie. Nie wiedziałem z początku,

co to oznacza, lecz jeden z przebiegających obok mnie i strzelających żołnierzy poinformował, że są to strzały na wivat z okazji podpisania kapitulacji Trzeciej Rzeszy i zakończenia wojny. Choć to nie było zgodne z regulaminem, pozwoliłem sobie i ja dać wyraz ogólnej radości, wysyłając w powietrze serię z automatu.

Drugie wydarzenie miało dla mnie duże osobiste znaczenie. Była to piękna niedziela majowa. Nie otrzymawszy tego dnia przepustki do miasta, udałem się na zieloną trawkę na terenie koszar, od strony ulicy Głębokiej. W pobliżu mnie opalał się na rozłożonym kocu znany z widzenia młody podporucznik z innego batalionu, o nieznanym mi nazwisku, ale o twarzy przypominającej kogoś z niedalekiej przeszłości. Rozpoczęliśmy rozmowę, w trakcie której obaj doszliśmy do wniosku, że gdzieś, kiedyś niedawno, los nas już ze sobą zetknął. Zaczęliśmy wymieniać fakty z naszych życiorysów, by trafić na taki, który by potwierdził wzajemne odczucia. Gdy po kilku nieudanych "przymiarkach" wymieniłem w końcu pobyt w oddziale partyzanckim AK por. "Nerwy", mój rozmówca stwierdził, że i on służył w tym samym oddziale i używał pseudonimu "Wiór", podając równocześnie swoje nazwisko: Jerzy Sobieszczanski. Pseudonim "Wiór" przypominał kolegę z oddziału, ale nie dało mi spokoju również nazwisko kolegi. Zapytałem go, czy kiedyś, w dzieciństwie nie mieszkał w Jastkowie, bo ja znałem tam komendanta posterunku policji, zwierzchnika mojego Ojca, o takim samym nazwisku, który miał dwóch synów: Jerzego i Józefa. "Wiór" oświadczył, że to był ich ojciec i że teraz przypomina sobie to, iż kiedyś w dzieciństwie, bawiliśmy się razem, ponieważ nasze rodziny były zaprzyjaźnione. Co do brata Józka to przypominał, że on też służył w naszym oddziale partyzanckim pod pseudonimem "Sęk", pełniąc funkcję zastępcy por. "Nerwy", i że zginął w boju pod Pawlinem, na miesiąc przed moim przejściem z oddziału, por. "Spartanina" do por. "Nerwy". Wyprzedzając późniejsze wydarzenia, chcę tu dodać, że Jurek jako oficer-instruktor przeniósł się wraz z naszą szkołą do Gryfic i później utrzymywaliśmy przyjacielskie kontakty, po jego przejściu do cywila i zamieszkaniu w Łodzi. Dopiero choroba Jurka i przedwczesna śmierć przerwała naszą przyjaźń.

Poza wykładami i ćwiczeniami polowymi, przewidzianymi w programie nauki, braliśmy udział w służbie garnizonowej, odbywając patrole na szosach wylotowych z Lublina. Placówki te stanowiły ubezpieczenie miasta przed niespodziewanymi atakami ówczesnego podziemia zbrojnego.

W początku czerwca 1945 r. nasz drugi batalion został przewieziony do Janowa Lubelskiego, jako osłona funkcjonariuszy U.B., którzy udali się tam, by aresztować w tej okolicy czynnych działaczy podziemia.

Podczas tej akcji przebywaliśmy przez kilka dni w ciągłym pogotwiu. Wracając z wyprawy przez Kraśnik byliśmy świadkami i uczestnikami tragicznego dla nas wydarzenia. Nasz dowódca batalionu, mjr Alizarczyk, wracający z kontroli posterunków ubezpieczających, w towarzystwie swego gońca, pchor. Sirczuka, w pewnej chwili zauważyli kilka podejrzanie wyglądających osób i wezwali je do zatrzymania się i okazania dokumentów. W odpowiedzi otrzymali serię z pistoletów maszynowych, w wyniku której zginął pchor. Sirczuk. Pogrzeb jego odbył się 6 czerwca 1945 r.

Na strzelnicę maszerowaliśmy aż na Czechów. Odległość ok. 2 km musieliśmy pokonywać biegiem na rozkaz dowódcy kompanii, por. Herzoga. Oficer ten miał wprawdzie rodowód bojowy, ale od czasów Lenino był poza frontem, więc nie mógł zrozumieć, że niektórzy z naszego plutonu frontowego są po niedawnych zranieniach i kontuzjach ~~nie~~ nie są tak sprawni, jak inni podchorążowie z kompanii. Gdy mu kiedyś usiłowałem zwrócić uwagę na ten fakt, podpadłem do tego stopnia, że oświadczył wobec całej kompanii, iż wyrosną mu włosy na dłoniach, jeżeli zostanę oficerem. Oficerem wprawdzie nie zostałem i tu prorocstwo się spełniło, ale odbyło się to już bez jego współudziału i z innej przyczyny, o czym mam zamiar opowiedzieć we właściwej chwili.

W naszej szkole działała drużyna piłkarska "Podchorążak", tocząca zacięte boje z ówczesnymi drużynami miejscowymi: "Lotczyk" oraz "Lublinianka"

Każdego poranka, bez względu na pogodę, odbywaliśmy gimnastykę poranną w takt przygrywającej orkiestry szkolnej.

Szkoła nasza, przy takich okazjach, jak zakończenie wojny, 1 maja, 9 maja, 22 lipca itp. brała udział w defiladach na mieście, co zazwyczaj bywało poprzedzane intensywnymi przygotowaniem na terenie koszar.

Często, mając w Lublinie oficjalnie "Ciocię", a w rzeczywistości Rodziców i Braci, otrzymywałem przepustki na miasto. Gdy jednak kilka razy zostałem ukarany stójką pod karabinem, za drobne spóźnienia powrotu do koszar, zacząłem urywać się również na "przepustki" przez dziury w płocie, co w wypadku odkrycia groziło najwyższą taką samą karą.

Na krótko przed 20 sierpnia 1945 r. otrzymaliśmy rozkaz przeprowadzki szkoły do ówczesnego Zagórza, a obecnych Gryfic. W dniu 21 sierpnia rozpoczęła się przeprowadzka przebyciem kolejną trasą Lublin-Kraśnik-Rozwadów-Sandomierz. Następnego dnia, przez Starachowice-Ostrowiec Świętokrzyski - Skarżysko Kamienna-Opoczno, dotarliśmy do Tomaszowa Maz. Trasa 23 sierpnia wiodła przez Pabianice - Łęczycę - Kutno do Aleksandrowa Kuj. W dniu 24 sierpnia przejechaliśmy przez Otłok-Toruń-

Bydgoszcz-Nakło-Osiek do Miasteczka Kraj. Dalsza droga 25 sierpnia prowadziła przez Piłę-Jastrowie-Szczecinek-Białogard-Świdwin-Resko-Płoty, by skończyć się w dniu 25 sierpnia w Gryficach.

Podróż odbyła się sprawnie i cały czas nie opuszczał nas dobry humor, a pod jej koniec jechaliśmy przez dobrze znane z walk miejscowości, które my frontowcy witaliśmy z prawdziwym wzruszeniem. Po przejeździe nastąpiło połączenie obu szkół, tej z Lublina i tej z Zagórza. Część obsady oficerskiej stanowili oficerowie z Lublina, część zaś miejscowi. Wkrótce komendantem szkoły został płk dypl. Stefan Żytek, dyrektorem nauk płk Dymitrjew, jego zastępcą kpt. Jan Jankowski, zaś dowódcą naszego batalionu mjr Rudziński. Zostałem przydzielony do kompanii, dowodzonej przez por. Edwarda Hejnę. Mój były dowódca batalionu z Lublina, mjr Alizarczyk, objął inny batalion, a ze znanych oficerów z Lublina pamiętam jeszcze por. Jerzego Sobieszczańskiego por. Raja, por. Kamińskiego. Przerwę reorganizacyjną zaczęliśmy intensywnie odrabiać wzmożonym tempem wykładów i ćwiczeń w terenie.

Poza nauką w szkole, do naszych obowiązków należało pełnienie służby wartowniczej na placówce w majątku należącym do szkoły, leżącym kilka kilometrów od Zagórza. Komendantem tego majątku był przedwojenny rotmistrz Starnawski, który niedawno powrócił z niewoli niemieckiej. Majątek ten, tak jak i magazyny wojskowe w okolicy, musiał być obsadzony przez stale zmieniające się placówki, dla ochrony przed zakusami dezertersów lub maruderów z Armii Radzieckiej, którzy usiłowali ~~stać~~ zapoznać się z zawartością magazynów, próbując najczęściej bezskutecznie uwolnić nas od dóbr, w nich zdeponowanych.

Tak minął czas do początku października 1944 r. Zaczęliśmy się przygotowywać do egzaminów końcowych, mających odbyć się w niedalekiej przyszłości. Kurs trwał do 21 października włącznie, zaś egzaminy odbyły się w dniach 21-25 października 1945 r. W wyniku egzaminów zdobyłem z przeważającą ilością przedmiotów stopień "celujący":

1. sprawowanie,
2. wyszkolenie instruktorskie,
3. wyszkolenie polityczne,
4. wyszkolenie taktyczne,
5. wyszkolenie strzeleckie,
6. wychowanie fizyczne,
7. regulaminy,
8. topografia,
9. inżynieria wojskowa
10. chemia wojskowa,
11. artyleria,
12. łączność.

Z musztry mój wysiłek oceniono na "dobry", zaś wykłady z broni pancernej, lotnictwa, administracji wojskowej, wyszkolenia sanitarnego, zaliczono jako wysłuchane, bez obowiązku zdawania egzaminów końcowych. Wyniki te stawiały mnie w rzędzie najlepszych absolwentów szkoły i kwalifikowały do promocji na stopień podporucznika. Stopień chorążego był zarezerwowany dla tych podchorążych, którzy mogli wykazać się dużo

słabszymi wynikami w nauce.

Promocję zaplanowano na 9 listopada i miał jej dokonać marszałek Michał Rola-Żymierski. Zaczęły się przygotowania do sprawnego jej przebiegu, a więc ćwiczenie defilady, musztry itp. Przygotowano rozkaz awansowy, w którym i moje nazwisko figurowało wśród kandydatów na podporuczników, zrobiono zdjęcia do legitymacji oficerskich, wysłano zaproszenia na promocję do najbliższych rodzin.

Ponieważ przez cały czas służby na froncie posługiwałem się nazwiskiem z "lewej" kankarty, postanowiłem sprawę nazwiska uregulować jeszcze przed promocją. Zameldowałem dowódcy kompanii, por. Hejnie, o fakcie posługiwania się fałszywą kankartą po wyjściu z partyzantki, o moich próbach wrócenia do właściwego nazwiska, już po wstąpieniu do wojska, o zamiarze przystąpienia do promocji oficerskiej pod własnym nazwiskiem, Por. Hejna uznał swoje kompetencje w tej sprawie za niewystarczające i polecił, bym stanął do raportu do mjr. Rudzińskiego, dowódcy batalionu i chwilowego zastępcy nieobecnego komendanta szkoły. Gdy stanąłem, w najlepszej wierze, do raportu u mjr. Rudzińskiego, ten oświadczył, zresztą niezgodnie z prawdą, że dopiero w tej chwili ujawniam przynależność do Armii Krajowej i w tej sytuacji on nie pozwoli mi na promocję oficerską. Natychmiast zgłosiłem się do Szefa Informacji Wojskowej, by ten zajął w tej sprawie stanowisko, ponieważ nikt, tak jak on, nie posiadał dokładniejszych informacji o przebiegu służby wojskowej każdego żołnierza. Szef Informacji, radziecki podpułkownik, zapoznał się niezwłocznie z moimi aktami personalnymi, odnalazł w nich notatkę swego poprzednika, Szefa Informacji Wojskowej 1 dywizji, o zgłoszeniu przeze mnie przynależności do AK, oraz faktu występowania pod innym nazwiskiem, więc stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, zabrał mnie motocyklem do mjr. Rudzińskiego, by mu wyperswadować podjętą decyzję. Oświadczył, że organa Informacji gwarantują, iż, to co robiłem w wojsku, nie nosi cech żadnego przestępstwa. Mjr Rudziński nie został przekonany argumentami Szefa Informacji, on wiedział lepiej... i nie pozwolił, by człowiek ukrywający się pod innym nazwiskiem został oficerem.

Nadszedł dzień promocji. Z Lublina przyjechali moi Rodzice, lecz po kilku dniach powrócili do domu, dowiedziawszy się o nieodwołalnej decyzji mjr. Rudzińskiego. Ten zaś, w obawie bym nie zgłosił się do raportu do marszałka Żymierskiego uniemożliwił mi to, wysyłając na kilka dni na placówkę do majątku szkolnego, jako jego dowódcę. Promocja odbyła się zatem całkowicie bez mego, nawet biernego udziału, bowiem z placówki wróciłem do szkoły dopiero po promocji i wyjeździe Marszałka.

Kpt. Jankowski, zastępca dyrektora nauk, płk Dmitrajew, spotkał mnie na dziedzińcu szkolnym tuż po powrocie z majątku i znając jeszcze z Lublina, zapytał jakie mam plany na przyszłość. Gdy zauważył, że nie bardzo mogę sobie tę przyszłość wyobrazić, zaproponował, w porozumieniu z płk. Dmitrajewem, pracę w Dyrektoriacie Nauk, w charakterze szefa kancelarii. Po wyrażeniu zgody na tę pracę, rozpocząłem ją pod koniec listopada. Zaraz na początku ~~zostałem~~ wystawiono mi świadectwo ukończenia Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2, oczywiście z zaznaczeniem, że nie otrzymałem promocji. Świadectwo to zostało wystawione na poprawione nazwisko, Zapolski-Kusy, i podpisane przez płk Dmitrajewą, jako p.o. dowódcy szkoły, oraz przez kpt. Jankowskiego, który w tym wypadku podpisał się jako Dyrektor Nauk w zastępstwie.

Na Święta Bożego Narodzenia wyjechałem wraz z przyjaciółmi, por. Sobieszczańskim oraz Rajem, do Lublina. Z urlopu miałem wrócić niedługo po Nowym Roku. Wracając poświęcając do Gryfic i przejeżdżając przez stację Rakowice koło Lubawy, wysiadłem, by odwiedzić mieszkającą tu wraz z rodzicami moją serdeczną koleżankę szkolną, Zosię Wojtecką, z którą ostatni korespondencyjny kontakt miałem jeszcze przed pójściem z poczty w Lublinie do oddziału partyzanckiego. Zostałem przyjęty serdecznie i w gościnnym domu p. Wojteckich spędziłem kilka dni. Dowiedziałem się, że Zosia wyszła niedawno za mąż za znanego mi z Radomia, Zygmunta Miłoszewskiego, syna pani Dąbrowskiej, w której domu mieszkaliśmy przez pewien czas po przeprowadzce z Jastkowa na Pomorze. Przyjmowany bardzo serdecznie przez Zosię, Jej męża oraz rodziców, nie zauważyłem, że urlop się kończy i do Gryfic wróciłem z kilkunastogodzinnym opóźnieniem. Na to oczekiwał jednak prześladowca, mjr Rudziński, który po powrocie rozkazał zwolnić mnie z pracy w Dyrektoriacie Nauk i przekazać do pracy w w kompanii gospodarczej, którą dowodził por. Kamiński. Do moich obowiązków miała należeć obsługa koni w stajni, należącej do szkoły.

Zameldowałem się u por. Kamińskiego i, przekazując mu rozkaz mjr Rudzińskiego, oświadczyłem, że nie mam zamiaru go wykonać. Widocznie jednak mjr Rudziński przewidział podobny bieg wypadków, ponieważ por. Kamiński zakomunikował, że z jego rozkazu mam być ukarany siedmiodniowym aresztem. ~~Por. Kamiński~~ Cały personel szkoły znał konflikt z mjr Rudzińskim i stanął po cichu po mojej stronie, więc owe siedem dni w areszcie przebiegło bardzo przyjemnie, przy pełnym zrozumieniu i sympatii całego otoczenia. Po odbyciu kary, musiałem znów stawić się w kompanii gospodarczej, gdzie otrzymałem pytanie, czy teraz wykonam rozkaz mjr Rudzińskiego. Po ponownej odmowie, tym razem karę wymierzył

osobiście sam major, ofiarowując znów siedmiodniowe wczasy w szkolnym areszcie. Po odbyciu tej kary, a było to już w drugiej połowie stycznia, i po kolejnej odmowie wykonanie rozkazu, nie zostałem już więcej ukarany, gdyż teraz już tylko sąd wojskowy mógł orzec karę, i przebywałem w kompanii gospodarczej jeszcze około dwóch tygodni.

Po upływie tego czasu, zostałem przekazany, wraz z wielu innymi żołnierzami kompanii gospodarczej, około 10 lutego do Gdańska, jako uzupełnienie dla 16 dywizji piechoty. Oficerem, towarzyszącym nam z Gryfic do Gdańska, był. por. Terlecki, wykładowca topografii, który znał również przyczyny zatargu z mjr Rudzińskim i jego sympatia była po mojej stronie. Świadczył o tym jego meldunek, który złożył dowódcy 16 dywizji piechoty, mówiąc że przywiózł uzupełnienie, liczące, już nie pamiętam ilu, szeregowców i "jednego prawie oficera". Poproszony, aby bliżej określił, co rozumie, używając słów "jednego prawie oficera", opowiedział dokładnie o szykanach mjr Rudzińskiego. Dowódca 16 dywizji okazał się oficerem przedwojennej armii polskiej, więc postanowił z miejsca, że "prawie oficer", w jego dywizji stanie się w krótkim czasie prawdziwym oficerem drogą przyspieszonych awansów służbowych. Zostałem postawiony przed jego oblicze i po odbyciu krótkiej rozmowy otrzymałem propozycję objęcia ważnej funkcji na etacie oficerskim, w wydziale polityczno-wychowawczym dywizji. Propozycji tej nie przyjąłem, wyjaśniając, że dla byłego partyzanta AK, funkcja w aparacie polityczno-wychowawczym jest nie do przyjęcia, z uwagi na to, że musiałbym głosić oficjalnie poglądy polityczne, których nie jestem w stanie wyznawać, mimo całej lojalności służbowej. Dowódca okazał zrozumienie i zmieniając swą propozycję zaoferował funkcję sekretarza Sądu Wojskowego 16 dywizji. Była to funkcja również na etacie oficerskim. Zamieszkałem na mieście, zaś zaopatrzenie pobierałem w kasynie sztabu dywizji. W najbliższym rozkazie dywizyjnym ogłoszono tę nominację oraz awans do stopnia plutonowego podchorążego, co miało przyspieszyć drogę do awansu oficerskiego. I chyba byłbym w krótkim czasie tą drogą szybko oficerem, gdyby nie przypadek, który najczęściej decyduje o wielu ludzkich sprawach.

Przez cztery miesiące, od lutego do czerwca 1946 r. pełniłem funkcję sekretarza Sądu Wojskowego 16 dywizji piechoty. Za wiedzą dowódcy zapisałem się do cywilnego gimnazjum we Wrzeszczu, w pobliżu Sądu, aby tu ukończyć czwartą klasę gimnazjum, do której promocję otrzymałem jeszcze w czerwcu 1939 r. Gimnazjum było przeznaczone dla dorosłych, więc w ciągu półrocza robiliśmy jedną klasę. Z pobytu w tej klasie zostało mi w pamięci kilka nazwisk kolegów, z którymi byłem bliżej



zaprzyjaźniony, lub z którymi do dziś utrzymuję koleżeńskie kontakty. Oto one: Stanisław Schmidt, Zygmunt Sikorski, Edmund Mazur, Czesław Dziurawiec.

W chwilach wolnych od pracy i nauki przebywałem często w towarzystwie por. Zdzisława Czecha, kolegi ze szkoły oficerskiej, który otrzymał przydział służbowy do placówki W.O.P. w Brzeźnie. Niejednokrotnie odbywałem wraz z nim patrole do amerykańskich statków, przywożących dary UNRRA do Polski. Amerykańscy marynarze, nie mający prawa zejścia na ląd, wdawali się z nami na statkach w rozmowy, prosząc często o zrobienie im drobnych przysług, przeważnie w postaci zakupu polskiej wódki. Za zakupioną wódkę rewanżowali się nam prezentami: czekoladą, papierosami i innymi rzeczami, o które było wtedy u nas trudno. Przeważnie wartość tych prezentów przekraczała wielokrotnie wartość dostarczonego alkoholu, więc nie mogąc sami tego skosztować sprzedawaliśmy różnym znajomym, uzyskując w ten sposób pieniądze, za które znów żyliśmy dosyć dostatnio. Naszym stałym miejscem pozbywania się nadmiaru pieniędzy była restauracja "Wilnianka" w Brzeźnie, gdzie za każdym naszym pojawieniem się orkiestra grała na naszą cześć ulubioną i popularną wtedy piosenkę: "Warszawo, ty moja Warszawo", ponieważ dyrygent orkiestry, Niemiec, rychło zorientował się, że obaj ze Zdzichem, komendantem miejscowej placówki W.O.P., jesteśmy z Warszawą związani uczuciowo.

W czerwcu 1946 r. Szef Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku /z siedzibą w Gdyni na Kamiennej Górze/, płk Parzeniecki, mając bardzo dużo pracy i mało pracowników, zwrócił się do dowódcy 16 dywizji o czasowe wypożyczenie mnie do pomocy. W ten sposób znalazłem się w tym Sądzie, który spełniał również funkcję Wojskowego Sądu Garnizonowego Marynarki Wojennej. Ponieważ marynarze są ogromnie uczuleni na punkcie ważności swego rodzaju broni, było nie do pomyślenia, by sprawy marynarskie sądzili zwykli sędziowie z piechoty. Tak więc, by nie urazić uczuć marynarzy, do spraw marynarskich cały personel sądu musiał zmieniać się w marynarzy. I tak np. płk Parzeniecki prowadził rozprawy także w mundurze komandora, my zaś pozostali również musieliśmy się dostosować. Ja na przykład będąc plutonowym podchorążym, stawałem się w takich sprawach bosman-matem podchorążym, przywdziewając na te okazje mundur marynarski. Tak więc, nigdy nie służąc w marynarce, mogę dziś chwalić się, że czasami „bywałem” marynarzem.

W ciągu dwóch miesięcy pracy w tym sądzie, byłem kilka razy wysyłany służbowo do Warszawy, dla przewożenia ważnych akt do wglądu lub do wykorzystania w Najwyższym Sądzie Wojskowym. Podczas jednego z pobytów w Warszawie, pewien pułkownik tam pracujący, poznawszy moje nazwisko, przedstawił mi się nazwiskiem Downar-Zapolski i ofiarował swą pomoc, gdybym chciał zmienić miejsce pracy. Skorzystałem z tej propozycji i przy pomocy mojego "krewnego po nazwisku", już w sierpniu 1946 r. znalazłem się w rodzinnym Lublinie, jako sekretarz Wojskowego Sądu Okręgowego oraz, już od września, jako uczeń pierwszej klasy Liceum dla dorosłych Towarzystwa Szkoły Średniej.

W Liceum Towarzystwa Szkoły Średniej znalazłem się w otoczeniu ciała pedagogicznego, złożonego w dużej części z kolegów z więzienia na Zamku, bądź też z kolegów z partyzantki, o czym szerzej wspominałem już wcześniej, opisując partyzancki okres.

W Wojskowym Sądzie Okręgowym w Lublinie zostałem przydzielony na sekretarza do kpt. Juliana Nytko, sędziego pochodzącego z Podlasia. Współpraca nasza układała się dobrze, ponieważ kpt. Nytko, wiedząc, że uczę się w pierwszej klasie liceum, szedł mi na rękę. Dostosowywał zawsze swój plan rozpraw sądowych do mojego rozkładu zajęć w Liceum. Kiedyś, przygotowując akta do zapowiedzianej amnestii, dostrzegłem, że z jednej z teczek wypadło na podłogę zdjęcie przedstawiające mojego kolegę z oddziału partyzanckiego por. "Nerwy", kpr. pchor. "Jerzego". Na teczce figurowało, nie mówiące mi nazwisko Lesław Eustachiewicz, zajrzałem jednak do środka i zagłębiłem się w te akta, pragnąc dowiedzieć się, za co "Jerzy" został aresztowany. Dowiedziałem się, że oskarżono go o udział w powojennej konspiracji AK, za którą to "potworną" zbrodnię otrzymał wyrok śmierci. Wyrok ten został zamieniony przez marszałka Żymierskiego na 15 lat więzienia, a po odwołaniu się więźnia Prezydent Bierut dokonał dalszego złagodzenia kary do 2 lat. Obecnie "Jerzy" przebywał w ciężkim więzieniu, a będąc zawsze słabego zdrowia pisał do Sądu list o przedterminowe zwolnienie, pragnąc jako profesor-polonista poświęcić się pracy nad wychowaniem młodzieży. Niewiele myśląc akta te zanieśłem do kpt. Nytko, z prośbą by wziął je do rozpatrzenia na tak zwanym posiedzeniu ~~miejscowym~~, na którym zazwyczaj załatwiano się wszelkie sprawy przeznaczone do amnestii i ułaskawienia. Kpt. Nytko spytał jedynie, kim jest więzień dla mnie, skoro zwracam się z tym do niego specjalnie. Gdy powiedziałem, że dotyczy to kolegi, a nawet przyjaciela z partyzantki, bez słowa włączył akta do tych, które miały być rozpatrzone na najbliższym posiedzeniu. Wkrótce wyszło do więzienia postanowienie Sądu o przedterminowym zwolnieniu "Jerzego" na wolność.

Idylla mojej współpracy z kpt. Nytko trwała dopóty, dopóki szef sądu, płk. Drzymała /wnuk lub prawnuk tego z historycznym wozem/, mając dużo spraw, nie wypożyczył sobie mnie od kpt. Nytko. Ponieważ już byłem dosyć doświadczonym sekretarzem, płk Drzymała tak zasmakował w tej współpracy, że przesunął mnie oficjalnie na protokolanta do swoich spraw. Płk Drzymała, nie znając cichego układu, jako był między kpt. Nytko, a mną, przeciągał nieraz sprawy do późnych godzin, co kolidowało z czasem nauki w liceum. Gdy czas pracy w sądzie zaczął coraz częściej pokrywać się z czasem nauki w liceum, zwróciłem delikatnie uwagę płk. Drzymale, że uniemożliwia mi naukę w szkole, ten jednak, mając dosyć gwałtowne usposobienie, nie wytrzymał nerwowo i pewnego razu zrobił w swoim gabinecie piekielną awanturę. W trakcie tej awantury powtarzało się pytanie, czy jestem żołnierzem, czy uczniem oraz oświadczenie, że on nie ma zamiaru dostosowywać się do planu szkolnych zajęć. Wiedząc, że wyszedł już rozkaz demobilizacji dla rocznika 1922, przypomniałem płk. Drzymale, że zamierzam z niego skorzystać, bo ~~chcę~~ się uczyć, a plany kariery wojskowej zarzuciłem w chwili, gdy zostałem pozbawiony prawa do przysługującego stopnia oficerskiego. Pan Pułkownik tak się zdenerwował usłyszawszy, to, że zaczął walić pięścią w biurko krzycząc, że nie wyrazi zgody na demobilizację, bo rozkaz pozwala dowódcom jednostek na przedłużenie służby specjalistom, a ja przecież jestem specjalistą. Nie zostałem dłużny, więc na każde uderzenie pięścią w biurko odpowiadałem taką samą monetą. Cały personel sądu, za drzwiami Sekretariatu, przysłuchiwał się temu swoistemu duetowi na perkusję i trąby /bo obaj bardzo głośno wygłaszaaliśmy swoje racje/. Po pewnym czasie płk. Drzymała, który z natury był człowiekiem bardzo przyjaznym dla swoich podwładnych, uspokoił się, chwilę i przemówił wreszcie zupełnie innym tonem: "To, co ja mam z panem zrobić?" Usłyszawszy jeszcze raz, że najlepszym dla mnie rozwiązaniem będzie cywilne życie, wydusił wreszcie z siebie: "Ja panu nie chcę w tym przeszkadzać, aby później pan nie narzekał, że stary Drzymała wyrządził panu krzywdę".

W ten oto nieco gwałtowny sposób wywalczyłem sobie prawo do realizacji planów życiowych i w dniu 6 lutego 1947 r. oficjalnie i ostatecznie pożegnałem się z bronią. Pożegnanie z bronią trwało u mnie właściwie od 8 kwietnia 1945 r., kiedy odesłano nas z frontu, do 6 lutego 1947 r., czyli prawie dwa lata. Również tym samym kończyłem, trwający od listopada 1939 r., okres służby i walki zbrojnej o wyzwolenie Ojczyzny.

Na tym kończy się także okres życia, nazwany przeze mnie "Młodość górna i durna", a zaczyna nowy, który otrzyma tytuł "Wiek męski,

wiek klęski". Ale o tym innym, cywilnym i pokojowym życiu, napiszę w drugim tomie, który planuję, jeżeli starczy na to życia.

SUPLEMENT

Na stronach 113-115 zamieściłem wspomnienie z pobytu generalnego gubernatora Hansa Franka w więzieniu na Zamku w Lublinie, zaczynające się od słów: "Druga wizyta odbyła się niespełna miesiąc później, bo 6 marca 1940 roku" i kończąca zdaniem: "Co do Tałandy łaska wyglądała trochę inaczej: jako całkiem dorosłemu Frank zamienił karę śmierci na obóz koncentracyjny".

W tekście tym piszę o decyzji Franka odnoszącej się do sprawy mojej i kolegów. Wówczas ani my, ani obecni przy tym gestapowcy, nie wiedzieliśmy, co to znaczy, tak że czytający te wspomnienia mógł odnieść wrażenie, że informacja ta jest po prostu zmyśleniem.

Wyjaśnienie ówczesnej zagadki odnalazłem w wydanej po wojnie w 1970 roku przez "Książkę i Wiedzę" książce "Okupacja i ruch oporu w dzienniku Hansy Franka 1939-1945". W tomie I, obejmującym lata 1939-1942, na stronach 171-173, zamieszczono dwa dokumenty, które poświadczają prawdziwość podanej przeze mnie informacji".

Na stronie 170 rozpoczyna się dokument nr 24 zatytułowany "Protokół posiedzenia kierowników wydziałów urzędu Generalnego Gubernatora - przemówienie H. Franka o założeniach polityki niemieckiej wobec ludności polskiej G.G", z dnia 8 marca 1940 roku /a więc zaledwie w dwa dni po pobycie Franka na Zamku w Lublinie/ i w treści zawiera na str. 171 takie zdania: "W związku z tym i na wyraźny rozkaz Führera zarządziłem też, że doraźnych egzekucji można będzie dokonywać tylko po uprzednim uzyskaniu mojej zgody. Żaden wyrok śmierci, wydany przez Sąd doraźny, nie może być wykonany bez mego uprzedniego zezwolenia. Masowych egzekucji należy na przyszłość zaniechać.

Na stronie 172, w dokumencie nr 25 z 16 marca 1940 r. noszącym tytuł "Konferencja z udziałem J. Bühlera i B. Streckenbacha ustalająca zastosowanie przez H. Franka, prawa łaski wobec Polaków skazanych na śmierć" czytamy: - - Brigadeführer Streckenbach składa panu gubernatorowi generalnemu sprawozdanie o szeregu wyroków śmierci, wydanych w trybie doraźnym.

Pan gubernator generalny zarządza wydanie następującego dekretu:

Na wniosek szefa Sicherheitspolizei w Generalnej Gubernii odnośnie do zastosowania prawa łaski do szeregu wyroków śmierci wydanych w trybie doraźnym oraz powołując się na dekret stosowania prawa łaski z 8 marca 1940 /Dziennik Rozporządzeń GGP, część I, s.99/ zarządzam co następuje:

- I W niżej wyszczególnionych wypadkach postanowiłem nie skorzystać z prawa łaski i zezwolić, aby sprawiedliwości stało się zadość /następują nazwiska/
- II. W następujących wypadkach podejmę decyzję po przedłożeniu mi akt /następują nazwiska/.
- III. W drodze łaski zamieniam w wypadku Gontal<sup>ski</sup>ewskiego karę śmierci na 15 lat ciężkiego więzienia z uwagi na młodociany wiek przestępcy.
- IV. Do wprowadzenia w życie niniejszego dekretu upoważniam dowódcę "Sicherheitspolizei".

INDEKS OSOB

- Alizarczyk Mikołaj - 290, 292, 293  
Arend Georg - "Żorż" - 199, 200, 222  
Bałuk Stanisław - "Hak" - 172, 222  
Banaszak Władysław - "Wróbel" - 176, 184, 185, 222  
Baran Jerzy - "Zew" - 222  
Baranowski - 56  
Bardecka Wiesława - "Wiesława" - 133  
Bartkowski - 43  
Bartoszek Aleksander - "Burza" - 176, 181, 222  
Bartoszewski Konrad - "Wir" - 154  
Basaj Alfred - 90  
Baumgärtel Alfred - 119  
Baumgärtel Bernhard - 117, 118, 120, 121, 123  
Baumgärtel Dora - 119  
Baumgärtel Hellmut - 119, 121, 122  
Baumgärtel Trautel - 119, 121, 123  
Berezowski Zygmunt - "Zyzio", "Oleśnicki" - 139  
Bwziuk Wojciech - 249, 278; 279  
Bezdek Lech "Nil" - 199, 222  
Białas Marian "Gryf" - 194, 196, 213, 214, 222  
"Biały" - NN - 176, 181, 222  
Bielak Piotr "Jantar" - 222  
Bierut Bolesław - 233, 242, 243, 298  
Bładowski - 46  
Bładowska Janina - 47  
Bładowska Kazimiera - 47  
Bładowski Stanisław - 47  
Błaszczak Edward "Grom" - 154  
Boczula Tomasz - 254, 262, 277, 278  
Bogdańska - 147  
Boguta Jan "Góral" - 176, 184, 222  
Boguta Stanisław "Smiały" - 213, 222  
B. Wilhelm - 132, 139, 140, 141, 142, 143, 148, 149, 150, 151  
Bondaruk Lidia - 57  
Borodajko Władymir - 130, 131, 137  
Boruch Wojciech "Czortek" - 222  
Borucki Henryk "Czarny" - 133  
Borzęcka Renata - 219  
Borzęcki Tadeusz "Babinicz", "Kmicic" - 137, 138, 216, 218, 219  
Bosak Józef "Wicher" - 222  
Bryda Stanisław "Douglas" - 222  
Bryda Zygmunt "NN" - 222  
Brzezińska Emilia Wiesława z d. Zapolska-Kusa - 6, 7, 22  
Brzezińska Ewa Olga - 7, 22, 30  
Brzezińska Monika Alicja - 7  
Brzeziński Andrzej "Adam" - 222  
Brzeziński Jerzy Maria - 6, 7  
Brzeziński Ryszard "Ewa" - 195, 222  
Brzozowski Zdzisław "Zygmunt Borel" - 133, 134  
Buczek Ryszard "Brzask" - 155, 157  
Burdanowski Eugeniusz "NN" - 222  
Burzak Ryszard - 219  
Busiewicz Jan "Basza" - 222  
Bychawski Henryk "Ben" - 222  
Cenzartowicz Janusz "Warszawski" - 222  
Cenzartowicz Roman "Cezar" - 160, 162, 222  
Cenzartowicz Tadeusz "Zawichost" - 165, 166, 171, 174, 194, 196, 215, 222  
Chamski Henryk - 229, 257, 265, 266, 267  
Charłęża Marian "Dąb" - 175, 222

Chmielewski Kazimierz - 206  
Chomiczewski - 56  
Chorzelski Eugeniusz "Bemol" - 195,215,222,223  
Chowicki Stanisław "Groźny II" - 222  
Chrzasek Andrzej - 102  
Ciechan Stanisław - 229  
Ciesielski Józef "Zań" - 175,222  
Cieślik Stanisław - 56  
Ciuraj Dorota - 9  
Ciuraj Franciszek - 8,9  
Ciuraj Janina z d.Marcinkowska - 8,9 [Ciuraj Joanna - 9  
Ciuraj Regina z d.Wach - 8,9  
Ciuraj Stanisław - 8,9  
Ciuraj Waldemar - 9  
"Cwaniak" NN - 160  
Cynkin Tadeusz - 262,272  
Czacharowski - 47  
"Czajka" NN - 160  
Czajka Tadeusz - 111  
Czapla Jan "Czarny" - 164, 165,178,222  
Czaplińska Jadwiga - 61  
Czarnocka Maria - 63  
Czech Zdzisław - 297  
Czerep Józef - 146  
Czerny Jan "Szwarc" - 164,165,174,178,194,222  
Czerwiński Zdzisław "Smutny" - 176,184,222  
Czułczyńska Alina - 57  
Dalmaczyński Henryk - 102  
Dańcówna M - 42  
Daukszewicz Krzysztof - 3  
Dąbrowska - 43,295  
Dąbrowski Władysław "Władek" - 132,133,134,136  
Dąbrowski Zbigniew "Roman" - 222  
Dąbska Mirosława Maria z d.Zapolska - I.małż,Garstecka - 6,7  
Dąbski Jakub - 7  
Dąbski Sławomir - 6,7  
Dekutowski Hieronim "Zapora" - 200  
Denisow Jerzy "Ryszard" - 222  
Derewicki Witold - 133  
Dmitrjew - 293,295  
Dolecki Jan "Lis II" - 222  
Dolecki Tadeusz "NN" - 222  
Domagalski Zygmunt "Zygmunt Kozak" - 150,193,222  
Dorotycz-Malewicz Ryszard "Hańcza", "Roch", "Strzemię" - 189  
Downar Zapolski - 298  
Drzymała - 298,299.  
Duch Franciszek - 63  
Dudek Lucjan "Rekrut" - 199,222  
Dudziak Ewelina - 11  
Dudziak Marta z d.Skorek - 11  
Dudziak Michał "Żyżka" - 194,215,222  
Dudziak Zbigniew - 11  
Dulko - 44  
Duński Stanisław - 102  
Duszyński Jerzy - 47  
Duś Jan - 102  
Dziadosz Józef "NN" - 222  
Dzikowski Witold "Witek" - 203  
Dziurawiec Czesław - 297  
Ejszycki Fabian - 245,256,262,277



Eustachiewicz Lesław "Jerzy, "Ksawery" - 169,194,196,213,214,222,298  
Fabiańczuk - 56  
Farbiszewska Maria - 60,63  
Farbiszewska Zofia - 60,63 *Farbiszewska Zofia*  
Fedorowicz Tadeusz "Ran" - 143  
F.Marian - 137  
Fiuta Jan - 130,188,205,206  
Flisiak Jan "Chłopicki" - 164,222  
Flisiuk Bolesław "Jarema" - 154  
Frank Hans - 109,113,114,115,301  
Frączek Agnieszka - 9  
Frączek Piotr - 9  
Frączek Stanisław - 8,9  
Frączek Teresa z d.Mituła - 8,9  
Frączek Tomasz - 9  
"Fryc" NN - 160  
Fulman - 109  
Garbacki Czesław "Młody" - 222  
Garbacki Władysław "Jeleń" - 222  
Garstecki Dawid - 7  
Garstecki Maciej - 6,7  
Gawliński Czesław - "NN" - 222  
Gawliński Krzysztof "NN" - 222  
Gelbard - 56  
Gemba Henryk - 47  
Gemba Feliks - 47  
Gemba Franciszek - 47  
Gemba Wojciech - 47  
Gierobówna - 42  
Gilski Jerzy - 229  
Ginalska Stefania - 56  
Globocnik - 113  
Głuchowski Witold "Las" - 164,165,175,177,184,185,186,222  
Godziszewski Ryszard "Borowicz" - 222  
Golczewski Kazimierz - 239,241,247,259  
Gołacki Lubomir "Lucy" - 222  
"Gołąb" NN - 161  
Gołąb Jan "NN" - 222  
Gołąb Marian - 50  
Gołębiowski Mieczysław "Głaz" - 222  
Gomuliński - 56  
Gonczaruk - 229  
Goral - 109  
Gospodarek Zbysław "Tygrys" - 162,222  
Gozdawa-Czekański Wojciech - 229,245  
Goździwska M. - 49  
Górniak Zygmunt "Zyga" - 176,184,222  
Grabowski Jerzy "NN" - 222  
Grabowski Stefan "Witold" - 222  
Grad Zbigniew "Doktor" - 143  
Gralewski Marian "Pokorny" - 181,222  
"Granat" NN - 223  
Grochowski Henryk "Henryk" - 194,223  
Grochowski Zygmunt "Żbik" - 222  
"Grom" NN - 161  
Gronczewski Edward "Przepiórka" - 199,200  
Gruszecki Ryszard "Ursus" - 223  
Grysz Czesław - 176,181,223  
Grzegorzyc Stanisław "NN" - 223  
Grzesiak Stanisław "NN" - 223

Grzybalska Janina - 93,94  
Grzybalski - 93,94  
Gustaw Józef "Pokorek" - 223  
Gustaw Stanisław "Zderzak" - 223  
Hajducki - 56  
"Harpun" NN - 223  
Hejna Edward - 293,294  
Herzog Jan - później Horecki - 290,292  
Hetman - 147  
"Hoczki" NN - 223  
Hoffman Władysław "Ordynat" - 197  
Holat - 136  
Hołowski Teodor - 277,278  
Hołuj - 56  
Hołysz - 109  
Hopkała Stanisław "Rapp" - 173,174,194,215,216,223  
"Huragan" NN - 161  
Ignatowski Marian "Almanzor" - 176,195,223  
Iwaniuk Ryszard - 56  
Jabłoński Edward - 57  
Jachymek Zenon "Wiktor" - 154  
Janicki - 264,265,266  
Janicz-Kłobut Czesław "Sławek" - 143  
Janisławski Zbigniew "Dym" - 154,193,195,215,223  
Jankowski Jan - 290,293,295  
Jankowski Stefan "Janota" - 155,160,163  
Januszek Stanisław "NN" - 223  
Jańczykowski Kazimierz - 56,58,59,60,61,62  
Jarmoc Janusz - 56  
Jarosławska - 130  
Jarosz Maksymilian "Mirski" - 223  
Jaroszyński Henryk "Heliodor" - 175  
Jaruga Karolina z d. Marcinkowska - 5,10,23,32,44,144  
Jaruga Stanisław - 5,10,144  
Jasiński - 44  
Jasiński Stefan "Nurt" - 187  
Jasiński - 56  
Jawor Zdzisław - 64  
Jaworski - 56  
Jeżewski Wacław "Budda" - 223  
Jędrusiak Jerzy "NN" - 175,223  
Jopowa - 37  
Josz Ireneusz - 126  
"Józek" NN - 223  
"Jurand" NN - 161  
Jurga Sławomir - 102  
J. Zygmunt - 139  
Juściński Ludwik - 126  
Juściński Marian - 126  
Kaczyński - 56  
Kaliciak Stanisław - 235  
Kamiński Józef - 293,295  
Kantorowski "Wicher" - 223  
Kapuściński - 231  
Kasiak Stanisław NN - 223  
Kasperek Mieczysław "Cygan" - 176,181,223  
"Katia" NN - 199,200,223  
Kawiński - 56

Kicińska Krystyna - 126  
Kińczyk Bogumił - 56  
Kińczyk Michał - 58,60,62  
"Klarnet" NN - 161,162,223  
Klejnowski - 46  
Klimek Anna - 10  
Klimek Irena Alfreda z d. Jaruga - 10,23  
Klimek Janusz - 10  
"Klon" NN - 161  
Klonowscy - 47  
Kluza Eugeniusz "Giewont" - 176,184,223  
Kochaniec Jan s.Karola "NN" - 223  
Kochaniec Jan s. Wojciecha "Potęga" - 223  
Kochaniec Józef "NN" - 223  
"Kokoszka" NN - 161  
Kolasiński Jerzy - 56  
Kołodziej Jerzy "Figaro" - 175,183,223  
Kołodziej Jolanta z d.Skorek - 11  
Kołodziej Magdalena Arletta - 11  
Kołodziej Sebastian - 11  
Kołodziej Włodzimierz - 11  
"Kometa" NN - 161  
"Konar" NN - 161  
Konopczyński Wiesław "NN" - 223  
Konopka Ryszard - 252,253  
Kontrym Konstanty - 290  
Kopczyński - 44  
Kopeć Stanisław - 157  
Koperski - 56  
Korczak - 130  
Kornazsiewicz Zofia - 92  
Korosadowicz Tadeusz - 91,92  
Kosecki Józef "Sepi" - 223  
Kosiba Tadeusz - 56,62  
Kosko Jerzy - 277, 278  
Kosmowska - 130  
Kossowski Wacław - 290  
Kostecki Jan - 146,147  
Kostrzewski Albin "Kędziorek" - 157,161  
Kostrzewski Kazimierz "Korzeń" - 157, 161  
Kostuch Tomasz "Bryła" - 189, 190  
"Kosynier" NN - 223  
Kośko Józef "NN" - 223  
Kowalczewski Jan - 217  
Kowalczyk Zygmunt "Okrzeja" - 192,194,195,212,213,214,215,223  
Kowalik Andrzej - 10  
Kowalik Małgorzata Emilia z d.Klimek - 10  
Kowalik Paulina - 10  
Kowański Władysław "Tarzan" - 195,223  
Kozak Zygmunt "Brochwicz" - 223  
Kozłowski "Róża" - 223  
Kozłowski Jan - 57,90,127  
Kraczkowski - 56  
Kraft Paweł "Paweł" - 134,137  
Krajewski Andrzej - 239  
"Krak" NN - 176,223  
Krakiewicz Franciszek "Góral" - 56,61,83  
Krasiński - 56  
Kreft Albin - 126

- Kreft Edmund - 126,128,129,130,135  
Kreft Pelagia - 126  
Krjukow W. - 248  
Król Bolesław "NN" - 223  
"Kruk" NN - 161,184  
"Kruszyna" NN - 161  
Krygier-Wojnowski Stanisław - 219,220,221  
Kryska Seweryn "Konny" - 155,157,161  
Krzykowski Józef "Lis I" - 223  
Krzyżanek Kazimierz 33  
Krzyżankówna - 34  
Książek Zofia - 62  
Książopolski Antoni "Profesor" - 223  
Kubiak - 46  
"Kula" NN - 223  
Kula Krzysztof "Krawiec" - 176, 181, 223  
Kulisz Tadeusz - 56  
Kuncewicz Tadeusz "Podkowa" - 154  
Kunowski Antoni - 102  
"Kura" NN - 223  
Kurlej Anna Barbara - 8,9  
Kurlej Henryk - 8,9,23  
Kurlej Kazimiera z d. Marcinkowska - 8,9,23  
Kurlej Krzysztof Henryk - 8  
Kusy Andrzej - 5,6,7,31,32,33,36,38,40,41,42,43,44,46,50,54,85,89,93,  
104,135,144,198,206,232,243,268,284,289,292,294  
Kusy Ludwika z d. Niezgodą - 5,31,32,36,44,45,46,125,144  
Kusy Maciej - 5,31,32  
Kusy Marian - 6,36  
Kusy Marianna z d. Marcinkowska - 5,6,7,22,32,33,38,44,70,194,198,206,  
232,243,268,284,287,289,292,294  
Kuśmierczyk - 56  
Kuśmierowicz Irena - 126  
Kwak Franciszek - 130  
Kwapisiewicz Piotr "samson" - 161,162,223  
Kwaśniewski Stefan "Wiktor" - 154  
Kwiatkowska - 46  
Kwiatkowska Marta - 145,146,147  
Kwiatkowski Feliks - 47,48  
Kwiatkowski Jan - 90  
Kwiatkowski Stefan - 47,48  
Kwiecińska Barbara z d. Zapolska - 7  
Kwiecińska Ewa - 7  
Kwieciński "Romuald" - 133  
Kwieciński Tomasz - 7  
Kwieciński Zygmunt "Żuk" - 223  
Kwolik Kazimierz - 244  
Laskowski Władysław - 232  
Latała "Orzeł II" - 223  
Latomski Stefan "Nemrod" - 165,166,176,183,223  
Lebejko - 274  
Leśniewski Jerzy "Chan" - 213,223,289  
Lewandowski Jerzy - 239,246 ~~Lewczuk Henryk~~ 56  
Lewczuk Henryk - 56  
Lewczuk Kazimierz - 56  
Linkowski Czesław "Tom" - 162,195,214,215,223  
Lipski Marian - 56,60  
Lis Marian - 83  
"Longin" NN - 223  
"Lont" NN - 161  
Luterek Wacław "Vis" - 172,223

"Lwowiak" NN - 176, 181, 223  
Ładkowski Czesław "NN" - 223  
Łopianowski Narcyz "Sarna" - 189, 190  
Łukasik Maksymilian "Maratończyk" - 157, 162, 163, 239  
Łukowski Tadeusz - 172  
Łuniewicz Tadeusz "Snieg" - 176, 182, 223  
Magierski Stanisław "Jacek II" - 152, 153  
"Majcher" NN - 161, 162, 223  
"Malarz" NN - 161  
Malesza Jerzy - 263  
Malesza Roman - 50  
Malinowski Jan - 133  
Malinowscy - 47  
Małecka Olga "Olga" - 133, 134  
Małocha Jan "Baran" - 223  
"Mały" NN - 223  
Marcinkowska Karolina z d.Kasperek - 5, 8, 9  
Marcinkowska Ludwika z d.Komajda - 5, 15, 22, 23, 31, 32, 49, 64, 67, 69, 70, 97, 144  
Marcinkowska Małgorzata z d.Kornas - 5, 11  
Marcinkowski Piotr - 5, 11, 22, 32, 49, 63, 70  
Marcinkowski Stanisław "Jarzab" - 5, 3, 9, 22, 23, 32, 97, 151, 157  
Marcinkowski Wojciech - 5, 31, 32, 40, 41, 42, 49, 64, 68, 69, 97  
"Mat" NN - 223  
Mazur Edmund - 297  
Mazurek Helena - 126  
Mazurek Henryk - 126, 128, 129, 130, 138, 203, 209  
Mazurek Marian - 126  
Mazurek Tadeusz "Murzyn" - 223  
Mazurkiewicz - 56  
Miazek Józef "Skała" - 161, 162, 223  
Michalak - 38  
Michalski - 43  
"Michał" NN - 160  
Mielczarek - 85  
Migielska Józefa - 63  
Milanowski Tadeusz "Miłosz" - 223  
Milaszewicz Stanisław "Swider" - 175, 176, 183, 187, 193, 216, 223  
Miłoszewska Zofia z d.Wojtecka - 47, 49, 50, 295  
Miłoszewski Zygmunt - 295  
Mioduszevska Zofia "Kropka" - 160, 162, 223, 225  
Miroslaw Zbigniew "Leonidas" - 223  
Miszczuk Anna "Lidia" - 160, 162, 223  
Mituła Anna - 9  
Mituła Genowefa z d.Marcinkowska - 8, 9  
Mituła Grażyna z d.Buda - 8, 9  
Mituła Jan - 8, 9  
Mituła Mariusz - 9  
Mituła Stefan - 8, 9  
Młodziankowska Halszka - 138  
Młynarczyk Jan - 126  
Młynarski Roman "Łuk" - 223  
Morcinek Gustaw - 139, 140, 142, 143  
Mościcki Janusz "Jacek" - 189  
Mroczek Henryk "Klops" - 176, 181, 223  
Mróz Władysław "Polak" - 223  
Mszczonowski - 130  
Mucha - 56  
Mucha Paweł - 33, 97

Murzyńska - 148  
Muszka - 56  
Müller Horst - 118  
Myrcha Jan "Colt" - 149,150  
Nagalski Alfred "Natar" - 174,194,196,199,215,223  
Nagalski Zbigniew "Neron" - 161,162,223  
"Nagan" NN - 161  
Nalichowska Wiesława - 47  
Nazaruk Marian - 126  
Neumann - 114  
Newelski Czesław - 102  
Neyman Władysław - 56  
Niedźwiedź - 106,113  
Nieoczym - 136  
Nieżgoda Florian - 5,30  
Nieżgoda Marianna z d.Filozof - 1,5,30  
Noga Władysław "Boruta" - 223  
Nosewicz Michał - 289  
Nowacki Władysław "Tur" - 165,176,181,223  
Nowak Franciszek "Franek" - 173,194,215,223  
Nowak Piotr "Oko" - 189  
Nowicki Czesław - 206  
Nowosad - 56  
"Nowy" NN - 223  
Nytko Julian - 298,299  
Obmiński Lesław - 232,252  
O.Feliks - 99,104,123,124  
Ochnik Zenon "Warszawiak" - 223  
Odyniecki - 56  
Oktaba Michał - 102  
Olejnicki - 136  
Olichwier Kazimierz - 54,90,101,103,109,116  
Olszewski - 47  
"Olza" NN - 161  
Ołtarzewski Stanisław - "Stefan Stanisławski" - 189  
Onoszko Jan "Jacyna" - 174,191,195,196,215,223  
Opaliński Franciszek "Zawisza" - 223  
Opatowski Marian - 232,257,286,288  
"Organ" NN - 160  
"Orzeł" NN - 176,181,223  
"Osa" NN - 161,162,223  
Osiall Bohdan "Baśka" - 195,223  
Ostański Tadeusz "NN" - 223  
Paluch Bolesław "Szumny" - 176,181,223  
Paluch Mieczysław "Wesoły" - 176,181,223  
Paprocki Marian - 102  
Paprota Zenon "Cygan" - 223  
Paryzek Tadeusz "Zrąb" - 176,181,223  
Parzeniecki Piotr - 297  
Paźniczka W. - 40  
Paterkowski - 56  
Pawlak Marian "NN" - 223  
Pawlak Stefan "NN" - 223  
Pawlak Szczepan "NN" - 223  
Pawlikowska Maria - 283  
Paździor Barbara - 10  
Paździor Edward - 10  
Paździor Grażyna z d.Makuła - 10  
Paździor Ignacy - 5,10,11  
Paździor Monika - 10

- Paździor Stanisława z d. Marcinkowska - 5,10,11,32,68  
Paździor Teodozja z d. Skorek - 10  
Paździor Violetta - 10  
"Pelikan" NN - 160  
Perchorowicz - 247  
Pędrak Lucjan - 127  
Piątkowska Nina - 63  
Pielak Witold - 127,144  
Pieracka Kazimiera - 62  
Pilarski Marian - 101  
Pilecki - 56  
Piotrowicz Marian "NN" - 223  
Piotrowski Bolesław - 43  
Piotrowski Jan - 43  
Piotrowski Stanisław - "Jar" - 160,163,192,197  
Piotrowski Tadeusz "Pazur" - 43  
Piszczeczki Ryszard "Maks" - 223  
Pluta Władysław - 63  
Płazyński Mirosław - 172  
"Płomień" NN - 161  
Podhajski Jan "Powój" - 196,197  
Podlińscy - 47  
Pogódz Edward "Topór" - 223  
Pokojscy - 47  
"Pokorny" NN - 176  
Polakowski Stanisław "Rycerz" - 224  
Polski Zbigniew - 56  
Pomarański Ziemowit "Wrzos" - 224  
Pomian Andrzej "Dowmunt" - 139  
Popławska Paulina Maria - 9  
Popławski Stanisław - 240, 247, 248  
Pośnik Wacław "Swierk" - 224  
Pośpiech B. - 63  
Potempa Sławomir - 229  
Próchniak Leszek "Łowca" - 224  
Prus Paweł "Paweł" - 133,134  
Przewłocki Przemysław - 239  
"Puchacz" NN - 161  
Pulikowski Mieczysław "Polarny" - 224  
Puszka Czesław - "Jowisz" - 224  
Puszka Jan "Korsarz" - 224  
"Rab" NN - 160  
"Raj" - 293,295  
Rapowiec Włodzimierz - 250  
Rejmak Wacław "Ostoja" - 154  
Rekowski Tadeusz - 210  
Roczmierowski Antoni - "Stanek" - 143  
Rodzik - 93,99  
Rokicka - 146  
Rokicki Wojciech - "Ganasz", "Nerwa" - 150,152,154,155,158,159,163,  
164,165,169,170,172,173,174,175,178,179,182,185,186,187,188,190,191,  
192,194,195,196,197,198,200,204,206,211,212,213,214,215,216,221,222,  
224,228,229,291,293.  
Rokossowski Konstanty - 240  
Rola-Żymierski Michał - 233,243,239,294,298  
Roliński Jan "Jan" - 164  
"Roma" NN - 161  
Rossiński Czesław "Jaskółka", "Jemioła", "Kozioł" - 200,204,211,212,  
213,216.  
Rostworowski Konstanty - "Dziryt" - 160  
Rozenkopf - 56

- Rozwadowski Leon "Dan" - 224  
"Róg" NN - 161  
Różycki Stefan "Nałęcz" - 190,191,194,224  
Ruciński Feliks - 46  
Rudziński - 293,294,295,296  
Rułka Henryk "Cichy" - 176,224  
Russjan Stanisław - 248  
Rycaj Mieczysław "Kalina" - 224  
Rysak Stanisław "Kmita" - 176,131,224  
Rzepczanka - 130  
Sadkiewicz Józef - 50  
"Sak" NN - 161  
Sakowicz - 44  
Samborski Piotr - 268  
Sarbinowski - 56  
Sarkisow Aleksander "Andrzej", "Czarnota", "Szaruga" - 154,158,159,163,136,188,192,215,220  
"Sarna" NN -161  
Sawicka Sabina - 36  
Sawicki - 37  
Sawicki Edmund "Tarzan II" - 224  
Sawicki Zdzisław "Babinicz" - 224  
Schmeding Konrad "Konrad", "Młot" - 196,200,202,203,204,212,214,219  
Schmidt Stanisław - 297  
Schmidt - 114  
Schön Adolf - 61  
Seyss-Inquart - 113  
Siarkowski Leopold "Lopek" - 224  
Siczek - 106,108,113  
Sienicki Wiktor - 232,246,262,263,270,279  
Sierpiński - 109  
Sikorski Zygmunt - 297  
Simoniak - 247  
Sirczuk - 292  
Sitarz Jan "Zemsta" - 54,57,90,101,102,103,109,116  
Siuchta Zbigniew - 102  
SkałECKI Jan "Korbiel" - 224  
Skorek Aleksander - 10,11  
Skorek Halina z d. Paździor - 10,11  
"Skowronek" NN - 224  
Skrzypczyński Władysław "Wiatr" - 184,224  
Słaboszewski Alfred - 70,71,135  
Słaboszewski Jerzy - 135  
Słaboszewska Katarzyna - 70,71,135  
Słodkiewicz - 38  
Słowikowski Andrzej "Andrzej Nieznany" - 143  
Smietanin Teodor - 253,262  
Smoleński Władysław - 102  
Sobieszczański Jerzy "Wiór" - 38,224,291,293,295  
Sobieszczański Józef "Sek" - 38,164,165,176,178,131,224,291  
Soroko Henryk "Rafał" - 224  
Sosnowski Teofil - 56,59,62  
"Sowa" NN - 176,183,184,224  
Sowa Tadeusz - "Sarmata", "Spartanin" - 151,152,154,155,156,157,158,159,160,162,163,164,192,194,291  
Standara Konrad - 46  
Stanisławska - 63  
Staręgowski Leon - 56  
Starnawski - 293  
Statnik Alfred - 124  
Stein Zygmunt - 232,233,235  
"Sten" NN - 162,176,184,224  
Stępień Tadeusz "Poker" - 164,165,224  
Stępniewski Roman - 61



Stopa Kazimierz - 54,83,89,90,91,96,100,101,102,103,104,106,107,108,  
109,116  
Strawiński Stefan - 102  
Styczek Jerzy - 229  
"Sułtan" NN - 160  
Susz Józef "Groźny" - 176,184,224  
"Sygnet" NN - 162  
Sykuła Roman "Farmazon" - 133  
Szafranek Franciszek NN - 224  
Szajewski Stanisław - 126  
"Szakal" NN - 160  
Szewczyk Zygmunt "Pajac" - 224  
Szponer - 56  
Sztejman Marian "Maur" - 176,181,224  
Sztejnbis - 56  
Szwed Kazimierz "Noir" - 170,171,198,224,235,288  
Szyszko Ryszard "Orlicz" - 224  
Szyszkowiczówna Z. - 42  
Ślepecka Celina - 126  
Ślepowroński Stanisław "Stach" - 195,224  
Śliski - 85  
"Śmiały" NN - 224  
Świątek Ewa - 145  
Świątek Stefan "Dębicz", "Krupiński", "Wujek" - 130, 131,132,133,  
134,135,137,138,140,141,142,143,144,145,146,149,151  
Świątek Władysława - 145,146,147  
Świechowski - 56  
Świerczewski Karol - 240  
Tałanda Mikołaj - 54,89,90,98,100,101,102,103,108,109,113,114,115,301  
Tatar Stanisław "Tabor", "Turski" - 188,189  
Terlecki - 296  
Tkaczyk Jan "NN" - 224  
Toczek Helena - 126  
Todorowski Stanisław "NN" - 224  
Tołwiński Zygmunt - 206  
Tomaszewski Eugeniusz "Tom II" - 224  
Tomerski Tadeusz - 103  
Tracz Marian Tadeusz "NN" - 224  
Trochim - 56  
Truchan Czesław - 56  
Truchan Zdzisław - 56  
Tryluk - 83  
Trzeciński Edward "Smigły" - 224  
Trzebiatowski - 44  
Turczyński Jan - 260  
Turowski Jan "Norbert" - 154  
Turżański Tadeusz "Barnaba" - 173,176,181,224  
Twaróg Zygmunt "Junak" - 177,179,184,224  
Typczyński Czesław - 57  
Ufnał Szczepan "Sułtan" - 145,146  
Ułanowski Władysława - 108,109,112,113,126  
"Unikat" NN - 224  
Wachtel Jakub - 239  
Wahl - 150,226  
Walczak Irena Maria z d.Marcinkowska - 11  
Walczak Leopold - 11  
Walikowski Gabriel - 290  
Wasiak "Sobieski" - 224  
Wasilewicz Iwan "Iwan" - 176,184,224  
Wasilewski Jan - 60  
Wasyluk Jan - 57,90  
Wasyńczuk - 56  
Wawruszak Longin "Longin" - 161,162,213,224

Ważny Bronisław - 103  
Wątróbka Maria - 33  
Welczer Mieczysław - 56  
"Werbel" NN - 162  
Wesołowski Antoni - 54,90,95,101,102,103,106,107,108,109,116  
Wędołowska Danuta - 57,97  
Wędołowski Tadeusz - 57  
"Wędrowiec" NN - 224  
Węglarz Zbigniew - 56  
"Wiatr" NN - 176  
Wierzbicki Tadeusz "NN" - 224  
Wiewiórkowski Jerzy - 56  
Wijakowski - 147  
Winiarczyk Jan "Bohun" - 195,215,224  
Winiarczyk Tadeusz "Kmicic" - 224  
Wiśniewski Jan "Mucha" - 194,195,196,212,213,214,224  
Włodarczyk - 85  
Wnuk - 109  
Wnuk Ryszard "Ryś" - 161,162,224  
Wojciechowska Franciszka - 60,62  
Wojciechowski Stefan - 107,108,110,112  
Wojcieszek W. "Sum" - 189  
Wojewódzki - 83,88  
Wojno Aleksander - 102  
Wojtalewicz - 44  
Wolanin - 133  
Wolski Edward "Puma" - 213,224  
Wolski Marian "Smyk" - 176,181,224  
Woźniak - 200  
Wójcicki Bohdan "Wójt" - 172,215,224  
Wójcicki Mirosław "Blask" - 215,224  
Wójcicki Zbigniew "Kula" - 213,215,224  
Wójcik Jan "Pocisk" - 224  
Wójcik Zbigniew - 15  
Wroński Zbigniew "Marynarz" - 224  
Wróblewski Alfred - 56,63  
Wyrzykowski Stefan "Zenon" - 154  
Zajączkowski Tadeusz - 214  
Zajdlewicz Jerzy - 145  
Zalewski - 56  
Zapolska Anna z d. Sokołowska - 7  
Zapolska Anna Olga - 7  
Zapolska Barbara Monika - 7  
Zapolska Eligia z d. Kasner - 6,7  
Zapolska Ewa z d. Pacek - 6,7  
Zapolska Felicja z d. Baran - 6,7  
Zapolska Magdalena Anna - 7  
Zapolska-Kusy Alicja z d. Mast - 3,6,7  
Zapolska-Kusy Halina z d. Kornatowska - 6,7  
Zapolska-Kusy Marta Emilia - 7  
Zapolski Andrzej Władysław - 7  
Zapolski Sławomir Zdzisław - 6,7  
Zapolski Tadeusz - poprzednio: Kusy - 6,7,38,44,49,130,289,292  
Zapolski Zdzisław - poprzednio: Kusy "Mata Hari" - 6,7,22,23,30,36,  
37,43,44,49,50,51,52,53,64,65,65,66,67,68,69,70,72,90,100,101,130,136,  
143,144,194,208,221,225,289,292  
Zapolski-Kusy Andrzej Edward - 6,7  
Zapolski-Kusy Edward - poprzednio: Kusy Adolf Edward "Stefan", "Mściwój"  
"Dewajtis" - 6,7,22,23,33,34,42,43,44,56,57,64,65,66,67,68,69,70,72,  
88,90,93,101,102,103,104,106,107,108,125,144,145,146,147,148,156,157,  
161,162,164,190,208,222,224,229,232,279,285,288,295

Zaręba Stanisław "Chrabąszcz" - 224  
Zawadzki Saturnin "Jan" - 214,216,224,228  
"Zawilec" NN - 162  
Zawratańska Kazimiera z d.Mituła - 3,9  
Zawratański Jan - 8,9  
Zawratański Kamil - 9  
Zawratański Łukasz - 9  
"Zef" NN - 162  
"Zenon" NN - 162  
"Zet" NN - 162  
Zörner - 113  
Żukow G. - 240  
Żukowska Lonka - 126  
Żukowska Regina - 126  
Żurek Halina - 128,129,209,284  
Żurek Krystyna "Atena" - 128,129,135,138,208,209,210,211,243,254,268,  
284.  
"Żak" NN - 162  
"Żyła" NN - 162  
Żytek Stefan - 290,293  
Żytkiewicz Edmund - 229

BIBLIOGRAFIA

- 1 Bielecki Zygmunt, Dębowski Ryszard - "36 dni - 1.IX.-6.X.1939 roku" - MON - 1971 r.
- 2 Caban Ireneusz, Mańkowski Zygmunt - "Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944" - t.I/III - Wyd. Lubelskie - 1971 r.
- 3 Daukszewicz Krzysztof "Przeżyłem, panie Hrabio" - Wyd.Art."B" Press - 1991 r.
- 4 Fedorowicz Tadeusz "Cena wolności" - Wyd.Literackie - 1975 r.
- 5 Golczewski Kazimierz "Wyzwolenie Pomorza Zachodniego w roku 1945" - Wyd.Poznańskie - 1971 r.
- 6 Góra Władysław, Okęcki Stanisław - "Walczyli o nowe Niemcy" - Niemieccy antyfaszyści w ruchu oporu na ziemiach polskich" - Książka i Wiedza" - 1972 r.
- 7 Gronczewski Edward "Wspomnienia Przepiórki" - Wyd.Lubelskie-1964 r.
- 8 Kaleta Roman - "Sensacje z dawnych lat" - Zakład Narodowy im. Ossolińskich - 1986 r.
- 9 Kasperek Józef - "Kronika wydarzeń w Lublinie w okresie okupacji hitlerowskiej" - Wyd.Lubelskie - 1983 r.
- 10 Kostuch Tomasz - "Podwójna pętla - Wspomnienia cichociemnego" - MON - 1988 r.
- 11 Krajewski Andrzej - "Drugi Berliński" - Z dziejów 2 Berlińskiego Pułku Piechoty" - MON - 1979 r.
- 12 Lewandowski Jerzy - "Z torby frontowego listonosza" - MON - 1982 r.
- 13 Przewłocki Przemysław - "Rozszumiały się cedry i sosny" - MON - 1979 r.
- 14 Roczmirowski Antoni - "Krzyżackie widmo" - Wyd.Literackie-1974 r.
- 15 Siemion Leszek - "Z lat okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie" - Wyd. Lubelskie - 1971 r.
- 16 Tucholski Jędrzej - "Cichociemni" - "Pax" - 1984 r.
- 17 Wachtel Jakub - "Azymut Warszawa - Z dziejów 2 Berlińskiego Pułku Piechoty" - MON - 1962 r.
- 18 Wojewódzki Michał - "Akcja V-1, V-2" - "Pax" - 1970 r.
- 19 Wójcik Zbigniew - "Jan Sobieski"- PIW - 1983 r.
- 20 Zapolski Zdzisław Stanisław "Przemijanie" - maszynopis - t.I/II - 1982-1989 r.
- 21 "Album pamiątkowy Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2 - 1944-1945 - Lublin - Gryfice - Komitet Organizacyjny I Zjazdu OSP nr 2 - wrzesień 1973 r.
- 22 "II Zjazd Koleżeńcki Wychowawców i Wychowanków 2 Frontowej Oficerskiej Szkoły Piechoty" - wrzesień 1983 r.
- 23 "Grypsy z Zamku Lubelskiego 1939-1944" - praca zbiorowa /wybór/ - Krajowa Agencja Wydawnicza Lublin - 1991 r.
- 24 "Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie" - pod redakcją Zygmunta Mańkowskiego - Wyd.Lubelskie - 1988 r.
- 25 "Lotny oddział partyzancki AK "Nerwa" - opracowanie: Onoszko Jan, Linkowski Czesław - maszynopis - 1984 r.
- 26 "Rocznik lubelski XXVII-XXVIII - 1985 - 1986" - Wyd.Lubelskie - 1988 r.
- 27 "Rocznik Ogniska Nauczycielskiego w Lublinie nr 4 z 1972 r." - Wyd.Lubelskie - 1977 r.
- 28 "Szare Szeregi - Harcerze - 1939-1945" - t.I/III - pod redakcją Jerzego Jabrzemskiego - PWN - 1988 r.
- 29 "Wspomnienia farmaceutów z lat 1939-1945" - Praca zbiorowa /wybór/ - Wydawnictwo Literackie - 1975 r.
- 30 "Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego 1939-1944" - praca zbiorowa /wybór/ - MON - 1984 r.

SPIS TRESCI

1	Obyś żył w ciekawych czasach	- 1-4
2	Rodzinne drzewo genealogiczne	- 5-11
I.	<u>Dzieciństwo sielskie, anielskie</u>	- 13-72
1	Trochę prehistorii i legendy rodzinnej	-15-32
2	Beztroskie lata	- 33-39
3	Na ścieżkach wiedzy	- 39-72
II	<u>Młodość górna i durna</u>	- 70-300
1	Jak to na wojence ładnie	- 75-97
2	Noc i mgła	- 98-123
3	Żołnierze "cichego frontu"	- 124-151
4	Dziś do Ciebie przyjść nie mogę	- 152-224
5	Wielki skok Wisła-Odra	- 225-300
A	Marsz na front z przeszkodami	- 225-233
B	Na szlaku zwycięstwa	- 234-280
C	Pożegnanie z bronią	- 281-300
	Suplement	- 301-302
	Indeks osób	- 303-315
	Bibliografia	- 316
	Spis treści	- 317

Warszawa, 8 maja 1991 - 12 maja 1992 r.

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA  
województwo Lublin  
powiat BYCHAWA  
URZĄD STANU CYWILNEGO  
w BYCHAWIE  
Nr 2/1918/74



### Odpis skrócony aktu małżeństwa

Zaświadczamy, że ZUSU Fedusia  
urodzony dnia lat 20 4 nazwisko i imię \_\_\_\_\_ ządki \_\_\_\_\_  
roku w Warszawie  
z ojca Zusego Stefana — matki Marii z Mierzejewskiej  
i Marceli z Mierzejewskiej (nazwisko i imię) (nazwisko i imię) (nazwisko i imię)  
urodzona dnia lat 10 nazwisko i imię \_\_\_\_\_ ządki \_\_\_\_\_

roku w Warszawie  
z ojca Stankowskiego Wacława matki Marii z Mierzejewskiej  
wzięli związek małżeński w dniu dwudziestego drugiego grudnia 1918 roku  
Bychawie (nazwisko i imię) (nazwisko i imię) (nazwisko i imię)

BYCHAWA, dnia 19 WRZ 1957 r.

Kierownik  
Urzędu Stanu Cywilnego



Urząd Stanu Cywilnego w Bychawie, powiatu lubelskiego, zaświadcza niniejszym, że w księgach parafialnych aktu stanu cywilnego rzymsko-katolickiej parafii Bychawa za rok 1922 pod Nr. 241 znajduje się następujący

AKT CHRZCZENIA.

- "Działo się w mieście Bychawie dnia szesnastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku o godzinie pierwszej po południu. Stawił się Andrzej Kusy, rolnik z Kozarzowa, lat dwadzieścia pięć liczący, w towarzystwie Pawła Muchy, rolnika z Kozarzowa, lat dwadzieścia cztery i Kazimierza Krzyżanka, rolnika ze Strzyżewic, lat dwadzieścia trzy liczących i okazali nam dziecko płci męskiej urodzone w Kozarzowie dnia trzeciego lipca roku bieżącego o godzinie dziesiętej rano z jego żoną Marią z Marcinkowskich, lat dwadzieścia dwa liczącej. Dzieciątka temu chrzcie świętym odbytym w dniu dzisiejszym nadane zostały imiona Adolf - Edward, a rodzicami jego chrzestnymi byli Paweł Mucha i Marija Wątrubówna. Akt ten stawającemu i świadkom przeczytany i podpisaliśmy. /- / Ks. A. Kwiatkowski.

Na marginesie niniejszego aktu znajduje się następująca wzmianka: "Na mocy orzeczenia Włodcy Lubelskiego z dnia 27/V. 1947 r. l. APS. 97/663/47 zmieniono nazwisko i imię z "Adolf-Edward Kusy" na "Edward Zandisch-Kusy". Bychawa, dnia 18 grudnia 1948 r. Zastępca Urzędnika Stanu Cywilnego: /- / St. Frączek"

Zgodność niniejszego wypisu z oryginałem zaświadcza

Bychawa, dnia 18 grudnia 1948 r.



Zastępca  
Urzędnika Stanu Cywilnego:  
*[Signature]*  
/St. Frączek/

✓

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ  
I DEMOKRACJĘ  
ZARZĄD WOJEWÓDZKI

w Warszawie  
W - 1850



### ZASWIADCZENIE № 403998

Zarząd Wojewódzki Związku Bojowników o Wolność i Demokrację stwierdza, że  
Obywatel [ka] Edward Zapolski - Kuby  
(imię i nazwisko)

syn [córką] Andrzeja urodzony [a] \_\_\_\_\_  
3.VII.1922 r. w Kosarzew  
(dzień, miesiąc, rok) (miejsce urodzenia)

zamieszkały [a] w 00-232 Warszawa ul. Ciesna 15/21

— jest członkiem zwyczajnym ZBoWiD, nr legitymacji \* 039640

~~XX~~

Zaswiadczenie jest dokumentem stwierdzającym prawo do korzystania ze świadczeń określonych w Ustawie z dnia 23 października 1975 r. „o dalszym zwiększeniu świadczeń dla kombatanów i więźniów obozów koncentracyjnych”, [Dz. U. Nr 34, poz. 186].  
Jednocześnie stwierdza się, że w rozumieniu przepisów art. 8 tej Ustawy do okresu zatrudnienia wymienionemu [nej] zalicza się następujące okresy działalności kombatanckiej oraz okresy uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych:

— służby w Odrodzonym Wojsku Polskim	od VIII.1944r.	do V.1945r.
— działalności w Ruchu Oporu	od IX.1941r.	do VII.1944r.
— uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i uwięzieniach	od I.1940r.	do VI.1940r.

uwięzienia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i uwięzieniach

[proszaj działalność: okres od — do]

5 lat, 4 lata 3 m-ce

Sekretarz  
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD  
wojewódzkiego okręgu Warszawa-Śląskie  
podpis: Antoni Staszewski  
Antoni Staszewski



podpis: Przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD  
i pieczęć: Staszów  
[pplk. rez. mgr. Władysław Trupki

Warszawa dnia 8.X. 1976 roku



Klub b. Więźniów Politycznych  
Zamku Lubelskiego i "Pod Zegarem"

Lublin dnia 15 października 1976.

przy  
Zarządzie Wojewódzkim Z.B. o W. i D.  
w Lublinie

L.dz. 285/76

Ob.

Edward Zapolski-Kusy

Warszawa

ul. Smolna 11 u. 13

Zarząd Klubu stwierdza, że w materiałach dokumentalnych  
archiwum Klubu znajdują się następujące dane o niżej  
wymienionym więźniu byłego więzienia na Zamku Lubelskim:

Edward Zapolski-Kusy

ur. dnia 3 lipca 1922 r. w Rosławcu

był/a/ więźniem Zamku Lubelskiego, gdzie przebywał/a/  
od dnia 10 stycznia 1940 r. do dnia 5 czerwca 1940 r.

Podstawa informacji:

1. Arkusze estakardów Klubu

Prezes Klubu

*J. Mielchorek*  
Klub Białozno-Swiecki

ARKUSZ EWIDENCYJNY  
-----

Nazwisko i imię - ZAPOLSKI ~~z~~ KUSY EDWARD

Stopień - porucznik rezerwy

Data urodzenia - 3.7.1922 r. Miejscowość - Kosarzew, gm.Bychawa, woj.lubel.

Imiona rodziców - Andrzej, Maria

Używane pseudonimy i w jakich okresach - Stefan - IX.1941 - XI.1943 r.  
Mściwój - XI.1943 - IV.1944, Dewajtis - V.1944 - VII.1944 r.

Data wstąpienia do SZP/PZP/ZWZ/AK lub organizacji podporządkowanej Armii Krajowej - Tajna Drużyna ZHP - X.1939 r.

Data zaprzysiężenia, przez kogo i w jakich okolicznościach - 1.IX.1941 r.  
prof.Stefan Świątek - były kolega z więzienia na Zamku w Lublinie z okresu  
9.1.1940 - 5.6.1940 r.

Nazwa organizacji, komórki, do której wszedł, z dokładnym określeniem  
miejsca tej komórki w hierarchii organizacyjnej np. Okręg, Rejon, Inspektora-  
rat, Obwód, Placówka, Oddział, Dywizja, Pułk itp. - komórka wywiadu "Miecz  
i Pług", później A.K., na terenie Urzędu Pocztowego Lublin 1

Uzyskane stopnie wojskowe - szeregowy

-Przebieg służby w/g poniższej tabeli:

Czasokresy od - do	Nazwa Komórki, oddziału	Pełniona funkcja
1.IX.1941 - 1.I.1943	Komórka wywiadu "M.i P."	Kierownik
1. I.1943 - XI.1943	Komórka wywiadu A.K.	Kierownik
XI.1943 - IV.1944	IV pluton OP 8 por."Spartanin"	Partyzant
IV.1944 - VII.1944	II pluton OP 8 por."Berwa"	Partyzant

Czy wnosił o weryfikację, kiedy i w jakiej Komisji Weryfikacyjnej -  
Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Warszawie - 1976 r.

Jeśli zweryfikowany, podać l.dz. zaświadczenia weryfikacyjnego, nazwę  
Komisji i datę zaświadczenia - W 1850 - zaświadczenie nr 403998 z 8.10.1976  
- Zarząd Wojewódzki ZBoWiD w Warszawie

Czy otrzymał legitymację Krzyża AK, jeśli tak, podać nr legitymacji i datę  
wystawienia - nie

Czy otrzymał Medal Wojska /podać nr leg. i datę/ - nie

Obecny adres - 00-232 Warszawa, Ciasna 15/21

## ŻYCIORYS

Podać poniżej życiorys /ze szczególnym uwzględnieniem służby w AK, przydziały, akcje bojowe, osoby i ich pseudonimy, które wspólnie z petentem służyły w AK/.

Urodziłem się 3 lipca 1922 r. w Kosarzewie, gm. Bychawa, woj. lubelskie. Szkołę powszechną ukończyłem w 1935 r. Do 1939 r. ukończyłem 3 klasy gimnazjum, ostatnio w Chełmie Lubelskim. Od 1934 do 1939 r. byłem działaczem ZHP.

W październiku 1939 r. wraz z innymi kolegami zorganizowaliśmy samodzielną tajną grupę ZHP w miejscowości Wojsławice, pow. Chełm Lubelski. Wraz ze mną w grupie tej uczestniczył żyjący do dziś kol. Kazimierz Stopa, zamieszkały w Lublinie, Skierki 1/133. Po nieudanej, zorganizowanej przez nas, ucieczce na Węgry w okresie Listopad-grudzień 1939 r. zostałem wraz z kol. Stopą, Wesółowskim, Sitarzem, Clichwierem i Tałandą osadzony 9.1.1940 r. w więzieniu na Zamku w Lublinie, gdzie przebywałem do 5.6.1940 r. W dniu tym wysłano mnie na roboty rolne do Saksonii, gdzie przebywałem do dnia 5.8.1940 r. Stąd powróciłem do Polski w sposób półlegalny /przy pomocy dużej łapówki pieniężnej w Arbeitsamt Lublin/.

W lecie 1941 r. znalazłem się w Lublinie, gdzie spotkałem prof. Świątka Stefana, mojego byłego kolegę z więzienia na Zamku w Lublinie i przez niego zostałem zaprzysiężony jako członek "Miecza i Pługa". Zostałem skierowany do pracy w Urzędzie Poczтовым Lublin 1, gdzie pracując jako kasjer pocztowy, pełniłem funkcję kierownika 6-osobowej komórki wywiadu tej organizacji. Po aresztowaniu prof. Świątka oraz dużej grupy działaczy "Miecza i Pługa" w Lublinie, przeszliśmy całą grupą do Armii Krajowej. W Armii Krajowej przeszliśmy szkolenie podoficerskie. W dalszym ciągu, już na zlecenie A.K., pełniłem tę samą funkcję w komórce wywiadu A.K. Pełniłem ją do listopada 1943 r., kiedy to zagrożony ponownym aresztowaniem zostałem skierowany do oddziału partyzanckiego 8 p.p. por. "Spartanina", brałem udział w akcjach oddziału, zaś po jego rozwiązaniu w kwietniu 1944 r. zostałem odkomenderowany do oddziału partyzanckiego por. "Nerwy" - Wojciecha Rokickiego. Tu brałem udział w walkach oddziału oraz w akcji "Burza" do końca lipca 1944 r., kiedy to nasz oddział został rozbrojony przez Armię Czerwoną w miejscowości Polanówka koło Lublina. Moim dowódcą batalionu był kpt. "Młot" - Konrad Schmeding. Okres mojej służby w oddziale "Nerwy" mogą potwierdzić: 1/ Rokicki Wojciech - "Nerwa" - Lublin, Zana 10/42 2/ Cenzartowicz Tadeusz - "Zawichost" - Lublin, Rymwida 8/43 3/ Miłaszkiwicz Stanisław - "Świder" - Chełm Lubelski, Frzemysłowa 8/1.

Po wojnie, którą spędziłem na froncie, zostałem zdemobilizowany w 1947 r. zamieszkałem w Warszawie i tu studiowałem.

W 1981 r. przeszedłem na wcześniejszą emeryturę.

Data i miejsce wypełnienia kwestionariusza - Warszawa, 15.3.1984 r.

*Lepi Edward*

39 }  
104 } S  
149 }  
225 }

H-ak 16v  
P 58i

LESZEK SIEMION

104  
106  
127  
N } 212  
213  
214  
215  
216

Z lat okupacji  
hitlerowskiej  
na Lubelszczyźnie



WYDAWNICTWO  
LUBELSKIE

wiązała własną organizację w Zwierzyńcu w powiecie zamojskim. Kierownikiem jej był Jacek Rogowski. Z tej nielicznej grupy wyszli ofiarni bojowcy. Niechlebnym wyjątkiem był Ostaszewski, ten sam, który w styczniu 1943 roku został zlikwidowany przez podziemie biłgorajskie jako agent gestapo<sup>10</sup>.

Inna podobna grupa harcerska powstała na terenie Wojsławic w powiecie chełmskim. Grupa ta między innymi podjęła próbę zbiorowego przedostania się na Węgry. Większość jej członków została jednak wkrótce zlikwidowana przez gestapo<sup>11</sup>.

„Miecz i Pług” powstał centralnie, prawdopodobnie z inspiracji hitlerowskich władz bezpieczeństwa. Na Lubelszczyźnie dysponował swymi komórkami na Podlasiu. W 1942 roku pojawił się na Lubelszczyźnie około stuosobowy uzbrojony oddział „Miecza i Pługa”, złożony w większości z młodzieży warszawskiej. Latem tegoż roku został on doszczętnie rozbity przez hitlerowców w lasach parczewskich. Według niektórych źródeł przyczyną klęski była jawna zdrada dowódcy oddziału — prawdopodobnie funkcjonariusza gestapo<sup>12</sup>.

Jesienią 1939 roku w powiecie garwolińskim powstała Organizacja Wojskowa założona przez współpracowników generała Władysława Sikorskiego i oficerów byłej Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” generała Kleeberga, która 5 października 1939 roku skapitulowała pod Kockiem. Organizacja ta swoją siatką objęła również powiaty lubelski i puławski. Wspomniana już „Kadra Bezpieczeństwa” (KB) była jednym z pionów OW, przeznaczonym do specjalnych zadań. Organizacja Wojskowa rozpadła się w lutym 1940 roku. Na terenie Lubelszczyzny pozostały jej wyodrębnione formacje — KB oraz ogniwa zorganizowane w powiecie tomaszowskim pod nazwą Konsolidacja Obrońców Niepodległości („KLON”). I ta organizacja niedosta-

<sup>10</sup> Według informacji ustnej J. Rogowskiego z 1963 roku.

<sup>11</sup> K. Stopa, *Ruch oporu w powiecie chełmskim*, Praca magisterska, Zakład Historii Najnowszej UMCS.

<sup>12</sup> Arch. ZO ZBoWiD w Lublinie, *Relacja* B. Drabika oraz według informacji ustnej M. Melucha z 1963 roku.

# **SZARE SZEREGI**

## **HARCERZE 1939-1945**

pod redakcją  
*Jerzego Jabrzemskiego*

Tom I

MATERIAŁY – RELACJE

Pw

WARSZAWA 1988  
PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Na początku okupacji grupa działaczy harcerskich w Chełmie postanowiła reaktywować pracę harcerską w warunkach konspiracji.

Inicjatorem byli p hm Marian Pilarski i Bolesław Zimmer, który przebywał wówczas w Chełmie. Punktem kontaktu była nowo założona kawiarenka „Szarotka” przy ul. Lubelskiej na odcinku między ul. Lwowską a apteką Walewskiego (jednym z jej właścicieli był Pilarski). Z ramienia Komendy Chorągwi w Lublinie utrzymywał kontakt z Chełmem Władysław Smoleński, a z ramienia Głównej Kwatery Szarych Szeregów + w 1941 r. Dymitr Senatorski.

W Wojsławicach (hufiec chełmski), jesienią 1939 r., utworzono tajny zastęp pod opieką nauczyciela Mikołaja Tałandy. W skład zastępu weszli: Kazimierz Stopa, Jan Sitarz, Kazimierz Olichwier, Antoni Wesołowski, Adolf Kusy, 9 stycznia 1940 r. zostali oni aresztowani i wywiezieni na Zamek lubelski. W czasie transportu do Niemiec uciekł Stopa i kilku jego kolegów. Stopa po powrocie do Wojsławic zorganizował nową harcerską komórkę, nawiązując jednocześnie kontakt z hufcowym w Chełmie Marianem Pilarskim oraz organizacją wojskową. W grudniu 1943 r. został Stopa ponownie aresztowany i wywieziony do obozu pracy w Niemczech.

Komenda Okręgu Szarych Szeregów powstała w Chełmie w 1940 r. Obejmowała ona powiaty chełmski, krasnostawski i włodawski. Komendantem okręgu mianowano Bolesława Zimmera. Hufcowymi byli: Marian Pilarski, Antoni Sikora, Piotr Kołodziejek. Tak zorganizowany okręg działał krótko, ze względu na represje gestapo, które aresztowało hufcowych Pilarskiego i Kołodziejka, a do ukrywania się zostali zmuszeni Sikora i Zimmer (zawiadomiony przez łączniczkę o niebezpieczeństwie wyjechał do Warszawy).

Konfidentami gestapo okazali się volksdeutsche. Jednym z nich był uczeń Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego, członek drużyny harcerskiej przed wrześniem Lindner oraz Kirschner. Oni to ułatwili gestapo w 1941 r. aresztowanie Mariana Pilarskiego, Zbigniewa Raszula i innych harcerzy.

Aresztowania pociągnęły za sobą uwięzienie właściciela drukarni i wydawcę Kazimierza Czernickiego oraz jego synów Józefa i Kazimierza, którzy sprzyjali harcerskiej konspiracji. Ofiarą padł również ojciec Raszula, znany działacz harcerski, członek zarządu Koła Przyjaciół Harcerstwa.

~~1. strona~~  
~~o strona 29~~

6.

# Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie 1939-1944

Praca zbiorowa pod redakcją  
ZYGmunTA MAŃKOWSKIEGO



powrócić, m. in. Walerii Buczmińskiej, Krystynie Czyż-Wilgatowej, Emmie Kolodziejek, Genowefie Kluczek, Eugenii Malinowskiej, Annie Niećko, Kamili Syczowej-Janowicz, Krystynie Zarembie<sup>66</sup>.

Nie mniej bohaterską przeszłością może się poszczycić Męska Chorągiew Harcerska. W 1940 r. aresztowany został komendant Chorągwi Aleksander Wojno i odesłany do obozu w Sachsenhausen, a następnie Dachau. Wówczas komendantem „Szarych Szeregów” w Lublinie został nauczyciel z Tomaszowa Lub., harcerz Rzeczypospolitej — Władysław Smoleński. I on wpada w ręce gestapo w Chelmie, przetransportowany na Zamek, zostaje tutaj zamordowany w nieznanych okolicznościach. Pozostawił po sobie pamięć wspaniałego harcerza i instruktora, ofiarnego działacza i bezkompromisowego bojownika o wolność kraju po klęsce wrześniowej<sup>67</sup>. Wśród licznych nazwisk harcerzy, znanych z różnych relacji, odczytujemy nazwiska: Andrzeja Chrzaska (nauczyciel z Izbicy, odbity w Celestynowie z transportu do Oświęcimia), Henryka Dalmaczyńskiego (uczeń z Lublina, rozstrzelany w Oświęcimiu), Stanisława Duńskiego (nauczyciel, komendant Hufca w Białej Podl., odesłany na Majdanek), Jana Dusia (student z Kraśnika, harcmistrz — zginął w Oświęcimiu), Sławomira Jurgi (student z Tczewa, harcerz zaangażowany w konspiracji ZWZ-AK, odebrał sobie życie na Zamku), Antoniego Kunowskiego (uczeń z Lublina, powieszony w masowej egzekucji w Kurowie w dniu 6 marca 1944 r.), Czesława Neweńskiego, (student z Chelma, rozstrzelany w czerwcu 1940 r.), Michała Oktaby, (uczeń z Tomaszowa Lub., zginął w Oświęcimiu), Mariana Paprockiego, (uczeń z Lublina, zamordowany na Zamku w marcu 1944 r.), Zbigniewa Siuchy z Lublina (rozstrzelany 22 lipca 1944 r.) Kazimierza Stopy z Wojsławic w pow. chełmskim — aresztowanego z opiekunem miejscowej drużyny — nauczycielem Mikołajem Talandą i całą grupą młodych harcerzy m.in. z Antonim Wesołowskim, Adolfem Kusym, Janem Sitarzem (uciekl z transportu do Sachsenhausen), Stefana Strawińskiego ucznia z Lublina (członka tajnego kręgu starszoharcerskiego w Żyrzynie w pow. Puławy — przeszedł przez obóz na Majdanku), Tadeusza Tomerskiego (uczeń z Krasnegostawu, — przeszedł przez liczne obozy), Bronisława Ważnego z Grabowca w pow. chełmskim (zginął w dniu 22 lipca 1944 r.) i wielu innych<sup>68</sup>.

Wśród olbrzymiej masy lubelskich więźniów nie zabrakło ludzi, którzy związani byli z przedwojennym i okupacyjnym ruchem ludowym spod znaku SL „Roch” i jego zbrojnej organizacji „Chłostra” przekształconej w Bataliony Chłopskie. Tragiczny był dla kręgu tych działaczy listopad 1943 r., kiedy przypadkowo na stacji kolejowej w Motyczu aresztowany został Julian Chabros, szef łączności i kolportażu Komendy Okręgu BCh, a także Józef Dąbrowski, łącznik na Podokrąg Zamość, instruktor dywersji i sabotażu, oficer szkolenia bojowego Komendy Obwodu. Przy aresztowanych gestapo znalazło adresy innych działaczy ludowych. Został więc aresztowany Stanisław Wójcik, adwokat, działacz SL sprzed wojny, a podczas okupacji przewodniczący piątki wojewódzkiej „Roch” i Antoni Grabowski, łącznik Komendy Wojewódzkiej, którego mieszkanie w Lublinie było punktem kontaktowym IV Okręgu BCh. Wkrótce aresztowano także Józefa Ciotę, byłego działacza ZWM „Wici” i członka władz okręgowych SL „Roch” i BCh. Dnia 15 stycznia 1944 r. gestapo zatrzymało Adolfa Kopera, Jana Barana — komendanta Ludowej Straży Bezpieczeństwa, Jana Koguta — członka Komendy Obwodu 13, Andrzeja Barana — łącznika i Konstantego Stańczyka — również łącznika. Wszyscy otrzymali wyroki śmierci, ale za olbrzymie sumy, zebrane przez „Roch” i BCh Okręgu IV zostali wykupieni z rąk gestapo, które ich sukcesywnie zwalniało do domów. Jednak J. Chabros, J. Dąbrowski i K. Stańczyk zginęli na Zamku<sup>69</sup>.

Dziesiątki działaczy ludowych przechodziły przez cele Zamku. Bohaterska wieś lubelska składała hekatombę ze swej młodzieży, płacąc jej życiem za opór wobec

**WSPOMNIENIA  
WIEŹNIÓW  
ZAMKU  
LUBELSKIEGO  
1939 - 1944**

~~3 593 6.20~~  
3 83 ✓  
3 87 ✓  
3 88 ✓  
3 93 ✓

## Kazimierz Stopa



### „POLNISCHE LEGIONEN”

Dnia 9 stycznia 1940 roku był siarczysty mróz. Zaspy na szosie i ostry wiatr ze wschodu dały się nam porządnie we znaki. Licho odziani, przemarznięci do szpiku kości, niezbyt sprawnie gramoliliśmy się z sań, ponaglani do pośpiechu. Sanie zatrzymały się przed niedużą kamienicą z czerwonej cegły przy ulicy Dreszera w Chełmie. Tutaj mieściło się gestapo. Popchnięty kopniakiem, znalazłem się wewnątrz budynku. Wąskimi schodami weszliśmy na pierwsze piętro. Ustawiono nas rzędem pod ścianą, nakazując milczenie. Obok mnie stał Janek Sitarz, następnie Kazik Olichwier, Antek Wesołowski, Adolf Kusy i Mikołaj Tałanda — nasz wychowawca, nauczyciel. Staliśmy dość długo. Byłem zaniepokojony i trochę ciekawy, co z nami zrobią. Domyślaliśmy się, że sprawa dotyczy naszej eskapady na Węgry oraz może mieć coś wspólnego z przynależnością do harcerstwa.

Zaczęto wywoływać nas po nazwisku. Pierwszy za drzwiami pokoju znikł Tałanda. Długi czas nic nie było słyhać, później krzyk, klątwy i monotonne postukiwanie maszyny. Po dwu godzinach, może później, wywołano Adolfa Kusego. I znów oczekiwanie. Trwało to cały dzień. Gdy przyszła kolej na mnie, był już mrok. Wepchnięty do pokoju, ukloniłem się i stanąłem niezdecydowany przy drzwiach. W pokoju było dwóch oficerów w mundurach. Jeden w czarnym, z opaską na rękawie, drugi z odznakami SS. Dalej siedział żołnierz przy maszynie do pisania, obok stał jakiś cywil.

do rana. Na drugi dzień zaprowadzono nas do małej kancelarii, <sup>207</sup> mieszczącej się w budynku stojącym pośrodku dziedzińca zamkowego. Tam jeszcze raz spisano nasze personalia i przyjęto w depozyt drobiazgi oraz pieniądze. Ja nie miałem nic do oddania.

Po umyciu się pod prysznicami brązową mazią, która miała odegrać rolę mydła, ponad trzy godziny trzymano nas nago. Bielizna, którą nam wreszcie wydano, była czysta, ale bardzo sfałtgowana. Otrzymałem koszulę bez rękawa i kalesony bez jakiegokolwiek zapięcia lub zawiązania. Zwrócono nam nasze ubrania, jeszcze gorące i śmierdzące jakimś środkiem dezynfekcyjnym. Swojej dużej kurtki jednak nie dostałem. Zostałem w butach, wojskowych spodniach i sukiennej bluzie.

Kiedy byliśmy już ubrani, przyszedł oficer SS. Czarny, z dużym, krogulczym nosem, znany był wśród więźniów pod przyzwiskiem „Krzywonos”. Wskazał palcem na mnie, Antka Wesołowskiego i Adolfa Kusego i kazał iść za sobą. Poprowadził nas w kierunku lewego skrzydła Zamku.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami oznaczonymi numerem 25. Strażnik otworzył mocne, kute drzwi, a Niemiec wepchnął nas do środka. W małej celi stało na baczność, w dwuszeregu, około dwudziestu mężczyzn.

Więzień, stojący na czele prawego skrzydła, krzyknął: „Achtung!”, a następnie zwrócił się do Niemca, podał mu numer celi i stan więźniów. Niemiec bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Otoczyli nas mieszkańcy celi, pytając, skąd jesteśmy, jak się nazywamy i za co nas zamknęli. Do celi trafiliśmy godzinę przed obiadem. Na obiad był „kapuśniak”: kilka listków siekanej sałaty, dwa kartofle i woda.

Wieczorem strażnik wpuścił do naszej celi dwóch więźniów zatrudnionych w warsztatach: jeden pracował w stolarni, drugi w kuchni. Pamiętam ich nazwiska: Siczek i Niedźwiedz. Pierwszy — wysoki, barczysty, z krzaczastymi brwiami i przenikliwym spojrzeniem. Niedźwiedz — niski, też barczysty, z szeroką, dobroną twarzą. Mieli papierosy, którymi dzielili się z kolegami. Należało palić je ukradkiem.

Na śniadanie dostaliśmy litr czarnej kawy i 150 gramów <sup>M.I.</sup> chleba. Zjadłem to natychmiast, ale zauważyłem, że niektórzy

współtowarzysze spożyli połowę porcji, drugą zachowując do obiadu, do zupy. Każdy swoją kromkę nosił przy sobie.

21.T Tego dnia byłem również świadkiem apelacji. „Krzywonos” ze strażnikami obchodzili cele. Pierwszy przyjmował raport komendanta celi, drugi młotem opukiwał kraty; bog

Sypialiśmy na piętowych pryzkach zбитych z desek. W dzień na pryzkach nie było wolno siedzieć. Wszyscy rozmawiając krążyli po sali; kucali, opowiadali dowcipy, politykowali, klóćli się lub grali w karty o chleb i papierosy.

22.T Na drugi dzień, po śniadaniu, wszedł do celi człowiek, spisujący wczoraj nasze personalia. Zapytał, którzy to są sztubacy z Chelma. Antek z Adolfem wystąpili, ja się nie ruszyłem, gdyż uważałem, że nie jestem żadnym sztubakiem.

Chodźcie ze mną, powiedział, przejdziecie do innej celi.

W tym momencie pociemniało mi w oczach, nie byłem zdolny wykrztusić słowa, zostałem znów odizolowany od przyjaciół.

23.T Całą noc płakałem. Gdy w następnym dniu ów mężczyzna znów przyszedł, wyprowadził mnie na korytarz i zapytał, dlaczego nie zgłosiłem się. Dodał, że załatwił nam cele, w której siedzą więźniowie polityczni.

Drzwi celi 35 stanowiły zakończenie korytarza od strony wschodniej w lewym skrzydle Zamku. Podkreślam to specjalnie, gdyż takie usytuowanie wejścia miało duży wpływ na organizację życia wewnątrz celi. Gdy przekroczyłem próg tej celi, oszłomiła mnie nie tyle jej wielkość, ile liczba znajdujących się w niej mężczyzn. Na nasz widok obrócili się wszystkie twarze, a Antek z Adolfem podbiegli, ściskając mnie serdecznie, jakbyśmy nie widzieli się od lat.

Cela tworzyła idealny kwadrat, miała cztery wysokie, okratowane okna i drewnianą podłogę. Okna wychodziły na kaplicę, wieżę strażniczą na dziedzińcu i basztę. Na północnej ścianie znajdowały się wieszaki na ubrania, przy drzwiach stał metalowy kibel. Sienniki ułożone były na kształt kanapy, miski uszeregowane rzędem na długiej ławie. Ponadto wyposażenie celi stanowiły dwa większe i trzy małe stoły oraz kilka taboretów.

Po chwilowym zamieszaniu, wywołanym moim wejściem,

mnie chóralne odśpiewanie *Serdeczna Matko*. Widziałem wówczas zalane łzami twarze więźniów i wściekłe spojrzenia Niemców. Do dziś nie mogę sobie wyjaśnić motywów tej niemieckiej pobłażliwości ani powodu zgody na nabożeństwo.

Dzień Wielkanocy kojarzy mi się również we wspomnieniach z naszym świątecznym śniadaniem. W piątkę mieliśmy jedno jajko, kawałek kiełbasy i chleb. Dzieliliśmy się jajkiem, składając sobie życzenia: „Sto lat zdrowia, beczkę wina, szybkiej wolności i karabina”.

Któregoś dnia, wiosną, na szczycie baszty ujrzeliśmy Niemców w galowych mundurach. Jacyś hitlerowscy dygnitarze wizytowali Zamek. Oprowadzał ich komendant więzienia Domnick. Następnie cała świta weszła do celi. Oglądali nas jak egzotyczne zwierzęta w klatce. Jeden z Niemców w wizytowym mundurze z czerwonymi wylogami zatrzymał się przede mną i o coś zapytał. Neumann, wyjaśniając, użył zwrotu: „Polnische Legionen”. Niemcy parsknęli śmiechem, czyniąc między sobą ironiczne uwagi na nasz temat.

Do naszej celi przybył proboszcz z Wojsławic, ksiądz Jan Kozak. Został przywieziony na Zamek jako zakładnik. Przywiózł najświeższe wiadomości o naszych rodzinach.

Od nowo przybyłych więźniów dowiedzieliśmy się o najjeździe hitlerowców na Danię, Norwegię i Francję. Żyliśmy wszyscy jak w gorączce, komentując te wydarzenia i snując horoskopy na temat ostatecznych rezultatów wojny. Z zachowania się Niemców, z wyrazu ich twarzy usiłowaliśmy wyczytać aktualną sytuację na froncie. Niestety, Niemcy byli weseli, pewni siebie i agresywni w stosunku do więźniów.

Nie pamiętam daty, prawdopodobnie jednak gdzieś pod koniec maja do celi weszło trzech esesmanów. Jeden z nich odczytał nazwiska: Tałanda, Wesołowski, Olichwier, Sitarz, Kuśy i Stopa. Zaprowadzili nas na pierwsze piętro obok kaplicy. Tu w małym holu, twarzą do ściany, staliśmy bardzo długo. Pilnował nas na zmianę Schmidt i Neumann. Nie wolno było rozmawiać ani poruszać się. Już późnym popołudniem wprowadzono nas do sali, gdzie za stołem, nakrytym zielonym sukniem, siedzieli oficerowie. Staliśmy w szereg przed niemieckim sądem doraźnym. Odczy-

10

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO  
ODDZIAŁ ZARZĄDU GŁÓWNEGO W LUBLINIE

---

ROCZNIK  
OGNISKA  
NAUCZYCIELSKIEGO  
W LUBLINIE

IV



---

W Y D A W N I C T W O L U B E L S K I E

STEFAN WOJCIECHOWSKI

## CELA NR 35

## ARESZTOWANIE

Jak się to zaczęło? Nie było w tym początkowo niczego tragicznego, co by napawało obawą. Okupacja niemiecka, która w Lublinie zaczęła się z dniem zajęcia miasta, tj. 18 września 1939 roku, nie przerażała nas jeszcze. Rozpoczęliśmy działalność Instytutu Lubelskiego, zrzeszającego wszystkie organizacje społeczno-kulturalne Lublina. W mieszkaniu mecenasa Stanisława Kalinowskiego (przy ulicy Chopina 5) 19 października, opracowaliśmy plan pracy, przede wszystkim w zakresie prelekcji publicznych. I tak: 8 listopada — Stefan Jaracz miał mówić o swoich przeżyciach w teatrze, 15 listopada — ksiądz Ludwik Zalewski o dziejach katedry lubelskiej, 22 listopada — Kazimierz Piekarski o własnych odkryciach bibliofilskich, 29 listopada — Stefan Wojciechowski o Krakowie i jego zabytkach, 6 grudnia — Andrzej Markowski o Chopinie (z ilustracją muzyczną), 13 grudnia — Józef Dutkiewicz o malarstwie XIX wieku, 20 grudnia — Feliks Araszkiwicz o Bolesławie Prusie, 27 grudnia — Czesław Czerwiński: *50 lat życia kulturalnego w Lublinie*, 3 stycznia 1940 roku — Mieczysław Popławski: *Rzym za Augusta*, 10 stycznia — Leon Białkowski o polskiej heraldyce, 17 stycznia — Stanisław Jedlewski: *Człowiek istota nieznana*, 24 stycznia — S. Pietsch: *Wszechświat i historia*, 31 stycznia — Paweł Gdula o Andrzeju Strugu. Razem trzynaście tygodni. Przewidziane były jeszcze prelekcje Jana Parandowskiego i Konrada Winklera, ale nie ustalono tematyki wystąpień tych autorów. Następne zebranie zarządu Instytutu odbyło się 31 października; obecni na nim byli: Feliks Araszkiwicz, Leon Białkowski, Józef Dutkiewicz, Stanisław Kalinowski, Bohdan Kelles-Krause, Stanisław Oczkowski, Mieczysław Popławski i Stefan Wojciechowski. Debatowano nad projektem, zgłoszonym przez Wacława Gralewskiego, otwarcia kawiarni w dwóch mniejszych salach wystawowych na drugim piętrze, co według projektodawcy miało ustrzec gmach przed zajęciem go przez okupanta. Nie pamiętam, czy owa pierwsza prelekcja Jaracza, przewidziana na 8 listopada, doszła do skutku i gdzie się miała odbyć.

Pod koniec października 1939 roku uruchomiliśmy Pedagogium, w którym pracowałem od 1937 roku. Słuchaczy było niewiele, prawie same dziewczęta. Przy Pedagogium czynna była szkoła ćwiczeń i z braku dostatecznej liczby godzin miałem kilka lekcji tygodniowo w klasach podstawowych.

Czwartek, 9 listopada, był chłodny. Do pracy poszedłem już w futrze. Wziąłem ze sobą pojemną teczkę, a w niej potrzebne pomoce, moje własne, ponieważ szkoła, zniszczona w czasie bombardowania w dniu 9 września.



się zawistni, nie lubiący, by ktoś inny coś darmo otrzymywał. Zrażałem się coraz więcej do współtowarzyszy, do tej coraz kłótszej gromady ludzi, którzy w krótkim czasie, jak tylko nieco spokojniejsza atmosfera nastąpiła i od trzech tygodni nikogo spośród nas nie zabrano na rozstrzelanie, zaczęli myśleć wyłącznie o sobie, o swoich sprawach, bez oglądania się na otoczenie.

Dnia 25 stycznia przybyli do naszej celi trzej młodzi ludzie: siedemnaścieletni uczeń Adolf K u s y, pochodzący z Wojśławic, szesnastoletni uczeń Kazimierz S t o p a, który podał, że jest rolnikiem, oraz Antoni W e s o ł o w s k i, osiemnastoletni uczeń Gimnazjum i Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, zaś w dwa dni później, w sobotę, 27 stycznia, Jan J a w o r s k i, urzędnik z Białej Podlaskiej. Wieczorem mówiłem na temat działalności wody na powierzchni ziemi. Czułem się niezłe, żona tego dnia pisała: „Miałam nadzieję mimo wszystko, że jutro już będziemy razem, lecz mam jak zawsze pecha, który mnie prześladowa. Nie chcę pisać teraz, co czuję i myślę, gdyż i bez tego dosyć się obydwójce męczymy... Chcę Ci dodać otuchy, że starania moje idą w kierunkach: 1. już w piątek miałam dostarczyć jęczmień, nawet miałam już Kwietnia [Jan Kwiecień — znajomy rolnik z Rur] z furmanką, tymczasem brakło tego produktu i do poniedziałku muszę się zatrzymać; mam obiecanie, że po dostawie uzyskam to, o co się staram; 2. poznałam pana, który podjął się interwencji u władz, stojąc bardzo blisko tych spraw z racji swego stanowiska. Obie sprawy są w toku załatwiania, ale rozmaite nie przewidziane przeszkody wciąż opóźniają definitywne załatwienie. W każdym razie naprawdę liczę już dni. Nawet miałam już bielizny nie posyłać, tak byłam pewna, że przed niedzielą... Setki cztery zmienił mi nasz sublokator. Całą dzielnicę otaczającą Izbę Skarbową [obecnie Urząd Wojewódzki przy ulicy 22 Lipca] na Spokojnej opróżniają. Nawet nam to groziło. Wczoraj chodziliśmy z Chudz[ínską] za mieszkaniem na Rurach. Nie można nic dostać. Chciałyśmy wziąć wspólnie pokój dla złożenia cenniejszych mebli. Z Rzeszowa nikt nie przyjechał, bo pociągi nie kursują”. Nadzieja we mnie rosła.

W niedzielę wieczorem, 28 stycznia, Kazimierz Trzeciak mówił o jeziorze Bajkał i kontynuował swoją opowieść także następnego wieczoru.

29 stycznia wpakowano do naszej celi kilka nowych osób. Doszli: Zbigniew K l a u d e l, młody kupiec z Zamościa (rozstrzelany w kilka tygodni później), Roman B i a ł o z o r, lekarz z Chełma, Bolesław W n u k, rolnik i poseł z powiatu zamojskiego (rozstrzelany wiosną tegoż roku), Jerzy S a m e c k i, sanitariusz z Poznania, Feliks G ą s o w s k i, strażnik graniczny z Janowa Lubelskiego, oraz inżynier Stanisław R y c z y Ń s k i, dyrektor Gimnazjum Mechanicznego w Lublinie, z którym przed paru laty pracowaliśmy razem w Gimnazjum im. Vetterów. Tego dnia pisałem do żony: „Wczoraj dowiedziałem się, że niejaki Edward Nadarkiewicz, podoficer zawodowy z 8 pułku, siedzący od kilku dni razem ze mną (przedtem gdzie indziej), a pracujący w kancelarii (dział gospodarczy) stara się sam jako kupiec (za takiego się tutaj podaje) dostawić do naszego «instytutu» ziemniaki, jakoby za to miał obiecanie wyjście. Ojciec jego ma sklep, gdzieś na 1 Maja czy Narutowicza. Jego kompan, jeden sekretarz gminny z Chełmskiego [Materkowski], też pracujący w kancelarii, jakoś tak dziwnie krążył koło tej sprawy i kilka razy wspominał, że moje nazwisko

**GRYPSY  
Z ZAMKU  
LUBELSKIEGO  
1939-1944**

Wstęp, wybór i opracowanie:  
ZOFIA LESZCZYŃSKA i JANINA KIELBOŃ ·

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA — LUBLIN



Stefan Świętek lat 37, nauczyciel zamieszkały w Lublinie. Aresztowany po raz pierwszy 9 XI 1939 r. i osadzony na Zamku. Zwolniony został 9 III 1940 r. Ponownie aresztowany 6/7 XII 1943 r., rozstrzelany 15 V 1944 r. w egzekucji więźniów Zamku na terenie obozu koncentracyjnego na Majdanku.

30 styczeń (1944)

Droga! <sup>1</sup>

Dotąd nie widziałem Was. Będę nadal czekał o 10 w poniedziałek i wtorek. Wszystkie rzeczy, które były w moim mieszkaniu były moją własnością (prócz łóżka, stolika i foteli). Spodnie moje nowe są u krawca Wijakowskiego na Rynku obok Trybunału. Cukru od p.Rad. nie wziąłem. Proszę jej to oświadczyć. <sup>3.</sup> Wszelki boczek i słoninę, które wysyłacie proszę zawsze gotować (...) Powiedz, żeby wszystko zlikwidował, ratował swe życie i ma bardzo uważać na siebie. U.E. uzgodnić datę i może być tylko raz meldowana. O Ciebie samą nie chodzi. U p. Ziel. na Kapucyńskiej 5 m. 38 zostawiono słoiki z maścią na wszy. Wziąć i przysłać 2. Niech siostrzeniec przysła mi trochę lekarstwa 45%. Czy on może porozumieć się ze mną, chciałbym bardzo tego. Całuję Was mocno

S.(tefan)

Paczki ze wsi otrzymałem i oczekuję dalej.

<sup>1</sup> Gryps do żony.

(daty brak)

Pani Marto! <sup>1</sup>

Ponieważ moja ręka jest nadal chora pisze w moim imieniu mój przyjaciel <sup>2</sup>. Wszystkie Panie w dalszym ciągu proszą o opiekę i pamięć. Paczki otrzymuję nieregularnie. Dzisiaj nie otrzymałem. Tutaj pomoc z miasta jest konieczna. Można przysłać chleb biały, masło, mięso, kluski, naleśniki, pierogi, kaszę, kapustę, mleko i cukier. Może zechce Pani porozumieć się z p. Dziunią i p. Rokicką, ażeby przysłały mi przez dr. Kosteckiego <sup>3</sup> zastrzyki przeciw tyfusowi plamistemu. Józek Czerep (na Głow.) i Wacka mieli moje pieniądze. Czy ktoś z moich kolegów przychodził do Pani? W biurze miałem jabłka i mąkę. Inne rzeczy z biura też należałoby wziąć. Koleżanka Wacki R. ma też mój cukier 10 kg. Bardzo proszę o opiekę i dziękuję

Stefan

(daty brak)

Kochana!

Wiem, że jesteś. Cieszę się i przykro mi. P.Mar.(ta) wprowadziła Cię już na moje gospodarstwo. Na Rurach u Hetmana zapłaciłem za 6 kg cukru, trzeba odebrać. Tam też u Bogdańskiej należą mi się pieniądze za towar. Wskaże Ci kierownik. Zabrać papier kancelaryjny i sprzedać. Zastrzyki już otrzymałem. Poprosz dra Kos.(teckiego) by mnie dłużej trzymał w szpitalu. W wózku, który stoi na szafie w przedpokoju jest pudełko konserw. <sup>1.</sup> Zużytkować je. Chciałbym, żebyś się poznała z moim uczniem, który obecnie pracuje na poczcie głównej na Krakowskim, nazywa się Kusy Edw.(ard). On Ci pomoże przysłać mi paczki.

S(tefan)

Edek! Wraz ze swoją sympatią pamiętaj o mnie, postaraj się nawiązać kontakt ze mną. Mojej żonie wskaż matkę Tadzia, u której należą mi się pieniądze za materiał. Ja czuję się dobrze. Ręka na wyleczeniu. Na siebie bardzo uważajcie. Kartkę spalić <sup>2.</sup>

Wuj

<sup>1</sup> Do Marty Kwiatkowskiej.

<sup>2</sup> Ręka złamana w czasie badania w siedzibie gestapo „Pod Zegarem”.

<sup>3</sup> Jan Kostecki — lekarz więzienny na Zamku, pracownik wolnościowy.

Moje rzeczy można wszystkie sprzedać. Paczkę muszę otrzymać w każdym tygodniu. Jeśli będzie boczek — dobrze ugotować. Świadcstwo dzieciaka odebrać od Bernardy. 12 I 1942 r. W kr. wypisać. Zajdź do p. Murzyńskiej Jul. Olejna 7/18<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Dnia 18 maja 1944 r. Marta Kwiatkowska napisała do żony Stefana Świątki kartkę następującej treści: „Kochana moja pani! Z wielkim bólem zmuszona jestem zawiadomić, że Stefan nie żyje. Wszyscy jesteśmy bardzo zmartwieni. List wyślę oddzielnie, może dowiemy się czegoś. P. Szczepańska na wsi. Resztę pieniędzy wyślę. Otuchy i siły dla dobra Ewuni. Myślimy jesteśmy z Wami. Na zawsze oddana

Marta”.

14

IRENEUSZ CABAN  
ZYGMUNT MAŃKOWSKI

ZWIĄZEK WALKI ZBROJNEJ

I

ARMIA KRAJOWA

W

OKRĘGU LUBELSKIM

1939 — 1944

CZEŚĆ DRUGA  
DOKUMENTY



---

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

1944, maj. — Meldunek komendanta obwodu Lublin-powiat do Inspektoratu Rejonowego „Lublin” w sprawie rozwiązania oddziału „Spartanina”.

621<sup>1</sup>

W wykonaniu rozkazu z dnia 29 IV 44 r., odnośnie przeprowadzenia inspekcji i rozwiązania IV plut[onu] part[yzanckiego] dowodzonego przez Apr<sup>2</sup> Sarmatę [Tadeusz Sowa], melduję:

1. Inspekcję i czynności służbowe nakazane do wykonania na odprawie z dn. 29 IV br. przeprowadziłem w m.p. IV plut[onu] part[yzanckiego] w dniu 2 i 3 V br.

2. Stwierdzony stan: a — ludzi: 2 ofic[erów] — Apr Sarmata i Apr Janota [Stefan Jankowski], 2 podchor[ążych] — pchor. Szakał i pchor. Dziuryt, 4 podofic[erów] — plut. Pelikan, plut. Sułtan, kpr. Rab, kpr. Organ, 46 szeregowych, 2 sanitariuszki, 1 ofic[er] sowiecki (ppor. lotn[ic-twa] sow[ieckiego] zbiegły z obozu jeńców), 3 szeregowych na urlopie; b — broni: 1 lkm — „maxim” plus 250 szt. am[unicji] (wypożyczony z obw[odu] Kraśnik), 1 rkm wz[ór] 28 plus 220 szt. am[unicji] (wypożyczo-ny z obwodu Kraśnik), 1 pm — „schmeiser” plus 60 szt. am[unicji] (zdo-byty w akcji pod „Nasutowem”), 35 kb/kbk plus po 50 szt. am[unicji] (w tym 12 kb wypożyczonych z „plac[ówki]”), 16 pistoletów różnych (włas-ność posiadaczy), 5/11 granaty z zapalnikami (różne typy), 1 raketnica i 1 rakietka biała, 200 szt. am[unicji] do kb — rezerwa, 100 szt. ładunków wiertniczych — trotyl 100,0; c — konie i wozy: 24 konie plus 8 wozów; d — inny sprzęt: 13 płacht namiotowych, 10 płaszczy gumowych.

3. Podział oddziału — odkomenderowanie: a — do oddziałów stałych (na placówkach) — zał. nr 1 (pers.): 2 pchor., 2 podofic., 11 szereg., 12 kb, 600 szt. am[unicji] do kb (am[unicja] niepewna), 5 granatów, 2 konie, 1 wóz (na przechowanie w dyspozycji kom[andanta] rej[onu] nr IV); b — do oddziału dysp[ozycyjnego] Kom[and] Obw[odu] 623<sup>3</sup> (oddział bojo-wy) (?) — zał. nr 2 (pers.), oddział zameldowany na kwaterach stałych: 1 ofic. — Apr Sarmata (ofic. łącz. org.), 1 pofic. — plut. Pelikan (d-ca oddz.), 10 szer[egowych], pm „schmeiser” 1/60, kb 10/50, 11 granatów, 1/1 raketnica, 100 ładunków wiertniczych (dla ofic. sap. obw.), 590 nabo-ji do kb, 1 torba san[itarna], 7 koni (4 „T” typ plus 3 typ „W”), 1 wóz, 5 siodeł (1 zepsute); c — do plutonu Szarugi [Aleksander Sarkisow] — zał. nr 3 (pers.): 1 ofic. — Apr Janota, 1 pofic. — plut. Sułtan, 14 szeregowych, 5 k~~z~~ am[unicja] po 20 szt. na kb, 10 płaszczy gumowych; d — 1 ofic[er] sowiecki — Apr Michał — celem dołączenia do grupy?; e — plut[on] do Nerwy [Wojciech Rokicki] — zał. nr 4 (pers.): 14 szereg., 2 sanitariuszki — wyszkolone, 8 kb z am[unicja] po 20 szt. na kb, 10 płacht namiotowych; f — pistolety stanowiące własność prywatną zostały przy właścicielach i odeszły razem z nimi „do oddz[iału]”; g — lkm z rkm — chwilowo po-zostały w poczcie 623 celem przekazania ich obwodowi Kraśnik, jako sta-nowiące tamt[ejsza] własność; h — 15 koni oraz 7 wozów oddano właścicielom; i — oddziały odkomenderowane, odmaszerowały według swych przydziałów z listami ewidencyjnymi z dnia 4 V br., z tym że oddział

przydzielony do m.p. Nerwy, gdzie w dniu 5 V br. przybędzie ob. Szaruga. Bezpośredniego kontaktu na m.p. ob. Szarugi nie mogłem ustalić na dzień 4 V br.; j — przed odmarszem wydałem ludziom porcje żywnościowe i papierosy, pozostały zapas został zewidencjonowany i przeszedł do obwodu; k — książka kasowa nie prowadzona.

Według meldunku Apr Sarmaty otrzymał on na utrzymanie oddziału w styczniu br. 3000 zł ze składek społecznych, za które kupił 2 kożuchy, i 4000 zł w lutym br. z rej[onu] V na wypłatę żołdu i 10 000 zł wypłacił Sarmacie jego kuzyn, który przez pewien czas był żołnierzem tego oddziału. Razem 17 000 zł. Pobieżne zestawienie wydatków, poczynionych na potrzeby oddziału w czasie od stycznia br. do chwili obecnej, dokonane — wynosi około 50 000 zł. Z zasięgniętych w tym kierunku przeze mnie informacji wynika, że Spartanin będąc dość zamożnym z domu, gros wydatków na potrzeby oddziału pokrywał gotówką własną.

4. Powód, dla którego ob. Spartanin [Tadeusz Sowa] nie odmaszerował z oddziałem do rejonu II na wschód powiatu, leży w niedokładnym zrozumieniu rozkazu przez Apr Sarmatę, wydanego mu przez ob. Młota [Konrad Schmeding]. Sarmata przed odmarszem na wschód miał otrzymać broń maszynową. Ponieważ broni tej nie otrzymał, więc nie odmaszerował. Sprawa ta wymaga wyjaśnienia ze strony ob. Młota.

Wnioski:

1. Wskazaniem byłoby przeprowadzenie ścisłego dochodzenia odnośnie przewinień ob. Sarmaty i jego działalności w terenie. Na mnie ob. Sarmata zrobił wrażenie bardzo dobre i pracującego z poświęceniem żołnierza.

2. O ile jest możliwym, proszę o przydzielenie do obwodu 623 Apr Janotę.

J a r [Stanisław Piotrowski]

[ZAŁĄCZNIK DO MELDUNKU KOMENDANTA OBWODU LUBLIN-POWIAT  
Z MAJA 1944 R. W SPRAWIE ODDZIAŁU „SPARTANINA”]

Stan ludzi oddz[iału]: ofic. 2 — ppor. piech. łącz. Sarmata, ppor. piech. Janota, pchor. 2 — kpr. pchor. Dziryt, Szakal (saper), pofic. 3 — plut. KOP Pelikan, plut. Sułtan, kpr. Rab, 10 kandydatów po ukończonym kursie i egzaminie podoficerskim, strzelców — 43 + 2 sanitariuszki, kb — 35/50 + 200 zapas, pist[oletów] — 16/10, granatów — 5/11, mat[eriałów] wybuch[owych] — 20 kg trotylu, 7 pistoletów automatycznych „schmeiser” — amunicji — 60 szt.

Broń wypożyczona: rkm, mag[azyneków] — 6, amunicji — 175 szt., wypożyczonej amunicji — 75 szt., lkm, 2 taśmy, amunicji — 250 szt., 2 lornetki, 1 kompas, 13 cel, 10 płaszczy gumowych.

Konie „W” — 5: 1 własny (Dziryt), 2 maj. Piotrowice, rekw[irowany] 1 z maj. Wola Gałęzowska, rekw[irowany] 1 z maj. Bychawa, z których konie pochodzą. Wiedzą gdzie się one znajdują i nie upominają się w tej chwili. Konie „T” — 4 stałe: 2 wzięte z maj. Strzyżewice z uprzężą, 1 wóz; 2 z maj. Bychawa z uprzężą i 1 wóz (konie na warunkach — jak wyżej). 12 koni „T” wziętych do pracy czasowo i podlegających zwrotowi. Wozy do zwrotu. Ponadto 1 koń „W” zabrany w styczniu z maj. Piotrowice znajduje się w posiadaniu kpr. Korsarza, koń ten figuruje na ewidencji oddziału.



Ppor. Sarmata — spalony od 1940 roku, areszt[owani] członkowie rodziny, bez dowodu; ppor. Janota — spalony od 1941 roku, poszukiwany na terenie Lublina i Warszawy; plut. rezerwy Pelikan — spalony od 1943 roku, sp[alony] na terenie Lubelszczyzny; plut. rezerwy Sułtan — nie poszukiwany, lecz spalony na terenie Lubelszczyzny; Grom — poszukiwany na terenie Bychawy (junak); Puchacz — poszukiwany, zbiegł z rob[ót] z Niemiec; sanit[ariuszka] Kropka — poszukiwana na terenie Lublina, śledzona jako kurierka SZ od wiosny; sanit[ariuszka] Lidia — ścigana od 1944 roku, areszt[owani] członkowie rodziny; strzelec Samsón — spalony i poszukiwany, w związku [z] wypadką zapalników, od lutego 1944 roku na terenie Lublina; strz. Kedziorek [Albin Kostrzewski] — poszukiwany od X 1943 roku (NSZ) za przenoszenie broni; strz. Zet — spalony w Mińsku Mazowieckim i Lublinie, poszukiwany za działalność dyw[er]syjną; strz. Sygnal — poszukiwany za przenoszenie broni od 1940 roku; pchor. kpr. rezerwy Szakał — zwolniony z oddziału; Sak — poszukiwany za udział [w] konsp[iracji] od 1942 roku; strz. Ryś — poszukiwany za udział w konsp[iracji]; Sarna — poszukiwany w drodze karnej; kpr. Organ — urlop bezterminowy; Tom — spalony i poszukiwany; Korzeń [Kazimierz Kostrzewski] — spalony w Lublinie za uchylanie się od robót, urlop bezterminowy; strz. Werbel — spalony; strz. Zef — uciekł przed służbą w „SD” (syn mieszanego małżeństwa); strz. Neron — uciekł z Niemiec, poszukiwany przez żandarmerię; strz. Cwaniak — urlop bezterminowy; strz. Mściwój — poszukiwany na terenie Lubelszczyzny; strz. Huragan — urlop bezterminowy; strz. Tu (?) — poszukiwany jako junak; strz. Nagan — urlop bezterminowy; strz. Malarz — urlop bezterminowy; strz. (?) — przydzielony do oddziału ppor. Nerwy; strz. Kruk — spalony; strz. Żyła — uciekł z Baudienstu; strz. Jurand — nie spalony, ma możliwość zameldowania się; Michał — Rosjanin, ppor.; strz. Fryc — poszukiwany, odbity z więzienia; strz. Zak — poszukiwany jako junak; strz. Gołąb — poszukiwany za broń (NSZ); strz. Kokoszka — spalony, członek organizac[ji]; strz. Klarnet — poszukiwany; strz. Roma — wrócił do domu; strz. Zenon — spalony, wiedza, że był w bandzie, strz. Klon (?); strz. Rab — spalony; strz. Kometa — poszukiwany; strz. Plomień — poszukiwany; strz. Cezar — poszukiwany; strz. Konar — poszukiwany; strz. Kruszyna — poszukiwany; strz. Longin — poszukiwany za ucieczkę z Baudienstu; strz. Zawilec; strz. Róg — poszukiwany; strz. Sten — wysiedlony i poszukiwany; strz. Lont — poszukiwany jako junak; strz. Osa — poszukiwany jako junak; strz. Skala — poszukiwany jako junak i za ucieczkę z Niemiec; strz. Majcher; strz. Olza — poszedł z oddziałem lotnym Znicza, uciekł z pracy z firmy niemiec[kiej]; strz. Konny [Seweryn Kryska] — spalony od 1943 (wiosna); kpr. kawal[erii] Dziwyt — urlop bezterminowy.

<sup>a</sup>(Zapotrzebowanie w obwodzie b[ardzo] słabe)<sup>a</sup>.

[Brak podpisu]

Arch. KW MO w Lublinie.  
Kopia, maszynopis.  
a Dopisane ręcznie.

<sup>1</sup> Kryptonim Inspektoratu Rejonowego „Lublin”.

16

~~Wydawnictwo Lubelskie~~  
~~ul. S. J. 16~~

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE  
ODDZIAŁ W LUBLINIE

# rocznik lubelski

XXVII-XXVIII

1985-1986

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

IRENEUSZ CABAN

ODDZIAŁ PARTYZANCKI ARMII KRAJOWEJ „NERWY”  
(II PLUTON OP 8). ZARYS DOKUMENTACYJNY

Oddział partyzancki „Nerwy” pod dowództwem pchor., ppor. Wojciecha Rokickiego („Nerwa”) powstał na przełomie 1943 i 1944 roku. Początki jego sięgają jednak jesieni roku 1943 (wrzesień—październik), kiedy to adiutant komendanta obwodu AK Lublin W. Rokicki utworzył tzw. grupę specjalną, pozostającą w dyspozycji komendanta obwodu kpt. Jana Rolińskiego („Jan”). Jej zadaniem była ochrona organizacji, a więc m. in. zwalczanie zdrajców i kolaborantów. Początkowo miała ona w zasadzie charakter garnizonowy, ale już wówczas wykonywała zlecone zadania w terenie. Liczyła od 5 do 7 osób, a w jej skład, obok dowódcy W. Rokickiego, wchodziło: kpr. Jan Czapla („Czarny”), kpr. pchor. Jan Czerny („Szwarc”), pchor. Jan Flisiak („Chłopicki”) <sup>1</sup>, kpr. pchor. Witold Głuchowski („Las”), kpr. pchor. Józef Sobieszczański („Sęk”) oraz ppor. rez. Tadeusz Stępień („Poker”). Późną jesienią grupa coraz częściej przybierała charakter lotny, a na przełomie 1943 i 1944 roku ppor. W. Rokicki („Nerwa”) na jej bazie rozpoczął organizować lotny oddział partyzancki. W pełni cech takiego oddziału nabrał on w styczniu 1944 roku. Podlegał wówczas komendantowi obwodu Lublin-powiat <sup>2</sup>.

Oddział partyzancki „Nerwy” od samego początku miał swoją specyfikę. W przeciwieństwie do wielu innych powstałych w tym czasie, tylko w małym stopniu grupował ludzi „spalonych”. Jego członkowie w większości rekrutowali się spośród ochotników, przede wszystkim młodzieży szkolnej i robotniczej Lublina, m. in. jedną z pierwszych większych grup, która zasilila oddział w styczniu 1944 roku, była grupa uczniów Szkoły Budowlanej inż. Łukaszewicza po ukończonej w konspiracji podchorążówce.

Pod koniec stycznia 1944 roku oddział liczył ok. 30 partyzantów i pozostawał na kwaterach zimowych w rejonie Bychawki. W tym czasie był podzielony na trzy drużyny, którymi dochodzili: 1 — kpr. pchor. Jan Czerny („Szwarc”), zastępca — kpr. pchor. Stefan Różycki („Nałęcz”); 2 — kpr. pchor. Witold Głuchowski („Las”), zastępca — kpr. pchor. Tadeusz Cenzartowicz („Zawichost”); 3 — kpr. pchor. Stefan Latowski

<sup>1</sup> Przy końcu 1943 r. przeszedł do BCh, gdzie był dowódcą grupy partyzanckiej.

<sup>2</sup> Biblioteka im. H. Łopacińskiego w Lublinie (dalej — PHL), 2079, k. 1137—1143, w. Rokicki („Nerwa”), Relacje z 24 III i 20 IX 1965; Tenże: Przyczynek do historii oddziału „Nerwy” (wszystkie relacje, materiały i dokumenty, przy których nie wskazuje się miejsca przechowania, pochodzą ze zbiorów do dziejów Armii Krajowej Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego. Zostaną one w przyszłości scalone ze zbiorami przekazanymi przez nas w latach siedemdziesiątych do Biblioteki im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie); Tenże, Odpowiedzi na pytania w sprawie genezy oddziału „Nerwy” i „Szarugi”; Tenże, Relacja z 22 XI 1983; J. Onosko („Jacyna”), Oddział partyzancki „Nerwy”.

ni i skierowania zgrupowanych żołnierzy do Chełma, gdzie mieli być wcieleni do 1 armii Wojska Polskiego. W tych warunkach po złożeniu broni doszło do rozwiązania koncentracji i w tych okolicznościach zakończył również działalność oddział partyzancki „Nerwy”<sup>20</sup>.

\*

✓ *Wojciech Rokicki* („Nerwa”, „Guasz”), podchorąży, następnie podporucznik rezerwy. Urodził się 30 XI 1914 roku w Piaskach, woj. lubelskie. Maturę otrzymał w Państwowym Gimnazjum im. S. Staszica w Lublinie, a następnie odbył służbę wojskową w 9 pp leg. w Zamościu, podczas której ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w Tomaszowie Lubelskim. Od 1936 roku pracował w Zarządzie Miejskim w Lublinie i równocześnie studiował na Wydziale Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zmobilizowany w sierpniu, brał udział w obronie Warszawy w 5 kompanii przeciwlotniczej ckm, wystawionej przez 9 pp leg. Po upadku stolicy powrócił do Lublina i do 1942 roku pracował w Zarządzie Miejskim. W październiku 1939 roku wraz z innymi założył organizację konspiracyjną „Żołnierze Armii Polskiej” i był w kierownictwie tej organizacji. Przy końcu 1940 roku, po rozpadzie ŻAP, wiąże się z ZWZ. Od roku 1942 poświęca się całkowicie pracy konspiracyjnej w szeregach AK. Pełnił m. in. funkcję oficera broni w rejonie I (Bełżyce—Jastków—Konopnica—Wojciechów) w obwodzie Lublin—powiat, a następnie przeszedł do sztabu obwodu, gdzie był adiutantem komendanta. Od jesieni 1943 roku jest organizatorem i dowódcą lotnej grupy specjalnej obwodu, która na przełomie 1943 i 1944 roku zostaje przekształcona w oddział partyzancki. Rokickiego mianowano dowódcą tego oddziału, którym dowodzi do końca okupacji. Po wyzwoleniu pracował na ziemiach zachodnich, a następnie do czasu przejścia na emeryturę, w Lublinie w budownictwie. Jest odznaczony m. in. Orderem Virtuti Militari kl. V, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Partyzanckim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł w dniu 8 VIII 1988 roku.

\*

Akcje zbrojne oddziału<sup>21</sup>: 14 XI 1943 — partyzanci z grupy lotnej „Nerwy” rozbili w Lublinie na al. Piłsudskiego (obecnie Świerczewskiego) 2 żołnierzy Wehrmachtu. Zdobyto 2 pistolety. 16 I 1944 — w Bychawie rozbijono 2 żołnierzy Wehrmachtu, jeden z Niemców został ranny. Partyzanci zdobyli pistolet. 23 I — patrol pod dowództwem „Nemroda” rozbili w Lublinie na ul. Szkolnej plutonowego i starszego szeregowca Wehrmachtu. Zdobyto pistolet i oporządzenie. 24 I — wydzielona grupa z oddziału pod dowództwem „Zawichosta” dokonała akcji na obóz Służby Budowlanej (jednostka nr 2/400) przy ul. Wesołej w Lublinie. Obóz opanowano z zaskoczenia, zabierając z magazynów 11 kara-

<sup>20</sup> Przebieg walki z Niemcami w okresie 20 VII—29 VII, *op. cit.*; Onoszek, Oddział partyzancki, *op. cit.*; Kowalczyk, *op. cit.*

<sup>21</sup> W relacjach wymienia się ponadto 3 akcje zbrojne wykonane przez partyzantów z oddziału, których potwierdzenia nie odnaleziono w zachowanych dokumentach. Są to: rozbicie 3 żołnierzy niemieckich w Bychawie (druga poł. II 1944), rozbicie podoficera Wehrmachtu w Lublinie na ul. Zamojskiej (7 IV) oraz zabranie volksdeutschowi z Dominowa kb i dubeltówki (druga poł. VI 1944).

binów i amunicję ~~24~~ I — jedna z grup uczestniczących w akcji na obóz Służby Budowlanej w czasie wycofywania się z Lublina starła się późnym wieczorem z 6-osobowym patrolem Wehrmachtu i policji polskiej. Podczas wymiany ognia 2 Niemców zostało rannych, w tym 1 ciężko. Po stronie partyzantów ranny został Kazimierz Szwed („Noir”). Partyzanci utracili również worek z ubraniami i amunicją ~~9~~ II — na drodze Głusk—Jablonna w pobliżu Abramowic dwaj żołnierze z oddziału: Bohdan Wójcicki („Wójt”) i Stanisław Bałuk („Hak”), przewożąc broń do komendy obwodu, natknęli się na niemiecki posterunek kontrolny. Razem z nimi jechali podwodą dwaj członkowie Szarych Szeregów: Tadeusz Łukawski i Mirosław Płażyński. W toku strzelaniny, jaka się wywiązała, poległ B. Wójcicki i obaj harcerze, natomiast S. Bałuk, ostrzeliwując się, zdołał się wycofać z zagrożonego terenu. Utracono 2 pistolety maszynowe z 6 magazynkami, 4 granaty oraz pistolet ~~14~~ II — oddział w pełnym składzie pod dowództwem por. „Nerwy” dokonał akcji na stację kolejową Deminów na linii Lublin—Chełm. Partyzanci w oczekiwaniu na pociąg z Trawnik, którym mieli być przewożeni więźniowie, opanowali budynek stacyjny oraz posterunek blokowy. Podczas oczekiwania na stacji pojawił się 10-osobowy patrol ochrony kolei z 689 batalionu ochrony z Chełma. Patrol ten został ostrzelany i zmuszony do poddania się, a następnie uprowadzony. Zlikwidowano go później w lesie. Oddział zdobył karabin maszynowy, 7 karabinów, pistolet, amunicję, oporządzenie oraz mundury. Podczas strzelaniny ranny został Wacław Luterek („Vis”) ~~16~~ III — wydzielona grupa z oddziału pod dowództwem „Nerwy” opanowała z zaskoczenia punkt oparcia Wehrmachtu w majątku Kozice Dolne. Partyzanci uprowadzili 8 żołnierzy (tylko jeden zdołał się ukryć), którzy oprócz jednego, Ślązaka (włączono go w skład oddziału), zostali rozstrzelani w lesie k. Zastawia. Partyzanci zdobyli broń i oporządzenie ~~1~~ IV — grupa z oddziału w sile 7 partyzantów dokonała w magazynach dystrykalnej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej ekspropriacji 60 tys. zł oraz zarekwirowała żywność ~~5~~ IV — w Lublinie na ul. Grodzkiej grupa podchorążych z oddziału rozbroiła plutonowego Wehrmachtu, zabierając mu pistolet <sup>22</sup> ~~7~~ IV — zaskoczenie i walka oddziału w Pawlinie ~~10~~ IV — we wsi Wierzchowiska, gm. Bełżyce, wspólnie z partyzantami oddziału „Szarugi” złapano 2 ostlegionistów (własowcy) dokonujących rabunku żywności. Zostali oni rozstrzelani; ~~15/16~~ IV — udział oddziału w operacji „Most”; ~~20~~ IV — patrol w sile 15 ludzi pod dowództwem ppor. „Nerwy” dokonał akcji na wartownię wyścigów konnych w Lublinie. Warta została rozbrojona, a partyzanci zdobyli 2 karabiny oraz zarekwirowali 3 konie wyścigowe i 3 siodła ~~5~~ V — grupa żołnierzy pod dowództwem „Dyma” zabrała z liegenschaftu Wola Żółkiewka, gm. Żółkiewka, 10 koni; ~~26~~ V — oddział pod dowództwem ppor. „Muchy” wspólnie z oddziałami terytorialnymi AK, AL i BCH z obwodu krasnostawskiego stoczył walkę z Niemcami w pobliżu wsi Dragany. Celem akcji, przygotowanej przez komendanta powiatowego LSB J. Gilasa („Mahatma”), było odbicie aresztowanych w rejonie lasu Piotrówek, na szosie Wysokie—Lublin. Zamiar ten nie powiódł się, gdyż partyzanci zdołali ostrzelać tylko ostatnie samochody z aresztowa-

<sup>22</sup> Wg relacji uczestników akcję tę przeprowadzono w dniu 6 IV. Rozbroić miało wówczas nie jednego, lecz dwóch żandarmów.

nymi. W tym czasie otrzymano informację, że w pobliżu zasadzki znajduje się niemiecki pododdział w sile 41 ludzi, który wywozi z lasu drzewo. Pododdział ten postanowiono zaatakować (w tej fazie uczestniczył już oddział „Nerwy”). Zamierzenie to zrealizowano na odcinku zajmowanym głównie przez partyzantów z oddziału „Nerwy”. Po krótkiej walce Niemcy zostali rozbici i zmuszeni do poddania się. W wyniku akcji 8 żołnierzy niemieckich zginęło, 2 zostało rannych, a 20 dostało się do niewoli (w większości ostlegioniści). Zostali oni zabrani przez oddział „Nerwy”, a następnie, po rozmundurowaniu, na polecenie dowództwa OP 8 zwolnieni. Zdobyto m. in. 3 pistolety maszynowe i 30 karabinów, a ponadto amunicję, sprzęt wojskowy i oporządzenie. Ok. 8 samochodów zostało spalonych. Po stronie partyzantów poległo 2 ludzi z placówek; ~~1~~ VI — oddział w pełnym składzie opanował osadę Wysokie i rozbił miejscowe magazyny zbożowe. Zarekwirowano m. in. 400 q owsa, 31 q jęczmienia, 10 q wyki i 5 q hubinu. Do akcji użyto ok. 120 chłopskich podwódek; ~~21~~ VI — grupa partyzantów pod dowództwem pchor. „Natarą” zaatakowała z zasadzki w pobliżu stacji kolejowej Dominów (linia Lublin—Chełm) patrol ochrony z 902 batalionu ochrony transportu. Doszło do wymiany ognia, podczas której 2 ostlegionistów zostało zastrzelonych, a 2 rannych. Po stronie partyzantów lekko ranny został Lesław Bezdek („Nil”). Wobec nadejścia pociągu z urlopowanymi żołnierzami niemieckimi partyzanci wycofali się; ~~19~~ VII — oddziały „Nerwy” i „Jemioly” pod dowództwem ppor. „Nerwy” dokonały akcji na załogę osłaniającą majątek pod zarządem niemieckim w Kłodnicy Dolnej, gm. Wilkołaz. Akcja, z zamysłem zaskoczenia Niemców, nie udała się, gdyż schronili się oni do części budynku zamieszkałej przez ludność cywilną (z tego powodu akcję przerwano). W toku walki, jaka wywiązała się, Niemcy mieli 4 ciężko rannych. Straty partyzantów były wyższe. Z oddziału „Nerwy” polegli: ppor. Jan Wiśniewski („Mucha”), pchor. Marian Białas („Gryf”) i Stanisław Boguta („Śmiały”), a 5 odniosło rany<sup>23</sup>, natomiast oddział „Jemioly” miał 2 zabitych i 2 rannych; ~~24~~ VII — zwiad konny pod dowództwem ppor. „Nerwy” natknął się pod wsią Wola Duża koło Bełżyc na wycofujący się oddział niemiecki. W czasie walki Niemcy mieli straty w zabitych i rannych (wg meldunku z „Burzy” zginęło 8 żołnierzy Wehrmachtu, wg relacji 2—7). Z oddziału zginął Mirosław Wójcicki („Blask”), a ranny był Tadeusz Winiarczyk („Kmicic”). Zdobyto pistolety maszynowe i karabiny.

\*

Wykaz (niepełny) członków oddziału: •Arend Georg („Żorz”), •Bałuk Stanisław („Hak”), •Banaszak Władysław („Wróbel”), •Baran Jerzy („Zew”), •Bartoszek Aleksander („Burza”), •Bezdek Lech („Nil”), •Białas Marian („Gryf”), •„Biały” (NN), •Bielak Piotr („Jantar”), •Bogut Jan („Góral”), •Boguta Stanisław („Śmiały”), •Boruch Wojciech („Czortek”), •Bosak Józef („Wicher”), •Bryda Stanisław („Douglass”), •Bryda Zygmunt, •Brzeziński Andrzej („Adam”), •Brzeziński Ryszard („Ewa”), •Burdanowski Eugeniusz, •Busiewicz Jan („Basza”), •Bychawski Henryk („Ben”), •Cenzartowicz Janusz („Warszawski”), •Cenzartowicz Roman („Cezar”), •Cenzartowicz Ta-

<sup>23</sup> Byli to: Lesław Eustachiewicz („Jerzy”), Zbigniew Janisławski („Dym”), Jerzy Leśniewski („Chan”), Edward Wolski („Puma”) i Zbigniew Wójcicki („Kula”).

*Dołkowski Zygmunt - Roman*  
*Domagalski Zygmunt - "Kozak"*  
*Grabowski Jerzy*  
*Gralewski Marian - "Pokorny"*  
*Grzechowski Zygmunt - "Zbik"*

deusz („Zawichost”), • Charleża Marian („Dąb”), • Chorzelski Eugeniusz („Bemol”), • Chowicki Stanisław („Groźny II”), • Ciesielski Józef („Zeń”), • „Czajka” (NN), • Czapla Jan („Czarny”), • Czerny Jan („Szwarc”), • Czerwiński Zdzisław („Smutny”), • Dąbrowski Zbigniew („Roman”), • Denisow Jerzy („Ryszard”), • Dolecki Jan („Lis II”), • Dolecki Tadeusz, • Domagalski Zygmunt („Zygmunt Kozak”), • Dudek Lucjan („Rekrut”), • Dudziak Michał („Łyżka”), • Dziadosz Józef, • Eustachiewicz Lesław („Jerzy”, „Ksawery”), • Flisiak Jan („Chłopicki”), • Garbacki Czesław („Młody”), • Garbacki Władysław („Jeleń”), • Gawliński Czesław, • Gawliński Krzysztof, • Głuchowski Witold („Las”), • Godziszewski Ryszard („Borowicz”), • Gołacki Lubomir („Lucy”), • Gólab Jan, • Gołębiowski Mieczysław („Głaz”), • Gospodarek Zbysław („Tygrys”), • Górniak Zygmunt („Zyga”), • Grabowski Jerzy, • Grabowski Stefan („Witold”), • Gralewski Marian („Pokorny”), • „Granat” (NN), • Grochowski Henryk („Henryk”), • Grochowski Zygmunt („Zbik”), • Gruszecki Ryszard („Ursus”), • Grysz Czesław („Rak”), • Grzegorzczak Stanisław, • Grzesiak Stanisław, • Gustaw Józef („Pokorek”), • Gustaw Stanisław („Zderzak”), • „Harpun” (NN), • „Hoczki” (NN), • Hopkała Stanisław („Rapp”), • Ignatowski Marian („Almanzor”), • Janiński Zbigniew („Dym”), • Januszek Stanisław, • Jarosz Maksymilian („Mirski”), • Jeżewski Wacław („Budada”), • Jędrusiak Jerzy, • „Józek” (NN), • „Kasiak Stanisław, • Kasperek Mieczysław („Cygan”), • „Katia” (NN), • Klarnet” (NN), • Kluza Eugeniusz („Giewont”), • Kochaniec Jan s. Karola, • Kochaniec Jan s. Wojciecha („Potęga”), • Kochaniec Józef, • Kolodziej Jerzy („Figaro”), • Konopczyński Wiesław, • Kosecki Józef („Sepi”), • „Kosynier” (NN), • Koško Józef, • Kowalczyk Zygmunt („Okrzeja”), • Kowalski Władysław („Tarzan”), • Kozak Zygmunt („Brochwicz”), • Kozłowski („Róża”), • „Krak” (NN), • Król Bolesław, • Krzykowski Józef („Lis I”), • Księżopolski Antoni („Profesor”), • „Kula” (NN), • Kula Krzysztof („Krawiec”), • „Kura” (NN), • Kwapisiewicz Piotr („Samson”), • Kwieciński Zygmunt („Żuk”), • Latała („Orzeł II”), • Latomski Stefan („Nemrod”), • Leśniewski Jerzy („Chan”), • Linkowski Czesław („Tom”), • „Longin” (NN), • Luterek Wacław („Vis”), • „Lwowiak” (NN), • Ładkowski Czesław, • Lunięwicz Tadeusz („Snieg”), • „Majcher” (NN), • Małocha Jan („Baran”), • „Mały” (NN), • „Mat”, (NN), • Mazurek Tadeusz („Murzyn”), • Miłaszkiwicz Stanisław („Sartor”), • Milanowski Tadeusz („Miłosz”), • Mioduszewska Zofia („Kropka”), • Mirosław Zbigniew („Leonidas”), • Miszczuk Anna („Lidja”), • Młynarski Roman („Łuk”), • Mroczek Henryk („Kłops”), • Mróz Władysław („Polak”), • Nagalski Alfred („Natar”), • Nagalski Zbigniew („Neron”), • Noga Władysław („Boruta”), • Nowacki Władysław („Tur”), • Nowak Franciszek („Franek”), • „Nowy” (NN), • Ochnik Zenon („Warszawiak”), • Onoszeko Jan („Jacyna”), • Opaliński Franciszek („Zawisza”), • „Orzeł” (NN), • „Osa” (NN), • Osiall Bohdan („Baśka”), • Ostański Tadeusz, • Paluch Bolesław („Szumny”), • Paluch Mieczysław („Wesoły”), • Paprota Zenon („Cygan”), • Parzyzek Tadeusz („Zrąb”), • Pawlak Marian, • Pawlak Stefan, • Pawlak Szczepan, • Piotrowicz Marian, • Piszczeczki Ryszard („Maks”), • Pogódz Edward („Topór”), • Polakowski Stanisław („Rycerz”), • Pomarański Ziemowit („Wrzos”), • Pośnik Wacław („Swierk”), • Próchniak Leszek („Łowca”), • Puszka Czesław („Jowisz”), • Puszka Jan („Korsarz”), • Rokicki Wojciech („Nerwa”, „Guasz”),

\* Kantorowski („Wicher”) ✓  
 \*\* Miazek Józef („Skala”)

*„Dąb” - Romanowski Jerzy*  
*„Snieg” - Lunięwicz Tadeusz*  
*„Krawiec” - Kula Krzysztof*

*„Józek” - NN*  
*„Krawiec” - NN*  
*„Vory” - NN*  
*„Orzeł” - NN*  
*„Guasz” - NN*

Straty oddziału: Leopold „Lopek” Wład Ryszard „Rysz”  
Skatecki Jan „Korbic”  
„Smyk” NN  
178

IRENEUSZ CABAN

- Różycki Stefan („Nałęcz”), • Rułka Henryk („Cichy”), • Rycaj Mieczysław („Kalina”), • Rysak Stanisław („Kmita”), • Sawicki Edmund („Tarzan II”),
- Sawicki Zdzisław („Babinicz”), • Siarkowski Leopold („Lopek”), • Skatecki Jan („Korbic”), • „Skowronek” (NN), • \* „Sobieszczkański Jerzy („Wiór”), • Sobieszczkański Józef („Sek”), • Soroko Henryk („Rafał”), • „Sowa” (NN),
- „Sten” (NN), • Stępień Tadeusz („Poker”), • Susz Józef („Groźny”), • Szafranek Franciszek, • Szewczyk Zygmunt („Pajac”), • Sztejman Marian („Maur”),
- Szwed Kazimierz („Noir”), • Szyszko Ryszard („Orlicz”), • Slepówroński Zbigniew („Stach”), • „Śmiały” (NN), • Tkaczyk Jan, • Todorowski Stanisław,
- Tomaszewski Eugeniusz („Tom II”), • Tracz Marian Tadeusz, • Trzcziński Edward („Smigły”), • Turżański Tadeusz („Barnaba”), • Twaróg Zygmunt („Junak”), • „Unikat” (NN), • Wasilewicz Iwan („Iwan”), • Wawruszak Longin („Longin”), • „Wędrowiec” (NN), • Wierzbicki Tadeusz, • Winiarczyk Jan („Bohun”), • Winiarczyk Tadeusz („Kmicic”), • Wiśniewski Jan („Mucha”), • Wnuk Ryszard („Rys”), • Wolski Edward („Puma”), • Wolski Marian („Smyk”), • Wosiak („Sobieski”), • Wójcicki Bohdan („Wójt”),
- Wójcicki Mirosław („Blask”), • Wójcicki Zbigniew („Kula”), • Wójcik Jan („Pocisk”), • Wroński Zbigniew („Marynarz”), • Zapolski-Kusy Edward („De-wajtis”), • Zaręba Stanisław („Chrabąszcz”), • Zawadzki Saturnin („Jan”).

\*

Straty oddziału: Władysław Banaszak („Wróbel”) — poległ 7 IV 1944 w Pawlinie (pozostali polegli w Pawlinie bez wymieniania daty i miejsca),

• Aleksander Bartoszek („Burza”), • Marian Białas („Grif”) — poległ 19 VII w Kłodnicy, • „Biały” (NN), • Jan Bogut („Góral”), • Stanisław Boguta („Śmiały”) — poległ 19 VII w Kłodnicy, • Zdzisław Czerwiński („Smutny”), • Zygmunt Górmak („Zyga”), • Marian Gralewski („Pokorny”), • Czesław Grysz („Rak”), • Mieczysław Kasperek („Cygan”), • Eugeniusz Kluza („Giewont”),

• „Krak” (NN), • Krzysztof Kula („Krawiec”), • Stefan Latomski („Nemrod”),

• „Lwcowiak” (NN), • Luniewicz Tadeusz („Snieg”), • Henryk Mroczek („Klops”), • Władysław Nowacki („Tur”), • „Orzeł” (NN), • Bohdan Osiall („Baśka”) — zginął podczas pacyfikacji wsi Podole 24 V 1944, • Bolesław Paluch („Szumny”), • Mieczysław Paluch („Wesoły”), • Tadeusz Paryzek („Zrab”), • Henryk Rułka („Cichy”), • Stanisław Rysak („Kmita”), • \* „Józef Sobieszczkański („Sek”), • „Sowa” (NN), • „Sten” (NN), • Józef Susz („Groźny”),

• Marian Sztejman („Maur”), • Tadeusz Turżański („Barnaba”), • Iwan Wasilewicz („Iwan”), • Jan Wiśniewski („Mucha”), — poległ 19 VII w Kłodnicy, • Marian Wolski („Smyk”), • Bohdan Wójcicki („Wójt”) — zginął 9 II 1944 w pobliżu Abramowic, • Mirosław Wójcicki („Blask”) — poległ 24 VII 1944 w Woli Dużej k. Bełżyc.

*Indeks oddziału - polegli*  
*Straty oddziału - polegli*

\* \* Skrzypczyński Władysław („Wiatr”)  
\* \*\* Władysław Skrzypczyński („Wiatr”)



Lotny Oddział Partyzancki A.K.  
"E r w a"

11 / 6 pułk piechoty A.K. - Lublin

Materiały zebrali  
1 opracowali:  
Jan Onoszko  
1 Czesław Linkowski

Lublin, listopad 1964 r.

W y k a z z o Ź n i e r z y  
O d d z i a Ź u P a r t y z a n c k i e Ğ O A. K. " N e r w a " / II k o m p a n i a 8 P. P. A. K. /

Lp	Pseudonim	Kazwisko i imię stopień wojsk.	Data i miejsce urodzenia	Imiona rodziców, pochodzenie: miasto - wieś	U w a Ğ 1
1	2	3	4	5	6
√1.	Adam	Brzezinski Andrzej <i>Brzezinski Andrzej</i>	4.XII.1925 r. Masutów	Jerzy - Zofia miasto Lublin	
√2.	Almanzor	Ignatowski Marian	20.III.1922 r. Zdzięcioł	Kazmiercz - Magdalena miasto Lublin	
√3.	Barnaba	Turzański Tadeusz kapral pchor	4.IV.1920 r.	Wysiedlony z Pomorza, wieś	poległ w Pawlinie, pochowany w Konopnicy, pełnił funkcję sanity tariusza
√4.	Basza	Eusiewicz Jan	8.I.1927 r. Lublin	Edward - Marianna miasto Lublin	Zweryfikowany; kapral A.K., Me- dal Wojska, Krzyż A.K.
√5.	Baśka	Osiall Bohdan kapral pchor	30.XI.1925 r. Stasin k/Lublina	Władysław - Wanda, wieś	Poległ we wsi Fodole k/Bełżyc Pochowany w Konopnicy Zca dcy konnego zwiadu
√6.	Biały	M.H.		wieś	Poległ w Pawlinie, pochowany w Babinie
√7.	Baran	Malocha Jan		wieś	Po wojnie poległ jako funkcj.MC /pomnik w Fiaskach/
√8.	Ben	Bychawski Henryk	18.IV.1922 r. Dubeczno	Stanisław - miasto Lublin	

1	2	3	4	5	6
✓(9)	Bemol	✓ Chorzelski Eugeniusz kapral pchor	13.X.1922 Jarosławiec	Maksymilian - Józefa, miasto	Dca konnego zwiadu
✓(10)	Blask	— Wójcicki Mirosław		Feliks - Maria miasto Łęczna	Zwiadowca konny Poległ w Dużej Woli + akcja Burz Pochowany w Bychawie lub przewieziony do Łęcznej
✓(11)	Bohun	+ Winiarczyk Jan pchor	1919 r.	Jan - Franciszka wiesć	Dca IV plutonu, Zweryfikowany: ppor A.K., Krzyż A.K., Medal Wojska x 4. Zmarł 13.IX.1984 r.
✓(12)	Boruta	e Moga Władysław plut., owy	20.VIII.1913 r. Olszanka	wiesć	Dca grupy AK-BCH z Olszanki, która była w oddziale od 10.II. do 30.III.1944 r., Wykaz ludzi tej grupy załączony oddzielnie
✓(13)	Burza	— Iartoszek Aleksander		wiesć <i>Groźnowy</i>	Foległ w Pawlinie, pochowany w Bablinie
✓(14)	N.N.	e Burdanowski Eugeniusz		wiesć	Dołączył z grupą "Okrzeł"
✓(15)	<del>Neron</del> Cezar	+ Nagalski Zbigniew		Bronisław - Ja- mina miasto Lublin	przeszedł od "Spartanina" zmarł po wojnie w Łodzi
✓(16)	Chan	+ Lesniowski Jerzy		miasto Lublin	Hanny w Kłodnicy zmarł po wojnie w Lublinie
✓(17)	Garabyszcz	Zaręba Stanisław	6.VIII.1926 r.	Józef - Marianna miasto Lublin	

Don. Rozwadowski - Leon

1	2	3	4	5	6
✓18.	Cichy	~ Rułka Henryk		miasto Lublin	Poległ w Pawlinie, pochowany w Babinie
✓19.	Czarny	✓ Czaplak Jan kapral	11.VIII.1916 r.	Wojciech - Rozalia, wieś	
✓20.	Czajka	✓ M.N.		wieś	Był kucharzem w II plutonie
✓21.	Czortek	~ Boruch Wojciech		wieś	Dołączył z Grupą "Ckrzeł"
✓22.	Cygan	~ Kasperek Mieczysław		miasto Lublin	Poległ w Pawlinie, pochowany w Babinie
✓23.	Chłopicki	+ Flisiak Jan		wieś	W oddziale w styczniu 1944 r., później stworzył własny oddział w Lubartowskim, podporządkowany BCH - zmarł po wojnie
(24.)	Dan	✓ Rozwadowski Leon	19.VII.1925 Lublin	Aleksander - Paulina, miasto Lublin	
✓25.	Dąb	~ Charleza Marian	16.XI.1924 r. Leszkowice	Stanisław - Waleria, wieś	Ranny w Pawlinie, wrócił do oddziału i walczył w Kłodnicy. Zweryfikowany; Medal Wojska, Krzyż A.K.
✓26.	Dewajtis	✓ Zapolski - Kusy Edward	3.VII.1922 r. Kosarzew	Andrzej - Maria miasto Lublin	Przeszedł z oddziału "Sparta- nina"
✓27.	Douglas	+ Bryda Stanisław	1923 r. Lublin	Władysław - Anna miasto Lublin	Zesłany w 1944 r. do ZSRR zmarł wiosną 1945 r. w obozie Borowicza obł. Nowgorod Wlk.

SWIADCTWO

2.

22

Kapt. podch. Zapolski Edward.....

ukończył dnia 1.12.44 15-to dniowy kurs przeszkoleniowy podoficerów linjowych przy 1 Sam. Baonie Szkolnym 1 DP i zdał egzamin z wynikiem następującym.-

- aktyka ..... B. dobrze.....
- W. Ogniove ..... Dobrze.....
- Tercoznastwo B. dobrze....
- Musztra ..... B. dobrze....
- Walka wręcz ..... Dobrze.....
- W. Saperskie ..... Dobrze.....
- Chemia ..... Dobrze.....
- Regulaminy ..... Dobrze.....
- Praca Pol. Wych. B. dobrze....
- WYNIK OGOLNY ..... Dobry.....

DOPODCA 1 SAM. BANI SZKOLNEGO 1 DP.-



K. JUSCINSKI Kpt.

2 grudnia 1944r.

KSIĄZECZKA WOJENNA Nr. 2

Nazwisko Zapolski

Imię Edward s. Andrzeja

Stopień wojskowy kapral podchorąży

Stanowisko drużynowy

Służy rzeczywiście w 4ci kawo II Baonu 2pp. 1 PBP

Miejsce i data urodzenia m. Gdynia 1922r.

Narodowość polak

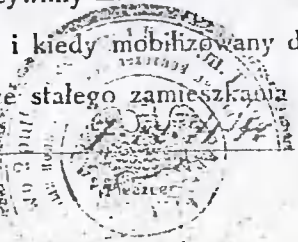
Stan cywilny kawaler

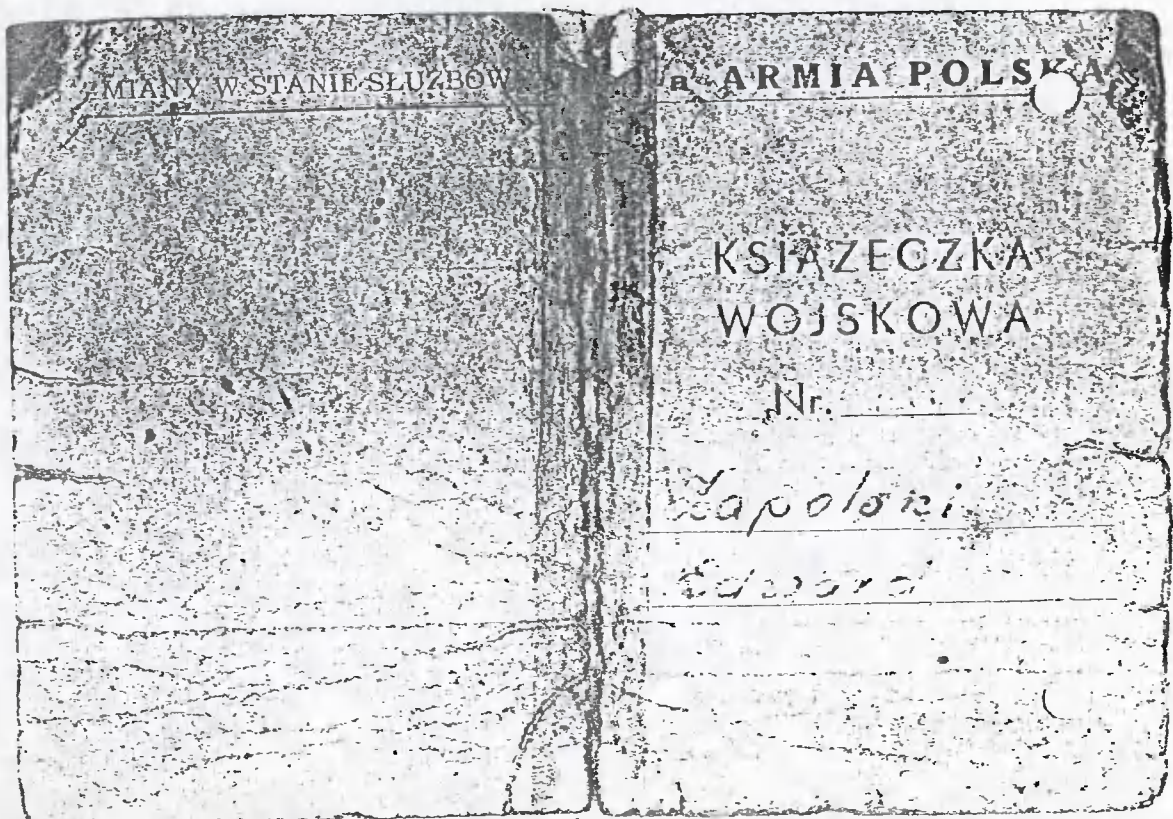
Gdzie i kiedy mobilizowany do Armii Polskiej 6.12.44 Przas-Wierz

Miejsce stałego zamieszkania ul. Brzeźna 179

Data 11.12.44

Podpis Doy jednostki





ZMIANY W STANIE SŁUŻBOW

ARMIA POLSKA

KSIĄZECZKA  
WOJSKOWA

Nr. \_\_\_\_\_

*Lapolozi*

*Edward*

ANDRZEJ  
KRAJEWSKI



DRUGI  
BERLIŃSKI

Z DZIEJÓW  
2 BERLIŃSKIEGO  
PUŁKU  
PIECHOTY

WYDAWNICTWO  
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

godzinie 4.00 wzdłuż osi Tęczyn, Łabędzie. W rejonie mleczarni na południe od Karsiboru pododdziały pułku napotkały silny opór nieprzyjaciela. Wywiązała się walka, która trwała kilka godzin. Ostatecznie Niemcy zmuszeni zostali do wycofania się. Pułk zwinął się w kolumnę marszową i pod wieczór przybył do wsi Łabędzie. W czasie marszu stwierdzono, że w okolicznych lasach ukrywają się liczne grupy nieprzyjaciela. Pułk nie wdawał się z nimi w walkę. Oczyszczaniem terenu zajął się maszerujący za 2 pułkiem piechoty w drugim rzucie 1 pułk piechoty.

Następnego dnia od rana 2 pułk piechoty kontynuował marsz po trasie: Łabędzie, Więclaw, Świdwin. Na kierunku marszu spotykano drobne grupy nieprzyjaciela. Zdezorientowani żołnierze przeciwnika przeważnie oddawali się do niewoli. Jeden z takich dość niezwykłych przypadków opisuje Edward Kusy-Zapolski.

„Szliśmy po szosie biegnącej do Świdwina. Zameldowano naszemu dowódcy batalionu, że od wsi leżącej gdzieś z boku szosy zbliża się duża grupa Niemców z białymi szmatami na lufach karabinów. Wraz z kilkoma żołnierzami naszej kompanii udałem się w ich kierunku. Gdy zbliżyliśmy się, zapytałem po niemiecku: »Kto z was mówi po polsku?« Na to zgłosił się jeden z żołnierzy niemieckich, mówiąc, że to on był inicjatorem podania się do niewoli, gdy zorientował się, że przed nimi są Polacy”<sup>68</sup>.

Marsz odbywał się bardzo wolno wskutek zatłoczenia szosy podążającymi tą trasą innymi oddziałami. Wieczorem 2 pułk piechoty osiągnął Świdwin. Tam przekazał dość liczną grupę prowadzonych jeńców. Po krót-

<sup>68</sup> Relacja sierż. pchor. rez. Edwarda Kusego-Zapolskiego w zbiorach autora. Żołnierzem tym był Janicki — kolega szkolny autora relacji.



24

Z

RZECZPOSPOLITA POLSKA  
WOJSKO POLSKIE  
SZKOŁA OFICERÓW PIECHOTY

# ŚWIADECTWO

Podch. ~~Kar. Szepietki~~ ~~Justy Edward~~ ~~Andrzeja~~ ~~syn~~  
 urodzony dnia 5 lipca 1922 r. w m. Strzybowice.  
 pow. ~~Wieliczka~~ ukończył w czasie  
 od dnia ~~1943~~ do dnia ~~1944~~ r. KURS OFICERSKIEJ  
 SZKOŁY PIECHOTY  
 z wynikiem ~~dobrym~~

Na podstawie którego dekretem Krajowej Rady Narodowej z dnia  
 24 lipca 1944 r. rozkazem Naczelnego Wodza Wojska Polskiego  
 Dz. Pers. Nr. ~~z dnia~~ 194 r. promowany  
 na oficera i mianowany do stopnia  
 w Korpusie Oficerów Piechoty.



D-CA SZKOŁY  
 P.O. *Dmitrijew*  
 /Dmitrjew plk./

W dniu 22.X.-25.X. 1952 r. złożył egzamin  
z następujących przedmiotów

L. p.	NAZWA PRZEDMIOTU	O C E N Y		KOŃCOWA OCENA — OGÓLNA
		za I okr.	za II okr.	
1	Sprawowanie			celująco.
2	Wyszkolenie Instr.			celująco.
3	" Polit.			celująco.
4	" Taktycz.			celująco.
5	" Strzel.			celująco.
6	Musztra			dobrze.
7	Wych. Fizyczne			celująco.
8	Regulaminy			celująco.
9	Topografia			celująco.
10	Inżynieria Wojskowa			celująco.
11	Chemia Wojskowa			celująco.
12	Broń P-Panc			wysłuchał.
13	Artyleria			celująco.
14	Łączność			celująco.
15	Lotnictwo			wysłuchał.
16	Administr. Wojsk.			wysłuchał.
17	Wyszkolenie Sanit.			wysłuchał.
18	Praktyka			

DYREKTOR NAUK  
W/Z.  
*Jankowski*  
Jankowski kpt. /



✓ Tadeusz Sowa ps. Spartanin



Stefan Kwaśniewski ps. Wiktor



Bolesław Frańczak ps. Argil

Tadeusz Sztumberk-Rychter ps. Żegota



ZOFIA HODUSZEWSKA - "KROPKA"

ANNA MISZCZYK - LIDIA

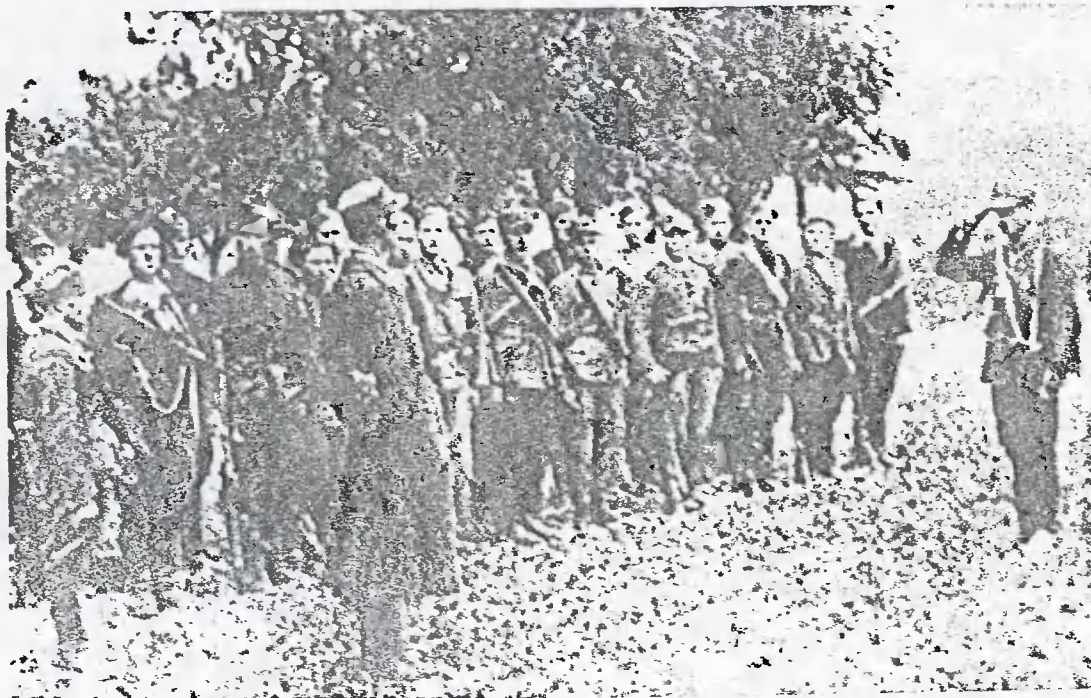


Grupa żołnierzy z oddziału „Małego”



Wojciech Rokicki ps. Nerwa

Raport Szkoły Podchorążych przy oddziale „Małego”





Aleksander Sarkisow ps. Szaruga

CZESŁAW WAWRUSZAK - "ALI"

STEFAN JANKOWSKI - "JANOTA"

JÓZEF KASIAK - "LUSNIAN"



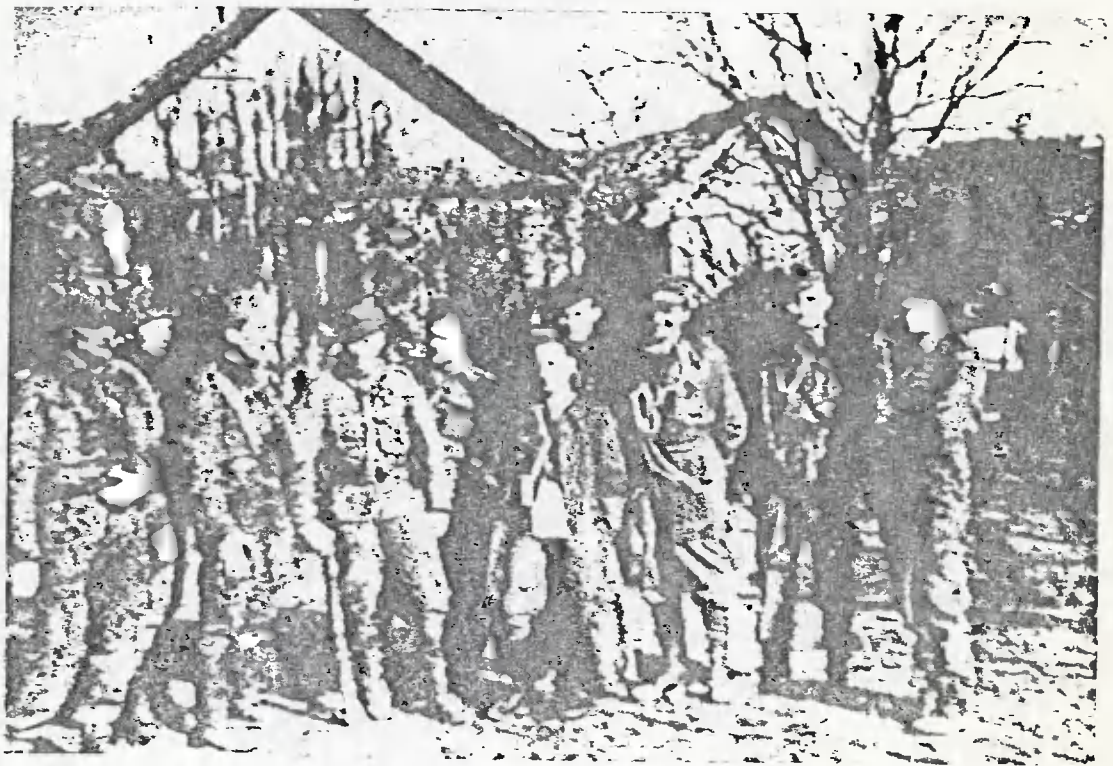
↑  
Żołnierze z oddziału „Szarugi”

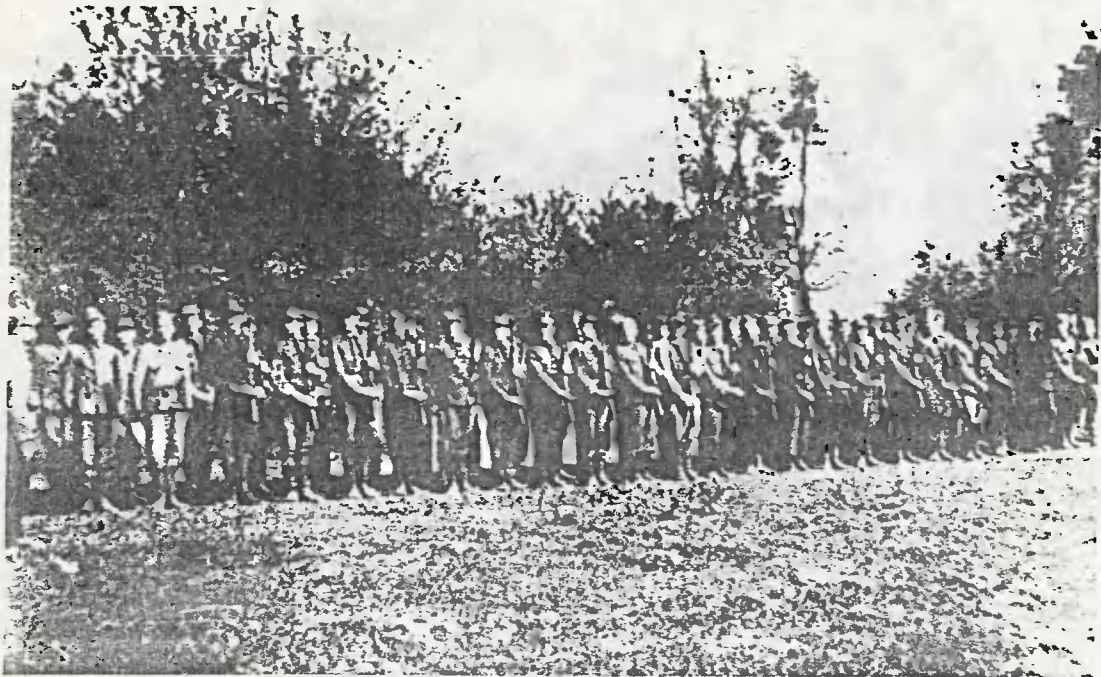
Patrol „Cisa” z oddziału „Szarugi”





✓ Pluton z oddziału „Nerwy” : PROWADZI - WISNIEWSKI -  
„MUCHA”  
✓ Grupa żołnierzy z oddziału „Szarugi”

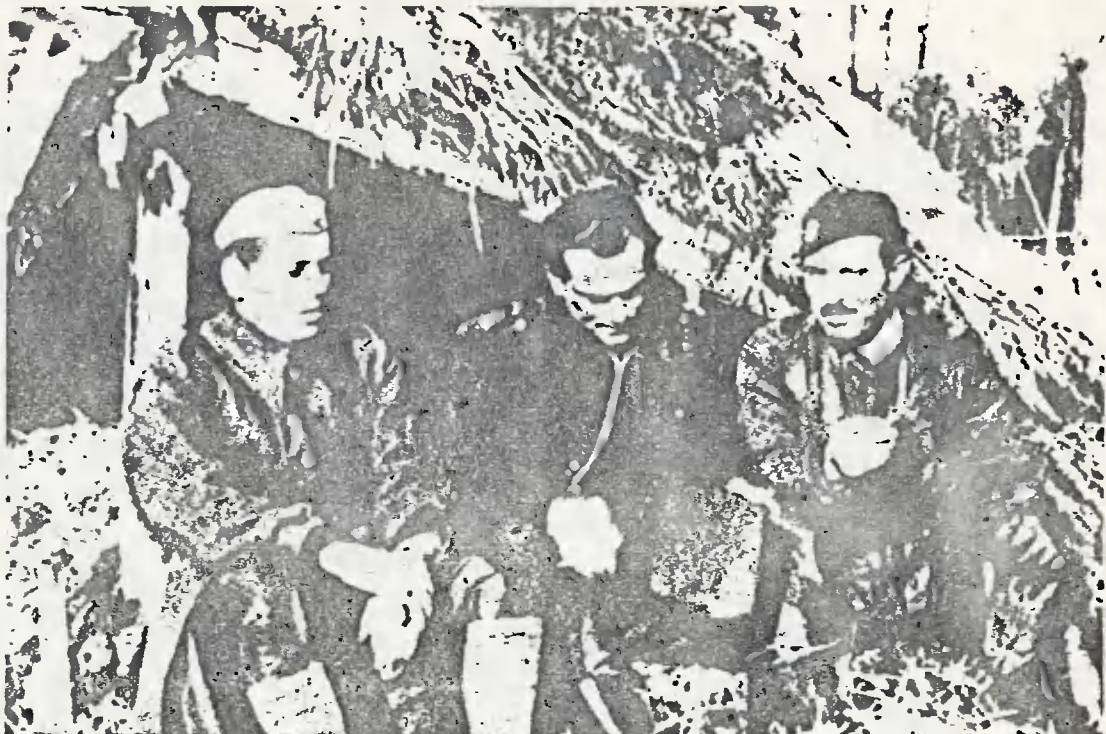




Oddział „Nerwy” na zbiórce



ra-  
w-  
ne  
o-  
em  
e-  
cu  
rt  
la  
iee  
ch  
er  
n  
y-  
go  
al  
t.  
ów  
ieź  
ve  
Za  
re-  
ch  
zi  
y  
oc  
ni  
ch.  
ze  
śc  
zu  
dy-  
do  
rd



Janusz Pruszkowski ps. Waclaw, Adam Haniewicz ps. Wovna i Zdzislaw Wilusz ps. Szek

ROSSIŃSKI "JEMIOŁA", SCHMIEDING "MEOT", 3 ROS JAWIE, POLANOWKA, KUCOWSKI "ANTEK" <sup>2</sup> <sup>3</sup> <sup>4</sup> <sup>5</sup>



① LUKASIK - "RYS"

⑤ ROKICKI - "NERWA"